3 1761 05400305 8

R 2

HRU
JIMP

PISMA
ALEKSANDRA JABŁONOWSKIEGO

TOM VI.

WSCHÓD MUZUŁMAŃSKI.

504694
28.2.50

WARSZAWA
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI E. WENDE I S-KA
(właśc. T. Hiż i A. Turkuł)
1912

DK
508
.5
J34
t.6.

TŁOCZNIA WŁ. ŁAZARSKIEGO W WARSZAWIE
MARSZAŁKOWSKA 114. — DRUK UKOŃCZONO
DNIA 1 CZERWCA 1912 ROKU.

WSCHÓD MUZUŁMAŃSKI.*)

Islam w dziewiętnastem stuleciu. Studyum z historyi cywilizacyi przez Hermana Vambery'ego, prof. zwycz. języków i literatur wschodnich w król. uniwersytecie w Peszcie, przekład Władysława Bogusławskiego. Warszawa, 1876.

Tureckaja ciwilizacja, jeja szkoły, softa, bibliotieki, kniżnoje djeło. Iz pojezdki w Konstantinopol, letom 1875, W. Smirnowa. Wiestnik Jewropy 1876 — kn. VIII i IX.

Les religions et philosophies dans l'Asie centrale, p. M. le Comte de Gobineau, ministre de France à Athènes. Paris, 1866.

Złowrogie grozą chmury zawisły nad widnokręgiem „islamu" — straszliwa burza, co się ma, niebawem może, niepowstrzymanie rozszaleć, huczy już z oddali — zdaje się, że oto poczną już uderzać gromy ostatecznego sądu historyi i rozedrą na szmaty zbutwiały pień potężnego niegdyś kultu i społeczeństwa, a wiatry rozwieją po świecie żywe gałęzie i liście zwiędłe wspaniałego drzewa! Ostateczny wszakże wynik — w ręku przyszłości. Niewątpliwa atoli, że zbliża się już szybkimi kroki stanowcza dla mahometanizmu godzina: wszystko ją dotykalnymi znakami zapowiada — nawet, drobnego znaczenia napozór, obecna wojna, jako przegrywka tylko sroższych nawalnic. Niemniej przeto pozostaje dziś jeszcze wielką zagadką, jakie następstwa sprowadzą dla islamu owe burze i grozy: upadek czy odrodzenie?

Upadek czy odrodzenie? — oto w jakim dylemacie

*) Ateneum, 1876, t. III, zesz. 10, i t. IV, zesz. 11.

staje przed nami w obecnej chwili etniczno-cywilizacyjna kwestya bytu świata muzułmańskiego.

Oczywiście, zrozumienie tej kwestyi, tyle zawiłej, będzie o tyle bliższe samej istoty rzeczy, o ile się zna głębiej dzisiejszy stan faktyczny islamizmu. Bez znajomości takowej niepodobna uniknąć, mimowolnej nawet zupełnie, jednostronności sądu w tym przedmiocie — tak żywo, coraz bardziej, cały świat cywilizowany obchodzącym. Ułatwiają to nam wszakże znacząco liczne prace, jakie ostatnimi czasy zostały wydane o muzułmańskim Wschodzie — w najdrobniejszych odłamach życia onego.

Jedną z prac ostatnich, i prac pierwszorzędnych, jest niezaprzeczenie wymienione na czele dzieło Vambery'ego — Islam w XIX stuleciu, jako studyum z historyi cywilizacyi. Owoc to poważnych, głębokich, samodzielnych badań, w ciągu lat długich, człowieka niepoślednich zdolności a przejętego namiętnem zamiłowaniem wiedzy i prawdy, dla którego Wschód muzułmański stał się był drugą ojczyzną i który też zna ten Wschód dokładniej od własnych jego synów. Śmiały podróżnik po średniej Azyi, ex-softa i ex-derwisz, a dziś uczony profesor wschodnich języków w stolicy swego rodzinnego kraju, Vambery jest zanadto powszechnie znanym, jako auctoritas w rzeczach wschodnich, abyśmy mieli tu potrzebę podnosić znaczenie i doniosłość powagi jego zdań o muzułmańskim świecie. Nikt też może z europejskich badaczy nie zespolił się był tyle z owym światem, nie wcielił się tyle w jego byt i życie, ile ten rozbitek powstania węgierskiego. Przemawia za nim nadto wieloletnie doświadczenie. Nic dziwnego tedy, że praca ta jego ostatnia zjednała sobie powszechne w Europie uznanie i stanęła w szeregu dzieł klasycznych w owym przedmiocie.

Obejmuje ona, artystycznie zwarte w jedną organiczną całość, wszelkie żywioły, stanowiące podstawy, treść, zadania, cele, formy i warunki życia wieloramiennego społeczeństwa wyznawców arabskiego proroka. Określa tu poważny oryen-

talista-etnolog dobitnymi rysami istotę głównych szczepów i ludów mahometańskich; charakteryzuje żywo kraje przestronne przez nie zamieszkane; obrazuje dosadnie główne cechy ich cywilizacyi; dotyka gruntownie konieczności reform, ich istoty i dróg, jakiemi one przychodzą; określa państwo i stanowisko w niem najwyższego władzcy i dostojników; maluje żywemi barwy rodzinę i jednostkę; opowiada treściwie i zajmująco o szkole, wykształceniu i literaturze; niemniej o przemyśle i handlu; stawi śmiało wobec siebie wzajem Wschód i Zachód, Islam i Chrześcijaństwo; i nakoniec podnosi kwestyę przemożną — upadku i odrodzenia, wobec stanowiska względnego wielkich mocarstw europejskich i państw islamu.

W obliczu więc wytężenia, z jakiem uwaga publiczności naszej zwrócona jest w obecnej chwili ku Wschodowi, nie wahaliśmy się podać tu nawet, w ścisłem streszczeniu, jedynie ową bogatą i zajmującą wielce osnowę tego głębokiego studyum znakomitego oryentalisty — odsyłając czytelnika, co do szczegółów obfitych, co do tryskającej życiem obrazowej i anegdotycznej strony, do samego dzieła.

Lecz sąd Vambery'ego, właśnie dla jego zażyłości z bytem muzułmańskim, niezależnie już wcale od innych, głębszych pobudek, mógłby się zdawać za wiele pobłażliwym lub za nieuzasadnienie optymistycznym. Otóż biorąc jego pracę za podstawę główną naszego zarysu, dla większego uwydatnienia przedmiotu wszakże, przeciwstawimy słynnemu węgierskiemu podróżnikowi sąd doraźny, z pierwszego wrażenia, człowieka, który, przez studya swe poprzednie dostatecznie potemu uzdolniony, z innego zupełnie, niż tamten, stanowiska i przez inny pryzmat na świat muzułmański, chociaż turecki jedynie, się zapatruje. Rozumiemy tu p. Smirnowa i jego artykuł pod tytułem: „Turecka cywilizacya". Wybór ten zaś zrobiliśmy dlatego, że naprzód autor należy do narodu, który w bieżącej epoce wziął sobie, przed innymi, za otwarte hasło — tępienie islamu i ture-

ckiego szczepu, a powtóre, że nakreślony przezeń obraz, obok powabu świeżości, ujmuje nadto prostotą i swobodą malowidła — przedstawiającego wszakże zupełnie poważnie przedmiot tak wielkiego znaczenia, jak cywilizacya narodu. Dla przedstawienia atoli naszego przedmiotu w zaokrągleniu i pełni — całkowicie wyczerpujących, nie mogliśmy też pominąć i takiej uznanej w rzeczach wschodnich powagi, jaką przedstawia zasłużenie hr. Gobineau, autor skądinąd znanej nam już pracy p. t. „Religie i filozofie w środkowej Azyi", a jeden z najgłębszych znawców świata irańskiego — ten właśnie, który nam tak dzielnie rozsłonił tajemnice obecnego ruchu społeczno-religijnego w Persyi, wnoszącego pod nazwą Babyzmu nowe życie w łono butwiejących społeczeństw muzułmańskiego Wschodu.

Ale przejdźmy już do samego przedmiotu.

Pod nazwą islamizmu rozumie Vambery w swem dziele, jak sam powiada w przedmowie, przedewszystkiem świat mahometański niepodległej Azyi. Miał on głównie na celu przedstawić w niem Wschód muzułmański w zapasach z cywilizacyą zachodnią i skreślić wszystkie cierpienia i bóle tego okresu przejściowego — uwzględniając wyłącznie stan rzeczy w państwie Ottomańskiem, jako podległem bardziej od innych zachodnim wpływom. Wogóle zaś chodziło mu o przedstawienie, w prostej ale wiernej formie, faktów, na których opierają się jego poglądy tak na obecne przekształcenie, jak i na przyszłość islamizmu.

Podobnie też i my tu w naszym zarysie będziemy zwracać wyłączniejszą uwagę na charakter obecnego życia świata muzułmańskiego, o ile takowe uwydatnia się przedewszystkiem w bliższej nam Turcyi.

Świetnym prawdziwie wstępem (ust. I) rozpoczyna Vambery studyum swe islamu. Zasłona, która ukrywała w ciągu przeszłego stulecia życie i działalność Wschodu przed wzrokiem Zachodu, uchyla się dziś stopniowo, powiada on, pod krzepką dłonią naszego wieku; różnobarwne mgły, przysła-

niające zwodnicze obrazy wschodniego świata, ustępują przed promieniami jasnego słońca naszej oświaty, które przedzierają się do stref najbardziej oddalonych. Wielkie słowo: „niech się stanie światło" blizkie jest urzeczywistnienia, a niezadługo może nadejdzie czas, kiedy na nie odpowie echo: „i stało się światło"! W istocie — sam zakres wiadomości naszych o świecie wschodnim znacznie się w ostatnich dziesięciuleciach rozszerzył. Europa, wzmocniona wewnętrznie duchowemi zdobyczami, w promieniejący pancerz swej wyższości uzbrojona, występuje jako niezwyciężony zapaśnik na wszystkich punktach kuli ziemskiej: stara zatem Azya zniewalana zostaje coraz bardziej uchylać zwodniczą zasłonę dziecięciu swemu, by odkryć w całej nagości twarz swą, zeszpeconą zmarszczkami, jak niemniej przez odmładzające kosmetyki. Jeżeli więc w obrazie azyatyckiego życia brakuje nam dziś jeszcze drobnych rysów i odcieni, — ogólne jego kontury znane są już dokładnie. Ileż tu czasem fantasmagoryi (woła ten znawca Wschodu), ozłoconych złudnymi blaskami zachodzącego słońca Azyi, rozpływa się we mgle przed naszym wzrokiem, — chociaż niejeden z nas, pogardzając w poetycznym polocie prozą XIX wieku, poi jeszcze wilgotne od rozkoszy oczy widokiem barwistej zasłony! Pokazuje się zaś tymczasem, że ta lub owa pod niebiosy piętrząca się „porta" jest tylko zbutwiałym, przez robactwo toczonym gmachem, że niejedna miejscowość, rozgłośnie współzawodnicząca z rajskiemi krainami, była straszliwą pustynią; olbrzymy zamieniły się w karłów, miliony w zera, a wyrazy „Azya", „azyatycki" stały się jednoznacznemi z pojęciem napuszoności i przesady. Lecz mimo to, iż powszechne rozprzężenie świata muzułmańskiego jest niewątpliwe, byłoby niesprawiedliwością zachowywać dla niego lekceważenie jedynie; owszem — Zachód winien wypisać na swoim sztandarze słowo: „humanitarność" i przyjść w pomoc Wschodowi — choćby nawet mimo jego woli, a nie skazywać go na powolny rozkład i śmierć powolną... Obo-

wiązkiem jest przecie samobójcę, przemocą nawet, ze szpon śmierci wydzierać — mniejsza o nienawiść, jaka zwykle w takim razie dostaje się wybawcy w nagrodę!

Lecz tu z przykrością musimy zaznaczyć, że p. Vambery, jako prawy Madyaron, a więc członek narodu, należącego do najbardziej nieuprawnionych i nieproszonych dobroczyńców ludzkości, nie umiał się przecie powściągnąć, aby nie zepsuć pięknego swego wstępu końcowymi wyrazami, z których tchnie już tylko prosta cywilizatorska emfaza. Oto one: „A zresztą dość pomyśleć o wrogiem dla nas (?) usposobieniu Słowian i innych wschodnio-europejskich ludów, ażeby przekonać się, że i u nas w Europie są jeszcze źle wychowane dzieci, które nienawidzą nauczycieli swoich. Wiadomo przecie, że słowo „kafir" lub „giaur" w ustach mahometanina znaczy ani mniej ani więcej jak słowo „Niemiec" w ustach Słowianina." Dziwne to zaiste ze strony byłego węgierskiego wychodźcy, w którego przybranym języku nie obcym jest wyraz „Nemet" — i co gorsze jeszcze. Lecz zwróćmy się do szczegółów dalszego przezeń obrazowania głównego przedmiotu (Vmb., ust. II).

Wiadomo powszechnie, iż świat muzułmański jednolity nie jest. Wprawdzie zasadą, że „wszyscy prawowierni są braćmi" — chciał Mahomet przełamać wcieloną dumę arystokratyczną Arabów i ukrócić nieposkromiony ich popęd do narodowego partykularyzmu. W ciągu dwunastu wieków walczyły atoli przeciwko tej zasadzie fakta, które, będąc wynikiem niewzruszonej logiki natury, przekształcały się w ogniu fanatyzmu, ale zupełnie usunięte być nie mogły. Różnice etnologiczne i klimatyczne stały zawsze na przeszkodzie utrwaleniu tej spójni, do której dążył prorok. Utworzył się tylko łańcuch, którego ogniwa, jakkolwiek dość silnie z sobą złączone, formą jednak i treścią wewnętrzną nigdy nie wychodziły, ani wychodzić mogły, ze sfery odrębności. Jednem słowem, islam nie miał mocy zatarcia narodowych indywidualizmów. Najświetniejszą ilustracyę

tego faktu psychologii etnicznej znajdujemy w przytoczonem dziele hr. Gobineau.

Po mistrzowsku prawdziwie i z głęboką znajomością przedmiotu, nabytą długiem doświadczeniem życia, kreśli też i Vambery etniczną charakterystykę odrębnych islamu indywidualizmów.

Wśród trzech ras głównych, między któremi islam azyatycki, politycznie niepodległy, liczy najwięcej wyznawców, przeważa dziś ta, która najpóźniej mu się poddała. Istotnie bowiem Turanie przenoszą o wiele liczbą swą ilość Iranów i Semitów, razem nawet wziętych. Ludy tureckie, same w sobie uważane, równie nie przedstawiają jednolitego zastępu: istnieje wielka różnica pomiędzy Uzbegiem turkiestańskim a rumelijskim Osmanem, wyobrażającym typ zlewkowy przeróżnych, nieturańskich większą częścią, narodowości, pseudo-turański tylko — typ narodu, powstałego na drodze oręźnej przeważnie. Stąd to Osmanin — jeden w całym wielkim szczepie turańskim, mimo bezpośrednie zbliżenie się z kolebką, z głównem ogniskiem islamizmu, nie okazywał nietylko chwilowo, ale nigdy i w żadnych okolicznościach, tego gorączkowego uwielbienia dla nauki proroka i nigdy też nie występował jako wyznawca owego ślepego fanatyzmu, który zato jest i był po wszystkie czasy właściwością jego współwyznawców i współplemieńników w głębokiej Azyi. Autor artykułu o „Cywilizacyi tureckiej" mniej słusznie przypisuje u Osmanów zaciekłemu fanatyzmowi to, co może prędzej być wynikiem instynktów narodowych lub owocem upornej niepospolicie azyatyckiej kultury (Sm., ust. V). Wogóle zaś o ludach turańskich to można powiedzieć: im Turek dalej mieszka w głębi Azyi, tem głębszy jest jego fanatyczny dla islamu zapał; i naodwrót: im bardziej zbliża się ku Zachodowi, tem trzeźwiejsze, rozważniejsze, choć zawsze silne, są jego przekonania religijne. Główne cechy szczepowego charakteru tureckiego przechowali przecie Osmanowie. Któż nie podziwiał, pyta

słusznie Vambery, łagodności, graniczącej prawie z ospałością, spokoju i flegmy, szlachetnego i pełnego godności wyrazu twarzy Osmana, bądź w osobie prostego wieśniaka w połatanym kaftanie, w nędznej mieszkającego lepiance, bądź też w postaci dostojnika, siedzącego na sofie w świetnej, złotem tkanej szacie? Istotnie musi to przyznać każdy, kto tylko miał sposobność choć na chwilę znaleźć się wśród Turków. Dodajmy do tego wschodnią gnuśność i pobożne poddanie się niecofnionym zrządzeniom losu, powolność i spokój — ową tak ostro a humorystycznie przez p. Sm. (ust. VI) dotkniętą „chałatowość" i wstręt do wszelkiego formalizmu, a będziemy posiadać pełny obraz Osmanliji. My bowiem Europejczycy, dodaje Vambery, wyrobiliśmy sobie przesądne pojęcie, że pod tem gładkiem zwierciadłem powierzchownego spokoju kipi war nieposkromionych namiętności, który, roztrąciwszy, za lada sposobnością, zwierciadlaną powierzchnię, zatapia wybrzeża i szerzy naokoło groźne spustoszenia. Pojęcie takie, zastosowane do innych ludów Wschodu, np. do Semitów i Iranów, ma za sobą pewną słuszność, ale nie sprawdza się na Turkach w ogóle, a tem mniej na Osmanach. W parze z tą łagodnością idzie zawsze szczególna dobroć serca, ludzkość i zupełny brak arystokratycznych popędów. Nie ma też, pragnący, jak sam uprzedza, objektywnie oceniać moralny charakter Turków, p. Sm. (ust. VII) najmniejszego powodu obawy być posądzanym o obudzanie sympatyi ku nim, wypowiadając swą wątpliwość co do przyznanych im powszechnie cnót. Zgoda zresztą — w Turczynce więcej może ludzkości, niż w jej wszechwładnym mężu i panu. Zdarzające się atoli wybuchy namiętniejszego prześladowania innowierców są to wyniki i właściwości nie swiata tureckiego, ale islamizmu i fanatyzmu azyatyckiego wogóle. Wreszcie w walkach rozpacznych z „rajahami" w Rumelii np. miecz i głownie podpalaczy dzierżyli zawsze bośniaccy i albańscy mahometanie, którzy, nie znając nawet języka tureckiego, z piętnem słowiańskiego lub łacińskiego

typu na obliczu, srożyli się i jeszcze się srożą w zaciętym boju przeciw własnym braciom. Wszakże Osmanin dobrym jest muzułmaninem. W typowości jednak szczepowej wogóle prześcigają go jego wschodni pobratymcy — Turek irański z Azerbeidżanu i turkestański Uzbeg, który to, przy dodatnich stronach swej rasy, jak rzetelność i silny męski charakter, jest wcieleniem najciemniejszego fanatyzmu wiary i istnie barbarzyńskiej konserwatywności.

Szczep irański, drugie pod względem liczebnym wśród wyznawców Mahometa (pominąwszy muzułmańskich Hindów) zajmujący miejsce, różnił się zawsze stanowczo od swych turańskich współwyznawców. Ludy tego szczepu nie przyjęły bezwarunkowo zasad koranu; fanatyzmu nadto nigdy w usposobieniu nie mając, nie mogły też stanowić filarów islamizmu. Przepaść, jaką między Persami i Arabami różność sekt z samego początku wytworzyła, była więcej wynikiem narodowego aniżeli religijnego zapału. Wyczerpująco przedmiot ten rozjaśnia w swem dziele hr. Gobineau (ust. II i III). Pozorne cechy religijności, występujące w codziennem życiu Persów, mogą omamić powierzchownego tylko postrzegacza: religijny ich zapał nie głęboko sięga, a gorliwość sekciarska szyityzmu służy za broń polityczną przedewszystkiem; wogóle zaś niema może w całej Azyi kraju ani ludu, z wyjątkiem Chin, z tak małym zasobem zapału religijnego, jak Persya. To zaś tylko jedynie może nam wytłómaczyć zarówno tak nadzwyczajne wezbranie tam nowej społeczno-religijnej nauki, podnoszącej kobietę a znanej pod nazwą Babyzmu, jak i upadek onej — o czem będziemy mieli sposobność szerzej opowiedzieć gdzieindziej. Nie tylko też szyici, owi protestanci niby islamizmu, ale i sunniccy Tadżykowie w Turkiestanie, tem gnieździe fanatycznej religijności, nie są tak bogobojnymi muzułmanami, za jakich uchodzić pragną. Nawet koczownik Iranin różni się pod tym względem wielce od sąsiedniego nomady Turańca: epo-

peja narodowa zastępuje mu religijne legendy. Kurd zaś, jak to mówią, zmienia swą wiarę stosownie do pory roku. Co do charakteru narodowego Iranów, przyznają im powszechnie bystrość, dowcip, rzeźkość umysłu i energię, ale zarazem pomawiają o brak uczciwości, chytrość i dwulicowość. Mogło to pójść przeważnie z politycznego ucisku. Iranin bowiem, przedstawiciel duchowej potęgi w Azyi, musiał chodzić długie wieki trwożliwym krokiem, gdy tymczasem Turanin, reprezentant brutalnej siły, nosił wysoko podniesioną głowę. Dwulicowość zaś ową podtrzymuje u Persów, potężnie a zgubnie, osławiony ich „Żetman", t. j. praktykowana powszechnie, bez różnicy sekt, bezduszna religijna hypokryzya, ile tylko takowej osobisty interes wymaga. Europejczyk, powiada Gobineau (ust. I), gotów widzieć w trybie takim zachowywania się, który nie tylko upoważnia milczenie, lecz uprawnia kłamstwo na największą możliwą skalę, coś upokarzającego. Azyata, owszem, uważa go za zaszczytny. Ketman stanowi dumę tego, kto mu się oddaje. Wierzący wznosi się we własnem wyobrażeniu przez to wysoce nad tym, kogo oszukuje, choćby to był sam monarcha; jest on dlań nędznikiem zaślepionym, nie przeczuwającym prawdy. Jakaż to rozkosz czuć się tak wyższym! Obłęd taki nie może więc nie oddziaływać niszcząco i na zakres moralny powszedniego życia. Pobratymiec Iranina Afgan nie jest również wielkim gorliwcem religijnym.

Semityccy Arabowie stanowią najdrobniejszy zastęp islamitów. Dziwnem zrządzeniem losu, lud, który służył za podwalinę całemu światu mahometańskiemu, od którego wyszła idea muzułmańskiego wszechwładztwa, przed którym niegdyś Turanie i Iranie w pokorze kolana zginali, jako przed apostołami religii i zwycięzcami, — ten lud liczebnie jest najuboższy, rozgłos jego potęgi przebrzmiał już blizko od sześciu wieków, a z dawnej wielkości nazwa tylko pozostała. Co do usposobienia religijnego Arabów, możnaby mniemać na pierwszy rzut oka, że ci twórcy islamizmu być

muszą, choćby tylko przez dumę narodową, fanatykami wśród swoich współwyznawców. Tymczasem rzecz się ma inaczej: przecięciowo bowiem biorąc, islamizm silniej się zakorzenił w twardej czaszce Turańczyka, aniżeli w rozumnej głowie Semity. Fanatyzm mahometański napotkać można tylko u napół koczujących Arabów-Dire. Arab zamieszkujący miasta nie może być uważany za obojętnego wyznawcę nauki Mahometa, a nawet w oczach niedoświadczonego Europejczyka często uchodzić może za wzór zapału religijnego; a jednak ta właśnie klasa Arabów dostarcza dość znaczny zastęp myślicieli i sceptyków, których nigdy nie napotyka się u Turków, prowadzących ten sam tryb życia. Turek jest tylko czującym, Arab zaś jednocześnie i myślącym religiantem. Dobitnie określa Gobineau tę stronę Arabów. Swoboda ruchu, powiada on, która tak im jest droga w życiu na tym świecie, podnieca w nich popęd do krytyki negatywnej, lub bardzo restrykcyjnej, przynajmniej w rzeczach tamtego świata. Stąd to przeszkadzali oni stanowczo pragnieniu Mahometa i jego usiłowaniom zrobienia z Arabii ziemi surowej prawowierności. Za życia proroka i pod jego pierwszymi a zdolnymi następcami było niemożliwe wcale przemożenie na tym punkcie. Obecnie nawet niema w całym islamie jednego kraju, któryby był mniej muzułmańskim (Gob., ust. III). Jedynie tylko w uczuciu dumy ze świetnej przeszłości silniej odbija się islamizm wychudłych i spalonych żarem słonecznym synów Mekki i Medyny; ale i to uczucie ma cechę bardzej narodową, aniżeli religijną. Lekkomyślność Araba miast w rzeczach religii zabarwiona jest nadto ową jowialnością i swobodą, stanowiącą wydatny rys jego charakteru — rys, który rzadko się przytrafia u Turków, częściej u Persów, a który nie dozwala głęboko zanurtować uczuciom religijnym. Z tą oczywistą wyższością zapatrywania się na świat łączy Arab zmysł praktyczny i ruchliwość umysłową. Z Arabami można się swobodnie wdawać w rozprawy o najdraźliwszych zagadkach islamizmu; oni

jedni, oprócz Persów, podróżują po Europie, gnani żądzą wiedzy lub interesami handlowymi; oni też z własnego popędu, chętniej aniżeli Turcy, zaznajamiają się z naszymi językami i obyczajami. Śmiałość i gorliwość, z jaką arabska ludność w Egipcie poddaje się przeróżnym reformom rządu wice-króla, musi wprawić w podziw każdego, kto się obeznał ze sprawami mahometanizmu. Dziesięć lat obcowania z Europą więcej uczyniły z Kairu i Aleksandryi, aniżeli z Konstantynopola półwiekowy wpływ Franków. Prawda, że wszystkie innowacye na wybrzeżach Nilu są w gruncie rzeczy tylko polorem równie zgubnym, jak zwodniczym; ale sam fakt, że ten polor przyjął się tu o wiele łatwiej, aniżeli gdzieindziej, przypisać należy giętkości i układności Araba. Dzięki temu właśnie przymiotowi, Arab przeznaczony jest do odegrania ważnej roli w przekształceniu stosunków azyatyckich, w razie gdyby go polityczne przewroty powtórnie na widownię dziejową wydźwignęły.

Scharakteryzowawszy plastycznie trzy główne etniczne dźwignie islamu, przechodzi następnie (ust. III) Vambery do krytycznego poglądu na kraje przez wyznawców onego zamieszkałe. Zwraca tu podróżnik węgierski przedewszystkiem uwagę na względne ubóstwo Wschodu, wskazuje, że żyzność i zdatność do uprawy, w europejskiem znaczeniu tego słowa, w krajach Azyi mahometańskiej, z wyjątkiem niektórych miejscowości, zupełnie jest nieznana. Ilość więc ludności, mimo hyperbole wschodnie, musiała być tam zawsze mniej znaczna; a co więcej, wogóle napróżnobyśmy szukali w przedstawicielach różnych ras na mahometańskim Wschodzie tej siły fizycznej, która właściwa jest mieszkańcom północnej i środkowej Europy. Ta zaś niższość fizycznego ustroju wywiera stanowczy i daleko sięgający wpływ na ogólną ekonomię duchowych przymiotów muzułmanina w Azyi. Ma on polot i zapał, ale brak mu stałości i wytrwania, a owa ujemna strona charakteru snuje się, niby nić

czarna, przez wszystkie fazy i epoki jego życia politycznego i społecznego.

Żywy, zajmujący treścią obraz przedstawia dalej w dziele Vambery'ego ustęp o cywilizacyi mahometańskiej (ust. IV). Znakomicie też istotę charakteru onej zarysowuje w dziele swem hr. Gobineau (ust. II i in.). Epoka świetności w dziejach tej cywilizacyi jest powszechnie znana: blask jej dotąd w pamięci historyi przyświeca, była ona bowiem kamieniem węgielnym i naszej europejskiej kultury. Ale cywilizacya muzułmańska w czasie nawet najbujniejszego swego rozkwitu była zbyt sporadyczna i nie dotykała wcale ludu. Wreszcie zajaśniała ona przedewszystkiem w Europie, w Hiszpanii, przy odrębnych etnologicznych i historycznych warunkach, i nie była udziałem całego świata arabskiego, a tem bardziej muzułmańskiego. Islamizm w klimacie europejskim, na łonie czarującej natury andaluzyjskiej, zupełnie inny przybrał charakter, aniżeli w pierwotnej swojej kolebce — Azyi; a w starym sporze o wyższość duchową między dwoma odłamami świata mahometańskiego, zachodnim (Magribin) i wschodnim (Maszrikin) — pierwszy wziął stanowczo górę, tak w zakresie wiedzy i sztuki, jak i urządzeń społecznych. Kulturę mahometańską wogóle można uważać za aglomerat cywilizacyi ludów podbitych przez Arabów. W politycznym i społecznym ustroju wschodniego islamizmu przeważył wpływ prastarej kultury Persów; w zachodnim zaś znajdujemy mnóstwo widocznych śladów cywilizacyi byzantyjskiej. Trudnoby więc było odkryć cechy samodzielnie narodowe w duchu mahometańskiej cywilizacyi, gdyby nie szaty, w które była przybrana, to jest język arabski,—więcej jednak dla niej szkodliwy, aniżeli korzystny, jako krępujący swobodny rozwój języków podbitych ludów, podobnie łacinie średniowiecznej na Zachodzie europejskim. Dopóki tedy islam trzymał się na zenicie swej potęgi, z jednej strony siłą niekłamanego zapału, z drugiej zepsuciem i grubem nieuctwem swoich przeciwników, dopóty dążenia

cywilizacyjne gorący w wyznawcach jego znajdowały współudział. Co więcej, dopóki gmach wiary obywał się bez kruchych filarów ślepego fanatyzmu, dopóty duch w swobodnym polocie przenikać mógł w najdalsze sfery cywilizacyi i sztuki. Ale kiedy kalifat ustąpił miejsca sułtanatowi, opartemu na absolutyzmie, a swobodna wiara ortodoksyi, graniczącej z ciasną bigoteryą, nastąpił zwrot przeciwny i powoli scholastyka wyrugowała swobodną wiedzę, świetna kultura islamu przygasła. Fatum etnologiczne nadto zrządziło, że po upadku kalifatu i przewagi Arabów, na całej linii, oddzielającej dwa światy, jedynymi pośrednikami, utrzymującymi łączność Wschodu z Zachodem, stali się wojowniczy Turcy, niezbyt dla dążeń cywilizacyjnych przychylni i, dzięki zakamieniałemu fanatyzmowi, zawsze dalecy od prądów swobodnego myślenia. Natomiast, podczas gdy w Azyi cywilizacya mahometańska olbrzymimi krokami zbliżała się do upadku, na Zachodzie epoka wiary ustąpiła przed nową erą swobodnego myślenia; i możnaby nieledwie powiedzieć, że w miarę jak Europa postępowała naprzód, mahometanie ciągle w tył się cofali. Jaki też wszakże obrót byłyby wzięły rzeczy, gdyby na miejscu Osmanów rozumni Iranowie pozostawali byli w ciągłej z Europą styczności? — pyta Vambery. Pierwsi, przypomina on, z dobytym orężem chcieli zawsze stać na straży religii, — drudzy odznaczyli się głównie w walkach na polu duchowem; czyż więc nie można przypuścić, że władzcy perscy, zostawszy panami Anatolii, a nawet Konstantynopola, byliby utrzymywali z chrześcijańskim Zachodem „entente cordiale", i że między dwoma światami nie byłoby powstało tak surowego rozgraniczenia? Wszakże jeszcze przed 400 laty Uzun Hassan, słynny władzca perski, chciał się sprzymierzyć z Wenecyą, Węgrami i Polską przeciw swym współwiercom Osmanom! Wyznajemy przecie szczerze, że, uwzględniwszy znany pochód wewnętrznych dziejów samej Persyi, nie zgodzilibyśmy się na przypuszczenie optymistyczne wy-

ników tej hypotezy. Dzieje wreszcie zdecydowały inaczej — i kultura mahometańska śpi już od pięciu wieków, jakby snem śmierci, nieczuła i głucha na szum fal cywilizacyjnych, które roztrącają się u jej granic, płynąc od zachodu. Nieczuła i głucha — ale nie nieświadoma wszakże potężnych przewrotów, wśród których chrześcijański Zachód, wyswobadzając się z więzów starego świata, obudził się do nowego życia. Istotnie, nie można temu zaprzeczyć: Wschód bardzo wcześnie począł się przysłuchiwać wieściom o postępach kultury Franków. Panujący mahometańscy w Azyi, skoro tylko wznieśli się nad poziom powszedniości, daleko baczniejszą wogóle zwracali uwagę na światło wchodzące od Zachodu, aniżeli jak to zwykliśmy przypuszczać. W naturalnem następstwie coraz widoczniejszą tedy stawała się w obliczu tego konieczność naśladowania wyższych wzorów Europy, a zatem — zmian i reform u siebie. Ale masy, zmartwiałe w nieruchomym konserwatyzmie, przemocą tylko mogły być pchnięte na nowe drogi — przemocą nietylko z wewnątrz, lecz i z zewnątrz. Przymusem też jedynie narzucano Wschodowi przekonanie, że młodzieńcza Europa posiada instytucye polityczne i społeczne, które bardziej licują z godnością i prawami ludzkości, przyjaźniejsze są dla postępu i cywilizacyi — aniżeli stare pojęcia i zasady, w ciągu tysięcy lat służące za podstawę stanu rzeczy w Azyi. Przymus zaś ten, ta nauka przemocą narzucana, rozpocząć się mogły naturalnie dopiero od chwili, kiedy Europa, wzmógłszy się sama na siłach, znalazła dostateczne środki do rozszerzenia wpływów duchowych i materyalnych poza ciasne swoje granice. Odtąd każdy tedy krok Europy, świadomie czy nieświadomie w Azyi robiony, pozostawiał za sobą posiew lepszej przyszłości. Postępowanie Europy było bez zaprzeczenia gwałtowne, ale i dobroczynne niemniej przeto. A więc — w Indyach upadło panowanie Wielkiego Mogoła, Persyę zmusiły do rozwagi bagnety, grożące od strony Kaukazu, a Turcya surowo popchnięta została na

ławę szkolną. Uczyć się — oto hasło, które tedy zabrzmiało wszędzie; wszędzie też dojrzało postanowienie przedsięwzięcia reform radykalnych i przyswojenia sobie ducha europejskiego. Lecz że przymusowa nauka nie przynosi pożądanych korzyści, jakkolwiek jest zwykle pierwszym, niezbędnym początkiem wszelkiego postępu — rzecz niewątpliwa.

Niepospolicie zajmujący i żywy roztacza się dalej (ust. V) w dziele Vambery'ego obraz reform, dokonanych i dokonywanych na muzułmańskim Wschodzie — obraz, pełen malowniczości i humoru, dowcipu i głębokich postrzeżeń, jakie tylko gruntowna znajomość przedmiotu i jasne pojmowanie istoty bytu wschodniego wywołać mogły. Uwzględnia tu autor przedewszystkiem Turcyę. Nieszczęsne to było, woła on, zrządzenie dla ludów Wschodu, że pierwszy krok ku reformom postawiły na gruncie wojskowości. Nieokrzesanym ludom imponowała po wsze czasy brutalna siła i przemoc. Prócz tego zabawka w żołnierzy, bogactwo barw europejskich mundurów — podbudzały i dziecinną wyobraźnię wschodnich reformatorów. Wreszcie żywiono tu przekonanie, że przewaga Zachodu polega na armiach regularnych. O postępach więc na polu ogólnej oświaty, o europejskich urządzeniach społecznych i politycznych nikt początkowo nie chciał myśleć — i nie mógł myśleć, — bo jakimże sposobem lud prawowierny miał posiąść tę cywilizacyę, która obywała się bez owego wzoru wszelkiej mądrości — bez „koranu". Pobawiwszy się jakiś czas cackiem zachodniej wojskowości, ludy wschodnie przystąpiły wszakże zwolna i jakby z musu do reform i w politycznem gospodarstwie. Z inicyatywą na tem polu również wystąpiła Turcya. Następnie zaszły z konieczności pewne zmiany w stosunkach społecznych, w ubiorze i w trybie życia mieszkańców Wschodu. Całość przecie pierwotnych tych reform przedstawia się jedynie, powiada bystry postrzegacz, w postaci cienkiej warstewki, powlekającej powierzchownie treść wschodniego życia. Nigdzie bowiem i w żadnych okolicz-

nościach pierwsze reformatorskie tchnienie głębiej przeniknąć nie mogło. Dziecinne naśladowanie europejskiej wojskowości i cywilnych urzędów rzeczywiście ani nie nadało państwu siły wojskowej, ani też przyniosło wewnętrznemu zarządowi użytku prawdziwego. Wiele rzeczy przeobrażonych niby idzie dotąd po dawnemu. Jednostki też, przyjąwszy strój europejski i niektóre europejskie zwyczaje, równie powolnym krokiem zbliżają się do właściwych reform i rzeczywistego przekształcenia dawnego stanu rzeczy. Najlepszą charakterystyką tego stosunku jest ta okoliczność, że wszelkie domowe reformy i pozorne zmiany w obyczajach miały przystęp wyłącznie do mężczyzny i dokonać się mogły tylko w „selamłyku", to jest w części domu jedynie dostępnej dla obcych, zewnętrznych wpływów. Kobieta i jej siedziba — harem — zachowały dotychczas dawny, pierwotnie wschodni charakter, mimo wszelkie zmiany, trwające już od pół wieku. Dopóki wszakże, uważa dalej węgierski podróżnik, przekonanie o wyższości zachodniej cywilizacyi, o potrzebie przyswojenia sobie nowych pojęć nie wniknie do samego wnętrza życia rodzinnego mahomatan, to jest do haremu, — dopóty o wszelkich usiłowaniach na tem polu będzie można powiedzieć to tylko, że podobne one są do zasadzonego na lotnym piasku drzewa, które obali się i zmarnieje pod najlżejszym podmuchem wiatru.

Obrazowiej jeszcze i bardziej humorystycznie a z jednostajnie głęboką znajomością rzeczy i trzeźwym na nie poglądem przedstawia Vambery drogi, jakiemi przychodzą reformy (ust. VI). W barwnej, bogatej urozmaiceniem, panoramie przesuwają się tu przed naszemi oczyma: tureccy dyplomaci przy dworach europejskich i na salonach świetnych stolic Zachodu; młodzież stambulska, wysyłana na naukę do kolegiów zagranicznych i używająca tam życia, zwykle ze szkodą własną i kraju; następnie mamy i ciocie, spotykające swych ulubieńców, wracających od giaurów; potem Europejczycy — cywilizatorowie, przebywający na Wscho-

dzie, jako dyplomaci, nauczyciele i wszelkiego rodzaju przemyślni wyzyskiwacze; nieszkodliwi wcale islamizmowi, chrześcijańscy misyonarze nareszcie. Wszystko zaś typowe, ciekawe, mistrzowską ręką przesuwane. Nikt może lepiej pod tym względem Wschodu nie odsłania. Oto wracający od Franków z nauki młodzi reformatorowie zwykle ulegają potem sami wpływowi domowego otoczenia; co gorzej, często nawet taki wychowaniec wyższych zakładów stolic zachodnich staje się pod wpływem okoliczności nietylko prawdziwym Turkiem, ale fanatycznym, nieprzyjaźnie dla Europy usposobionym mahometaninem, nienawidzącym Zachodu i w skrytości bez porównania niebezpieczniejszym dla kultury onego, aniżeli pierwotne, prawowierne dziecię Wschodu, które zawsze zdala stało od cywilizacyi. Wyjątków oczywiście nie brak, ale tych usiłowania były dotąd bezskuteczne prawie — co przecie jeszcze nie dowodzi wcale, jak sądzi wyobraziciel przeciwnego obozu, autor artykułu o „Cywilizacyi tureckiej" (Sm., ust. VII), aby społeczność muzułmańska miała być z gruntu niepoprawna. Co się zaś tyczy Europejczyków, działających w dobrej woli na Wschodzie — tym stawały na zawadzie nietylko apatya i dziki konserwatyzm miejscowy, ale i własne ich niedostateczne przygotowanie. Znali oni zwykle Wschód powierzchownie tylko, lecz nie zgłębili ducha cywilizacyi ludów, u których odgrywali rolę mentorów. Reformatorska ich działalność więc nie mogła pozostawić po sobie głębszych śladów. Nigdy też oni dostatecznie nie rozważyli, a może nawet rozważyć nie mogli, olbrzymiej różnicy pomiędzy chrześcijańsko-zachodnią a mahometańsko-wschodnią cywilizacyą. Dlatego wszelkie ich usiłowania musnęły tylko powierzchnię, wywołały zaledwie ciche, słabe falowanie; a tymczasem właściwy rdzeń spoczywał w starej, wieki, a może tysiące lat trwającej, zgniliźnie. W ostatecznym jednak wyniku — jak z wielką przecie słusznością sądzi zawsze przyjazny Wschodowi ex-derwisz — wina niepowodzenia ciąży nietyle na

Azyatach i na wysłanych do nich Europejczykach, ile na tych rządach zachodnich, które, bądź z pobudek politycznych, bądź ze względów humanitarnych, wywiesiwszy sztandar odrodzenia Wschodu, występują i chcą występować we wszystkich krajach Azyi w roli odnowicieli.

Smutny zatem, bardzo smutny obraz rozwija dalej Vambery, dotykając śmiałą, pewną dłonią istoty samej wewnętrznego stanu państw na Wschodzie (ust. VII). Rzeczywiste położenie obecne Turcyi określa on wyczerpująco jednem orzeczeniem: wszystek świat wie o tem dobrze, że Turcya jest dziś na łaskawym chlebie u zasady całości Ottomańskiego imperyum. „Wysoka Porta" wraz z „wysokim progiem szczęśliwości" jest nikłym cieniem, który dlatego tylko ma przyznane sobie istnienie, że około miejsca, które zajmuje, sroży się dzika zawiść, uniemożebniająca na długo jeszcze rozstrzygnięcie losów cienia. Reformy dotychczas w życie nad Bosforem wprowadzane mało znaczenia na zewnątrz Turcyi dodały. Mniej jeszcze, niestety, wewnątrz przyniosły korzyści; bo jeżeli Wysoka Porta, w ostatnich dziesięciu latach, oblekła się po wierzchu jakimś pokostem i miejscami napozór blask jakiś zachowała — to wewnątrz niej zgnilizna jeszcze wyraźniej się przedstawia. Na bardziej smutną charakterystykę nie zdobyłby się i autor artykułu o „Cywilizacyi tureckiej". Istotnie bowiem zasada centralizacyi, wprowadzona przez sułtana Mahmuda, wskutek której wszystkie soki żywotne, wszystkie siły zbiegły się z prowincyi do stolicy, ażeby tam paść ofiarą stugłowej hydry zbytku i marnotrawstwa, — działała w Turcyi tak zabójczo, jak w żadnem innem państwie na świecie. Wszędzie też widzieć się dają groźne ruiny tego reformacyjnego „Tanzimatu", który wywołał gwałtowny przewrót, chcąc jednym zamachem zmienić kraj wschodu słońca na kraj zachodu. Łatwo więc pojąć, że taki niepohamowany popęd wszystko z dawnej wytrącił kolei. Oczywiście zatem, że i rząd, który taki stan rzeczy wywołał i popiera go ciągle mimo widocznie

zgubne następstwa, nie może się cieszyć sympatyą, ani poważaniem. Nie było też na owym Wschodzie, gdzie osobistość panującego tak przeważną zawsze odgrywa rolę — i być nie mogło nawet, dodaje Vambery, ani jednego monarchy, nawskroś przeniknionego ideami postępu i przygotowanego do nich stosownem wykształceniem umysłowem. Nie był takim sułtan Mahmud II, a tem mniej który z jego następców. Nie był takim zarówno i Mehmed-Ali, twórca nowoczesnego Egiptu. Brakowało odpowiedniej siły moralnej a dostatecznej wiedzy i słynnym dostojnikom postępowcom, jak Reszyd, Ali i Fuad baszowie. Jedynym człowiekiem Wschodu, który dorósł zadania, był minister perski Mirza Taki Chan („Emiri Kebiri Nizam" zwany); lecz ten musiał śmiałą swą działalność własnem opłacić życiem.

Podobne rozprzężenie, jakie istnieje u góry — w państwie, daje się dostrzegać i w rodzinie na Wschodzie; niemniej, jak podobnaż chwiejność i niestanowczość — w jednostkach. W żywych, wybitnych rysach maluje nam to Vambery (ust. VIII), dotyka tego niemniej poważnie z okoliczności nowoczesnego społecznego ruchu w Persyi i Gobineau (ust. XII). Przepaść między haremem i selamłykiem równie jest widoczna dla oka badaczy, jak różnica między reformami, dotykającemi tylko zewnętrznej powłoki organizmu państwowego, a jądrem wewnętrznem, chorującem na zastarzałe nadużycia. Dla zatwardziałych zachowawców harem stał się jedynem spokojnem schronieniem; za to poważni nowatorowie, tak społeczno-polityczni, jak i społeczno-religijni, uważają go za największy na drodze postępu hamulec. Reformy wprowadzone w selamłyku napotykają w haremie albo taktykę umyślnej nieświadomości, albo zawzięty fanatyzm, który je tępi ze szczętem. Płeć niewieścia, stojąc zdala od wszelkiego ze światem zewnętrznym zetknięcia, surowiej jeszcze aniżeli mężczyźni przestrzega kierunku zachowawczego. To zaś, co kobiety perskie i tureckie, wyższego

świata, ustępując naciskowi mody, od Zachodu zapożyczyły, więcej szkody, aniżeli korzyści przyniosło. Z drugiej strony przedsięwzięte przeobrażenie radykalne stosunków społecznych, rodzinnych i towarzyskich przez słynną reformę religijną Babytów w Iranie, pozostało również dotąd bez szerokiego wpływu na masy. A wiadomo, że nauka ta wzięła sobie za zadanie podnieść osobistość i znaczenie istotne kobiety: znosząc wielożeństwo, życie haremowe, zasłonę oblicza i bezecnie lekkomyślne wśród szyitów rozwody. Obok tego powszechne jest rozprzężenie finansowe w gospodarstwie domowem możnych rodzin — podobne do znanego nieładu finansów w państwie. Niemniej też źle zrozumiane miłosierdzie najszkodliwsze w obu sferach pociąga za sobą następstwa; nakłada ono bowiem na głowę rodziny zbyt ciężkie obowiązki ludzkości — względem uboższych i próżniaków nawet. Miłosierdzie zaś mahometańskie, „Merhameti Islam" — jest, jak powiada tu ex-islamita, według pojęcia synów Wschodu, ową promienną cnotą, która przyświeca obyczajom wyłącznie muzułmańskiego świata. Na Zachodzie chrześcijańskim (twierdzą muzułmanie) kieruje wszystkiem ślepe samolubstwo; z twardej opoki serc chrześcijańskich słońce miłosierdzia nie zdolne jest wyprowadzić najdrobniejszej trawki dobrego uczynku. Dalej postrzegać się też daje ciągłe słabnięcie poszanowania — ile w państwie dla zwierzchników, tyle w ognisku domowem dla głowy rodziny. Sławiona owa patryarchalna powaga, którą pater familias nakazywał dawniej kobietom w haremie, dzieciom i służebnej czeladzi, jest dziś tylko pozorna i na formalnościach oparta. Odrębne zaś życie obu płci utrzymuje stale wyodrębnianie zobopólnych interesów. W rodzinnym stosunku brakuje ożywczego ciepła harmonii. — Największą atoli klęską, wynikającą z rozdziału pożycia obu płci, jest brak towarzyskości, a z nią razem i przyzwoitości towarzyskiej. Niesłuszne atoli, zapewnia Vambery, byłoby twier-

dzenie, że ukształceni islamici nie wiedzą o tej smutnej stronie swoich obyczajów. Owszem, robiono już nawet niejednokrotne próby podniesienia kobiety przez wychowanie i zmiany dotychczasowych na łonie rodziny stosunków; ale próby te, bez odpowiedniej stanowczości dokonywane, oczywiście zostały dotąd bez skutków prawie. Brak ten stanowczości, wieczne wahanie się w wyborze nowych zasad jest obecnie, niestety, cechą powszechną postępowych muzułmanów. Nie mają oni prawdziwego zapału. Czy wszakże ujemna ta ich strona jest wogóle skutkiem braku energii, której sama natura niby odmówiła dzieciom Wschodu — jest rzeczą bardzo wątpliwą. Kiedy bowiem chodziło o pojęcia zgodne z duchem ich narodowym—mieszkańcy Wschodu występowali zawsze, i do dziś dnia są w stanie wystąpić, z dostateczną ilością zapału, okazując chłód i obojętność dla wszystkiego, co z ducha im obce i mniej dla nich dostępne!

Obecny stan oświaty Wschodu muzułmańskiego, o ile takowy wyraża się w szkołach, wykształceniu i literaturze — pomimo wszelkie dotychczasowe próby krzewienia tam kultury zachodniej, przedstawia, wobec dzisiejszych naszych wymagań, widok wcale nie pocieszający. Przyświadczyć temu musi każdy, kto tylko choć nieco bliżej dotknął Wschodu. Co się tyczy zaś wyjątkowiej Turcyi, pod tym względem autor artykułu o „Cywilizacyi tureckiej" postawił był sobie nawet, przed rokiem, za szczególne zadanie zgłębienie tej przedewszystkiem strony wewnętrznego życia Osmanów w bieżącej chwili. Zna też tę stronę życia wśród ludów wschodnich gruntownie, dokładnie i znakomity węgierski podróżnik; zna ją niemniej, osobliwie co się tyczy umysłowego i wogóle duchowego ważenia się w Iranie, i głęboki oryentalista francuski. Najbardziej uderzającym dowodem smutnego zachowania się Wschodu jest powszechne zaniedbanie szkół i pozostawienie odłogiem pola, na którem jedynie można było dokonać zasiewu lepszej przy-

szłości. Tem więcej zaś jest to godne potępienia, że wogóle w Azyi mahometańskiej nigdy nie brakowało naukowych zakładów; i dziś nawet dane liczebne co do tego o wiele są pomyślniejsze, aniżeli nawet w niektórych częściach Europy. Wszędzie bowiem, po wszystkich krainach świata muzułmańskiego, spotkać można i w obecnej chwili, w najmniejszej wiosce, jakiś „Mekteb", w którym „chodża", często z jałmużny utrzymywany, udziela chciwej nauki młodzi płci obojej — pierwszych zasad czytania, pisania i rachunku. Wprawdzie nauka tam ogranicza się po większej części na wprawie w czytaniu koranu; niemniej przecie szkółki jako fakt istnieją i powinnyby na się zwrócić baczniejszą uwagę rządów. Milutki swą niezwykłą oryginalnością obrazek podobnej szkoły elementarnej, „Mektebe subjan", przedstawia nam p. Smirnow (ust. III) w swych wspomnieniach Konstantynopola: widać z niego, że istnieje tam nawet grunt, na którym na przyszłość budować można. Zdawałoby się, że, ze względu na ścisłe węzły, łączące szkoły z kościołem, państwo nigdy nie odważy się targnąć na nie ręką reformatorską. Tak przecie nie jest — słusznie powiada Vambery (ust. IX). Mimo szorstką swą bowiem naturę i dziki konserwatyzm, islam okazywał w zamierzchłej już przeszłości dość elastyczne usposobienie. W Egipcie też i w Turcyi zabierano się już kilkakroć do zreformowania szkół; ale każdy krok, zrobiony w tym kierunku, tak był niezręczny, tak jasno dowodził, iż sami reformatorowie wątpili o doniosłości szkoły, że zaraz z początku przewidzieć można było niepodobieństwo powodzenia. Wreszcie dosyć jest rzucić okiem na organizacyę zakładów, powstałych ostatnimi czasy w Stambule, skutkiem głośnej reformy Gulhańskiej, i na uzdolnienie ich nauczycieli, ażeby się przekonać, że rezultat tych usiłowań musiał być marny — i że cała reforma była śmiesznem mamidłem, obliczonem, jak wiele podobnych tam instytucyi nowożytnych, na okłamanie opinii publicznej w Europie. Autor artykułu o „Cywilizacyi turec-

kiej", który miał zręczność w roku przeszłym poznania bliżej w stolicy Ottomanów zakładów naukowych różnego stopnia, od przygotowawczych Mekteb'ów aż do najwyższego Dar-ul-Funum—„domu nauk", zakrawającego niby na oryentalny uniwersytet, — daje nam bardzo ujemne wyobrażenie o stanie w nich nauk i metodzie wykładów (Sm., ust. II i III). O duchownych starego trybu „Medresse" przy meczetach niema co wspominać. Wogóle więc śmiało można powiedzieć, że Turcy w sprawch właściwej oświaty stoją aż dotąd na tym jeszcze punkcie, na którym myśmy stali mniej-więcej przed dwustu laty. Wszelkie doraźne, szczere nawet niekiedy usiłowania rządu, skierowane ku rzetelnej reformie szkół, pozostały prawie bezskutecznemi. Wszakże w sferach prywatnych, jak zapewnia dawny „chodża", dokonał się w ciągu ostatnich dwudziestu lat niejeden fakt, świadczący o pewnym postępie umysłowym i dowodzący, że potężna fala życia duchowego Zachodu dotyka już zlekka i wybrzeży Bosforu. Należy przyznać nawet, że właściwie Osmanom na dobrych chęciach nie zbywa — mimo całej surowości sądu, jaki pod tym względem wydaje północny oryentalista. Najnowsze też publikacye mają świadczyć o wewnętrznem wrzeniu umysłowem, o świtaniu zdrowszych poglądów. Tacy wreszcie ludzie, jak Achmed Wefik, Derwisz pasza, Munif ef., Midhat pasza, Achmed Tewfik-bej i inni, mogliby, jak zapewnia Vambery, przynieść zaszczyt każdemu narodowi, miłującemu oświatę. Nadto pamiętać należy, że nie tak łatwo wprowadzić nową cywilizacyę na miejsce prastarej, która już tysiące lat, jako samoistna kultura Wschodu, przetrwała — jak też niemniej, że przepaść duchowa, dzieląca poglądy starej Azyi od poglądów młodej Europy, niewymownie utrudnia ten proces. Najsmutniejsze atoli światło rzuca na stan obecny cywilizacyi mahometańskiej Turcyi zaniedbanie własnej ściśle naukowej literatury z minionej przeszłości. Co do Iranu, stan obecny kultury onego przedstawia wprawdzie nieco odmienne, ale

nie pomyślniejsze wcale, stosunki. Służy ona za pośredniczkę między wschodnim, to jest zgoła niezmienionym, islamem a zachodnim — przeniknionym już europejskimi wpływami. Szkoły, ukształcenie i literatura w Persyi ożywione są jeszcze tchnieniem, wiejącem od epoki Abbasydów, — a jakkolwiek stara ta kultura ani na krok nie postąpiła w ciągu sześciu wieków, niewiele się też i wstecz cofnęła. Ilość ludzi piśmiennych jest tu znaczniejsza, aniżeli w państwie Ottomańskiem. Zajęcie się literaturą narodową równie silne, jeśli nie silniejsze, w Persyi, jak w niejednym ucywilizowanym kraju Europy. Umysły żyją, naturalnie, tylko dawną strawą, bo nowej nikt nie tworzy; niemniej wszakże ta ruchliwość literacka, która się nigdy nie ujawniła w wyższych sferach społeczności tureckiej, dostatecznie upoważnia do twierdzenia, powiada Vambery, że na polu działalności duchowej Pers wyżej stoi od swego współwyznawcy w Azyi, i pozwala żywić najpiękniejsze nadzieje w razie, gdyby jakiś reformator, unikając smutnych błędów tureckich statystów, ten właśnie grunt według wartości ocenić potrafił. Wysokie tradycyjno-narodowe wykształcenie nie jest nadto w Persyi udziałem mężczyzn jedynie; znakomita apostołka Babyzmu, cudnej piękności Gurret-ul-Ajn, świadczy, że i kobiety — zdolnego niepospolicie — irańskiego rodu, umieją się wznosić na wyżynę wiedzy niełatwo gdzieindziej dla nich dostępnej (p. Gobineau, ust. VI). Zapał dla przeszłości piśmienniczej ma jednak w Persyi i swoje też szkodliwe następstwa: Pers bowiem, olśniony blaskiem dawno zaszłego słońca, nie chce widzieć świtania nowowschodzącej jutrzenki. O ile też od trzeźwego na rzeczy poglądu wstrzymuje Turka fanatyzm i apatya, — o tyle Persa zarozumiałość i duma narodowa. Na drodze reform wszakże Persya została daleko poza swoim zachodnim sąsiadem; nie pod względem zdolności atoli, lecz dokonanego postępu; co przecie wynagradza sobie ona wiernem przechowywaniem prastarej wschodniej cywilizacyi i uniknięciem klęsk okresu przejściowego.

Azyę zaś środkową, jak powiada śmiały podróżnik, co w jej głębie dotarł, okrywa w całem znaczeniu czarna pomroka; mamy tam bowiem przed sobą wcielenie ośmiowiekowej przeszłości — ten mianowicie okres z życia islamu, kiedy myśl omdlała była pod uciskiem, a czarny szatan bigoteryi i fanatyzmu wszystko pogrążył w ciemności i ducha na uwięzi zatrzymał. Liczba szkół wszakże większa jest w Turkiestanie, niż w Persyi.

Co do przemysłu i handlu muzułmańskiej Azyi — dosyć o tem wogóle powiedzieć, że ustępują one wszędy coraz bardziej kroku przedsiębiorczości europejskiej (Vamb., ust. X).

Następnie, idąc ściśle za Vamberym (ust. XI), musimy z kolei postawić wobec siebie, jako takie, Wschód i Zachód. Przedewszystkiem atoli trzeba tu pamiętać, że państwo, zarówno jak społeczność w Azyi muzułmańskiej, dążąc do przyswojenia sobie ducha panującego na Zachodzie, bądź z powodu ciągłego parcia Europy, bądź też wskutek kierunku myślenia, właściwego tylko społeczeństwom, zostającym w stanie dzieciństwa, najczęściej zbytnim grzeszyły pośpiechem, i gmach od szczytu zamiast od podstaw budować zaczynały. Przy wszystkich reformach, czy to w wojskowości lub w ustroju państwowym, czy w stosunkach społecznych albo w sferach życia umysłowego, czy nareszcie w handlu i przemyśle — wszędzie na pierwszy rzut oka uderza nas ta okoliczność, że reformator, równie jak ci, którzy mieli być reformowanymi, nie mieli świadomości głównych zasad obu cywilizacyi; i że tak jedna, jak druga strona nie uwzględniała tej przepaści, jaka istnieje między światem wschodu słońca a światem jego zachodu, oraz między fizycznemi i moralnemi właściwościami stron tych mieszkańców. Jestże coś naturalniejszego nad to, pyta głęboki postrzegacz wschodniego życia, że człowiek, którego zajmuje tylko szata zewnętrzna, powierzchowny blask jakiejś rzeczy, przyjmując cywilizacyę naszą, uczuł się bardziej formą aniżeli treścią

pociągnięty i chętniej zwrócił się do zabawy, niż do poważnego myślenia? Nadto, jakimże sposobem mogły się zakorzenić pewne instytucye i obyczaje tam, gdzie klimat, ziemia i przeszłość dziejowa stworzyły odmiennego od nas człowieka pod względem psychologicznym i antropologicznym? Różnica zaś powyższa między człowiekiem a człowiekiem zbyt wielką tu odegrywa rolę i jest źródłem tysiącznych odrębności i odcieni w ogólnym obrazie działalności ludzkiej.

Dotykając zaś bliżej wybitniejszych rysów, odróżniających charakter Azyaty od charakteru Europejczyka, musimy zacząć od jego osławionej obojętności i gnuśności. Wszelkie też zarzuty, ściągające się do tej ujemnej strony Azyaty, rzadko są przesadzone: z poza posępnej ciemnoty fatalizmu bowiem nie przyświeca mu gwiazda powodzenia, nie przebłyskuje najsłabszy promyk krzepiącej nadziei. Myliłby się wszakże każdy, ostrzega dalej węgierski oryentalista, ktoby sądził, że cień ten, ta pomroka, jako płód islamizmu, jedynie muzułmaninowi uszczerbek przynosi. Bramin czy też buddysta, żyd czy chrześcijanin, gwebr czy szaman — wszystkie ludy azyatyckie — ponoszą skutki tej filozofii, której główną kolebką jest stara Indya i która, w miarę tego jak głębiej na Wschód posuwać się będziemy, w coraz wyraźniejszych występuje rysach. Co zaś do islamu — ów prototyp fatalizmu w oczach Europejczyka przyznał owszem swoim wyznawcom pewną „Iradei dżuzie" (maluczką wolę); ale ustępstwo to zupełnie jest bezskuteczne. Osławione bowiem fatalistyczne tureckie „bakałym"! (zobaczymy) jest, bądź-co-bądź, wynikiem tyle przyrodzonych, ile społecznych warunków. Nie może też być większej różnicy nad tę, jaka istnieje między dwiema zasadami, z których jedną Europa nowożytna wyraża w zdaniu: „Time is money", a drugą muzułmanin — w aforyzmach: „El adżet min esz szejtan" (pośpiech jest dziełem dyabelskiem) i „Et teenni min er raaman" (zwłoka jest dziełem Boga), nie pozwalających Azya-

tom rozumienia wartości i ceny czasu. — Dalej rysem daleko wyraźniej ujawniającym się u Azyatów, aniżeli u mieszkańców Zachodu — jest sztywny ich konserwatyzm i uparte przywiązanie do wszystkiego, co stanowi tradycyę, nie z poszanowania przeszłości wszakże, lecz wprost przez gnuśność ducha i nałóg. Nie jest Azyata pozbawiony wyższych zdolności: owszem, siły jego umysłowe, jak utrzymuje Vambery, są wogóle większe, aniżeli u mieszkańców Zachodu, lecz do właściwego zużytkowania tej iskry bożej brak mu wytrwałości i powagi — skutkiem czego pozostaje on stale w stadyum dziecinnego niejako wieku. Pozostawanie zaś podobne w dzieciństwie najlepiej się u Azyaty wyraża w ciągłem gonieniu za wszystkiem, co ekscentryczne, jaskrawe, nadzwyczajne, fantastyczne i nadprzyrodzone. Znakomicie określił istotę ową „geniuszu azyatyckiego", w ustępie (I) o charakterze moralnym i religijnym Azyatów, hr. Gobineau; z tą wszakże różnicą, iż widzi on w geniuszu tym nie pewne psychiczne stadyum tylko, lecz coś bardziej niewzruszonego. Co do nastroju umysłowego Azyatów wogóle — posiadają oni, powiada, pomiędzy innem, ten nieprześcigniony znawca środkowej Azyi, niepospolity zapał i łatwość intuicyi najbystrzejszej w świecie; oni są jedyni — by rozszczepić, jak to mówią, włosek na czworo i z cząstek tych zbudować potem most, coby powóz uniósł; dopatrzą też przedmiot rozmyślań bezgranicznych, i nie bez wartości, w pojęciu najdrobiazgowszem. Lecz to pewne zarówno, że ta władza moralna, którą my nazywamy zdrowym rozsądkiem a która, mówiąc nawiasem, prawie również często nas przygniata jak prowadzi, nie znajduje się u nich w równowadze z ich potęgą wyobraźni i bystrością objęcia; prawdę nawet mówiąc, zdrowego rozsądku im brakuje; nie widać też ani śladu onego w sprawach ich wogóle — bez względu wcale, jakiegoby one były rodzaju. Wszystko to, co ich ku temu prowadzi i popycha, jest dla nich wogóle wstrętne. Całe ich życie upływa bez zrobienia

prawie jakiegokolwiek użytku ze zdrowego rozsądku. Wielkie rzeczy za to, zwykle rzadkie wszędzie, są dla nich wszakże, kończy oryentalista francuski, bardziej dostępne i bardziej swojskie, aniżeli rzeczy rozsądku. — Wszystkie też namiętności i popędy uczuciowe Azyaty przeniknione są fantastycznym duchem. W religii, naprzykład, nie zadowala się mieszkaniec Wschodu, jak słusznie dalej uważa Vambery, czczeniem, sławieniem i wielbieniem Boga; ale musi się on do tego stopnia zagłębić w rozmyślaniu nad jego wielkością i wszechmocą, że, pragnąc stopniowo zbliżyć się do doskonałości boskiej, pozbywa się sam natury ludzkiej — przestaje być człowiekiem. Taki jest ten początek prób dojścia do bliższego poznania Boga za pomocą umartwień ciała. Przesada podobna opiera się jedynie na podnieconej wyobraźni, na spaczonym i nienaturalnym kierunku myślenia; nic więc dziwnego, że nadrabianie pozorami i obłuda częściej tu się przytrafiają, aniżeli prawdziwe uczucie religijne. Tu szukać równie należy właściwej przyczyny hypokryzyi, fanatyzmu i formalizmu, który niesłusznie przypisywany bywa wyłącznie mahometanom — bo jest właściwością nie tylko islamizmu, ale wszystkich wogóle religii w Azyi. Tak samo dzieje się też i z uczuciami miłości. Europejczyka rozgrzewa ta namiętność, rozpala i wstrząsa — dla Azyaty jest to bezdenne płomieniste morze, w które rzuca się on po to tylko, aby w niem spłonąć. Inne też są jego pojęcia estetyczne i sąd o cnotach i występkach. Niema rzeczy, na którąby u siebie prawowierni z większą wskazywali dumą, jak poczucie moralne i troskliwość w przestrzeganiu przystojności — decorum. Europejczycy, w ich rozumieniu, stoją nieskończenie nizko pod tym względem. Przesadne wszakże to pojmowanie przyzwoitości było powodem tak utworzenia haremu, jak i niezliczonych ekscentryczności w obyczajach i zwyczajach. Nie islam zaś wywołał życie haremowe i wszystkie onego smutne następstwa: jest to instytucya wspólna wszystkim ludom i wyznaniom

Azyi; nawet chrześcijaństwo wschodnie, ze swoją czcią Maryi i Magdaleny, równie silnie, jak on, trzyma się porządków haremowych. Co do drażliwości wygórowanej Turków na punkcie decorum, autor art. o „Cywilizacyi tureckiej" przytacza wielce charakterystyczną anegdotę — jak go raz z poważnem powątpiewaniem dopytywano: czy też to może być prawdą, że w Rosyi jest zwyczaj kąpania się w łaźni bez zasłon? — a gdy on to spokojnie potwierdził, przytomni tak zgorszeni byli na myśl samą, że rzucili mu tylko ze zgrozą wykrzykniki: „isłam, o indźa szej dyr!" — islam — oto nauka niezrównana! (Sm., ust. VII). Wielce też odmienne od naszych są poczucia estetyczne Azyaty. Wogóle, jak w świecie barw podoba mu się najlepiej to wszystko, co olśniewa i drażni, tak w opisach zajmują go najbardziej takie tylko czyny, takie myśli, które z kolei powszedniości, ze zwykłego prawidłowego przebiegu rzeczy wpadają w sferę najdzikszej fantazyi. Mieszkaniec Wschodu jest zawsze człowiekiem poezyi; z tego powodu nie może on nigdy pojąć prozaicznie realnego kierunku naszych na świat poglądów, a tem mniej jeszcze umysł swój wdrożyć w nie zdoła. Widzimy też go — z jednej strony z dziecięcemi narowami, z drugiej — z właściwościami starca, który wszelką już utracił nadzieję: dlatego też brakuje mu całkowicie dojrzałości życiowej, odpowiedniej wiekowi męskiemu. Taki zaś chorobliwy stan umysłu staje się oczywiście źródłem innych w nim wad i ułomności. Budzi on przedewszystkiem uczucie fałszywego miłosierdzia, źle zrozumianej litości, przez co rodzi błąd, podkopujący wszelką chęć do pracy i pociągający za sobą w Azyi muzułmańskiej nieskończone mnóstwo innych klęsk, jedną z których jest tu żebractwo, podźwignięte nawet do godności poważnego zawodu. Z równą pobłażliwością zwykł Azyata traktować inne moralne zboczenia, jak kłamstwo, obłudę, oszustwo; uznaje on je nawet, za świadectwem tak Vambery'ego, jak i hr. Gobineau, za force majeure ducha ludzkiego, a w postaci „Takieh" czy „Ketman"

osłania je uznaniem religijnem. Nie są to przecie ujemne strony islamu jedynie, lecz Azyi wogóle: znajdujemy je zarówno w buddyzmie, bramanizmie, a nawet w chrześcijaństwie. I tak we wszystkiem i wszędzie, w wielkich i w małych rzeczach, w ogóle i w szczegółach, istnieje różnica niezmierna między Wschodem i Zachodem. Każdy rozdział, każdy punkt naszej psychologii uledzby musiał, zapewnia nas ex-chodża, zupełnemu przeistoczeniu, gdybyśmy zawarte w nich zasady stosować chcieli do Azyaty. Wprawdzie siła wewnętrzna naporu ze strony Europy wywołała już w istocie azyatyzmu zmiany nie bez pewnej doniosłości, odmieniła nieco łożysko tysiące lat toczących się prądów myśli, i w przyszłości bardziej je jeszcze napewno odmieni; ale nigdy nie zdoła przecie całkiem nowego wyżłobić. Nic zadziwiającego tedy, że wobec powyższych danych etnologicznych dotychczasowe usiłowania Zachodu tak zacięty spotykały opór; że i nadal bez wątpienia walka potrwa jeszcze bardzo długo!

Niepospolitej doniosłości, mocy i prawdy bezwzględnej jest w dziele Vambery'ego ustęp (XII) pod tytułem „Islamizm i Chrześcijaństwo". Śmiało a spokojnie stawia on tu wobec siebie wzajem dwa te potężne kulty religijne i dwie tak różne cywilizacye — i każe im samym świadczyć o sobie. Widać tu człowieka, co życiem własnem należy, zarówno prawie, do tych obydwóch cywilizacyi, a niezależnie od tego, stoi i staje nieco opodal, dla tem większej przedmiotowości sądu. Sąd zaś ten przedstawia się nam jako wynik gruntownych badań — tyle ze stanowiska etnologii i historyi, ile też teozofii nawet. Jako głośne, szczere wyznanie tak głębokiego znawcy wschodniego życia, sąd ten zatem, nieodzownie, choć li tylko w treści onego bardziej zwartej, znać nam trzeba. — Wysłuchajmyż go.

Islam nie jest bynajmniej jedynym twórcą społecznego bytu, ani cywilizacyjnych warunków dzisiejszego muzułmańskiego społeczeństwa, nie można zatem uważać go za jedyną przyczynę upadku i rozkładu, zatruwającego najgłębsze źró-

dla życia we wszystkich częściach Azyi mahometańskiej. Nauka Mahometa, podobnie jak nauki innych twórców religii azyatyckich, nadała tylko zwyczajom i obyczajom, pozornie rozgraniczonym klimatycznemi i etnologicznemi właściwościami, a w gruncie niewiele różniącym się między sobą, — ową jednolitą formę, która dziś przedstawia się oczom naszym w ogólnym obrazie mahometańskiego świata; obrazie, pojedyńcze wszakże rysy którego odkryć można bez wielkiej trudności u Azyatów inną wyznających wiarę — skoro tylko użyjemy odpowiednich temu porównawczych badań. Nie ulega wprawdzie wątpliwości, że buddyzm np., w podstawowych swoich zasadach, nigdy w tym stopniu nie zmierzał do celów świeckich, jak islam; ścisły związek idei państwowej z treścią wiary nigdy mu na myśl nie przyszedł, — i na tem właśnie polega ów specyalny charakter mahometanizmu, stanowiący z jednej strony siłę, z którą nauka proroka na widownię dziejów wystąpiła i z taką szybkością rozkrzewiła się w trzech częściach świata, — z drugiej strony tę słabość, która spowodowała właśnie i przyspieszyła proces rozkładu muzułmaństwa. Można słusznie twierdzić, że islamizm w chwili pierwszego zjawienia się swego, w zaraniu jeszcze żywota, podbił jednocześnie ducha i ciało — podczas gdy inne religie azyatyckie, a nawet i chrześcijaństwo, do dziedziny myśli zdążały, i w niej jedynie chciały przebywać. Niepodobna zatem zaprzeczyć, że wskutek tego zjednoczenia duchownych i świeckich interesów islam z natury swojej nie był zdolny do czysto humanitarnych dążności, które, choćby tylko w teoryi, są ozdobą buddyzmu i chrześcijaństwa; religia która w imieniu Boga nakazuje mordować przeciwników, a mordercom przyrzeka zbawienie duszy i rajskie nagrody, mogła wprawdzie łatwo osiągnąć swoje materyalne cele, ale nigdy zmierzać do prawdziwie humanitarnych żądań, ani do ogólnego uszczęśliwienia ludzkości. Ta właśnie polityczna, czyli świecka dążność islamizmu głównie sprawiła, że ludy muzułmańskie, wychowane w boju, podbu-

dzane do wiecznej wojny, z natury swojej niezdolne były wytworzyć owych stałych społecznych stosunków, które napotykamy w świecie buddyjskim. Dopóki islam mógł swój miecz, zahartowany w ogniu religii, zwracać na zewnątrz, dopóty szło jeszcze wszystko dość pomyślnie; ale kiedy przewaga wroga przeszkodziła mu w prowadzeniu tych świętych wojen za religię, namiętność do wojny szukała sobie strawy w granicach dzierżaw samego islamu. Stąd powstawały wielokrotne, nieprzerwane prawie przewroty wewnętrzne, które wstrząsały ciągle światem mahometańskim; stąd też powstała niemożność dojścia, bez narażenia się na niebezpieczeństwo z zewnątrz, do owej trwałości, którą odznacza się społeczność w buddyjskich Indyach i Chinach. Pomijając wszakże tę jedną okoliczność i jej następstwa, jednostka w krajach mahometańskich, pod względem pojedyńczych rysów charakterystyki, niewiele lub bardzo mało różnić się będzie od Azyatów, wyznających inne religie. Wszystkie błędy, ujemności, które zwykliśmy potępiać w rożnobarwnej mozaice ludów świata mahometańskiego, od środka Chin aż do Adryatyku, — uważając je za czynniki ich upadku, napotykamy również u ludów buddyjskich w innej może formie, lecz w tej samej treści. Zgodnie z naturalnym biegiem rzeczy, zakorzeniły się one głębiej jeszcze w dalszej Azyi i z powodu wydatności swojej niebezpieczniejsze są i trudniejsze do wytępienia. Podobne otrzymamy wyniki, gdy porównamy indywidualne przymioty muzułmanina z wybitnemi znamionami charakteru Azyaty, wyrosłego pod skrzydłem chrześcijaństwa — religii, powiada ex-derwisz, która, według szeroko rozpowszechnionego poglądu podróżników europejskich i myślicieli, uważana jest za środek do obudzenia w chorym Wschodzie nowych sił żywotnych.

Pominiemy tu zupełnie smutny rys niemoralności w obrazie życia chrześcijan azyatyckich — uważając chętnie za przyczynę tego stanu wiekowy ucisk, pod jakim pozo-

stawali oni od chwili pojawienia się islamizmu i jeszcze dawniej. Na usprawiedliwienie ich przytoczymy znaną zasadę: „wolność uszlachetnia, ucisk poniża"; jakkolwiek z drugiej strony okoliczność, że innych wyznań rajahowie uciśnieni nie tak głęboko upadli i że chrześcijanie azyatyccy, nawet w epoce swojej politycznej samoistności, grzęźli w podobnym kale niemoralności, — o wiele utrudnia to usprawiedliwienie. Na co wszakże winna być tu przedewszystkiem baczna zwrócona uwaga — to na namiętności, usposobienia i zapatrywania się chrześcijan azyatyckich, w których nie różnią się oni ani na włos od swoich mahometańskich sąsiadów, a nawet pod wielu względami tych ostatnich prześcigają. Któż naprzykład, pyta głęboki znawca duchowego życia Wschodu, zdoła zaprzeczyć, że fanatyzm, niepohamowana nienawiść do wyznawców innej wiary, głębiej zapuściły korzenie w piersiach Armeńczyków, Greków, Nestoryanów, Maronitów i Koptów, aniżeli nawet u mahometan, jakkolwiek nauka Chrystusa chlubi się z tego, że zasadę „kochaj bliźniego swego jak siebie samego" jaśniejącemi głoskami na sztandarze swoim wypisała? W tej namiętności zaś chrześcijanie posuwają się tak daleko, że dla drobnej różnicy w dogmacie lub obrządku gotowi są stanąć raczej po stronie muzułmanina, to jest wspólnego wroga chrześcijaństwa, aniżeli obok brata, wyznającego naukę Chrystusa, ale różniącego się w odcieniach sekciarskich — mniej więcej tak, jak szyici, w oczach których chrześcijanie i braminowie wyżej stoją, aniżeli sunniccy ich współwyznawcy. Jestże zresztą chrześcijanin w Azyi, pyta dalej Vambery, w mniejszym stopniu fatalistą, niż mahometanin? — a czyny i myśli — czyli u niego mniej są przesiąknięte ślepym zabobonem, ciemnymi przesądami, niż u wyznawców islamu? Dalej, co do życia społecznego chrześcijan: opieszałość, gnuśność duchowa, pokryta płaszczykiem konserwatyzmu, i wstręt do wszelkich reform, wprowadzanych pod wpływem zachodnim, a więc chrześcijańskim, silniejszę są jeszcze u nich, aniżeli

u mahometan; najprzód bowiem chrześcijanie azyatyccy nie uznają Chrystusa Franków za swego własnego; powtóre zaś dawne anarchiczno-despotyczne stosunki, mimo całego brzemienia, jakiem na nich ciążyły, nierównie więcej odpowiadają azyatyckiemu ich usposobieniu, aniżeli równouprawnienie i wszystkie reformy, oparte na nowożytnych poglądach politycznych, które zresztą znają oni tylko powierzchownie. Wprawdzie chrześcijanie, których musnęła europejska kultura, myślą inaczej; ale takie amfibia dwóch cywilizacyi stanowią dotychczas rzadkie tylko wyjątki. Otóż fakta powyższe przekonać nas winny, że wyrządzamy niesprawiedliwość islamowi, uważając go za jedyne źródło wszelkiego zła, które spowodowało upadek mahometańskiego Wschodu; a obok tego, że zastąpienie islamizmu przez chrześcijaństwo w niczemby zmienić nie mogło, powiada węgierski oryentalista, smutnego stanu rzeczy. Islam, zdaniem własnych jego wyżej wykształconych wyznawców, jako posiadający bardziej racyonalne dogmata, oparte na surowym monoteizmie, dostępniejszym dla ducha wogóle, — uwzględniając więcej indywidualne przymioty i usposobienia Azyatów, więcej w krew ich przeszedł, aniżeli chrześcijaństwo, które przez przeniesienie się z Azyi do Europy, ze Wschodu na Zachód, utraciło z czasem swoją pierwiastkową formę i dla Azyatów nie jest dość azyatyckie. Są oni też z natury swojej więcej ludźmi wiary, aniżeli wiedzy. Niepodobna zaś zaprzeczyć temu, że jutrzenka życia dla kultury, którą Europa dzisiejsza tak świetnie olśniewa świat stary, wtedy dopiero świtać zaczęła, kiedy pierzchnęły czarne cienie posępnych wierzeń. Zestawianie zatem bezwzględne islamu, znajdującego się w średnich swych latach, z dzisiejszem chrześcijaństwem, które znacznie dawniejsze, jest niedarowanym błędem; przeprowadzając bowiem podobną paralelę, zapomina się całkiem, iż rozmaitość stadyów uwydatnić się także musi w rozmaitości następstw. Bądźmyż więc raz sprawiedliwi, woła dawny prawowierny chodża, a dziś

profesor uniwersytetu, i rzućmy głębiej okiem do wnętrza obu gmachów, a przekonamy się niewątpliwie, że wszystkie te błędy i ułomności, słabości i przywary, któremi obarczamy jedynie islamizm, istniały i w pewnym stopniu dziś jeszcze w chrześcijaństwie istnieją. Chrześcijańscy krytycy islamizmu przyznają wprawdzie nauce Mahometa pewne moralne przymioty, jak to: wstrzemięźliwość i trzeźwość, sprawiedliwość i rzetelność, miłosierdzie i dobroczynność — że zatem mahometanizm nie wyłącza bynajmniej możliwości pobożnego i uczciwego życia. Najsilniej natomiast zarzucany bywa islamizmowi fanatyzm, uparte trzymanie się martwej litery i wyraźny wstręt do najlżejszego komentowania przykazań koranu i sunny. Wszakże i co do tego punktu — przypomniawszy sobie, o ile to obrońcy religii w Europie ze wstrętem odwracają się od probierczego kamienia rozsądku, nie można się dziwić namiętnemu Azyacie, z jego zachowawczemi dążnościami i usposobieniem, goniącem za nadzwyczajnością, — którego koran nadto jest bądź-co-bądź arcydziełem prozy arabskiej. Tak samo rzecz się ma ze zmysłowością, jaką przeciwnicy islamizmu zarzucają nauce Mahometa, opierając się na rajskich jego obietnicach, a która jest poprostu płodem podnieconej fantazyi. Kiedy oskarżyciele ci widzą pogwałcenie moralności w rozkosznych obrazach, przedstawiających czarnookie wiecznie młode hurysy — mają słuszność, powiada ex-derwisz; ale zapominać nie należy, że o ile słodko i nęcąco przedstawiają się synom Wschodu nagrody zagrobowe, przyrzekane za pobożny żywot, o tyle przerażające i pełne zgrozy są obrazy kar, czekających grzesznika w przyszłem życiu. Zresztą nietylko sam islam, ale i chrystyanizm w Azyi inaczej zupełnie przyozdobił sobie swój raj, aniżeli nowożytne chrześcijaństwo w Europie. Nie można też pominąć błędu ogólnie na Zachodzie rozpowszechnionego, według którego wielożeństwo uchodzi stanowczo za wyłącznie mahometański występek, który tylko pod opieką islamu mógł zakwitnąć

i kwitnie. W istocie zaś rzeczy, występek ten nie jest muzułmański wyłącznie, lecz powszechnie prawie azyatycki. Zresztą, jest wielki przedział między teoryą a praktyką na tym niewątpliwie najczarniejszym punkcie azyatyckiej społeczności: polygamia, bez względu na uprawnienie swoje, nader rzadko się wydarza w dzisiejszej Azyi muzułmańskiej — warunkiem onej jest przedewszystkiem dobrobyt. Chrześcijańscy krytycy dzisiejszego islamu zbyt go tedy pod tym względem oczernili. Równie powszechnie stawiany, choć równie nieusprawiedliwiony jest zarzut — namiętnej i ślepej nienawiści, którą wyznawcy islamu żywić mają dla nie-mahometan, a szczególniej dla chrześcijan. Najpierw bowiem Europejczyk, którego obraża słowo „kafir" i silnie separatystyczna dążność islamu, zapomina zawsze, że ma do czynienia z ognistem uczuciem mieszkańców Wschodu, którego zrozumieć nie może. Powtóre, pomijana bywa zwykle ta okoliczność, że islam dzisiejszy jest w fazie bezsilności, że czuje się ze wszystkich stron zagrożony — że zatem, broniąc swego istnienia, znajduje się w stanie szczególnej drażliwości, przebywa pewien stopień paroksyzmu. W minionych czasach swej wielkości i potęgi islam pod tym względem inaczej się przedstawiał: historya też najwymowniej temu przyświadcza. Oto np. w seraju adryanopolskim sułtana Amurata I-go utrzymywani byli kosztem rządu greccy duchowni, którzy chrześcijańskiej sułtance, księżniczce serbskiej z pochodzenia, codzień mszę odprawiać musieli — w tym samym czasie, kiedy Osmanowie ogniem i mieczem usiłowali wprowadzić koran do Europy i t. p. Dalej ocenianie fanatyzmu muzułmańskiego wogóle musi już dlatego być jednostronne, że ów stan duszy muzułmanina porównywa się właściwie z oziębłością, z obojętnością, jaką cywilizowany Europejczyk okazuje obecnie w rzeczach religii, — a która jest naturalnem następstwem nowożytnej kultury. Nakoniec niesprawiedliwi są nasi krytycy, kiedy zapominają, że chrześcijaństwo w epoce kwitnięcia wiary nie-

równie większym odznaczało się fanatyzmem, aniżeli teraźniejszy islam — jakkolwiek nauce Chrystusa nie groziło wtedy z zewnątrz żadne niebezpieczeństwo, jakkolwiek w naszym umiarkowanym klimacie ta gorliwość, ten żar namiętności wydają się zgoła nienaturalne. Islam inkwizycyi św. nie znał, a i dziś jeszcze zapaleńców „muteassub" potępia. Co do protestantów zaś — ten tylko, powiada Vambery, kto faktycznie z Buchary wprost do Londynu przybył, może przekonać się, jak mała jest różnica między fanatyzmem islamu a fanatyzmem kościoła anglikańskiego. Żywo też tryskające humorem przedstawia nam znakomity podróżnik węgierski zestawienie pod tym względem dwóch tak wielce różnych społeczeństw. Podobnie mało uzasadnione są oskarżenia o powierzchowność i suchy formalizm. Wreszcie, drobiazgowe przepisy życia muzułmanina pochodzą — nie z pierwszych, lecz z późniejszych wieków islamu i są wynikiem jedynie trwożliwej obawy niebezpiecznych nań wpływów z zewnątrz. Co więcej — nie jest wolne od tego wcale i chrześcijaństwo. Oto w osnowie swej streszczonej istota paraleli islamizmu i chrześcijaństwa, jaką przed nami Vambery w świetnym, bogatym niezmiernie obrazie roztacza. Trzeba przyznać, że islam nie miał dotąd wśród nas, przy całej surowości sądu, dzielniejszego nadeń obrońcy — obrońcy zbrojnego tyle w zdobycze osobistego doświadczenia, ile w pochodnie prawd z dziedziny historyozofii i etnologii. Oczywiście też nie jest on pobłażliwszy i dla chrystyanizmu. Ale, przy tej okoliczności, nie mamy prawa powstrzymywać się od dania pewnego świadectwa i o samych sobie. Takeśmy widać niemocni już czy nie dojrzali jeszcze, że oto mamy niby potrzebę sromać się wypowiadania zdań — bez względów — radykalnych myślicieli.

Czegóż bowiem dowodzi sam fakt i wyjaśnienie onego pobudek, podane w następującej uwadze tłómacza dzieła Vambery'ego? Zastanówmy się. „Rozdział XII — powiedziano tam — pomieszczony w oryginale od str. 238 do

264, uległ zmianom w tych miejscach, w których myśli autora zbyt krańcowemi, wyrażenia jego zbyt jaskrawemi były. Z powodu ścisłej łączności przedmiotu z głównem założeniem dzieła, rozdziału pomienionego usunąć nie było można; inaczej chętniebyśmy to byli uczynili, ceniąc wyżej uczucia powszechności polskiej, — aniżeli myśli choćby tak nawet poważnego pisarza, jakim jest Vambery". Zaiste, nie mamy potrzeby powątpiewać — niewiele inaczej począłby sobie jaki prawowierny chodża muzułmański, nie mówimy — ze Stambułu lub Kairu, ale z Buchary czy Kerbeli — gdyby mu przyszło przełożyć po arabsku pracę dawnego towarzysza w islamie! Nie srożmy się też tak bardzo na tych tam bisurmanów...

Po tem wszystkiem, cośmy dotąd mieli sobie przedstawione, staje przed nami z kolei ostatecznie najwyższa obecnie kwestya islamu: upadek onego, czy odrodzenie? — pytanie: czy na widnokręgu teraźniejszości Azyi muzułmańskiej można dostrzedz promyk nadziei, zwiastujący zdrowe odrodzenie; czy z takiej tlejącej iskierki da się rozniecić zbawienne światło lepszej przyszłości, słowem, czy Wschód muzułmański zdolny jest do życia, czy też nie? Pytanie podobne oczywiście nie jest nowe; zajmowało ono nie od dzisiaj historyozofów i polityków, dla swej wagi dziejowej wciąż wraca — i obecnie oto zdaje się zbliżać stanowczo ku rozwiązaniu. Tymczasem nie brak już wyroków gotowych. Autor np. artykułu o „Cywilizacyi tureckiej", wyobrażający w swych sądach cały obóz potężny otwartych, śmiertelnych wrogów muzułmańskiego świata, woła namiętnie (ust. VII): Jakże to smutno słuchać powszednich niedorzeczności o odrodzeniu się Turcyi i cywilizacyi Osmanów; smutno nie ze względu na samych Turków, skazanych na zaginięcie pod moralną przemocą obezwładniającego ich muzułmańskiego wyznania, lecz na Europejczyków, którzy przewrotnie przynoszą wysoce humanitarne przekonania chrześcijańskie na ofiarę swym lichwiarskim widokom i usiłują podtrzy-

mać istnienie polityczne narodu, którego religijno-moralne zasady obowiązują do nieprzebłaganej walki i uchylania się od spokojnego pożycia ze wszystkimi nie-muzułmanami! Po co bo też było poruszać Turków Europejczykom? Oniby najspokojniej w świecie, jak i mnóstwo innych barbarzyńców, wymarli powoli sami przez się i pamięć o nich zaginęłaby na ziemi. Ale nie—europejscy ich przyjaciele poczęli im powiadać o postępie, o cywilizacyi; poczęli radzić im zaprowadzenie zmian pewnych. Turcy mówią: „my pieniędzy na to nie mamy!" — „Nic, to pożyczymy". I nauczono Turków żyć na kredyt. Im też to się podobało: oni się przekonali, że można nietylko łupić chrześcijańskich swych rajahów, lecz i pod najlepszym pozorem ciągnąć z kieszeni niezależnych od nich Franków, nic przytem nie tracąc i na nic się nie narażając. Lecz cóż wygrał na tem świat cywilizowany? Turcy wcale nie zmienili się na lepsze, nie stali się więcej oświeconymi i ludzkimi, nie zmienili swego dawnego stosunku do Europejczyków; ani na źdźbło nie zbliżyli się ku nim, nie pokochali ich. Przeciwnie, uważając lichwiarstwo, bez względu na wszelką postać onego, za rzecz poniżającą, Turcy stali się jeszcze bardziej wyniośli, z mniejszem poważaniem patrzą na Europejczyków i jeszcze podejrzliwiej a nieszczerzej zachowują się w stosunkach międzynarodowych. Pragnienie europejskiej spekulacyi eksploatowania ich we własnych widokach oni w swem wyniosłem zaślepieniu przyjmują za wyraz uznania i czci, do czego daje im niby prawo ich oświecenie i wysokie stanowisko polityczne. Całe zaś ich oświecenie dotąd na tem właściwie zależy, że przybrali oni ze słownika arabskiego wyrazy — cywilizacya (madanijet), humanitarność (insanijet) i t. p.; nauczyli się paplać po francusku, przejęli maniery paryskich dandysów i londyńskich dżentelmanów, i — oto wszystko. Najbardziej powierzchowne, najbardziej oderwane formy kultury europejskiej, przeniesone na grunt Turcyi, stają się też jakiemiś karykaturami: kraj ten jest jakby przez

sam los skazany na to, by wiekuiście być źródłem najekscentryczniejszych faktów, unaoczniających tak barbarzyństwo i nieprzemożone zacofanie pod wszelkimi względami Osmanów, jako też zupełną ich niemoc postawienia się kiedykolwiek na równi z innymi ludami cywilizowanymi. — Oto surowe zapatrywanie się pesymisty, dotyczące Turcyi wyłączniej. Lecz zapatrywanie się podobne ludzi tego obozu obejmuje jednym wyrokiem zagłady lub odrodzenia przez chrześcijaństwo — i cały wogóle Wschód muzułmański. Natomiast krańcowi ich przeciwnicy, optymiści, również widzą jasno przerażającą martwotę tego świata; ale według ich pojęcia stan ten jest tylko utajonem skupieniem sił, w którem islam, przyswajając sobie korzyści cywilizacyi zachodniej, przy pomocy nowych zdobyczy ducha europejskiego, zamierza Europę, własną jej bronią, w Azyi pobić i zwyciężyć. Taki „Islam redivivus", jak go Vambery nazywa, ma być w późniejszych czasach, w ich rozumieniu, niebezpieczny nawet dla Zachodu; optymiści odkrywają nieomylne znaki odmłodnienia i ocknięcia się ze snu pozornego w najskrytszych zakątach mahometańskiego świata—i jako główny bodziec wskrzeszenia uważają kombinacyę nowych grup etnologicznych. — Poważni wszelako znawcy Wschodu dalecy są od obustronnej krańcowości. Ciekawe jest niezmiernie zdanie o cywilizacyjnej zdolności islamu znakomitego badacza duchowego życia społeczeństw Azyi środkowej, hr. Gobineau. Niepodobna jest, powiada on (ust. II), podzielać zdanie tych, co chcą widzieć w dogmacie mahometańskim bezpośrednią przeszkodę umysłowego rozwoju. Zdanie przeciwne zdawałoby się bardziej być uzasadnione. Religia, która wypowiedziała formułę: „atrament uczonych jest cenniejszy od krwi męczenników," która zapewnia, że każdy człowiek na sądzie ostatecznym będzie badany surowo co do użytku, jaki zrobił ze zdolności umysłu sobie udzielonych, która widziała od swego narodzenia w VII w. aż do końca XVI-go, ażeby nie schodzić

głębiej, taki dobrobyt materyalny, podtrzymywany i ożywiony takim stanem naukowym i literackim, którego naprawdę nie znamy nawet w całej onego rozciągłości, taka religia nie może uchodzić słusznie za przeciwniczkę prac umysłu. Jeśli zaś, od ostatniej wskazanej epoki, Azya środkowa często upadała, fakt ten jest zrozumiały bez obwiniania wcale za to islamu. Wyobraźmy sobie bowiem, w jakimkolwiek kraju europejskim, przewagę absolutną dyscypliny militarnej i administracyjnej w ciągu dwustu pięćdziesięciu lat, jak to działo się w Turcyi; przedstawmy sobie tam coś podobnego do anarchii wojennej w Egipcie, pod przewodem obcych niewolników, Czerkiesów, Gruzinów, Turków, Albańczyków; przedstawmy tam, jak w Persyi po roku 1730, najazd Afganów, tyranię militarną Nadir-szacha, okrucieństwa i spustoszenia, które zaznaczyły wstąpienie obecnej dynastyi Kadżarów; zjednoczmy wszystkie te okoliczności z zastępem przyczyn drugorzędnych, jakie one naturalnie sprowadzają — a pojmiemy wtedy, czemby się stał ów kraj europejski—tyle europejski, jakim tylko byćby on mógł, i już nie będziemy mieć potrzeby szukania innego tłómaczenia upadku krajów wschodnich, obciążania islamu niesłuszną odpowiedzialnością. Nie chcę też zupełnie, powiada dalej francuski oryentalista, obwiniać o obskurantyzm wiarę religijną, której można byłoby daleko odpowiedniej zarzucić to, że jest podobniejsza bardziej do jakiejś filozofii nieujętej, niż do określonego kultu, i która nadto, jeśli nie stworzyła sama, to przynajmniej pozwoliła stworzyć piękne wcale epoki życia umysłowego, ażeby też być wolną od zarzutów, jakie fakta same obalają. Niema potrzeby przedstawiania tu apologii, aby wytłómaczyć istnienie pewnej liczby mułłów, więcej lub mniej ciemnych i ograniczonych. Bez wątpienia, znajdują się wśród nich i ludzie bardzo powszedni; lecz trzeba przyznać zarówno, że istnieli po wszystkie czasy wszędzie, w Europie nawet, filozotowie i uczeni, którzy nie byli wcale wzorami rozumu i wyż-

szych uczuć, a przecie gdy nie jest to wina nauki, więc i niedorzeczności ograniczonych duchownych nie mogą spadać na islam. Niewątpliwe też, że duch krytyki, badań i dyskusyi, obudzony od pierwszych chwil, przez samego Mahometa, nigdy się nie zatracił. Jest to życie, więcej lub mniej dobrze zużyte, lecz zawsze jest to życie. Widać zaś i obecnie w Persyi objawy onego bardzo wybitne w sporach trzech stronnictw głównych, które dzielą między siebie tak duchowieństwo, jak i wiernych, i wogóle ortodoksyę szyicką. Mowa tu o Achbarach, Musztehedach i Szeychach — szermierzach trzech nowych poglądów, przynajmniej co do postaci, pod jaką się je widzi obecnie, a która to jest im nakazana przez potrzeby czy przeciwdziałanie społecznego otoczenia, w jakiem poglądy te występują. Widać też objawy te niemniej i w potężnym ruchu Babyzmu, powstałym jako protest przeciw urzędowemu islamowi. Wogóle też, jeśli się oddzieli doktrynę religijną od konieczności politycznej, która często przemawiała i działała w tamtej imieniu, nie znajdzie się, utrzymuje dalej hr. Gobineau, wyznania bardziej tolerancyjnego, można powiedzieć, nawet bardziej obojętnego pod względem wiary ludzi, jak islam. Ta zaś właściwość organiczna jest tak silna, że, wyjąwszy wypadki, w których racya stanu pobudzała rządy muzułmańskie do użycia wszelkiej broni dla zdobycia jedności wiary, tolerancya najzupełniejsza była prawidłem, wskazanem przez dogmat. Islam nie wyrwał z korzeniem ani jednej z roślin jadowitych czy użytecznych, jakie znalazł kwitnące przed swem przyjściem; nie przeszkodził też wzrostowi żadnej następnie. Owszem, wszelka działalność umysłowa, zmierzająca do wytworzenia nowych kombinacyi filozoficznych, była przezeń więcej popierana, aniżeli spotykała z jego strony przeszkody. Wreszcie islam odpowiada znakomicie duchowi ludów wschodnich i wszelkiemu rodzajowi umysłów onemu blizkich. Temu też faktowi przypisać należy powodzenie, naprawdę bardzo znaczące, jakiem misyonarze mahometań-

scy cieszą się obecnie na wszystkich punktach kontynentu Afryki. Oczywiście, liczne nawrócenia, jakie zdają się ich tam oczekiwać, zachęcają ich szczególnie do zwracania się ku tym stronom, tak przychylnie dla nich usposobionym. Udają się też oni tam w dość znacznej liczbie — przedstawiając w taki sposób widok pewnego rodzaju młodzieńczości i energii prozelityzmu, bardzo interesujących przedewszystkiem co do kontrastu, jaki tu one uwydatniają wobec znanego stanu islamizmu w innych krajach. — Oto jest sąd o sile żywotnej islamu głębokiego wśród Francuzów znawcy Azyi środkowej — sąd nadto człowieka, który interesowanym przyjacielem onego wcale nie jest. Opierając się na podobnego rodzaju faktycznych podstawach, roztacza też śmiało a uzasadniająco i Vambery przekonanie swoje: że Azya muzułmańska nie wydaje się tedy zgubioną bez ratunku. Jest zaś tak naprzód — powiada on — ponieważ społeczności, posiadającej pewną, choćby przestarzałą cywilizacyę, o której świetności wymownie świadczą właśnie zabytki muzułmańskiej kultury, niepodobna odmówić uzdolnienia do reform duchowych. Że organizm Azyi muzułmańskiej przy procesie przeistoczenia nierównie mniej giętkim się okaże, aniżeli jakieś zgoła nieucywilizowane społeczeństwa, i że pod wpływem tej uporczywości wprowadzenie nowych idei opóźnić się może o całe stulecia, temu zaprzeczyć trudno. Ale byłoby niesprawiedliwością w tej właśnie zwłoce, w tym oporze, dostrzegać zapowiedź zupełnego niepowodzenia.

Jeżeli nauka Mahometa zdołała w chwili swego wystąpienia wyprzeć, niemniej dawną, niemniej głęboko w sercach i duszach zakorzenioną, kulturę Persów, jeżeli islam na gruzach azyatyckiego chrześcijaństwa, bramanizmu i buddyzmu, mimo wieki trwający opór, zdołał ufundować tak potężne państwo — to dlaczegóżby, pyta słusznie wschodni etnolog, usiłowania zachodniej cywilizacyi w Azyi miały pozostać bezowocne? Nie ulega wątpliwości, że większa stosunkowo łatwość zwycięstwa islamu wynika z ogólnych

podobieństw, istniejących w obrazie religii i cywilizacyi azyatyckich — dlaczego właśnie islam nietylko był nauczycielem i reformatorem, ale sam uczył się i przeistaczał pod wpływem zwyciężonych przez siebie żywiołów. Cywilizacya zachodnia nie ma tak sprzyjających okoliczności. Formą, treścią, pochodzeniem i dążnością różni się ona zupełnie od kultury azyatyckiej, a odznacza się właśnie większą siłą asymilacyi, i nie popełnia się więc, powiada Vambery, błędu, jeżeli właśnie w tej wyższości dostrzega się możność przyszłego jej zakwitnięcia na gruncie azyatyckim. Pojęcia cywilizacyjne, ściśle europejskie, znane jako podwaliny dzisiejszego świata umysłowego na Zachodzie, nie są jeszcze dla Azyi przydatne; ale doświadczenie uczy, że te pojęcia zmieniały się, łagodniały i naginały się do etnologicznych i klimatycznych warunków, niewiele szwankując na swej użyteczności i nie tracąc znamion europejskich. Z biegiem czasu, stopniowo, znajdą one sobie odpowiedni grunt i na Wschodzie; Azya zaś, bez względu na wyznania, nigdy zupełnie przed niemi zamknąć się nie zdoła. Jeżeli nawet przyznać wypadnie, że europejskie chrześcijaństwo, na ziemi azyatyckiej i pod azyatyckiem niebem, przyjąć z czasemby musiało postać do islamu zbliżoną, to jeszcze stąd nie wypada, aby cywilizacya europejska podobnemu uledz miała zepsuciu — będąc opartą nie na fantazyi i uczuciu, lecz na rozsądku i granitowej opoce materyalnej rzeczywistości. Dalej — dowodzi dawny chodźa — zbyt czarne zapatrywanie się na przyszłość islamu jest już dlatego nieusprawiedliwione, że trzebaby istotnie zostawać pod wpływem pewnych przesądów, ażeby nie dostrzedz, że z jednej strony przeistoczenie i asymilacya pojęć europejskich w Azyi już się odbywa, a z drugiej — muzułmanie azyatyccy poddali się już pod wielu względami procesowi przekształcenia. Wprawdzie poddanie się to nie było dobrowolne, proces ten dokonał się nawet gwałtownie, wskutek czego jego wyniki noszą na sobie wszędzie i zawsze znamiona przymusu;

ale koniec końców, wszystko tam przecie poddaje się prawu żelaznej konieczności. Przeciąg czasu od początku bieżącego wieku znaczne tam wywołał zmiany. Zmiany te nie są wprawdzie stanowczym dowodem polepszenia i, jak wszystkie objawy okresu przejściowego, mogą przedstawiać się w świetle najdziwaczniejszych antytez; ale istnieniu ich niepodobna zaprzeczyć siły przekonywającego faktu.

We wszystkiem już też zboczono z drogi, wytkniętej przez Allaha — wstąpiono nawet na gościniec, utorowany przez niewiernych, dla zbliżenia się ku nim. Zgoda, opinia się burzy, prawowierni gniewają się i srożą; dzieje się przecie niejedna rzecz krańcowa, sprzeczna z fundamentalnemi nawet zasadami religii, jak niemniej ze starymi, głęboko zakorzenionymi zwyczajami — a reformy te, które nadto jeszcze stały się źródłem największych klęsk materyalnych, żadnej dotychczas nie wywołały rewolucyi. Jeżeli więc fakta te wykazują dostatecznie pewną elastyczność azyatyckich pojęć, — to dlaczegobyśmy, pyta dalej Vambery, wobec takiej giętkości, wyrzec się mieli widoków dalszego polepszenia; dlaczego mielibyśmy o tem wątpić, że zachodnia cywilizacya, w granicach świata mahometańskiego, grunt sobie znaczny, jeżeli nie zdobyła, to przynajmniej do przyszłego pomyślnego działania przygotowała? Nie należymy, mówi on następnie, do tych, którzy olśnić się dali reformacyjnemi zachciankami Turcyi i Egiptu: jedno bowiem spojrzenie za kulisy wystarczyło nam do ocenienia całej sztuczności komedyi cywilizacyjnej, odgrywanej nad Bosforem i nad Nilem. Ale ta komedya, jeśli długo jeszcze będzie odgrywana, może z postępem czasu wytworzyć pewne quantum rzeczy poważnych. Niejedna też z wprowadzonych instytucyi, wlokących dotychczas niepewny żywot niby rośliny egzotycznej — niewątpliwie w końcu przyswoić się musi. Pod pewnym względem nawet już do tego przyszło, widzimy bowiem, że z pewnemi instytucyami zachodniemi Wschód kokietował i igrał jakiś czas, ale przekonawszy się

następnie o ich użyteczności, nie chciał się już z niemi rozłączyć. Co zaś do społeczeństwa samego — to nie należy zapominać, że lepsze towarzystwo w Stambule, w Kairze i w Teheranie posiada już wielu członków z europejskiem wykształceniem, że szach, chedyw i sułtan mają już ministrów, którzy z europejskimi mężami stanu w bezpośrednich zostają stosunkach, że nawet z grona tych ministrów wyszły takie lwy salonów europejskich, jak Reszyd-pasza, Fuad-pasza i Mirza-Hussein-chan. Gdzie więc na jaw występują takie objawy zmienionego usposobienia, tam nie może być mowy o rozstaniu się z wszelką nadzieją, o upadku bez ratunku. Jeżeli wszakże niedorzecznością byłoby zapatrywać się z upartym pesymizmem na przyszłość Azyi mahometańskiej, to równie trudno, zapewnia nas głęboki znawca Wschodu, a może trudniej jeszcze, będzie oddawać się myślom optymistycznym — i szukać w dotychczasowych postępkach oznak takiego przebudzenia, któreby, zwyciężając wszystko naokoło siebie, zapanowało niespodzianą siłą młodości i wszelkie podruzgotało przeszkody. Ożywione tym duchem stronnictwo „Młodych Turków", tyle głośne, ile przeceniane, nie posiada właściwie żadnej poważnej podstawy. Z drugiej strony, nie posiada samoistnej siły odrodzenia i surowy purytański Wehabizm, ogarniający obecnie przedewszystkiem Indye Wschodnie. Wprawdzie, przy wzmożeniu się fanatycznej nienawiści do Europy chrześcijańskiej w ostatniem stuleciu, pojęcie jedności islamu w daleko rozciągającej się mozaice ludów przybrało nieledwie formy świętej Hermandady; ale, zapewnia nas Vambery, widzieć w tem należy raczej oznakę wielkiej trwogi, aniżeli zaród silnego odrodzenia. W Afryce też, w której głębi islam wielkie między czarnymi tubylcami robi postępy, w stosunku jednak do zajmowanego obszaru, dał się prześcignąć wpływowi Europy. Słowem, w razie nawet, gdyby mahometanie posiadali wytrwałość i energię niezbędną do odrodzenia, „Islam redivivus" jest w obecnej chwili, i na długo

jeszcze pozostanie, czczem urojeniem.—W ostatecznym tedy wyniku, co do przyszłości Azyi muzułmańskiej, to tylko z uzasadnieniem można powiedzieć, że za sprawą wpływu zachodniego smutny stan rzeczy zmieniać się tam będzie stopniowo na lepsze, ale że ten stopniowy postęp, z natury swojej, długo dokonywać się musi, i że nareszcie, mimo tę nużącą powolność, w krainach starego świata niejeden stosunek ulegnie zmianie, ale nigdy nie przyswoi się w zupełności ten duch i to życie, które jest na Zachodzie wynikiem pewnych fizycznych i etnologicznych warunków, które zatem może być właściwością jedynie Zachodu. Pogląd podobny staje w skrajnej sprzeczności zarówno z pesymistami, jak i z optymistycznem zapatrywaniem się na stan rzeczy na Wschodzie, i, dodaje z humorem Vambery, nader jest dla sangwiników niedogodny; ale uchylając zasłonę przyszłości danego społeczeństwa, niewolno jest, jak słusznie powiada, umyślnem pomijaniem rezultatów rozpoczętego już przeistoczenia przekręcać prawdy na korzyść tej lub innej zasady. W Azyi tedy wszystko idzie powolnie, bardzo powolnie, ale idzie — i, co ważniejsza, idzie ku lepszemu.

Przyczyny owej, doprowadzającej nieraz do zwątpienia nawet serdecznych przyjaciół Wschodu, powolności postępu onego nie spoczywają wszakże w islamie i azyatyzmie jedynie, nie wynikają ze zbytniego tylko zacofania społeczeństwa muzułmańskiego wogóle: niemały wpływ wywiera na to sam stosunek wzajemny mocarstw europejskich do państw mahometańskich. Znane jest dobrze zdanie niedawnego wielkiego wezyra Ali-paszy, często przy okoliczności przezeń powtarzane: Gdybyśmy się znajdowali, mawiał on, na jakiej wyspie, odcięci zupełnie od reszty świata, i gdyby, rozrastające się jak polip, ramię wpływów zachodnich nie tak łatwo dosięgnąć nas mogło, proces przetworzenia się poszedłby nam w każdym razie składniej i szybciej. Istotnie, ma tu pod pewnymi względami wielką słuszność poza sobą turecki mąż stanu: do licznych bo-

wiem przeciwności, z jakiemi związana jest epoka przejściowa w Azyi muzułmańskiej, Europa niemało się przyłożyła. Ale właśnie, ponieważ cywilizowanie krajów muzułmańskich występuje tylko jako jej cel uboczny jedynie, mimowolnie przez nią podejmowany — tem większej przeto, jak słuszną robi uwagę Vambery (ust. XIV), dopuszczamy się niesprawiedliwości, gdy występujemy z żądaniem, aby ziarno, w nieczystych zamiarach rzucane, wzrastało szybko i zdrowy przynosiło owoc, — lub gdy, niepomni na podejrzaną rolę reformatorów, samo dzieło reformy chcemy odrazu ujrzeć w pomyślnie rozwiniętej, doskonałej już postaci. Niema zatem autor art. o „Cywilizacyi tureckiej", razem z całym obozem, jaki on wyobraża, po swej stronie słuszności, gdy dotyka namiętnie samą myśl postępowych przeobrażeń ottomańskiego społeczeństwa: sąd jego tchnie wyraźną stronniczością, a co gorzej jeszcze — w pewnym stopniu rutyniczną nawet. — Trzeba widzieć życie tureckie oko w oko, powiada on (Sm., ust. V), ażeby zrozumieć całą śmieszność projektów wszelkich reform w Turcyi, z inicyatywy czy to dyplomatów europejskich, czy też przywódzców ostatniej rewolucyi, detronizującej Abdul-Azysa, wśród samych Turków. Pytamy bowiem, mówi on dalej: któż będzie wprowadzać te reformy — czy napuszone franty stambulskie, co się nauczyli paplać po francusku i zajmują, z braku potrzebnych ludzi, po pięć miejsc w instytucyach stołecznych, albo może z wytrzeszczonemi oczyma ulemowie, którzy nie mają w sobie ani kropli uczucia prawowitości i pojęcia o jakichkolwiek humanitarnych stosunkach wzajemnych między ludźmi i którzy nie uznają nic, coby ich zobowiązywało, wyjąwszy dawne ich tradycyjne obyczaje nieokiełznane? Zresztą, cywilizacya bardzo nie po sercu obywatelom ottomańskim: wydaje się im ona jakby jaki najezdca, co osiodłał wydatniejszych przewódzców społeczeństwa! — Mimo wszystko, nie uzasadnia to jeszcze surowego wyroku, skazującego świat muzułmański na zagubę; a więc — i nadziei domnie-

manych onego egzekutorów. Wreszcie, spotyka on zbyt silną przeciwwagę. Ta zaś niejednorodność celów ostatecznych Europy odegrywa bardzo ciążącą ale ważną rolę w zagadnieniu przyszłości państw mahometańskich. Lecz zagadnienie to jest przedewszystkiem polityczne i szczęśliwe onego rozwiązanie nie od samych tylko mahometan, mówi dawny ich współwierca, ale też od Europy i jej rządów zależy. Za to odpowiedzialność, jaka stąd spada na Zachód, cięższa jest, niźli to się powszechnie przyjmuje; dotychczasowemi zaś drogami i środkami nieprzyćmione światło kultury zachodniej nigdy nie rozleje się po muzułmańskiej Azyi. Obowiązkiem zatem humanitarnym Europy wspierać ją szczerze w jej powolnem dźwiganiu się z wiekowego odrętwienia. Wtedy bowiem dopiero — jak mówi Vambery, kończąc znakomite dzieło — gdy Europa w najściślejszem i najszlachetniejszem znaczeniu tego wyrazu obowiązek swój spełni; gdy wszystkich sił dołoży, aby obudzić z uśpienia starą matkę Azyę, a ta, zbyt leniwa na rozwarcie ócz, z ołowianą ociężałością padnie na boleści swych łoże; gdy wreszcie w najczystszych zamiarach, jedynie tylko niosąc pomoc humanitarną, podeprzemy chwiejącą się budowę sąsiednich państw muzułmańskich, a pomimo to jednak mury rysować się nie przestaną i ciągle grozić będą niebezpieczną ruiną: — wtedy dopiero wolno nam będzie wyrzec się wszelkiej nadziei odmiany na lepsze. Na teraz wszelako jeszcze nic nas nie zmusza do poddania się tej surowej konieczności. Nie mamy jeszcze prawa wydawać całej jednej połowy świata na niechybną zagładę; nie mamy prawa — społeczności, która obejmuje miliony, rzucać w oblicze wróżby upadku!

Tymczasem, nam przedewszystkiem, społeczność tę znać gruntownie potrzeba. Hr. Gobineau bardzo charakterystycznie i z wielką słusznością co do tego powiada (ust. I): Mieć do czynienia z ludźmi bez posiadania znajomości onych, bez ich pojmowania, uchodzi zdobywcom; mniej

już uchodzi sprzymierzeńcom a nawet protektorom; lecz nic nie jest bardziej nad to naganne i nierozsądne — dla cywilizatorów, za jakich właśnie chcemy uchodzić. — Co do nas, stojących dziś tak bardzo na ustroniu — my podobnych pretensyi sobie nie rościmy; tem niemniej przecie, w znajomości Wschodu muzułmańskiego ani na chwilę pozostawać w tyle nie mamy prawa. Wszystko nas tam żywo powinno obchodzić: każde poruszenie, każda ewolucya, każdy zwrot. Historya, podobnie jak szlachectwo, pewne nieuchronne obowiązki nakłada. Węzły nadto, jakie ona zadzierzgnęła między nami a tym Wschodem, trwają wciąż bez przerwy: zmienia się tylko ich postać i charakter, ale fakt sam nieporuszenie istnieje. Od chwili straszliwego wylewu na Europę potęgi bisurmańskiej Ottomanów uważani byliśmy za przedmurze chrześcijaństwa: przedmurzem takiem rzeczywiście byliśmy. W obronie cywilizacyi europejskiej — przeciw cywilizacyi azyatyckiej, padły na pobojowiskach Warny i Mohaczu dwie koronowane głowy Jagiellończyków. Zwycięstwa chocimskie postawiły tamę dalszemu wylewowi kultury islamu na północ, powstrzymując w zapędzie najświeższych i najgorliwszych onej czcicieli — poturczoną bratnią szlachtę południowo-słowiańską. Odsiecz Wiedeńska złamała ostatecznie turecką w Europie potęgę, przyćmiła tu na wieki pyszny blask przybrany półksiężyca. Następnie łatwą już było grą—szarpać bez szwanku, i niebohaterom, śmiertelnie w swej potędze lwa zranionego. Losy Bałkańskiego półwyspu i panowania Turków w Europie zostały wtedy z góry już zdecydowane: ostateczna swoboda ludów chrześcijańskich za Dunajem stała się rzeczą czasu tylko i — dobrej woli zachodniej dyplomacyi. Nasza rola w stosunku do islamu w Europie była skończona. Zmieniły się potem czasy i warunki położenia: przewroty polityczne rozproszyły synów północy po dalekich krainach, po światach obcych. W ten sposób spotkaliśmy się dalej bezpośrednio, twarz w twarz, i z Azyą samą i zetknęliśmy się z ogni-

skiem świata muzułmańskiego — nie zaś, jak dawniej, z jego przedniemi czatami tylko. Jednocześnie z tem, potrzeba umysłowa rozszerzenia wiedzy o Wschodzie, potrzeba naukowych badań, również zwróciła wielu ku wnętrzom Azyi. Rola nasza tam przybrała nowy zupełnie, nieprzeczuwany dotąd charakter. Bez najmniejszej pretensyi do cywilizatorstwa, staliśmy się tam, mocą samą faktów, cywilizatorami; co więcej — niepodejrzanie szczerymi i posiadającymi zupełne zainteresowanych uznanie. Cała to karta jedna dziejów odrębna. Kto jej nie zna — nie zna potężnego zastępu pracowników na polu powszechnej cywilizacyi. Nie mogę tu się więc powstrzymać, abym sam nie wspomniał, jak mi w ciągu całej podróży mej po muzułmańskim Wschodzie 1870 r. serce rosło — na widok dotykalnych, za każdem stąpieniem konia, śladów dzielnej cywilizacyjnej pracy tych tam synów północy. Wszędy też, od Bosforu do Perskiej zatoki, wszerz i wzdłuż, pełno pamiątek i wspomnień ich światłej lub dobroczynnej działalności wszelkiego rodzaju — jako inżynierów, lekarzy, instruktorów i t. d. Nie zatrą się też w mej pamięci nigdy owe miłe wrażenia spotykanego wszędy uznania ich prac i zasług. Tu bowiem przeprowadzona była przez nich pierwsza droga bita w Anatolii, a zakreślone na gruncie plany wielu innych; poparta była czynną pomocą pierwsza tamże kolej żelazna od Smyrny; tam prowadzili oni linie telegraficzne i zarządzali niemi wszędy — od Damaszku, Dyarbekru, Bagdadu. Przebywało się niejeden most przez nich zbudowany; jako też przez ocaloną pamiątkę świetnych czasów maurytańskich, sułtana Bajazeta, na płynącym w czarujących okolicach starożytnym Sangaryuszu; gdzieindziej — przez ocalony most wspaniały cesarza Justyniana. Wzniesionym przez nich fortyfikacyom w wąwozach dzikich Tauru — jest się obowiązanym za możność bezpiecznego przebycia słynnych Wrót Cylicyjskich: „Pylae Cyliciae", przez które przeszedł był niegdyś Aleksander Macedoński, goniąc Daryusza. Oni też dokonali na grun-

cie planu oczyszczenia bagnisk niezdrowych znakomitego pobojowiska pod Issus, u gardzieli Wrót Syryjskich, mogącego wpłynąć dobroczynnie na całe sąsiednie okolice. Oni niemniej, za gościnność im świadczoną, próbowali w uśpionej Azyi wszystko ożywić. Tu więc oto usiłują wznowić zaniedbaną eksploatację sławnych w starożytności kopalń srebra przy Argana, w Kurdystanie, tam traktują z Beduinami pokolenia Szemmar o uspławnienie Chaburu, wpadającego w Mezopotamii do Eufratu. Nie kto inny też założył wzorową fermę gospodarczą w sędziwej Chaldei — w Feradżacie, nad Tygrysem, w pobliżu Bagdadu; lub — wzorowe plantacye u Latakieh, w północnej Syryi. W tejże Syryi oniż to pierwsi prowadzili drogę bitą przez bezdrożny Liban; a dziś utrzymują tam bezpieczeństwo, przy ciągłych niesnaskach Maronitów z Druzami. W tylu też okolicach zostawili po sobie pamięć szlachetnego poświęcenia się jako lekarze, w czasie częstych na Wschodzie epidemii. Mogę nawet przyświadczyć temu osobiście, gdyż z tego powodu, potem w czasie mego pobytu w Mosulu, u ruin starożytnej Niniwy, podejmowany byłem najserdeczniej jako mimowolny spadkobierca czyichś, wspominanych z uwielbieniem, zasług. Popierali też oni niemniej, wszędzie, oraz wszelkie zamysły wszechświatowej cywilizacyjnej doniosłości: jak np. projekt angielski bezpośredniego połączenia koleją morza Śródziemnego z zatoką Perską, a więc Europy z Indyą — badając odpowiednio całą linię od Aleksandretty, wzdłuż Eufratu, aż poza Bassorę. Podobneż zasługi ich i w Egipcie: przy robotach u kanału Suezkiego, na fermach wzorowych i t. d. Nie mniejsze poczucie wdzięczności obudzili oni i swem postępowaniem moralnem, ujmując się, śmiało a energicznie, przy lada zdarzeniu za krzywdzonymi chrześcijanami — jak np. za pobratymczą młodzieżą bulgarską, osadzoną za poprzednie powstanie w twierdzy dyarbekirskiej, a dla której właśnie, wstawieniem się swem, uzyskali uwolnienie. Niejednego też z tych synów północy pozostały

kości w dalekiej Azyi — nawet w gliniskach odrętwiałej Chaldei, nawet w pustyni. Nie wspominam już zasług, dla nauki i cywilizacyi wogóle, naszych oryentalistów, których mamy tylu — i tylu znakomitych.

Wschód więc muzułmański, z którym wiążą nas, jak widzieliśmy, tak różnorodne węzły, bez przerwy w czasie, znany jest dobrze w pewnych wśród nas kołach — znany nieskończenie lepiej nawet, aniżeli komukolwiekbądź innemu, co dotyczy krain, zostajacych pod zwierzchnictwem sułtana. Ale niemniej przeto wypada, aby znajomość ta była wśród nas ile można powszechniejsza. Wypada, aby znawcy onego pisali o nim więcej — a pisali w języku rodzinnym. Tymczasem niemało obowiązani jesteśmy i tłómaczowi klasycznej pracy Vambery'ego za przyswojenie naszemu piśmiennictwu dzieła, tak znakomicie rozjaśniającego wewnętrzne sprężyny życia Wschodu; jak równie i wydawcom za onego wybór. Co do tłómaczenia zaś samego — nawiasem to tylko o niem powiemy, iż, pomimo kilku mniej znaczących usterków, nie dość ścisłego cieniowania myśli oryginału i paru błędów myśl samą zmieniających, co mogło powstać prędzej z przeoczenia w druku, wreszcie niezależnych po większej części od tłómacza opuszczeń — jest ono dokładne wcale, oddane językiem jędrnym, dobitnym, potoczystym, dobrze malującym oryginalne często zwroty autora, i zasługuje zupełnie na uwzględnienie najszerszego koła czytelników. Wszakże nie o znajomość tylko Wschodu, samego w sobie, iść nam wogóle powinno. Do nas należą nasze tam niemałe, uznane, cywilizacyjne zasługi bieżącej doby, tak dobrze, jak z doby przeszłej — wspomnienia z pod Warny, Chocimia i Wiednia. Winniśmy znać i ten ustęp, że tak powiem, azyatycki dziejów — i znać go chcemy.

Chcemy mieć, ile można, dokładny obraz, obejmujący nietylko wszelkie, po większej części sporadyczne, czynności i czyny rozproszonych po szerokich przestworach muzułmańskiej Azyi synów północy; ale i koleje, dziwne nieraz,

doli samych tych pracowników — wśród otoczenia często takiego, jakie wcale nie jest bliżej znane innym Europejczykom. Skądinąd, mniej trudne to dziś już się staje. Ilość znawców czynnych tego tam Wschodu i bytu w nim jest coraz większa wśród nas: ich to więc obowiązkiem — zdać sprawę i odpowiedzieć potrzebom wiedzy naszej i wogóle nauki. Kto tedy czuje się wprost dotknięty przez takie wezwanie — niech z wywiązaniem się, choćby cząstkowem tylko, nie zwleka: a powoli i znać się będziemy w tym świecie muzułmańskim, i świat ten sam poznamy, tyle, ile nam należy. Wędrowiec węgierski, dawny niejednego towarzysz, piękny oto wzór z siebie daje: smutnożby było — dać się dalej tak wyprzedzać, mając między sobą tylu orjentalistów i znawców głębokich, bardzo głębokich, muzułmańskiego Wschodu.

WYPRAWA PO EUFRACIE.*)

(WSPOMNIENIE Z PODRÓŻY, ODBYTEJ PO MUZUŁMAŃSKIM WSCHODZIE W 1870 ROKU.)

Nic nie da się porównać z tem głębokiem, tajemniczem wrażeniem, jakiego się doznaje przy pierwszym widoku Eufratu!

Europejczyk, wykołysany w tradycyach biblijnych, wykarmiony fantastycznemi legendami zamierzchłej przeszłości dalekiego Wschodu, nie może się oswobodzić z pod przemocy wrażeń, jakie wszechwładnie rozmarzały jego wyobraźnię dziecinną, gdy kiedy potem w życiu przyjdzie mu się spotkać z obecną rzeczywistością, obudzającą wspomnienia jego lat szczęśliwszych.

Wszakże w dziecinnej naszej fantazyi niema w świecie rzeki nad Eufrat: święty Ganges dla nas obojętny, Nil martwy, jakiś święty Jordan — za ściśle religijno-legendowy, za skromny; jeden Eufrat pełen majestatycznego uroku, połączonego z niepojętą tajemniczością. Osłania ona swemi skrzydły pustynię Syryjską, namioty Abrahama, dumę Babylonu, niewolę synów Izraela, rozdzierające serce żale Jeremiasza i t. d. i t. d.

*) Gazeta Polska 1875 r., Nr. 75 — 89.

Otóż gdy się stanie nad brzegiem Eufratu, niema mocy oparcia się porywowi odświeżonej, roznieconej na nowo fantazyi młodocianej.

Sama zaś wspaniałość widoku i potężne bezpośrednie wrażenie, doznawane w obliczu majestatu piękna natury, przywołaną do życia fantazyę ową jeszcze do wyższego stopnia potęgują.

Stanąłem raz pierwszy nad Eufratem wczesną wiosną, d. 29 marca, 1870 r. Byłem w drodze z Halebu (Aleppu), stolicy północnej Syryi, do kurdystańskiego Dyarbekiru. Droga dnia tego szła mi przez pobojowisko Nizibu, gdzie 1839 r. odniósł tak świetne zwycięstwo nad Turkami Ibrahim-basza egipski. Jechałem obok jednego Persa, człowieka bardzo dystyngowanego, który mi właśnie wypowiadał swe zdania o tym wielce donośnym w nowożytnych dziejach Wschodu fakcie, i nie zwracałem uwagi — gdy mi naraz, poza pasmem wzgórz, zajaśniała iskrząca się w promieniach słonecznych złoto-błękitna wstęga Eufratu, a poza nią wznoszący się wspaniale na urwistej, białej, kredowej wyżynie starożytny Bir (Biredżyk). Uderzony zostałem aż do zaniemienia tym niespodzianym widokiem!

Nadjechaliśmy nad rzekę.

Przypomniałem sobie poczciwego misyonarza, spotkanego w Cylicyi, który mi opowiadał, że, gdy pierwszy raz ujrzał Eufrat, padł na kolana, ucałował ziemię i obmył sobie oblicze wodą rzeki świętej, jakby dla zmazania grzechów. Ja nie padłem na kolana, nie całowałem ziemi, ale niemniej głęboko może byłem wzruszony. Nie pojmuję dotąd tego uroku, jaki mnie owiał wtedy!

Wzdęty wiosenną wodą, pędzącą od Araratu, spieniony Eufrat huczał szumnie, rozlewając się szeroko po dolinie prawego brzegu. Opuścił on już daleko poza sobą wyżyny Armeńskie, skąd tryskają jego źródła (Murad i Frat); przerznął się już przez wąwozy i skały (Mostar-dah, Kieban-Maden), co chciały go powstrzymywać w biegu tyle razy, i w coraz

szaleńszym pędzie, po drodze swej wężowo się wijącej, rozdarł pasma gór z dziko najeżonemi grzbiety — pasma małego Tauru kurdskiego. Ujęty tu gwałtownie pomiędzy twarde ściany opoki i zmuszony zwężyć swe koryto z 300 na 80 kroków, przedarł się przecie zwycięsko lotem strzały przez czarne kamienne olbrzymy — tworząc słynne wodospady Nucharu, a potem rozpasany szałem, rozlał się pod starożytną Samosatą, po szerokiem aż na 800 kroków łożysku. Ściśnięty raz jeszcze, na 100 kroków, w najbardziej zachodnim swym załomie, u Rumkaleh, i oswobodzony ostatecznie ze srogiego uścisku skalistych ramion — właśnie nieco wyżej jaśniejącego przed nami białego zamku Biredżyku — pędził teraz niepowstrzymanie ku równinom Mezopotamii.

Zsiadłem i ja z konia, umyłem i ja twarz świętą wodą; ale gdy przyszło wstępować na korab przedpotopowego kształtu, co miał mnie przewieźć na drugą stronę, w świat nowy, na niepewną daleką wędrówkę, z której mogło się już nie wrócić nigdy, przyszły mi na pamięć inne sny dziecinne — i Eufrat popłynął przed memi oczyma wzburzoną mętno-żółtą falą, wiosennego wylewu Wisły! Istotnie, w wielu miejscach Eufrat żywo Wisłę przypomina. Nabrałem w dłoń wody — wypiłem na pożegnanie — i wstąpiłem na korab, a potem ruszyłem, na los szczęścia, w stronę Medów i w kraje dumnego Assura. Kto jednak nigdy nie był sam jeden, z ciężkiem sercem, w cudzym świecie, ten nie zrozumie potęgi przypomnień.

Drugi raz stanąłem nad Eufratem w maju, gdym przybył z Bagdadu, słynnej niegdyś stolicy chalifów, na ruiny Babylonu, u Hylleh. Rozkoszowałem się tu dni dziesięć nad jego wodami. Inny tu zupełnie charakter nosi Eufrat, niż u wyjścia z gór. Zawsze wspaniały, szeroki; ale o biegu cichym, miękkim jakimś, zniewieściałym. U jego brzegów, po obu stronach, kąpią się, w nieprzerwanym ciągu mil całych, śliczne, rozkoszne gaje palmowe, pełne aromatu sady,

a choć gdzieniegdzie zwiesza też smętnie, bardzo smętnie, swe warkocze długie wierzba babylońska, wszystko tu przecież oddycha dawną babylońską miękkością, dawną tajemniczą uroczością zmysłową, pełną powabów, pokus, przynęt.

„Nad rzekami Babylonu" nie było tak źle tym nawet, co mieli prawo płakać, zawiesiwszy lutnie na wierzb gałęziach.

Co do mnie, ja nie mogę zazdrościć nikomu: kto nie zna Hylleh — nie zna ani tych wieczorów cudnych, spędzanych nad Eufratem, o zachodzie słońca, pod osłoną granatów i palm; ani tych uroczych nocy chaldejskich, których czarem człowiek się tak napawa, wyciągnięty na płaskim dachu domostwa. Świeci tu nad nim jasna opona, osypana gwiazd miryadami, a każda gwiazdka tak blizka nad głową, że jej dosięgnąć ręką można, byle się chciało podnieść, i tylko że się nie chce — tak tu błogo marzyć, a do nieba tak już niedaleko. Na ruinach Babylonu i ja miękką rozkoszą Wschodu poiłem się do syta, i nie zazdroszczę nikomu jego północnej surowości. A Eufrat szumiał sobie cicho, smętnie, jednostajnie; ciszy zaś nocnej nic nie przerywało — chyba czasem wycie jakiej gromadki zwinnych szakalików, gdzieś w poblizkim gaju palmowym.

Minąwszy Hylleh, płynie Eufrat dalej przez coraz większe niziny; w Kornah łączy się z Tygrysem, od Bagdadu idącym,—i odtąd razem, jako „arabska" rzeka *per exc.* „Szat-el-Arabi", potężnem korytem zmierzają, mimo słynnej Bassory, do zatoki Perskiej.

Eufrat w pełnym swym biegu przepływa 373 mil geogr.; lecz prosta linia od źródeł jego do ujścia ledwie 150 mil wynosi; zato porzecze jego obejmuje 12,230 mil kwadratowych.

Lecz właściwie bliżej poznałem tę rzekę w czasie letniej eksploracyjnej po jej nurtach tego roku wyprawy, której udało mi się być uczestnikiem.

Wyprawę tę wszakże spowodowały fakta, których, dla

większego rozjaśnienia rzeczy, musimy tu koniecznie dotknąć poprzednio.

Anglicy, potężni władcy Indyi wschodnich, myśleli oddawna nad ułatwieniem komunikacyi z nową, tak ważną dla siebie, posiadłością. Chodziło im nadewszystko o skrócenie drogi i czasu. Dwie linie przedstawiały się ich widokom — Suez i Eufrat. Z tych ostatecznie linia druga, doliną Eufratu, zdawała się być dogodniejsza dla nich i bardziej dostępna; nadto samo porzecze Mezopotamii i krain przyległych przedstawiało im znaczną ponętę komunikacyjną. Rozumiano oddawna niezmierną wagę możliwego połączenia Śródziemnego morza z zatoką Perską po linii Eufratu. Skutkiem tego, już przed 40-tu laty, postanowiono linię tę rozpoznać i komunikacyę urządzić. Wyznaczono więc w tym celu specyalną ekspedycyę, której przewodniczenie powierzone zostało pułkownikowi Chesney — człowiekowi wybornie obeznanemu z miejscowymi warunkami przez podróż, jaką był sam pierwej, przed kilku laty, w eksploracyjnym celu odbył. Na użytek ekspedycyi przeznaczono dwa parostatki, zaopatrzone obficie we wszelkie środki dla wyprawy podobnego rodzaju niezbędne. Zadanie to atoli — o ile było przedmiotem niezmiernej dla Anglików doniosłości, o tyle niełatwe być się zdawało. Wzięto się tedy do przygotowań energicznie. Głębokie zaś poczucie potrzeby, podniecając zapał powszechny, musiało rokować pomyślność.

W 1835 r. pułkownik Chesney, po nadzwyczajnych wysileniach w walce z niezliczonemi przeszkodami, zdołał przewieźć materyał dwóch przeznaczonych dla wyprawy parostatków z portu Skanderuny (Aleksandretty), w północnej Syryi, na Eufrat — poniżej wzmiankowanego już Biredżyku. Tam materyał ów został złożony i dwa statki, „Tygrys" i „Eufrat", spuszczono na wodę. W początku na-

stępnej wiosny 1836 r. Chesney puścił się z niemi po Eufracie. Zrazu wyprawa szła dość pomyślnie; lecz gdy już zbliżano się ku Anah (leżącemu na jednym prawie równoleżniku z Trypolis syryjskim), niespodziana, powstała od pustyni, straszna burza, w maju, parowiec „Tygrys", u skał Is-Dżeryah, zatopiła. Ocalony przywódzca wyprawy, na drugim przecie statku, najswobodniej przepłynął cały Eufrat i zawinął do portu Buszyr u Perskiej zatoki — a nawet odwiedził Bagdad.

Lecz mimo to, przedsiewzięcie dalsze zostało przez Anglików do lepszych czasów odłożone.

Niebawem atoli zwrócono się do myśli przeprowadzenia w tym samym kierunku kolei żelaznej: na czele przedsięwzięcia znów stanął pułk. Chesney. Znacznie przed Krymską wojną jeszcze (1852 r.) nakreślono już projekt kolei. Linię prowadzono: począwszy od Suedyeh (starożytnej Seleucyi, portu w północnej Syryi), doliną rzeki Orontu, mimo Halebu do Balisu, a dalej nad Eufratem do Hitu, skąd do Bagdadu nad Tygrys i następnie już do Perskiej zatoki. Cała ta zaś przestrzeń została dokładnie zbadana przez zdolnych inżynierów, Mac-Neil'a i naszego ziomka Falkowskiego.

Wszakże i to przedsięwzięcie pozostaje dotąd bez skutku: przedsiębiorcy angielscy nie potrafili ułożyć się ostatecznie z rządem tureckim.

Tymczasem, kilka lat temu, na wielkorządzcę prowincyi Bagdadu, obejmującej całą prawie Mezopotamię — starożytną Chaldeę i znaczną część Assyryi, naznaczony został, znany później jako wielki wezyr, Midhad-basza. Był to człowiek nowych niby francuskich „alla turca" wyobrażeń — młody i przedsiębierczy: jeden z tych postępowców, co to, w imię cywilizacyjnej idei, gotowi wszystko bez względu niszczyć lub przeobrażać, wszystko jednocześnie rozpoczynać — byle zaraz, byle prędzej. Lecz nie można mu też odmówić i pewnego polotu wyższej politycznej myśli i energii

inicyatywy. Postanowił on był szczerze podnieść powierzony mu kraj i zbliżyć go bardziej ze Stambułem i Europą. Środki ku temu leżały jak na dłoni. Rozumiał on je dostatecznie; a jeśli błądził, to jedynie przez swą zapędliwość tylko. Przy takiem usposobieniu, nie było nic naturalniejszego, jak poruszyć zawieszone angielskie projekta i urzeczywistnić je—na korzyść Turcyi wyłącznie i przedewszystkiem tureckimi środkami.

Pierwszym krokiem na tem polu było urządzenie żeglugi. Sprowadzono więc do Bassory i Bagdadu kilka parowców z Anglii i ożywiono ruch na Tygrze i Szat-el-Arabie, a oto wiosną (1870 r.) wysłano i pierwszą eksploracyjną ekspedycyę po Eufracie.

Wyprawa ta wiosenna powiodła się najpomyślniej. Wysłane w marcu dwa parostatki, „Resafeh" i „Basra", posuwając się w górę, przeciw wodzie, z wielką ostrożnością a czasem i trudem niemałym, dotarły przecie aż do Balisu (Meskeneh), na wyżynę, odpowiadającą linii Halebu. A właśnie jest to punkt najważniejszy — pożądany! W tem miejscu bowiem Eufrat w biegu swym z gór Armenii, w kierunku południowo-zachodnim, minąwszy Rum-kalah, najbardziej się zbliża do Śródziemnego morza, a spotkawszy tu przeszkodę w skalistych wyżynach, ostatecznie się zwraca ku południo-wschodowi w niedościgłe okiem Mezopotamii niziny. Parostatek większy (Resafeh) pozostał był na miejscu, do dalszego rozporządzenia, na lato; mniejszy zaś (Basra) spotkałem wracający do Bassory w połowie maja, w Hylleh — u ruin Babylonu, gdzie wtedy bawiłem. Z Bassory do Balisu stracono dni 40; z powrotem do Hylleh parowiec Basra potrzebował dni 7 tylko.

Zainteresowała mnie była mocno wyprawa ta po Eufracie — już wtenczas. Zająć też mnie musiała jeszcze tem żywiej, że widziałem i w miejscowej ludności zaciekawienie powszechne do najwyższego stopnia roskołysane.

Na powitalny strzał działowy, pamiętam, cały Baby-

lon zbiegł się do mostu — chaldeje, starozakonni, prawowierni; wszelkie władze i zarządy — stan, płeć i wiek. Po całem mieście zajaśniały „sandżaki" — chorągiewki białe z czerwonem; brzmiały okrzyki, wiwatowe strzały — a wrzawa wszędy istnie arabska! Jedni Kurdowie tylko, poczciwi, stojący w Hylleh załogą wojenną, nie robili sobie nic z tego dziwu — i spokojnie spoglądali ze swych koszar wyniosłych na tłumy, nie mogąc pojąć, dlaczego to obmierzłe „arabstwo" tak się tu rozszalało, gdy widziało przecie raz już ten „frenkski" wymysł! Za to płeć piękna potomków Izraela, co nie brał widocznie na seryo skarg Jeremiasza i został na wieki w potępionym Babylonie—ta tu nadbiegła ze wszystkich zakątów ustronnych swych siedlisk. Ciekawości jej nie było granic — zapomniało się o wszelkim przymusie wschodniego konwenansu — ozdobne zasłony wypowiadały swym paniom całkowicie posłuszeństwo — a odsłonięte teraz ich piersi oddychały gorączkową niecierpliwością widzenia wszystkiego!

Co do mnie, ja nie miałem nic przeciw tak bezkarnemu nieposłuszeństwu biało-błękitnych kratkowych zasłon. Temu bowiem zdarzeniu nieskończenie jestem obowiązany, żem poznał bliżej ten piękny typ semitycki — niemało różny od dobrze znanego u nas. Typ to bliższy arabskiego, niż fenickiego — bardziej wysmukły, wściągły, mniej drobny, o obliczu owianem jakby płomiennym powiewem pustyni, mimo całej miękkości rysów. Lecz wróćmy do rzeczy.

Takie powszechne zajęcie się statkami o machinach parowych, co się w tym roku zjawiły, jakby cudem jakim, na Eufracie, dało się dostrzegać nie tylko w wielkich miastach jedynie.

Pamiętam, co mnie samego spotkało w Biredżyku, gdym w marcu jeszcze, jak wspominałem wyżej, raz pierwszy, na jakimś przedpotopowym korabiu, przepłynął Eufrat. Skoro mnie tylko dzisiejsi notable starożytnego Biru, z wyżyn swych domostw, wylądowującego w europejskim kapeluszu,

dostrzegli — wszystko się zbiegło na me powitanie! Posypały się gradem zapytania:

— Daleko tam Midhad-basza? — kiedy tu u nas ze swymi statkami stanie?

— A ty, „czelebi" — ty tu nam zaraz masz port urządzać?

— A którędyż wy kolej tu nam poprowadzicie? i t. p.

Widocznie kapelusz mój najwymowniej świadczył, żem niezawodny „mehendys"—inżynier. Wiedziałem, że napróżno się tłómaczyć, więc rad nie rad musiałem zasiąść w pierwszej nadbrzeżnej kawiarni i, w obliczu wspaniałego wiosenną swą potęgą Eufratu, kreślić podanym cybuchem na piasku, jakto „Inglizy" (Anglicy) połączyć koleje z żeglugą zamierzają. Nie trudnem mi to było, bo rzeczywiście słyszałem był już w Halebie o tych zamiarach. A w ten sposób tylko zdołałem się uwolnić od coraz świeżej kawy i coraz nowych zapytań. Milczenie zaś moje nadto poważni „agowie" za wyraz najwyższego lekceważenia by wzięli!

Gdy się wiosenna wyprawa dość powiodła, postanowiono następnie przekonać się, na ile Eufrat latem żeglownym się okaże — przy nizkiej wodzie, w czasie skwarów największych.

Bawiłem pod tę porę w Kerbelah — w słynnej z czasów pierwszych chalifów oazie Kufah, za Eufratem, na samym rębie palącej pustyni. Tu, na tem świętem miejscu surowych szyitów, u grobu niewinnie tu zamordowanego chalifa Husseina, ulubionego wnuka proroka, przy jego cudnie wspaniałej „dżamii", obchodziłem — ostrożnie, przezornie, we wschodnim stroju, w towarzystwie oficerów kurdskiej załogi, z rewolwerem każdej chwili na pogotowiu — ostatnie dni największej Persów dorocznej uroczystości. Było ich tu w tym roku kilka tysięcy koni — lud ze wszystkich kończyn Iranu. Do syta tedy rozkoszowałem się — wśród pysznej świątecznej obrzędowości dziwnego tego dla nas, pod każdym względem, świata! Lecz czas już było myśleć o po-

wrocie: chodziło mi już tylko o zdobycie sobie tu odpowiedniej pamiątki; ale w Kerbeli ani „złamanej" karabeli już nie znalazłem. Tempora mutantur!

Nie potrzebuję tedy tłómaczyć, do jakiego stopnia rad byłem, gdy mi z Bagdadu, w początku czerwca, zaproponowano należenie, w charakterze gościa (musafir), do nowej wyprawy po Eufracie.

Rzuciłem się do tego oburącz i wcale zapomniałem o innym, fantastyczniejszym, zamiarze — powrotu do Europy przez Perską zatokę i morze Arabskie. Podróż po Eufracie, owej rzece mistycznego majestatu — w rozmarzonej religijnie wyobraźni naszych lat dziecinnych, była i dla trzeźwiejszego umysłu zanadto pociągająca!

Z upragnieniem tedy czekałem na wieść o przybyciu parostatku, który był przeznaczony dla dokonania drugiej ekspedycyi. W Musseibie, najbliższym punkcie od Kerbeli nad Eufratem, miał on stanąć koniecznie tymi dniami. Ale znałem już dostatecznie porządki tureckie, aby być pewnym największej niepewności. Wolałem więc pierwej odwiedzić jeszcze raz Bagdad dla zasięgnięcia tam ostatecznych informacyi.

Dopiero tedy 22 czerwca pożegnałem, może na zawsze, głośną niegdyś świetnością swą, stolicę Haruna-al-Raszyda!

---

23 czerwca.

Po całonocnej raźnej podróży w zaimprowizowanej karawanie, wyjechawszy z Bagdadu o zachodzie słońca, stanęliśmy nad Eufratem, w Musseibie, o świcie.

Oczekiwany parowiec jeszcze był tu nie nadszedł. Byłem teraz już niby pewien przecie, że zamierzona wyprawa musi przyjść do skutku: rozkaz wielkorządzcy był nieodwołalny; wreszcie w agencyi głównego zarządu żeglugi w Bagdadzie najuroczyściej zaręczono mi, że parostatek, przezna-

czony ku eksploracyi rzeki, Bassorę już opuścił i popłynął w górę.

Gdyśmy zaś, z dwoma mymi towarzyszami z Bagdadu, nie znaleźli miejsca dogodnego, tuż nad rzeką, od przyjazdu, najspokojniej ruszyliśmy przez most na drugą stronę ku obszernemu perskiemu chanowi, gdzie postanowiliśmy wyczekiwać przybycia statku.

Godziny mijały — parowiec nie przychodził — czekaliśmy napróżno. Niecierpliwość nasza nie miała granic. Położenie zaś stawało się tem dokuczliwsze, ile że przywykłym w większych miastach do „serdab'ów"—podziemnych i znakomicie wentylowanych na lato mieszkań — okropny skwar przy zbliżającem się południu zdawał się nie do zniesienia, a w naszym chanie skryć się gdzie nie było. Nikomu też z nas nie starczyło odwagi przejść się po słońcu paręset kroków i w sadzie przy „konaku" — dworze zarządzającego pobliższą okolicą „kajmakama"—znaleźć choćby słaby cień jakiej palmy lub granatu i orzeźwić się choć jaką taką ogrodową świeżością powietrza. Co gorzej, w razie decyzyi nawet, trzeba było rzeczy nasze rzucić na los szczęścia — bo pilnować je nie byłoby komu.

Chan, w którym się zatrzymaliśmy, jest to obszerny czworobok na jakie kilkaset koni, otoczony mocnymi mury, mogącymi służyć do zbrojnej obrony w razie potrzeby. Mury te, wzniesione z niepalonej cegły, w prostym lecz pięknym oryentalnym stylu, obejmują zarazem—obok a równolegle — i stajnie dla koni i miejsca dla podróżnych. Wjeżdżając przez jedyną bramę na rozległy dziedziniec, widzi się dokoła onego niezliczoną ilość, po liniach czworoboku, większych i mniejszych głębokich nisz owalnych, symetrycznie ułożonych; — i te to ustępy otwarte, te to nisze właśnie stanowią miejsca wypoczynku dla podróżnych. Pomiędzy murem obwodowym tych nisz a murem zewnętrznym, równie podobnemi niszami opatrzonym, idą obszernymi korytarzami linie stajen, do których prowadzi wy-

soka otwarta brama w każdej linii. Na środku dziedzińca zalega dość wysokie, równie murowane, wzniesienie płaskie— dla podróżnych w czasie noclegu; podobnie wygodny nocleg stanowi i płaski dach całego zabudowania. Lecz na dziedzińcu tu, na nieszczęście, ani studni, ani fontanny zwykłej!

I oto w takiej to gospodzie, w jednej z takich framug otwartych, rezygnacyjnie mieliśmy czekać na parostatek, nie wiedzieć jeszcze jak długo. Tymczasem słońce prażyło niemiłosiernie i wypędzało nas z miejsca na miejsce, stosownie do tego, jak zaczęło gdzie bardziej dokuczać. Za to swobodę wyboru mieliśmy największą!

Chan ten nie był przecie własnością miejscowych Arabów, lecz dziełem pobożności perskiej.

Poza Musseibem, ku pustyni Kufy, leży, jakeśmy widzieli, znakomita Kerbela, z grobem imama Husseina — syna Alego a wnuka Mahometa, miejsce święte szyitów. Persowie, gorliwi wyznawcy tej sekty, odbywają nieustanne tu pielgrzymki. Dla dogodności tedy pobożnych pątników w obcym kraju, po całej linii od perskiej granicy (Hanekinu), przez Bagdad, do Kerbeli, powstały, ofiarami bogobojnych a możniejszych wyznawców, owe dobroczynne zakłady, owe gospody obszerne — chany, jakie spotyka co parę godzin podróżny, a z których jeden i Musseib posiada.

Chan taki ma tylko nagie mury, nadto nic więcej. Każdy ma prawo doń zajechać i nikomu nic nie płaci. Nawet porządku nikt tu nie pilnuje; jest tu wprawdzie „chandży" — zwykle biedne stare Arabisko, co przed wyjazdem o „bagszysz" poprosi; ale ten na wiatr się spuszcza — potężny „sam" („samun") wszystko mu we właściwej porze zamiata! Podróżny sam się tu rozgospodarowuje jak mu się podoba — umieszcza konie, zajmuje niszę, rozciąga pościel i nieci ogień. Oczywiście wszystko się ma z sobą. A jak w Musseibie — to niczego nawet nie brak: dostanie mleka wszelkiego rodzaju, jaj, owoców, kur, baraniny. I czegóż więcej jeszcze oryentalny podróżny wymagać może?!

W podobny sposób i myśmy się urządzili. Było nas trzech, cośmy razem przybyli z Bagdadu: Chawadża Isa, chaldejski katolik — „kiatyb" (pisarz) na parostatku; młody negocyant halebski s-r Tomasso Prelorenzo, Lewantyniec włoskiego pochodzenia, i trzeci ja. Nie brakło mi więc na towarzystwie: było ono nawet bardzo interesujące dla mnie, mimo, że europejskim wymaganiom wcale nie odpowiadało. W podróży mej szukałem przedewszystkiem Azyi, a właśnie obaj towarzysze moi byli Azyatami do szpiku kości, chociaż młodszy z nich posiadał zachodnią ogładę i mówił wcale dobrze po francusku. Nie odrazu wszakże poznałem ich istotniej.

W dniu tym wielce obowiązany byłem mym towarzyszom. Upał, przechodzący zapewne 35° R., do takiego stopnia mnie obezwładnił, że nie byłem zdolny do niczego, czułem się w najnieznośniejszym stanie, a poruszyć się nie chciałem — nie mogłem! Kiedyś nie rozumiałem owego kozackiego wnuka z Zadnieprza, który, leżąc pod gruszą, obliczem do słońca, połykał ślinkę na widok spadających tuż koło niego owoców dojrzałych, soczystych, a lenił się podnieść, czekając, nim jaka gruszka sama mu do ust nie wpadnie. Ze mną teraz jeszcze gorzej było: owinięty w „anterieh" arabską, nie poruszyłbym się nawet dla przychylenia sobie królestwa niebieskiego, jak to mówią, gdyby nademną było tuż zawisło. Za to towarzysze, żartując z mej północnej niewytrwałości, ożywiali mnie jak mogli. Chaldejczyk, rozniecíwszy w sąsiedniej framudze ognisko, przyrządzał od czasu do czasu wyśmienitą kawę; Lewantyn bawił nas świeżutkiemi anegdotami z Bagdadu. Śmieliśmy się tedy wszyscy do upadłego, wspominając, z jakim dowcipem wyrafinowanej ironii Beduini pobliższych „aszeretów" (pokoleń) wymijają nakazy kapryśnej fantazyi liberalnego satrapy i dworują sobie najzabawniej z zabawnych często zachcianek Midhada-baszy, co do uprzyzwoicenia naprzykład patryarchalnego dolnego ubioru Arabów...

W chanie oprócz nas ani jednej duszy z gości nie było — cisza najuroczystsza, czasem tylko samun na dziedziniec zawitał, zasypał nam oczy piaskiem i śmieciem — i znów poszedł w pustynię. W bramie tylko siedział w niszy piękny siwobrody starzec i owoce sprzedawał; a przed bramą na słońcu oddawał się sennej kontemplacyi nasz domniemany „chandży", otoczony gromadką psów poczciwych, równie jak on kontemplujących świat z całą oryentalną powagą.

Pod wieczór ruch się ożywił: wjechało kilkadziesiąt koni Persów, wracających z pielgrzymki do Kerbeli, na krótki tu wypoczynek, by następnie na całą noc ruszyć. Wszystko butne, strojne i zbrojne — same kontusze, bekiesze, żupany, sukmany — niby zmartwychwstała szlachta XVI wieku. Konie dobre — nie owe wypieszczone złotowłose, lecz silne podróżnicze, anatolijskie przypominające, o harmonijnych kształtach i ogniu żywym — w sutych rzędach, ojuczone ciężko. Najsilniejsze z nich, najspokojniejsze, idą pod „kołyskami". Zawieszone one równoważnie po obydwóch stronach siodła (mocnej „samary"), objęte z góry kabłąkami, ociągniętymi kitajką zielonej — świętej pielgrzymów barwy. Z pod namiocików tych często bardzo piękne duże oczy — niekoniecznie czarne — wyzierają, piękne długie warkocze córek Iranu — niekoniecznie ciemne — dają się widzieć; częściej przecie wyglądają z nich wesolutkie twarzyczki ślicznych dziewcząt, anielsko promieniejących. Bogaci bowiem Persowie pobożni zabierają nieraz do miejsc świętych, na „odpust" imama Husseina, całą swą rodzinę — żony i dzieci. Oczywiście mały chłopczyna trzyma się grzbietu konia, obok ojca lub sługi; dziewczęta z matką w kołyskach.

Mieliśmy właśnie na dziedzińcu kilka par takich kołysek. Kobiety i dzieci wnet powysadzano i porozsadzano po gościnnych framugach. Mężczyźni zaniecili ognie, płeć piękna poczęła się koło nich krzątać — cóż po tem? — przy-

zwoitość nie pozwalała pod żadnym pozorem tam się zbliżyć! Za to pasłem oczy rozkosznie, przypatrując się dziatwie, co, znudzona podróżą, teraz, niby pomagając matkom, najswawolniej po ocienionej stronie dziedzińca w pobliżu nas biegała. Cóż to za śliczne stworzenia! Gdybym był malarzem, umiałbym co innego podać o Wschodzie — a nie owe bezdusznie konwenansowe sceny haremu, płód pustych urojeń europejskiej fantazyi.

Z chylącem się słońcem Persowie odjechali, a na naszem podwórzu znów zaległa cisza. Znużeni całodziennym skwarem, bylibyśmy się już zabrali na dobre do spoczynku, mimo zbliżającej się rozkoszy pojenia się widokiem gwiaździstego chaldejskiego nieba, gdyby nie niespodziana wizyta podobnych nam podróżnych. Byli to dwaj młodzi Turcy, równie oczekujący tu na parostatek: Szakir-eff. i Mehmet-eff., wojskowi z pułku irackiej jazdy, konsystującego w Hylleh (Babylonie) — obecnie na urlopie i w drodze do Stambułu. Jako effendyowie i sułtańscy urzędnicy, zatrzymali się oni w „konaku" naczelnika obwodu — kajmakama. Lecz, mimo to, nie byli pewniejsi od nas co do stanowczości projektowanej podróży wodnej. Przyszli tedy właśnie nas pozdrowić i dowiedzieć się, co istotnie należy rozumieć o tem, że statek nie nadchodzi, bo kajmakam nic z urzędu nie wie i radzi im nie czekać, a ruszać przez pustynię na wielbłądach. Nie chcieliśmy wierzyć robionym przypuszczeniom, mając między sobą i urzędnika oczekiwanego parostatku, wracającego od rodziny na obowiązek; ale obeznani z tureckimi porządkami, nie mogliśmy być pewni naszej wiary.

Oburzeni na samą myśl zawodu, wetowaliśmy więc za swoje, wymyślając pospołu na opieszałe nieznośnie „jawasz, jawasz" — Osmanów! Rozstaliśmy się — obiecując, bądź-co-bądź, trzymać się już razem.

24 czerwca.

Słońce nie zdołało jeszcze wznieść się ponad mury naszej gospody, gdyśmy się już pytali wzajem, czy nie słychać było świstu nadchodzącego parostatku. — Nie słychać! — Milcząco wzięliśmy się do ognia i kawy, a odwiedzające chan co rano kobiety przyniosły nam wybornego „kajmaku". Jest to we właściwy sposób przyrządzona prażona śmietanka, ulubiona jako największy przysmak na całym Wschodzie. Przyniesiono nam następnie i dość dobrego winogronu do „semitów" — ryżowych bułeczek, na śniadanie.

Ranek był śliczny — czas niepostrzeżenie ubiegał — mieliśmy już około godziny 8-ej. Wtem wpada na dziedziniec tłum Arabiąt, wołając: „merkeb"! „merkeb"! — zrozumieliśmy, iż zbliżający się parostatek już dostrzeżono. Przekonać się było łatwo. Istotnie — zawiedzeni nie byliśmy — parostatek zawijał ku mostowi u przeciwległego brzegu i przybyciem swem wywołał do ruchu wszystko, co żyje.

Teraz już tylko chodziło o to, jakby się na pokład dostać; lecz nie było to wcale łatwe: właściwe miasto leżało po lewej stronie rzeki, po naszej w pobliżu konaku i chanu rozrzucone były tylko liche lepianki ubóstwa, nie mogącego mieć sprzężaju. Mój zaś młody negocyant wiózł z sobą kufry i skrzynie, co niełatwo dawały się przenieść. Znalazło się przecie i parę osiołków. — Ruszyliśmy tedy na most, pędzeni nieświadomym dziecinnym pośpiechem. Drobniejsze moje pakunki zabrał był jakiś stary Arab, co się na razie nawinął; złożył je w swą opończę (aba), poły onej związał i dźwignął na kark, opierając węzeł tych pół o czoło. Nie wiodło mu się to jakoś, pakunki rozpadały się; radziłem mu, żeby zawinięcie, nie ciężkie wcale, poprostu zarzucił na ramię, po naszemu; lecz ze zdumieniem przekonałem się, że to było nad jego siły — nie zdołał nieść ciężaru inaczej, jak pomagając sobie czołem. Przyzwyczajenie

to powszechne Arabów; ile wszakże w tem zasady fizycznej—nie wiem; wiem tylko, że i woły tam ciągną pług czołem, rogami.

Weszliśmy na most—budowa to na łyżwach: obszerny pomost drewniany, rzucony na wyciągnięty wszerz rzeki szereg kilkudziesięciu łodzi i opatrzony poręczami. Łodzie smolone asfaltem i obite trzcinowemi matami od słońca. Most, względnie biorąc, wcale porządny: nie potrzeba tu wcale zsiadać z konia lub zsiadłszy być w ciągłem niebezpieczeństwie wywichnięcia sobie nogi, jak w słynnej stolicy chalifów, Bagdadzie. Most to nadzwyczajnej wagi: razem z podobnym w Hylleh, są to dwa jedyne przejścia przez Eufrat z wielkiej pustyni ku Chaldei i Mezopotamii. Tędy to Beduini przychodzą po ryż i daktyle; tędy Persowie idą do miejsc świętych. Myto więc mostowe stanowi największy dochód całego obwodu. Stąd i sam Musseib stanowi nawet niemałej wagi punkt strategiczny. Wagę jego nadto podnosi i żeglowny kanał, idący z pobliża, od Eufratu, ku Kerbeli i dalej.

Przeznaczony na ekspedycyę parostatek „Frat" (Eufrat) był duży i porządny, a nadto urządzony odpowiednio wymaganiom klimatu—z górnym pokładem przez cały statek, który osłaniano rozpinanym namiotem. Zastaliśmy na nim ruch nadzwyczajny—trudno się było przecisnąć przez tłumy ciekawych, dzieci osobliwie. Oczywiście umieściliśmy się nie na dolnym pokładzie w kajutach, lecz na górnym—pod namiotem. Nikt nas o nic nie pytał — i na razie nikogo ze starszyzny nie znaleźliśmy. Nie obchodziło to mnie też wcale; więc rozesławszy sobie trybem oryentalnym dywan, spokojny już sam, najspokojniej począłem przypatrywać się zaanimowanym grupom malowniczym. Lecz dokuczyła mi nakoniec taka nieruchomość. Dowiedziałem się, iż parostatek cały dzień ma przestać, nim się zaopatrzy w zapas niezbędny drew; więc powierzywszy swe rzeczy opiece towarzyszy, udałem się na miasto, na bazar.

Po drodze spotkałem, znajomego mi z poprzedniego tędy przejazdu, naczelnika straży wewnętrznej Abdułłah-agę. Było to bardzo poczciwe Turczysko, miałem względem niego obowiązek wdzięczności, a że wiedziałem, ile herbatę lubi, zaprosiłem go na „czaj" i „nargile". Zwróciliśmy więc do najbliższego czajnika Persa — „kajnardży". Upodobanie w herbacie jest zupełnie perskie, Arab przenosi swą kawę; lecz tu, gdzie tyle tysięcy Persów rok rocznie przejeżdża, użycie herbaty i dla miejscowych stało się znane. Jest też tu kilka herbacianych ustroni. Persowie w różny zupełnie od naszego sposób przygotowują swą herbatę; wielce nam się jednak ona podoba: podają ją w małych szklaneczkach— bardzo mocną, słodką i gorącą. Przekonałem się też, iż w czasie upału jest doskonała; neutralizuje bowiem znakomicie gorąco zewnętrzne.

Abdułłah-aga, pomimo iż taki srogi dostojnik, był postacią nadzwyczaj familiarną na bazarze — nikt go się nie bał i wszyscy lubili. Był to powszechny rozjemca stron spornych. Niewielkiego wzrostu, nie pierwszej już młodości, zawsze w swym jedynym granatowym mundurzyku, z wojskowa opiętym a z turecka rozchłestanym, w białych szerokich „szalwarach" a zarzuconym w tył fezie, przy nieodstępnej szabli — przechadzał się on po krytym od słońca bazarze z całą zabawnością swej powagi. Nic on nigdy nie miał i żył tylko z „bagszyszów" — darów: tu sobie kapczuch tytoniem napełni, tam na kawę wstąpi, ówdzie go na „kebab" (pieczyste) zaproszą; a gdy do domu wraca, zwykle któryś z młodszych „zaptieh" niesie za nim w „zimbilu"— z liści palmowych plecionym koszu, nie tylko ogórki i kawony lub bryłę daktyli, ale ryż, „jourt" (rodzaj mleka kwaśnego), a nawet i mięsa kawał. Niezbędne to przy serdecznej gościnności Abdułły! Za to też on pilnuje porządku i na bazarze: psa spoczywającego wyminie przyzwoicie, jakiemu młodemu próżniakowi po karku machnie, derwiszowi „alejkium selam!" majestatycznie odpowie, wadzących się

rozbroi, między układającymi się dobije targu, choć sam mocno prawowierny, ujmie się zawsze zą krzywdzonym Izraelem (bez którego cóż na świecie!), pogdera na niegodziwych Arabów, że też dotąd się jeszcze porządnie po turecku nie nauczyli — i świat—„dunia" stoi jakoś: jest Ałłahowi cześć, padyszachowi sława, kajmakam rad i nasz Abdułłah zadowolony z siebie! Choć nie żonaty—co rzadkie u prawych moslemów, nie jest on obojętny wcale na wdzięki płci słabszej i mistycznie się uśmiecha na wspomnienie uroczych Persyanek, a w dobrym humorze umie nawet coś o tem opowiadać, bo był dawniej sam w Kurdystanie u granicy perskiej od Sulejmanieh. Koniec końców, jedyny człowiek na cały Musseib — nic bez niego: i parostatek by nie poszedł, gdyby był nie napędził „fellahów" do noszenia drzewa. Lecz jak to tam bywa w pościgu za Beduinami— tego to już nie wiem; choć pod naszym agą arabczyk tęgi, a pod jego młodzieżą takie wierzchowce śliczne, że aż zazdrość bierze.

Samo miasto Musseib, przed wieki znane jako Sefarwaim biblii, dziś niczem się nie różni od innych w tym kraju. Ulice wązkie, kręte, nieporządne, domy z niepalonej cegły o płaskich dachach, a bazar kryty i dość zaopatrzony w potrzeby dla podróżnych; nadto nic więcej. Ludność parotysięczna, złożona z Arabów szyitów, wśród niej nieco Żydów i Persów, i władze tureckie. Lecz przyszłość tego miasta może być bardzo świetna, skoro się ustali żegluga parowa po Eufracie i dojdzie do skutku zamierzona kolej z Bagdadu do Kerbeli. Musseib wtedy zostanie jednym z główniejszych portów i ważną stacyą kolei. — „Inszałłah"! — daj to Boże! ale dalekie to są jeszcze widoki.

Pod wieczór zebraliśmy się wszyscy na parostatek: s-r Tomasso i urlopowani do Stambułu effendyowie. Poznałem kapitana statku i jego zastępcę, przyjrzałem się niezmiernie oryginalnej statku załodze. Wielkorządzca kraju Midhadbasza przysłał był i swego adjutanta, co miał towarzyszyć

wyprawie i z urzędu ułatwiać jej wszelkie środki niezbędne; lecz ten gościł dziś we dworze kajmakama.

Namiot nasz ściągnięto, słońce spoczęło gdzieś na pustyni wielkiej — „czoll", Eufrat na chwilę rozpromieniony przygasał, w oddali cienie na palmowych gajach spoczęły; a my we czterech, rozgospodarowawszy się na górnym pokładzie, idąc na spoczynek, przemyśliwaliśmy, wszyscy zapewne — gdybyż to prędzej powiedzieć ostatnie pożegnanie tej Chaldei, z którą każdego z nas tak wcale różne stosunki wiązały! Za to też, ja przynajmniej, nie mogłem napatrzyć się pożegnalnie na owo niebo chaldejskie, dobrze mi znane, którego każda gwiazdka była i teraz tak mi blizka, jak dla tych pasterzy zamierzchłych podań, co dali początek astronomii.

A każda gwiazdka jaśniejsza, każda konstellacya ma tu swoją tajemniczą legendę; a cały firmament — osłonięty mistyczną historyą, niemniej fantazyi pełną, jak powieści tysiąca i jednej nocy. Gdy się człowiek obędzie ze Wschodem, gdy się nasłucha tych dziwów arabskich, śni mu się to później nieraz noc całą, nim aż jutrzenka—owa promieniejąca swą czystością dusza cudnej a niewinnej Anahid — stanie z lirą na czele wspaniałego gwiazd chorowodu; a oblicze jej jasne obudzi, raz jeszcze, nowe porywy rozpaczy w sercu jej zawstydzonych uwodzicieli. I tak ma być już do nieskończoności. Do sądu ostatecznego bezecni upadli aniołowie, Harut i Marut, będą się za to męczyć srodze w zaczarowanej studni; gdy nas tu piękna Anahid co poranku do życia wabi!

25 czerwca.

Równo ze świtem już było wszystko gotowe do odjazdu: kapitan stał przy sterniku, u steru naprzeciw nas, a tuż przy nim miejscowy przewodnik — „kałauz", mający wskazywać drogę. Most rozwarto, parostatek cofnął się

w tył, zwracał się, nawracał i nie mógł jakoś wprost przerznąć się otwartem przejściem. Przyznam się, nie mogło to być zapowiedzią, upewniającą nas o dzielności przewodnictwa zamierzonej samodzielnie przez Turków ekspedycyi! Przebyliśmy most, jazda poszła żywiej. Pruliśmy swobodnie szeroki, żółty Eufrat, co tu Wisłę u Warszawy przypominał niemało. Musseib w oddali pięknie się rysował, nikł, tylko palmy długo wyglądały ku nam. Postać ogólna krajobrazu poczęła przybierać charakter pustyni, lecz brzegi same po obydwóch stronach były dość ożywione, dość uprawne nawet. — Biedny „fellah"—rolnik już ciągnął mozolnie bawolą torbą dobroczynną wodę Eufratu na swe skromne pole, a konny jego wodociąg, nad samą urwą brzegu na bloku urządzony, nadzwyczaj patryarchalnie wyglądał.

Równina bezgraniczna, gliniasty grunt wszędy urodzajny, choć wypalony od słońca, od czasu do czasu obok ruin bogatych miast starożytności ślady dawnych użyźniających kanałów, z których najznaczniejszy Nahr-Malcha — królewski, nieme świadki świetnej, pełnej życia przeszłości kraju. Dziś kanały zasypane, zawiane; lecz jutro — znów mogą popłynąć jeszcze żywą wodą; Chaldea znów może zazielenieć bujną roślinnością pól i sadów: życie wciąż się odradza — znów poczyna świtać ono i nad Azyą — „Ałłah ekber"!

Płynęliśmy samym środkiem rzeki, rzadko tylko czasem zwracając się ku lewemu onej brzegowi — głąb wody wystarczała wszędzie. Przewodnik nasz, pewny siebie, wspaniale wyglądał u wyżyny steru. Był to starzec, najmniej lat 60-ciu, słuszny, wysmukły, atletycznej budowy, z twarzą, na której się wyrażał spokój i rozum. W prostym swym stroju, miejscowym arabskim — w długiej białej bawełnianej koszuli, spiętej szerokim rzemiennym a wzorzystym pasem; okryty do stóp długą z wielbłądziej szerści, w szerokie pasy — białe z brunatnem, opończą („aba"); w sandałach lekkich a szeroko mu na ramiona spadającej błękitnawej chuście

(„kefieh"), spiętej na głowie grubą wielbłądzią, w kilka sznurów, przepaską („egel") — wyglądał on, przed oczyma wyobraźni, jakby przywódzca jakiej na północ wyprawy z prastarych czasów Babylonu, czarodziejską siłą do życia dziś przywołany! Sprzeczne otoczenie nie niszczyło tego wrażenia. Żal mi było mocno, że nie mogłem bliżej poznać tego człowieka — po turecku nie mówił ani słowa. Miał on znać wybornie i tradycye i stosunki miejscowe, a co więcej, posiadać obszerne znajomości wśród sąsiednich „aszeretów" (pokoleń) beduińskich.

Na całej tej przestrzeni szerokość średnia Eufratu wynosi od 300 do 400 kroków; zwykła głębokość ma 15 stóp, a nawet przy najniższej wodzie, jak teraz właśnie, stóp 5; prąd zaś wody, przy wezbraniu, nie przenosi $2^1/_2$ węzłów na godzinę. Płynie tu Eufrat powoli, majestatycznie, ciężko. Wszakże miejscami głębokość jego w czasie pełnej wody dochodzi do 42 stóp.

Po drodze wszędzie było widać powszechne zainteresowanie się: ludność nadbrzeżna, co widziała wiosną dwa pierwsze parostatki jak dziwne widma pędzące, lub słyszała tylko o nich, zbiegała się teraz, by się przyjrzeć bliżej tym cudom giaurskim.

Stosownie do tego jakeśmy się posuwali dalej na północ, wybrzeża przybierały coraz bardziej coś z charakteru pustyni. Po prawej stronie rzeki, na lewo od nas, spotykaliśmy liczniejsze namioty Beduinów, liczniejsze stada ich wielbłądów. Jest coś niezmiernie ujmującego, niewypowiedzianie patryarchalnego w widoku tych namiotów, stad i trzód tutaj: to jakby żywa illustracya do tekstu ksiąg świętych. Obrazy takie nigdy dla mnie nie traciły swego uroku; lecz dostrzegłem, że i towarzysze moi oryentalni rozkoszowali się niemniej w nich odemnie. Wszyscyśmy byli zwróceni w jedną stronę.

Przyłączył się do nas i adjutant wielkorządzcy Tachsilbej, który miał właśnie z urzędu przewodniczyć wyprawie.

Był to człowiek młody, bardzo przystojny, prawdziwy panicz stambulski, co przybył do Iraku z Midhad-baszą rozpocząć na tej ukrainie ottomańskiej karyerę swą polityczną. Zbliżyliśmy się odrazu: mieliśmy w Bagdadzie wspólnego znajomego, którego on, za przykładem swego protektora, wysoce poważał. Temu stosunkowi zapewne zawdzięczam w znacznej części i ową uprzejmą grzeczność, jaką mi dumny Stambulczyk w ciągu całej podróży okazywał. Wreszcie Tachsil-bej o ile był dumny z poruczenia, jakie mu dano, o tyle tem bardziej pałał wewnętrznem pragnieniem zdobycia sobie uznania u Europejczyka, że jest się tego godnym. Po francusku nie mówił; więc bał się tem bardziej, żeby go nie wzięto za jakiegoś pospolitego Turka.

Potrzebował niemniej uznania i sam nasz kapitan Mohammed-eff., choć skądinąd wręcz przeciwnych usposobień z wykwintnym bejem. Mohammed-eff., Bagdadczyk rodem, był to sobie szczery Arab, pełen prostoty i trzeźwości umysłu, poważny i czynny. Na bronzowem opalonem jego obliczu pałała namiętność południowa, w każdym jego ruchu widać było niecierpliwą krewkość; ale panował on nad sobą najwielowładniej. Nie posiadał on najmniejszego wykształcenia, nad umiejętność czytania koranu nie sięgnął, a o żegludze tyle miał tylko wyobrażenia, ile go nabył praktycznie, służąc od dzieciństwa na statkach bassorskich, chodzących po arabskim „Szacie". Powierzono mu zaś parostatek, jak innym jego towarzyszom podobnie uzdolnionym, dlatego, że chciano się od cudzoziemców uwolnić, a sterować po znanej dokładnie tam wodzie nie było trudne. Lecz torować sobie pierwszemu drogę, jak teraz właśnie, po niepewnym Eufracie, na którym sami Anglicy, jak podanie niosło, stracili statek, — było rzeczą inną. Czuł to doskonale nasz poczciwy „kapudan-baszy", był niezmiernie ostrożny i skromny.

Na nikim więc nie było tyle widać wewnętrznego zadowolenia z tego, że się oto nasz parostatek tak wspaniale

i swobodnie posuwa naprzód, jak na nim. Rozpromieniony radością a podniecany naszym dobrym humorem, opowiadał nam najnieprzymuszeniej i z dowcipem pewnym, ile to on trudów już musiał przebyć — jak po wejściu na Eufrat przy końcu maja zastrzągł w mieliznach, między Samawah i Lamlun, że go paręset spędzonych Arabów wyciągać musiało; jak zarazem Beduini Dahary zastąpili mu przejście i nie chcieli go puszczać w górę, że aż do siły zbrojnej odwołać się było potrzeba i t. p. A teraz „inszałłah", zobaczym!

Ku wieczorowi znaleźliśmy się wśród bardzo ożywionej okolicy. Na lewym brzegu rozciągały się niewielkie zarośla, poza niemi widać było gęste dość namioty, a dalej, dalej na widnokręgu pasły się rozproszone liczne stada — owiec, koni, wielbłądów. Za naszem zbliżeniem gromadka ludu zbiegła się nad brzeg; podjęto dziki okrzyk, a jeden z Arabów wystrzelił ku nam — raz i drugi.

— Co to jest?!

— To na cześć padyszacha! — odpowiada z ironicznym uśmiechem kapitan.

— Ja im łotrom zaraz w imieniu sułtańskiem odpowiem, — woła zapamiętale lejtenant statku Hassan-eff., Turek rodowity, i porwał się do nabijania działa, jakieśmy mieli na dolnym pokładzie.

— Do broni! — i dwudziestu chłopaków z batalionu strzelców, co stanowili załogę parostatku, chwyciło za swe sztucery.

Stało się to wszystko w jednej chwili — awantura była gotowa. Lecz adjutant rozsądnie, w porę, powstrzymał ten zapęd.

— Mam rozkaz wyraźny, powiada mi, unikać zajść: udamy, że to bierzemy za powitanie.

— Więc Beduini nieprzyjaźni żegludze? — pytam.

— Oczywiście! — odpowiedziano.

Czują, o co chodzi; za to fellahy radzi niezmiernie!

Na nocleg stanęliśmy naprzeciw dawnego zamku Feludżeh na lewym brzegu, dziś w zwaliskach.

Feludżeh leży pod 33° 21′ 9″ szer. i 43° 48′ 22″ dług. geogr.

Było to niegdyś znaczne miasto chalifów, nim nie zostało, razem ze stołecznym Bagdadem, leżącym stąd tylko o 7 mil drogi, zburzone przez potomka Czyngis-chana Hułagu 1258. Lecz dogodne położenie pomogło mu wynieść się znów wprędce do znaczenia. Stanął tu piękny zamek obronny; a most na Eufracie prowadził kiedyś tędy tysiące pielgrzymów, udających się do swiętych grobów Alego i Husseina. Pod osłoną mocnych murów Feludży i ludność rolnicza oddawała się tu swobodniej pracy, mając zabezpieczone schronienie dla swych zbiorów. Co zaś najwięcej może podnosiło miasto — to kanał Saklawyeh, nieco wyżej onego poczynający się a łączący Eufrat z Tygrysem w pobliżu Bagdadu. Feludżeh przez to stawało się naturalnym portem stolicy. Jeszcze w 1838 r. przejechał tędy na swym parowcu, pomimo największych przeciwności, pułkownik Chesney do Bagdadu, potrzebując na przebycie 9 mil drogi 4-ch dni czasu. Tu też właściwie rozpoczynała się, idąca ku Babylonowi i dalej, kraina kanałów i wylewów — najurodzajniejszy ogród świata, słynnie bogata, tłusta ziemia chaldejska. I dziś jeszcze wylewy dobroczynnej rzeki utrzymują tu niesłychaną żyzność. Lecz zanim ludność znów pocznie z darów natury należycie korzystać, ileż to jeszcze czasu przejdzie!

Eufrat w tem miejscu, z powodu znacznych nieco wyżej zalewisk, zwęża się do 250 kroków; prąd zaś wody na całej przebytej od Musseibu przestrzeni, nawet w czasie wezbrania, zaledwie $2^1/_2$ mil ang. na godzinę wynosi.

Niedaleko od Feludżeh leży, pamiętne nieszczęściem Cyrusa młodszego, pobojowisko pod Kunaksa.

26 czerwca.

W krainie słońca — człowiek ze słońcem przebudza się i kładzie do spoczynku. O pierwszym więc brzasku

wszystko już było w ruchu na naszym parowcu. My przecie — goście, podróżni — roztasowani na naszych dywanach („sedżadeh") na górnym pokładzie, nie potrzebowaliśmy się ruszać z miejsca, by się poić widokiem nieopisanego majestatu wznoszącego się półsennie, poważnie słońca, które za gruzami Feludżeh, gdzieś jakby z krain Ormuzda ku nam z pozdrowieniem witało. Godzinę całą, nieruchomie i niemo, przypatrywałem się z największem ożywieniem coraz to wspanialej roztaczającemu się przedemną widokowi. Cóż bo za różnica wschodu słońca u nas, na stepie nawet — w Ukrainie czy Zaporożu, a tu, w pustyni, ogarniającej dziś już i obfitą niegdyś Mezopotamię! Na stepie słońce—to gość niebiański, z wdzięcznym uśmiechem na obliczu, zwiastujący zieloność i życie, choćby te i pod opromienioną białą szatą śniegu ukryte było. Tu, w pustyni, to bóg pogański groźny, surowy, straszny, w swej ognistej purpurze, którego się łagodzi, na dzień bieżący, tylko na twarz przed nim padając! I oto widzisz, jak syny tej ziemi, z ludu, biją mu przedwiecznym trybem korne pokłony — nie pytaj ich o Mekkę i Jeruzalem, nie pytaj, kto z nich muzułman prawowierny, a kto Chaldejczyk — katolik szczery: wszyscy tu jednacy!

Cały przestwór został ogarnięty jakimś purpurowym blaskiem — jaśniał nim i kamień nagi, i piasek sypki, i Eufrat leniwy. — A moi towarzysze podróży? — Najbliższy z nich — młody Lewantyn krwi włoskiej, zasłania sobie oczy, bo słońce darmo go olśniewa, s-r Tomasso wie dobrze, że mu ono przez to najmniejszego procentu nie da. Mehmedek nasz, zwinięty w kłębek, bezmyślnie jak zwierzę rozkoszuje się w przepychu światła i najnaiwniej cieszy się, że też ma „rahat" taki. Trzeciego — Stambulczyka, przy porannem pozdrowieniu „Sabbah-heir!" pytam nareszcie sakramentalnem „Naseł effendym" (jak ci też)? — i w odpowiedzi Szakir-eff. wyznaje mi, iż byłby szczęśliwy, gdyby miał taki poranek u wjazdu na Bosfor — bo tęskno, tęskno tu

młodemu kawalerzyście za obiecanemi tam a nieznanemi oczyma!...

Dalej po obydwu stronach Eufratu krajobrazy mało odmienne od wczorajszych: nieprzejrzane płaszczyzny nagie; w oddali jednak namioty i stada przeróżne; u brzegu zrzadka osada drobna fellahów z ich konnymi, o czerpaku z bawolej skóry, wodociągami—prastary chaldejski zabytek; po stronie lewej, dżezirskiej, ruiny piaskowe osad i wielkich irrygacyjnych kanałów starej Chaldei; lecz i po stronie Szamu (syryjskiej) nie bez śladów życia — „czoll", pustynia właściwa, ledwie widoma oku; u brzegu często zarośla drobne.

Wśród takiego otoczenia posuwając się w górę po Eufracie, swobodnie, wesoło, dopłynęliśmy, koło godziny 10-tej, ku rozleglejszemu gajowi po prawej stronie, u którego zatrzymaliśmy się dla zaopatrzenia się w drwa.

Wielkorządzca Bagdadu, dla ułatwienia i skuteczności obecnej eksploracyjnej żeglugi, nakazał wszelkim władzom pobrzeżnych okolic — kajmakamom, mudirom i szechom uległych pokoleń, być w gotowości na każde skinienie, wydelegowanego do pomocy kapitanowi, swego adjutanta. Tachsil-bej spotykał więc wszędzie posłuch i skorą gotowość posługi. Na główniejszych punktach dawano świadomych wody przewodników („kałauz") i robiono zasób żywności i paliwa. Jednem słowem, pełniono wszystko, co tylko było konieczne i możliwe. Wszyscyśmy byli ożywieni nadzieją dostania się aż na wyżynę Ballisu, naprzeciw Halebu — i wszyscy w tem, każdy w swój sposób, zainteresowani.

Lecz o pośpiechu nie może być mowy w Azyi. Dla nabrania drew na pierwszem uroczysku potrzebowaliśmy aż 5 godzin. Wprawdzie niełatwo przygotować sobie dostateczny dla parostatku zapas paliwa wśród drobnych karczy, a nadto nie siekierą, a nożem dużym w rodzaju berdysza! Roślinność drzewna zbyt tu karłowata. Oprócz ślicz-

nej płaczącej wierzby babylońskiej, nizkiej akacyi i tamaryszku, znanych i na północy, rodzaje drzewa zupełnie tu inne od anatolskich. Wogóle drzewa nadzwyczaj twarde i dające wyborny węgiel, bardzo poszukiwany po miastach, szczególnie do kawiarni. Wiosną też wiążą tu pasy z tego chróstu i spławiają je, w sposób najpierwotniejszy, daleko w dół po rzece. Nie potrzebując już wcale do pomocy ani wątorów ze skór baranich, ani tykw wydrążonych, każdy śmiałek jedzie sobie na swej wiązance tak jak go prąd niesie i odpycha się tylko tyczką od brzegu.

Nieopodal od brzegu pod gajem rozrzucone były namioty fellahów. Cała więc osada zbiegła się ku parostatkowi i na pokładzie naszym roiło się od pół-nagich Arabiąt — wyczęstowaliśmy zapas niemały daktyli; starsi w niemem zdumieniu opatrywali maszyneryę, podziwiając czarodziejską sztukę „Inglizów". Jedyny Europejczyk na parostatku, stałem się przedmiotem szczególniejszej attencyi biednego ludu—chciano widzieć we mnie wcielenie wszelkiej nadzwyczajnej wiedzy i powoli poczęto się zwracać ku mnie ze wszystkiemi pytaniami. Od małego, ani jeden tu prawie z Arabów nie był zdrowy na oczy. Słońce latem okrutnie pali, a „kefieh", zwykła chusta arabska na głowę, niewiele osłania. Nie brak było i zupełnie ociemniałych. Pytano mnie o radę. Tłómaczyłem, jak mogłem, poczciwym ludziom, że nie jestem wcale lekarzem; ale na nic się to nie przydało! Dostrzegłem, iż mnie podejrzewają o niechęć dla ich ubóstwa: uniewinniano się Ałłahem. Nakoniec jeden zgrzybiały starzec rozumnem słowem zmusił mnie do stanowczości. Zgoda, powiada mi, być może, żeś i nie „hekim" (lekarz), a tak „chodża" (człek uczony) tylko; lecz zawsześ, jako „Frenk" i bywalec, świadom wielu rzeczy — gdy my tu prości i ciemni! Poradźże co wiesz, jeśli masz duszę („dżan")! Trudno tedy było co począć — musiałem radzić! Mówiłem o zachowywaniu się co do oczu wogóle, o częstem przemywaniu czystą zimną wodą, o zasłanianiu oczu i t. d.

Wszystko było przyjmowane z nadzwyczajną uwagą i wdzięcznością. Lecz ci, którym radziłem udać się do miasta, po leki, z bólem mi odpowiadali: — Ubodzyśmy („fukarah")! a w Bagdadzie któż z nas będzie? — zresztą tam niedobrzy ludzie!

Małe oberwane chłopięta prosiłem, by mi przynieśli mleka i podpłomyków świeżych — za co chętnie zapłacę. Próżne prośby — chleb i mleko „charam" (grzech, nie godzi się) sprzedawać, uczy mnie dziatwa; idź pod który namiot, dadzą ci do syta! Poszedłem — ubóstwo tam wielkie, gościnność bezgraniczna: najmniejszego fanatyzmu, najmniejszej niechęci dla cudzoziemca. W pustyni lud bliższy dzikości i prawdy!

Zato, gdym wracał z wycieczki, dotknęła mnie inna tu strona życia. Spotyka mnie oto nasz „Ezadży" — ów Mehmedek, co to rankiem tak w słońcu się rozkoszował. Służył on mi za tłómacza, dla skorszego ułatwienia się z opytującymi mnie poprzednio Arabami — więc teraz już swobodniej poczyna:

— Niepotrzebnie się, effendy, przed tą hałastrą pospolitujesz — powiada mi: ja na twem miejscu właśnie wydałbym się za lekarza, rozdawałbym lekarstwa na żądanie — byle co — przecie tu nie wrócimy! A mielibyśmy wszyscy po drodze tyle kur, jaj i mleka, ileby tylko dusza zapragnęła. „Sahih diorum" — naprawdę ci to powiadam! — dodał tonem pewności.

Nie wiem, co się ze mną działo, w oburzeniu, przechodzącem wszelkie granice, tylkom co nie porwał bezecnika i nie zepchnąłem go z urwy w Eufrat; ale spojrzałem mu w twarz raz jeszcze: taka tam licha głupota była po niej rozlana, że oburzenie — litości ustąpiło. Rzuciłem mu tylko „akyłsyz sen" (obranyś z rozumu) i wszedłem na statek. Tak tu oto lada Turczyna lud ubogi gotów traktować!

Nareszcie ruszyliśmy — parostatek szedł spokojnie, nie spotykając żadnych przeszkód; głębokość wody była wszę-

dzie wystarczająca; płynęliśmy w początku bliżej prawego brzegu, a następnie zwróciliśmy się ku lewemu, zmierzając na noc do Kananieh. Wybrzeża wszędy jednostajne. Poczęła mnie tedy niecierpliwić powolna jazda improwizowanych, na rozkaz, tureckich żeglarzy, tem bardziej, iż Bagdadczycy ze służby statku uprzedzili mnie, że w Kananieh właśnie spotkam francuskich inżynierów, wysłanych przez Midhada-baszę dla przeprowadzenia stamtąd kanału wprost do Tygrysu, dla połączenia Bagdadu z Eufratem. Na ile zaś mogło mnie interesować takie spotkanie się z Europejczykami, mającymi poważne zadanie w krainie Nabuchodonozora—powiadać nie potrzebuję. Nie rozumiałem tylko, dlaczego Tachsil-bej, adjutant wielkorządzcy, z lekka ironicznie na mą niecierpliwość się uśmiechał.

Wcześnie ku wieczorowi stanęliśmy w Kananieh. Nie osada to przecie jaka, lecz uroczysko tylko: ujście zaczętego kanału do Eufratu, a nad nim czasowe baraki „alla franca". Przekop zaś ten miał być widocznie skierowany dalej ku spotkaniu ze starożytnym kanałem Nahr-Isa (Saklawyeh). Z Lewantynem mym wyskoczyliśmy na brzeg i nuż pytać o inżynierów. Wskazano. W pierwszym baraku znaleźliśmy przewodniczącego robotom. Był nim m-r Rodolf de la Cocourde, młody roztrzepaniec, który od pierwszej chwili, każdym swym ruchem, wywoływał we mnie coraz to nowe dwuznaczne zapytania. Szybko przemknęliśmy przez powszednie frazesa wstępnej znajomości — i wnet wzięliśmy się do ostatnich butelek pozostałego u gospodarza szerbetu. Więcej nadto nic się już u niego nie znalazło, ani daktyla, ani kawy szczypty. Był na wyjezdnem i czekał tylko przyjścia parostatku.

— A kanał?

— Pal ich tam licho, Turków — będziemy im robić drugi nieco wyżej, tutejszy kajmakamat pieniędzy na to nie ma, a wreszcie nudno tu!

Poszliśmy zatem obejrzeć kanał. Robota rozpoczęta

porządnie dosyć — i przekopany, a raczej odnowiony kanał spławny ku Bagdadowi istotnie miałby świetną przyszłość. Lecz przy tutejszej dorywczości i braku stałych środków, skuteczność śmiałych planów Midhada bardzo wątpliwa.

Dalej u drugiego baraku nadchodzimy na sprawę ekscentryczną, wytoczoną przed Tachsil-bejem: powodem staje jakaś kobieta, Europejka niby, a oskarżonym m-r Rodolf właśnie. Pewno doraźnie romantyczna w lot historya tedy, a więc bywajcie zdrowi, do jutra, dobranoc — i wróciliśmy z s-rem Prelorenzo do naszych „sedżad" na pokładzie, obiecując sobie na jutro ze sprawy coś z francuska pociesznego!

W pobliżu Kananieh, a po prawej stronie Eufratu, znajduje się miejscowość Sandabyeh, gdzie miał odbywać przegląd ostatni wojsk Cyrus młodszy przed bitwą pod Kunaksą. Wznosił się tam potem, na piaszczystej wyżynie, meczet prawowiernych, z wyniosłym minaretem, daleko na wybrzeżach widomym.

27 czerwca.

Kananieh opuściliśmy ze świtem, przyjąwszy pierwej na pokład tamecznych francuskich inżynierów, jakimi byli m-r Rodolf i dwaj jego domniemani pomocnicy. Co więcej, znalazła się na pokładzie, na stosie przeróżnych kołder i materacy, i owa zagadkowa niewiasta europejska, co tyle wczoraj przed dostojnikiem bagdadzkim wrzawy narobiła.

Przyznam się, nie ciekawiła mnie wcale rzecz, którą z góry musiałem uważać za bardzo nieciekawą. Samochcąc przecie wysłuchałem nietajonych tajemnic. Z s-rem Tomasso zajmowaliśmy na pokładzie miejsce tuż u masztu; nowi goście zaś umieścili się u baryery, ze stron nam przeciwległych — m-r Rodolf z jednej, z drugiej jego pomocnicy. Byli to dwaj Gaskoni, obdarzeni wszystkimi przymiotami swego plemienia; lecz, przy nieumilkłej gadatliwości, nie brak im było i pewnej dozy ironicznego dowcipu. Radzi

z okazyi, po świeżutkiej awanturze, brali teraz na fundusz szefa swego najnieprzymuszeniej. Obustronne pociski oryginalnych południowo-francuskich frazesów przelatywały ponad nami ranek cały. Spoczywając w środku, milcząco podziwialiśmy tylko niewyczerpany zasób dobrego humoru Gallów, za każdem słówkiem odsłaniających nam nową stronę tajemnicy ich współziomka.

M-r Rodolf, zniecierpliwiony nakoniec docinkami towarzyszy, obawiając się, aby naprawdę nie pozostał na nim wobec nas cień pewnej śmieszności, przysunął swój dywan ku nam i — począł sam opowiadać historyę kobiety, którą mu dokuczano.

Imię jej, nazwisko — nieznane: miała ich tyle, ile znajdowała za potrzebne — obecnie kazała się zwać Emilią. Co do jej narodowości — ta była także problematyczna: od polskiego do japońskiego, mówiła wszystkimi geograficznie pośrednimi językami, i wszystkimi równie źle — później przekonaliśmy się o tem. Najprawdopodobniej była to Wołoszka, krwi starego zakonu. Za młodu niepowszednio piękna podobno, wcześnie dostała się do Stambułu — drogą, jaką wiele dziewcząt jej krwi do dziś dnia tam się dostaje — z Węgier, Wołoch i Galicyi. Następnie z jakimś z przyjaciół udała się do Aleksandryi i Kairu — i czynna była, z wielkimi zyski, przy robotach kanału Suezkiego. Udarowana niepospolitą przemyślnością rozważną, właściwą jej rodowi, spokojnie władająca sobą i śmiała, gdzie chodziło o korzystne przedsiębiorstwo — zmieniając kolejno przyjaciół, najswobodniej następnie rzucała się w odmęt doraźnych okoliczności, goniąc już bezwzględnie po całym świecie za nowymi tryumfy i nowymi zyski. Gdzie też bo ona nie była! Zawadziła o Aden, bawiła w Bombaju i dalej po Hindustanie, a pod angielską opieką poznała Chiny i Japonię. Sterana, lecz w posiadaniu znacznej sumy w czerwonem angielskiem złocie, zamarzyła jednak o powróceniu do Europy, do rodziny może... Romantyczną drogą dostała

się do Bagdadu, w romantyczny też sposób musiała się stamtąd wynosić. Chciała się tedy dostać do jakiego portu Śródziemnego morza. To przecież okazało się bardzo niełatwe — droga lądowa, karawaną przez Mezopotamię, dla mężczyzny uciążliwa, a cóż dopiero dla kobiety, choćby tyle ze wszelaką jazdą obytej! Na wstępie korzysta przemyślna Wołoszka z odchodzącego parostatku, wysłanego z Bagdadu w ekspedycyi w górę po Tygrysie, i dostaje się do Tekrytu. Lecz tu wysadzona na brzeg, mimo całej swej czelności, ocuca się w najsmutniejszem położeniu. W małej mieścinie surowo muzułmańskiej kobieta — niewierna, odsłonięta, sama — przedmiot zgorszenia powszechnego! Nie było już wyjścia, zdawało się — chyba, że jaki Francuz gdzieby się zdarzył... A właśnie znajdował się tu pod ten czas nasz znajomy m-r Rodolf de la Cocourde, wysłany do Tekrytu dla zbadania miejscowości w celu przeprowadzenia stąd kakału do Eufratu u Raowah. Donoszą mu, iż jakaś podróżna dama europejska znajduje się w przykrem położeniu. Spieszy — po rycersku — uspokaja, zapewnia, pociesza, ofiaruje swój namiot — i już z m-me Emilią się nie rozstaje. Później bierze ją z sobą do Feludżeh. Płynęły im dnie i miesiące niezamącenie — dopóki u młodego Francuza brzęczały liry tureckie; lecz gdy tych brakować poczęło, poszły dąsy i swary. W braku grosza, Francuz chciał coś zapożyczyć ze skarbów indyjskich, zaszytych w materacach. Stało się to wczoraj—i spowodowało stanowcze rozstanie się. Przyjście parostatku było dla obojga zdarzeniem wielce pożądanem. Chodziło tylko właściwie o zdobycie sobie kosztów dalszej podróży. Z tem też udała się opuszczona do naszego dostojnika z Bagdadu, przedstawiając mu swój stan sierocy, skarżąc się, że niegodziwiec wietrzny — co się zowie, świat jej zawiązał... Uśmiał się Turek z bezecności Frenków, nażartował się z młodego „mehendysa" i, na większą pociechę ogólną, a gniew tego, kazał „madame" przyjąć razem z nim na parostatek!

Żegluga cały ranek szła nam najpomyślniej — pomimo to, iż wzięty w Feludżeh nowy przewodnik nie zaręczał, abyśmy mieli wody wszędy dostatecznie. Byliśmy wszyscy w najlepszem usposobieniu.

Koło godziny 11-ej powszechną uwagę zwrócił na siebie piękny widok, w oddali, po stronie syryjskiej, zwalisk zameczku Ramadyeh. Jechaliśmy stroną dżezirską i nie mogliśmy przyjrzeć się dokładnie szczegółom budowy; lecz ogólny onej charakter nosił na sobie piętno wykwintnego arabskiego stylu, z czasów pierwszych chalifów Bagdadu. Dziś jest to siedlisko szecha potężnego aszeretu Dylem, koczującego w tych tu okolicach. A aszeret sam istotnie być musi bogaty. W ciągu całodziennej jazdy mijaliśmy nieustannie, po prawej stronie Eufratu, licznie rozrzucone grupy czarnych namiotów w oddali, a bliżej brzegu niezliczone stada koni i wielbłądów.

Ożywienie wśród Beduinów było nadzwyczajne: tłumy zbiegały się ku brzegowi i witały nas wrzawą. Niegdyś pułkownika Chesney witano tu uroczyście tańcami i muzyką na widok niesłychanego dziwu, co tu raz pierwszy, jakby cudem jakimś, po Eufracie spłynęło! Myśmy się tu zaś wcale nie zatrzymywali. Nieraz też widać było, jak jakiś punkcik daleko na horyzoncie poruszał się, wzrastał i błyskawicą mknął ku brzegowi: oto syn pustyni — zatrzymuje się, dzidę jednym zamachem zabija w ziemię, spuszcza się po niej z konia i, siedząc pod nią jak pod palmą, długo przeprowadza nas oczyma. Czy przyjaźnie? — wątpię.

Za Ramadyeh kończą się, idące od północo-zachodu, po obydwóch brzegach Eufratu, pasma skalistych wzgórz — owe „Pylae" Ksenofonta. Rzeka, opuściwszy je, szeroce się rozlewa w biegu swym ku ruinom Babylonu. Obok zalewisk po obydwu jej stronach zalegają moczary i obszerne słone jeziorzyska, jak Jazrun na prawym brzegu, przy których znajdują się i źródła naftowe wybornego gatunku.

Posuwaliśmy się tedy coraz z większym trudem, co-

raz niepewniej: rzeka, rozlana szeroce, w wielu miejscach stawała się zupełnie miałką, niepodobną prawie dla żeglugi. Zastrzegaliśmy parę razy na mieliznach, musieliśmy się cofać w tył, ostrożnie niezmiernie lawirować, sondować głębiznę tyką z przodu statku — jednem słowem, czas tracić napróżno. Nasz miejscowy „kałauz" (przewodnik) nie na wiele nam się przydał; kapitan zaś, w obawie o odpowiedzialność, począł się chwiać w swej stanowczości dotychczasowej. Zwątpiliśmy, czy będziemy nocować w Hicie. Płynęliśmy przecie wciąż dalej.

Naraz jedyny w swym rodzaju widok kazał mi zapomnieć o wszystkiem. Oto na schyłku prawie dnia Beduini z aszeretu Dylem przeprawiają wpław przez Eufrat swe wielbłądy na nowe w Al-dżezireh pastwiska. Pierwszy raz dopiero coś podobnego widziałem. A był to widok tak oryginalny i tak wspaniały zarazem, że nie mam go do czego przyrównać. Przenosiło to wyobraźnię w czasy patryarchów i głębiej. Istotnie, w takiż sam sposób napewno, przed wieki, „szech" swego „aszeretu" Abraham musiał się przeprawiać ze swym ludem i całym swym dobytkiem z ziemi Haran na przeciwną stronę Eufratu. Tu się nic a nic nie zmienia! Dodawała nadto uroku niepospolitości obrazu sama malowniczość onego. Oto kilkadziesiąt wielbłądów, jak w tej chwili właśnie, zbliża się do brzegu; jezdcy zręcznie spuszczają się z nich, chwytając się wprawnie za szyję zwierzęcia— nie tak, jak my inni, powszedni ludzie, dla których wielbłąd, przy wsiadaniu i zsiadaniu, układać się musi. — Beduini raźnie się zabierają do przeprawy. Lecz wielbłąd i w tym razie, bardziej, niż kiedy, drożyć się lubi: dziesięciokrotnie wprowadzony do wody, tyleż razy z nadspodziewaną zwinnością wraca na brzeg, wyrażając swe zadąsanie się żałośnym rykiem i chrapem. Wszelkie przymówki i przyśpiewki pana nic nie znaczą — wielbłąd kąpieli nie lubi, nurtować sam nie waży się, a na ten raz i osiołka nie widać, któremuby mógł, jak zwykle, zaufać. Nareszcie, doprowa-

dzony do ostatniego stopnia znudzenia, przez nieustannie powtarzaną jednostajną manipulacyę zachęty i przymusu, jakiś olbrzymi weteran, co nieraz już przebywał Eufrat, decyduje się naprawdę rzucić się w nurt i wyciąga ponad wodą strusią swą szyję, u której wnet lekko zawisa gospodarz. Współzawodnicy weterana, ze stada, przywstydzeni, że jeden z nich przecie już popłynął, spieszą co tchu z nim się zrównać, zachęcani w podobnyż sposób przez swych gospodarzy, zawisłych im u szyi. Dalsza czereda, rada nie rada, już nie proszona, za przewódzcami tłumnie rzuca się do wody. Za matkami i młódź sili się zdążyć, podniósłszy pierwej na brzegu pożegnalny ryk taki, że go słychać, jak Beduini mówią, w Bagdadzie i w Damaszku! — Całe zaś stado tak płynące wygląda z oddali jakby jaka fantastyczna flotylla dziwotworów. — Przeprawie samej następnie towarzyszy uroczysta cisza.

Dalsza podróż dnia tego pomyślniejsza nie była: musieliśmy się zatrzymać na nocleg o parę godzin niedojeżdżając do Hitu — marynarze nasi po zachodzie słońca ważyć się dalej nie śmieli, bez względu na dotkliwe żarty Gaskonów.

Od Hitu ku Feludżeh płynie Eufrat w kierunku wschodnio-południowo-wschodnim, przebiegając przestrzeń 10—11 mil geogr. w linii prostej, najmniej o $^1/_3$ więcej, z powodu częstych zagięć i kolan — tak, że gdy prosta linia ma tylko $49^1/_2$ mil ang., istotny bieg rzeki 77 mil ang. wynosi. Tworzy tu ona nadto niemało (13) wysepek, których liczba wszakże wciąż się zmniejsza. Siła prądu wody wogóle znacznie zmniejszona ze zmniejszonym spadem pochyłości przerzynanego kraju: nawet w czasie wezbrania zaledwie przechodzi normę $2^1/_2$ mil ang. na godzinę.

Wybrzeża mało ożywione: gdzieniegdzie tylko karłowate palmy, topole eufrackie, tamaryszki, lub krzewy kaparków i cierni; gdzieniegdzie ślady uprawnego pola pod pszenicę, jęczmień lub sezam.

Powietrze tymczasem poczęło się znacznie oziębiać: po skwarnym dniu, osłabiającym o południu aż do bezwładności, noc ta była tak zimna, iż pled mi już nie wystarczał, trzeba było uciec się do północnego kożucha — bez obawy narażenia się przez to na śmieszność u Arabów, rozkochanych w półkożuszkach. Noc przecie była przepyszna — chaldejska!

28 czerwca.

Jak zwykle, w drogę o — świcie! Niecierpliwie wyczekiwaliśmy pomyślnego zawinięcia do Hitu — pozostała przestrzeń nie była dla żeglugi pewna, bo oprócz mielizn groziły nam i podwodne skały; a właśnie od przebycia tej przestrzeni zdała się zależeć i pewność dalszej po Eufracie podróży — do Anah i Ballisu.

Tymczasem zbliżając się bardziej do Hitu, dostrzegaliśmy inny charakter okolicy i wybrzeży: Eufrat, ściskany pasmem skalistych wzgórz, ciągnących się z przeciwnych stron ku jego brzegom, zwęża się i płynie szybszym prądem. Roślinność bujniejsza, staranniejsza uprawa. Wodociągi doraźne o koniu i wątorze ustają, a coraz częściej dają się widzieć wodociągi stałe, o olbrzymiem kole ruchomem — dodające pewnej starożytnej wspaniałości okolicy.

Co do wodociągów — mowa tu jedynie o sposobach zraszania ogrodów i pól, nie zaś o jakich budowach dla zaopatrywania się w wodę. Wodociągów takich dwa tu rodzaje: jeden jako sposób użyźniania przez pół koczowniczy, drugi stalszy.

Pierwszy zależy na tem: fellah, zajmujący na rolę kawał gruntu nad brzegiem rzeki, porze go czem może, a nadewszystko kopie w samej urwie brzegu głęboki dół, sięgający wody; nad nim urządza swój niewymyślny warsztat. Wznosi dwa słupy, łączy je poprzecznicą i przytwierdza do niej prosty niewielki blok; po bloku tym, lub raczej wałku, porusza

się powróz, do jednego końca którego przymocowany miech skórzany (wątor), służący za czerpak, a do drugiego przywiązana szleja, w którą zaprzężone biedne konisko, czy bawoł, męczy się na wykarmianie niedołęstwa ludzkiego. Trud to okropny niemniej dla konia, jak dla fellaha! Poczciwy człek ułatwia cokolwiek tego trudu towarzyszowi, skopując mu pochyłość od słupów w dół, i pomaga mu się obrócić, gdy ten dlań wór wody wyciągnie. Lecz sam pracuje gorzej jucznego bydlęcia i przy koniu nieustannie chodzi i rękaw wątoru zwraca dla wylania wody w otwór głównego rowu, nieraz asfaltem wyłożonego, skąd mniejszymi rowkami woda rozchodzi się po całem polu czy ogrodzie. — Jeśli biedny Arab ma pretensyę do komfortu, to robi sobie nad dołem szałas dla siebie i dla konia z jakiego chróstu lub szmat; najczęściej wszakże pali ich obu, dzień cały, słońce niemiłosierne!

Ciągnięcie takie wody wydaje jakiś rozpaczliwie smutny skrzyp, jakby skarga na losy za taką dolę fellaha, wiekuiście dlań jednostajną — czy mu panował Nabuchodonozor, Cyrus, Aleksander, czy chalif lub sułtan. Skrzyp ten w nocy osobliwie przeraźliwy, bo fellah nieraz i całe noce pracuje!

Nie sądźmy przecie, żeby to tylko sobie w taki sposób biedak radził: w pewnych okolicach zwyczaj to powszechny — nawet znaczniejsze gospodarstwa tego trybu użyzniania się trzymają. Nawet wzorowa ferma Feradżat pod Bagdadem, o jaką milę w górę nad samym Tygrysem, w ten sposób zaopatruje się w ożywczą wodę; a rządzca fermy, znany m-r Charles (Karol Brzozowski), skądinąd dobry agronom, mający między innemi parę tysięcy daktylowych palm do żywienia, nie mógł dotąd systemu tego praktyczniej wśród miejscowych warunków zastąpić.

Wodociąg drugiego rodzaju — jest to olbrzymie koło młyńskie, na wysokiem kamiennem podmurowaniu osadzone, które sam prąd rzeki nieustannie a powoli obraca.

Z obydwu stron koła, w pewnej odległości od siebie, przymocowane są gliniane czerpaki, które z wodą, zabraną u dołu, wznoszą się do góry, i tam przy nowym zwrocie na dół wylewają ją do przyrządzonego ku temu zbiornika — rynny lub murowanego kanaliku, skąd następnie podług potrzeby rozchodzi się ona po całym labiryncie odpływów i rowków. Wodociąg podobny jest nieraz tak znaczny, że koło jego obrotowe miewa od 30 do 40 stóp średnicy i posiada do 100 czerpaków, a robiąc jeden obrót w ciągu 5 minut, więc 12 obrotów na godzinę, wylewa od 18 do 19 tysięcy czerpaków do zbiornika, przeznaczonego dla dalszego użyzniania ogrodów i pól. — Zbiorniki podobne i główne odpływy często są wylewane asfaltem, który tu do wszystkiego służy: do łaźni, balej do mycia, statków rzecznych, a nawet do oblepiania ze słomy plecionych naczyń do wody i dzbanków, jakich tutejsze kobiety idąc do Eufratu używają.

System ten wodociągów z pewną odmianą znany jest i w Europie, jako pamiątka byzancka, zdaje się — praktykowany pomyślnie przez Bułgarów przedewszystkiem, których wprawni „gradinari" (ogrodnicy) słynni są na bliższym nam Wschodzie. — Niemniej zręczni w zużytkowywaniu wody są i pracowitsi dziedzice sztuki starożytnego ogrodnictwa — fellahowie dzisiejsi ludniejszych okolic. Całe ich też istnienie od umiejętnej irrygacyi zależy!

Zbliżając się do Hitu, spotykaliśmy jednak więcej ruin tych wodociągów — kamienne zwaliska, wysunięte z obu stron daleko w rzekę, wyglądały jakby gruzy mostów lub fortyfikacyi przedwiecznych i, nadając miejscowości pewną fantastyczną barwę, świadczyły zarazem o żywszej niegdyś brzegów Eufratu uprawie. Nieraz także, zaledwie ponad wodę wystające złomy, sprawiając właściwe wirowanie powierzchni prądu, niepotrzebnie nabawiały naszego kapitana obawą uderzenia gdzie o podwodną skałę.

Zainteresowani niemniej, jak on sam, w pomyślności wyprawy, dodawaliśmy ile można otuchy oględnemu Bag-

dadczykowi i płynęliśmy z powszechnie wytężoną uwagą jakby na zdobycie jakiego strategicznego punktu. Nakoniec koło godziny 8-ej zrana, po lewej ręce, od Syryi, ukazał nam się i tak wielce upragniony Hit, — przed wieki znany Is Herodota.

Miasto to, leżące pod 33° 38′ 8″ szer. i 42° 52′ 15″ dług. geogr., wznosi się na dość znacznej wyżynie, stanowiącej ostatnią nad Eufratem urwę niewielkiego skalistego pasma, idącego od pustyni syryjskiej. Położenie onego niezaprzeczenie dość malownicze — u wejścia stara brama arabska, na szczycie szczątki zamku tegoż stylu. Miasto wszakże obecne wcale nie przyświadcza głębokiej swej starożytności i świetności dawnej. Wątpić trzeba, czy tu się znajdzie półtora tysiąca domów, jakie geografowie podają. Tem niemniej zawsze to bardzo ważny punkt militarny od pustyni a zarazem i punkt komunikacyjny. Przez Hit przechodzi najkrótsza linia drogi z Bagdadu do Damaszku, jaką angielska poczta na wierzchowych wielbłądach (hedżyn, delul) przez pustynię w ciągu 7 dni, co dwa tygodnie, odbywa. Tędy też idzie i karawanowa linia na Anah w górę, do Halebu. Mimo to wszystko, ruchu tu zastaliśmy nadzwyczaj mało — mniej daleko, niż w Musseibie.

Mieszkańcy Hitu, przedstawiający dość piękny, wysmukły, silny typ semitycki, mają się nadto dzielnością wojenną odznaczać. Dali też dowody takowej, stawiąc śmiele czoło gwałtownemu rozpasaniu Wahabitów. Rolnictwem mniej się trudnią. Korzystając zaś z niewyczerpanych skarbów mineralnych swej ziemi, trudnią się przeważniej wyzyskiwaniem takowych. Palą wapno, wydobywają sól i smołę ziemną. Z chróstu gęstych zarośli nadbrzeżnych, sprowadzanego zdala wodą, wyplatają mniejsze i większe statki, które, wysmoliwszy należycie bitumem, naładowują właśnie wapnem, solą i asfaltem i spławiają potem do Hylleh, Bassory a czasem kanałami i do Bagdadu. Kobiety przygotowują wyroby wełniane. Hit posiadał niegdyś duży most

przez Eufrat, dziś zniszczony. Wszakże przewóz karawan daje i teraz znaczne dochody mieszkańcom.

Rząd ciągnie wielkie zyski z ceł i dzierżawy eksploatacyi soli przedewszystkiem i smoły ziemnej.

Natychmiast po przybiciu do brzegu wyskoczyliśmy z żywszym z Turków, Szakir-eff., na brzeg — i dalej pod górę na miasto. Trzeba się przyznać... Słyszeliśmy wciąż po drodze o niepospolitej piękności Anahiotek; ale do Anah było dość jeszcze daleko i droga niepewna — kto wie, kiedy się to tam dopłynie! Więc podług rachunku prawdopodobieństwa, wzmacnianego niepomału potrzebą odwetu za parostatkową jednostajność — przypuszczając, że i w Hicie sąsiednim bez pięknych oczu być nie może — postanowiliśmy nie wywieźć z tego miasta ubliżającego dlań wyobrażenia. Kształtne, wysmukłe, pełne jakiejś poważnej a swobodnej gracyi, postacie dziewcząt, w chwili naszego przyjazdu wracających od Eufratu z dzbanami wody na ramieniu, w ich prostym a zdobnym stroju, składającym się tylko z długiej, szerokiej, ciemno-granatowej koszuli i białej osłony, spadającej od czoła na ramiona — tem słuszniej ciekawość naszą podniecały. Młody mój Turek był wprawdzie rozmarzony, roztęskniony, narzeczony prawie; ale cóż — narzeczonej swej nie widział, matka mu tylko pisała o szczęściu i kazała za urlopem spieszyć do Stambułu na wesele. Nim tedy co — nie stał się on przecie już obojętnym na patryarchalną gracyę cór Chaldei. Ruszyliśmy więc rezolutnie, zostawiając m-me Emilię amatorstwu nowych protektorów. Na nasze szczęście, zaraz u bramy dowiedzieliśmy się, iż w całem miasteczku mleka nie znaleźć, bo stada daleko w pustyni. Dawajże tedy od domu do domu najskromniej pytać o świeży nabiał! Lecz znów trzeba się przyznać... Pomimo wszystko, niceśmy nie wskórali. Domy w Hicie, jak wszędy na Wschodzie, plecyma są zwrócone ku przechodniowi, bramki nizkie i natychmiast się zamykające, a Hityotki takie prawowierne, takie „obyczajne" (adetły), że oprócz kilku par

semityckich dużych czarnych oczu, kilku par „chałk" — obręczy srebrnych na rękach i na nogach, w lekkie tylko sandały ozutych, niceśmy prawie nie widzieli. Nie lubią tu powszechnie Turków, a i mnie widocznie za jakiegoś tureckiego „maamura" — urzędnika brano.

Nie wróciliśmy przecie z niczem, bośmy wstąpili na bazar i na zapas wzięliśmy przynajmniej wybornych suchych daktyli i melonów; nic zaś nadto oprócz baraniny na bazarze do wzięcia nie znalazło się.

Błądząc tak po zawiłych uliczkach dzisiejszego miasta, na chwilę zapomniałem zupełnie o starożytności i Herodocie. Wszakże od przedwiecznych czasów słynne tu znajdujące się w pobliżu miasta pokłady asfaltu i źródła solne. Postanowiłem je nie minąć.

Wiedziałem z góry z opisów, że u podnóża niewielkiego pasma wapiennego, poczynającego się o jakie półgodziny drogi za Hitem a noszącego nazwę Hoda-Sandżak, na północno-wschodniej onego pochyłości, znajdują się niezmiernie bogate i liczne źródła smoły ziemnej i słonej wody. Wiedziałem z żywych opowiadań krajowców, że owe „geiser" Arabów, owe „kara-sakiz" Turków, są eksploatowane do dziś dnia i że wydobywanie to odbywa się w najbardziej pierwotny sposób. Dziwy mi prawiono. Istotnie zaś sama natura proces eksploatacyi tu ułatwia. Asfalt, bitum, nafta, sól, wszystko to wydobywa się w jednostajnie niewymyślny sposób. Oto sprowadza się różno-składowy płyn ze źródeł do odpowiednio urządzonych na to kanalików i zamkniętych niewielkich płaszczyzn, w których potem pod działaniem przemożnym skwarnego tu słońca woda się ulatnia, nafta się wydziela, smoła względnie tężeje a sól się osadza. Główne źródło oleju skalnego znajduje się wsród wzgórz gipsu i marglu, w postaci lejka, na 40 stóp szerokie i znacznej dosyć głębokości, skąd gęsty płyn nieustannie wydobywa się z otchłani podziemnego wulkanicznego laboratoryum i wylewa się ciągle z brzegów, przyczem stężała smoła na

słońcu w bryły asfaltu wysycha. Zródło to jest niewyczerpane — i już samo jedno wystarczyłoby wszelkim potrzebom tak okolicy, jak też wymaganiom stron pobliższych Eufratu, co do paliwa i oświetlenia.

Zapragnąłem widzieć je koniecznie; lecz niełatwo mi było znaleźć towarzysza lub przewodnika — nikogo to wcale nie obchodziło. Nareszcie m-r Rodolf po długiem wahaniu się, przywstydzony nieco, zdecydował się mi towarzyszyć. Pytaliśmy o konie, osiołki — napróżno: drogę nam opowiedziano, a więc pieszo! Wyszliśmy raźnie poza ogrody miasta, na zupełnie nagą płaszczyznę, opasaną z południa pasmem wzgórz niewysokich — i pod niemi to właśnie miały się gdzieś znajdować słynne źródła. Uszliśmy już sporo, gdy mój Gall nagle się zwraca w tył i oświadcza mi, iż daje za wygraną wszelkim starożytniczym i przyrodniczym zachciankom, wskazując mi piękny ogród palmowy ponad samą rzeką jako miejsce, gdzie go mogę po powrocie znaleźć. Nie powstrzymał mię przecie ten kaprys. Lecz z Francuzem straciłem zarazem i tłómacza — mówił on trochę po arabsku, ja zaś ze szczyptą mej turecczyzny sam nie umiałem dać sobie rady, bo gdy mi przyszło pytać spotykanych o ścieżki i zwroty, między kałużami nafty, do głównych źródeł, dawana mi odpowiedź była dla mnie niezrozumiała, a po turecku lud tu nie mówi. Pewien bezpieczeństwa, mając przy sobie rewolwer, posuwałem się dalej wśród drobnych zalewisk już na los szczęścia. Nic dziwnego, żem zbłądził. Słońce zaś przed godziną 11-tą tak zaczęło palić, iż, obawiając się uderzenia krwi do głowy, rad nierad poszedłem za przykładem Francuza.

Co zaś do asfaltu — poznałem już był dawniej powszechne onego użycie nad dolnym Eufratem i już w Hylleh, u ruin Babylonu, widziałem i „turady" i „kufy" — podłużne i okrągłe statki, plecione ze trzciny, smolone asfaltem; widziałem także i asfaltowane wybrzeże, gdzie ze statków towar wyładowują. A tu w Hicie widziałem użycie

onego powszechne, w najprzeróżniejszy sposób: nietylko jako doskonałe paliwo, lecz jako wyborny cement — używany do budowli dziś tak dobrze, jak za zamierzchłych babylońskich czasów: nietylko dla stężania przeznaczonych na wodę statków i naczyń, lecz i dla ubezpieczenia od gnicia drzewa i t. p. Nie straciłem jednak właściwie nic na tem, żem nie zwiedził głównej skarbnicy Hitu, przykre mi wszakże było samo niepowodzenie. — Lecz wszystko niczem — za kilka piędzi cieniu oddałbym teraz oto pół świata — co tchu więc pod palmy!

O zwiedzeniu grobowca Szeicha Achmeda na południowej stronie miasta już ani mowy być nie mogło, mimo wszystko, co mi prawowierni o pięknie tego zabytku saraceńskiej architektury z lepszych czasów w drodze powiadali.

W gaiku palmowym zastałem już m-r Rodolfa pod wspaniałem drzewem, rozciągniętego na doraźnie zachwyconym gdzieś dywaniku, wśród nagich prawie Arabiąt. Wszystko było zachęcające do wypoczynku — i cień, i mruczenie strumienia wody w głównym odpływie wodociągu, i widok na przeciwległe równiny Mezopotamii, i owa czeredka nakoniec. Niedługo dałem się zapraszać. Znalazł się wnet i drugi dywanik. Wcale to nie jest rzeczą komfortu, a konieczności — zapomnijmy o trawie zielonej w sadach naszych — jesteśmy w czerwcu! A „sedżadeh" (dywanik) każdy tu ma—jeśli nie dla powszedniego użytku, to do modlitwy i dla gości. I nasi chłopięta, ogrodniczki, byli gościnni, przyjmując „musafirów" (gości) czem mieli — kilkoma garściami suchych daktyli. Wyobrażenia zaś ich o świecie niewielce zawiłe: Muhammed, Ałłah — to dla nich tylko frazesa bez znaczenia — krainą ich wyobraźni za to jest świat duchów, „dżins". Najpewniej pierwiastek to wyrazu — geniusz, w znaczeniu sylf, gnom i t. p. Umiała też dziatwa wiele ciekawych rzeczy opowiadać o swych dżynsach—co niezmiernie bawiło mego towarzysza. Dżynse nie opuszczały dziatwy ani na chwilę, były wszędy, pod

każdym krzewem palmowym. A z wiarą tą widać człowiek na Wschodzie zrasta się na całe życie — i nic tu nie skutkuje dogmatyzm urzędowych religii! Arabięta, otrzymawszy po kawałku cukru, jaki przypadkiem po kieszeniach, na podobne dary chowany, znaleźliśmy, rozpierzchły się z tą ambrozyą po ogrodach, zapewne szukając ukrytych pomiędzy karczami siostrzyczek — i myśmy zostali sami.

Towarzysz mój obecnej chwili, mimo swej rażącej lekkości, był dla mnie jeszcze osobą bardzo interesującą: miał on jeszcze wiele rzeczy do powiedzenia o ziomkach, spotykanych na Wschodzie. Był on przy robotach u kanału Suezkiego, od początku do końca, i znał zakulisowe strony przedsiębiorstwa. Wielu ziomków tam pracowało, wszyscy prawie zarobili pieniądz znaczny; a choć rzadko który wyminął ów skopuł „gewonnen, zerronnen" (jak przyszło, tak poszło), jednak zawsze nietykalnemi zostawały — dobre imię i przyjaźń ludzka! Sam to później sprawdziłem. A nie był mój Francuz z rzędu urzędowych przyjaciół: owszem — byłby z upodobaniem wyciągnął na jaw wszystko. Co za szkoda, że przecie nie ułoży też kto pamiętnika cywilizacyjnej pracy, dokonywanej tam po wszystkich zakątach świata! Ze Wschodem byłaby rachuba niemała — większa daleko, aniżeli to komu zdawać się może!

Dobrze już po południu, około godz. 2-ej, przeraźliwy świst wypuszczonej pary oznajmił nam, iż parostatek gotuje się do odejścia. Pospieszyliśmy. Nasi towarzysze podróży, w całem znaczeniu wyrazu, prażyli się na pokładzie — mimo rozpostartego płóciennego namiotu, który bardzo praktycznie urządziliśmy. Zazdroszczono nam naszego pomysłu. Niebawem ruszyliśmy w dalszą drogę. Przy samym odjeździe mieliśmy jeszcze ożywiony i zajmujący widok ciągnącej od Bagdadu ku Hitowi licznej karawany o trzydziestu najmniej wielbłądach. Lecz prędko straciliśmy ją z oczu; kapitan, zadowolony, że szczęśliwie minął skaliska Hitu, pełen lepszej otuchy nadal, przyspieszył bieg statku znacznie.

Wprawny zaś maszynista, wyszkolony u Anglików, współwyznawca nasz—armeńskiego rytu, Jusuf, najśmielszy z naszych tu tureckich marynarzy, rad, że może użyć pary — nie żałował jej. Zatośmy go też stale już odtąd z angielska tytułowali m-r Joseph — tem chętniej, iż brał on to za dowód najwyższego uznania.

Płynęliśmy tak najmniej dobrą godzinę — żywo, wesoło. Przedstawicielowi wielkorządzczej władzy przesuwałem przed oczyma wschodniej jego wyobraźni ponętę — jak to będzie pięknie, gdy dotrzemy do Meskeneh (Ballisu), wjedziemy na wielbłądach do Halebu, w Stambule o tem zaraz wiedzieć będą, a Frenkowie w swych „dżurnałach" i o nim też z chlubą wspomną! Piękna męska twarz Tachsil-beja ożywiała się, pod wąsem igrał uśmiech zadowolenia; gdy wtem na dolnym pokładzie lejtenant statku, stojący u przodu na bacznej straży, woła naraz z marynarska „stop"! i wnet czujemy, jak nasz parostatek wsuwa się na mieliznę, a zniesiony nieco prądem, zawadza o kamień podwodny. Z twarzy stambulskiego panicza znikła powabna nadzieja być wymienionym we francuskich stolicy dziennikach; przedemną przemknął możliwy widok samotnego ocucenia się gdzieś na pustyni; „kapudan" zaś nasz stracił całkiem wiarę w siebie!

Wrzawa tedy, zgiełk, nieporządek—i nietłumiona radość służby, że do Bagdadu na całe lato na wypoczynek wróci! Ale nam, podróżnym, właśnie o co innego chodziło! Zafrasowani zaś Turkowie, starszyzna, najnaiwniej kazali nam, „mehendysom" niby, radzić w potrzebie. Nie było co począć! Dwaj Gaskoni, zamilknąwszy na chwilę, wsiedli na swą łódź parową, wziętą z Feludżeh, obejrzeli położenie statku i prądy dalsze; po rozwadze okazało się, iż wydobycie się nie przedstawiało wielkich trudności. Honor nasz — Frenków świetnie był ocalony! Mechanik przychylił się do naszego zdania. Wparto statek nieco naprzód w piasek, tył tymcza-

sem silnie od kamienia odwrócono, prąd nas zniósł nazad — i z okrzykiem szczęśliwie ruszyliśmy!

Lecz nadal byliśmy już wszyscy ostrożniejsi: Gaskoni płynęli na swej łodzi przodem i z przynależną dumą, mającą dostojnie przedstawiać przodownictwo wielkiego narodu, wskazywali nam po wodach Eufratu pewniejszą drogę.

Równina Hitu, w ogólnym swym charakterze, przedstawiała się pozbawioną prawie zupełnie roślinności. Tylko słone aromatyczne krzaki tu rosną, gdzieniegdzie urozmaicone karłowatą palmą daktylową. Pszenica wszakże ma tu się miejscami doskonale udawać.

Lewy brzeg Eufratu wznosi się tylko na 10 do 20 stóp nad poziomem rzeki: pomiędzy głazem widać czasem żyzne odsypiska alluwialne. Wszakże grunt zdolny do uprawy ciągnie się nie dalej jak na $^1/_4$ godziny od rzeki nad brzegiem; a poza tą linią poczynają się krzemieniste i wapienne wzgórza, wznoszące się dalej do 200 stóp wysokości. Pasmo to wyżyn Mezopotamii, składające się przeważnie z wapienia, na podstawie z piaskowca opartego, zasłania sobą przestwory krainy, noszącej na sobie wszystkie cechy pustyni. Z oddali już widać, jaki to tam dokoła niewymownie smutny krajobraz: przestrzenie opuszczone, dzikie, spiekłe, bez śladów roślinności i jakiegokolwiekbądź życia!

29 czerwca.

Po noclegu u pustego wybrzeża, o 5 godzin od Hitu, ze świtem podjęliśmy kotwicę, w nadziei, iż na wieczór staniemy u wysepki Dżubbeh, którą nam w dość ujmujących barwach przedstawiano.

Eufrat, opuściwszy nieco wyżej wzgórza Hadżar-el-dawlyah i Hadżar-ed-dibs z lewej strony i Szeich-Hafa z prawej, płynął teraz ku Hitowi poważnie w prostej linii prawie. Ma on tu zwykle średniej szerokości 350 kroków, głębokości 16 stóp, a prąd jego w czasie wezbrania daje 3 wę-

zły na godzinę. O tej porze wszakże prąd był wcale słaby; lecz głębokość mieliśmy wystarczającą.

Chrześcijanie, przypomnieliśmy sobie, wszyscy wzajem, wielką uroczystość dnia tego ŚŚ. Apostołów Piotra i Pawła. W każdym obudziło to jakieś dziecinne wspomnienia. Jakże różne!

A było nas na parostatku katolików niemal tylu, co i muzułmanów: trzech Francuzów, Smyrniota, jeden z pomocników mechanika — Bagdadczyk krwi francuskiej, i ja byliśmy obrządku łacińskiego; pisarz parostatku Chawadża Isa i czterej palacze — rytu Chaldejów; mechanik, choć bezgraniczny wielbiciel Anglików i już indyjski poddany — armeno-katolik; drugi jego pomocnik — Syryjczyk; a nareszcie kucharz — katolik grecki, melchita. Co do m-me Emilii — tej wyznanie było problematyczne: zawsze przecie chciała uchodzić za Europejkę czystej krwi.

Dotykam tu podobnych szczegółów jedynie dlatego, ażeby wskazać na doraźnym przykładzie, o ile w Turcyi pierwiastek chrześcijański wogóle występuje już znacząco wszędzie, gdzie tylko wymaga się więcej czynności lub wiedzy; gdy przy muzułmanach pozostają wyłączniej wojskowość, urząd i różne synekury. Nadto niema tu mowy o cudzoziemcach, a o miejscowej chrześcijańskiej ludności. Lecz nie wywołuje to najmniejszej obawy w prawowiernych: bracia chrześcijanie tak upodleni i tak się nienawidzą wzajem, że długo jeszcze będą ich godzić Turcy — bo historye o ciemiężstwach już prawie do przebytej przeszłości należą.

Od samego wyjazdu zaległa nam po obu stronach naga nieogarnięta równina, gdzieniegdzie tylko skalnemi wyżynami przerywana. Następnie skalistość wybrzeży zaczęła przemagać a z nią obudziła się i uzasadniona ostrożność naszego kapitana. Mehmed-eff. od samego brzasku stał jak żóraw na straży, u steru — i po cichu, mistycznie, zasięgał rady siwobrodego starca, przewodnika, jakiegośmy z noclegu wzięli z poblizkiej osady. Niemniej był przezorny i nasz młody

posłannik Midhada-baszy. Żandarmi, towarzyszący nam wciąż lądem, dotąd niewidzialni prawie, jechali teraz na rączych do zazdrości wierzchowcach tuż nad samym brzegiem, gotowi na każde jego skinienie spędzić wszystkich szechów z okolicy. Wczorajsze zdarzenie było wymowną przestrogą, a sędziwy „kałauz" i nadal nam nic dobrego nie wróżył. Starszyzna jednak pamiętała, że wielkorządzca pragnie, aby wyprawa obecna, równie jak wiosenna, była uwieńczona pomyślnym skutkiem — a z takim, jak Midhad, baszą żartów niema! Jam zagadywał o Europie, Anglikach, lecz wszystko szło jakoś posępnie, niemo. — Od czasu do czasu tylko jaki zaciekawiony Arab podpływał do nas w „tułumie" (wątorze), by się przyjrzeć bliżej dziwnemu korabiowi Frenków — i zanurzony cały w wodzie, niknął w promieniejącym odblasku fali, kraciastą „kefieh" tylko na głowie świadcząc o swojem na rzece czuwaniu.

Lecz próżna ludzka przezorność i ostrożność. — Jak „kismet" (fatum) zrządzi, tak i będzie! — zapewniał mnie nasz kapudan-baszy. A okolica stawała się milszą, ponętniejszą, bardziej urozmaiconą — wybrzeża poczęły zielenieć znów zaroślami tamaryszku, gdzieniegdzie i samotna palma już się dostrzedz dawała. Zbliżaliśmy się do osady Dżohanneh, po lewym brzegu rzeki; przed nią mieliśmy dość wzniosłe skaliste wzgórze. — Tu tymczasem dotyka nas „bela" (dola), co zagraża zniweczeniem wszystkich naszych pięknych widoków. O samem południu parostatek, nie dość umiejętnie kierowany, zawadza o skałę, wpiera się na nią, kilka chwil drga konwulsyjnie i stanowczo osiada. A teraz?! — każdy zapytał siebie w duszy.

Rzucono się całemi siłami do zarady — próbowano uderzyć w bok, cofnąć się w tył; nic nie pomogło — parowiec ani się ruszył. — I tu chrześcijanie byli najczynniejsi — mimo święta. Jeden tylko poczciwy Hanna, Chaldejczyk, co mi przyjacielsko dostarczał zawsze wody w „szerbeh", zwierzył mi się na ucho, że to słusznie się stało, bo nie godzi

się „nam" dnia uroczystego tak obchodzić, na posługach poganym Turkom; przyczem więcej jeszcze przycichł, bo, nawiasem powiedziawszy, Turków bał się niezmiernie. — Do rzeczywistej trudności położenia dodajmy nadto, w braku stanowczego przewództwa, bezładność rad i zdań, a pojmiemy, co tu za chaos powstał. Co głowa też, to rozum. Ubawili nas aż do znudzenia Gaskoni najbardziej — usta im się nie zamykały. Prości maszyniści — robotnicy tylko, używani na Suezie przy pracach inżynieryjnych, chcą tu już sami uchodzić za inżynierów, a wiedząc, że ich szef pospolity rysownik zaledwie, ani myślą go słuchać. Swary i zwady — Turcy się obrażają — trzeba to uciszać. Koniec końców, nic nie wskórawszy, zawieszono wszelką czynność — posłano po Arabów.

Skwar okropny, nuda nieznośna — zeszedłem do salonu („selamłyk"), gdzie m-r Rodolf od samego poranku dziś rysował był na ogromnym arkuszu położenie parostatku w chwili, gdy ten wczoraj osiadł na mieliźnie, chcąc przytem przedstawić i użyty sposób ocalenia. I to wszystko, przy raporcie Tachsil-beja, miało być przesłane do Bagdadu, jako tryumf z odniesionego nad przeszkodami zwycięstwa i dowód czynności na usługach Wysokiej Porty. Nowy, gorszy dzisiejszy wypadek właśnie go zastał przy wykończaniu pracy, robiąc ją nadaremną. Nażartowałem tedy z otomańskich dostojników! Przypomniałem też sobie w porę anegdotę, jaką mi przed dziesięciu laty opowiadano w Stambule o dowcipnym ziomku wolonterze — malarzu narazie. W czasie Wojny Krymskiej, przed klęską jeszcze floty tureckiej pod Synopą, statek wojenny rosyjski napadł pod Batumem na podobnyź otomański i tak go strzaskał, że ten ledwie się schronił do portu. Rzecz sama przez się bardzo prosta. Trzeba było o tem donieść. Pan B. bierze to jednak za przedmiot oryentalnego obrazu. Wyobraża statek jako ożywioną istotę w śmiertelnych zapasach z burzą i wrogiem, a dla dosadniejszego oddania rozpaczliwego stanu, maluje jak niegodziwe kule „Moskowu-giaurów" szarpią mu

boki; i na uwieńczenie wszystkiego, zabarwia czerwono długie strugi wody, na znak krwi, płynącej ze śmiertelnych ran dogorywającego śmiałego zapaśnika. Obraz ten przedstawiono dowodzącemu wtedy u granicy od Kaukazu — Selimowi-baszy, zdaje się. Sprawia on na Turkach wrażenie nadzwyczajne. „Ne giuzel, ne alah bu szej!" — co za śliczna, co za pyszna rzecz; „ne maryfetły" — co za wymyślna! Nie było końca uciesze; lecz trzeba było tem i ze Stambułem się podzielić. Autor zaś tak dowcipny „Madżar", co odgadł duszę turecką, uznany za niezrównanego „mehendysa", wysoko później został posunięty w dostojeństwach. Opowiedziawszy to, radziłem Rodolfowi, aby rzucił ołówek i wziął się podobnie do farb, dla przedstawienia opłakanego oto stanu naszego parowca. Lecz Tachsil-bej, choć się anegdotą szczerze ubawił i prawdziwości jej nie przeczył, dał mi jednak do zrozumienia, iż czasy podobne w Turcyi niepowrotnie minęły a Midhad-basza wcale wykształcony człowiek. Umiał jabym o tem coś ciekawego opowiedzieć, ale uprzejmemu Turkowi nie przeczyłem.

Ku wieczorowi zjawiło się na brzegu kilkudziesięciu Arabów z ich szechem — i wzięto się znów rączo do roboty. Rzucono Arabom linę, użyto pary, steru i kotwicy zarazem — nic nie pomogło, statek ani na piędź się nie posunął. Biedni Arabi przyśpiewywali sobie chórem, przy każdem pociągnięciu liny, krótkie i dość harmonijne reczytatywa, lecz i te nie mogły dziś „kismetu" przebłagać. Puszczono ich do domu, nakazując jutro o świcie stawić się wszystkim szechom sąsiednich okolic. A tymczasem postanowiono wszystkie ciężary z parostatku przewieźć łodziami na brzeg. Załoga żołnierska, z młodych chłopaków złożona, wzięła to sobie z nudy za rozrywkę, ale nasi Chaldeje nie mogli zapomnieć, że to święto!

Byli to Mosulioci, z gór za Tygrysem od perskiej granicy, silnej assyryjskiej budowy, zdradzającej zlewek krwi Aryów z semitycką, widomy i w pośrednim typie rysów.

Spojrzawszy na nich, można było zrozumieć potęgę zastępów dawnych władzców Niniwy. Nagie ubóstwo tem wydatniej ich atletyczne muskuły rysowało. Jedyna czarna wełniana krótka koszula, ściągnięta sznurkiem—oto i strój cały. Tego wieczoru świątecznego przysiadłem ku nim, wieczerzającym po zachodzie słońca w kąciku na przodzie statku. Przełamaliśmy się chlebem, jak Bóg przykazał—i w gawędę.—Pytali mnie moi „Kildanie" przedewszystkiem, czy znam ich Mosul. — Niezmiernie się też ożywili, gdym ich zapewnił, że nawet znam całą ich tam starszyznę duchowną, a co więcej, w patryarchalnej świątyni tego roku na rezurekcyi byłem. Poczciwce — żaden z nich w Mosulu na rezurekcyi nie był! Musiałem im tedy opowiadać, jakem potrafił, i słowem i gestem, jak to tam działo się. Prawdę powiedziawszy, w rzeczywistości, w czasie tego obchodu — wśród tłumów, rozsiadłych „z turecka" na ziemi, wśród dzikich radosnych okrzyków, przy śpiewach jakichś nut przedwiecznych, przy hucznem biciu w żele i tympany — zdawało mi się, że to Nabuchodonozor lub Sardanapal zmartwychwstaje, a nie Chrystus Pan pamiątką uczczony! Lecz mym przyjaciołom musiałem tę rzecz najprawowierniej przedstawić. Niezmiernie im się to podobało. Pytali mnie, czy i u nas w Rzymie tak samo, jak u nich w Mosulu, i wciąż mi powtarzali, że u Turków tego niema, że Turcy tylko na pokłony mistrze, a ich „kurban-bajram" to niewiedzieć co! Jedno mi tylko mieli moi Kildanie za złe, że ja też, będąc katolikiem, nie mówię po arabsku!

Miałemże tedy zapewnioną sobie, na całą dalszą po Eufracie podróż, wodę tak czystą, tak zimną i w takiej ilości, jak tego tylko pożądać mogłem. Na wyścigi napełniali mi Chaldeje moją „szerbeh", spuszczaną na sznurku. Można to było i samemu zrobić, ale zejść na dół w upał było nieznośne, a do tyla jużem był rozleniwiał na Wschodzie! Na dolnym pokładzie z tyłu statku stały dwa ogromne gliniane naczynia, prześlicznych form urny antycznej,

słynny wyrób Bagdadu, z tamecznej przemakalnej gliny. Codzień o świcie napełniano je wodą z Eufratu, która, szybko tracąc cieplik, ochładzała się aż do stopnia rozkoszy, „rahat", a ściekając dnem w podstawione otwartsze naczynie, była czysta, jak łza. O tę to wodę przedewszystkiem chodziło — można ją było zaś mieć, nie schodząc, tylko drogą przywileju lub względów służby. Wreszcie każdy z nas miał swój własny dzban bagdadzki z tejże gliny i podobnie pięknego starożytnego kształtu, pełen wody, zawieszony na umyślnym do tego haczyku („czengiel") gdzieś w powietrzu. — Moją „szerbeh" przywiozłem sam z Bagdadu przytroczoną przy siodle.

Czem jest woda wogóle tu w upał—łatwo zrozumieć; czem jest woda Tygru lub Eufratu — trzeba jej zakosztować. Ja zwykle nie pijam wcale wody i w początku mej tegorocznej podróży, z zasady nadto, pół roku prawie, uporczywie jej się wystrzegałem; lecz teraz na Eufracie nie miałem mocy obejścia się bez niej. Przy dorywczym trybie życia, przy ograniczaniu się na suchym pokarmie prawie wyłącznie, jak pszenny suchar, ser i daktyl, gdy o ciepłą strawę było niełatwo — woda stawała się niezbędną. Podtrzymywała ona system trawienia najwyborniej. Za nic wszelkie niemieckie winogronowe kuracye! Kto chce z sobą przyjść do ładu, niech się przejedzie po Eufracie lub Tygrze, a co do winogronu — takowy tu już w początku czerwca mieć można. Smaczna zaś ta woda nieopisanie. Czy przecie jej wyłączniej należy przypisać wysypkę „czyban", znaną u Europejczyków pod nazwą „bouton de Bagdad" lub „d'Aleppo" — wątpię.

Gdy powróciłem na górny pokład zabrać się do noclegu, widzę jadących za urlopem do domu Turków srodze zafrasowanych. — A co, Szakir-eff., popłyniemy dalej?! — Niezawodnie — na wielbłądzie przez pustynię, wśród łotrów Anezów! — była odpowiedź. Ale nim tam co, bądźmy dobrej myśli i — „giedźemyz chejr ołsun" — dobranoc!

30 czerwca.

Poranek dzisiejszy rozpoczęliśmy bardzo poważną sceną, jaką przedstawił nam „dywan" (narada) z szechami okolicznych osad arabskich. O pierwszym brzasku przybyło ich z dziesięciu — co do jednego wszyscy ludzie poważni wiekiem. Zaproszono ich do salonu (selamłyku) na dolnym pokładzie parostatku. Tam ich oczekiwał Tachsil-bej w mundurze swym (węgierskim) i z postawą naprawdę przynależną przedstawicielowi wielkorządzcy. Siedział on po turecku na środkowej sofie przeciw wejścia. Myśmy swą obecnością, jako goście czy mehendysi europejscy, dodawali mimowoli jego dostojniczej powadze jeszcze więcej wyrazu. Szechowie weszli jeden po drugim, spokojnie i z największą swobodą rozsiedli się na sofach — i dopiero pospolitem a poważnem podniesieniem ręki do serca, ust i czoła pozdrowili urzędnika padyszacha. Następnie podobne pozdrowienie, jakby krzyżowym ogniem, i nam się dostało. I myśmy na nie zarówno odpowiedzieli, zachowując obowiązkową grzeczność, jako niemuzułmanie, w tem, żeśmy na powitanie powszechne „selam alejkium!" milcząco się zachowali. Szechowie byli w pospolitym stroju Arabów: rzadko który miał jedwabną żółtą „kefieh" na głowie lub srebrem wyszywany „maszlah" — burnus z szerści wielbląda. Wyraz twarzy każdego bez wyjątku nosił znamię spokoju, rezygnacyi i rozwagi. Wysłannik Midhada-baszy zagaił posiedzenie, rozwodząc się nad koniecznością ustalenia żeglugi na Eufracie; odwołał się do wyraźnej woli sułtana, wskazał na użytki stąd dla ludności wogóle, a nadbrzeżnej przedewszystkiem, i położył koniec końców nacisk na obowiązek wspierania wszelkiemi siłami ekspedycyi przedwstępnych. Słuchano uważnie w milczeniu — nikt mówiącemu nie przerywał. Gdy skończył, rzucono swobodnie kilka zapytań, zrobiono uwag kilka i z okrzykiem „inszałłah"— dałby to Bóg, zgodzono się na wszystko. Tylem tylko zrozumiał, będąc skądinąd pewny naprzód treści. Ale ileżem żałował, że nie umiem po arabsku, by

śledzić za odcieniami zwrotów myśli tych sędziwych wybrańców zajmującego ludu! Choć wielu z nich bowiem mówiło po turecku, rozmowa toczona była w języku koranu. Widocznie młody Stambulczyk chciał się popisać przy krasomówstwie i erudycyą, bo później już, gdy z toku mowy przyszło do układów, mówiono urzędownie — mową Osmanów. Zażądano od szechów paręset silnych ludzi, przeznaczając na każdego po parę piastrów. Zawezwanie to przyjęto z całą powolnością i przyrzeczono najspieszniejsze onego spełnienie.

Po odejściu szechów zapanowało na parostatku powszechne milczenie, utrzymywane niepewnością — co też to się jeszcze stanie. Cały poranek tak nam zeszedł. Dostrzegłem, że nasz dostojnik bagdadzki najlepiej się z nas bawi. Zbliżyłem się ku niemu — zajęty był antologią perską. Prosiłem go, by mi tłómaczył piękniejsze ustępy z ulubionych jego poetów Iranu. Chętnie bardzo przystał na to i wprawił mnie w podziw niepospolitą łatwością, z jaką władał własnym językiem. Przyznałem się do tego podziwu — pochlebiło mu to niemało. Fuada-baszę przecie uważał za wzorowego stylistę i nie pojmował jeszcze potęgi języka w jego samodzielności, opartej na podstawie czystej ludowej mowy. Zdawało się, iż nieświadomie rozumiał, że mowy Turków, Arabów, Persów, jako muzułmańskie, winny się bez braku wyręczać wzajem. W poezyę ludów europejskich nie wierzył, pragnął przecie poznać język francuski jedynie dla praktycznego użytku. Nasz język podobał mu się, lecz nie przyznawał mu tyle mocy i miękkości, co mowie własnej.

Gdyśmy tak spokojnie rozprawiali z wychowańcem starego Stambułu, o poezyi i lingwistyce wschodniej, w selamłyku, opuszczonym przez szechów,—na górnym pokładzie tymczasem podnosiła się wrzawa, co nakoniec musiała przerwać miłą naszą gawędę. Pobiegłem na górę — i co widzę? — Oto m-me Emilia, jak furya, biega po pokła-

dzie i ciska na Rodolfa niewczesne gromy za niegodziwą zdradę i zawiązanie świata; a ten, siedząc nieruchomie i paląc swą „brûle-gueule", odpowiada na wszystkie jej napady, milcząco, szyderskim śmiechem jedynie; całe zaś towarzystwo górnego pokładu nieposiada się od śmiechu. Wyraz turecki „deli!" kończył, jakby apostrofa, każdą z jej inwektyw, po większej części po włosku produkowanych. Wyraz ten znaczy tyle co szaleniec, opętany i lekkoduch zarazem — i ten jeden tylko, jako trafiony, nieco dotykał wietrznika. Scena ta wszakże była jedynie niespodzianką, wywołaną przez wypadek z parostatkiem. M-me Emilia, póki jeszcze była niezachwiana nadzieja dopłynięcia do Ballisu, wiedziała dobrze, iż towarzystwo statkowe, całe udające się do Halebu, nie opuści jej samej; a z Halebu dalej nic już łatwiejszego. Nie dbała tedy o nikogo wyłączniej; a jeśli próbowała skarbić, to tak tylko z przyzwyczajenia. Dziś, gdy nasłuchała się o trudach i niebezpieczeństwach podróży na wielbłądzie przez pustynię, a zjednanie sobie kogo na następcę po Rodolfie przedstawiało się widać doświadczonemu oku niełatwe, cała złość niewieścia, strachem podsycana, wybuchała w niej teraz przeciw niedawnemu wielbicielowi. Istotnie też położenie jej tu mogło się stać opłakańsze, niż w Tekrycie: towarzystwo by się rozproszyło — kto do Damaszku, inni do Halebu, załoga statku nazad do Bagdadu — a nikt nie czuł się w obowiązku brać na siebie taki ciężar w niepewnej podróży — i bywała kobieta należycie to rozumiała!

Gdy słońce poczęło chylić się ku wieczorowi, a skwar dzienny złagodniał znacznie, nagle ujrzeliśmy widowisko, przed którem bledną temata pendzla Michała Anioła. Z poza pasma nadbrzeżnego wzgórza zjawia się nad rzeką naraz, znienacka—paręset Arabów; znaczniejsza część z nich, w jednej chwili złożywszy lekki swój ubior u brzegu, rzuca się do wody i w mgnieniu oka otacza nas zewsząd. Powitalny okrzyk naszych żołnierzy wywołuje stokroć rozgłośniejszy w gęstem rojowisku, płynącem raźnie ku nam. „Maszałłah"!

„inszałłah"! brzmią wrzawnie jako przegrywki. Wśród dziko radosnych okrzyków, jakby na skinienie czarodziejskie, tłumy nieproszonych gości nagich najnieprzymuszeniej zapełniają cały dolny pokład. Niemała bo też ciekawość obejrzeć korab Frenków! Lecz na rozkaz z góry wzięto się natychmiast i do rzeczywistego zadania. Nurkowie wnet upatrzyli położenie statku w wodzie, na skale, i zdecydowali, że tylko siła siłę przemoże. Postanowiono tedy, nie mniej nie więcej, jak zepchnąć statek ze skały.

Trzeba też było widzieć, z jaką to dziecinną rączością wzięto się do roboty. Europejski mechanik z uśmiechem spoglądałby na te wysilenia, lecz niezawodnie przypatrywałby się onym z niemniejszą od mojej ciekawością. Wśród takowej zawieruchy nie do opisania czuć było jednak jedną wolę przewodniczącą. Sędziwy, o białej jak mleko brodzie i bronzowem obliczu, szech wydawał w porozumieniu z kapitanem rozkazy — cicho, skinieniem — i takowe w tejże chwili zamieniały się w czyn. Niepojęta wrzawność i niepojęta karność tego ludu! Patrząc nań oto, począłem łatwiej rozumieć, jakiemi to siłami były wznoszone owe olbrzymie budowy starożytne przez patryarchalnych samowładzców Wschodu, owe kolosy, których ruiny dziś jeszcze wyobraźnię naszą przywodzą w zdumienie. Arabi nasi należeli do pokolenia nadbrzeżnego fellahów, co wybitniej między innemi odznaczało się tak kształtnością budowy, z niepospolitą muskularną siłą połączoną, jak i krewkością energii. Wszystko — atletyczne typy starożytnych zapaśników. Lud, co równie dobrze zna prądy Eufratu, jak pastwiska Mezopotamii. Powołany teraz przez swą starszyznę, rzucił się oto do parostatku z równem zaufaniem, jak gdyby to chodziło o przeciągnięcie po mieliźnie lekkiej trzcinowej „turady". Lecz nic tu nie pomogły uwzięte ich wysilenia! Żal było patrzeć na ich trud bezprzykładny a bezskuteczny — nie wsparty żadnem pomocniczem mechanicznem narzędziem! Nim słońce zaszło, fellahom już sił zabrakło, a sta-

tek stał po dawnemu na miejscu. Uwolniono ich na wypoczynek do jutrzejszego dnia. Biedacy — po takim trudzie nie dostali ani po filiżance kawy nawet!

Niepojęty dla Europejczyka ten świat tutejszy, w jego nagiej oryginalności! Niczem tu małomiejski muzułmanizm: przedwieczny obyczaj, wynik warunków miejscowości, rozsadza narzucone z góry formy surowe przepisów religijnych. Szczery muzułmanizm wynosi wstydliwość, wymaga zasłony. A tu oto przed naszemi oczyma lud cały się roi, najnieprzymuszeniej w świecie, w swej bronzowej nagości — wodą Eufratu ożywionej! Śledziłem najściślej umyślnie, na ile też da się dostrzedz oznakę jakiegoś zażenowania w tych ludziach; lecz wszelkie me oczekiwanie było próżne. Goście nasi najswobodniej snuli się po pokładzie, podziwiając tajemniczą maszyneryę statku. Zadawałem pytania towarzyszom podróży, muzułmanom z wyznania, znającym Arabistan; zbywano mnie prostą odpowiedzią: — niema w tem nic dziwnego, taki tu obyczaj. Więc obyczaj mocniejszy nadewszystko! Świat surowej zasłony dla kobiety najnieprzymuszeńszą nagość w mężczyźnie uznaje. Jest w tem pewien stopień lokalnej logiczności... Despotycznie swobodny mężczyzna nie rad się czemkolwiek sam krępować. Tak go wreszcie od dzieciństwa matka chowa.

Pomińmy tu ludzi świętych (monomanów), stających zawsze jednostajnie — zarówno w obliczu Boga jak i ludzi — w całej swej nagości nieskalanej! Cześć, okazywana podobnym błogosławionym, jakich się dziś jeszcze spotyka przechadzających się bogobojnie po bazarach — nietylko Bagdadu, lecz i Halebu — cześć taka może być wynikiem ekscentryczności religijnych wyobrażeń. Lecz, bezwzględnie nawet, dostrzegłem na Wschodzie oznaki podobnego niejako poszanowania dla nagości, co i dla ubóstwa. W Bagdadzie chłopcy, sieroty, do dziesięciu lat, zupełnie swobodnie biegają po mieście nago. Pamiętają prawowierni tylko o ich dusznem zbawieniu i łapią błędne dzieci, co się nieo-

głędnie nawiną gdzie w miejscu publicznem w uroczysty dzień obrzezania, dokonywanego naprzykład w konsystującem w mieście chalifów wojsku nad lekkomyślnymi Kurdami, których losy zwabiły z gór swobodnych do tureckiej armii. Nie pomogą już tu płacze, nie utulą też malca słodycze i szerbety: widziałem takich nagich nowobrańców proroka, w szalonej ucieczce od koszar, głośno wyrzekających na krwawą niespodziankę dnia. Nieraz też spotykać można matkę, wodzącą po labiryncie bazaru nagiego malca i żebrzącą w imię Ałłaha wsparcia. Nie zapomnę, z jaką natrętnością raz sam byłem jako wspaniałomyślny „Frendży" prześladowany. Uwaga moja, że też nie godzi się („charam") świecić ciałem własnego dziecka, wywołała tylko uśmiech politowania dla nieświadomego cudzoziemca!

Wreszcie, koniec końców, nie jest to tak nieestetyczne, przy tutejszych klimatycznych warunkach! Piękne formy nagiego ciała czciła poważnie i klasyczna Grecya. A i dziś wzrok nasz łatwo się z tem pod niebem gorącem oswaja. Formy zaś same pokoleń nadbrzeżnych — kształtne, wysmukłe, pełne dzikiej gracyi i siły; grupa taka ludowa— jakiż pyszny temat dla rzeźbiarza!

1 lipca.

Dzień dzisiejszy powitaliśmy wszyscy nieco żywszą nadzieją. Wczoraj jeszcze wieczorem, po zniknięciu Arabów, kapitan rozkazał i resztę ciężarów wyładować na brzeg: pozostały na statku zaledwie nasze bagaże tylko. W nocy prąd wody podjął nieco ulżony nasz „Frat". Gdyśmy się o tem dowiedzieli nad świtem, powszechny okrzyk „inszałłah!" — da Bóg! powitał wychylające się słońce. Niebawem ukazał się i wczorajszy tłum fellahów — dziś daleko liczniejszy tylko i mniej antycznie ubrany, gdy słońce jeszcze nie miało czasu dokuczyć. Senne marzenia naszego „kapudana" musiały tej nocy być niepokojone przez „dywany" i „medżlisy" wysokich władz Bagdadu i Stambułu, a bardziej niż wszystko przez

surowe rozkazodawcze oblicze wielkiego baszy; bo Mehmed-eff. niezwykłą jakoś zaczął okazywać stanowczość. Widać było, iż postanowił użyć ostatecznych sił. Rzucono się tedy od samego poranku do roboty całą potęgą muskułów zebranej czeredy — a kilkuset takiego robotnika doraźnie — to siła nie do lekceważenia!

Naraz poczuliśmy, jak zachrzęszczało dno statku pod nami, zsuwając się ze skały. Radość nie do opisania — hałas większy od radości, przyśpiewy i przygadywania! Lejtenant nasz Hassan-eff., ten, co to Londyn widział, widział oto już, już, jak mu wszystkie „Inglizy" zazdroszczą dokonanego czynu; bo on dziś najwięcej się krząta i do wysileń dla padyszacha zachęca. „Pek ala — effendym!" — Wyśmienicie — o tem do naszych gazet napiszemy! Brano się całemi siłami kilkakrotnie, aż do zupełnego zmęczenia. Żadne przecie z takich cyklopicznych wzięć się nie było pożądanym skutkiem uwieńczone. Przeszło tak parę godzin. Statek chwiał się wprawdzie znacząco, wszakże z miejsca nie schodził.

Na górnym pokładzie znów uczucie niepewności zapanowało. M-me Emilia, dotąd w upojeniu radości, że też przecie dostanie się szczęśliwie, w towarzystwie, do Halebu, siedziała spokojnie w swych poduszkach, osłonięta niewieścią zasłoną — przez skromność zapewne, dla oszczędzenia oczom tak sprośnego widowiska. Teraz, dowiedziawszy się o nowej wątpliwości, rozdrażniona do najwyższego stopnia widmami wcale uzasadnionej o następstwa obawy, powstała ze swego leża, i chcąc własnemi oczyma przekonać się, co się też istotnie dzieje, ukazała się u baryery, w całej europejskiej swobodzie oblicza bez zasłony. Na ten niespodziewany widok powstaje między nagą czeredą szmer zdumienia, co się natychmiast potęguje w głośne wołania — co to jest? Kto to jest? — Usłużni młodzi żołnierze podszeptują coś tajemniczego — rzucone słówko obiega tłumy. Podnosi się między Arabstwem wrzawa.

Więc my tu męczymy się z ostatnich sił, a tam taka kobieta siedzi — a kto to widział, a czy to się godzi — toż to ciężar taki, jakiemu w świecie niema równego, żadna siła ludzka nie podoła w takim razie zdźwignąć statek—próżny trud, próżny zachód — czemu nas pierwej o tem nie uprzedzono!

Tak mi tłómaczono znaczenie wywoływań naszej odsieczy.

M-me Emilia nie brała tego do siebie i z niezmąconem sercem przypatrywała się ruchowi. Starszyzna zaś nasza poczuła się w najdrażliwszem położeniu. Puścić mimo uszu uwagi ludu — niesposób: doniosłość ich oni sami w duszy, skrycie, napewno podzielali; z drugiej strony, ubliżyć kobiecie—jakoś nie wypadało w obliczu Europejczyków: była obawa trochę więcej czegoś niż śmieszności tylko—i Turki nasze dobrze to czuły! Słowem, czy słusznie czy nie, widziała się starszyzna w położeniu drażliwem. Trzeba było przecie coś z tem począć. Czekano decyzyi Tachsil-beja. I należy mu przyznać, że wywiązał się on z niemiłego zadania z całą zręcznością Azyaty i „szewaleryą" człowieka dobrego tonu. Litując się niby czule nad znużeniem europejskiej damy, spowodowanem monotonią położenia, zaproponował jej najuprzejmiej zrobić przejażdżkę na ląd i zająć dla wypoczynku jego własny namiot doraźny—przy którym stał na każde zawołanie i jego wierzchowiec dziarski, pod strażą żandarmeryi. M-me Emilia miała predylekcyę do namiotów — to też, z pewnem rozkosznem zdumieniem niespodzianki, najchętniej przyjęła, uszczęśliwiona, grzeczną propozycyę młodego i ładnego wcale dostojnika.

Po odjeździe białogłowy na brzeg zakipiała gwałtownie wrzawa okrzyków zaufania w nieodzowną skuteczność użytego magicznego środka. Dziwny fanatyzm wiary w powodzenie ogarnął zgraję: rzucono się znów do roboty całem mrowiskiem podnieconego ludu — rwało się i pękało, co rwać się i pękać mogło! Lecz nadto, oczywiście, użyto steru

i pary. Porwano się — raz drugi. Jeszcze raz! „Bis millah rachman rahim!" — i parostatek poszedł. — „Ałłah ekber!" Bóg wielki!

Moi przyjaciele assyryjscy, których to opowieść ma o rezurekcyi chaldejskiej tak była ujęła, napocili się niemniej od prawowiernych. Ciekawiło mnie przecie najbardziej ich zapatrywanie się na wysadzenie Wołoszki. W wesoło-ironicznem usposobieniu, przypomniałem im ich Nebi-Iunes — osadę, wznoszącą się przeciw Mosulu na zwaliskach wspaniale olbrzymiego zamku starożytnej Niwy, i historyę proroka Jonasza, który na tem tu jakoby miejscu uwolniony był z wnętrzności wieloryba. Lecz poczciwy Hanna bez ogródki powiedział mi, że w tem zdarzeniu muzułmanie mieli słuszność po sobie — taka kobieta obecnością swą wszelkie usiłowanie szczere obezwładnia!

— Widzę, gotowibyście i wy ją do wody wrzucić?

— Jako żywo nie—woda Eufratu jest czysta, święta—nie godziłoby się tego! I niewierni nic podobnego nie zrobiliby — a że proroka wrzucono do morza — to już tak dał Najwyższy!

Niedługa wszakże była uciecha podróżnych. Po zrobieniu paruset sążni kapitan, wybrawszy odpowiednie miejsce, bliżej osady Dżohaneh, kazał kotwicę zarzucić, by zabrać napowrót effekta, wyładowane na brzeg, i przyprowadzić statek do porządku. Bawić to nas przecie nie mogło—mieliśmy w perspektywie, w najlepszym razie, jeszcze jaki dzień straty.

Podróż statkiem zbliża towarzystwo ściślej, niż przy innych warunkach. Co do mnie, w istocie rzeczy, nie miałem powodu wyrzekania na stratę czasu, znajdując się w tak różnobarwnem gronie. Poznawałem bliżej i głębiej przeróżne typy oryentalne — tak odmienne od naszych—i nabierałem pewniejszego rozumienia umysłu, ducha i obyczaju Wschodu. — Wszystko to zaś obchodziło mnie tem jeszcze żywiej, że nieraz zdawało się być skamieniałym pierwowzo-

rem tego, co dwa wieki, wiek nawet pierwej, mogło śmiało uchodzić za naszą narodową, względnie do Zachodu, właściwość. Do dziś nawet niezupełnieśmy się otrzęśli z pozostałości w nas wschodnich! A że to leży poniekąd i w naszej naturze — niech służy za dowód ta łatwość i swoboda, z jaką oswajamy się z azyatyckimi warunkami bytu, na podziw synów zachodniej Europy. Nam samym nieraz zdarza się z trudem odróżnić, na pierwszy rzut oka, bywalca, spotykanego w Azyi!

Kto chce poznać Wschód — w zwyczaju i obyczaju onego, najlepiej sobie poradzi, gdy z góry się zdecyduje przyjmować wszystko coby go spotkało i wszystko spotykane za rzecz tu naturalną. Zapewne, zależy to wiele od psychicznego usposobienia; lecz na postanowieniu takiem niezmiernie wiele się wygrywa. Wygrywa się pod każdym względem — a jednym z nienajmniejszych jest i znaczne zaoszczędzenie w wydatkach. Podróżuje się zaś po Wschodzie dwojako—albo bardzo drogo, lub bajecznie tanio. Wobec tej alternatywy, z pewnością zaręczyć mogę, że sposób pierwszy wcale nie jest pożyteczniejszy dla badacza. Podróżny o dostatecznych środkach rozumniej zrobi, gdy się przechyli do tego drugiego sposobu, a zachowa grosz na wydatek znaczniejszy tam, gdzie okaże się istotna, użyteczna tego potrzeba. Trudno to wprawdzie, mając pieniądz, nie zostać grafem w Niemczech, nie poszyć się w beja na Turecczyźnie; lecz mowa tu o podróży poważnej, nie o promenadzie tak łatwej — z Ukrainy do Kairu lub Algieru, dla ogrzania duszy. Nie myśląc więc o ostentacyi wielkiego pana, winien podróżny pozbywać się form, które go robią taką obcą postacią w Azyi. Zbliżenie w formach zbliża i do ludzi; a przestając być człekiem cudzym zupełnie, zdobywa się już łatwiej klucz tajemnicy ich życia. Zresztą każdy lud rad widzi uczczenie swych form przez naśladowanie onych przez obcych — osobliwie lud, co się szczyci jaką taką oryginalną kulturą i z dumą się trzyma starego oby-

czaju. Lecz zbliżenie się w formach nie oznacza jeszcze wzięcia na głowę jedwabnej „kefieh", a na ramiona „maszlah'u"; trzeba się przedewszystkiem zastosować do powszedniego trybu codziennego życia, jaki tu jest wspólny wszystkim bez różnicy wyznania. Potrzeba ta wewnętrzna staje się nakoniec tem łatwiejszą do uskutecznienia, iż bardzo często, nawet przy mniej ograniczonych środkach, niema możności poczęcia sobie inaczej!

Ciekawy jestem, jakby tu sobie kto poradził z wymaganiami komfortu na naszym parostatku. Na podobnych statkach europejskich można znaleźć, stosownie do opłaconej klasy, wszelką wygodę niezbędną—stół zwykle dość dobry i usługę. Nasz zaś „Frat", choć dzieło sztuki europejskiej, był szczerym Azyatą. Każdy tu miał swobodę urządzać się tak, jak mu się podobało; nikt się nikim nie zajmował, nikt nie dbał o pasażerów i towarzystwo. Na nic by to się nikomu nie przydało! Każdy miał wszystko z sobą i obchodził się jak umiał. Wszelka zaś rzecz u Azyaty ma kilkakrotne zastosowanie—jest uruchomiona jakoby. Wczorajsze siodło doraźne — dziś staje się na statku pościelą; „maszlah" czy „aba" — okryciem; biesagi, przytroczone do konia, teraz zostają rodzajem stałej śpiżarni niekoniecznie naraz nieprzewidzianej. Ma się w biesagach: ryż, sucharv, ser, daktyle i suszone mięso. Na każdym przystanku prawie dostanie u Arabów mleka, jaj, kur, baraniny. Lecz kto to przyrządzi? Dystyngowane osoby mają zawsze kim się wyręczyć. Jest na statku wielce poważna persona „achczy" — kucharz stały, najczęściej Grek jaki — hadży Dżordży lub Nikola—ten dużo potrafi! „Pilaw" uwarzy, „kebab" upiecze z baraniny, „kajgana" z jaj zrobi i wiele innych przysmaków przyrządzi; nawet daktyle usmaży w jajecznicy na maśle, nawet na coś słodkiego, na „tatły" się zdobędzie! O kawie mowy niema—kawę można mieć w każdej chwili, na zawołanie.

Jedzenie sobie zamawia każdy z osobna; wszakże naj-

częściej spożywa się je w większem gronie, zapraszając bliższych lub będąc przez nich zaproszonym. Rzecz to obyczaju: każdy składa na „sofra" (niziutkim okrągłym stoliku) co kto ma. Biedak jaki, zaproszony do lepszego stołu, niezawodnie złoży na nim i swój kawałek podpłomyka przynajmniej lub garść daktyli. Dzielenie się chlebem z bliźnim rzecz tu tyle powszednia, ile zacna i uroczysta! Nieraz przecie „junctis viribus" piecze się i całego barana; lecz na to trzeba albo pomyślnego jakiego zdarzenia, albo wielkiej nudy — tak, że towarzystwo podróżnych nie wie, co lepszego z sobą począć właściwie, a o barana łatwo.

Dziś tedy właśnie znajdowaliśmy się w podobnem położeniu! Wydostaliśmy się szczęśliwie z podwodnej rafy; stanęliśmy przecie na kotwicy u brzegu na cały już dzień, w najnieznośniejszej niepewności o dalszem postanowieniu; a tymczasem fellahy naprowadzili baranów za marny grosz („gurusz", piastr). Otóż nie wiedząc, co począć z sobą, uwzięliśmy się dzień ten przebajramować. Ochoty starczyło każdemu — i w każdem kółku można było dostrzedz ruch świątecznie ożywiony. Nie przeszkadzało temu nic wcale, że kapitan, po parogodzinnym wypoczynku, kazał żołnierzom i służbie znosić powoli ciężary i rzeczy, wyrzucone w czasie ostatniego wypadku na ląd. Jedno drugiemu nie wadziło: obok roboty, uwijano się żwawo i koło baranów. Z każdego kółka ktoś wybierał co najtłustszego na ucztę w kole swych towarzyszy. Naszym delegatem była nie mniejsza persona, jak sam „kiatyb" (pisarz) parostatku — „chawadża" lub nawet „chodża" Isa, ów zręczny Chaldejczyk, co mi z Bagdadu do Musseibu towarzyszył. Człowiek to wielce uczony, umiejący nietylko pisać rozmaicie, lecz i wyczytać wszystko napisane — co, jak wiadomo, jest nieporównanie trudniejsze przy systemie opuszczania samogłosek w piśmie arabskiem. Nie mniejsze przecie znawstwo posiadał nasz „chodża", jako prawy syn Wschodu, i w przedmiocie doraźnej kuchni koczowników.

Stojąc u baryery na górnym pokładzie, naprawdę podziwiałem, z jaką to on zręcznością, siłą i wprawą porywał spędzone ku brzegowi barany, przerzucał nimi jak piłką, nim jednego wybrał — i jak potem wybranego Chaldeje nasi w mgnieniu oka oprawili, obmyli w Eufracie i poczęli już obracać nad stosem, gorejącym uroczyście u brzegu. Stosów takich zapłonęło wnet coraz więcej — i przy każdym taż sama rączość, co przy naszym. Azyata umie wszystko w swoim zakresie: jest zarazem jeźdźcem, ogrodnikiem, krawcem, kucharzem — wszystkiem. Suche gałązki tamaryszku płonęły tedy świetnie — świetniej jeszcze, gdy słońce nam się w pustyni schowało. Zeszliśmy na brzeg—wszędy żywo, wesoło i gwarnie po arabsku; pozostali u ogni i fellahy, w oczekiwaniu na smaczne kęsy i garście nieodzownego pilawu. Kapitan tylko jeden był zamyślony.

Podróżni, zsunęliśmy nasze „sedżadeh" na pokładzie i zaprosiliśmy do wspólnej biesiady starszyznę. Na ogromnej miedzianej misie wniesiono stos ryżu, na którym rumienił się interesująco pieczony baran. Każdy z biesiadników był dostatecznie uzbrojony do ataku — nóż zawsze ma się przy sobie, a o więcej mniejsza — pierwej Bóg stworzył palce, niż widelce. „Maszałłah!" — a więc do broni. Podano przecie pierwej wodę w dzbanach, do obrzędowego umycia rąk; podano dystyngowanie i „peszkiry" — ręczniki. Uczta jednoczy ludzi. Bez różnicy wyznania, katolicy i muzułmanie, zasiedliśmy wspólnie, jak komu wypadło, dokoła niziutkiej „sofry". Grzeczność europejska nakazywała prosić i m-me Emilię, co już była wróciła z namiotu dostojniczego, rozdąsana nieco jakoś, za brak względów może; lecz z drugiej strony przyzwoitość oryentalna wyraźnie przeciwiła się temu — a narażać wykształceńszych muzułmanów na szemranie ich podwładnych nie mieliśmy prawa. Uczta szła nam najpowszedniejszym trybem, wśród żartów okolicznościowych i drobnych anegdotek; lecz gdy olbrzymi półmisek, znacznie ulżony, odniesiono na dół, na drugi

stół — jakby u nas powiedziano — aby go później, wcale już nie ciężki, przesłać na pastwę zasiadających u brzegu fellahów — przyszła kolej i na pieśń.

Przeważał wśród naszego kółka pierwiastek urzędowy, a więc turecki; i pieśń tedy turecka wzięła górę. Wśród tak wesołego bajramowania dał się nam poznać i rzeczywisty talent nieprzeczuwany. Posiadał go Szakir-eff. — ów młody kawalerzysta na urlopie, co tak ku nieznanej narzeczonej do Stambułu spieszył. Miał on miły i mocny głos i, mimo to, iż rodowity Stambulczyk, umiał tyle pieśni, co góral lub Turkoman jaki. Brzmiała tedy pieśń po pieśni — oryginalnie dziko, rzewnie, rozgłośnie. Posłyszałem i takie, co miały dla mnie pamiątkowe niejako znaczenie. Posłyszałem i namiętną „Bachczelerde fidan giordiun jok my?" — Czyś ty nie widział wiśni w sadach? — i rozkoszną „Giordym dostum bachcze-sinde jucz giul war" — W ogrodzie przyjaciela trzy różyczki dostrzegłem. Przyśpiewywałem też raźnie chórem wszelkie „aman, aman!" wszelkie „tumbur, tumbur!" tak nieodzowne w każdej prawie tureckiej pieśni. Bawiliśmy się tak — niewiem jak do późna; a jasne gwiazdy prastarej Chaldei smętnie może dziwiły się tej wrzawie Scytów i Hyperboreów!

Nie obyłoby się bez piosenek i wątpliwego gustu — mniej skromnych i mniej estetycznych, a rozpasanością swą rażących, w jakie pieśniarstwo ottomańskie tak obfituje; lecz Szakir miał dla mnie względy. Był on wielce obowiązany memu przyjacielowi, co, jako lekarz i Europejczyk, spotkawszy w młodym weterynarzu pułku chłopca zdolnego, a bez wykształcenia, szczerze był nim się zajął — poduczył trochę medycyny i francuzczyzny. Za to od pierwszego spotkania miałem we wdzięcznym Turku człowieka gotowego na wszelkie posługi, dopełniane z całą uprzejmością. Względność tę delikatną posuwał on i do największych drobnostek. I teraz więc oto, widząc szczere moje zainteresowanie się pieśnią

istnie ludową, pomijał śpiewki, powstałe w kawiarniach Stambułu.

U ognisk nad brzegiem było niemniej żywo do późna — i do późna dolatywały nas oddźwięki monotonne arabskiego reczytatywu.

2 lipca.

„Sabbah cheir olsun"! powiedziałem na dzień dobry Szakir-eff., gdy już słońce dość wysoko stanęło. Po wczorajszem bajramowaniu do późna, nie było chęci do wstawania; tem bardziej, gdyśmy wiedzieli, że parostatek nie może wcześniej odpłynąć, nim swych rzeczy z brzegu nie zabierze. Istotnie też krzątano się już koło tego od wczesnego poranku; lecz jakoś sennie, opieszale, leniwie. Kapitan sam snuł się między robotnikami; ale tak bez życia, jakby go rabota nic nie obchodziła. „Ne dyr bu?" Co to jest? — pytamy się wszyscy wzajem, przywykli do większej energii Mehmed-effendego. Odpowiedź na to właśnie dotąd była jeszcze tajemnicą samego kapitana!

Jak się później pokazało, Mehmed-eff. ważył w swej myśli postanowienie, którego doniosłość nabawiała go niedającym się ukryć wewnętrznym niepokojem. Po ostatnim wypadku z parowcem zwątpił on zupełnie o swem szczęściu, jeśli nie o swej umiejętności, a wobec szczerego pragnienia dokonania poleconej mu wyprawy, czuł cały ciężar odpowiedzialności za wszelkie niepowodzenia i straty. Otóż błysła mu myśl: czy nie lepiej wyrzec się zupełnie niepewnej chwały przebycia Eufratu, a korzystając z chwili dobrego wrażenia, jakie zrobićby musiało wybawienie obecne parostatku, złożyć się niemożliwością dalszej jazdy o tej porze i zaniechać zupełnie wyprawy; w razie zaś ponowionego nakazu z góry, zwalić odpowiedzialność za nią na kogo innego.

Nosił się on z tą myślą skrycie czas niemały; lecz w początku sam się jej lękał, nim się z nią mógł oswoić

ostatecznie. Istotnie trzeba było pewnej śmiałości, aby z nią się odezwać. Pomijam wyższe względy — na Bagdad i Stambuł; na miejscu samem, na statku, pewien on był oporu nie do lekceważenia. Własny jego lejtenant Hassan-eff., Turek rodowity, a jako taki, współzawodnik Araba, dumny, iż Londyn widział, a śmielszy i rzutniejszy od Mehmeda— mógł wystąpić z gotowością dokonania na swą odpowiedzialność wyprawy, a Tachsil-bej poparłby go w tem pewnie. Na służbę statku, po większej części z samych prawie irackich Arabów złożoną, nie miało się najmniejszego względu — łatwo było rozumieć, iż ci woleliby wrócić na letnie leże do domu. Zato Hassan-eff. marzył o wjeździe tryumfatorskim do Halebu, a stamtąd o wypoczynku letnim w rodzinnej Brusie. Wreszcie cóż to za wstyd okazać swą nieudolność w oczach Europejczyków! Wszystko to powstrzymywało pewien czas kapitana od otwartego wypowiedzenia się. Lecz dotykalniejsze dlań względy praktyczne ostatecznie przemogły — i Mehmed-eff. odkrył myśl swą wysłannikowi wielkiego baszy Iraku.

Na pierwszą wieść o przedsięwzięciu kapitana wszystko zakipiało na statku — radością i rozjątrzeniem! Roztęskniony Stambulczyk, co wczoraj tak nas pieśnią bawił, i wyrachowany kupczyk z Halebu nie posiadali się od gniewu. Nie było miary ich uniesieniom! Młodzi i przystojni chłopcy nie potrzebowali długo nastrajać na ton rozpaczy i m-me Emilię. Bez względu na następstwa, postanowiono natychmiast rzucić parostatek i ruszyć konno do Anah, a następnie drogą karawanową ku Halebowi. Co do mnie osobiście, nie podzielałem tego zdania. Dla mnie każda droga była interesująca — przez Bab-el-mandeb, Eufratem lub pustynią. Pośpiech, znużenie, niebezpieczeństwo były mi zupełnie obojętne. Najspokojniej tedy zachowałem się na pierwszą wiadomość. Lecz że już raz wybrałem się tą drogą, pragnąłem więc dotrwać do końca ekspedycyi. Wreszcie nie wierzyłem jeszcze w stanowczość dycyzyi kapitana

i rozumiałem, iż przełożenia i wyższe względy usposobią go inaczej. Udałem się tedy do adjutanta.

Tachsil-bej był zmartwiony i rad słuchał mych energicznych a bezinteresownych mniej więcej przedstawień. Duma jego ucierpiałaby wiele na tem, gdyby wyprawa skończyła się tak na niczem. Wzięliśmy się do kapitana. Ogorzały Arab zmiękł, ale nic stanowczego nie obiecywał, powtarzając wciąż, iż jest niezachwianie przekonany, że wyprawa letnia po Eufracie wyżej Hitu jest niemożliwa, że gdybyśmy i ruszyli jeszcze dalej mil parę pomyślnie, to w skaliskach u Anah znów zastrzęgniem. Wie zaś to nie z własnych przypuszczeń, a z informacyi, powziętych świeżo od ludzi, znających miejscowość. Zdawał się jednak być gotowy na dalszą próbę.

Gdym wrócił na górny pokład, zastałem tam przedsiewzięte opuszczenie statku bardziej jeszcze ustalone: nawet m-r Rodolf ze swymi Gaskonami postanowił wyruszyć łodzią parową naprzód. Zmierzał on do Raowah, leżącego po lewej stronie Eufratu, naprzeciw Anah. Tam własnie miał mieć roboty hydrauliczne nad kanałem do Tygrysu. Więc z propozycyą do mnie:

— Co my tu się mamy nudzić — jedźmy łodzią do Raowah, pogościmy u Mehmed-Saida — to jeden z szechów Szemmarów, krewniak wielkiego ich szecha Ferhana; przyjdzie tam statek — dobrze, nie — mniejsza z tem; weźmiesz wielbląda u szecha i przewodnika — i włos ci z głowy nie spadnie na całym pasie koczowisk Szemmarów; — a Anezy daleko w tej chwili, u Palmyry podobno! Inni niech sobie konno tamże jadą. Więc jakże?

— Dobrze! — odpowiedziałem po krótkim namyśle.

Gościna u szecha groźnego „aszeretu" Szemmarów, wśród Beduinów — to także czegoś warte! Wreszcie w razie wypadku z parostatkiem, byłbym sam jeden z podróżnych na brzegu pozostał, po odjeździe towarzyszy.

— Więc dobrze — pojedziemy łodzią, byleśmy się mo-

gli zabrać — inaczej konno, a u szecha Mehmed-Saida się spotkamy!

Francuzi wzięli się żwawo do przygotowań ku swej zaimprowizowanej wyprawie. Było tam jak zwykle więcej mowy, niż rzeczy, ale i robota szła. Naprawiono jako tako nadpsuty nieco kocioł i przystąpiono do zaopatrzenia się, w dostateczny zapas węgla ze statku. Wprędce okazało się, iż węgla może i nie wystarczy dla dopłynięcia do Raowah, a miejsca na łodzi zabrakło! Chętnie tedy wyrzekłem się niepewnej wycieczki z Gaskonami. Lecz nie spodziewając się, aby parostatek nazajutrz puścił się w dalszą drogę — raz zdecydowany zaznać mimojazdem i gościnności pod namiotem słynnego szecha Beduinów — prosiłem z innymi, naszego beja o zapewnienie i dla mnie konia, na przejazd do Mehmed-Saida. Za parę dni spodziewał się tam nas napędzić i sam niezadowolony nieco z naszego porywczego odjazdu Tachsil-bej.

M-r Rodolf ze swymi w godzinę po zrobionym projekcie już byli w drodze; łódź ich szybowała bystro przeciw prądowi Eufratu; z wyżyny naszego pokładu przesyłaliśmy im wesoło nasze — au revoir! Sami zaś na konie musieliśmy czekać aż ku wieczorowi. Słońce poczęło się już dobrze chylić. Na pięć osób przyprowadzono nam siedm tylko koni z osiołkami dla przewodników, nadto dwa wielbłądy w odwodzie. Ja z Turkami łatwośmy poprzestali, po żołniersku, każdy na jednym koniu, lecz gdy przyszło wybierać się m-me Emilii i s-rowi Tomasso, gdy przyszło ładować poduszki pierwszej, a drugiego różne skrzynki, kosze i wory z zakupnem osobliwości bagdadzkich — koni zabrakło. Dzień się kończył, przewodnicy naglili do wyjazdu, lekko wybrani — siedząc na koniach, niecierpliwiliśmy się: wypadało komuś zostać. Młody Smyrniota, przez galanteryę, ustąpił pierwszeństwa damie, odkładając wyjazd własny na jutro. Mnie zaś grzeczność europejska i nasza gotowość usługi wszędzie i wszędy nakazywały nie opusz-

czać go samego w dalszej tak bardzo tu niepewnej podróży. Zsiadłem tedy z konia i rozjuczyłem go. M-me Emilię i jej poduszki wyprawiliśmy z Turkami.

Samotnie się jakoś stało na statku po odjeździe naszych podróżnych: przywykło się do ich towarzystwa. Mój s-r biedził się ze swymi pakunkami — ja ruszyłem na brzeg. Chciało mi się widzieć nadbrzeżną osadę fellahów tej okolicy. Pieszo, sam, zwróciłem się tedy ku Dżohaneh. Słuszny powód zawsze się znalazł — poszedłem szukać sobie świeżego mleka. Kilka palm mizernych w oddali wskazywało mi kierunek; najpewniejszym zaś towarzyszem — rewolwer. Nie uszedłszy i pół wiorsty, byłem już między polami czy ogrodami (boć to tu jedno) miejscowych rolników i błąkałem się wśród otoczonych nasypami z gliny ich siedlisk. Wyjąwszy starców i dzieci, mężczyzn prawie nie zastałem. Pytam o mleko — niema; o chleb — równie niema; nic a nic dla przychodnia niema! Zdumiałem. Gdzież gościnność wschodnia?! Nie zraziło mnie to—pytałem wciąż dalej—wszędzie taż samo odpowiedź. Nareszcie jeden zgrzybiały starzec wprowadził mnie do glinianej zagrody, przyniósł mi dywanik i kazał naprzód piastra nań złożyć. Żądanie jego zaspokoiłem natychmiast. Przyniesiono mi mleka. Gospodyni, co mi je podała, uderzyła mnie czystością swego typu semityckiego — była to jakaś Lia czy Rebeka, postać istnie biblijna — odsłonięta — ale cóż, kiedy z turkusowym kolczykiem w prawem nozdrzu!

Niezawodnie i owe piękne niewiasty biblii musiały nosić tę powszechną tu do dziś dnia ozdobę; lecz co do nowoczesnych tu kobiet — trzeba wyznać szczerze, że to wcale im nie do twarzy.

Zaspokoiwszy pragnienie, począłem się rozglądać w mem otoczeniu. W zagrodzie, gdzie się znajdowałem, było kilka rozrzuconych lepianek — rzeczywistych, nie idyllicznych — służących za mieszkanie i schówek. Owce i konie swobodnie sobie po podwórku chodziły. Z lepianek wysunęła

się gromadka dziatwy z czarnemi gorejącemi oczyma, za nią opodal trochę i starsze dziewczęta z kobietami, a powoli i całe podwórko napełniło się coraz zwiększającem się gronem przybyłej z sąsiedztwa płci ciekawszej. Widocznie byłem nielada zjawiskiem dla tych córa Chaldei. Przypatrywano mi się badawczo i ostrożnie, z pewnej odległości, jak się przypatruje w menażeryi groźnemu zwierzęciu, nim się z widokiem onego publiczność oswoi. Wszystko było przedmiotem ciekawości we mnie: mój ubiór wogóle, obuwie, a nadewszystko okulary. Szeptano sobie wyraz „Frendży", to znów jakby na zbicie onego — „maamur!"

W stadku tem były typy niezmiernie zajmujące swą oryginalnością biblijną — znalazłaby się tu i Ruth i Debora, a wśród dziatwy może i Estera nawet. Lecz oczy me tylko miały przedmiot dla zajęcia, rozmowa zawiązać się nie dała: ze starcem tylko mogłem od biedy opędzić się po turecku, ciekawe zaś stadko odpowiadało mi na moje zapytania zdumieniem w oczach lub śmiechem pustym. Pożegnałem je po muzułmańsku — posłyszałem głośniej wyraz „maamur!"

Opowiadam zdarzenie kapitanowi; smutnie się uśmiechnął Arab — wzięto cię za urzędnika, powiada, a w obawie, abyś im co najlepszego nie zabrał, nic ci dać nie chciano; strach to, a nie brak gościnności — lud pamięta, jak to z nim maamurowie jeszcze do niedawna postępowali — i dziś jeszcze w lepsze czasy niewiele wierzy!

3 lipca.

Obudza nas wrzawa i hałaśliwy swar gaskoński! M-r Rodolf z towarzyszami, ni stąd ni z owąd, znów oto na parostatku — i znów się wadzą! Myślę, że sen, lecz widzę Francuzów na jawie.

— Co się stało, skądeście tu znowu?

Nuż nam tedy opowiadać — a każdy inaczej! Zrozumiałem tylko, że zaszła jakaś romantyczno-heroiczna awan-

tura. Że była ona całą pełnią fantazyi trzech współzawodniczących południowców ubarwiona — rzecz oczywista.

Treść następna jakoby: oto wczoraj rozkoszna podróż w górę po Eufracie — ku wieczorowi potrzeba wypoczynku — brzegi puste wszędy, na prawej stronie w oddali, na pagórku, kilka namiotów beduińskich — zatrzymano się. Jeden z Gasconów zostaje u łodzi; z drugim m-r Rodolf udaje się na poszukiwanie mleka. Wstępują pod pierwszy namiot — same kobiety z dziatwą — i o cudo — śliczna Beduinka młoda! Za taką w Marsylii lub Bordeaux głowy by potracono! Mleko wyborne, wysmukła kibić Beduinki ujmująca, ujmująca bardziej swoboda jej i prostota, przy lekkim zdobnym stroju. Francuzi wymowni. Każdy wyniósł z nad kanału Suezkiego kilka wyrazów egipskiej arabszczyzny. Wystarcza tego. Lecz młodzi ludzie nie poprzestają na łatwem krasomówstwie, obudzającem rozgłośny śmiech pod namiotem: poczynają się brać do rzeczy bardziej po cudzoziemsku. Stare matrony się ofukują, spraszają sąsiadki z bliższych namiotów; heroiczni Gallowie nie skorzy do odwrotu. Lecz że obaj czują się być współzawodnikami, oskarżają się wzajem o niezręczność i niepotrzebną pretensyę — i własnym swarem powiększają jeszcze wrzawę.

— A dziewczęta?

— Dziewczęta śmieją się, ile tylko pustoty starczy. Ostrzegają przecie poważnie, gdy o zbliżaniu się mężczyzn zasłyszano.

Nasi tedy poszukiwacze awantur, jak niepyszni, co tchu wynoszą się z namiotu, spiesząc, na łeb, na szyję, nazad do łodzi! Z biedą odbito od brzegu. Pogoń niebawem nadbiegła. Lecz obeszło się bez strzałów. Odpłynięto na nocleg ku drugiemu brzegowi. Tu dopiero pozostały na straży Gaskon począł kompatryotów nicować za niezgrabność i tchórzostwo. Ci zaś dowodzili obaj sobie wzajem, że, gdyby nie przeciwnik, piękna Fatma dla niego właśnie zgodziłaby się

opuścić namiot! Dogadywano więc sobie całą drogę; o świcie i nas swarem zbudzono.

— Pocóżeście nazad wracali? — pytamy.

— Okazało się węgli za mało; przebywać zaś u pustego brzegu, czekając, nim parostatek nadejdzie, wcale bezpiecznie nie jest!

— Więc już będziemy się trzymać razem!

Taką oto historyjką zagailiśmy dzień nasz dzisiejszy. Francuzi, w coraz barwniej rozwijanych opowiadaniach, urastali w bohaterów, godnych porównania najmniej z owymi greckimi — w odwrocie Ksenofonta z pod Kunaksy; a piękna Fatma uduchowiła się w tęczową nimfę wód Eufratu.

Myśmy z s-rem Tomasso pytali, w przerwach, wciąż tylko o prąd i głębokość wody. Powoli tedy, powoli poczęła w nas wchodzić znów otucha, że popłyniemy jeszcze przeciw prądowi, najmniej na wysokość Anah; a tam już napatrzemy się na urocze córy ludu, co od czasu Nabuchodonozora, jak podanie niesie, nie tęsknił wcale, nad wodami Babylonu, po skaliskach Chanaanu.

Głębokość wody wszędy dostateczna; więc i kapitan raźniej się zabiera do uporządkowania statku ku odjazdowi.

Nie przywiązywaliśmy przecie do tego już wiele wagi z mym Smyrniotą. Byliśmy zdecydowani na wszystko: wodą, konno, na wielbłądzie — co wypadnie — już razem — obojętna nawet, czy na Damaszek lub Haleb przyjdzie się przez pustynię zwrócić. Co wypadnie tedy!

A był to jedyny w swoim rodzaju towarzysz. Młody człowiek, lat dwudziestu dwóch — trzech najwięcej, posiadał on tę wczesną dojrzałość, o jaką nie trudno na Wschodzie, wśród szczepów starych. Włoch z ojca, Grek z matki, otrzymał on francuskie wychowanie, jakie Smyrna dziatwie możniejszych domów dać może; od dzieciństwa zaś obyty z panującą turecczyzną Anatolii, obyty niemniej i z żywiołem arabskim Syryi. Jednem słowem, urodzony polyglota i dragoman.

Nadto i w naturze swej przedstawiał on prawdziwą amalgamę wszystkich tych pierwiastków, dającą mu możność łatwego zawierania stosunków ze wszystkimi. Ogłada Francuza i pełna inteligencyi namiętność Włocha łączyły się tu z gotowością na wszelką obrotność Greka, przy nawyknieniach bezpieczności Turka i prostoty Araba. Doświadczenie praktyczne — niepowszednie w jego wieku.

W czasie wojny Amerykańskiej był on agentem poważnej firmy w Halebie i rozjeżdżał po całej północnej Syryi dla zakupna bawełny i wełny. Znajomość stąd ludu i kraju niepospolita, stosunki nawet z miejscowemi władzami znaczne — od namiotu szecha do konaku baszy. A rzutkość i przedsiębiorczość komercyjna dowodząca wielkiej wprawy i śmiałości — jak i sama wyprawa pierwszym statkiem do Bagdadu.

Takiego to towarzysza przygotowywał mi przypadek na przyszłą podróż. Postać nie sympatyczna wcale dla syna północy — to prawda, lecz w danym razie towarzysz niepowszedniej wartości.

Pod wieczór kapitan, jakby dla ośmielenia się tylko, kazał palić, zdjął kotwicę i ruszył; lecz po zrobieniu kilku staj drogi znów stanął, zapowiadając na jutro już stanowczy odjazd.

4 lipca.

Słońce dokuczało już okrutnie, gdy parostatek nasz gotów był ostatecznie do odpłynięcia. Szczęściem, że na wodzie „samun" nie dawał się tyle czuć, co w pustyni. Uzbrajać się zaś przeciw niemu, osłaniając usta i nozdrza końcami jedwabnej „kefieh", spadającymi z pod „egelu" (przepaski na głowie), byłoby tu i niemiłe i zabawne. Kapitan nasz wprawdzie, jako szczery Arab, nic sobie z tego nie robił i osłaniał się, jakby siadając na wielbląda. Lecz Tachsil-bej, pełen wielkoświatowej dystynkcyi, nosił tylko leciutką białą płócienną kefieh, szytą w domu — przez rączki,

posiadania których napewno możnaby mu było pozazdrościć. Ja nie czułem przecie jeszcze potrzeby uciekania się aż do osłaniania ust. Za to doświadczyłem dobroczynnej skuteczności innych miejscowych środków.

Znanem jest dotąd na Wschodzie tak zwane mosulskie płótno — „mosuł bezy": ów staroświecki „musułbas" naszych prababek, przez dzisiejsze panie niesłusznie zupełnie zaniechany. Jest to wyrób konopny tak cienki i mocny jak koronka, i zupełnie przezroczysty. Można go dostać i w Trapezuncie, dokąd w czasie ostatnich niepokoi w Mosulu przeniosła się znaczna część tkaczy-chrześcijan. Z takiego tedy płótna bielizna jest tu przedmiotem nie zbytku wcale, lecz prawdziwej rozkoszy. Utrzymuje ona świeżość jakąś i miły chłód na powierzchni ciała. Pierze się doskonale. Nie są to wszakże konopie, z jakich „afiun" (opium) wyrabiają. Na taką bieliznę wzięte dość tu powszechne okrycie „anterieh", z lekkiej hindustańskiej jedwabno-bawełnianej materyi, najwyśmieniciej dopełnia ubrania. W potrzebie ma się zawsze w odwodzie nadto „maszlah" — burnus nieprzemakalny z wielbłądziej sierści. Co do obuwia: tureckie „papucze" i perskie bawełniane wzorzyste „czoraby" (skarpetki) — najlepsze. Tak opatrzony podróżny jest dość dobrze uzbrojony przeciw słońcu i samunowi. A właśnie trzeba było o tem poważnie myśleć, mając na widoku możliwą podróż w pustyni.

Tymczasem zwlekano z odjazdem aż poza południe. Niecierpliwiło to wszystkich. Nawet służba, tak karna pospolicie, poczęła szemrać — tak czy owak, byle coś stanowczego! A tu kapitan wciąż rozmyśla. Lecz Francuzi dokuczaliż mu już za to bez litości. — I zakłopotany w sobie poczciwiec nie chciał na nich użyć swej władzy!

Nikt zresztą jeszcze wtedy nie przeczuwał, że niebawem Wschód zapragnie odwetu za wszelakie a tyloletnie gaskonady — złą radością, z jaką powita pierwsze klęski

drugiego cesarstwa! Boć i nas obcych raziło dworowanie tu samopas lada Galla!

Uchodziło tu dotąd wszystko każdemu. Bagdadczycy mieli niedawny przykład, jak ich muftego, najbliższego namiestnika chalifów, m-r Pellisier, konsul francuski w Bagdadzie, ośmielił się, w pełnym „dywanie", w „konaku" wali-baszy, targnąć za brodę sędziwą!

— I za co?

— Bo poważny starzec, dostojnik, nie powstał z innymi, gdy ów młodzik z marsylskiego bruku wchodził do „dywanu" w dzień imienin niezwyciężonego cesarza Francuzów, i — tylko pozdrowił przedstawiciela wielkiego narodu obyczajem wschodnim!

— A za to?

— Za to m-r Pellissier był zaszczytnie przeniesiony z Bagdadu do Aleksandryi!

Pamiętam, gdym się oburzał na popisywanie się tem lekkomyślne, Francuzi nie mogli tego w Europejczyku zrozumieć i żartowali jeszcze — twierdząc, że chyba we mnie też krew arabska jakimś utajonym strumieniem płynie.

Wogóle zaś zachowywanie się starszyzny uzuchwalało i drobnotę „de la grande nation". Za to jaka też porywcza reakcya — kto był jej świadkiem na Wschodzie tej jeszcze jesieni!

Nakoniec ruszyliśmy przecie! Brzegi coraz bardziej się ożywiały — bujniejsza roślinność, namioty, stada. Brzeg dżezirski jednak więcej zajmujący. Głębokość wody wszędy dostateczna, choć rzeka szeroko rozlana i prąd słaby. Po drodze z szamskiej strony, w oddali, i namiot pięknej Fatmy, na wzgórzu wśród innych. — Nie wiedziała dziewczyna, że takiej wrzawy stanie się tu powodem! A wreszcie kto to wie — może... Po dwugodzinnej pomyślnej jeździe zarzucamy kotwicę u Dżubbeh—tyle upragnionej od dawna.

Dżubbeh śliczna wysepka w ramionach Eufratu. Cała

okryta pięknym, wspaniałym gajem palmowym, wśród którego rozrzucone siedliska bogatej fellahów osady.

Miasteczko Dżubbeh leży pod 33° 54′ 37″ szer. półn. i 42° 34′ 18″ dług. geogr. Właściwie składa się ono z dwóch części, z których jedna zajmuje wyspę z obronnym zameczkiem, a druga ciągnie się nad brzegiem Eufratu od strony mezopotamskiej. Osada cała ginie w ogrodach. Liczą tu do 500 domów, z niepalonej cegły wzniesionych. Ludność ruchawa, przedsiębiercza, należy do pokolenia Bonam.

Całe mrowisko ludu wysypało się na brzeg na nasze powitanie. Wnet mieliśmy pełen statek gości — obfitość daktyli i mleka. Znaczny zasób drew równie był przygotowany. Czuć było tu większy dostatek, inteligencyę i szczerą gotowość posługi. Rozumiano należycie już od czasu wyprawy Chesneya, jakiby pożytek odniosła ich osada z ustalenia parowej żeglugi na Eufracie. Punkt to najważniejszy pomiędzy Hitem i Anah — stacya więc pośrednia i bezpieczniejsza od innych w czasie nieporozumień z Beduinami.

Miejscowość ta nadto szanowana jest powszechnie przez lud dla „ziaretu" — grobowca Ebn-Hasana, jakiegoś „seida", potomka proroka, stanowiącego przedmiot pobożnej pielgrzymki wiernych. „Ziaret" ten, rodzaj kapliczki w stylu staro-arabskim, z „kubbeh", kopułką niewielką, wznosi się na urwistym brzegu z „dżezirskiej" strony, i z góry panując nad wysepką, rozciąga nad nią niejako niewidomą opiekę świętobliwego wyznawcy...

5 lipca.

Orzeźwiający mieliśmy nocleg w Dżubbeh. Wyziew bujniejszej roślinności przejmował powietrze jakąś świeżością niezwykłą. Przypominało to nieco północną letnią noc naszą. Chociaż w inny sposób zdawało się tu coś przypominać północ naszą i we wręcz przeciwnej porze. Gaj palmowy nocą, w sennej perspektywie, to jakby młody bór

sosnowy, okryty zimą szacią i płatami śniegu: ten sam metaliczno-biały odblysk niby, przypominający księżycową noc w naszych lasach. Istotnie też Dżubbeh, ze swymi domkami, rozrzuconymi wśród gaju, zdawało się przedstawiać sennym wspomnieniom jakąś okolicę głębszego Polesia, o chatach wieśniaczych po borze rozsiadłych. A wszelkie przypomnienia stron rodzinnego kraju, wśród cudzego świata, nawet i w przelotnem marzeniu jakże rozkoszne!

O świcie byliśmy już w drodze: szybko zniknęła nam z oczu palmowa wysepka wczorajsza i majestatyczne słońce poranku oświeciło znów w oddali pas nagiej syryjskiej pustyni. Same wybrzeża wszakże były ożywione więcej, niż po tamtej stronie Dżubbeh. Cieszyliśmy się pomyślnym zwrotem wyprawy i rozprawialiśmy o możliwem przebyciu Anah. Uśmiechała się nam nadto blizka już gościna u Mehmed-Saida. Płynęliśmy tak najmniej godzin dwie i pół — wesoło, swobodnie. Wtem, na największą naszą niespodziankę, kapitan każe zarzucać kotwicę. Zatrzymujemy się na pół drogi między Dżubbeh i Aluthem (El-Uz). Wzięto się żwawo do zbadania głębizny na znacznej przestrzeni w górę po rzece. Po upływie godziny wrócono z fatalnym wyrazem „ołmaz" — niepodobna!

— A niechże was razem wszystkich z żeglugą! — była serdeczna na to odpowiedź.

Postanowiono wrócić do Dżubbeh i tam się zatrzymać na całe lato. Wróciliśmy! Zachodzące słońce pożegnaliśmy na kotwicy u ładnej wysepki.

Przykro było jakoś — cała wyprawa chybiła celu. Szło właściwie o przekonanie się stanowcze, czy możliwa jest w ciągu lata żegluga parostatkowa po Eufracie, od Bassory do Balisu, i jeśli jest taką—więc na ile. Rzecz to niezmiernej wagi sama pewność nieprzerwalności żeglugi. Na tej pewności opiera się pożądane urządzenie stałego pośredniego stosunku między morzem Śródziemnem a Indyjskiem, bliższego i w wielu względach dogodniejszego, niż przez Suez.

Nieobliczone następstwa poprowadziłoby to za sobą. Otwarłaby się nowa droga wspaniałem pasmem wody przez prastarą Mezopotamię. Nawet pomijając znaczenie wszechświatowe tej drogi, waga onej dla stosunków miejscowych już bardzo znacząca. Każdy to rozumie, kto się poczuwa do obowiązków, jakie wkłada na ludy europejska kultura.

Gdy Falkowski mierzy przestrzenie doliny międzyrzecza przednio-azyjskiego, Rawicz od Dyarbekiru, z wyżyn Kurdów, myśli o zużytkowaniu Chaburu, jednego ze znaczniejszych dopływów Eufratu. Rokuje więc o tem zawzięcie z Czerkiesami nowej osady Ras-el-ajnu i, na zaręczenie zapewnień przyszłego bezpieczeństwa, przyjmuje od groźnych Anezów uczty—gdzie na jedynym miedzianym półmisku wznosi się korzec jaki przyrządzonego na pilaw ryżu, uwieńczonego rumieniącemi się pieczeniami kilku całych baranów!

O ustalenie tej komunikacyi starają się naprawdę nie tylko wielki namiestnik Bagdadu, lecz równie baszowie Dyarbekiru i Halebu.

Wyprawa więc, której byłem świadkiem, miała niezmierne miejscowe znaczenie. Szkoda zatem wielka, że tym razem tak nieudolnie była poprowadzona. Trzeba było bez wzdragania się powierzyć ją jakiemu angielskiemu marynarzowi, który, będąc mniej skrępowany względami zależności, a posiadając więcej środków, jakie daje umiejętność i doświadczenie, byłby użył wszelkich sposobów dla osiągnięcia celu. Bardzo być może, że i kapitan europejski nie byłby w stanie o tej porze dostać się aż do Balisu; lecz zawsze prądy rzeki byłyby lepiej przezeń na przyszłość zbadane. Ale co począć—Turcy postanowili próbować sił własnych i w tym zakresie!

Parostatek nasz przeto miał zostać na kotwicy przez całe już lato w Dżubbeh. Nie było rady. A więc dalej pustynią!

M-r Rodolf zażądał urzędownie, aby mu dano środki dostania się z bagażami do Raowah—i myśmy też z s-rem Tomasso prosili naszego beja o dostarczenie nam jednoczesne „hajwa-

nów" (bydląt), dla udania się tamże z nim razem. Postanowiono nadto wysłać, za jednym zachodem, żelaza i inne rządowe efekta, złożone na parostatku do dalszego transportu. Na pierwszy raz mieliśmy więc w perspektywie jazdę niby w karawanie niewielkiej, nieźle uzbrojonej i opatrzonej strażą dwóch przewodniczących żandarmów (zaptieh) dla eskorty rządowej własności. Koniec końców, zadowoleni byliśmy, że się tak złożyło — i spokojnie czekaliśmy jutra.

Wieczór dzisiejszy na parostatku spędziłem tedy pożegnalnie. Moi assyryjscy Chaldeje radzi byli już opytać mnie ostatecznie o wszystkiem. Słyszeli byli coś o soborze, to o modłach, zaleconych katolickiemu światu; musiałem im zatem prawić o Rzymie, opowiadać o własnym kraju; a potomkowie towarzyszy Nemroda z nieudaną żarliwością opytywali mnie dalej a dalej o naszej północy. Lecz i ci poczciwi palacze wiedzieli, iż należą niby do najstarożytniejszego w świecie narodu, i nie zdawali się za wiele cenić nowoczesnej Europy!

6 lipca.

„Kajmakam gieldy! kajmakam gieldy!" — zabrzmiało na pokładzie. Zrywam się ze snu, rozmarzony jeszcze mglistymi obrazami dalekiej rodzinnej północy, i widzę zbliżający się ku nam, po syryjskim brzegu, niewielki a świetny orszak. Rozkoszne zjawisko niespodziane przed samemi oczyma. Konie—ozdoba pustyni Szamu, a jeźdźcy — domownicy jakiejś dystyngowanej osoby: i pan i służba z arabska po turecku ubrani — widać przedstawiciele urzędu, władzy. „Kajmakam gieldy!" zabrzmiało raz jeszcze.

I oto odbija łódź nasza na przyjęcie i przewiezienie gości. Ślicznie to wygląda — w suchej mgle poranku, łódź na Eufracie, pędzona silnemi dłońmi żołnierza — majtka Araba w tureckim czerwonym fezie i wojskowej kurtce. W mgnieniu oka mamy gości i na statku. W nieznajomym witamy kajmakama z Anah — namiestnika tam wiel-

kiego baszy Bagdadu. Człowiek średniego wzrostu i średniego wieku, o rysach twarzy lekko wydatnych i wyrazie nadzwyczaj energicznym. Każdy ruch jego zdradza stanowczość — znać nawyknienie do władzy i może jej tradycyę. Zapewnie to jeden z tych urzędniczych syryjskich rodzin — Szamly lub Halebly — Damascen lub Alepczyk — co to bez żadnego wybitnie narodowego charakteru, ani Arabi ani Turcy, uganiają się tylko za synekurami łatwego urzędu. Nie zna tego typu Zachód: klasa to ludzi duchowno-biurokratyczna, jakiej w obfitości dostarczają „medresse", zakłady naukowe wielkich miast Syryi. Wyższa ona jest cywilizacyjnie od Turków i umiejętnie wyzyskuje tę wyższość względną.

Nasz effendy powitał też nas, europejskich giaurów, z całą wyszukaną uprzedzającą grzecznością; choć napewno swoich rajahów, chrześcijańskich poddanych sułtana, musiał traktować bez litości. Na wstępie zaraz powiedział nam, iż spodziewa się być tyle szczęśliwym i niebawem podejmować nas, jako swych osobistych gości, w pięknem Anah. Przyjechał był bowiem istotnie umyślnie dla towarzyszenia parostatkowi na terytoryum władzy swej powierzonem. Łatwo tedy zrozumieć jego zdumienie, gdy mu powiedziano, że niepodobieństwem jest dalsza jazda. — „Ołmaz?! — niczyn?" niepodobna?! dlaczego? — powtarzał gorączkowo.

On właśnie przybył tu, aby dopomódz całemi siłami do spełnienia woli padyszacha i wielkiego baszy Iraku!

Przemówienie takim tonem zrobiło swe wrażenie na naszej starszyźnie. Zaniosło się na burzę. Zręczni Turkowie, by nie mieć obcych za świadków, powoli usunęli się dla wzajemnego wyrozumienia do kajuty kapitana. Powstała nowa otucha, że wyprawa na Dżubbeh nie zatrzyma się.

Lecz co do mnie, zdecydowany już stanowczo na zawanturowanie się przez pustynię, wypowiedziałem mą niezmienną gotowość siąść choćby dziś jeszcze na wielbląda,

byle mi tylko kto zechciał towarzyszyć. Rozwaga i doświadczenie utrzymały i młodego Smyrniotę przy powziętem ostatecznie postanowieniu.

Z Francuzami tedy do Raowah jeszcze razem!

A więc w drogę—pakujmy juki—wolimy się dowiedzieć zdaleka o dalszym losie wyprawy i parostatku!

Znów tedy na siodło!

Rozpoczyna się więc oto zabawna wielce scena pakowania się Francuzów i Smyrnioty.

S-r Tomasso, jako przedsiębiorczy „tuddżar"—kupczyk, na odgłos przybycia tej wiosny pierwszego parostatku na wyżynę Balisu, przeciwległego Halebowi, nabrał co mógł drobnego europejskiego towaru i na powracającym „Basrah" ruszył z nim do Bagdadu w przekonaniu, iż tego rodzaju przedmioty rękodzielni zachodnich znajdą najpomyślniejszy odbyt w oddalonym od rynków Europy grodzie Haruna-al-Raszyda. W połowie się przecie zawiódł na tej spekulacyi. Drobiazg galanteryjny damski rozszedł mu się duchem, przewybornie; lecz za to przedmioty mody, bardziej na użyteczność obliczone, jak francuskie obuwie naprzykład i t. p., nie znajdowały wcale prawie amatorów, wyjąwszy kilku może konsularnych dandysów i młodzi inżynierskiej.

Przyczyny tego były: klimat, upartszy stary obyczaj i współzawodnictwo Indyi i rzemieślnika perskiego. Gdy w takim Bejrucie każdy już—lada przekupień, chętnie podstraja się z europejska, mniej dbając na najzabawniejszą nieraz kombinacyę przeróżnej odzieży, a piękne panie z przyjemnością męczą swe nóżki francuskiem obuwiem; w Bagdadzie wszystko jeszcze stosunkowo po staremu, a nawet praktyczny Europejczyk przenosi tam lekką i wygodną odzież z wyrobów Persyi lub Indyi nad tyrańską obcisłą zachodnią.

Omylił się tedy nasz signor w rachunku na Bagdad. Teraz przewidując całą niedogodność podróży przez pustynię z takimi jukami, powziął myśl pozbycia się ciężaru choć

w części; tem bardziej, że chciało mu się natomiast bagdadzkie osobliwości koniecznie do domu dowieźć. Na Francuzów i służbę z chrześcijan można było coś liczyć. Dawaj tedy roztasowywać się ze swym kramem. Poczęto też naprawdę dla oryginalności rozpatrywać towar.

Ale nic pocieszniejszego, jak zbiegowisko miejscowych Arabów i dziecinnie ciekawe ich zastanawianie się nad każdym szczegółem europejskiego wymysłu. Widać było, że lud ten sili się pojąć, jak może wystarczyć człowiekowi na tyle pustoty, ażeby naprawdę zaprzątać umysł takiemi bagatelami. Uwagi przy okoliczności bywały nieraz przewyborne, i trzeba się przyznać — nie bez ujmy dla nas.

Ile ciekawa była ciekawość Arabów, tyle zabawna zabawność Gaskonów.

Zdawało się, że się już wszystko uciszyło między nimi: wybór w drogę i nic nadto! Ucichło współzawodnictwo rzemiosła, umilkły zardzewiałe jakieś parafialne niechęci na lada wspomnienie namiętnej gry odcieni socyalnych w kraju, zapomniana Fatma nawet. Wtem ni stąd ni z owąd parę dowcipnych słówek, rzuconych sobie wzajem przy kupnie, sprowadza najrozpasańszą burzę. Nie pominięto niczego — i m-me Emilii i Fatmy. Obaj mechanicy postanowili rzucić swego inżyniera i ruszyć sobie do Bagdadu.

Było w tem przecie za wiele już samowolności. Kajmakam tedy wręcz im zapowiedział, iż zostających na służbie padyszacha potrafi mocą władzy zmusić do porządku. I niezawodnie, sądząc ze sprężystości effendego, byłoby do tego doszło, gdyby nie wdanie się samego m-r Rodolfa, który, rad nareszcie pozbyć się dokuczliwych towarzyszy, sam prosił o uwolnienie go od nich.

Nie mógł nas wszakże namówić energiczny rządzca Anah do pozostania jeszcze dłużej na parowcu dla dalszych prób wyprawy. Obiecaliśmy zawsze go odwiedzić po drodze—i, we trzech już tylko, czekaliśmy jedynie na przyjście zapewnionych nam do Raowah koni i wielbłądów.

Ku schyłkowi dnia dano nam znać nakoniec, iż konie nadeszły. Były one po drugiej stronie wysepki, na brzegu dżezirskim, u owego grobowca pobożnego wyznawcy proroka. Trzeba było więc do nich dostać się łodzią, objeżdżając półkolem Dżubbeh.

Przyszło do pożegnania.

Ujmujące są formy pożegnalne u ludów Wschodu — poważne, proste a pełne jakiejś familijnej szczerości. Starszyzna nadto nie zapomniała i o dostojniczej dystynkcyi. Poczciwy zaś Hanna, mój przyjaciel „Kildanin", którego to tak Rzym wielce interesował, z niemem rozczuleniem podał mi na wsiadanem do łodzi szerbeh zimnej i czystej jak łza wody, a jego „Ałłah esmerładyk!" polecające mnie Najwyższemu, z daleka nas jeszcze dolatywało.

Żwawo okrążyliśmy śliczną palmową wysepkę i zawinęliśmy na lewe ramię Eufratu — wioślarze jakby chcieli się popisać swą zręcznością przed obcymi. Po drodze jeszcze mamy oryginalne spotkanie z dwoma Arabami, płynącymi ku wyspie na wydrążonych tykwach, podłużnej kształtnej formy, z odzieżą zawiązaną na głowie. Wrócili oni niebawem w podobnyż sposób z zapasem doskonałych daktyli nam na drogę, ale już zastali nas na brzegu.

Wzięliśmy się do juczenia. Ze mną była krótka sprawa. Rzeczy miałem bardzo mało i tak równoważnie rozmieszczone w dwóch tłomoczkach, że trzeba je było tylko przerzucić przez „pałan", łęk słomiany, lub drewnianą „samarah" — i już się miało główną rzecz zrobioną; z tyłu przerzucają się biesagi, na wierzch kładzie się poduszka, wszystko to okrywa się dywanem, przewiązuje i — oto i koniec. W ciągu podróży tak się nabiera wprawy, iż się sobie urządza siedzenie daleko wygodniejsze od naszego siodła.

Co do tłomoczków — jeśliby to kogo obchodzić mogło, to mu powiem, że najpraktyczniejsze ze wszystkich są owe składane u wierzchu jak harmonika, a jakie u p. Glücka, na Nowym-Świecie, w każdej chwili zapewne dostać można.

Jednobym tylko jeszcze dla większej dogodności dodał — to po dwa kółka żelazne z jednej strony u spodu obydwóch tłomoczków, tak, jak to się w zwykłych jukach wojskowych robi.

Lecz nie tak łatwo mogli sobie poradzić moi towarzysze: ich skrzynki, kosze, juki, torby wymagały więcej zachodów. Ale czegóż biedne zwierzę nie udźwignie i czego Arab nie wwali na wielbląda! Ryczy on okrutnie podczas gdy go juczą, a potem brzemię niesie cicho. W żadnem zwierzęciu nie daje się widzieć tyle bólu i rezygnacyi, co w wielblądzie. Lament tedy powszechny, gdy poczęto na nie ładować przywiezione z parowca rządowe żelazo w sztabach; lecz po lamencie każde zwierzę wstaje, westchnie i idzie dalej spokojnie.

Juczenie samo przeciągnęło się aż do zachodu słońca. Wcześniej nie mieliśmy wyjeżdżać. W Arabistanie bowiem podróżuje się zupełnie inaczej, niż w Anatolii. Tu latem, z powodu strasznego skwaru i gorącego samunu, podróż w ciągu dnia jest prawie niepodobna. Tymczasem jazda nocą, przy jasnych gwiazdach, należy do największej rozkoszy. Co zaś do niebezpieczeństwa — różnicy niema: trzeba być w każdej chwili gotowym na spotkanie się z niespodzianką. A na ten raz byliśmy dość dobrze przygotowani na podobne spotkanie.

Przed odjazdem naszym przybyło kilku jeźdźców ze straży miejscowej — „zaptieh", dla konwojowania rządowego dobra. Raźni chłopacy, w prześlicznym stroju, z arabska wojskowym, i na dzielnych koniach. Większą częścią byli to górale Kurdzi, radzi zawsze zdobywać sobie chleb bronią, chociażby na dalekiej służbie sułtańskiej. Nie wiem, jakby to było przy stanowczem starciu się — to pewna tylko, że Kurd Beduinowi nie ustąpi, a nawet ten jedynie tylko górala się boi. Przedwieczna zaś niechęć szczepowa do jakiegoś porozumienia między nimi nie dopuści.

Bądź-co-bądź, ubezpieczeni czy nie, mieliśmy wesołe towarzystwo młodzieży, ze słowiańska mównej — i byliśmy szczerze z tego radzi. O samym zachodzie siedliśmy na koń, zabrzmiała nam jakaś pieśń Kurdystanu ze swem lejleh! lejleh! — i ruszyliśmy.

NOC W WĄWOZIE ANTY-LIBANU.*)

Latem 1870 r., 1-go sierpnia, znalazłem się u podnóża ciągnących się ku wschodowi bocznych pasm Anty-Libanu.

Przebyłem już pustynię syryjską, słynny „czoll" dziki— Eufrat był już daleko — daleko też została poza mną tajemnicza Palmyra — zbliżałem się do Damaszku.

Pożegnanie ostatnie pustyni z dziwnem mi powitaniem się splotło.

Zawiał mnie wiatr od Libanu, od Cypru, czemś tak świeżem, tak swojskiem niezmiernie, że nacieszyć się nie mogłem; nie żałowałem już pustyni i jej surowo biblijnej poezyi. Ale z powiewem od Europy, uderzyła mnie i wieść niespodziana...

Od miesiąca już, od czasu opuszczenia Bagdadu, nie spotkałem prawie nikogo, ktoby mi mógł był coś o Zachodzie powiedzieć. Koczownika pustyń nic nasz świat i nasze dzieje nie obchodzą; ma on swoje zadania, rozkosze i obawy, ma swoje namiętne zapasy życia...

Dziś rano dopiero, zbliżając się do Kateifah, ostatniej stacyi przed Damaszkiem, skąd rozchodzą się drogi do Palmyry i Halebu, spotkałem pierwszą karawanę, która szła ku pustyni od strony wielkiego miasta.

---

*) Gazeta Polska 1875 r., Nr. 92, 93 i 94.

Wielce też ona mnie zainteresowała. Karawana była świetna. Jadąca przodem damasceńska młodzież kupiecka wyglądała po książęcemu, a tak świątecznie ubrana i szumnie gwarna, że zdawała się na gody weselne gdzie ruszać. Poiłem się wspaniałym widokiem!

Wtem — jeden z orszaku ściśnie ostrzem strzemion arabskich swego konia i ku mnie wprost poskoczy.

— A wiesz ty, effendy, prochem pustyni okryty — powiada mi naiwnie szykowny młodzieniec — co się tam w waszym Frengistanie dzieje?

— Cóżby tak szczególnego?—pytam z oryentalną obojętnością.

— Straszna tam wojna zawrzała!

— Z kim tedy?

— Powiadają wszyscy w Damaszku, że jakiś „Burus" z wielką siłą wasz Frengistan naszedł i biją się okrutnie; ty o tem sam już lepiej będziesz wiedzieć, zresztą jutro się wypytasz.

I z tem rozminęliśmy się, przesławszy sobie z koni podróżne „selamy".

Lecz jakie wieść taka mogła wywrzeć wrażenie na wędrowcu — nie trudno zrozumieć. U nas tam, w Europie, wojna — wojna wielka, w którą zamieszana Francya najpewniej i prawdopodobnie Prusy, a dalej obustronni ich allianci — było to coś niezmiernie ekscytującego! Zainteresowaniu memu nie było miary.

Wjechaliśmy do Kateifah.

Licha to osada fellahów syryjskich, ale posiadająca przestronny i mocny „chan" (karawan-seraj), wzniesiony na tych rozdrożach jeszcze przed trzema z górą wieki, przez Synan-baszę, potężnego władzcę Damaszku.

Tuśmy całą naszą karawaną spoczęli na upał.

Zastaliśmy w chanie tłumy podróżnych; ci spieszyli na Hamah, brzegami rozkosznego Orontu, do Halebu, na północ; inni zmierzali ku ruinom świetnej Palmyry (dziś

Tadmor) i Eufratowi; byli zaś i tacy, co w jedną z nami mieli ruszyć drogę.

Pytałem o wieści z Zachodu — nikogo one tu nie obchodziły! — W Damaszku się dowiesz — odpowiadano. — Niecierpliwiłem się tedy „po europejsku" długim wypoczynkiem, ku zgorszeniu wielkiemu Ibrahima-agi. Lecz nie było rady, trzeba było czekać aż do zachodu słońca — tak chciał „katyrdży" — mój przewodnik, tak wymagał wreszcie powszechny miejscowy obyczaj, „adet" niezłomny.

Wir w doraźnem naszem popasowem obozowisku nakazał mi wkrótce zapomnieć o wszystkiem. Człowiek tak łatwo, w podobnej podróży, daje się pociągnąć zajęciem się chwilowem innych. Wreszcie znalazłem tu tłum z wielu względów bardzo interesujący.

Wszakże najwięcej mnie obchodził towarzysz mój od niedawna, Ibrahim-aga, z którym wypadek mnie zbliżył.

Obyty z trybem włóczęgi azyatyckiej, niewiele ważąc beduińskie postrachy, do Damaszku puściłem się z jednym przewodnikiem tylko. Zdarzył mi się Alepczyk, i jeszcze prawdziwy „Halebli" — mądry jak wąż, jak kot sprytny i rzutki, bywalec, co znał rozdroża północnej Syryi lepiej od koczowniczych Anezów, a chytry, przebiegły, potulny i zuchwały. Onby dziesięciu Beduinów w pole wyprowadził. Wiek nadto dał mu doświadczenie wielkie—liczył bowiem najmniej lat pięćdziesiąt. Mimo to wszystko, ja wszakże miałem pewne powody najzupełniej memu Mansurowi ufać. Konie pod nami były dzielne, syryjskie, i śmiało brnęliśmy naprzód, zmierzając ku słynnej stolicy Ommejjadów.

Ale w drodze Mansur mój wprędce przekonał się, po świadomych sobie dobrze znakach, że nie mieliśmy przecie najmniejszej racyi uważać siebie za zbyt bezpiecznych. Nie mówił mi o tem wszakże nic z początku, bojąc się, jak powiadał potem, trwożyć mnie bez potrzeby.

Tymczasem jednego poranka spotykamy w pustyni

wymijający nas oddział kresowy Arsłana-baszy z Hamy. Zjawisko fantastyczne z „Tysiąca i jednej nocy." O czemuż ja nie jestem malarzem! Paręset ludzi zbrojnych, w malowniczym stroju, z turecka arabskim — w płaszczach wojskowych a okryciu głowy beduińskiem — o twarzach bronzowo ogorzałych. Piechota na mułach, a jazda na „hedżynach" (dromaderach) lotnych. Niby orszak jakiego Sennacheryba, czy Nabuchodonozora, idących pustynią na podboje świata! Jakby wicher gwałtowny mija to nas w pochodzie. Zatrzymaliśmy się z mym przewodnikiem, zadziwieni pośpiechem— tak tu niezwykłym.

Zjawisko błyskawicą znikło w olśniewającym przestworze pustyni. Ale Mansur miał czas wypytać się żołnierzy w przelocie, i powiada mi tedy po chwili:

— No „chawadżah" (panie!) — mamy szczęście, żeśmy się zanadto naprzód nie zapędzili; ja już wietrzyłem tych szakali, i nie zawiodłem się!

— Cóż takiego?

— Ni mniej, ni więcej—zbójecki Farys-Myzziet całem pokoleniem podniósł się na pustyni; uczęstowaliby oni nas dobrze przy spotkaniu.

— A teraz?

— Teraz powiał też im wiatr w oczy; oto poszedł na nich Arsłan-basza, a to bicz na rabusiów! a z drugiej strony ma ruszyć także Omer-bey, ów wasz Madżar, od Tadmoru, ze swą strażą kresową — ten im równie potrafi dać się we znaki. Otóż szakala — Farys-Myzziet wezmą we dwa ognie!

— Byleż nam nie wleźć w biedę!

— Oho, stary Mansur nie pierwszy raz idzie pustynią i zna wszystkie kryte chody Beduina! Wreszcie zwolnimy kroku; za nimi, powiadali żołnierze, posuwał się konwój wojskowy, idący po amunicyę do Damaszku—nieliczny, lecz doborowego jeźdźca („suwari"). Napewno niezadługo zwróci na naszą drogę — spotkamy się, i już bez wstydu, „chawadża", trzymać się go będziemy...

Istotnie, w parę godzin, napędziła nas kompania syryjskiej jazdy, ośmiu ludzi — chłop w chłopa, „czausz" (podoficer) i „milazym" (porucznik), strojno, zbrojno, wesoło a butnie.

Rad byłem niezmiernie z tego spotkania, boć tu nie zawsze bywa tak zabawne ruszać samowtór pustynią... w młodym zaś poruczniku znalazłem nadto niezmiernie ciekawego towarzysza.

Był to właśnie wspominany wyżej Ibrahim-aga.

Teraz w Kateifah roztasowaliśmy się obok siebie w karawan-seraju. Długi, całodzienny prawie tu wypoczynek, w czasie upału nieznośnego, zbliżył nas więcej, niż poprzednia podróż wspólna. Wszystkiem dzieliliśmy się tu razem, i kawą i chlebem, i wodą fontanny na dziedzińcu i cieniem pod namiotem wewnętrznych galeryi chanu. A gdym się przekonał, że żadnej wieści z Europy wśród zgromadzonych z różnych stron podróżnych nie posłyszę, i gdy do syta obejrzałem barwne tłumy karawanowe — oddałem się już tylko memu nowemu towarzyszowi wyłącznie.

— Co ty tu się tak niecierpliwisz jak dziecko — powtarzał mi on ciągle — „otur rahat" (spocznij spokojnie), nie zajdzie tam przez ten czas nic takiego u was, czego w przeznaczeniu niema. „Otur!"

Siadłem nareszcie.

— Czy cię tam tak bardzo obchodzić może, że jakieś Frenki za łby się wodzić poczęli? Na zdrowie im. Tyś przecie nie Frenk.

Chciałem mu to wytłómaczyć, jak też, będąc Madżarem czy Lechem, można przecie bardzo żywo być dotkniętym tem, co się w samym Frengistanie dzieje; ale było to bezskuteczne.

— Wreszcie czekaj — dodawał mi dalej — słyszysz — każdy ci mówi, że w Damaszku dowiesz się o wszystkiem, i wiedz, że tak jest istotnie. W Damaszku naszym dopytasz wszystkiego, co tylko gdzie po świecie się dzieje — od

„Dar-ul-selam" do „Dar-ul-dżyhad", od domu błogosławieństwa do domu walki świętej, od Bagdadu do Belgradu; dopytasz i o Hindustanie i Frengistanie — o wszystkiem! Niema nad nasz Damaszek — zobaczysz!

Ibrahim-aga był właśnie Damasceńczykiem czystej krwi. Młody jeszcze bardzo, zaledwie dwadzieścia kilka lat mający, z możnej rodziny i obdarzony wszelkimi przymiotami militarnymi, szukał on w służbie wojskowej świetnej karyery. Nie brak mu było wyższych zdolności i rutynicznego wschodniego wychowania; lecz wykształcenia, w naszem znaczeniu, nie miał żadnego. Za to była to natura bez miary fantastyczna i rozpasanie bujna. Fantazya jego ognista porywała go gdzieś w niedościgłe światy, a nie znajdując nigdzie oparcia się, traciła skrzydła i sprowadzała bezsilne trawienie się duszy. Haszyszu nie potrzebował; natomiast liberalne żołnierskie usposobienie i obycie się z chrześcijanami podsunęły mu inny środek—wódkę, na nieszczęście. Życie tedy młodego człowieka stało się nieustannem falowaniem między ekscytacyą najwyższą a senną apatyą.

Wrzało jednak w tej duszy niemało wyższych motywów psychicznych, a wszystko razem przedstawiało dziwny amalgamat, wytwarzając niezmiernie oryginalno-ekscentryczny typ Azyaty.

Niema nad Damaszek!

W tym mistycznym wyrazie zwarte było dla Ibrahima wszystko. „Dymiszk-el Szam" cały go pochłaniał. To była jego ojczyzna, jego kult, jego narodowość — poza tem nic go już właściwie nie obchodziło. Na zapytanie:

— Kto jesteś? jakiej narodowości? Turek? Arab?

— „Szami!" jestem — spokojnie odpowiadał.

A nazwa ta „Szami" nie oznaczała Syryjczyka, lecz Damascena jedynie: syryjski Haleb był dlań obojętny, tak dobrze, jak Stambuł, Bagdad lub Kair.

„Szam" —raj ziemski, stolica świata.

Mój Ibrahim o tyle tylko był muzułmaninem, o ile

czuł się być synem Damaszku; jako „Szami", nienawidził Turków w duszy i pogardzał chrześcijany. — Damaszek — powiada mi — jest istotną kolebką islamu i jego najwyższym wyrazem; to tylko prawdziwe, co damasceńskie, to też szczytne tylko. Czcza sława Bagdadu Haruna-al-Raszyda! Świetność Kordowy hiszpańskiej — toć przecie odblask Damaszku tylko, dzieło tutejszych wygnańców! Nawet za czasów chrześcijańskich Damaszek tylko przecie wydał „Złotoustego" mędrca!

— A dlaczegoście jego współwyznawców mordowali tak bez litości dziesięć lat temu?

— Dlaczego? bo nie możemy pozwalać na to, aby nam obcy „giaury" urągali w naszym własnym domu, bo nie dopuścimy, aby nasze „szczenięta", podrosłszy, wydały nas na pastwę Frenków!

A potem, podnosząc głos do najwyższego stopnia namiętności, zawołał:

— Któż to szczuł poczciwych górali Libanu wzajem na siebie? Muzułmanie, Druzowie i Maronici siedzieli w ustępach górskich, wieki całe, obok siebie, w sąsiedzkiej zgodzie. Trzebaż było ogień nienawiści między nimi podżegnąć! Chce się nieproszonym Frenkom gospodarować wszędy. Chcieli krwi — mieli ją!

Zamilkłem; ze wstydu i bólu nie miałem co odpowiedzieć wyznawcy koranu.

Odświeżyły się we mnie wrażenia z pobytu mego na Wschodzie przed dziesięciu laty (1860 r.) Pamiętałem dobrze straszną rzeź syryjską. Któż z bliżej stojących nie wiedział wtedy, że tę krew niewinną niewinnych plemion bezdusznie przelało współzawodnictwo Francuzów z Anglikami? A czytać że było gazety ich ówczesne! Bezczelność cynizmu filantropijnej retoryki—granic nie mająca! Trzeba było czuć zapach krwi świeżej, aby rozumieć całą bezecność kłamstwa! Czytając je, znajdowałeś — że to niby wybuch dzikości barbarzyńskich rodów górskich, że to paroksyzm fanatyzmu

czcicieli Mahometa... A my, Europejczycy, tacy zacni — my śpieszymy na pomoc uciśnionym, wniebogłosy przez nich wzywani...

Podli!

Byłem ja potem i sam na Libanie — sprawdziłem dowodniej rzecz; a teraz, upokorzony przez islamitę, milczałem.

Ibrahim-aga zaś, rozdrażniony, kazał czauszowi podać sobie zapas podróżnej „rakii" (wódki z winogron) i wiadro zimnej wody, i pił naprzemian bez litości, po muzułmańsku—pił a śpiewał jakieś beduińskie rapsody.

Za Frenka mnie nie miał, nie odnosił więc ku mnie swej damasceńskiej zawziętości...

Do „rakii", do śpiewu, przyłączył się i błędny derwisz, jaki się był tu nadarzył, i tak poszło już do wieczora.

Ja tymczasem, wypocząwszy nieco, warzyłem improwizowaną herbatę i, licząc na zasobność wielkiego miasta, rozdzielałem resztę cukru między łakomą nań wschodnią czeredę. Za to pozyskałem względy najwyższe, usłużność na zawołanie; nawet wdzięczne z daleka spojrzenie i bliższy uśmiech młodziutkiej, bardzo a bardzo pięknej Selimy. Niegodziwie, grzecznością moją daleką, nabawiłem śliczne stworzenie kłopotu — Mansur stary rezolutnie pośredniczył — herbaty słodkiej, „szekerły", odmówić było niepodobna, a trzeba było się odsłonić, aby ją wypić; otóż kłopot, rumieniec, uśmiech — razem kwiatka i koteczka... Uderzające przypomnienie! Selima, dziecko jeszcze, córka bogatego kupca z Homs, była jedyną kobietą w tem obozowem towarzystwie.

Ale słońce chyliło się już ku zachodowi — trzeba było zabierać się do drogi. Karawany na Tadmor i do Halebu już ruszyły; nasza pozostała ostatnia.

Zebrało się nas teraz ze trzydzieści koni wierzchowych i kilkunastu podróżnych pieszych lub na osiołkach, przy taborze, składającym się z jakich dwudziestu koni jucznych i trochę mniej wielbłądów.

Gdy przyszło wyjeżdżać, pokazało się, że nasz pan oficer zupełnie od dowództwa abdykował, spił się był bowiem do tego stopnia, że ledwie żołnierze na konia go wsadzili. Ale raz w siodle, trzymał się Ibrahim-aga już tak krzepko, jak najtrzeźwiejszy z trzeźwych. Puścił tylko mnie z żołnierzami naprzód, a sam, zwolniwszy koniowi cugle, bezpiecznie jechał za kompanią, drzemiąc i marząc.

Szliśmy dwójkami — ja obok czausza przodem, za nami 8-u żołnierzy. Tuż przy mnie derwisz trochę rakiją podochocony — lekko a pieszo, po apostolsku; na stronie nieco Selima na silnym podjezdku obok ojca — przy nich mój Mansur; a dalej, poza nami, reszta karawany, ciągnąca się w grupach, długo, bezładnie.

Od Kateifah zwróciliśmy się na południe. Słońce zachodziło; wysokie grzbiety długiego pasma Anty-Libanu, wznoszącego się w dali po prawej od nas ręce, zdawały się pałać w morzu ognia. Chłodniejące powietrze podniecało uśpione od skwaru życie, pojąc wszystko nieokreśloną rozkoszą. Czuć było szczególniejszy jakiś aromat pustyni. Jechaliśmy spokojnie a raźno — opoka tylko tętniała pod kopytami końskiemi.

Wkrótce cały oddałem się postępującemu równo z mym koniem derwiszowi. Poznałem w nim bowiem jedynego człowieka. Bez domu i rodu, bez celu w życiu i potrzeb szczególnych, dusza lekka, swobodna, niedbała, natura pesymistyczna a naiwna—był to najdoskonalszy typ błędnego fakira Wschodu. Nie należał on oczywiście do żadnego zakonu i nie dałby się żadną regułą skrępować, bo ideałem jego właśnie było nie dać się krępować niczem. Najwyższe szczęście dlań — najmniej pragnąć i cieszyć się swobodnie życiem; a jedyną namiętnością może — coraz nowe krainy świata poznawać.

Znał też on istotnie cały prawie świat muzułmański, był w Bucharze i Dehli, w Maskacie i Kordofanie; wałęsał się aż do Tunisu. Że nie miał potemu najmniejszej po-

trzeby, ofiarował trudy swe ku większej czci Ałłahowi. Sam poeta w duszy, znał też z zadziwiającą pamięcią niezliczone pieśni ludów, wśród których przebywał. I to nas właśnie zbliżyło.

Tyleż życia, ile śpiewu!—powtarzał i on mi uroczyście, poczynając coraz to inną pieśń arabską, turecką, kurdską. Nucił mi też niejedną pieśń religijną. Wprawdzie napróżno dobadywałem się genezy śpiewu byzantyjskiego, którego kolebkę chciałem gdzieś znaleźć między starożytną Antyochią a Damaszkiem; ale za to pierwsza godzina drogi, po wznoszącej się nieznacznie skalistej pochyłości, płynęła nam przy zachodzie słońca mile, swobodnie i wesoło.

O samym zachodzie karawana na chwilę się zatrzymała na „achszam namaz" — modlitwę wieczorną.

Piękny to zwyczaj — pełen uroczystej prostoty patryarchalnej i tajemniczej rzewności! Pozsiadano z koni; kto miał, rzucił przed siebie „sedżadeh", dywanik modlitewny, lub „mahramah", chustę jaką, i ukląkł; „chodża", idący w karawanie, zaintonował znane wszystkim „Ałłah ekber — la il Ałłah" i t. d. Uderzono po kilkakroć czołem w ziemię, odmawiając cichym głosem modlitwę wieczorną. Odmawiano ją tu pewno tak samo o parę tysięcy lat pierwej, nim się ku Mekce zwracać poczęto. Była to właśnie kraina czci słońca; stąd niedaleko za pasmem gór leży w gruzach Balbek — Heliopolis słynny, niedaleko też i Homs — Emessa Heliogabala. I dziś tu lud słońcu przedewszystkiem pokłony bije...

Po modlitwie ruszyliśmy dalej. Cudnie, uroczo występowały przed nami zarysy gór w przygasającej purpurze zaszłego już słońca. Piękna Selima widocznie rozkoszowała się — czarne oczy jej to się iskrzyły, to zasępiały; Ibrahim znów począł drzemać w siodle i marzyć, a derwisz znów powrócił do śpiewu.

Niema jak „turki czahirmek" — pieśni śpiewać!

Droga nasza wznosiła się — zbliżaliśmy się ku Dżebel-Tynyjeh, jednej z dalszych gałęzi Anty-Libanu, jaką mie-

liśmy przechodzić — minęliśmy zwaliska „chanu" staro-żytnego.

Wtem — z poza wzgórz wysunęło się przeciw nam pięciu jezdnych. W wieczornej złudnej pomroce trudno ich było zdala rozpoznać. Bliżej nadjechaliśmy ku sobie. Nie mogłem się napatrzeć na nieznajomych — to pewno jacyś panicze damasceńscy; jaki strój wykwintny, bogaty, a konie, konie — takich w Syryi jeszcze nie widziałem! Na grzeczne zwyczajowe powitanie odpowiedziałem i ja poważnem „alejkium selam!" i jeszcze patrzyłem długo z zajęciem za odjeżdżającymi.

Derwisz nasz od tej chwili jak kamień zamilkł...

— Co ci jest, „chodża"?

— „Chyrsyz" — zbójcy!

— Kto?

— Ci pięciu, i „aram-baszy" (herszt) z nimi — ten najmłodszy z nich, śliczny chłopak — coś niedobrego się święci!

— Nas tylu! zbrojniśmy!

— Ah! — rzekł na to spuszczając zakłopotaną głowę derwisz.

— Skądże ich znasz?

Tu zaczął nam sługa boży opowiadać, że odbywa dość często drogę z Damaszku do Kateifah, by tu popatrzyć na krzyżujące się karawany, rozerwać się i coś od poczciwych ludzi do swej, derwiszowskiej, kokosowej kalety dostać... Wie tedy, co się tu dzieje. Oto nie dalej jak parę dni temu, ciż sami zbóje, w porozumieniu z Beduinami pustyni Ledżah, zrabowali bogatą halebską karawanę i t. d. Że i teraz należy się mieć na baczności, bo coś się widocznie knuje, gdyż to przednia czata najpewniej, wysłana na zwiady.

Nie rozumiałem tylko, dlaczego sługa Ałłaha, o lekkiej duszy i lżejszej kieszeni, boi się tu czegoś osobiście. Lecz nie chciał on się do niczego przyznać; widocznie miał z „chyrsyzami" na pieńku...

Podjechał i Mansur, by wysłuchać naszej rozmowy; a potem zwracając się do mnie, cicho powiada:

— Nic w tem niema jeszcze — Beduini łotrują wszędy, tam Farys-Myzziet, tu przeklęta Ledżah i t. d.; ale na wszelki raz radzę ci, „chawadża", opatrz swą mądrą broń (rewolwer) i trzymaj się na pogotowiu, jak wejdziemy w wąwozy.

Żołnierzy nic to nie rozczulało — żartowali sobie z derwisza i mego przewodnika; a ich oficer nieprzebudzenie spał. Czausz mi tylko dodał po chwili: — No, no — broń pod ręką nie zawadzi.

Co do mnie osobiście, obyty już dosyć z podobnemi strachami, nie przywiązywałem i teraz za wiele wagi do tych gadek.

Po 10-ej w nocy weszliśmy w wąwozy Dżebel-Tynyjeh. Niebo iskrzyło się już tysiącami gwiazd, księżyc jaśniał uroczyście i w pobliżu choć szpilki zbieraj, choć w oczach Selimy czytaj; ale na kilkadziesiąt kroków, w dzikich załomach wąwozu, fantastyczne cienie, odbijające się z wierzchołków poblizkich, przy świetle księżyca, tak zaciemniały widok, że nic wyraźnie dostrzedz nie było można.

Posuwaliśmy się przecie powoli naprzód — cicho, lecz swobodnie; droga wśród głębokiego wąwozu stawała się coraz trudniejsza.

Tymczasem naraz donoszą nam z tyłu karawany, że podjechało tam bliziutko dwóch jeźdźców; lecz niebawem uderzyli nazad i znikli błyskawicą w zakrętach wąwozu. Wkrótce posłyszeliśmy strzały poza sobą—raz, drugi i trzeci.

— Oho! — zawołano powszechnie — to coś jest!

— Nie wierzyliście — powiada tryumfująco derwisz — teraz bądźcież pewni, że przed nami w najciaśniejszej szyi wąwozu zasadzka, a z tyłu oto wysłana czata daje znać, że się tam zbliżamy i że nas we dwa ognie wziąć mogą!

Posłyszeliśmy jeszcze raz kilka strzałów za sobą, ale już jednocześnie.

Czausz uprzedził swego zwierzchnika o tem, co się dzieje; ten machnął ze snu ręką, mruknął swoje „bakałym!" (niechajno, zobaczymy) i znów począł drzemać; a poczciwe konisko, czując, że pan bezwładny, niosło go dalej ostrożnie po przykrych ustępach opoki.

Szliśmy tedy dalej, jak dotąd — powoli, cicho, spokojnie, czekając nowego znaku.

Koło północy droga nasza poczęła się wznosić ku głównemu grzbietowi Dżebel-Tynyjeh. Wydźwigając się z trudem z zawiłych manowców wąwozu, ocuciliśmy się jednym razem na wyniosłej, obszernej polance.

Jakiż nas widok stąd uderzył!

Przed nami, po drugiej stronie tej gałęzi Anty-Libanu, na której grzbiecie znajdowaliśmy się, już w dolinie damasceńskiej, o parę godzin drogi na lewo od Damaszku, na samym rębie pustyni — płonęły majestatycznie, długim półwieńcem, beduińskie ogniska! Niespodzianka ta jak iskrą elektryczną wstrząsa całą naszą karawaną.

— To Ledżah obozuje! niedobrze! — wołano zewsząd.

— Zuchwalcy, łotry, szakale — niema na nich Arsłanbaszy! — srożył się mój Mansur.

— Otóż macie — kończył derwisz — żartowaliście; jak Ałłah wielki, tak to niezawodne, że w ostatniej, niedalekiej już stąd gardzieli wąwozu zasiedli łotry Ledżanie! Pilnujcie się! Mnie nic nie wezmą — nic nie mam — a dusza moja po co im!

Zatrzymaliśmy się dla wypoczynku i narady.

Ognie pałały wspaniale, aż łuna ku niebiosom biła. Kto nie widział nocnego obozowiska „aszeretu" Beduinów w pustyni, ten nie pojmie majestatu podobnego widoku.

Nawet Ibrahim-aga ożywił się na chwilę!

Postanowiono, spuszczając się dalej w wąwóz, na pierwsze hasło przeciwników, odpowiedzieć im teraz jedną ogólną salwą, ażeby wiedzieli rabusie, żeśmy liczni i dobrze zbrojni, i nie śmieli nas zaczepiać. Żołnierze mieli zawsze swe ka-

rabinki i rewolwery nabite; kazał im tedy porucznik do stanowczej chwili czekać. Za to pozwolił luźnym ochotnikom z karawany, z których każdy niemal miał swą jakąś strzelbę, brać z wojskowego zapasu tyle prochu, ile się podobało, gdy przyjdzie odpowiadać.

Spuściliśmy się znów w wąwóz; ogniska znikły, pociemniało nam w oczach, znów fantastyczne cienie wierzchołków zaległy drogę.

Było już wpół do 1-ej. Posłyszeliśmy wnet nową huczną salwę z wyżyny, którą niedawno opuściliśmy. A tego to już dosyć! Jak palną nasi z dwudziestu najmniej strzelb, przeciągłą strzelaniną — aż góry nieskończonem echem się rozległy, aż puste dziewczę Selima, śmiechem srebrnym w głos z radości, nieutulenie zachichotała.

Podjeżdżam, pytam:

— Nie boisz się, Selimo?

— „Hicz bir szej korkman" (niczego się nie boję!) — odpowiedziała mi naiwnie i przy ogólnem zajęciu nie myślała już wcale o oryentalnym konwenansie zasłon i osłon.

Śliczne syryjskie dziecko! a jakże żywe przypomnienie we mnie obudziło!...

Odtąd salwy te poczęły się powtarzać nieustannie z jednej i z drugiej strony, w ciągu najmniej dziesięciu minut. Chciano samym postrachem siły odstręczyć wrogów od zaczepki stanowczej. Przed sobą jednak nie słyszeliśmy ani jednego strzału, i to niepokoiło mego Mansura najwięcej.— Zaczaili się zbóje! — powtarzał on wciąż i pukał ze swego „tufengu" niemiłosiernie.

Ja oczywiście nie strzelałem, jadąc obok czausza na czele kompanii żołnierzy.

Imponowali mi oni teraz swą postawą i zachowaniem się. Żadnej brawady, żadnej przechwałki, ale i bojaźni żadnej; fantastyczna cisza, karność i spokojna pewność siebie. Ta chwila najwięcej mnie zbratała z tymi prostymi ludźmi; pokochaliśmy się. Przekonałem się i ten raz jeszcze, że żoł-

nierz turecki nie stracił swych cnót dawnych i mógłby być jak dawniej niezwyciężonym, byle miał dowódzców. Ale dowódzców nie łatwo już stworzyć! Oto i nasz „milazym", jak się raz spił uczciwie, to i dotąd jeszcze nie mógł się wytrzeźwić i nie wiedział przytomnie, co się tu dokoła dzieje.

Zbliżaliśmy się nareszcie do złowrogiego „bohazu" — najciaśniejszej gardzieli wąwozu. Ściany skał po obudwu stronach drogi zwężały się, zawisając nad naszemi głowami: jakaś groza ponura zdawała się unosić nad tem miejscem; księżyc znikł poza sterczącym surowo grzbietem poszarpanym — ogarnęła nas ciemność...

Wtem naraz, po silnej salwie przeciągłej, rozległ się poza nami, jakby wydzierając się z łona otchłani górskich, beduiński dziki groźny śpiew napadu. Jakby burza pustyni się wzniosła, jakby „samum" zahuczał — konie pod nami zadrżały.

Jednocześnie dobiegła nas, jadących przodem, wieść o uderzeniu już na tył karawany... Poruszyło się wszystko.

Na odgłos uroczyście groźnej a tak dobrze mu znanej pieśni ataku Beduinów Ibrahim-aga odrazu wytrzeźwiał. Dusza jego zawrzała namiętnością walki, a poczucie niebezpieczeństwa, już niewątpliwego teraz, przywróciło mu całą przytomność i energię wrodzoną. Rytm pieśni wojennej cudu dokazał!

— Jaż was, „kiafiry", pogańskie syny, nauczę, jak to zaczepiać Damascena!—i z tym okrzykiem spiął konia i stanął przed nami.

— Z koni! trzymać za uzdy! iść obok! powoli! karabinki w pogotowiu! — i po tym rozkazie jak wicher pomknął na tył karawany zagrożonej.

W mgnieniu oka wszystko tu uporządkował; wielbłądy kazał skupić w szyku na samym tyle, by z poza nich bezpieczniej się ostrzeliwano; konie juczne wziął we środek; każdemu z podróżnych dał odpowiednie miejsce; a cały korpus karawany wyciągnął i militarnie ścisnął. Wszystko to

zaś dokonał z taką szybkością, że ani obejrzeliśmy się, jak pędził już z powrotem ku nam, na czoło kolumny.

Ależ bo jego wierzchowiec, wierzchowiec! Szkapa ta spokojna, co dotąd całą drogę, ze spuszczoną głową, niosła za kompanią z tyłu swego pijanego pana, teraz jakby siłą jaką czarodziejską tknięta, stała się rumakiem bojowym; a rumak ten, czując roznamiętnioną stanowczość swego jeźdźca, zdawał się każdą myśl jego odgadywać i lotem strzały nosił go wśród bezładnego taboru karawany, zwinnie, lekko i ogniście. Nieocenionych bo cnót koń syryjski.

Na pierwszy rozkaz porucznika, żołnierze zeskoczyli z koni i stanęli w gotowości bojowej. Ja pozostałem w siodle.

Jadąc na przedzie, tuż-tuż przed paszczą strasznego „bohazu", oczywiście rozumiałem dobrze, że to już ostatnia mi godzina wybiła... Mimowoli tedy wpadłem na chwilę w nieprzemożoną zadumę jakąś, pod przemocą gwałtem tłoczących się uczuć i wspomnień. Stanął mi na oczy sen mój ostatni, jaki miałem, zdrzemnąwszy się nieco na popasie w Kateifah: złoty, rozkoszny, jakby nawiedzenie wędrowca ze świata pamiątek najdroższych. A więc to było pożegnanie ostatnie, na wieki? Bywajcież mi zdrowi! I nie myśląc, zwróciłem się z siodła poza siebie i spojrzałem ku gwiazdce mej północnej. Wyprowadziłaś mnie niedawno na pustyni z niebezpieczeństwa od Anezów—a teraz? Świećże mi przynajmniej w ostatniej potrzebie! I niosła się myśl moja na północ ku Czarnemu morzu, i dalej na Podole, gdzie i grób rodzinny niejeden liczyłem!

Gwałtowny ten poryw uczucia nie wiem jakby trwał długo, gdyby nie nagły okrzyk Ibrahima-agi, pędzącego z powrotem na czoło kolumny:

— A ty co tu rozmyślasz, Lechu, „kardaszymie"? Chcesz, żeby cię pierwsza kula beduińska z siodła znizała? Z konia! i rewolwer w rękę! Tyś tu gościem naszym, a jeśli ci ginąć, to już ostatniemu!

Nim skończył, jużem trzymał konia u wędzidła i szedłem stroną, obok czausza.

— „Aferim" — brawo! — powoli naprzód! Inszałłah— co da Bóg! — zamknął swe rozkazy nasz dowódzca.

Zachwycił mnie teraz swą dzielnością ten Azyata!

Nastała cisza...

„Milazym" z żołnierzami poszli naprzód; czausz zaś szedł przy mnie w odwodzie. Ataku na tył taboru nie było słychać — wchodziliśmy w ściśniętą gardziel wąwozu.

— A no, effendy! — cicho przemówił do mnie czausz— zobaczymy, jak to w Lechistanie się biją — szkoda tylko, że pałasza nie masz.

— Mam handżar.

— Bo my nie oddamy tak łatwo naszych koni rabusiom, i niejeden zawój beduiński drogę tu zaściele...

Posuwaliśmy się dalej w uroczystem milczeniu wzdłuż strasznego przesmyku skalnego — już teraz wytężając tylko w cienie słuch i wzrok.

Tymczasem ani szelestu, ani śladu żywej duszy. Groźny „bohaz" przeszliśmy; droga nam się szerszym jarem rozwarła — dały się widzieć znów w oddali ogniska Ledżanów, lecz zasadzki nie dostrzedz.

Co to znaczy?

— Widać chcą na nas dalej w otwartszem miejscu konno uderzyć! — natrąca ojciec Selimy.

— Ostrożnie!

Odetchnęliśmy przecie swobodniej — księżyc znów jaśniał nad nami — widzieliśmy na znaczną przestrzeń drogę szeroką w rozdołach przed sobą — konie poczęły raźniej strzydz uchem i rwać się pospieszniej — była już pierwsza po północy.

Lecz dlaczego przebrzmiał bez skutku śpiew napastniczy synów pustyni? — napróżno pytaliśmy się siebie.

Nagle słyszymy, jak powstaje nieopisana wrzawa w taborze poza nami. — Atakują nas z „bohazu"—wołają bliżsi.—

Istotnie, dolatuje znów ku nam odgłos bojowej pieśni — zamieszanie najzupełniejsze. Cisną się tu na nas konie juczne, tam wielbłądy ciężko na innych następują i rozpraszają się potem po obszerniejszej drodze—zawierucha, krzyki, strzały. Naraz wszystko ustaje! Nic nie rozumiemy—a tu czoła kolumny pilnować wypada.

— Ślij, aga — powiadam—dwóch żołnierzy na zwiady.

Znów wrzawa, strzały — w oddali; przy niepewnem świetle księżyca nic dobrze dojrzeć nie można, a dochodzi wieść, że tłum kilkudziesięciu ludzi na nas nastąpił.

Dwaj „suwarowie" kopnęli z miejsca.

Znowu przerwa — cisza; a potem, wniebogłosy, jedna powszechna tryumfalna pieśń — braterstwa.

— „Bismillah rahman rahim"! — co to jest? — woła nasz Damasceńczyk. — A niech mnie kula sprzątnie, jeśli ja co tu rozumiem!...

Tymczasem okrzyki — „swoi, swoi!" — rozlegają się aż ku nam. Wrócili wysłani żołnierze i potwierdzili: to przyjaciele — karawana z Hamy!

Wszystko to stało się tak niespodzianie, tak prędko, że nie mieliśmy jeszcze czasu przyjść do siebie ze zdumienia, gdy za powrotem naszych gońców, tuż zaraz, nadjechali ku nam i przedniejsi podróżni nowej karawany — wśród fantastycznych okrzyków tłumu luźnego i powtarzanej wciąż jednej zwrotki jakiejś radosnej pieśni arabskiej.

Byli to po większej części możni kupcy, idący ze swym towarem do Damaszku. Między nimi zaś jeden wysoki dostojnik duchowny, sędziwy, o zielonym zawoju i długiej siwej brodzie, „hadży" — kilkakrotny pielgrzym do Mekki. A więc oczywiście: niezliczone sakramentalne powitania — „selamy", „seadety" i gęste powoływania się na Ałłaha i proroka; a już „aferimów", „amanów" — co niemiara!

— Co za dziwne nieporozumienie! — „maszałłah", że tak się szczęśliwie skończyło!...

— Nie skończyło się to jeszcze — nie! — przerywa mój

Mansur. — Czy nie widzicie tam tych gorejących ognisk Ledżanów? Do Damaszku nim dojdziemy, oni dziesięć razy przejąć nas mogą...

— Oho, silniśmy teraz! — zewsząd wołano.

— Chwalić Boga; ale z miejsca, zaraz, jednego ogólnego naczelnika karawany dla wszystkich wybrać i w szyk; a potem uciechy, rozprawy!

Poważny ów w zielonym zawoju „hadży" był równie za tem. Bez namysłu tedy okrzyknęliśmy jedynym „kerwandży-baszą" dzielnego Ibrahima.

O! mógł być też dumny Ibrahim-aga: miał pod sobą do stu ludzi, a w skonfederowanym tak taborze z półtorasta koni i wielbłądów, i dostatek prochu przy śmiałym teraz animuszu powszechnym.

Teraz bo naprawdę już nie dbano o strachy.

Poczciwy derwisz znów wysforował się naprzód i począł mi po turecku przyśpiewywać. W popłochu trzymał się on był Selimy, w środku taboru. Kobieta dla Beduina jest istotą nietykalną; a sługa boży mógł jak nic po grzbiecie dostać... Trzymał się tedy bezpieczniejszej ochrony.

Gdy mniemana groza minęła, zagadnąłem w tłumie piękne dziewczę:

— Więc nie bałaś się, Selimo?

— Nie za siebie... — odpowiedziała mi cicho i mocniej się otuliła... Do Damaszku jużeśmy się więcej nie widzieli.

Ujęto mnie w koło notablów zjednoczonych karawan, i już odtąd jechałem wciąż w przednim poczcie.

Przyszło do rozjaśnienia rzeczy, nieporozumień i całej stąd awantury. Oryginalny też zbieg okoliczności się okazał.

Karawana, z którąśmy się oto szczęśliwie, przy pieśni braterstwa, połączyli, szła z północy, z miasta syryjskiego Hamah. Popasała ona dnia poprzedniego nieco wyżej Kateifah, a wyminąwszy tę stacyę, nie wiedziała wcale nic o nas. Wszakże Hamahioci uprzedzeni byli o niebezpieczeństwie drogi do Damaszku, boć to ich właśnie basza Ar-

słan popędził w pustynię za pokoleniem Farys-Myzziet. Zbliżali się oni ku podnóżom Dżebel-Tynyjeh wtedy, gdyśmy już byli w wąwozie; nie widzieli więc nas. Spotkawszy zaś owych pięciu jezdnych, których doświadczony ich „kerwandży" poznał jako wiadomych zbójów, byli równie pewni, że to tylko przednia czata jakiej zasadzki w górach. Wysłali więc dwóch ze swoich naprzód, w głąb wąwozu, czy nie dostrzegliby czego? Ci, podjechawszy ku nam, panicznie uderzeni zostali, przy niepewnem świetle księżyca, zwartym szykiem i migotaniem broni naszych żołnierzy. Zwrócili więc co tchu w tył i trzema owemi strzałami dali znać swoim o niezawodnem niebezpieczeństwie.

— I czegożeście potem poczęli strzelać jak opętani, idąc w takiej sile? — pytamy.

— Eh! bośmy właśnie chcieli wroga uprzedzić o tej naszej sile i z góry go odstręczyć od zaczepki. Milczenie zaś wasze na dobre nas zaniepokoiło; a cóż dopiero powiedzieć, gdyśmy z wyżyny znanej dostrzegli gorejące ogniska w dolinie od strony pustyni!...

Opowiadali nam dalej Hamahioci, że potem, po ogólnej naradzie, zdecydowali się użyć ostatecznego środka. Gdy więc ich salwy wywołały nareszcie, jakby na urągowisko tylko, i naszą niemniej potężną odpowiedź, wzięto się, na próbę, do fortelu. Zaintonowano więc beduińską pieśń do ataku, myśląc gotowością tą swoją do boju nas zderutować. Ale ze smutkiem widzieli, jakeśmy się spokojnie a żwawo szykowali przed wejściem do „bohazu"—i jakeśmy tam potem w strasznej tej gardzieli zdradziecko zasiedli.

— Cóż to za strach nas ogarnął — powiadali — u wejścia w tę skalistą paszczę! Nie iść i stanąć na miejscu, obozem zbrojnym, na noc całą — nie było podobieństwa; a kto z nas mógł zaręczyć, iż nie doczekamy się tego, że będziemy wzięci jeszcze we dwa ognie! Iść naprzód — pewna zguba, w ciemnej tam otchłani! Ale od „kismetu" (przeznaczenia)

już się nie wybiegać; a więc naprzód w imię Boże! Allah ekber!

Świątobliwy „hadży" zmówił krótką modlitwę, i ruszono: cisza grobowa; lecz w zaklętym przesmyku ani duszy żywej. Ah, więc to oni nas u wyjścia na otwartszem miejscu czekają! Niema innej rady — lepiejże na nich odrazu, całemi siły uderzyć!...

Rozwiązanie już znane.

Gdy Hamahioci nastąpili na dobre na tylną straż naszą i przy okrzyku wojennym poczęli strzelać naprawdę— ze zdumieniem spostrzegają, że poczt ten tylny składa się z wielbłądów jucznych, z koni jucznych... A to co znaczy? więc to tabór jakiejś karawany? Stój!

— Wyście kto tacy? — pytają naszych odgrażających się z poza swych wielbłądów „dewedżych" — poganiaczy.

— Karawana do Damaszku.

— A ci tam na przedzie?

— Kompania jazdy sułtańskiej.

— „Adżaib!" — co za dziwy!...

Wnet poskoczyli ku nim bliżsi z naszych, i niejeden poznaje wśród mniemanych przeciwników dobrego sąsiada!... Ale po arabsku nic się bez wrzawy nie dzieje: otóż owe hymny dzikie tryumfu, zgody; owe znów strzały i okrzyki.

Teraz nawet, przy opowiadaniu o tem, nie mogło też się obejść bez licznych „amanów", „selamów".

Co za różnica z usposobieniem tureckiem—cichem, milczącem!

Wkrótce wyszliśmy już zupełnie z wąwozów Dżebel-Tynejeh. Na pożegnanie dano jeszcze jedną powszechną już salwę — niby na przestrogę zarazem Ledżanom; ale już nie bano się niczego.

Przed świtem wcześnie poczęło się łagodnie rozwidniać, księżyc już był zaszedł, ognie beduińskie przygasły. Jam jeszcze się zwrócił ku mej gwiazdce północnej — już znikła;

widać na ten raz chciała była doświadczać tylko mego męstwa...

O 2-ej przeszliśmy podgórską osadę Dumah, wymijając drugą podobną, daleko po lewej ręce naszej, Adhra zwaną. Mieliśmy do Damaszku tylko trzy godziny drogi.

Z pierwszym brzaskiem dnia roztoczyła się przed nami, jakby spływając z falistych pochyłości, wspaniała dolina damasceńska. Już lekkie promyki światła migotały płocho po wierzchach ostatnich odskoków Anty-Libanu, ciągnących się na prawo od naszej drogi; igrały sobie też żwawo po szczytach Hermonu, którego grzbiet wznosił się nieco dalej za tamtym na widowni. Lecz słońce długo jeszcze nie chciało opuszczać kamiennego swego łoża w pustyni. A po naszej drodze rozesłał się jakby rozpięty wieniec zielonych ogrodów, zraszanych niezliczonemi strumieniami obfitej, rozkosznej Barady. Owiała nas jakaś rzeźwiąca świeżość powietrza; uderzył jakiś aromat niewymownie miły, łagodny a pełen mocy upajającej. Tak, czuć było — jużeśmy u wejścia do raju Arabów!

Jakaś szumna wesołość opanowała całą karawanę — śpiewy, dowcipy, anegdoty; im kto starszy, tem żywszym być się zdawał. Gdybym był Frankiem, nasłuchałbym się, ze zdumieniem może, do syta, co to Wschód daleki o mądrym Zachodzie Europy w głębi swej duszy rozumie. Ale wiedziałem już o tem; a w mej podróży nie chciałem solidaryzować się w czemkolwiekbądź z Frankami! Nam zawsze lepiej być wszędzie i zawsze samymi sobą, a cóż dopiero na Wschodzie.

Nasz generalny „kerwandży-baszy" nie posiadał się w swem uszczęśliwieniu; dowodzić honorowo tylu poważnym „effendyom" — był to istotnie dla młodego człowieka zaszczyt nielada.

— Halebi — czelebi! Szami — szumi! (Alepczycy — dżentelmeni, Damasceni — barbarzyńcy!) — powtarzał du-

mnie, a z przekąsem, znane syryjskie przysłowie, nasz Ibrahim-aga.

— Niech sobie i tak będzie; ale my nie potrzebujemy pożyczać od nich męstwa w przygodzie; a gdy przychodziło mierzyć się z giaurami, pamiętamy też dobrze, kto dzielniej stawał!

— Ej, Lechu, „kardaszymie"—nic ty tu nie rozumiesz spraw naszych; a to tu u nas świat cały osobny. Trzeba ci bliżej poznać Damaszek...

— Czy widzisz tam te strzały białe, wyrywające się ku niebu z ciemni zielonej? — to już minarety stolicy naszej!...

Istotnie w głębi widnokręgu począł przed naszemi oczyma wyraźniej już zarysowywać się kontur Damaszku, jakby jedna wielka uśmiechająca się szczęściem oaza, rzucona przez dziwny kaprys natury wśród pustyni spalonej u podnóża skalisk nagich.

Przejeżdżaliśmy wśród coraz świetniejszych ogrodów. Drzewa i krzewy uginały się pod owocem; granaty, figi, brzoskwinie, śliwy, kaktusy, głogi. Rumieniały grusze i jabłonie. Obok ciągnęły się winnice i cieniste sady oliwne. U strumieni przerzynających drogę wznosiły się, o potężnych, rozłożystych konarach, topole olbrzymie. Jakież one drogie wspomnienia obudzały! W tychże strumieniach, gdzieniegdzie, i wierzby płaczące kąpały swe warkocze. W ogrodach obfitość nieopisana: czegóż tu niema — od pomarańczy do orzecha? Barada zaś, tajemnicza sprawczyni tego wszystkiego — zieleni, życia, bogactwa, spływająca gdzieś z pochyłości Anty-Libanu, zastępuje tu nam drogę coraz to nowem swem ramieniem; a dalej — plącze się rozkosznie w dziwną sieć ożywczych kanałów, nim nie zaginie w martwych jeziorzyskach na krawędzi pustyni.

W głębi zabielały jaśniej minarety, wychyliły się „dżamije".

— Niema nad Damaszek! — powtarza Ibrahim-aga...— A tam i one czekają...

— Liczną masz rodzinę, ago?

— Dwie siostrzyczki tylko... Mam ich i więcej, mam i braci, ale to z innych matek... moje dwie siostrzyczki tylko — i po tych wyrazach, z dziwną rzewnością wypowiedzianych, błysła ukryta łza w oczach młodego „milazyma".

Zrozumiałem — musiał on głęboko taić w swej duszy jakąś gorycz, ze stosunków jego familijnych płynącą; a kto wie, czy nawet nałóg zapijania się bez pamięci nie miał w tem pierwszego źródła.

Nagle, jakby przerywając tłoczącą się myśl jakąś przykrą, powiada mi:

— Co za szkoda, żeśmy się z rabusiami nie spotkali!...

— Jakto, więc niebezpieczeństwo w górach było rzeczywiste?

— Najniezawodniejsze! Ta czata pięciu, którą widzieliście, była istotną czatą, na zwiady wysłaną. Spotkali dwie karawany silne, tuż za sobą idące, i ostrzegli swoich, że próżny tu zachód; inaczej nie uszłoby tak na sucho... Wreszcie boją się trochę żołnierzy padyszacha.

— Ale jakże śmią tacy Ledżanie najspokojniej u wrót stolicy kraju stać obozem?

— Oni też stoją tu — odpowiada z ironicznym uśmiechem porucznik — jako przyjaciele, jako uznający powagę sułtańską; przyprowadzili tu konie, barany na sprzedaż; a „czambuły" to tak sobie, rozrywka tylko beduińska — pilnuj się, kiedy się tu ważysz...

— A władze?

— A władze tureckie? a od czego podarki — „hedyje", „bagszysze"!

Ale oto i Damaszek już blizko, jakiś urok tajemniczości go okrywa. Przepyszny poranek — minęła już 5-ta godzina na moim, po europejsku nastawionym, zegarku, słońce płonęło już majestatycznie ponad przygasłemi ogniskami Beduinów.

Przy pożegnaniu derwisz ofiaruje mi swe usługi w mieście! — Zwiedzimy „dżamije", bazary — wszystko co chcesz.

— „Aferim!" — znakomicie...

Nakoniec oto Bab-Tuma — brama nasza wjazdowa.

— No, Lechu, kardaszymie—przemówił do mnie z żołnierska Ibrahim-aga — przecie zabawisz dłużej między nami, zobaczymy się tedy, więc do widzenia tylko!

I ruszył kłusem, na czele swej kompanii, wprost ku koszarom wojskowym.

— A my też dokąd, „chawadża"? — pyta mnie Mansur.

— Jedźmy do chanu, za ojcem Selimy.

Z PAMIĘTNIKA PODRÓŻY W 1870 ROKU.

ANATOLIA.*)

14 września.

Ranek śliczny, orzeźwiający, jesienny — godzina 5-ta. Minąłem Cypr i oto roztacza mi się przed oczyma wspaniały południowy pas Mało-azyjskiego półwyspu: znów zbliżam się ku brzegom gościnnym Cylicyi, znów zawijam do portu Mersyny. Na parostatku naszym „Tanais" wszystko w ruchu: pokład przedstawia istne rojowisko pszczół, występujące na ul przy żywszem wiosennem słońca zapromienieniu. Wrzawa nie do opisania, każdy ożywiony. Flaga powitania już wywieszona. Jaśnieją jeszcze na niej tak poważane dotąd na wodach śródziemnych litery M. I. (Messageries Imperiales); lecz już w sercach załogi kipi ledwie przyzwoitością wobec obcych tłumiona nienawiść za wstyd i krzywdę sobie wyrządzoną! Każdemu z Francuzów spieszno do brzegu, każdemu — od kapitana do palacza: może jaka nowa wiadomość — bo czyż już we Francyi bohaterów, żołnierzy niema! Smutno i miło patrzeć na te porywy uniesień prowansalskiej krewkości — uniesień szlachetnych i męskich. Żal mi było rozstawać się z tą gromadką ludzi, wśród których na dalekich, obcych wodach czułem się jak swój — tak ich szczerota marynarska ujmująca. Spieszno wszyst-

*) Bluszcz, 1871 r., t. VII, Nr. 23 — 27.

kim. Swobodniejsi wybierają się na polowanie na ptaszki, gdyż parostatek cały dzień stać będzie w porcie.

Towarzysze zaś moi na pokładzie — kilku Turków karamańskich — usiłują ostatecznie mnie zdecydować, abym jechał z nimi i później zwrócił się na Konieh — bo tam tylko dopiero poznam prawdziwych Turków, potomków starych Seldżuków, których słynne Iconium było właśnie stolicą. Przerywa nam jednak te seldżuckie wspomnienia interlokutor — oberwany, nawpół nagi, krępy a barczysty, o czystych ałtajskich rysach, dziki Turkoman — gdzieś od gór Armenii z za Siwasu, którego koczownicze popędy aż za morze były zaniosły.—Nie słuchaj ty, Frenku, tych kupców, miejskich synów („szehyrły") —tacy oni tam Turcy! ruszaj tam (pokazując na północo-wschód) pod nasze namioty, tam poznasz prawdziwy naród — ot chcesz, ja cię poprowadzę, ja ci służyć w drodze będę, i konia nawet nie wymagam, pieszo zdążę! — Podziękowałem grzecznie za propozycyę, pożegnałem się z towarzyszami podróży i zwróciłem się do moich rzeczy, bo przeraźliwy kilkakrotny świst wypuszczania pary uwiadamiał nas, że parostatek zawija i staje. Niebawem też zostaliśmy otoczeni całym tłumem większych i mniejszych przewozowych łodzi, które ze zdumiewającą szybkością od dalekiego brzegu ku nam przybyły.

Poczęto wysiadać i wyładowywać. Co do mnie, nie miałem ani chęci, ani potrzeby pośpiechu. Usunąwszy się od hałaśliwego tłumu na stronę, zdobyłem sobie najzupełniejszą swobodę; mam jeszcze czas rzucić okiem na przepyszną, wspaniałą panoramę, jaką miałem przed sobą. Znów oto roztaczał mi się przed oczyma widok, choć znany już dobrze, lecz zawsze piękny, niepospolity — cała Cylicya leżała mi jak na dłoni. Wyobraźmy sobie nieskończenie rozległy ogród, którego jedna strona przytyka do morza, a druga odznaczona na horyzoncie, od krańca do krańca, majestatycznym łańcuchem Tauru — i będziemy mieć Cylicyę. A jaki majestatyczno-uroczy ów sędziwy Taurus!

Przedstawia on z oddali nadzwyczaj ujmujące i wspaniałe urozmaicenie konturów i linii; w złomach swych, pasmach i piętrach skupia łagodnie poważną grę cieni, a szczyty swe, nieraz szeroce śniegiem okryte, oddaje na żywą, kapryśną igraszkę promieni słonecznych. Na lewo wzrok nasz ginie w niepewnych zarysach wyżyn przylądku Anamur; na prawo błądzi przyjemnie po fantastycznym gór wieńcu, obejmującym zatokę Skanderuny. Lecz Cypr poza nami już znikł z oczu, a cały krajobraz nie miał już swej świeżości wiosennej. Środkowym punktem widzianego krajobrazu była Mersyna.

W porcie zapanował ruch niezmiernie ożywiony, przewozowe łodzie snuły się nieustannie, a oryginalny, fantastyczny strój wioślarzy dodawał obrazowi nadzwyczaj wiele barwnej malowniczości. Nieprzebrana jest różnica w zewnętrznym wyrazie ruchu portów europejskich a azyatyckich: doraźność, barwność, fantastyczność i w tym zakresie w Azyi przeważa; a pierwotność ta, żywość barbarzyńska niezwykle się oku podoba. Te postacie kształtne a silne, o nagich rękach i goleniach, we wzorzystej krótkiej syryjskiej sukmance, a krótszych szerokich szarawarach, w czerwonym fezie i lekkim zawoju — cóż to za wzory dla rysownika, malarza! Wszyscy z podróżnych odjechali — zostałem tylko ja i ów luźny Turkoman; zaprosiłem go do swej łodzi i ruszyliśmy do brzegu.

Łódź szybko przybiła — wyskoczyłem na pomost u komory celnej i oto znów jestem na gościnnym gruncie Cylicyi. Celnicy powitali mnie jako dawnego znajomego — i koniecznie jako „mehendysa", to jest inżyniera, rzeczy mych nie przezierano, a lekki „bagszysz" oczywiście musiał zakończyć wszelkie czułości! Rzeczy kazałem nieść któremu z „hamałów" — tragarzy — do znanego mi dawniej, a zaledwie paręset kroków stąd odległego, Jeny-chanu. Ibrahim gdzieś zniknął. Do rzeczy rzucił mi się młody, przystojny, dobrze na wschodni sposób ubrany młodzieniec,

że zaś porwał pierwszy, więc poniósł; nie rozumiałem, coby go tragarzem w porcie zostać zmusiło. Gdy przyszło do zapłaty, rozjaśniło się wszystko; był to Grek, ladaco rozumiał, iż lekko wyprowadzi w pole nieświadomego Franka; ale wielce się omylił, bom mu się obedrzeć nie dał.

Cylicya, na której gruncie teraz stanąłem, pod względem geograficznym stanowi wązki pas południowych stoków i pochyłości Tauru, zwróconych ku cypryjskiemu morzu. Taurus w swem rozgałęzieniu, jak Bułgar-dah, Ałłach-dah, oddziela ją z północy od Kappadocyi i Likaonii (obecnych wilajetów Kajsarieh i Konieh), z któremi Cylicya (wilajet Adany) stanowi razem krainę Karamanii w szerszem znaczeniu. Nazwa Cylicyi prawdopodobnie pochodzi od wyrazu greckiego kilix — bawół, zwierzęcia, w które dotąd obfitują cylicyjskie błota, a które zdobiło symbol stołecznego Tarsu. Nazwa zaś Tauru widocznie ma swój początek w wyrazach semityckich Tor, Tour, oznaczających góry wogóle. Cylicya dzieli się na dwie części. Mniejsza, południowo-zachodnia, górzysta, w starożytności Trachea zwana, od przylądka Anamur do rzeczki Lamas, składa dzisiejszy kajmakamat Selefke (Seleucia), obejmujący grzbiety gór, dochodzących do samego morza, a przerznięty przez starą Calyudunę (Ermenek-su)—kraina dzika i mało zaludniona. Część znaczniejsza, północno-wschodnia, Paedia (polna) u starożytnych, obejmuje całą podgórną nizinę, przeważniej Czukur-owa zwaną, przerzniętą przez Cydnus, przez Sarus i Pyramus, dzisiejsze Sejhun i Dżehan-czaj, a oddzieloną od Syryi przez pasmo Amanu (Giaur i Akniana-dah), rozwarte tylko u wrót syryjskich (Pylae Syriae). Stolicą wilajetu jest miasto Adana nad rzeką Sarus, najporządniejsze obecnie, mające ze 30 tysięcy mieszkańców; lecz w starożytności ogniskiem życia był Tars, a w wiekach średnich (od XI do końca XIV w.), kiedy nad Cylicyą, wyrwaną z rąk Byzantynów, panowali Ormianie, stolicą owej Małej Armenii był Sis — i dziś jeszcze siedziba ormiańskiego patryarchy. Co do urodzajności

gleby i bogactwa płodów natury, Cylicya nie pozostawia nic do życzenia; lecz kraj prawie pustkami dotąd leży, rolnictwo jeszcze nie przeważyło nad koczowniczem życiem. Klimat tu gorący na nizinach, a liczne błota roznoszą latem zgubne wyziewy. Przy innych warunkach bytu byłaby Cylicya najszczęśliwszą z krain—łączy ona w sobie warunki Anatolii i Syryi, od których stanowi przejście. Ze względów etnologicznych przecie, niemniej jak ogólnych geograficznych warunków, należy ona z całą Anatolią do dziedziny właściwej Turcyi—pierwiastek turecki, a bardziej jeszcze język turecki, stanowczo tu przeważają.

Co do Mersyny, jest ona jednym z tych portów Lewantu, które niedawno jeszcze zupełnie były bez znaczenia, a dziś, wskutek ożywionego przez Europejczyków handlowego ruchu i ustalonej komunikacyi parostatkowej, nabrały życia i wagi, w niedalekim zaś może czasie wyrosnąć mogą znakomicie, posiadając do tego niezachwiane geograficzne i terytoryalne warunki. Mersyna jest i pozostanie nadal jedynym znacznym portem nie tylko Cylicyi, lecz Karamanii całej, a nawet i dalszych stron leżących za pasmami Tauru we wnętrzu Anatolii. Zastępuje ona miejsce słynnego w starożytności portu Tarsu, dziś zasypanego, i wcześnie musiała być jako przystań używana, czego nawet jej semitycka nazwa dowodzi. Wiadomo zaś, iż obecny pobrzeżny ruch komunikacyjny dopiero niedawno, od lat dwudziestu najwięcej, nanowo ożywiony został. Dotąd jedynym prawie portem Anatolii w stosunku z Europą była małoazyjska Smyrna, — wszystko się w niej koncentrowało: niezliczone karawany wielbłądów ciągnęły ku niej nietylko z północnego pasu, ale z krain Kurdów nawet, ale z pogranicza Syryi i Syryi samej, z dalekich stron nadmorskich. Z postępem czasu podobnie anormalny stosunek musiał się zmienić — i dziś już każde wybrzeże w pewnym promieniu ześrodkowuje się w odpowiednim swym porcie; powstały Mersyna, Skanderuna, Tarabolus etc. etc.; a choć Smyrnioci, Grecy

przedewszystkiem, i użalają się, ogół na tej zmianie bardzo znacząco zyskuje.

Smyrna wprawdzie istotnie podupadła nieco; lecz napewno z podniesieniem się ogólnem przemysłowości kraju i ona się podniesie. Wiele temu pomogą powstające dwie linie kolei żelaznych, skoro tylko przestaną być drogami spacerowemi do Burnabadu i ruin Efezu, a pójdą dalej w głąb kraju i połączą ogniska przemysłowe z właściwym ich portem. Bejrut już stał się naturalnem ogniskiem handlowem południowej Syryi; przyszłość Skanderuny (Aleksandretty) i Mersyny równie pewna prawem konieczności: pierwszej, jako portu dla Halebu (Alepu) i Mezopotamii, drugiej zaś dla Karamanii całej i dalszych nawet wewnętrznych krain. Nie trzeba być zbyt wtajemniczonym w tajemnice handlu, by to widzieć wyraźnie—dziś to już leży jak na dłoni. Mersyna też nadzwyczaj szybko się podnosi—z lichej mieściny przed kilkunastu laty wzniosła się już ona na miasto o paru tysiącach mieszkańców. Mówię nieokreślenie: parę tysięcy, gdyż ludność ciągle wzrasta, co więcej—wszelkie statystyczne dane na Wschodzie, a osobliwie w Turcyi, tylko w przybliżeniu podawane być mogą.

Ostatnia Amerykańska wojna niezmiernie wiele przysłużyła się do ożywienia tu ruchu. Anglicy zapotrzebowali bawełny i podniecali wszędzie onej uprawę; wzięto się też i tu raźniej, poczęto się powszechniej temu oddawać, korzystając z warunków klimatycznych. Uprawa bawełny weszła w zwyczaj i dziś stanowi włókno to najgłówniejszy przedmiot wywozu z Mersyny. Istnieją tu piękne plantacye trzciny cukrowej, lecz jakie są rezultaty handlowo-praktyczne, nie umiałem się o tem upewnić. Wiosną lud rozkosznie i tak powszechnie smokcze cukier łodygi, jak u nas na jesieni orzechy łuszcze; łodygi te czasem podają po obiedzie w rodzaju deseru i na wyższy stół. Jednocześnie z tem podnosi się ogrodownictwo i uprawa pól wogóle; winnic do-

syć, wina jednak po większej części z poblizkiego Cypru sprowadzane.

Ludność Mersyny bardzo urozmaicona i miasto, jak każde inne portowe w Lewancie, wcale nie charakteryzuje wnętrza kraju — gdyż obce pierwiastki są prawie przeważające. Nie mówię o Europejczykach, których się tu niemało spotyka mówiących po włosku lub francusku, choć różnych narodowości; lecz Azyatów samych stek tu różnobarwny, tak, że miejscowy cylicyjski, karamański Turek znika między nimi.

Bez Ormianina nic się na Wschodzie dziać nie może, a tem żywiej oni posuwają się w tę stronę, iż czują się tu poniekąd tradycyjnie jakby na własnym gruncie. Średniowieczna z czasów krzyżowych Mała Armenia stąd tylko o miedzę, a nieraz cała Cylicya stanowiła jej dzielnicę. Dziś jeszcze w pobliżu ku wschodowi Giaur-dahu (Amanus) spotykamy rojowisko energicznego Ormian rodu, w którym patryarcha w stołecznym niegdyś Sis mieszka. Ciekawe są historyczne losy tego ludu; prześladowany przez Turków, ustępował on przed nimi w niedostępne załomy swych gór; wzmocniony zwrócił się ku straconym siedliskom, owładnął ludnością muzułmańską, sprzyjaźnił się z nią na wzór libański — i ze swego osławionego u Turków Giaur-dahu (góry niewiernych) urągał spokojnie ich władzy. Obecnie pojednani z rządem, rozwijają Ormianie czynność swą najswobodniej. Niewprawne oko z trudnością rozróżni ich od Turków: mówią bowiem i ubierają się po turecku.

Niebezpiecznym współzawodnikiem Ormianina jest Semita — Syryjczyk. Mniejsza z tem, do jakiego narodu sam siebie zalicza: czy należy on do łacińskiego lub greckiego narodu (obrządku), czy to będzie katolik lub naśladowca jakobizmu, czy Maronita lub Melchita, a nawet muzułmanin — wieczny duch Semitów żyje w nim i daje mu energię handlową. Izraelita wśród pobratymców krwi z trudnością się dostaje na pieniężną wyżynę.

Dla Greka przecie zawsze się miejsce zostanie: niema ani jednego portu w Lewancie, któregoby on nie zamieszkał, wszędzie Romejów pełno — cała linia Suezkiego kanału już przez nich zajęta. Nic też dziwnego, że Mersynę uważają oni za punkt, do ich jeszcze własnego świata należący— jako dopełnienie Rodosu i Cypru; i pojmując delikatnym zmysłem blizką świetność tego portu, sadowią się w nim wcześnie jak mogą.

Spotyka się tu i reprezentantów ludów, jakichby się najmniej spodziewało.

Z poza Adany, z doliny Czukur-owa, od strony wrót syryjskich przyjeżdża tu nieraz ze swych nowych rolniczych osad tłum synów Kaukazu. Czerkies zawsze tu gość tylko — straszy słońce swą papachą; a choć się już nauczył wlec zaprzężoną bawołami dwukołową arbę i obył się z jej przeraźliwem skrzypieniem, jeszcze się tu przecie nie zaaklimatyzował. Wszakże wyprzedaje resztki pięknej broni i co piękniejsze w rodzie dziewczęta.

Dają się tu widzieć i Persowie. Ostatnie ruchy społeczno-religijne, prześladowanie Babytów nawet w Bagdadzie, rozproszyły ich znacznie po Turcyi Azyatyckiej. Synowie Iranu po większej części utrzymują tu składy i zakłady herbaty, rano roznoszą nawet swój „czaj" gorący po mieście, głośno wynosząc jego przymioty. Istotnie najlepsza to herbata, jaką w krainach czarnej kawy mieć można; sposób przyrządzania zupełnie różny od rosyjskiego lub angielskiego. Podają ją w małych szklaneczkach — bardzo gorącą, mocną i słodką; gatunek herbaty doskonały; mają ją mieć Persowie wprost z Chin przez małą Bucharę lub Afganistan i przyrządzają ją wybornie.

Robocza ludność w porcie większą częścią miejscowa.

Zatrzymuję się nad Mersyną dłużej, bo to miasto przyszłości i przedstawia wzór, jak tu wielkie emporya z najróżnorodniejszych pierwiastków w coś jednoistnego ostatecznie się wytwarzają. Dziś wszystko tu jeszcze skromne:

i konak kajmakama, z gruzów Pompeiopolis wzniesiony, i mieszkania konsulów, i agencye parostatkowe, francuska i rosyjska, i meczet, i kościołek katolicki Lazarystów, i komora celna i składy portowe; skromny też niemniej i sam bazar, a chan (karawan-seraj) zaledwie jeden porządniejszy i obszerny, gdy pospolicie karawany wielbłądów pod otwartem niebem wypoczywają. Lecz ruch karawanowy imponujący!

W chanie powitano mnie jako dawnego znajomego. „Chandży" — właściciel, stary tłusty Ormianin, rzewnie ku mnie się uśmiechnął, a łotr „odadży" — posługacz, Turek, przypominając sobie dawny bagszysz, pośpieszył z zapewnieniem, że mi da najpiękniejszy jaki ma pokoik dla udowodnienia stałej swej przyjaźni. Weszliśmy na górę — istotnie otrzymałem obszerną izdebkę już wymiecioną, z oknem zakratowanem, zwróconem ku morzu, a w niej, oprócz ścian czterech, nadto tapczan drewniany i duży dzban na wodę. Uprzejmie podziękowawszy za względy, tem swobodniej, że nie myślałem wcale tu teraz bawić, a nie licząc nic a nic na dalszą usłużność mego Mustafki, ruszyłem sam sobie szukać koni do Tarsu. Począłem od własnego chanu.

Jeny-chan, jak tysiące podobnych, stanowi bardzo obszerny dziedziniec, omurowany w czworobok piętrową budową; dół, utworzony z otwartych od dziedzińca arkad we wschodnim stylu, służy za stajnie dla koni i mułów, piętro zaś tego czworoboku składa się z niezliczonej ilości podobnego rodzaju pustych pokoików, z których właśnie ja jeden uprzywilejowany dostałem. Dziedziniec dla wielbłądów, w środku dziedzińca fontanna. Wejście do chanu od portu przez bramę, przypominającą jakiś stary a piękny maurytański pierwowzór.

Na dziedzińcu zastałem ruch niezwykły: karawana za karawaną z bawełną przybywały, dzwonki i dzwoneczki zwierząt, wrzawa przewodników ogłuszająca, a tymczasem w stronę ku Tarsowi niewiele kto spieszy. Zrozumiałem, że zechcą

skorzystać z mego położenia; powiedziałem więc tylko, że potrzebuję koni, lecz udając, że mi nie śpieszno, ruszyłem na miasto ku bazarowi.

Wchodząc na bazar, zatrzymałem się u znajomego mi straganu z owocami; ale jakież było moje zdziwienie, gdy przy nich zastałem nie jak dawniej raźnego, wesolutkiego Turczynka, który mię nieraz swą ciekawością ubawił, lecz jakąś wynędzniałą, wyżółkłą istotę, skurczoną w kąciku i zaledwie przypominającą tyle przedtem ożywione rysy. — Co ci to, mój Ali? — „Esetma, esetma"! (febra) — szeptał, chcąc się podnieść na me powitanie, i prawie upadł znów na swe miejsce w niemocy. Przypomniałem mu ów bukiet kwiatów górskich, jaki mi dał na pożegnanie przy zapasie owoców na drogę — zrobiło mu to przyjemność. Nie tracąc przecież czasu, począł mnie rozpytywać, czy my, Anglicy, także bijemy Francuzów. Nie chciał on nigdy dać się przekonać, żem nie był Anglikiem, i brał to tylko za żart z jego prostoty, upewniając, że on się zna na wszystkich „miletach" (narodach) i że Anglików (Ingliz), których widocznie najwięcej poważał, zaraz wyróżni. Rad był jednak mocno, że Anglicy nie napastują Francuzów; chociaż nie wierzył, co od Greków o ich klęskach słyszał, miał bowiem jakieś mistyczne pojęcie o militarnej ich dzielności — ojciec mu to pojęcie rzeczy wszczepił, a sam też był żołnierzem i walczył w Krymie z Omerem. Rozjaśniałem mu rzeczy, jakem zdołał, gdy on mi tymczasem co najsoczystsze owoce wybierał. Rozstaliśmy się jeszcze większymi przyjaciółmi; żałował, że kwiatów nie miał pod ręką; mnie zaś smutno się zrobiło, że takie dzikie dziecię tureckie skazane jest przez los zginąć w barbaryi, gdy wykształcenie wyrobiłoby je na człowieka najszlachetniejszej duszy!

Esetma, esetma! — to największa klęska owego kraju pobrzeżnego Mersyny i Aleksandretty. Barbarzyńskie od wieków zaniedbanie kraju dozwoliło wytworzyć się licznym w nadbrzeżnych nizinach bagnom i moczarom. Wyziewy

z nich na wiosnę tak okropne, że cała ludność zamożniejsza na czas upałów uchodzi w sąsiednie góry, do zielonych wiosek tamecznych. W Mersynie pozostaje tylko ubóstwo i wyrobnicy; — tego lata i mój Ali zostawał.

Urzędnicy żeglugi przybywają tylko na kilka godzin, w dniu przyjścia pocztowego statku; podróżni w porcie nie zatrzymują się—natychmiast umykają dalej. Stanowi to nawet wielką zawadę w stałem prowadzeniu handlowych interesów i gdyby tak miało być ciągle nadal, owa przyszłość świetna Mersyny, której wyżej dotykałem—niemożliwa wcale. Lecz zwrócono już na to uwagę i postanowiono powoli stopniowo błota osuszyć; pracę przedwstępną powierzono europejskiemu inżynierowi — a dobrze zrozumiany interes tak obcych jak i miejscowej ludności temu dopomoże. Nawet podniesiona uprawa rolna kraju niepomału przyczyni się do ulepszenia warunków sanitarnych.

Wogóle okoliczny kraj pod każdym względem się podnosi. Wytknięta już linia szosowej drogi do Tarsu; a tymczasem na rachunek przyszłości już i dyliżans sprowadzono, choć wątpię, czyby się kto odważył wsiąść do podobnej rudery i powierzyć się greckiemu woźnicy — mniej nawet odemnie wytrwali przenoszą w Azyi konną jazdę nadewszystko.

Powracam do mego chanu. Tureccy kupcy z Karamanii, z którymi zawarłem znajomość na parostatku, namawiają mnie jeszcze raz, bym się zdecydował jechać z nimi; dziękuję za ich względy, powiadam do widzenia za każdy raz i pytam o okazyę do Tarsu. Słońce się podniosło — śpieszno mi było, alem się nie śpieszył. Tego zaś dnia właśnie, co się tu bardzo rzadko zdarza, nie było prawie wracających; w gorący dzień pędzić pocztą konną nie chciałem — a tu i południe się zbliżało. Wtem podchodzi do mnie z gwarnego opodal na dziedzińcu tłumu dwóch ludzi, o niezmiernie wybitnych południowych rysach a silnej postawie, i proponują swe usługi — jadą do Adany, więc na

Tars, i mają luźnego konia — lecz odjeżdżają natychmiast. Układ więc krótki—słów parę i zgoda. Rzeczy moje w mgnieniu oka zniesiono i ujuczono na ich konie cięższe — jam dostał wierzchowca z wędzidłem.

Gdym już wyruszył naprzód z chanu i zawrócił koło nadbrzeżnej kawiarni, wysuwa się jowialny „kawedży" i zatrzymuje mnie zapytaniem:—„Czelebi" (panie, w znaczeniu dystynkcyi wykształcenia), a może teraz znów potrzeba ci „malutkich" pieniędzy, gotowem ci służyć — i Azyata grubym śmiechem się zaśmiał. Zrozumiałem żart — przypominał mi tem, jak niegdyś, mniej wtajemniczony w odcienie tureckiej mowy, potrzebując drobnych, prosiłem go o malutkie pieniądze. Opowiedział on rzecz tłumowi wypoczywających przy „nargile" pod kawiarnią próżniaków — znaleziono to bardzo zabawnem i przyjęto wielce uprzejmie, gdym powiedział, iż teraz ze mnie już lepszy Turczyn, wiem już należycie, jaka różnica między „kiuczuk" (mały) a „ufak" (drobny). Na dobitkę musiałem jeszcze wypić, siedząc na koniu, filiżaneczkę kawy — i ruszyłem; a towarzystwo kawiarniane, patrząc w dal morza i zmieniając nargile, musiało długo jeszcze rozprawiać poza mną — co to za dziwny naród te Frenki, jak oni skorzy do wszystkiego, jak im się też chce wszystkiego uczyć.

Kobiet wschodnich prawie nie widziałem w Mersynie. Za to Lewantynkę po europejsku ubraną spotkać tu łatwiej. Rodzin mieszanych tu niemało. Dziatwa takich rodzin musi uderzać cudzoziemca swym poliglotyzmem. Jakimi językami te drobne istoty nie mówią, i mówią każdym językiem dobrze! W Europie, nawet w portowych miastach, nie daje się to dostrzegać w takim stopniu.

Ruszyłem — droga mnie prowadziła naprzód ponad morzem, następnie zwracając się nieco na lewo, szła dalej równiną poniżej linii telegraficznej i nowo wytoczonej na przyszłość drogi szosowej. Dzień był śliczny, jasny, promienny, ale gorący jeszcze: bez arabskiej „kefieh" (chusty

jedwabnej na głowę) nie mógłbym się obejść. Tem chętniej też i dalej ją nosiłem, bo to mi nadto nadawało powierzchowność, jeśli nie zupełnie oryentalną, to zawsze człowieka obeznanego, nie nowicyusza, człowieka, co to niejeden zakąt Azyi zna. A właśnie zależało mi na tem niemało — dla większej swobody ruchu. Przekonałem się, że kapeluszowa impozycya możliwa, lecz w mych oczach wstrętna, śmieszna, a co więcej, najniepraktyczniejsza w moich warunkach. Barbaryi, co potęgę swą straciła, imponować łatwo, lecz ja nie czułem prawa komukolwiek urągać.

Droga mi nie przedstawiała tej zielonej świeżości, co wiosną — wszystko już tu z pola było zebrane, pola więc wyglądały, jak zwykle po żniwach. Lecz ogólny widok doliny, jaką przejeżdżałem, nic nie tracił z majestatu swego. Widok właściwie ten sam, jakim już z morza się napawałem; tylko grzbiety Tauru w oddali na lewo, z posuwaniem się mem naprzód, przy innem oświetleniu, coraz różnokształtniej w konturach swych mi się przedstawiały; na prawo zaś nikło na widnokręgu błękitne morze, którego szum nieustanny zdaleka mnie dolatywał. Droga mnie prowadziła ustroniem: dość liczne rolnicze wioski tureckie rozrzucone bliżej podnóża gór, łatwo je było dostrzedz po ciemniejących w półświetle sadach. Za to droga ta w inny sposób była nadzwyczaj ożywiona.

Ku Mersynie ciągnęły nieprzerwane prawie karawany wielbłądów — z bawełną, wełną, korą farbiarską, galasem i t. d. Na czele każdej z nich przekonany wysoce o swojem praktycznem pierwszeństwie osiołek. Bez osiołka niema karawany. Wielce samowolny skądinąd wielbłąd lubi przecie, żeby mu wskazywano drogę, a osiołek go nie obraża.

Jest to istota niezmiernie w swej praktyczności rozumna; nie wiedzieć kto mu taką złą sławę w północnej Europie wyrobił. Ma on swoje zdanie i nie ustąpi odeń za nic — pójdzie zawsze ścieżką, jaką sam wybierze, a nie tą, jaką jeździec wskazuje, i jego ścieżka okaże się zawsze

lepszą, wie, gdzie się zatrzymać, gdzie przyśpieszyć kroku, i nie lubi, gdy mu się przeczy. O lenistwo również trudno go obwiniać — poprostu nie lubi pracować darmo; nie zwykł też się wiązać żadnym punktem honoru: gdy ma za ciężko, kładzie się bez żenady i jeźdźca w rów zwala, jednak nie znosi, by go wielbląd wyprzedzał. Poważa go też sam przewodnik karawany, „kerwandży", nie męczy go i siada nań tylko dla wypoczynku, tem swobodniej, że to tak łatwo. Jedną osiołek tylko ma nieco ujemną dla towarzyszów podróży stronę, a to stanowi nadto popędliwe unoszenie się własną czasem fantazyą. Dla niej nieraz wszystko on poświęci: i jeźdźca zwali, i torby zrzuci, i z drogi umknie, a rozkochany widać sam we własnym głosie, często ryczy bez litości. Wobec wyższych faktów zdolny do największej rezygnacyi i stanowczości, i często najdotkliwsze razy nie są go w stanie poruszyć; wie co robi i następstwa na własną odpowiedzialność bierze. Poważniejszy od niego na pozór wielbląd nieskończenie jest większym jeszcze fantastą i uporczywcem.

Karawany te szły znaczną częścią z poza gór, z Małej Armenii i Kappadocyi, i przedstawiały żywe urozmaicenie ludowych typów.

Z Mersyny do Tarsu godzin 6 drogi — nie było więc obawy opóźnienia się, jechaliśmy zatem bez pośpiechu. W połowie drogi zatrzymaliśmy się w pobliżu wioski u kurhanu, co widocznie w starożytności służył podnóżem zamku, a orzeźwieni świeżą wodą i kawą, ruszyliśmy przy zniżającem się słońcu dalej. Dwaj moi towarzysze, od których konia nająłem, długo jechali poza mną dość daleko; gdyśmy się zrównali, uderzyła mnie ich oryginalna mowa, której pierwej nie zauważyłem, gdyż mówili ze wszystkimi dobrze po turecku. W dźwiękach tej mowy było coś znajomego, a jednak przetworzonego do nieodgadnienia. Zaintrygowany, sam sobie chciałem rozstrzygnąć zagadkę, bez pytania, lecz nie było to łatwe. Rysy mych towarzyszy, choć niezmiernie wydatne, przedstawiały jakiś typ mieszaniny, lecz jaki? aryj-

ski może, lecz i semityckiego dużo. Przy pospolitej tam odzieży mieli nadto charakterystyczne długie bawełniane, w drobne kratki, białe z błękitnem, płachty — rodzaj pledów, jakich gdzieindziej nie widziałem. Typu odgadnąć przecie nie potrafiłem. Dopiero wsłuchując się pilniej, począłem wyróżniać wyrazy greckie i przyszedłem do przekonania, że to koniecznie jakiś daleki odcień języka greckiego. Istotnie okazało się, iż moi towarzysze byli Cypryoci, chrześcijanie i gorliwi Grecy. Opowiadali mi oni o swej wyspie, o bogactwie jej, o braku życia i potrzebie szukania zarobku na lądzie. W odwet musiałem też i na ich pytania, mnie dotyczące, odpowiedzieć.

Wspominali dawne dobre czasy, kiedy to Cypr przed 50 laty rządził się autonomicznie; użalali się na stan obecny i przemoc turecką, na nadużycia baszów i kajmakamów. Upewniali mnie, że na 150 tysięcy mieszkańców tylko jedna trzecia część muzułmanów na wyspie. A unosili się z prawdziwym zachwytem nad winem swem, zaręczając mi, że takiego wina, jak ich komandoryjskie muskat, to już na całym świecie niema!

Upewnieni, że nie jestem Francuzem, zwracając się do bieżących na całym Zachodzie wypadków, nie skrywali wcale swej nienawiści ku Francyi i uradowania z jej klęsk. Nie dziwiło to mnie już wcale, byłem oswojony i widziałem w tem tylko skutek religijnej niechęci, która znalazła teraz możność swobodniejszego wypowiedzenia się.

Porzuciłem wprędce znów mych Cypryotów, gdym dostrzegł zdaleka wymijającego łańcuchy wielbłądów — żwawo a boso—owego Turkomana z parostatku, Ibrahima. Dopędziłem go — i on był widocznie rad ze spotkania, sięgnąłem do biesag, podzieliliśmy się garścią suchych owoców— i w gawędę. Dziwna natura tego człowieka, surowo azyatycka indywidualność: porzucił swój ród i namiot, swe góry i stado, bo mu młodej Aiszy oddać nie chciano, kupić jej zaś nie miał za co; a co to za warkocze ona miała—kilka-

dziesiąt, a jak zaplecione! — i oto mój Ibrahim w świat poszedł. O nic nie dba, niczego nie chce, byle mu swoboda, strawy wszędzie dadzą, czasem też i posłużyć gotów. Gdzie on nie był — nawet do górnego Egiptu z jakimś bejem licho go zaniosło! A on o swojem zapomnieć nie może — i na dumnym rodzie, co nim wzgardził, jeszcze się zemści! Dalej począł mi spiewać coś dzikiego, a tak rzewnego, że mi to pomimo woli przypomniało step i Ukrainę. Tymczasem dały się widzieć w oddali perspektywy i ciemne nieskończone sady samego Tarsu.

Miasta nie widać, ukryte ono w milowo rozciągłym wieńcu sadów i winnic, żywo przypominającym stęsknionemu oku jakiś jar podolski, okryty całym sznurem ziół zielonych. Nad zielenią ledwie kopuły meczetów widać. Zatrzymaliśmy się, czekając na towarzyszy, słońce chyliło się już ku bezdni morza, wjechaliśmy w długą sadów aleję — i powoli milcząco posuwając się, stanęliśmy w bramie miasta. I oto sam Tarsus — Tarsus Aleksandra i Kleopatry, ś. Pawła i Juliana Apostaty — cmętarzysko świętych pamiątek starożytności.

Lecz fantasmata przeszłości dalekiej wprędce rozwiały się, skorom wjechał na bruk miejski. Spiąłem konia i dobrze mi znaną drogą, przez uliczki i ulice niby, prosto ruszyłem ku środkowi bazaru i, przedzierając się między ścisłymi rzędami otwartych sklepów, zwróciłem się ku najporządniejszemu z chanów. Tu spodziewałem się zastać kogoś ze znajomych z dawniejszego pobytu. Wjeżdżam na dziedziniec — pusto, cicho, ani duszy; karawany właśnie odeszły. Nadbiegł wnet przecie chandży — pytam o inżynierów: jest jeden „basz-mehendys" — oto tam ma „konak"; wchodzę po cichu i otwieram: mój zacny m-r Edwin *) siedzi pogrążony nad mapą Francyi. — Qu'est-ce que vous faites ici?!... (po polsku) i rzuciliśmy się sobie w objęcia, jakby nas

*) Edwin Wrześniowski.

w jednej kołysce wykołysano. — Pauvre France! i nie było końca naszym wspomnieniom, rozważom wieczór cały.

15 września.

Wschodnim obyczajem, wstaliśmy o świcie—gospodarz mój uprzejmy mnie uprzedził—zastałem go już przy rysunkowym stoliku, we wzorzystym tyftykowym rannym stroju Azyaty, co dziwny jakoś stanowiło kontrast z jego europejskiem obliczem.

Mr. Edwin był to młody człowiek koło lat 30, niewielkiego wzrostu, kształtnie dość a silnie zbudowany, o jasnych włosach i rozumnem siwem oku, z wyrazem twarzy łagodnym a noszącym zarazem jakiś wojskowy odcień. Nie zdradzał w sobie Francuza przecie, nie przypominał Anglika — do czego niby nazwisko jego w części uprawniało; przedstawiał jednak typ wysoce europejski. Mój znawca narodów, ów mały Ali, przekupień w Mersynie, byłby z nim w wielkim kłopocie, a że wiedział dowodnie, iż we Frengistanie nad Fransyzów i Inglizów niema więcej ludów, niezawodnie byłby go już chyba wziął za Madziara, bo to Frenk nie Frenk, a zawsze giaur, tylko że tak sam sobie jakiś. Wprawdzie dowiedział się mój Ali wśród bazarowych gawęd i o Purusach, lecz ojciec stary wojak upewnił go, że najechali oni na Frenków tak z za morza gdzieś, jak oto nieprzymierzając giaury do Mersyny nałażą. Lecz już mniejsza o wiadomości Alego. Edwin był człowiekiem zachodnio sympatycznym. Wykształcenie jego ogólne było niemałe, a specyalne wcale niepowszednie; skończył on w Paryżu szkołę dróg i mostów pierwszym uczniem i był wzorowym inżynierem — a jak na Wschód, niepospolitym nawet. Przy swem uzdolnieniu mógł i we Francyi pretendować o odpowiednie stanowisko, lecz okoliczności jego rodzinne*) były tego rodzaju, iż wolał on ruszyć na Wschód. W Stambule

*) W 1863 r.

przez p. Rittera, dyrektora wydziału robót publicznych — Alzatczyka a gorliwego Francuza, po innych przedwstępnych pracach, otrzymał miejsce inżyniera „en chef" w wilajecie Adany, do którego właśnie i Tarsus z całą starożytną Cylicyą należy. Przybywszy tu, poczuł się on na nadzwyczaj uciążliwem stanowisku. Kraj, zaległy wieki pustynią, począł tylko co się podnosić — utworzono zeń niedawno osobny wilajet z części Konijskiego i Halebskiego a zbójecką ludność ustroni Tauru zmuszono do czci sułtanowi. Nowy wali-pasza, Damasceńczyk z tamecznych „ulemów" (uczonego kleru), co się wzbił niedawno drogą biurokratyczną, czując, jaki wiatr wieje w Stambule, gotów się brać do wszelkich reform, przeprowadzać wszelkie pomysły w każdym zakresie—w zakresie zaś robót inżynieryjnych nadewszystko. Lecz chętkom tym i porywom nie odpowiada ani uzdolnienie wielkorządzcy, ani ubóstwo kasy nowego zarządu. Pan Edwin więc zarzucony jest ciągle nowymi projektami, których nie widzi możności wykonania. Turek zaś nic nie rozumie, a wszystkiego jednocześnie natychmiast pragnie: tu mu prowadź bitą drogę z Mersyny na Tars do Adany, a zarazem przedłużaj wnet przez syryjskie wrota ku Skanderunie, przez cylicyjskie ku Konieh, prostuj i rozszerzaj ulice Tarsu, stawiaj mosty, przemyśliwaj nad koleją żelazną. Lecz bierz się zaraz i do osuszania dziesiątkujących ludność przez swe wyziewy błot i trzęsawisk, zalegających podnóże pamiętnego pobojowiska Issus. — Rad, narad co niemiara, do znudzenia, a i roboty niemało!

Trzeba też nie zapominać, jakie Turek wogóle ma wyobrażenie o inżynierze. „Mehendys" w jego rozumieniu wszystko umieć powinien i umie rzeczywiście. Już to rzecz próżna—Osmani dzielny naród, ale Frenki rozumu u nich nie proszą—a taki mehendys to wszystkie sztuki, wszystkie „maryfety" zna. Otóż zepsują panie haremu baszy, swawoląc, jakie bawidełko paryskie — już pędzi czausz w imieniu gubernatora do mehendysa: „aman, aman", nieszczęście —

poradź ty temu jakoś, effendy, napraw, bądź łaskaw, spędź sobie wszystkich zegarmistrzów i kotlarzy, a zrób koniecznie! I zrobić trzeba. Lecz dawszy dowód takiej wszechmocności, napytałeś sobie biedy na wieki. — Łamie się coś w powozie europejskim, sprowadzonym wielkim kosztem dla haremu, niema czem wycieczek robić — rewolucya w konaku (pałacu), wszystko w rozpaczy, biednemu starcowi mało głowy nie wysuszą, mało go żywcem nie zacałują—co tu począć — znów do mehendysa. Lecz właściwie piękne zamknięte stadko pewne siebie i wiedzą piękne panie, że choć Frenk może się baszy i wywinie, to ich prośbom ustąpi.— To nie grubianin, jak nasz muzułman, co to powie „olmaz" (nie sposób) — i basta: — jemu jego „adet" (obyczaj) być względem kobiet niegrzecznym nie pozwala! Dla większego ujęcia go sobie — posyłają mu flakonik cennego, różanego olejku, serbetu lub owoców i koniec końców resor naprawiony. Ale wtedy jużeś przepadł.

Niema rzeczy, z którąby się do inżyniera nie odnoszono. Przychodzi „bajram"—basza przypomina, że w Stambule robią padyszachowi illuminacye „alla franca", tak jak Napoleonowi, dlaczegóżby na cześć jego tu tego być nie miało? I temu więc mehendys musi poradzić: wszelkie wymawianie się bezskuteczne. Zato też bez niego nic się obejść nie może. Każdy rozsądniejszy gubernator szczerze, na seryo zasięga rady Europejczyka w przedmiotach użyteczności publicznej i postępowych reform.

P. Edwin miał do czynienia z człowiekiem niepowściągliwych zamysłów. Zamęczał go coraz to nowym projektem i obarczał coraz to nową pracą. Pod tym względem znajdował się mój znajomy w wyjątkowem poniekąd położeniu. Wogóle w Turcyi inżynierowie bawią się tylko robotą, ale naprawdę nic nie robią i, wysoce płatni, wypoczywają oryentalnie w towarzystwie baszy i miejscowych notablów, a jako chrześcijanie, korzystają z prawa, dozwalającego swobodniej patrzeć w piękne oczy córek Syryi lub Armenii. W wilaje-

cie Adany czekała inżyniera istotna praca. Z usposobień swych lubiący zatrudnienie, traktujący przyjęty na się obowiązek po europejsku, surowo, p. Edwin chętnie pełnił wszelkie polecenia władz, najszczerzej pragnąc zostawić po sobie cywilizacyjną pamiątkę w kraju, co go przyjął gościnnie. Pracował też sumiennie. Między innemi rzeczami, narażając zdrowie swe na największe niebezpieczeństwo, wymierzył błota pod Issus, zdjął plan i nakreślił projekt ich osuszenia. Duma jego szlachetna niezmiernie cierpiała nad tem, gdy się przekonał, że praca jego na teraz musi zostać bez skutku, bo niema pieniężnych środków do urzeczywistnienia projektów. Postanowił tedy zająć się czemś skuteczniejszem.

Zastałem go właśnie zdecydowanym opuścić Cylicyę i Azyę może. Oprócz innych okolicznościowych powodów, skłaniały go ku temu i powody wewnętrzne. Było w nim, w jego charakterze i usposobieniach, tyle europejskiego, tyle przesadnie zachodniego, że nietylko nie mógł on się zżyć ze Wschodem, ale nie mógł Wschodu zrozumieć. Ja dla niego byłem przedmiotem podziwu pod tym względem. Zwyczaj, obyczaj, byt Wschodu—wszystko dlań było wstrętne. Jak tu na długo zgodzić się na życie bez salonu, bez towarzystwa wykształconych kobiet, bez opery, koncertów, stosu gazet! Tam w Paryżu Bóg wie co się dzieje — a tu czekaj, nim parostatek nadejdzie, nim poczta jakiś spóźniony numer francuskiej gazety lub list nadwiezie! Nie miał on w sobie tego fantastycznego poezyi polotu, co zrozumienie Wschodu ułatwia, był trzeźwym realistą — z towarzystwem orjentalnem sympatyzować nie mógł, nie znał tureckiego języka, a co gorzej, i uczyć się go porządnie nie chciał, poprzestając na pośrednictwie tłómacza. Zwolna ostygł zatem i w swej gotowości służenia cywilizacyjnie Azyi — wyjątkowe swe położenie przypisując jedynie jej barbaryi. To jednak pewna, że, znalazłszy się gdzieś w Smyrnie, Halebie lub Bejrucie,

zupełnie inaczej o rzeczy by sądził. Brakowało mu tylko europejskiego towarzystwa, a więcej jeszcze własnej rodziny.

16 września.

Pan Edwin był tego dnia obowiązkowo zajęty. Zupełnie swobodny tedy, przejrzałem to, co się odnosiło do przeszłości historycznej miasta, by je raz jeszcze na pożegnanie obejrzeć i dokładniej ocenić jego pamiątki.

Tars (Tarsus) sięga nadzwyczaj głęboko w starożytność swą przeszłością. Był on stolicą Cylicyi, kraju, zaludnionego, podobnie jak sąsiednia za Taurem Kappadocya, przez lud szczepu semityckiego. Założenie Tarsu legendarnie przypisywane było Sardanapalowi, królowi Assyryi; następnie tradycya grecka o jakiemś tam osiedleniu Argiwów podawała. Przy powstaniu monarchii Cyrusa i Cylicya weszła w skład onej, zachowując pewien stopień autonomii, pod swymi królami, satrapami Persów. W czasie powstania Cyrusa młodszego Tarsus był zdobyty przezeń i spustoszony. Aleksander Mac. zajął go bez boju, przeszedłszy sławne cylicyjskie wrota i zwracając się ku Issus. Tu bawiąc, niemal nie stał się ofiarą gorączki, jakiej dostał po kąpieli w rzece Cydnus. Po jego śmierci Tars stał się dzielnicą Seleucydów, panów Syryi. Pompejusz zamienił go w rzymską prowincyę. W wojnie domowej stanął Tars po stronie Cezara, który go udarował na pamiątkę nazwą Juliopolis. Antoniusz podniósł jeszcze bardziej jego znaczenie. W Tarsie właśnie urządzał on owe świetne uroczystości dla pięknej Kleopatry, która podczas nich występowała na wspaniałej pływającej po rzece galerze w postaci Afrodyty. Za cesarstwa Tarsus wzniósł się do najwyższej potęgi i świetności — i stał się podstawą działań wojennych przeciw Partom i Persom. Niejeden z cesarzy przebywał tu, kierując wojną; kilku tu umarło — jak Tacyt, Maximin, nakoniec znakomity Julian Apostata. Bogate, ważne pod względem strategicznym miasto było niemniej słynne i przez swych uczonych, przez

swą akademię od czasów Seleucydów. Ojczyzna to i Pawła apostoła. Zostawszy zdobyczą Saracenów, Tars dostał się następnie Turkom i z biegiem czasu pogrzebał w gruzach swą dawną świetność.

Więc i tu, jak wszędzie prawie w Azyi, jestem na zwaliskach minionej potęgi, której obecny wiek długo może jeszcze nie będzie w stanie wskrzesić i nowem życiem natchnąć.

Po obiedzie, pod wieczór, poszliśmy na miasto, na bazary — przyjrzeć się żywemu życiu obecnej chwili. Znałem już je właściwie, lecz i teraz nie przestało mnie obchodzić. A za towarzysza wycieczki i informatora miałem niezrównanego pod tym względem człowieka — Azyatę do szpiku kości — i ze krwi i z ducha. Był nim „chawadża" Abib, tłómacz inżyniera en chef i sam już przez to mehendys po trochu, niby konduktor robót przy nim urzędownie. Młody człowiek, nie mający lat trzydziestu, przedstawiał wcale piękny typ semitycki — przy nieszczupłej postaci rysy regularne i płeć śniada, duże czarne oczy, a wyraz twarzy pełen finansowego dowcipu i rozwagi. Z urodzenia Halebczyk, z rzymsko-katolickiej rodziny, wychowany w zakładzie tamecznym Ojców Ziemi Ś-ej i mówiący wcale dobrze po francusku. Wprawdzie nadto ze szkoły nic więcej nie wyniósł — i przedewszystkiem wierzył w swój własny przemysł. Protegowany Dauda-baszy, równie Halebczyka i katolika, przedtem gubernatora Libanu, otrzymał miejsce w wydziale inżynieryi. Inżynierkę jednak traktował w podobny sposób, jak nasz Semita traktuje zwykle swą służbę wojskową — niewiele go ona obchodzi, wywija się od pracy ile może, a pilnuje tylko tego, jakby jaką spekulacyjkę przytem prowadzić. M-r Józef, bo takie nosił imię, przy pierwszem dawniej spotkaniu był niezmiernie dla mnie interesującą postacią. Uderzało w nim coś swojskiego, coś od dzieciństwa widywanego. Żem nie znał jeszcze wtedy bliżej semityckiego świata, nie chciałem zrozumieć, jak ten Arab,

katolik, mógł przedstawiać takie żywe powtórzenie odrębnego u nas typu. Istotnie bowiem, gdyby pan Abib, przy swej czarnej kształtnej bródce, po europejsku ubrany, zjawił się w piątek wieczorem w Krasińskich ogrodzie, nikt by go nie posądził, że nie jest rodowitym Warszawiakiem. Widząc me zachowanie u swego zwierzchnika, był dla mnie niezmiernie uprzejmy, usłużny; sam znawca wprawny arabskiego i tureckiego języka, zobowiązał mnie wielce swą cierpliwością przy robieniu mi uwag nad mą słabiutką turecczyzną. Świat swój azyatycki znał on wyśmienicie — i oto z nim ruszyliśmy na miasto.

Dzisiejszy Tarsus zajmuje zaledwie czwartą część obwodu starożytnego miasta, rozciąga się on tylko po prawej stronie rzeki Cydnu, obecnie Tersus-czaj zwanej, i leży nieco opodal od niej. Względnie biorąc, miasto dość porządnie już zabudowane, o dużych domach z płaskimi tarasami zamiast dachów, z których domy znaczniejsze z materyału starożytnych ruin były wzniesione. Ulice już sprostowane w części, rozszerzone i zastosowane główniejsze z nich do powozowej jazdy na przyszłość — dzieło świeże znanych nam inżynierów. Parę meczetów większych, niczem właściwie nie odznaczających się, kilka pomniejszych; kościołów chrześcijańskich parę — nowiutki Ormian Gregoryanów najwspanialszy, z okrągłą kopułą, w stylu jakiegoś oryginalnego renesansu postawiony — z obszernym dziedzińcem i szkołą dla dzieci. Kościół grecki starszy, skromniejszy; kościół libańskich katolików (Maronitów) i t. d. Wszystko maluczkie, skromne — niczem nie przypominające, że to ojczyzna Pawła, apostoła narodów, którego pamięci tyle, tyle świat chrześcijański winien!

Tars jest obecnie rezydencyą mutesaryfa-baszy (podgubernatora), ma więc swój „konak" — dwór głównego zarządu okręgu. Cała onego tłumna, nieokiełznanie swobodna, barbarzyńsko-familiarna wrzawność — niezmiernie ciekawa dla Europejczyka, chcącego mieć jakieś wyobrażenie o po-

rządku prawnym świata muzułmańskiego. Obok konaku ważną instytucyę stanowi stacya telegraficzna. Tu Europejczyk, za moim przykładem, może przyjść w potrzebie i wskazać palcem na wiszącej w mistycznej zagadkowości mapie, że oto tutaj właśnie pożądane wielkie miasto Turcyi—i obudzi przez to najniezawodniej takie zdumienie w tureckich dostojnikach, że, gdyby nie byli pewni, że on niewątpliwie też być musi mehendys, nie wiedzieliby, co o takim człowieku sądzić; bo nie umiejąc wyczytać podpisu arabskiego, wskazać na mapie wprost, bez zachodu, choćby największe Turcyi miasto — niepojęte! Nareszcie komora celna, obszerna budowa poza miastem, ze składami bawełny, którą tam ważą i stemplują przed wysłaniem do portu. Stąd też w Tarsie nie razi ta instytucya, jak w innych miastach, średniowieczną barbaryą; — zresztą od tego i Europa niedawno się oswobodziła, a i tu niebawem myta i cła wewnętrzne potrzebie ułatwiania samego handlu ustąpić muszą. Domy zaś wogóle niczem się od takowych na południowym pasie azyatyckiej Turcyi nie różnią; o płaskich dachach, zwrócone wewnątrz, z pysznymi dziedzińcami nieraz i tradycyjnemi ozdobami upadłej arabskiej sztuki.

Ależ znów oto „czarszy", bazar. Tu mój towarzysz panem, tu jest w swej sferze, oddycha własnem powietrzem, zna wszystkich i wie o wszystkiem; nie dlatego, żeby to mu było na co potrzebne bezpośrednio, lecz że bez tego żyćby nie mógł, że to jedyna strawa jego umysłu. Któż nie zna z opisu przynajmniej azyatyckich bazarów, owego labiryntu wązkich uliczek, ściśniętych szeregami krytych, drewnianych najczęściej straganów lub murowanych framug. A w nich pyszne azyatyckie towary?! Było to kiedyś istotnie! Dziś po dawnemu siedzi jeszcze oryentalny próżniak, bez różnicy krwi i wiary, z podchylonemi nogami, na miękkim dywanie, u wejścia, w rogu swego sklepu czy sklepiku, ale poza nim, na jego półkach, śmiecie i braki

wszelkich europejskich fabryk — towar tani i jasny. Litość bierze patrząc na to — i wyjścia niema.

Współzawodnictwo Europy zabiło tu prawie zupełnie azyatycki przemysł: Europa produkuje taniej, a zubożenie i barbarya Azyi każe i pozwala jej poprzestawać na wyrobach lichszych; oto przyczyna, dlaczego na bazarze Tarsu wszystko prawie europejskie i wszystko prawie liche. Z towarów miejscowych trzymają się tylko wyroby siodlarskie, szmuklerskie, pewne gatunki prostych materyi bawełnianych i bielizny, wełniana zwierzchnia odzież miejscowa, wyroby szewckie i blacharskie, najbardziej zaś dywany karamańskie, mocne niezmiernie i nieraz bardzo ładne. Broni siecznej dosyć, ale wyrobu dawnych czasów. Owoców poddostatkiem.

Nie zatrzymały nas one jednak na bazarze — pod wieczór ruszyliśmy z uprzejmym mym towarzyszem w stronę ogrodów, obejrzawszy wprzód piękny grecki sarkofag przy mersyńskiej drodze, który wywrócony służy właścicielowi podwórza za stągiew do wody. Wiemy już, iż Tars otoczony jest ogrodami, zajmującymi parowiorstowe razem przestrzenie. Poza ogrodami miasta nie widać zdaleka, kryje się ono w nich najzupełniej. Lecz tu, jak w wielu innych miastach Azyi, mają ogrody właściwy sobie charakter. W ścisłem znaczeniu nie są one sadami i nie należą nawet do miasta. Są to osady rolniczej przy mieście ludności, podzielone na drobne siedliska. Każda rodzina posiada wydzielony sobie kawał gruntu, stanowiącego zarazem pole, ogród, sad i winnicę; w środku siedliska schludny domek i studnie częste. Zielone takie siedliska wieśniacze, rozrzucone w najbardziej fantastycznym nieładzie, przecięte zaledwie większemi drogami, stanowią niezwykle ujmujący sielski obraz. Gdyby nie odmienna wegetacya, przypominałyby one podolskie sioła, w jarach sadami kwitnące; nawet ogrodzenie z nasypów ziemi podobne, tylko nie tak nagie, lecz owszem okryte bujną roślinnością pewnego rodzaju trzciny i ogromnej wielkości kaktusami; nieraz nawet rowy obsa-

dzone bukszpanem. W ogrodach cytryny, pomarańcze, różnych gatunków nam nieznanych, granaty, brzoskwinie, figi, bujna winna latorośl i t. d., i z ogrodowizny — oberżyny, kalafiory i t. p.; zboża trochę, bawełny, a na moczarach i trzcina cukrowa.

Mieliśmy cudny jesienny wieczór: cisza, świeżość powietrza, nieujęty jakiś aromat, liście czerwieniejące, zżółkłe, opadłe często, a trawka nowa, nieznaną nam późną jesienną żywością zieleniejąca — wszystko to napawało nas rozkoszą w tej wieczornej wycieczce.

Nie pytając ni drożyn ni ścieżek, brnęliśmy sobie po ogrodach bez planu; dla niechętnych mieliśmy odpowiedź w zanadrzu, żeśmy mehendysi, ale wszędzie nas witano grzecznie, rozmawiano, opytywano, przynoszono owoce, za które nie śmieliśmy płacić w obawie obrazy.

Ludność tu obyta z widokiem Europejczyka. Zachowywanie się pospolite inżynierów nakazywało cześć. — Co do mnie, z moim towarzyszem, i myśmy też zachowywali wszelką pożądaną oryentalnie przyzwoitość względem kobiet spotykanych i nie kryjących się wcale pod surowsze miejskie zasłony. Najswobodniej zaś bawiliśmy się z dziatwą, co jak wilczęta kryła się poza krzewami, a ośmielona nieco, najnaiwniejszemi nieraz pytaniami nas obsypywała. P. Abib wybornie mówił po turecku i miał pewien humorystyczny dowcip—pociecha więc była powszechna. Kobiety były zatrudnione. Turczynka wieśniaczka—raźna i skrzętna kobieta, ona utrzymuje dom cały i pilnuje porządku, mężczyzna tylko do doraźnej pracy zdolny, próżnowanie zaś bierze za wyraz swej wyższości. Kobiety mniej ładne, lecz hoże.

Znaczna część osadników są to Anserieh, lud semitycki z północnego Libanu, mówiący i po arabsku. Pozornie zachowuje on obyczaj urzędowego muzułmanizmu; lecz w istocie posiada swe własne wyznanie — wyrosłe na tle szyickiem z dodatkiem idei mesyanizmu i pewnych pogańskich ta-

jemnic. Lud to pracowity, gościnny i wcale przychylnie dla chrześcijan usposobiony. Towarzysz mój nie zaniedbał tu wskazać na ich wyższość semitycką nad tureckim ludem; co gdy przezemnie było podawane w wątpliwość, usiłował wszelkimi sposobami dowieść mi tego. Ze zdumieniem dostrzegłem, że uważa on to niejako za obowiązek punktu honoru krwi, — czego dawniej niewiele w nim podejrzewałem.

Gdyśmy wrócili do chanu, było już późno, a spracowany p. Edwin gotował nam, w odpowiedź na nasze opowiadania i sielskie obrazki, inwektywę na Azyę całą i azyatyckie wszystko, z całym dowcipem dobrego humoru dokonaną. Rozbroiliśmy go przecie w jednej chwili, powiadając, iż idziemy od rzeki i cmętarzysk—widzieliśmy dziewczęta wracające z wodą i panie o jedwabiach, pojące się świeżością wieczoru. Zrozumiał — tegożby tylko brakowało, żeby i kobiety nie były ładne. Tarsyotki podobno od wieków odznaczały się pięknością. — Podobno, powtórzyłem.

Ranek świeży — zachęcający do wycieczki — jeszcze ogrody.

17 września.

Pamiątki starożytne Tarsu bardzo są nieliczne, względnie do znanej w długie wieki świetności tego miasta. Najbardziej starożytnym pomnikiem, sięgającym prawdopodobnie jeszcze assyryjskiej epoki, jest tak zwany Deunk-Tasz (kamień ruchomy) — budowa, leżąca w gęstwi ogrodów na południowo-wschodniej stronie miasta, nieopodal Cydnu. Jest to obszerny podłużny czworobok do 90 metrów długości, więcej 40 szer. i do 8 wysokości, zbudowany ze zbitej masy drobnych kamyków, wapna i piasku, spojonych cementem. We wnętrzu tego czworoboku, u krańców, wznoszą się dwie sześciościanowe bryły. Obwód czworoboku zawiera jeszcze złomki ozdób z pięknego białego marmuru, okruchy którego rozsypane wszędy. Lecz co to za pomnik?

trudno określić: prawdopodobnie jest to grobowiec jakiś, choć nie koniecznie Sardanapala I, jak tego chcą niektórzy.

Osnowa budowy w każdym razie sięgająca głębokiej starożytności, następnie przyozdobiona nieco z grecka w czasach późniejszych. Nieco wyżej od tej budowy, w pobliżu rzeki, dają się widzieć resztki gruzów teatru i ślady starożytnego nekropolu.

Pod wieczór p. Edwin zaproponował mi wycieczkę nad rzekę, ku starożytnemu mostowi, który mu poprawić polecono. Most kamienny, o kilku arkadach, mocno z dużych płyt zbudowany, nosi na sobie cechy czasów bizantyjskich. Cydnus, chociaż rzeka niewielka, lecz bystra, w biegu wieków przesuwając swe łożysko, oddawna most ten siliła się rozsadzić. Turcy go po swojemu, charakterystycznie podtrzymywali: w jednym wyłomie zamiast brył wsunięto 16 dział starych spiżowych. Lecz napróżno: rzeka prze dalej ku prawemu brzegowi i stara się zaporę wyminąć, a bujna roślinność opanowała wszystkie szczeliny i wyłomy — drzewiny kilku platanów wychylają się z pośród brył, zawieszonych nad wodą. Więc też widok mostu z północnej strony przedstawia piękny, oryginalny bardzo, fantastyczny obrazek. Mój towarzysz inaczej nań patrzył — liczył i obliczał, jakby most najtaniej wzmocnić i zapewnić nadal swobodę komunikacyi nietylko karawanom, lecz i kołowym pociągom.

Rzeka, pędząc ku morzu w lekkim gruncie, wciąż swe koryto odmienia; bliżej ujścia płynie ona innem łożyskiem, niż w starożytności; była ona niegdyś spławna aż powyżej Tarsu i wpadała do laguny, zwanej Rhegma, która stanowiła jego port; dziś wszystko inaczej wygląda — rzeka zmalała, a port zamulał lub zamienił się w zgubne letnimi wyziewami błota.

Zwracając się ku północnej stronie miasta, widzimy ruiny wspaniałego zamku na dominującej wyżynie, którego budowę przypisują sułtanowi Bajazetowi. Dziś ręka ludzka pomaga zębowi czasu: mury zamku walą, a cegłę używają

do nowych budynków. Do tegoż czasu należy i znajdująca się we wschodniej części miasta strażnica, panująca nad rzeką i okolicą. Nieopodal zaś od niej, o jakie paręset kroków na południo-wschód, dają się widzieć jeszcze ruiny znacznej budowy, zwykle pomnikiem okrągłym zwanej, pierwotne przeznaczenie której nie łatwe do odgadnienia.

Zresztą niemało starożytnych pamiątek spotkać można rozproszonych po ogrodach i najczęściej przysłoniętych bujną roślinnością.

18 września.

Miło mi było przepędzić parę dni w zajmującem zawsze mieście i w towarzystwie człowieka, który obudził we mnie najżywszą sympatyę; lecz czas mi ubiegał i myślałem o dalszej podróży. Postanowiłem przerznąć całą Anatolię i zdecydowałem się już co do kierunku — linii na Konieh i Kiutajah, choć bardzo interesującej, zaniechałem i wybrałem drogę głębszą w kraj — na Kajsarieh i Angorę. Chodziło mi tylko o zapewnienie sobie koni i przewodnika, lub o przyłączenie się do wielkiej karawany. Sam przecie tem nie potrzebowałem się zająć; p. Edwin miał obytego tu sługę; temu więc wyszukanie zręczności zaraz po przyjeździe poleciłem. Nie tęgo przecie na tem wyszedłem.

Hassan-aga, bo tak się zwał i tytułował sługa p. Edwina, był to prawdziwy „chyzmetczy" wielkiego effendego. Chłopak wyżej lat dwudziestu, silnie i kształtnie zbudowany, przedstawiał jeden z piękniejszych typów Turka. Przybysz z za Tauru, z dalszej Karamanii, szczycił się on janczarskiem swem pochodzeniem. Dumny z rodu, choć nie miał szeląga przy duszy, musiał mieć przecie ozdobną szkarłatną odzież, wzorzyście wyszywaną srebrem kurtkę, fez o potężnym kwaście, o lekkim od niechcenia zawoju, i wykwintne cizmy. Bez broni oczywiście ani kroku, para pistoletów i handżar były zawsze u pasa. A tak zbrojny i strojny, nie pozwalał sobie, choć cudzy sługa, opuszczać przy imieniu

tytułu agi. Służył on tylko — jakby dla honoru — u wielkich bejów i dostojników. Służba była w jego zrozumieniu pewną względnością z jego strony. Nie obarczał się też za wiele i nie wszystkiego się podejmował. Robił kawę wyśmienicie, podawał ją z dystynkcyą nieprześciągniętą, kręcił bardzo zręcznie papierosy, usługiwał z całym oryentalnym majestatem do stołu, biegał na posyłki i nadto — już nic więcej. Oczywiście, reprezentował zacnie swego pana wobec gości, przy jego urzędowych wizytach postępował poważnie przy wierzchowcu — a w danym razie byłby się i bił zań do upadłego. Posługi właściwej, w mieszkaniu, żadnej — nic to go nie obchodziło, choćby tydzień cały nie było sprzątane w pokoju. Familiarność z panem najnieprzymuszeńsza, swoboda ruchu zupełna. Pójdzie sobie czasem na cały dzień—i później, jakby nic nie było, przychodzi najnaiwniej panu opowiadać o jakiemś swem spotkaniu; nieraz gdy go największa potrzeba — szukaj wiatru w polu. Tytoń z panem wspólny; wreszcie wszystko prawie było — nasze, u nas. Przy kawie pan mu musiał koniecznie coś o Frengistanie, o wojnie opowiadać; musiał słuchać o wiekopomnej dzielności janczarów i jak to teraz „raja" zhardziała (chrześcijańscy poddani). I nie można się było od tego opędzić. Hassan-aga czuł, że to wielka kondescendencya z jego strony dla swego giaura, chociaż to i padyszacha mehendys i bardzo zacny Frenk. Że p. Edwin go nie wypędził, tajemnica była w tem, iż mu znakomicie utrzymywał rygor przy robotach w polu, wśród dziczy niesfornej, i z całem zamiłowaniem koczownika pielęgnował mu ulubionego wierzchowca, wreszcie może go i lubił za niezmącony niczem duch swobody.

Takiemu to właśnie orędownikowi powierzyłem przygotowanie mi możności dalszej podróży. Niełatwe to było; karawany dopiero zaledwie poczęły chodzić z za Tauru, wracających prawie nie było. Chciałem przecie spieszyć, obawiałem się deszczów późnej jesieni w górach i pragnąłem w po-

czątku zimy umknąć do Europy. Nastawałem więc na Hassana, by mi pojedyńczego przewodnika wyszukał—a byłem się już obył ze strachami i, przebywszy już wrota syryjskie samowtór ze śmiałym Kurdem, odważałem się teraz podobnie przejść i przez wrota cylicyjskie. — Otóż przyprowadza on mi „kiradżego" (podwodnika), co wraca do Karamanii do domu, ma parę koni wierzchowych i jucznego, a gotów mnie odprowadzić aż do Kajsarieh. Uderza mię powierzchowność energiczna i namiętny wyraz twarzy młodego człowieka — jest to Grek z Nigdeh, z za Tauru. Oczy mu się iskrzą — niezmiernie rad niby usłużyć chrześcijaninowi, Europejczykowi; zapowiada wszelkie możliwe wygody w podróży, na popasach, noclegach; zachwala pyszne wino swej okolicy, piękne oczy karamańskich Greczynek; unosi się nad cudami natury, jakie mamy spotkać po drodze. Byle tylko jechać na Nigdeh i wstąpić do niego akurat na pół drogi — wypoczniemy, weźmiemy świeże konie i znów dalej z Bogiem. — Zgoda — na Nigdeh—o cenę łatwośmy się ułożyli—otóż zobaczę po drodze i Tyanę głośnego Apolloniusza—a Greczyn zuch widać, żywy, wymowny, wiele rzeczy od niego się dowiem i szersze siedlisko resztek greckich w Anatolii poznam. Zgoda — do jutra — ze świtem w drogę. Rad byłem bardzo z podobnego zdarzenia, a i koń był tęgi.

Na pożegnanie Tarsu, pod wieczór, wybraliśmy się jeszcze raz na owocowo-archeologiczną wycieczkę w ogrody. Obejrzeliśmy kilka studni, przy których stare sarkofagi służą za krypy, kilka innych złomków marmurów antycznych, — i nabrawszy granatów, ruszyliśmy na dalszą przechadzkę. P. Edwin tego wieczora był większym Europejczykiem, niż kiedy — wspomniał swą rodzinę, dzieciństwo, okoliczności, co go w daleki świat zagnały, obecny stan Paryża — i całą duszą atakował Azyę i wszelkie barbarzyństwo. Wobec takiego w nim nastroju, nie miałem mocy łagodzenia przyostrych zarzutów, bo nawet otoczenia obecnego nie pominął. Na podobnych wspomnieniach i rozwa-

gach nad Azyą spędziliśmy wieczór cały. Wracaliśmy ku domowi z poza miasta wspaniałą aleją, jaką tworzyły rozścielające się po obydwóch stronach naszej drogi bogate swą zielonością sady. Wyprowadziłem go umyślnie na tę drogę, której jeszcze nie znał — żeby nie odważył się już powtarzać, że w tej lichej krainie niema gdzie nawet i wyjść na przechadzkę po zmęczeniu. Natura sama świadczyła o sobie. Samochcąc, musieliśmy przywołać wyobraźnią świetne czasy Tarsu, czasy, kiedy tu Kleopatra wdziękami swymi tryumfatorów usypiała. Co to za rozkoszne musiały być te ogrody wtedy, umiejętną ręką pracownika, greckiem czuciem natchnionego, uprawiane. Smętnie bardzo ten wieczór zakończyliśmy — jednego zapytania wystarczyło: czy też kiedy w Europie naszej spotkamy się jeszcze?

19 września.

Ze świtem już byłem na nogach — pobiegłem ku fontannie, jaką mieliśmy w środku dziedzińca chanu w pysznem kamiennem ocembrowaniu, i, orzeźwiony oryentalnym obrzędem, wziąłem się do pakowania mych rzeczy, tak, by je dogodniej na konie rozłożyć. Przy nabytej wprawie szło mi to raźno. Skończyłem — czekam; lecz mego Greka ani słychać i Hassan też się nie zjawia. Już wstał i sąsiad mój o pokój, p. Edwin.

— Dzień dobry — a co, podobno serdeczni Azyaci zostawią przyjaciela dziś na miejscu; w tem coś jest, ani Greka twego, ani mego Turka — w tem coś jest!

Nie chciałem przypuszczać, by tak źle być miało, ale w duszy podzielałem obawę i niecierpliwiłem się.

— Niema rady — powiada — ślijmy na zwiady Abiba — łotr to większy od tamtych obydwóch razem, ale wnet o wszystkiem się wywie — nic tu wprawdzie nie wyspekuluje, ale przez amatorstwo to zrobi. Jakoż istotnie wraca nasz Halebczyk i opowiada o awanturze: wczoraj wieczo-

rem przy „rakii" Grek z Turkiem powadzili się o spodziewane bagszysze, jakie z mojej kieszeni paść miały; w powstałej bójce trzeźwiejszy Greczyn dogodził bardziej potomkowi janczarów, lecz wiedząc, z kim ma do czynienia, umknął z końmi jeszcze w nocy, a Hassan poszedł za nim w pogoń.—A co, może i lepiej się stało, awanturnik widać; zostaniesz dłużej u nas gościem, a ta tam Azya jeszcze cię nie minie, tylko radzę — rewolwer lepiej opatrz — pocieszał mnie p. Edwin. Niewiele rad byłem wszakże ze zdarzenia — bądź-co-bądź wolałbym być już w drodze — czas najcudniejszy, a o zręczność nie było łatwo.

P. Edwin następnie pojechał wytyczać linię projektowanej drogi szosowej poza Cydnem, ku cylicyjskim wrotom, a jam się wybrał dla rozerwania błądzić po mieście.

Tars poczyna wznosić się obecnie — posiada dziś już kilkanaście tys. mieszkańców. Ludność większą częścią złożona z Turków i Turkomanów, lecz Turcy cylicyjscy nie przedstawiają czystego typu, nawet można śmiało przyznać, iż przemaga tu w zlewie krew semitycka, co bardzo naturalne, gdy pierwotni mieszkańcy Cylicyi należeli właśnie do tego szczepu. Po muzułmanach mocniej są reprezentowani Ormianie z Małej Armenii, pewien czas, po rozprzężeniu byzanckiego cesarstwa, pod ciosami Saracenów, władzcy tego kraju. Grecy tu mniej liczni i późniejsi przybysze. Ale co oryginalne, że w mieście świętego Pawła synów Izraela nie widać; są tu za to kupcy Maronici z Libanu i mają swój kościołek. Nie brak też i Kurdów — przychodzą tu oni najwięcej z okolic Charputu, jako właściciele jucznych koni i wielbłądów do wynajęcia, lub też robotnicy. Tu są oni tylko gośćmi — zawsze śmieli do zuchwalstwa, swobodni i prości — samoistni w swym obyczaju, równie niechętni Turkom jak Arabom. Piękny to i czysty typ aryjski. Nikt w Azyi tyle Rusina nie przypomina co Kurd — to niby świeży osadnik z pod Humania lub Kołomyi. Zresztą taż sama różnorodność azyatyckich pierwiastków

w Tarsie, co w Mersynie — Europejczyków tylko niema — oprócz konsulów, Włoch jeden nożownik i na tem koniec.

20 września.

Na naszym dziedzińcu ruch wielki — przyszła karawana z towarami z portu; bieganina, wrzawa, gwar, przypominające najzupełniej hałaśliwość targowisk naszych małych miasteczek. Oczywiście podnoszący taki gwar Turkami być nie mogli — Turek nie raczyłby hałasować dla lada czego. Wyszedłem z mego pokoiku na okalającą dziedziniec galeryę. Istotnie, chociaż przewodnik karawany z posługaczami byli Turcy, zachowywali się oni najspokojniej, a wrzawę gwarną podtrzymywali gospodarz chanu z liczną rodziną i zbiegłymi zewsząd przyjaciółmi, których ciekawość fenicka pożerała. Byli to naprawdę Fenicyanie, przybysze z Bejrutu (Bejrutly), Semici greckiego wyznania, mówiący w domu po arabsku. Stanowili oni oddawna już przedmiot mego najżywszego zajęcia. Byli oni tak podobni we wszystkiem do naszych starozakonnych, że kiedyś żadną miarą nie chciałem wierzyć, aby to byli greccy chrześcijanie, i twierdzenie przyjmowałem za żart ze mnie. Typ cały fizyczny, wyraz twarzy, ruchliwość gorączkowa — wszystko świadczyło na stronę mego przypuszczenia. Zbliżyłem się tedy z rodziną chandżego — najprawowierniej chrześcijańską i najtypowiej semitycką. Jeden z synów gospodarza mówił dość dobrze po francusku, zwrócił też najbliższą mą uwagę: ciekawością swą, zmysłem spekulacyjnym i wogóle całym nastrojem swego umysłu przypominał żywo naszego Izraelitę, — pomijając już drobne, drobniutkie szczegóły zewnętrzne, począwszy od sposobu zachowania się, które było zupełnie toż samo, co u tamtego. Wzmacniało to coraz bardziej mą etniczną pewną hipotezę.

Oddawna już, drogą przypuszczeń a priori, doszedłem był do przekonania, iż nasi współobywatele semityccy, lud rozproszony wreszcie po całym świecie — pod nazwą Żydów,

Izraelitów, prawowitem potomstwem jedynie ludu wybranego — nie jest wcale. Zlać się z nim musiał, drogą religijnej propagandy, w przeważnej części i potężny ród fenicki, tak po wszystkie wieki wielowładny na całem półkolu wybrzeży południowej połowy Śródziemnego morza — zlał się i zaginął w nim. Duch komercyjny dzisiejszych starozakonnych nie jest dziedzictwem po Izraelu, lecz po synach Sydonu i Kartaginy. Jak wreszcie inaczej wytłómaczyć taki gwałtowny rozrost Izraela, że w epoce upadku Jerozolimy naprawdę gotów on stawić czoło Rzymowi, czując się wszędzie panem tam, gdzie właśnie nie stało społeczności punickich. Później zwiedzając porty starożytnej Fenicyi, pilnie przypatrywałem się miejscowym typom. Oczywiście to już świat zupełnie nowy, tylekroć przez burze dziejowe przeobrażony; jednak w członkach tamecznych chrześcijańskich rodzin, uważających się za starożytnie miejscowe, trudno nie dopatrzeć typu, który pospolicie hebrajskim nazywamy. Między miejscowym typem tamecznym wyznawców Chrystusa a Mojżesza poprostu nie łatwo różnicy dopatrzeć. A tymczasem ludność hebrajska w Anah, na dolnym Eufracie, w Chaldei — potomstwo owych osadników Iudy, co podług tradycyi nie wracali z babylońskiej niewoli do Palestyny, przedstawia typ odmienniejszy, dalszy, niż fenickich chrześcijan.

Wypada, aby etnologowie zwrócili na to uwagę.

21 września.

Niecierpliwiłem się — postanowiłem sam sobie znaleźć konia i przewodnika. W naszym chanie nie było wracających za Taurus, poszedłem z Abibem po innych chanach. Pan Józef oczywiście znał wszystkich, lecz pewną dozą sympatyi, dumą jakąś szczególną opromienionej, otaczał on tylko lud swej krwi — bez różnicy wyznania. Dość gorliwy katolik, był bardzo dobrze z rodziną gospodarza — greckiego obrządku. Nawet ich patryotyzm nie stał im na zawadzie, choć

ten był zapalonym Halebczykiem, a tamci niemniej gorliwi Bejrutanie. Łączył ich nie tyle wspólny język arabski, ile obyczaj jeden, nastrój umysłu ten sam, rozkosz gawędy finansowo-spekulacyjnej, informowanie się wzajemne co do bieżących cen, możliwych przedsiębiorstw na parę piastrów, nadeszłych towarów i t. p. i t. p. P. Abib, z urzędu inżynier, nie miał nic właściwie do kupienia, ani do sprzedania — a musiał być koniecznie na rynku w dzień targowy. Nie wiodła go do tego spekulacya na piastra, na swym szefie, co go o sprawunek zwykł był prosić, ale wprost pasya krwi. Był pan Józef i religiantem swego rodzaju: pamiętam, z jakiem przejęciem się, otrzymawszy list z domu, opowiadał mi dawniej o cudownem zdarzeniu, jakie zaszło w Halebie. W początku wiosny była wielka posucha, obawiano się nieurodzaju. Wali-basza powołał na zamek przedstawicieli wszelkich wyznań i zalecił gorące modły do Najwyższego o deszcz— modlili się muzułmanie i żydzi, — chrześcijanie, niekatolicy i katolicy przeróżni; ale dopiero księża jego parafii deszcz u Boga uprosili. Lecz najpatryotyczniej unosił się nad tem, że żadne miasto nie ma takiego pięknego chóru „muezzynów" z minaretu wielkiej „dżamii" (meczetu), jak właśnie ich Haleb. Europejczyków w duszy nie lubił, Turków nienawidził, pierwszeństwo w ludzkości przyznawał swemu szczepowi bezwarunkowo. Z dumą opowiadał o rycerskości Beduinów, o ich poetycznych, szlachetnych obyczajach, ubarwiał ich zbójeckość i nie pozwalał na najmniejsze porównanie między nimi a Kurdami lub Turkomanami. Martwiłem go też naprawdę, opowiadając z kolei, jak Jezydzi z gór Syndżaru (ród Kurdów, czciciele czarnoboga Arymana) ulubieńców jego Szemmarów przy zręczności biją. Podobne objawy rodowych usposobień, dostrzegane dość często, utwierdzały mnie w przekonaniu, iż tak różnoliczne ludy arabskiej mowy, zdolne do ustępstw wzajemnych i przy powszechnej nienawiści ku Turkom, gotowe są z biegiem czasu wytworzyć, przy sprzyjających

okolicznościach, za przewodem Egiptu, może potężny zastęp dla cywilizacyi na przyszłość.

Obeszliśmy wszystkie chany; wracających do dalszej Karamanii ani jednej duszy, choć niejedną karawanę, co już złożyła swój towar w Mersynie, spotkaliśmy. Wszystkie one prawie wracały na Adanę, na Marasz w głąb ku górnemu Kurdystanowi, ujuczone europejskim towarem, — którego ostatnie braki przeznaczono nieszczęsnej Azyi, z wdzięcznością, za sowitą cenę spożytkowywać. Opłacano zaś to pięknym surowym materyałem, który, jak bawełna w tej chwili, z pobliższych okolic, na komorze Tarsu (giumruk) składano dla dalszej następnie do Mersyny ekspedycyi.

Widocznie trzeba mi było jeszcze parę dni przeczekać. P. Edwin w głębi duszy nieposiadał się z radości — jeszcze parę dni mieć tu u siebie gościem Europejczyka to naprawdę rzecz nie mała.

22 września.

Zazdrościł mi pan Edwin serdecznie mej swobody ruchu — sama myśl powrotu do Europy napawała go nieopisaną rozkoszą smutku. Żal mu było, dola takim młodym go za świat wyrzuciła; lecz nie skarżył się. Na przeszłość patrzył okiem smętnem, lecz rezygnacyjnem. Francyę kochał szczerze, szczerze jej los go obchodził; każda nowa wiadomość, na nieszczęście coraz smutniejsza, niewymownie go drażniła. Nie chciał temu wierzyć, co wieści przynosiły, a martwił się; pragnął dokładniejszych wiadomości, a bał się jechać po nie do Mersyny, by się nie dowiedzieć czegoś boleśnie prawdziwego; gotów byłby wrócić do Paryża — lecz silne więzy go krępowały. Powołany nie był urzędownie, przyjęte zaś zobowiązanie względem rządu tureckiego uważał za nienaruszalne, aż do odpowiedniego terminu. Życie odludne wśród barbaryi męczyło go, z otoczeniem swem wcale nie sympatyzował, znajomości nie szukał i czekał tylko chwili wyzwolenia. Cze-

kał zaś tem niecierpliwiej, iż termin był niedaleki—z końcem roku mógł miejsce swe najprawowiciej opuścić.

Próbował on był wejść do towarzystwa miejscowego—z francuska już azyatyckiego, wszakże nie umiał w niem znaleźć przyjemności. Opowiadał mi, iż w początkach pobytu swego na Wschodzie, w okolicach Brussy, koledzy inżynierowie wprowadzili go byli do bogatego domu ormiańskiego, gdzie jaśniały trzy piękne córki gospodarza. — Dziewczęta były istotnie bardzo ładne; ubierały się tylko przez pół po europejsku, z czem im było jeszcze ładniej; mówiły po francusku — ale cóż, kiedy z niemi nie było o czem mówić, lada subretka paryska żywsza, bogatsza myślą! Przybywającego ze Stambułu pytają mnie, o co? — proszę zgadnąć: — o to, jak też sułtan ostatniego piątku wyglądał i do jakiej dżamii jeździł kłaść „namaz" (na modlitwę), konno czy kaikiem; to znów — czy istotnie bardzo ładny młodzieniec Murad-effendy, domniemany następca tronu; lub też—dokąd teraz panie seraju wyjeżdżają na spacery, do jakich „tatły-su" — wód słodkich, rumelijskich czy anatolskich? i t. p. I to wszystko po francusku — a toż by mnie Turkinie jakie nie inaczej umysłowo bawiły! Wszystko dobrze — i na perskich dywanach rozciągają się one tak majestycznie, jak senne odaliski zapewne; chłoną cię oczyma czarnemi dużemi tak wszechwładnie, że tuż-tuż, a jużeś przepadł; a uśmiech do czego chcesz przyrównywaj, do płonienia się róży lub żywej gry pustoty dziecięcej. Wszystko dobre, powiadam, ależ koniec końców to Azya wcielona, iskry myśli tu niema — wystarczy to może na dziś, na jutro, a pojutrze? — co? Konfitury ich wyśmienite, ależ życia oczyma i cukrami nie osłodzisz, a bawić się — i tak wolę Paryż. Włochy wreszcie!

Trudno mi było co z takim ostrym Europejczykiem poczynać: miał on niezaprzeczenie pewną słuszność za sobą. Widocznie postanowił trzeźwić mnie z tych azyatyckich

sympatyi, bo ożywiony dalej rzecz w tym samym tonie prowadził.

— Spotkałeś przecie w swych wędrówkach niejednego z naszych, co się tu z miejscowemi kobietami pożenili — i cóż stąd? — czyż który z nich utrzymał się przy swej europejskiej godności? — jako żywo — zniedołężniał w azyatyckich pieszczotach. Azyatka upoziamia, zniża do siebie mężczyznę, a później tak zniżonego doprowadza do konieczności traktowania i siebie po azyatycku — i cóż pomoże francuska mowa? — A ileż dziatwy naszej woli po turecku lub arabsku mówić! Greczynka wprawdzie zmusi dziecko „kalisperować" po „romejsku".

I tak z uwagi do uwagi zabrnęliśmy daleko w świat aż ku mej kolebce i naszym ludom. Opowiedziałem mu charakterystyczne zdarzenie, jakie miałem w głębi pustyni syryjskiej, na kresach od Palmyry, gdym się spotkał z oddziałem kresowym bitnego Arsłana-baszy. Poznany przez czausza od jazdy, którego licha dola z Bosny zapędziła, żem „swój człowiek" — Słowianin, byłem przez stęsknionego Mehmed-Agicza najbardziej po bratersku podejmowany—nic to, żem giaur.

Od Bośniaka poszliśmy do Bośnii i dalej i dalej — i już nie wiem na czem bylibyśmy się zatrzymali, gdyby nie Hassan-aga, co nam na obiad wniósł uroczyście ogromną cynową tacę.

Był to nasz pospolity obiad, jaki nam przynoszono z poblizkiej tureckiej restauracyi. Na ogromnej lśniącej tacy stało od 6 — 7 niewielkich blaszanych misek, przykrytych podobnemi przykrywkami, a zawierających każda osobną potrawę. Zwyczaj nakazywał podawać je wszystkie razem, a każda z nich była w inny od naszego sposób przyrządzona. Mieliśmy więc rodzaj jajecznicy, „kajgana", powabnie na żółtem morzu masła się unoszącej; był „szysz-kebab" — też same szaszłyki, dobrze pamiętne każdemu szlachcicowi z Ukrainy, co na bałckim sławnym niegdyś jarmar-

ku między Krymcami się krzątał: potrawa z drobniutkich kawałków soczystej baraniny, na drewnianych rożenkach pieczonej i podawanej — najwyśmienitsza ze wszystkich potraw na Wschodzie; obok niej „haszłama"—rodzaj potrawki z tejże baraniny z sosem; dalej „bamia" — rodzaj strączastej jarzyny nieznanej u nas wcale; potem „patładżany" — oberżyny nadziane ryżem z mięsem; i nakoniec „jaurt", zsiadłe mleko owcze czy bawole, w szczególny sposób przyrządzane niby blamanż. Nadto, na sałatę jakby, dość spore kupki świeżego szczypioru. Wyborne granaty i winogrona Hassan osobno przynosił. Od czego tu poczynać — zawsze to była rzecz nielada dla syna Europy; ale głód najlepszą był wskazówką. P. Edwin się zżymał; jam wysławiał sztukę kulinarną improwizatora kuchmistrza — bo takim był nasz „achczy", co sam przyszedł po naczynia. Za to otrzymałem niepospolity komplement, że Madżary tęższy lud od Frenków — nie wymyślają tak samo jak prawowierni! — Wino to już nam giaury z Larnaki (na Cyprze) dostarczali.

23 września.

Nareszcie znalazła się wracająca za Taurus karawana. Hassan-aga raniutko przyprowadził mi przewodnika, co zgodził się mnie odprowadzić do Kajsarieh, tem chętniej, iż sam był Cezaryotą i wracał luźnie, mając dwa konie i osiołka. Układy były krótkie: „kiradży" Turczyn, wieśniak, wyglądał mi bardzo poczciwie, decyzya jazdy więc stanowcza. Karawana kajsaryjska już była o świcie wyszła, lecz mój Halil żadną miarą nie chciał ruszać natychmiast dla połączenia się z towarzystwem! Zaręczał mnie, że nam samym najlepiej będzie, bo i on stary wojak, i ze mnie widać człek nie od kądzieli, to sobie damy radę; a Melemendży (ród zbójecki w wąwozach), co tam oni do nas mieć mają! Przyznam się, niewiele mnie przekonywało owo odwoływanie się do męskiego uczucia; ale nie było co robić, gdy mi Turek sta-

nowczo zapowiedział, że konie ani kute, ani karmione, a to droga przed nami nielada, skały i góry. Do jutra więc!

Spieszyłem, a żal mi było Cylicyi. Są pewne jakieś nieokreślone uczucia sympatyi do miejsc pewnych, które się chyba nieświadomą pamięcią pierwszych doznanych tam wrażeń tłómaczyć dadzą. Właśnie pierwszy raz poznałem Cylicyę pod koniec zimy, w porze tu najmilszej, gdy wszystko się rozwija i sady dojrzałą pomarańczą już się rumienią; a poznałem naraz — przeniesiony jakby laską czarodziejską z mroźnej północy, bez stopniowań powietrza prawie. Niemniej też musiała tu zaważyć i pamięć pierwszej dłuższej na azyatyckim gruncie gościny.

Pod wieczór ruszyłem jeszcze raz na miasto, jakby z ostatniem pożegnaniem. Zwróciłem się umyślnie ku kościołowi Ormian, aby raz jeszcze popatrzyć na ożywioną gromadkę uczącej się dziatwy. Wogóle ludowe szkółki w Tarsie zostają dotąd na bardzo nizkim stopniu; o szkołach wyższych, odpowiadających naszym gimnazyom, oczywiście i mowy być nie może. Wychowanie jest konfesyonalne: każdy większy meczet, każdy kościół ma swoją szkółkę. Wszystkie one przecie, bez różnicy wyznań, trzymają się przedwiecznej barbarzyńskiej rutyny i mechanicznej metody uczenia, tak, że dziatwa nic z nich właściwie nie wynosi. Nauczy się tam chłopak czytać kilku religijnych ksiąg swego wyznania, i na tem już koniec. Uczyć dziewczęta w szkółce byłoby rzeczą niesłychaną. Nawet greckie szkółki ulegają tu powszechnej normie. Możniejsi kupcy chrześcijańscy wysyłają synów w celu wyższego wykształcenia do Smyrny lub Bejrutu, muzułmanie zaś do Halebu, lecz istnieje już w Adanie od niedawna i szkoła cywilna muzułmańska rządowa, a sieroty, łapane na ulicach, we francuskich mundurzykach chodzić do niej muszą. Daje się więc dostrzegać i zwrot nowy. Nie miejsce tu wchodzić w szczegóły, to tylko z przykrością wskazać muszę, że najwyższym ideałem tego nowego zwrotu jest nauczenie się po francusku. Prą-

dowi temu ulegają wszędzie wszyscy, przedewszystkiem przeróżni katolicy, a najżywiej może Ormianie. Śliczne też chłopczęta armeńskie i tutaj są bardzo obciążone — bo muszą się uczyć, oprócz domowej turecczyzny, i języka armeńskiego, martwego dla nich, i francuszczyzny, niemniej tu obcej, dla braku Europejczyków.

Otóż powszechnym ideałem wychowania jest nabycie znajomości francuskiego języka. Prądu tego zdaje się i nowe wypadki nie zawrócą. Wprawdzie zapowiedziała mi pewna Niemka w Bejrucie — „ja, ja gewiss jetzt sollen wir alle deutsch sprechen", wszakże nie przechyliło to mnie do liczby wierzących. Lubiłem wszędzie przypatrywać się ormiańskiej dziatwie; ich piękne rumiane twarzyczki, jasne czoła, duże czarne pełne inteligencyi oczy, żywość ruchu — stanowią najoryginalniejszy kontrast z długą odzieżą, w jaką je zwykle stroją. Gdy kiedy nowe dziejowe zwroty przyłożą się do moralnego podniesienia Ormian, jest to żywioł, na którym najsilniej może się oprzeć cywilizacya europejska w Azyi.

24 września.

O świcie byliśmy już na nogach, konie stały, trzeba je było juczyć — i w drogę! Pożegnaliśmy się krótko, serdecznie, ze smutkiem może — lecz zawsze do widzenia tylko. Ałłah ekber! Uścisnęliśmy się z p. Edwinem po bratersku. A może jeszcze — kto losy odgadnie! do widzenia! Halil mój ruszył naprzód, by nabrać sobie jeszcze prowizyi na osiołka. Hassan-aga, jak przystało na człowieka dobrego wychowania i znającego świat, był nieodstępny: towarzyszył mi pieszo przy uzdzie konia przez całe miasto, przeprowadził mnie przez most i tam dopiero z powagą pożegnał, a jego kilkakrotne „selamet-ile"! szczere zdaje się było, niezależnie od bagszyszu.

Choć to było bardzo wcześnie, w mieście już wszystko widzieliśmy w ruchu. Na Wschodzie zupełnie inny od na-

szych miast porządek: żyje się tam po wiejsku, wstaje i kładzie się ze słońcem, a wszelkie potrzeby załatwiają się raniutko nim upał dokuczać pocznie. Kobiety krzątały się jednak bardzo niewiele.

Poranek był prawdziwie piękny, słońce wstało już gdzieś w Małej Armenii i powoli obejmowało fantastyczne złomy linii Tauru. Świeżość jesienna miła i rzeźwiąca — koń mój szedł raźnie, czując, że to zwrot ku domowi. Przedemną rozciągała się ku górom płaszczyzna, przedstawiająca o tej porze nadzwyczaj ożywiony widok. Był to ostatni zbiór bawełny: cała ludność wyszła w pole na plantacye — kobiety i dzieci. Zdaleka rozrzucone drobne gromadki robotników, w lekkich o jasnych barwach strojach, wyglądały jak kępy kwiecia polnego na naszych łąkach. Minąłem umyślnie szerszą drogę i jechałem ścieżkami a miedzami wśród pól. Zbliżanie się moje wcale nie żenowało wieśniaczek o twarzach świeżych a ogorzałych; grzecznie nawet moje dzień dobry (sabbah cheir olsun) przyjmowały — z lekka tylko przysłaniając się. Dziatwa biegała wesoło, znosząc zebrane szypułki bawełny do trzcinowych koszy; pracowali niemniej i mężczyźni.

Pogoda dodawała widać ochoty — a krajobraz cały niemniej tchnął życiem, choć już był pozbawiony wiosennej zieloności. Plantacye te wcale dobrze, jak na początek, były prowadzone i zapewne rozwiną się jeszcze bardziej. Turek, choć koczownik z natury, chętnie się oddaje ogrodownictwu, tem więcej, gdy przy nieuciążliwej pracy ma znaczny zysk zapewniony. Gdy tak miedzami pola przerzynałem, stroną, szerszą drogą, opodal nieco, ciągnęły w monotonnym majestacie niezliczone łańcuchy karawan wielbłądów, idących z za gór przez Tars ku Mersynie. Niosły one juki bawełny, wełny, galasu, jednem słowem, wszelki plon jesienny głębszej Anatolii na targowisko Europy.

Po półtoragodzinnej jeździe po płaszczyźnie, wśród plantacyi, po prawym brzegu Cydnu, stanąłem u podnóża

pierwszej linii wzgórz. Wznosiły się one, piętrzyły lekkimi tarasami — łagodnie, stopniowo, w wielolicznych fantastycznych złomach — i ginęły w oddali, dochodząc do szarawych szczytów, gdzieniegdzie promieniejącym w słońcu śniegiem okrytych. Pierwsze zastępy wzgórz były jeszcze uprawne, następnie okrywały je zarośla, niknące w wyższych pasach przed bujniejszemi drzewami, między któremi i szpilkowe poczęły się ukazywać. Kiradży mój prowadził mnie ubocznemi drożynami dla skrócenia drogi; lecz i tu wśród wzgórz spotykałem częste dosyć osady drobne, o lepionych z gliny, a czasem nawet porządnie murowanych domkach. Osady te prawie były puste, opustoszone przez mieszkańców na lato, z których część zeszła oto w niziny dla robót w polu, chroniąc się przez ten czas pod namiotami, część zaś druga chodziła jeszcze ze stadami w górach z wyżyny na wyżynę.

Do noclegu miałem 8 godzin z Tarsu, a po drodze nic nie było można dostać, ani mleka, ani winogron. Nie stawaliśmy więc nigdzie. W jednem tylko miejscu zsiadłem z konia, gdym dostrzegł w górach ruiny jakiejś strażnicy, a za nią linię wcale dobrze zachowanej kamiennej rzymskiej drogi, ciągnącej się najmniej pół wiorsty. Z wyżyny tej widok poza siebie miałem wspaniały. Cała dolina wydawała się jak jeden ogród bogaty, liczne w stronie Tarsu osady jak klomby jakie, a poza tem wszystkiem ginące w przestrzeni morze ze swemi zatokami i przylądkami. Droga owa rzymska przerzynała kawał gliniastego grząskiego gruntu — i ułożona była z dużych dość czworogranów dzikiego kamienia, którego powierzchnia tak już stała się ślizką, że niepodobna było prawie jechać. Dalszych śladów tej drogi już więcej nie spotykałem, choć jechałem wciąż już linią karawan, blizko linii telegraficznej, nowo wytyczonej przez inżynierów.

Powietrze w górach rozkoszne, dzień śliczny, nie chciało się przyspieszać kroku i dopiero pod wieczór stanęliśmy na nocleg w Sary-szech-chanie. Był to istotnie chan tylko

w górach — murowany zajazd z obszernym dziedzińcem nieogrodzonym i parą „czerdaków", niby szopek z drzewa na podwyższeniu. Zastaliśmy już niemało gości — wprawdzie karawany żadnej, ale kilka kółek jadących ku Mersynie Turków i Ormian, ugrupowanych pod większemi drzewami. Chandży dla tak dostojnego mehendysa, za jakiego mnie miał, ofiarował najlepsze miejsce w czerdaku; lecz wolałem i ja, za przykładem powszechnym, nocować pod gołem niebem i roztasowałem się równie pod rozłożystem drzewem.

W azyatyckiej podróży z niczem kłopotu się niema: gruby perski dywan, rzucony na piasek czy na trawę, służy za doraźny materac, chroni od wilgoci lub od skorpionów; jeden tłomoczek, okryty rzemienną poduszką z rozebranego siodła, stanowi wyborne wezgłowie, a okrycie stosownie do pory, „abaja" arabska, pled szkocki lub kożuch węgierski; drugi tłomoczek i biesagi z zapasem stawia się u boku od strony wiatru i — wszystko. Rozbierać się wcale nie potrzeba; a już sam zmysł komfortu nauczy tak się układać do snu, aby rewolwer u boku nie wadził, i żeby go też jaki amator z pochwy nie wyciągnął. Gdy człowiek ma to wszystko z sobą, o nic nikogo nie prosi; wreszcie i prośba tu na nic — ciekawa rzecz, gdzieby tu pościel znaleźć. Najrozsądniej wszakże mieć ile można mniej efektów w podróży — mniej może wygody, lecz i mniej kłopotu; a do znoszenia niewygód bardzo prędko człek przywyka. Zresztą komu chodzi o wygody, ten w głąb kraju Azyi się nie zapuści.

Po obrzędowem wieczornem umyciu się, widząc, że nasi sąsiedzi poczynają niecić ognisko, i myśmy sobie z Halilem nałamali stos chrustu i swoje ognisko zapalili. Konie, przywiązane tuż przy legowisku, parskały radośnie, osiołek aż ryczał. Mieliśmy kawę, winogrona, suche owoce etc., ale mój stary wojak, przezorniejszy, miał z sobą kawał baraniny i ryż — i bez pilawu pójść spać nie chciał. Gdy więc on zajęty był przy ognisku warzeniem pilawu, ja tymczasem na

swoim dywanie przyjmowałem gości — wizyty z sąsiednich ognisk. Oczywiście chodziło o to, co się w tym Frengistanie dzieje, a później — którędybym poprowadził drogę żelazną przez góry. Ciekawi goście moi widać bardzo byli zadowoleni z mych odpowiedzi, bo mnie serdecznie pożegnali, życząc wszelkiego powodzenia. Rad byłem z tego wielce, bo po posileniu się potrzebowałem wypoczynku. Lecz prożno! gdym już począł zasypiać, przebudziły mnie kilkakrotne strzały — zerwałem się—olśniony blaskiem ognisk, nic nie widzę, nic nie wiem, co się dokoła dzieje; ale dostrzegam wreszcie Halila — ten się spokojnie na „kilimie" przed ogniskiem wyciąga.— Co za „bajram" tam? — Śpij, śpij, czelebi — odpowiada — nic niema, tak sobie uciecha; a i lepiej — „chyrsyze" (zbójce) jeżeli są w pobliżu, będą wiedzieć, że nas tu niemało — śpij, śpij! Ale jak tu było spać: po strzałach rozpoczęły się śpiewy całem kołem, wrzawnie. Z początku przyznam się, że to mnie gniewało, lecz wnet zajęty byłem do najwyższego stopnia. Rozległy się pieśni, których jeszcze nie słyszałem ani razu, i to dzikie, gwałtowne, wojenne, janczarskie widać, to znowu pełne jakiejś tęsknej rzewnej monotonii, tem bardziej janczarskie może. Słyszałem nieraz wyraźnie niejeden motyw, niejeden przelew tonów, zupełnie stepowy, ukraiński — zdumiewałem się i słuchałem. Podróżni byli z Karamanii, Turcy. Mnie się jednak zdawało, jakbym się znajdował gdzieś u ognisk kozaczych, niżowych, ze sławnych czasów Zaporoża, i jestem przekonany, że złudzenie to ma jakiś głębszy związek wewnętrzny. Nie gniewałem się więc już, choć strzelano wciąż i śpiewano do północy — i dorzucałem suszu do ogniska naszego.

Co to za uderzająca różnica między obozowiskiem Arabów i Turków. Pamiętam, zdarzyło mi się nocleg ować wśród obozowiska arabskiego kilkunastu połączonych karawan, mających najmniej paręset wielbłądów, w drodze do Bagdadu. Szum, hałas, wrzawa, gadanina, rozpraw co niemiara, gło-

śnego śpiewu nigdzie; chyba gdzieś jakieś pojedyńcze ciche, melancholijne, piękne i łagodne mruczenie na ustroniu jakiejś muzułmańskiej modlitwy, przez pobożnego starca, lub jakiś intonowany reczytatyw tylko — śpiewu niema wcale, osobliwie kołem. Tymczasem Turek w obozie albo milczy albo najwrzaskliwiej śpiewa — czy to sam, czy to gromadą. Usposobienie to swoje zachowuje Turek i w wojsku, niema tak cichych i spokojnych wojskowych koszar, jak tureckie; gdzie tylko przemaga pierwiastek arabski, tam nieodzowna gadatliwość. Zwracając uwagę tylko na tę cechę, można już odróżnić, czy oddział wojskowy z Turków przeważniej, lub z Arabów złożony. Kurd zaś zupełnie podobny do Słowianina — ten i pieśń lubi, ale też gawędę niemniej.

Sary-szech-chan stoi na bardzo ważnem stanowisku — na nim się kończą przedwstępne wyżyny Tauru i staje się u jednego tu przejścia przez góry, u owego wąwozu, słynnego w starożytności pod nazwą wrót cylicyjskich. Wszystkie więc karawany, czy to idące ku wąwozowi, czy to wychodzące zeń, tu się zatrzymują—ku Tarsowi bowiem 8 godzin, a pośredniego punktu wypoczynku właściwie prawie niema. Dlatego też Sary-szech-chan (gospoda jasnowłosego szecha) odgrywa taką głośną rolę i w żywych legendach niedawnego tu zbójectwa. Dziś ludność rozbójnicza, na straż wewnętrzną przetytułowana, żyje jeszcze temi wspomnieniami.

25 września.

Słońce gdzieś jeszcze dobrze spało poza ostępami Giaurdahu, gdy w naszem obozowisku wszystko już było na nogach. Ognie poprzygasały, w cieniu przedświtu postacie ludzi i koni migały jak mary — gotowano się do odjazdu. Powietrze coś miało w sobie przenikliwie rzeźwiącego, jakby cały aromat gór w kropelki rosy spłynął. W takiej to chwili trzeba widzieć Azyatę — rozwija on żywość i skrzętność niesłychaną: piorunem mu wszystko idzie, człowiek nie zdąży się ogarnąć, gdy już wszystko gotowe — po-

siodłano, pojuczono i w drogę! Mój stary Turek nie dał się też uprzedzić nikomu; próżno mu tłómaczyłem, że piękniejby było o samym świcie ruszyć; odpowiedział mi, krótko, że taki już „adet" (zwyczaj) z tego chanu wcześnie się wybierać — widzisz czelebi, wszyscy wyjeżdżają — nie było rady — racya najbardziej stanowcza — któż przeciw adetowi się poważy! W półmroku jeszcze spuściliśmy się ku wąwozowi. Otóż stoję u wejścia słynnego Giulek-bohaz, Pylae Ciliciae starożytnych, jakby u podwoi mistycznych zaczarowanego świata! Zarysy, kontury wzgórz, skał, urwisk pełne najfantastyczniejszych linii i kształtów. Nie można się było oprzeć wrażeniu jakiejś tajemniczości. Byliśmy sami tylko — ja i mój Halil spuszczaliśmy się pieszo za końmi. Weszliśmy w wąwóz — siadłem na konia i ruszyłem raźniej. Wrażeniu grozy natury odpowiadała we mnie jakaś nieopisana śmiałość fizyczna i ani mi na myśl nie przyszło, że właściwie sam tylko jestem z mym rewolwerem, i w tym dzikim ostępie mógłbym zginąć tak, że i wieści nie byłoby komu zawieźć rodzinie. Dzień już się zrobił dobry, a my wciąż zostawaliśmy w półcieniu — słońce leniwo wznosiło się ku szczytom i musiało już wysoko stanąć, by nas w wąwozie promieniami powitać. Cudną mieliśmy panoramę przy blasku słonecznym: groza, dzikość znikły, fantastyczność form przybrała inny charakter — coś łagodnego, rzeczywistem pięknem i urozmaiceniem ujmującego. Wąwóz Giulek-bohaz ciągnie się 3 godziny jazdy. Ściśniony dwoma piętrzącemi się ścianami poszarpanych skał, co kilkaset kroków przedstawiał on nam zupełnie nowe widoki, odpowiednio do tego, jakeśmy przebywali rozmaite załomy drogi. Miewaliśmy naprzemian to grupy stromych skał nagich, wznoszących się jakby wież ruiny, jakby zamczyska niby; to faliste pochyłości okryte krzewami — bujną, gęstą, ciemną sawiną, to urwy, gromadką sosen przyozdobione lub całe ich bory — odmiennemi widokami przerywane. U dołu — wodospady, strumienie, u strumieni pla-

tan niby nasz jawor płaczący, tylko piękniejszy, złocistszy, rozłożysty bardziej; wśród platanów smugi zielonej trawy jakby wiosennie uśmiechającej się. Geologiczne bogactwo urozmaicenia boków uderzające. Lecz poranku tego w wąwozie życia mało — zaledwie parę karawan minęliśmy, nas nikt nie dopędzał. Nawet wznosząca się po lewej stronie na urwistym szczycie, ku środkowi wąwozu, ledwie dostrzeżona osada, zwana Giulek-kalesy — i ta już o tej porze bez życia, bez wrzawy.

Oryginalna to jest osada, ów Giulek-kale — takie i w Azyi nie często spotykać się dają. Jest to właściwie miasteczko, murowane w znacznej części, mające swój bazar, meczety, łaźnie i t. d., lecz zamieszkałe tylko latem: „jajła" letnie leże po turecku. Możniejsza ludność pobrzeża — Mersyny, Tarsu, Adany, naglona niebezpieczeństwem gorączek i zimnic błotnych, na czasy skwaru wynosi się w góry i osiada tu w znacznej części, podobnie jak w Iszme u siarczanego źródła gorącego, lub w Nemrunie pod ochroną starożytnego zamku (Lampron). Wtedy życie tu wre, lecz z nadejściem jesieni wszystko prawie wraca w niziny — do domu. Od czasu do czasu wskazywał mi mój przewodnik na szczytach urwisk legowiska dawne zbójeckie; — oczywiście i bez „kyz-kalesy" — dziewiczego zamku, obejść się nie mogło. Czy to podanie, czy fantazya turecka, musi wszędzie w podobnych miejscach mieć do wskazania jakąś jaskinię lub dzikie ustronie, gdzie pędziła dni samotne cudnej piękności kochanka tego lub owego słynnego „arambaszy" zbója—Kara-Osmana, czy Kara-Sulejmana, lecz „Kara" — czarnego koniecznie; często nawet córka królewska — „kyrałyn kyzy".

Więc i tu mieliśmy po drodze kyz-kalesy. Zresztą Giulek-kale posiadało i rzeczywistą tego rodzaju tradycyę: przed kilkudziesięciu laty zasiadał tu groźny aga turkomański Czapan-ogłu i był postrachem okolicy. Nieopodal stąd ku zachodowi leży Giulek-maden z piecami, gdzie wy-

tapiano za władzy egipskiej srebro z rudy ołowianej, dobywanej w Bułgar-dahu; lecz dziś w zaniedbaniu.

Po trzech godzinach jazdy przeszliśmy nakoniec „derbent" — wrota wąwozu, właściwe wrota cylicyjskie, Pylae starożytnych, przedstawiające istotnie jakby olbrzymią bramę górską, wzniesioną — ręką natury, stanowiącą dwie kolosalne masy pionowych skał, zbliżonych do siebie. Po przebyciu wrót mieliśmy przed sobą przestwór; obszerniejszy wąwóz stopniowo zamieniał się na głęboką wśród gór dolinę — o łagodniejszych konturach, lecz niemniej piękną, wspaniałą i pod względem geologicznym bogatą. Stoki więcej okryte były zielonością, sawiną, sosną, a oko nieraz przez szerokie w nich wyrwy mogło się zapuszczać głębiej jakby we wnętrze samo potężniejszych wyżyn. Panoramy zmieniały się i urozmaicały coraz bardziej: — dziełu natury pomagała tu i ręka ludzka, wznosząc po wszystkie wieki na każdym ważniejszym punkcie potężne fortyfikacye.

Przejście wrót cylicyjskich zawsze uważane było za czyn nadzwyczaj trudny; starożytność przeto cytuje jako dzieła bohaterskie przejście Cyrusa Młodszego, Aleksandra i Septymiusza Sewera, chrześcijanie wspominają przejście tędy krzyżowców. Każdy wojownik rozumiał ważność strategiczną tej drogi. W ostatnich tu wojnach między pamiętnym baszą Egiptu Mehmed-Alim a sułtanem Mahmudem Ibrahim basza zdobył te pozycye 1832 r. i dla utrzymania onych nasrożył je fortecznemi budowami. Znany ze zdolności wojennej inżynier Szulc umiał skorzystać z każdej wyżyny, z każdego górskiego wyłomu, by je umocnić stosownie do wymagań europejskiej sztuki. Zastałem jeszcze te fortyfikacye prawie wszystkie (z 8 bastyonów) w dobrym stanie napozór, lecz utrzymywane przez władze tureckie niedość starannie. W czasie wojny Krymskiej działa tych fortów (do 100) odwieziono do Stambułu i nowemi je zastąpiono.

Przy głównym zameczku, czerwieniejącym z europej-

ska na wyżynie po prawej stronie drogi, zsiadłem z konia, pod przymusem jakiegoś niepojętego uczucia. Potrzebowałem w owym strasznym zakącie Azyi choć rzucić okiem na to, co mi przypominało, w śladach tu ludzkiej pracy, Europę — i wiele, wiele z nią razem. Smutno mi jakoś było; a jeszcze smutniej, gdy, wdarłszy się do obwodu murów, przekonałem się, że w nich żywej duszy nie było. Spokojny Halil upewniał mnie z dołu — że niema bo czego tu pilnować, padyszach potężny, a giaury tu nie przyjdą!

Całą tę drogę powietrze mieliśmy najrozkoszniejsze, świeżość nieopisana, w tych tu górach nie czuć było jesieni. Karawany wielbłądów poczęliśmy spotykać coraz częstsze, droga się ożywiała; czuło się jakoś weselej na widok twarzy ludzkich, po takiem wytężeniu wrażeń w obliczu przygniatającego niejako swą wielkością majestatu natury. Spotkałem i górali — przypominałem sobie uwagi pana Edwina — istotnie każdy mężczyzna z Bułgar-dahu wyżej lat 25 najniezawodniej niedawny „chyrsyz" — zbój z urzędu. Lecz typ niepospolicie zajmujący, piękny nawet, choć czysto turecki — postawa lekka, wiotka, oblicze sokolo-śmiałe.

Po 4 godzinach jazdy po przebyciu derbentu stanęliśmy narówni z Bozanta-chanem, miejscem wypoczynku karawan, idących ku wąwozowi cylicyjskiemu z dalszej Karamanii, tak od strony cezaryjskiej jak i konijskiej. Mój stary przemawiał za zwyczajem, aby choć na chwilę stanąć; alem go porzucił — i, pewniejszy już drogi, poparłem konia. Po godzince bowiem jazdy miałem na widoku daleko milszy wypoczynek — pod gościnnym namiotem dawniej mi znajomego człowieka, nadto Europejczyka. Nakazując więc Halilowi nadjechać później, zwróciłem się w lewo, w stronę Akkiupry. Było już południe, słońce zaczęło przypiekać, koń mój zmęczony szedł mi jednak raźnie. Drogi nie znałem właściwie, jechałem sam jeden, ale nie potrzebowałem bać się wcale: sławny Mehmed-Katyrdży, zbój Arnauta, żył już tylko w podaniu.

Spotykałem od czasu do czasu przejezdnych.

Ubrany byłem z oryentalna po europejsku, mówiłem po turecku tyle, żem się z każdym mógł rozprawić, pytałem więc bez ogródki: a daleko tam nasi drogę kamienną biją? — brano mnie równie za mehendysa, odpowiadano bardzo grzecznie — i ruszałem dalej. Koło godziny pierwszej zbliżyłem się nad bystry górski strumień, co przerzyna szeroki wąwóz, stanowiący zmienne jego łożysko, i z daleka dostrzegłem w nizinie parę białych namiotów i szarzejącą linię noworozpoczętej bitej drogi. Poparłem konia i wnet stanąłem u kresu.

U drogi zastaję kilkudziesięciu robotników.

— Gdzie Jusuf-effendy, który jego namiot? — „Baszmehendys gieldy" — rozniosło się między tłumem — wzięto mnie widać z postawy za inżyniera en chef i wnet rączy chłopak pobiegł szukać przewodniczącego robotom. Za chwilę nadszedł Jusuf-eff.

— Skąd u Boga Ojca! sam! a przewodnik? brawo! tak, tak, — a co, nie mówiłem — byle śmiałość, sam jeden całą Azyę przejedziesz — i uściskaliśmy się serdecznie. Konia mi wzięto, weszliśmy pod namiot.—!A co Azya? trzeba być jeźdźcem trochę, żołnierzem trochę i fantastą na dobre, a Azya niepodobać się nie może.

— Więc aż w pustynię dotarłeś i teraz oto wracasz; cóż Arabi, co nasi „Madiarzy" — spotykałeś naszych? Nie było czasu na odpowiedzi, tak się zapytania narazie posypały.

Lecz przyszła i na mnie kolej. Począłem od szczerego wyrażenia wdzięczności za rady niegdyś mi dane, wyznałem, że bez nich nie umiałbym się był z miejsca posunąć, a dowodem, żem potrafił korzystać, jest oto mój powrót. Ubawiłem go też mocno, opowiadając historyę mą z Kurdem, jakiego mi dał był za przewodnika z Tarsu do Adany. Obaj nie umieliśmy po turecku, i Kurd i ja — ja nie przypuszczałem, żeby muzułmanin nie znał panującej mowy, on zaś moją lichą tu-

recczyznę, wymawianą tylko z dobrym akcentem, brał za wyższy styl stambulski, który trudno mu było rozumieć. Takie nieporozumienie sprowadzało nieraz najzabawniejsze qui pro quo, któreśmy każdy ze swej strony własnej winie przypisywali, — nim się nie przyłączył do nas w drodze pewien kupiec Ormianin, znający trochę portowej lingua franca, co rzecz tę rozjaśnił i sowicie się z nas obu uśmiał.

Jusuf-eff. był to człowiek wyżej lat czterdziestu, dość słuszny i silnie zbudowany, o regularnych rysach twarzy, ciemnych siwiejących włosach, o jasnem oku. Cała postać jego, wyraz twarzy energiczny a łagodny przedstawiały bardziej typ słowiański, niż madziarski. Nie zacierał tego wrażenia nawet strój turecki, przez pół wojskowy, jaki zwykle nosił. Lecz w naturze jego było istotnie coś takiego, co prędzej mogło się zarodzić w „puscie" węgierskiej, niż gdzieindziej, a co mu tak ułatwiło zespolenie się ze Wschodem. Natura śmiała, rzutna i nie znosząca ograniczeń.

Po upadku powstania węgierskiego 1849 r. znajdował się on w liczbie tych, co przeszli byli od Aradu do Turcyi. Tu odrazu się znalazł jak między swoimi; Zachód wcale go nie nęcił, więc został z tymi, co nie opuszczali już Turcyi. Żołnierz z usposobień, gotów był wstąpić z innymi do wojska, lecz, dla przedstawiających się mu widoków obszerniejszych przy robotach inżynieryjnych w Egipcie, puścił się do Kairu, gdzie lat parę przebył. Klimat wypędził go stamtąd; dla poratowania oczu udał się do Wiednia, odwiedził Węgry — lecz już zatęsknił za Wschodem. Po powrocie wstąpił do jazdy otomańskiej, gdzie doszedł do stopnia kapitana (juz-baszy).

Mimo oddalenia i skrępowania się obowiązkiem w obcej służbie, obchodziło go żywo wszystko, co się toczyło w jego własnym kraju: zawsze był gotów do powrotu — i w ostatniej wojnie ledwie Austryakom z rąk umknął. Gdy się następnie rzeczy odmieniły, nie opuszczał przecie Turcyi i wstąpił do wydziału robót publicznych. Wiosną zasta-

łem go był w Tarsie jako inżyniera en second wilajetu Adany, gdzie właśnie robił plan miasta, dla uregulowania nadal kierunku ulic. Teraz zaś oto rozpoczął był robotę szosy u Ak-kiupry, w punkcie Tauru (Bułgar-dahu), gdzie mają się zejść drogi ikonijska i cezarejska, a następnie przez wrota cylicyjskie i Tars dojść do portu w Mersynie.

Przykro mi, że nie potrafiłbym tu podać dokładnie jego nazwiska,*) bo powtarzał mi je nawet, ale przytrudne do spamiętania. Wreszcie cały Wschód go zna tak dobrze pod nazwą Jusuf-effendy, że i dla nas nazwa ta jest wystarczająca.

Jusuf-effendy zna swój Wschód lepiej, niż ktokolwiek z jego towarzyszy. Mówi po arabsku jak „chodża", po turecku jak rodowity Osmanły, co więcej, pisze najswobodniej arabeskami — i czyta je nawet. Wybornie nadto włada francuskim i angielskim językiem—jednej niemczyzny tylko, widać z dawnych uprzedzeń jeszcze, nie cierpi. Wogóle nadzwyczajną ma zdolność przyswajania sobie obcych języków. Próbowaliśmy mówić po słowiańsku i nikt tak dowcipnie nie przedrzeźnia poczciwego owczarza Bułgara, jak on. — Zna Bałkan i nie chce za nic wierzyć, aby „czyczo" swej „momicy" począł już krynoliny sprawiać.

W muzułmańskim Wschodzie rozkochany — sam surowy chrześcijanin, broni stanowczo oryentalnego trybu życia wszędzie, gdzie on jego europejskich ideałów wprost nie obraża. Wynosi Turka nade wszystkich Azyatów — ceni jego prostotę, prawość wieśniaczą, gościnność, zmysł równości, dzielność wojenną, duch poświęcenia i narodową dumę. Lecz broni lud przedewszystkiem — nie zaś wynaturzoną klasę wyższą. Dla Greków i Ormian ma tylko słowa pogardy — zupełnie w tem do Turków podobny.

Przyjął on ich prostotę wojenną i obyczaj codzienny— obchodzi się tak dobrze bez kapelusza, jak i bez widelca.

---

*) Józef Chrzanowski.

Znawca i amator koni i broni, szali i dywanów, żyje sobie zupełnie koczowniczo: w każdej chwili gotów się przenieść bez najmniejszego kłopotu o sto mil dalej. Nadzwyczajnej fizycznej siły, pędził dawniej rozpasanie hulaszcze życie — i dziś, mimo powierzchownej powagi, gotów jeszcze w dobranej drużynie rozochocić się na dobre.

Z towarzyszem swym p. Edwinem stanowi biegunowe przeciwieństwo we wszystkiem prawie.

Szczęście dla nich, że w ciągu wojny byli oddaleni od siebie — inaczej byliby się poróżnić musieli: — Jusuf-effendy wprawdzie Niemców nienawidzi, ale i Francuzów niewiele waży. „Niech się tłuką, kiedy chcą—nam co po tem"?! W stosunkach z krajowcami zachodziła oczywiście największa różnica między nimi. P. Edwin zawsze dał uczuć Turkowi, czy baszy czy pospolitemu, że on Europejczyk; gdy tymczasem Jusuf-eff. lubił towarzystwo Turków, przyjaźnił się z nimi i szukał nawet pewnej wśród nich popularności. Takie wszakże przeciwne ich usposobienia były bardzo użyteczne dla kraju, któremu swe usługi ofiarowali.

Przy ich jednostajnem bowiem traktowaniu na seryo swego obowiązku — co, nawiasem powiedziawszy, jest rzeczą bardzo nieczęstą wśród Europejczyków na Wschodzie, wynikało, że czego p. Edwin nie zdoła przeprowadzić z góry jako szef, Jusuf przez swe prywatne stosunki wytarguje na Turkach — i robota idzie.

W taki więc sposób zawsze zostawią po sobie pamiątkę sumiennych i energicznych ludzi; piękna zaniedbana Cylicya naprawdę będzie im za inicyatywę prac nowych obowiązana.

Po zaimprowizowanem na razie śniadaniu, złożonem z kawy, jaj i wybornego muskatowego winogronu, opuściliśmy namiot. Chciałem się przyjrzeć robotom i miejscowości. Wyszliśmy na szosę — już wiorsta najmniej była usypana żwirem i okopana rowami — robota prowadzona porządnie. Bliżej mostu stara droga tak się zwężała między stro-

mą ścianą skał i urwami łożyska rzeki, iż tworzyła li ścieżkę — wielce niebezpieczną. Dla rozszerzenia więc nowej drogi trzeba było rwać skały prochem, co chociaż bardzo dużo zajęło czasu, lecz niezmiernie podobało się robotnikom i dało wysokie wyobrażenie o sztuce „mehendysów". Sam most, białym zwany — „ak kiupry", jest dawniejszy, egipskiej może budowy — kamienny, o jednej arkadzie wysokiej. Stanowi on nadzwyczaj ważne przejście w Taurze i stąd nadaje nazwę wodzie i całej okolicy. Gdy woda nizka, można nie w jednem miejscu przejść strumień w bród, lecz gdy wzbierze, niema możności dostania się na drogę ku Konieh lub Kajsarieh, rozchodzącą się w tym punkcie.

Nie dochodząc do mostu, u samego prawie brzegu rzeki mieliśmy źródło czystej chłodnej wody, niezmiernie sławionej przez podróżnych a „szeker-bunar" — cukrową krynicą zwanej. Tuśmy usiedli pod pysznym platanem dla wypoczynku. Znajdując się tak jakby na samem dnie kotliny, otoczonem dokoła najwspanialszymi pagórkami Tauru, co w oddali w majestatyczne wyżyny i szczyty się piętrzyły, nie mogłem powstrzymać się od głośnego wyrażenia zachwytu nad tym widokiem. Powiedziałem memu towarzyszowi, że niejeden artysta zazdrościłby mu takich letnich wakacyi w Taurze. W odpowiedź uśmiał się ze mnie serdecznie, dziwiąc się, że mi przecie jeszcze gór nie dosyć — przeszedłszy ich tyle. Pozostała w nim jeszcze przecie poezya gór — w inny tylko sposób odczuwana. Był on zapalonym myśliwym — a tego dosyć. Widok gór obudzał w nim innego rodzaju wrażenia. Unosił się też jako prawdziwy myśliwy. Zobowiązywał mnie na wszystko, bym został u niego na dni parę — obiecywał mi polowanie królewskie. Nikt tędy nie przeszedł, coby się nie dał unieść polowaniem — wy tam to sami lepiej wiecie. Nie tylko srogi Niemiec Barbarusa, idąc do Ziemi Świętej, upędzał się tu za niedźwiedziami, ale i ów Marcus Tullius Cicero, którym nam tyle w szkołach dokuczono, i ten za wielkorządztwa swego

w Cylicyi ścigał przecie żbików po górach! Przyznam się, że nęciła mnie niezmiernie perspektywa polowania, lecz stawała mi na myśli spóźniona jesień gdzieś w Olimpie — i nie dałem się skusić. Dla mnie — powiadał — spowszedniał już majestat azyatyckiej natury; góry zaś na dobre mu dokuczyły.

Zwróciliśmy się następnie do rzeczy ogólnych. Jusuf-eff. mówił mi o wadach administracyi, nieuctwie naczelników i braku funduszów po prowincyach dla prowadzenia robót publicznego użytku. Wskazywał mi dalej, iż nie miałby wcale robotnika, gdyby sam nie wymógł na mutesaryfie okręgu, że mu spędził kilkuset okolicznych górali, niby w rodzaju szarwarku. Pieniędzy zupełnie zabrakło, robotnik się rozszedł, a tych oto — wskazując na wożących konno żwir — utrzymuję osobistymi wpływami, swą popularnością — obietnicą, zachętą.

Ku wieczorowi wróciliśmy pod namiot, gdzie nam zastawiono suty obiad — oczywiście wszystko tam było po azyatycku. No—„czem chata bohata" — przemówił do mnie gospodarz po słowiańsku, z widoczną chęcią zrobienia mi tem przyjemności. Lecz po jego obliczu błyskawicą przebiegł cień żalu i jakby ironii z życia. Widocznie w jego duszy obudziły się jakieś głęboko ukrywane wspomnienia lat minionych — obudziły się naraz nieprzeczuwanie. Puściliśmy więc wzajem wodze wspomnieniom.

W azyatyzmie Jusufa-eff. było coś głębszego, poważniejszego, niż jakby się zdawało napozór. Nic w tem nie było owej ze średniowieczna awanturniczej, błędnej szewaleryi — jakiej znakomity typ przedstawia naprzykład znany na Wschodzie renegat węgierski Omer-bej. Ten jako naczelnik oddziału kresowego zasiadł sobie na ruinach słynnej Palmyry i pędzi żywot najbardziej średniowieczny. Natura jego jest taka, tu dopiero on znalazł dla niej odpowiedni żywioł i nigdy już do Węgier nie wróci, o kraju nie zamarzy. Z najdystyngowańszą rycerskością uprzejmy dla Europejczyków, wspaniały ich opiekun w podróży przez sy-

ryjską pustynię, Omer-bej prowadzi z „aszeretami" Beduinów wojnę nieustanną — dla samej wojny nadewszystko, dla wojennej rozkoszy, a Azya dlań — to pole rozrywki życiowej. Nasz Jusuf-eff. zupełnie inny. Na dnie jego przywiązania leży uczucie wdzięczności za doznaną gościnność w ciężkich życia chwilach: ja z nimi tyle lat chlebem się łamałem — powiadał. Obowiązki swe przyjmował na seryo i posługą szczerą chciał się wywiązać z zaciągniętego moralnie długu i w awanturnictwo żadne by się nie wdał.

I słońce zaszło i północ przeszła i długośmy, długo rozprawiali, lecz już o Europie tylko; a mój stary Halil, co się był u wejścia do namiotu ułożył, przebudzając się, musiał się niepomału dziwić, że też te Madżary — bo i mnie miał za Madżara — nie mogą się nagadać, a tu o świcie już nam i Ak-kiupry przejść trzeba. Słyszeliśmy przynajmniej, jak sobie przez sen coś o Madżarach pomrukiwał.

Jeszcze oto raz dobranoc — a może tam i jeszcze!

26 września. *)

Rozstanie się nasze u namiotu, w majestatycznym ostępie cylicyjskiego Tauru, z dzielnym synem północy, dziś Jusufem-effendym, było krótkie, żołnierskie.

Spotkaliśmy się — chwalić Boga; spotkamy się może jeszcze — daj to Boże — i na koń.

Pozdrowienie starym towarzyszom, tam po drodze!

Halil, mój przewodnik doświadczony, zwrócił od namiotu na lewo — i ruszyliśmy.

— A to którędy? — pyta go Jusuf.

— Na most, a tam ja znam drogę — kręto na prawo i ku Kyzył-dahowi.

Dostrzegłem, jak po obliczu mego znajomego przebiegł

---

*) Tygodnik Illustrowany 1872 r., Nr. 252, 254, 256, 257, 258, 260 i 261.

uśmiech żartobliwego zadowolenia; nie zrozumiałem przecie jego znaczenia i wróciłem za mym przewodnikiem, przebytą wczoraj pieszo drogą, na most. Przebywszy most ten, minęliśmy drogę ikonijską, w lewo pozostałą, i pod urwistymi pagórkami zawróciliśmy znów ku strumieniowi.

Po paruset krokach stanęliśmy przed stromą skałą, zwieszoną ku wodzie; osiołek, niosący lekko skromne nasze zapasy podróżne, wspiął się na skałę i poza nią zniknął; Turek mój zaś zsiadł z konia i pieszo począł się wdzierać, zapowiadając mi swojem „ołmaz", że nie sposób przejść inaczej. Zdawało mi się, żem zrozumiał uśmiech żołnierski Jusufa — przeczuwałem coś trudnego do przebycia. Było to na jego widowni; namioty bielały w oddali; nie zsiadłem przecie, mimo próśb przewodnika. Cofnąłem się tedy nazad i rzuciłem się do rzeki—oniemal tam się żywcem nie skąpałem, alem wybrnął.

Nie to było przecież przedmiotem uśmiechu starego bywalca: był to wstęp tylko. Czekały mnie inne tą drogą przeprawy, czekały mnie owe góry, których, jak powiadał, „syt nie byłem", a które, idąc zwykłą drogą na Bozanta, byłbym w znacznej części wyminął. Była to bowiem, jak się pokazało, objazdka, ale objazdka „turecka". Nie daj Boże na taką się Europejczykowi skusić: podolskie wszelkie objazdki „aby bliżej" — nic z tem w porównaniu.

Wyobraźmy sobie dawną zbójecką ścieżkę w Taurze, ze wszystkiemi choćby najromantyczniejszemi właściwościami — a będzie to moja oto droga. Z początku, wzniósłszy się na wyżyny ponad doliną Ak-kiupry, upojony świeżością górskiego poranku, otoczony majestatem ostatnich wyżyn Bułgar-dahu, który teraz żegnałem, nie zważałem na trudne wciąż przejścia i siedziałem mocno w siodle. Lecz gdy dolina znikła nam z oczu i zapuściliśmy się w ciemne ostępy, prowadzące do Kyzył-dahu, poczułem się naprawdę sam jeden z moim rewolwerem. Weszliśmy w tak dziko podarte grzbiety, że nie sposób było utrzymać się na koniu.

Żal mi się stało wreszcie mego siwogrzywego przyjaciela, co mimo wszystko niósł mnie, poparskując tylko. Zsiadłem.

Okolica pełna surowej zdobności, urwy okryte pięknemi grupami sosen. Otwarte urw tych boki zdają się wabić geologa; ale iść pieszo, z wyżyny na wyżynę, często po obrywach skał, rozbitych w żwir drobny, co się usuwa pod stopami, iść i prowadzić konia — to wcale nie zabawnie. Jusuf-effendy miał słuszność, że się na tę myśl uśmiechnął — tu dopiero go zrozumiałem.—Przecież wybrnęliśmy!

— Aman! Aman! jakie licho cię skusiło prowadzić mnie tą szatańską ścieżką, mój ty stary?—zagadnąłem Halila.

— Ot, bliżej — była odpowiedź. Nie takie to „szejtan-jołu", jak powiadasz „czelebi"; szejtana w takiem miejscu wspominać się nie godzi, a po tej tu drodze nie tacy jak my chodzili. Chadzał tędy niedawno Mahmed-Katyrdży-baszy (głośny zbój w Taurze niedawnymi czasy, Arnauta z pochodzenia), a przed nim i lepsi: nie tylko „raja" (ludność chrześcijańska) przed nimi drżała, ale i baszowie cześć mieli. Haj! haj! minęły te czasy, minęły! nowy ład, nowe porządki!

— Jakto, więc dawniej lepiej być miało?

— Jak komu — nam ubogim ludziom jużci lepiej było. Taki aram-baszy (herszt) zawsze nas biednych oszczędzał, a było komu i pogrozić przemocy — a dziś... Ale co to, już nie wróci — ot żal, żal janczarów.

— Tobie żal, Halilu? — bismillah rachman rahim — a przecież, jak powiedziałeś, za starego Mahmud-sułtana byłeś w nizamie (w regularnem wojsku) i rznęliście w pień janczarów i wieszaliście janczarskich agów na tych wspaniałych platanach, przed starym serajem — nieprawda?

— Haj! haj! — niech go tam Bóg sądzi nieboszczyka sułtan-Mahmuda. On padyszach, on kazał — słuchaliśmy; ale, jakem „moslem" prawowierny, płakałem ja i wszyscy,

gdy rozkaz dano. Cóż-bo to za żołnierz był z tych janczarów! Co mi nizam! Jaki to lud był piękny! co za stroje od srebra, jedwabiów — a wszystko po turecku! a broń że jaka wysadzana! A dziś co? — nizam, ot jak „Frenk" nie przymierzając wygląda.

— Tyś nie Frenk przecie, czelebi.

— Jeszcze dziś jak dziś, trochę to niby znów po ludzku, z turecka; ale za sułtana Abduł-Medżyda to i gorzej od Frenka „asker" (wojskowy) wyglądał.

— Ależ przecie zawsze dziś lepiej — powiadam — więcej porządku, więcej bezpieczeństwa.

— Co tam porządek! „Rai" (chrześcijańskim poddanym) lepiej istotnie, ale nam prawowiernym co? Jakbyśmy w pogańskim „zułumie" (niewoli) byli. Syna do wojska oddaj, a sam płać i płać, czego jak świat światem nie bywało, — i coraz to nowe wymysły; a raja siedzi sobie spokojnie, baszów łagodzi i z nas się śmieje. Niema na nich janczarów. Od krymskiej wojny (kerym-kawha), raja tak zhardziała, że teraz rady niema: wszystko w ich ręce przechodzi. Powiadają nasi, że tam w Rumelii to raja sobie już głośno w dzwony bije. Karze nas Bóg za nasze grzechy, bo to i obyczaj (adet) się psuje i wiara (din) już nie taka. Ale Bóg miłosierny ukarze i przebaczy... Wy Madżiary to inny obyczaj od Frenków macie; my wiemy — wyście sułtańscy goście; ale te Frenki! poco ich „kralica" do padyszacha przyjeżdżała?

— Biednaż cesarzowa Eugenia — pomyślałem i przerwałem rozmowę.

Zbliżaliśmy się ku większej drodze.

Co za bogate urozmaicenie krajobrazu, co chwila zmieniającego swą postać! Zielone sosną wzgórza, nagie szczyty, a na pochyłościach coraz więcej śladów uprawy. Wydarte górskiej roślinności płaty żyzniejszego gruntu widocznie zasiane były zbożem—pszenicą i jęczmieniem najwięcej—i ogrodzone w sposób najpierwotniejszy, zrąbanemi na miejscu drzewami i gałęźmi. Lecz niedosyć na tem — dawały się wi-

dzieć niejednokrotnie i całe stoki pagórków kamieniami usiane, a użyte pod uprawę. Niepojęte to dla nieświadomego tajemnic Azyi Europejczyka. Tam w nizinach nieogarnione żyzne przestrzenie pustkami leżą, a tu w górach człowiek wydziera skale jej posiadłość, jakby w Azyi ziemi pod pług brakło.

Po drodze w oddali poczęliśmy spotykać niewielkie stada.

Cała ta górska kraina, gdzie się stykają grzbiety Tauru — Bułgar-, Kyzył- i Ałłah-dah — zamieszkana przez tureckich Melemendży. Niedawni to przybysze z dalszych stron Karamanii, z okolic seldżuckiego Konieh, sprowadzeni tu przez Ibrahima, syna głośnego baszy Egiptu Mehmed-Alego. Po ustąpieniu stąd władzy egipskiej, osadnicy ci, korzystając ze swego położenia u górskich dróg wielkich, bezpieczni wśród powszechnego rozprzężenia, najswobodniej bawili się zbójectwem; lecz ostatnimi czasy pogromieni i zmuszeni do posłuszeństwa, radzi nieradzi, muszą się już oddawać pracy wyłączniej. Ostatni ich aga, groźny zbój niedawno, wypoczywa sobie spokojnie po trudach w Adanie, w charakterze naczelnika straży bezpieczeństwa (zaptyeh). Melemendży przedstawiają czysty typ turecki: lud to dotąd pełen dzikiej energii i jeszcze teraz niepokoi umysły mieszkańców miast, choć nieliczny — parę tysięcy głów zaledwie.

Zwierza po drodze w tych dzikich ostępach nie spotkaliśmy, ale też również i ani jednej żywej ludzkiej duszy. Zato nie odstępowaliśmy siebie wzajem z moim weteranem. Jak na Turka, był to człowiek nadzwyczaj ciekawy— żołnierka widać w nim to wyrobiła. Ciągle mnie rozpytywał o nasze obyczaje i niczemu się wcale nie dziwił. Gdybym mu był powiedział, że od nas na księżyc jeżdżą, ręczę, że toby go nie uderzyło: ot giaury, pomyślałby sobie, jakich oni sztuk (maryfet) nie znają! Przecie już ogniem po wodzie i po ziemi jeżdżą!...

Miałem jednak przedmiot, co go do najwyższego stopnia zdumienia i ekstazy doprowadził; był to rewolwer.

Dotąd nie widział tej broni. W celu otoczenia się nadal nimbem majestatycznej nietykalności, o co mi, jak łatwo zrozumieć, bardzo a bardzo chodziło, jemu, jako staremu wojakowi niby, pokazałem rozmyślnie dotąd w pochwie ukrywany rewolwer. Nie widziałem dziecka, coby się tak cieszyło ujętą pierwszy raz ptaszyną, jak ten starzec cieszył się widokiem broni mu nieznanej. Oczy mu się iskrzyły wyrazem to zadowolenia, to żądzy.

— Sześć strzałów! raz po razie! i znów w mgnieniu oka tak łatwo nabić! „Aman, aman! ne sylah bu!" (co za broń!) — wykrzykiwał. Gdyby to mnie mieć coś podobnego! Co to we Frengistanie kosztuje?

— Pięć złotych medżydieh (5 funt. sterl.) — odpowiedziałem.

— Pięć medżydieh w złocie? Ubogi jestem, nie mam.

— Ale mój dobry Halilu, cobyś ty robił, gdybyś taki pistolet (tapandża) posiadał?

— Cobym robił! strzelałbym.

— Jak ci to pokazywałem; ale czem?

I dałem mu obejrzeć skład kuli stożkowej, z palną masą z tyłu. Zapytanie czem? jak gromem go raziło.

— Więc to ty sam robisz sobie takie kule, czelebi?

— Oczywiście — była odpowiedź.

— A nie-„mehendys" (inżynier, za jakiego mnie miał) nie potrafi tego zrobić?

— Nie zrobi.

Długo sobie coś mruczał stary przyjaciel janczarów. „Czok akyłły bu Madżiar dyr"! — były jego ostatnie wyrazy, jako hołd dla mego mniemanego dowcipu.

Po trzech dobrych godzinach jazdy, od Ak-kiupry zeszliśmy nakoniec ku szerokiej dolinie, przerzniętej strumieniem Kerkun, inaczej Kamyszły zwanym, a płynącym ku Sejhunowi (Sarus) i Adanie. Dolina ta (właściwie Ker-

kun-deresy) stanowiła szerokie łożysko potężnej może przed czasy rzeki, dziś na potok zmalałej. Ściskały ją dwa grzbiety: z lewej schylały się jeszcze ostatnie fale Bułgar-dahu; z prawej wznosiły się ponuro, w szarej powłoce, wyżyny Ałłah-dahu, ku Anty-Taurowi wiodące. Dolina była dość ożywiona: z pól prawie wszystko już było zebrane; zato spotykaliśmy częstsze osady, liczniejsze stada, karawany i podróżnych. Koń mój ruszał mi raźnie.

Był to prawdziwy anatolijczyk, nie wierzchowiec przecie, lecz z pośredniej rasy, koń podróżniczy, podjezdek, myśliwski koń, jakby u nas może powiedziano. Nietyle ładny, co zwykle anatolijskie wyższej rasy, miał on jednak i główkę kształtną, i całą budowę lekką, zwartą a silną, nadto tęż samą obrotność. Co zaś było nieocenione dla mnie w podróży — koń ten mój posiadał pewne ułożenie; był spokojny, łagodny wcale, a niósł tak lekko, że się czułem jak na krześle. Podziwiałem niezmordowaną wytrwałość jego. Po takich skaliskach, jakieśmy tylko co przeszli, koń nasz najlepszy napewno nie uniósłby jeźdźca i dość sporego juku w dodatku. Zaprzyjaźniłem się też z mym siwkiem po ukraińsku.

Po trzygodzinnej jeździe po dolinie, znużeni już zupełnie, o południu zatrzymaliśmy się dla wypoczynku w Kamyszły-chanie, u samego strumienia tego nazwiska. Myśmy sami po drodze mieli się czem orzeźwiać; od czasu do czasu, za bajecznie małą cenę „irmi para" (20 par tureck., równających się 6 groszom polskim) braliśmy u górali po jednej „oka" (do 3-ch funt.) winogron najwyśmienitszych gatunków i wynosiliśmy pod niebiosa rozkoszne dary Tauru. Lecz koni naszych było nam szkoda — od świtu szły biedne bez zatrzymywania się prawie.

W skromnym tym chanie, złożonym zaledwie z jednej dużej izby („oda") i podziemnego składu, przy obszerniejszym śpichrzu nieco opodal, przyjęto mnie ze szczególniej uprzedzającą grzecznością. W jednem mgnieniu oka

rozciągnięto w cieniu matę, okryto ją wzorzystym karamańskim kilimem, rozesłano nawet skórę angorską, a dla wsparcia się przyniesiono poduszkę. Nim usiadłem na zaszczytnem miejscu, już wnet i kawa była gotowa, lecz z racyi kawy zasiedli tuż przy mnie u rogów dywanu gospodarz z gośćmi. Zrozumiałem, iż mam do czynienia z bracią chrześcijany, a ich żywość zdradzała mi, że to byli Grecy, choć ani strojem, ani mową od Turków się nie różnili.

Rad byłem tedy z mego towarzystwa, pragnąc bliżej poznać karamańskich Greków. Uroczyste ich pozdrowienie: „chosz gieldyn, safa gieldyn" (witaj) przyjąłem najuprzejmiej, dla powagi jednak odpowiadając na ich trzykrotne podniesienie ręki do serca, ust i czoła jednem tylko przeciągłem podniesieniem mojej do czoła. Wiedzieli już, żem nie Francuz, i byli ze mną swobodniejsi, a pałali ciekawością nietajoną. Nie było rzeczy, coby ich nie obchodziła: wojna, przemysł, wynalazki, drogi, kultura, Turcya, Grecya, Frengistan — jednem słowem, wszystko.

Dziwna to moralna potęga historycznych tradycyi. Ci ludzie, co oto przedemną siedzą oryentalnie, co nie umieją mówić inaczej jak po turecku, co żyją tureckim trybem, a typem swym niewiele się różnią od reszty anatolijskiej ludności, mają się za Greków i dlatego właśnie, że mają się za takich, są nimi. Etnograficznie nie są oni najpewniej potomkami czystymi osad greckich, które wcześnie zatonęły wśród tej pierwotnej aryjskiej ludności Małej Azyi, do której Lydowie i Frygowie należeli; ale tradycya ich kultury, ich obrządku, jest grecką. Pragnieniami też swemi należą oni do wielkiego świata greckiego, czują się z nim w jedni, należą przezeń do Europy, do europejskiej cywilizacyi. „Chandży" (karczmarz) jakiś dzikiego ostępu Tauru należy do Europy, curiosum — a przecież tak jest.

Gawęda na dywanie przy kawie, przy doskonałem jasnoróżowem winogronie, szła jednak oględnie, stopniami, nim przyszło do zupełnej otwartości. Rozpoczęto niby z in-

żynierem od zapytań o postępie robót na drodze od portu Mersyny, o dalszych projektach dróg, kolei, o zbawiennych przypuszczalnie ich skutkach dla samych mieszkańców. Na moje odpowiedzi wszyscy jednogłośnie powtarzali zwyczajowe „inszałłah"! — dałby to Bóg! Gospodarz, młody jeszcze człowiek, o pociągłej, smagłej twarzy, opromienionej jakimś złowrogim blaskiem gorejących czarnych oczu, co na chwilę nie znajdowały spokoju, wnet nadał tej rozmowie zwrot inny. Z największym pozorem naiwności, a z uśmiechem, w którym jakaś zła radość się malowała, pytał on niby sam siebie:

— Ciekawa rzecz, czy też to „padyszach" francuski tego wszystkiego dokona, czy „Inglizy", — albo może kto inny?...

Po twarzach towarzystwa przebiegł sarkastyczny uśmiech.

— Pocóż koniecznie obcy mają dla was pracować? — wtrąciłem.

— Obcy — dla nas? — dla siebie, nie dla nas! — dodał jeden z gości. Jeśli to dla nich zyskowne, to moglibyśmy czego się doczekać, bo nasi...

— Cóż wasi? — zapytałem.

— Nasi — odpowiedział siedzący tuż przy mnie Greczyn w fezie, owinięty z muzułmańska błękitnym zawojem— nasi... wezmą z nas pobór, a potem zwykłe „jawasz — bakałym" (powoli — zobaczymy).

— Już to póki baszowie baszami będą — dodał inny — nigdy my się niczego nie doczekamy.

— A jakże inaczej?

— Jak inaczej?—odparł gospodarz, zrywając się—bywało przecie inaczej, więc dlaczego niema być jeszcze podobnie? Nie wiem, co tam w waszych księgach (kitab) stoi; ale nasze stare greckie księgi piszą, że cały ten kraj, jak zasięgniesz, gdzie Kajsarieh, gdzie Trebizond, należał do jednego wielkiego greckiego państwa (urum memleket), a nadto i Szam

(Syrya) i Misir (Egipt). Wszystko było chrześcijańskie. Przecież i ty „effendy" chrześcijanin?

Wszystko to potwierdziłem, jednak nie mogłem się powstrzymać od zrobienia zapytania, skąd oni wiedzą, co w księgach napisano, kiedy nie umieją po grecku.

Nie podobało się to widocznie; lecz, niezmieszany, jeden z nich odpowiedział mi spokojnie:

— Nie sądź, żeby i pomiędzy naszymi nie było umiejących po grecku. Najprzód każdy „papas" (kapłan) umie, a wreszcie i niejeden „czorbadży" (obywatel miejski, chrześcijanin) z Nigdeh, Anehilu i Kajsarieh. Mamy też tam szkoły nowe, i dzieci nasze już wszystkie po grecku będą mówić, a później... Wszakże i ty chrześcijanin. Byłeś ty, effendy, w Atenach?

— I na nas teraz przyszła kolej, wtrącił inny. Nie pomogą „hatty-humajuny, tanzimaty". Co tam u was we Frengistanie o tem myślą?

W tem ostatniem zapytaniu najstarszego z towarzystwa, człowieka o siwych olbrzymich wąsach, o wulkaniczno-namiętnej fizyognomii, co dotąd, najnieruchomiej paląc nargile, wcale do rozmowy nie należał, w tem pytaniu ciśnięty był sarkazm nietyle Europie wogóle, ile Francyi przedewszystkiem.

Wiedzieli moi Grecy dobrze, jaki przybrała zwrot obecna wojna: nie przepuścili ani jednego z podróżnych, jadących od strony Tarsu, nie opytawszy go. Klęski Francuzów cieszyły ich niezmiernie, Francuzom bowiem przedewszystkiem przypisywali winę podtrzymywania statu quo w Turcyi, niweczącego wszystkie aspiracye panhelleńskie Greków. A moi towarzysze najniewątpliwiej byli gorliwymi narodowcami, nienawiść swą ku muzułmanom wypowiadali otwarcie bez względu na nic.

Nie dziwiło mnie to wcale. Lecz naprawdę niełatwe do pojęcia było to, że ci ludzie, ożywieni najniezaprzeczeniej wyższą polityczną myślą, stali nietylko na równi z ota-

czającą ich sferą w barbaryi codziennego życia, ale nadto pod względem moralnym wogóle nie zdawali się dawać najmniejszej rękojmi. Bądź-co-bądź, dzicz ta górska, której-bym ani na chwilę nie zaufał, zmuszała mnie do czci pewnej, do wewnętrznego zeznania, że w tym tu świecie żaden lud chrześcijański takiej energii wiary i tradycyi nie posiada, jak Grecy.

Mój Halil nic unoszących się Greków nie krępował; wymyślali najnieprzymuszeniej baszom i niebaszom, jedno tylko imię sułtańskie było szanowane. Stary Turczysko, podchodząc od czasu do czasu ku nam dla wzięcia węgielka, wcale w rozmowę się nie wdawał, a oddalając się, mruczał tylko sobie: „aman, aman"! Wogóle przekonałem się, że na Wschodzie swoboda mowy najzupełniejsza, a śmiałość słowa u ludu nie spotykana na Zachodzie.

Nowi podróżni, tłumem nadciągający, przerwali naszą rozmowę, posiedzenie skończyło się.

Powstałem i ja. Idąc do konia, przechodzę koło wypoczywającego mego przewodnika.

— Cóż Grecy? — pytam.

— Wiadomo, jak Grecy. „Urum" — raja, giaury, byle tylko gadać, to i na Ałłaha wygadywać gotowi. Już ich „adet" (obyczaj) taki.

Zrozumiałem: stary przyjaciel janczarów brał to za powszednią strawę i nic sobie z tego nie robił. Ot u urumów już adet taki!

Za siedzibą na pochyłości ku rzeczułce była obszerna plantacya tytoniu. Liściaste łodygi jeszcze zieleniały, lecz na sznurach pod wystającym dachem wisiał już spory zbiór wonny.

Ciekawiła mnie uprawa. Tytoń był wysokiego gatunku, śliczny kolor i aromat wyśmienity. Rodzaj najwidoczniej ten sam, a jaka różnica od naszych podolskich plantacyi!

Zajęciem się swojem niezmiernie pochlebiłem gospo-

darzowi; był dumny ze swojej uprawy i opowiadał mi chętnie o szczegółach jej prowadzenia. Mniej-więcej też same one, co i u nas; więc tylko rodzaj gruntu i klimat stanowi różnicę tak wielką w dobroci tytoniu. Pomimo dogodnych warunków, uprawa tytoniu wcale tu jeszcze słaba, tamują bowiem wzrost jej utrudnione stosunki, stąd też uprawia się tylko ilość potrzebna na spożycie wewnątrz kraju, za granice zaś idzie bardzo niewiele. Zwracałem uwagę na konieczność rozwinięcia tego przemysłu: odpowiedziano mi sucho, iż póki baszowie będą, wszelkie usiłowania daremne.

Słońce poczęło się zniżać, czas było już w drogę. Proszono mnie na wszystko, abym się jeszcze zatrzymał, abym coś jeszcze o Atenach, o „Junanistanie" (niepodległej Grecyi) opowiedział; lecz Halil stał już z końmi. „Ałłah esmerładyk"! (zostańcie z Bogiem) i dalej!

Dolina Kerkunu ciągnęła się tutaj jednostajnie. Przez niewielki kamienny most przeszliśmy na lewy brzeg strumienia, gdzie ujrzeliśmy zbliżające się pod wieczór ku wodzie stado bydła i rozkoszujące się w grząskich moczarach duże czarne bawoły. Pasma Ałłah-dahu poczęły się barwić grą szarego, fioletowego i żółtego kolorów; powietrze przypominało najpyszniejszy u nas z końca lata wieczór. Po dwóch godzinach stanęliśmy na nocleg w Deli-czaj.

Deli-czaj jest to podobny do poprzedniego chanu, licho sklecony barak, który jednak służy nietylko za miejsce wypoczynku dla podróżnych, lecz zarazem i za „giumruk" (komorę), gdzie się składa opłatę za wyrabiany tu na poblizkich wyżynach leśny towar.

„Giumrukczy" (celnik), którego zastałem pogrążonego nad księgą ogromną, był jednym z tych zamożnych Turków, co to, ufni w swe stosunki z wyższą władzą wilajetu, biorą w dzierżawę jakąś gałąź poboru i następnie już sami się urządzają jak chcą, obdzierając lud ubogi ile się da.

Effendy był zajęty tylko sam sobą, a jam go niemniej zimno, urzędownie traktował, i bylibyśmy się wcale nie

zbliżyli, gdyby nie jego synek, śliczny chłopczyk, który po chwili wrócił na dzielnym arabskim wierzchowcu od wody i wziął się wnet do łuku i strzelania do celu. Niebawem jakoś biednemu chłopczynie łuk się zepsuł, jam mu go naprawił, stąd największa przyjaźń. Strzelaliśmy już razem. Ojciec był rozkochany w dziecku, brał je zawsze z sobą, wyjeżdżając z domu z Kajsarieh na swe urzędowe tu koczowisko, a widząc mnie nim zajętym, wygrzeczniał do niepoznania i starał mi się następnie wywdzięczyć, udzielając wszelkich pożądanych informacyi.

27 września.

Noc spędziłem przykładnie, po turecku. W lepiance owej, co tu uchodziła urzędownie za „giumruk", w Deli-czaj, nie było się gdzie nawet przytulić. Jedyną izdebkę mieszkalną zajmował sam wielki dostojnik „giumrukczy" na sypialnię i na biuro; przegroda większa, kryta, służyła dla koni i służby. Nadto był przecie jeszcze jakby rodzaj przedsieni długiej, prowadzącej tak do stajni jak do biura, z framugą w kącie na ognisko. Tam też przyszło mi się rozkoszować.

Noc była chłodna, ognia więc nie brakło; ale nie było co myśleć o spoczynku, choć się przywykło do azyatyckich noclegów. Całą noc miałem coraz to nowych nieproszonych gości u ognia, których o względy dla wypoczywającego giaura trudno było posądzać. Ciekawe wprawdzie towarzystwo, butni górale karamańscy, ale cóż, kiedy we mnie sen nad ciekawością przeważał, a do snu miałem najzupełniejsze prawo. W oburzeniu swem europejskiem poczytywałem tych gości za natrętów; nic mi to przecie nie pomogło. Najrozumniej było co tchu się wynosić, gdy już świtać poczęło.

Przed świtem „giumrukczy-effendy" począł przyjmować interesowanych. Moi nieproszeni towarzysze u ogniska byli to robotnicy leśni, co w górach ścinali drzewa, oprawiali je,

tarli tarcice lub wyrabiali las cieńszy i następnie wieźli to na sprzedaż do osad i miast większych.

Swoboda wyrobu drzewa w Turcyi jest najzupełniejsza; każdy kto chce może się temu oddawać; lecz że to własność sułtańska, drwale więc tacy obowiązani są składać rządowi pewną opłatę niewielką i brać od urzędu „jarłyki" (bilety) na prawo sprzedaży. Obok tego rząd też i sam eksploatuje lasy na swe bezpośrednie potrzeby. Oczywiście miejscowa ludność za użytkowanie z lasów nic nie płaci. „Orman" (las) rzecz boska i sułtańska, pocóż tu płacić? byle nie wywozić na sprzedaż, tak mi to tłómaczono. Co do wysokości opłaty, widocznie, iż ta zależy od dzierżawcy: jak z kogo da się zedrzeć, bo targi i zwady były tak swobodne, że aż mnie wypędziły z noclegu. Wreszcie później dowiedziałem się stanowczo, że moje przypuszczenia nie były mylne.

W drodze następnie na znacznej przestrzeni spotykałem całe tabory biednych koni i osłów, ujuczonych oprawionem drzewem. Stworzenia te i belki nawet muszą tu na grzbiecie dźwigać, gdyż innych środków komunikacyi niema. Na koniu spoczywa „samara", mocny łęk drewniany, a do tej przymocowują się postronkami po obu stronach belki, drągi czy tarcice, których końce, wlokąc się po ziemi, kaleczą nieraz nieostrożne w tłumie zwierzęta.

— Dlaczego wy konie tak męczycie? dlaczego nie przekładacie drzewa na „araby", gdzie można? — pytam.

— „Adet jok tur" (niema zwyczaju) — odpowiedziano.

— To w waszym Madżarystanie drzewo „arabami" wożą? — przerywa mój Halil.

— Nieinaczej — odpowiedziałem.

— To chyba u was gór niema?

— I gór niebrak, a przez góry drogi wozowe prowadzą.

— Aman! aman!

Stary mój Turek, będąc w Stambule za młodych lat, słyszał, że i w Rumelii gdzieniegdzie drzewo wozami wożą, ale nigdy tego nie widział i zaliczał to do luźnych powieści.

Droga nas prowadziła po tej samej dolinie, co wczoraj. Mijaliśmy dość uprawne grunta, dość schludne osady, stada najrozmaitsze i niemało podróżnych. Lecz góry w oddali z dziką surowością piętrzyły się ku niebu; groźnie sterczały nagie szczyty, bielał śnieg na wyżynach Anty-Tauru.

Przed nami w dalekiej ciemni, w głębi krajobrazu, ponad falą wzgórz, począł się mocniej zarysowywać jakiś samotny, piramidalny niby, górski olbrzym.

Jechałem spokojnie na przedzie, gubiąc wzrok we wspaniałym majestacie krajobrazu. Wtem nagle słyszę poza sobą dzikie okrzyki: Ardżyź! Ardżyź! — oglądam się — Halil pędzi jak szalony ku mnie. Nic nie rozumiem, niewyraźne jego wołanie biorę za „chyrsyz" (zbójca) i sięgam do rewolweru na wszelki wypadek. Stary Turczysko zrównał się ze mną; twarz jego pałała dziecinną radością. Zdumiałem się.

— Co ci jest? gdzie łotry? — pytam.

— Ardżyź, czelebi, bizym Ardżyź! (nasz Ardżyź).

I oczy mu zabłysły jak u zwierzęcia, co norę swą zdaleka dostrzegło. Dopiero teraz przypomniałem sobie sławnego olbrzyma Kappadocyi, wygasły wulkan Argeus. Nie spodziewałem się, że go widać z tak daleka, i nie wiedziałem, jak go tu po turecku zowią.

— Więc to Ardżyź?

— A cóżby mogło być innego? Nasze siedlisko (konak) drogie!

I stary przyjaciel janczarów wyciągnął z torby kawał czerstwego chleba do przełamania się. Przełamaliśmy się.

— Niema na świecie jak nasz Ardżyź! Ja także schodziłem kawał świata za nieboszczyka sułtana Mahmuda: niema drugiej takiej góry.

I począł mi się dalej unosić nad swą krainą.

— Więc i wasza wieś niedaleko od góry!

— Nasza wieś (kioj)? nasza wieś na samym stoku góry, tuż pod szczytami wiekuistego śniegu. Chcesz, jedź

ze mną, czelebi, poprowadzę cię wszędy; nic podobnego u was niema.

— Zobaczymy (bakałym).

Chleb nasz skończyliśmy. Argeus, sędziwy starożytności świadek, występował coraz wydatniej, a na szczycie jego zarysowało się wyraźnie siodło jego grzbietu, promieniejące śniegiem swym w słońcu. Zamierzyłem poznać olbrzyma, propozycya Halila uśmiechała mi się, ale droga była jeszcze daleka.

Po parogodzinnej jeździe zatrzymaliśmy się w pięknem ustroniu, nad źródliskiem, ocienionem gęstemi drzewy, u jakiejś lepianki, za przydrożną kawiarnię uchodzącej. I tu, pod cieniem pysznego platanu, zasiedliśmy do stosu winogron. Niebawem nadjechał ku nam tłum Czerkiesów. Było ich ze dwudziestu — wszyscy zbrojni i na tęgich koniach, kaukaskich jeszcze. Nadto wiedli oni z sobą luzem cały tabun podobnych koni. Znajomość między podróżnymi łatwa; zaprosiłem kilku znaczniejszych do wspólnego śniadania. Wszyscy już mówili prawie dobrze po turecku. Zapewne bylibyśmy znaleźli inny jeszcze język, którym moglibyśmy się porozumieć, ale ja poprzestałem na turecczyźnie. Czerkiesi ci jechali z północy od Kajsarieh, z nowej swej osady, na cześć teraźniejszego sułtana Ażyzieh zwanej. Materyalnie nic nie mieli właściwie przeciw warunkom, w jakich się znajdowali obecnie, ale za swym Kaukazem serdecznie tęsknili. Nic nie może im go zastąpić, chociaż życie swoje dzisiejsze urządzili, o ile to się dało, zupełnie po dawnemu. Ten sam rolniczo-pasterski byt góralski, z zachowaniem nawet ile można rodowego związku. Też same prosa ulubione i zamiłowanie do koni. Ażyzieh posiada jeszcze czystą kaukaską rasę koni. Jeden to z przedmiotów bogactwa osadników, gdyż koń czerkieski ma pewne swe zalety, któremi i anatolijskiemu nie ustąpi; osobliwie jako koń wojskowy, mniej ładny, lecz rączy i wytrwały, a znacz-

nie tańszy. Tabun właśnie pędzono do Adany, na remont pułku jazdy syryjskiej.

Żalili się Czerkiesi na fatalne rozproszenie swe po całej niezmiernej przestrzeni ziemi sułtana, od Szumli do Bagdadu. Nietylko pojedyńcze plemiona—jak Abchazy, Ubychy, Szapsugi lub Lezgi, Osety, Czeczeni — rozproszone tu po szerokim przestworze: byłoby to mniejsze, gdyż każde niemal plemię osobny lud stanowi; lecz rozsiały się zarazem i rody jednego plemienia, zatraca się spoistość i siła. Nie ustępuje przecie Czerkies niczem Turkowi moralnie: ma swoich za lud dzielniejszy, nieskalanego obyczaju, i z dumą spogląda na Osmanów. Lubi wojenne życie i rad żołnierką się bawi; wielu też z nich jest baszami i kajmakamami w wojsku, wielu ginie w nieustannej walce przeciw Beduinom. Z Kurdem jedynie Czerkies sympatyzuje: bliźsi sobie jeśli nie ze krwi, to z ducha.

Goście moi pod platanem byli szczerze otwarci ze mną, co więcej, uprzedzająco grzeczni; w innych warunkach musiałbym przyjąć w upominku raźnego wierzchowca. Ale też i ja z mej strony byłem dla nich pożądaną osobą: świeżo przybywszy z Europy, musiałem im na tysiączne pytania odpowiadać i prawić o wszystkiem. Dziwiła mnie ich znajomość stosunków i umiejętność interesowania się. Oczywiście nie mogliśmy ominąć kwestyi broni; nowe wynalazki, nowe systemata, wszystko było przedmiotem rozpraw i opowiadań. Traktowano rzecz z prawdziwem znawstwem. Gdym pokazał nareszcie swój rewolwer, który zwykle w podróży z zasady ukryty nosiłem, nie było miary zachwyceniu. Cały tłum już Czerkiesów zbiegł się, bo rzadko który z nich broń taką widział, a jeśli widział, to dawnego systematu, mój zaś był bezpistonowy. Musieliśmy strzelać do celu i strzelano doskonale. „Szkoda, żeś ty sam w podróży"! — powtarzał jeden z ich starszyzny, przecudnej urody młody chłopak, Sulejman-beg.

Parę godzin tak przeszło. Naprożno mój przewodnik

przypominał mi, że już dawno do odjazdu pora; traktowano starego Turka raz po raz kawą, a gawęda szła dalej i dalej. Nareszcie przyszło się przecie rozstawać — rozstaliśmy się przyjaciółmi.

Gdyśmy już spory kawał drogi odjechali, Halil, który dotąd jechał obok mnie milcząco i tylko od czasu do czasu mruczał sobie niewyraźnie—„miusulman"—„giaur"—„dost"—„kardasz" (przyjaciel, brat)—„hicz bir szej bilmem"! (nic tego nie rozumiem) — nagle mnie zagadnął:

— Toś ty nie Madżar, czelebi?

— Skądże ci to przyszło?

— Dobrzem się przysłuchał waszym rozprawom.

— Więc wiesz, że Lech jestem.

— A dlaczego cię Madżarem nazywają?

— Nie moja wina, że wasz lud ciemny („akyłsyz"); oprócz Frenka, zna tylko Madżara. Ot, widzisz, Czerkiesi rozumniejsi!

Obraziło to Turka widocznie, więc odparł mi żwawiej:

— I ze mnie przecie nie taki prosty wieśniak (kiojli), i ja przecie za młodu padyszachowi służyłem i jasny Stambuł widziałem. Stary żołnierz („eski asker") ze mnie i wiem, jakie są wrogi („duszman") a przyjaciele („dost") nasi. Czerkiesi niech swoje wiedzą, a ja swoje wiem.

— Więc znasz Lechów?

— Jak nie znać? Toć to wszystko jedno („bir dyr") Lech, co Madżar, jedna wiara — tylko ten sobie, a ten sobie, tak niby jak Turek i Tatar.

— Niezupełnie to tak wszystko jedno.

— Wiem, wiem; ale wiara (din) jedna, obyczaj jeden.

— Język za to wcale różny.

— Co język znaczy?—nic! Turek mówi po swojemu, a Tatar po swojemu, a obaj dobrzy muzułmanie. Wreszcie, koniec końców, i Lech i Madżar byli niegdyś straszne duszmany sułtańskie — to my wiemy — a teraz obaj „musafiry" (goście). Więc wszystko jedno („hepsy bir dyr").

Nie było co począć przeciw takim argumentom — rozmowa się urwała. Poparłem konia naprzód; słońce opromieniało jakimś fioletowym odblaskiem wyżyny Anty-Tauru, a Argeus wznosił się ciągle na przedzie jak olbrzymi drogowskaz.

Niebawem dopędził mnie przecie mój poczciwiec; widziałem, że mu coś jeszcze leży na sercu, że mnie chce o coś pytać i dotkniętego przedmiotu nie uważa za wyczerpany.

— No, i o cóż ci jeszcze chodzi, mój stary („ichtyar")?

— Ja sam, widzisz, czelebi, nie wiem — ale powiedzbo ty mnie, przecież są w Stambule i „Czyfuty" (Żydzi), co się Lechami nazywają — dlaczego to?

— Oto widzisz rzecz prosta — gdyby z waszej Anatolii przyszedł do nas „Jehudy" (Izraelita) i nazwał się tam Turkiem, to cobyś począł?

— „Ołmaz"! — wykrzyknął w oburzeniu mój prawowierny — „ołmaz" (niemożliwe)!

— Dlaczegóż? wszakże i Izraelici są mieszkańcami Turcyi.

— Ale wiara nasza inna—odparł mi żywo. A przecie i wy jesteście innej z Czyfutami wiary.

— Najniezaprzeczeniej.

— No, więc dlaczegóż oni wasze imię przybierają?

— Tak im się podoba, bo z naszego kraju tu przychodzą, na naszej ziemi siedzą.

— To niedobrze! („bu ei deil dyr")—zdecydował Turek. Bo widzisz, czelebi, jak kto powie Lech, to prostak sobie pomyśli: toś ty pewnie taki „Czyfut" jak i inni. Ja to wiem, bywałem ja w Stambule, i oto dlaczego chętniej i was Madżarami nazywają, choć koniec końców wszystko to jedno.

Nie umiałem już nic odpowiedzieć; nie było rady. Musiałem przystać na wyrok Halila.

Ujechawszy pięć godzin od noclegu w Deli-czaj, zwróciliśmy się w lewo i, opuściwszy dolinę Kerkunu, przez niewielką wyżynę ruszyliśmy ku osadzie Bajan-dere. Tu zatrzymaliśmy się na popas. Wioska Bajan-dere, wcale nie-

wielka, o kilkudziesięciu zaledwie domach z suszonej cegły, niczem się nie różni od innych rolniczo-pasterskich tureckich osad tej okolicy. Chanu tu niema wcale, ale za to znaleźliśmy gospodę dla gości tak oryginalną, że w Azyi z podobną nie wszędzie spotkać się można. Przedstawmy sobie kawał gruntu, na pochyłości ku strumieniowi, stanowiący czworobok do stu stóp długi, a kilkadziesiąt szeroki, osadzony gęsto topolami, podobnemi bardzo do naszych nadwiślańskich — i oto mieć będziemy karawan-seraj i miejsce igrzysk bajramowych—hotel i salę redutową zarazem. Lecz proszę nie żartować: w tych tu warunkach nic rozkoszniejszego nad taki popas: trawa, cień, orzeźwiające powietrze i swoboda najzupełniejsza. Rad byłem niezmiernie.

Towarzystwa nie zabrakło: nim rozpostarłem dywan, nim się umieściłem, już miałem pełno gości, co się zbiegli na ewenement widzenia Frenka w swojej wsi. Nie potrzebowałem o nic się kłopotać; duchem naznoszono suchych gałęzi, przyniesiono wody, rozniecono ognisko i zabrano się do kawy. Na przeciwległem wzgórzu pasły się liczne stada, nie zabrakło więc mleczywa („jourt", „kajmak") najwyborniejszego gatunku. Ale za to chleb lichy, z grubego ziarna, mielonego w jakichś przedpotopowych żarnach, co w kilku egzemplarzach na powszechny gminy użytek leżały rozrzucone u samego wjazdu do wsi. Leżały — powiadam, gdyż całe żarna składały się z dwóch kamieni, wrosłego w ziemię, wydrążonego nieco na powierzchni, i drugiego ruchomego, ogładzonego trochę, który mielący obracał ręką. Do młyna („deirmen"), jak mi powiadano, było bardzo daleko; zresztą zawiele kłopotu, gdy i bez tego każdy sobie umęłł mąki tyle codzień, ile mu było potrzeba. Winogrona w okolicy wszędzie doskonałe, choć wina nigdzie tu nie wyrabiają chrześcijanie. Sery za to wysyłają do miast na sprzedaż. Jest to rodzaj bryndzy, bardzo smacznej, tylko w bryłach, kawałkach.

Ludność Bajan-dere, żyjąca opodal wielkiej drogi, na-

leży do Turków starej daty i w dawnych czasach nie musiała być wielce uprzejma dla giaurów: widziałem paru „hadży", pielgrzymów, co byli w Mecce, w zielonych ogromnych zawojach, którzy na mnie bardzo niedwuznacznie patrzyli. Zapytałem też ich za to, czy nie byli czasem w Stambule, kiedy padyszach i chalif robił honory cesarzowej Eugenii. Rozwścieklenі odeszli w milczeniu, tłumiąc w sobie bezsilny fanatyzm. W odwet zdobywałem się na wszelką możliwą grzeczność dla tych, co względem mnie znaleźli się uprzejmie. Kawy miałem zapas duży, a kawą nietylko Araba, lecz i Turka daleko można zaprowadzić; cóż dopiero gdy się ją warzy „à la franca", z cukrem („szekerły kahwe"). Niema Turka, coby się słodyczą nie dał wywieść na pokuszenie.

Pamiętam raz w Tarsie, gdyśmy siedzieli z p. Edwinem przy wieczerzy, wchodzi naczelnik oddziału zaptyów, z urzędowem od kajmakama poleceniem. Grzeczność nakazywała go prosić do stołu. On się wymawiał najwymowniej. Ruszam tedy konceptem i, podając mu jakieś ciasto („berek"), naiwnie pytam: myślisz ago, że to nie słodkie (tatły deil dyr)? Otóż nie potrafił Turek znaleźć na to odpowiedzi, kazał sobie podać wody do rąk, zakasał rękawy i zasiadł z nami milcząco. Wszelka słodycz dla Turka to jagódka dla naszego dziecka. Jak tu odmówić?

Do jakiego stopnia gust do słodyczy przeważny jest na Wschodzie, niech przyświadczy temu następująca anegdotka. W czasie bytności sułtana Abdul-Azisa w Paryżu orszak Turków, co mu tam towarzyszył, był podejmowany bardzo wspaniale. Nie zbywało im na niczem. Stół mieli wyborny, lecz europejski. Ludzie znaczniejsi, obeznani ze zwyczajami Zachodu, nic sobie z tego nie robili, owszem radzi byli ze wszystkiego; lecz inaczej utrzymywał szary koniec. Przeważali tam Turcy starej daty, prawi muzułmanie, czciciele obyczaju przodków, tak, że wśród nich i młodzi musieli udawać poważnych Osmanów. Ci z początku po

przyjeździe nadzwyczaj ostrożnie dotykali wnoszonych potraw, obawiając się, aby niegodziwe Frenki nie podali czego, coby było „charam" (religijnie wzbronione), jak „domuzety" (wieprzowina) lub coś innego. Potrawa niepewna nie była prawie poczynana, na wielką radość i pociechę posługi francuskiej, żartującej sobie do syta z samego „Grand Turc", a już bez miary z prostaczej tureckiej drobnoty. Otóż potrawy na ten sposób mijają, a żołądki wciąż głodne, bo niema pewności, co tu godziwe, a co nie. Wtem wnoszą nakoniec tort wspaniały, w jakiejś emblematycznej postaci, o misternie wyrobionych szczegółach i ozdobach. „Bu ne dyr"? (co to takiego) — pytają zewsząd czcze żołądki. Jeden z młodzieży, mniej mający skrupułów, ostrożnie dotyka misteryi owej francuskiej palcami — ukrusza kawałeczek, kosztuje i z tajemniczym wyrazem powiada: „tatły"! (słodycz). „Tatły"!? — zawoła piorunująco gromadka wyznawców proroka i, nie pytając już o nic, rzuca się na cukrowego olbrzyma, w jednej chwili rozszarpując go palcami.

O, słodycz to potężny środek na Wschodzie! Niepróżno i piękne Lewantynki tyle się oddają przyrządzaniu przeróżnych konfitur, szerbetów i t. p. Częstowałem i ja też moją dzicz z Bajan-dere kawą dobrze ocukrzoną.

Znaleźli się towarzysze, co kawał drogi mieli jechać z nami w jedną stronę — tem ci lepiej, tem weselej — i tem bezpieczniej, dodawano. Byli to wracający z Rumelii Kajsaryoci — jeden kupiec Ormianin, co do Stambułu „pastyrma" (suszone na słońcu mięso wołowe) woził, a drugi „hyzmetczy" (sługus) Turek, co po wieloletniem błąkaniu się po świecie jechał do starej matki w odwiedziny; nadto kilku chopaków ze wsi samej, udających się do tabunu koni gdzieś w górach. Po 3-ej ruszyliśmy. Istotnie wesoło nam było— tu pierwszy raz od Tarsu miałem towarzystwo w drodze. Chłopacy z Bajan-dere na żwawych konikach puszczali się od czasu do czasu na wyścigi, naśladując swemi poruszeniami grę w „dżyryt", zależącą na zręcznym napadzie i rzuceniu na

przeciwnika pocisku, który ten jeszcze zręczniej w pełnym biegu konia winien zmylić. Pełno wrzawy, śmiechu, wyzywań się — rączość koni i zręczność młodzieży nadzwyczajne! Ormianin tymczasem opowiadał mi o swym handlu pastyrmą, o manipulacyi przyrządzania tej wybornej konserwy, z czego sławna ich Cezarea; wynosił przemysł swych współwyznawców, skromnie mówił o swoich zyskach i żalił się jak mógł na Turków. Turek zaś, błędny „chyzmetczy", sługa od dzieciństwa na wielkich dworach, ożywiony mem nieudanem zainteresowaniem się, wtajemniczał mnie w różnicę dawnego a nowego trybu haremowego i, jako człowiek nie pierwszej już młodości, przenosił oczywiście stary dobry obyczaj.

Widać i dla służby męskiej niema nic w haremie tajemniczego. Służba ta nietylko wie o wszystkiem, lecz i widzi wszystko, należy do wszystkiego. Gdzie pan despota i rozpustnik, a obrażone młode panie są w lidze przeciw niemu, służba starsza najczęściej ich strony się trzyma i wychodzi na tem do zazdrości pomyślnie. W pewnych właściwych Wschodowi warunkach współzawodnictwo kobiet ustaje i wyrabia się między damami haremu największa dla siebie wzajem pobłażliwość. I wtedy wszystkim jest dobrze, póki nieszczęsny jaki wypadek nie sprowadzi niespodzianie zamieszania. Swarliwość tureckich kobiet ma być ich dominującą cechą. Stary sługa, nie mogąc o tem przemilczeć, wynosił zato pod niebiosa ich przywiązanie do dzieci i dobroć naturalną. Nad Turczynki swe za nic nie chciał przyznać wyższości Czerkieskom, lubo miał widoczną słabość do Bośniaczek. Słowiańskie kobiety cenił nadewszystko za słodycz, rządność i łagodność dla sług; tego właśnie Czerkieskom odmawiał, nazywając je dumnemi, chociaż pod względem piękna im przed wszystkiemi pierwszeństwo oddawał. Z jego obrazowania kobiecej piękności przekonałem się, że prawdziwe piękno ma moc wywoływania i w barbarzyńskiej duszy uwielbienia tak szczytnego, że nie powstydziłby się tako-

wego nawet wysoce wykształcony estetyk-idealista. Lubił on dzieci niezmiernie i nie mógł mi się naopowiadać o paniczach i panienkach domu, który właśnie opuścił. Miłość braterska między rodzeństwem z jednej matki ma być wielka. Nowych stambulskich obyczajów nie chwalił: był nieprzyjacielem swobody zewnętrznej i uważał ją wprost za nieprzyzwoitość i wreszcie na wszystkie moje uwagi odpowiadał jednostajnie: „może to wszystko i dobre, ale nie tureckie".

Droga nam poszła znów doliną, szeroce rozścielającą się wśród pagórków, lecz w oddali zawsze sterczały nagie szczyty Anty-Tauru, a przed nami zawsze stał w swym majestacie Argeus.

Towarzystwo nasze, po parogodzinnej jeździe, rozproszyć się musiało. Najprzód znikli w szalonym pościgu chłopcy, a później i pozostali podróżni zwrócili się każdy w swoją drogę, napróżno usiłując i nas namówić do zdecydowania się na ich marszrutę. Marzyłem już o Ardżyżu, zostaliśmy tedy z Halilem znów sami.

O cztery godziny od ostatniego popasu mieliśmy przed sobą starożytne Andabilis, dziś Andawel i Anehil zwane; tam więc zmierzaliśmy na nocleg. Tuśmy mieli wyjechać na większą drogę do Kajsarieh, idącą na lewo od naszej,— od Ak-kiupry, przez wąwozy Bułgar-dahu, linią ikonijską do Eregli, a stąd ku północy na starożytną Tyanę sławnego Apolloniusa, dziś Kilisse-hissar zwaną, i na Nigdeh. Wieczorem więc przyspieszyliśmy kroku.

U schyłku dnia wjechaliśmy do Andawelu. Ruch wieczorny bardzo ożywiony: przy wejściu do miasteczka grupy dziewcząt biorących wodę w dość malowniczych strojach, a z odkrytą twarzą; na ustroniu niewielka, nowowznoszona cerkiewka, przed którą radzi gromadka starszyzny. Ciekawy świat zatem — w głębi Karamanii społeczeństwo chrześcijańskie. Lecz posuwając się dalej wśród łamanych uliczek, spotykam i surowe oblicza prawowiernych, i zasłonięte twarze ich kobiet. Anda-

wel więc przez pół tylko chrześcijański. Miasteczko dość porządnie zabudowane, w miłem położeniu pod górą, domów ze 300. Pytam Turków, ciekawie mierzących mnie oczyma, o chan. Halil mi zapowiada, że chan nam na nic, że my tu możemy i bez niego rozkosznie przenocować; mają „urumy" (Grecy) wygodne domostwa, a więc do którego giaura się wprosimy. Że większy „bagszysz" weźmie, to mniejsza. — Zgoda!

Szukamy tedy co najlepszego „konaku" — wjeżdżamy w dzielnicę (mahała) grecką — tłum kobiet i dziatwy nas otacza. Jest powód zatrzymania się i wypytywania pięknych Greczynek, z pysznemi rozpuszczonemi włosami, o konak najodpowiedniejszy. Mniejsza, że się w odpowiedzi dostaje pusty śmiech dziewczęcy i zakłopotane spojrzenie dużych czarnych oczu. Już gotów byłem cały wieczór szukać sobie noclegu, gdy mi zastępuje drogę młody „papas" (ksiądz) i wskazuje poblizki dom swego przyjaciela, jako otwarty zawsze dla takiego jak ja chrześcijańskiego gościa. Uśmiechał się mój stary Turczysko na takie sentymenta niewiernych, ale niemniej śpiesznie korzystał z propozycyi i wprowadził się z końmi na podwórze.

Gospodarz domu, Hadży-Dżordży, poważny „czorbadży" (obywatel) Andawelu, sam wyszedł na spotkanie „baszmehendysa" (inżyniera en chef), za jakiego mnie wziął. Tuż na dziedzińcu przedstawił mi swą „kokonę" (panią) z gromadką ładnej dziatwy i wprowadził mnie do „selamłyku", recepcyjnego pokoju, bardzo przyzwoicie choć skromnie urządzonego. Niczego tu nie brakowało: w głębi nizki komin, a przy bocznych ścianach na podłodze maty, dywany, poduszki; nad tem w ścianach szafy, framugi. Rozniecono ogień — w kilka minut byłem gotów na przyjęcie pozdrowień.

Za przewodem gospodarza i papasa, wszystko, co było z poważniejszych czorbadżych, zeszło się na powitanie wysokiego „musafira" (gościa). Trawiąca ciekawość była przy-

czyną tych czułości. Rad z możności przyjrzenia się sturczonym Grekom, chętnie też ciekawość tę ich zaspakajałem. Temata rozmowy wciąż jedne: Stambuł, Frengistan, Turcy, Ellini, wojny dawne Greków a obecna Francuzów, koleje, plantacye i t. d., a wszystkie zmierzające ku głównemu pytaniu, jak też tu długo jeszcze bisurmani panować będą.

Oprócz papasa, nikt po grecku nie umiał: ten winien był swe wychowanie seminaryum w Nigdeh. Zaspokojeni czorbadżowie prędko się rozeszli, zostawiając dla bawienia gościa Hadży-Dżordża, z niezmordowanym w ciekawości swej papasem.

Począłem też i ja ich z kolei wypytywać. Żadnych szczególnych tradycyi lud ten nie ma: uważa siebie za tak czystych Greków (Romei), jak stambulscy lub morejscy; wie, że Wschód do nich przed wieki należał, i wierzy, że oto już niezadługo znów do nich należeć będzie; nazwę zaś chrześcijan przyswaja sobie wyłącznie. Mimo, że tak nieliczny, że tak sturczony, uważa się Grek tu, w Kappadocyi, jeszcze u siebie w domu; ale też kraj ten stanowi już ostatnią ku wschodowi linię greckich osad wewnątrz kraju.

Lecz wszędy Grek Grekiem! Gdyśmy przeszli do uwag nad wewnętrznym stanem kraju, papas z Hadżym poczęli mi prawić o niebezpieczeństwie dróg, o zgrai grasujących w okolicy zbójców i filantropijnie, po chrześcijańsku nalegali, bym się nie ważył jechać dalej bez eskorty zbrojnej. Chodziło o zapewnienie lekkiego bagszyszu kilku z ich przyjaciół. I ja tę rzecz wziąłem niby równie poważnie, więc zagadnąłem gospodarza:

— A może lepiej, gdy rycerski orszak „behadyrów" greckich zostanie w domu, bo miałbym tylko kłopot niepotrzebny, gdyby mi poczęli uciekać.

Zrozumiano pocisk. Halil odezwał się głośnym, serdecznym śmiechem — podobała mu się tak krótka odprawa, a zawstydzeni, zadąsani Grekowie pośpieszyli oddać mi najczulsze dobranoc. Rozbroiłem ich przecie, dodając:

— Jam sobie sam zwykle przewodnikiem, „ben kendym kałauz"!

28 września.

Podług zwyczaju, ze świtem pożegnałem mych greckich gospodarzy i obojętnie opuściłem Anehil. Przejmująca świeżość jesiennego poranku zachęcała do jazdy; lecz widok okolicy smutkiem jakimś przejmował: dokoła zdawała się rozpościerać jednostajna twarda podgórska pustynia, szara i posępna. Było to przecież skutkiem pory tylko.

O wiorstę jaką od miasteczka, po lewej stronie drogi, opodal nieco, wznosiła się wspaniała samotna zupełnie kolumna, na kapitelu której bocian gniazdo sobie założył. Co ta kolumna piękna koryncka tu robi, czego jest pamiątką— bociana już się nie dopytać, a cóż dopiero ludzi. Ci tylko wiedzą, że to „urum bir szej", coś rzymskiego czy greckiego, że „czok eski dyr"—bardzo starożytne—i nadto nic więcej. Smutno! niejedna podobna pamiątka w Azyi stoi dotąd samotna, nieodgadniona.

Z porankiem dalej rozjaśniała się okolica; droga mi szła szeroką doliną, ścielącą się u podnóży górnych olbrzymów: po prawej ręce miałem pasmo Anty-Tauru, na przedzie w oddali wciąż wznosił mi się majestatycznie bielejący szczyt siodłaty sędziwego Argeu. Na drodze nie było jednak żadnego życia, ani podróżnych, ani stad; spotykaliśmy za to od czasu do czasu dość znaczne sioła tureckie, pozorem swym świadczące wcale korzystnie o gospodarności mieszkańców.

Po trzech godzinach tak monotonnej jazdy u wsi Arapły zwróciliśmy się w prawo, wstępując znów w śliczną górską okolicę. Mieliśmy przed sobą wspaniały wąwóz, co całe dwie godziny w najfantastyczniejszych zwrotach przerzynał wysokie gór grzbiety, prowadząc podróżnego ku bogatej karahissarskiej dolinie.

Rozkoszne urozmaicenie form, bawiące oko, niezmier-

nie ożywia w podróży i nieraz wystarcza za najbardziej wesołe i swobodne towarzystwo. A jak się często wędrowcowi zdarza, że gdy w rozpaczliwie pustem ustroniu ani jednej żywej duszy czasem dla przemówienia słówka nie spotyka, w okolicy zaś życiem samej natury bogatej i ludzi zwykle nie braknie — tak i teraz oto rozkoszny nasz wąwóz zaszumiał nadto gwarną wrzawą podróżnych. Prowadziła tędy droga z Kajsarieh równie do Konieh jak do Tarsu. Mijaliśmy też kiedy niekiedy karawany, co w Kara-hissarze noc spędziły. Dla każdej byłem przedmiotem ciekawości podwójnej: raz jako świeżo jadący od morza, od portu, a powtóre jako Europejczyk, bez innych względów. Pozdrowień i doraźnych opytywań nie było końca, a w stawianiu zapytań jaskrawie występowała narodowość pytających. Istotnie cóż to za bezgraniczna różnica w zapytywaniu Ormianina a Turka, choć powierzchowność ich tak siebie blizka.

Lecz niemniej pożądane dla mnie były spotykane osiołki, ujuczone w kosze z winogronami. Dolina za wąwozem słynna jest ze swych winnic, a właśnie był to czas winobrania, rozwożono więc soczyste grona ku uboższej okolicy. Rozmaitość gatunków gron zastanawiająca. Podobały mi się winogrona szarego jakiegoś koloru, nie spotykane gdzieindziej; to też nie raz jeden zatrzymywaliśmy z mym „Kiradżym" osiołki, błogosławiąc Ałłaha za tak rozkoszne a tanie dary. Cała oka kosztowała i tu—tylko „irmi para" (20 par tureckich). Oczywiście musiało się przytem i chleba z biesag wydostawać, gdyż chodziło nam o śniadanie, a co więcej, same grona, w obfitości użyte, są tu niezdrowe.

Im głębiej zapuszczaliśmy się wąwozem, tem częstszemi stawały się uwieńczone liściem winnym i zdala zieleniejące kosze, żwawo niesione przez osiołki. Mój stary dziecinną radością się unosił na samo wspomnienie rozkosznej, bliskiej już doliny, skąd winogrona wieziono. Wszystko się jakoś ożywiało, nawet konie zdawało się że szły raźniej.

Po dwugodzinnej wesołej jeździe stanęliśmy u wyjścia

z wąwozu. Jakiż to widok niespodzianie wzrok mój uderzył! Nieczęsto się spotyka oko w oko z podobnie pysznym majestatem natury! Chciało się poić widokiem tym do nieskończoności. Nie mogłem dosiedzieć na koniu: zdawało mi się, iż ruch jego raźny każdem posunięciem się naprzód pozbawia mnie chwili jednej rozkosznego upojenia; zsiadłem więc z konia i cały zjazd urwisty, aż do samego podnóża doliny, przeszedłem pieszo. Byłoż się czem poić! Krajobraz niezmiernie rozległy i jakoś skupiony harmonijnie zarazem. U nóg mych rozścielała się szeroka, podłużna dolina, niegdyś stanowiąca napewno dno przestronnego jeziora, a dziś zieleniejąca wieńcami sadów i winnic nieskończonych, zlekka już jesienną purpurą okrytych. Z przeciwnej strony ponad tą doliną bogatą wznosił się w śmiałym polocie ku niebu wygorzały a zawsze groźny w swym majestacie Ardżyż-dah (Argeus). Od południo-wschodu zamykały dolinę ostatnie odskoki grzbietów Ałłah-dahu; od północy ginęło w zieleni miasto Kara-hissar. Gdym się zaś spuścił w dolinę, zawisł nademną, nieco w oddali na lewo, nadomiar wszystkiego, prawdziwy zamek wieszczek czy geniuszów z tysiąca nocy i jednej! Nieopisana to rozkosz, gdy fantazya nasza zmęczona spotyka w rzeczywistości to, co wszelkie jej senne utwory prześciga. Miałem przed sobą świat istnie zaczarowany!

Zamek, co wystrzelał ku niebu z wulkanicznego szczytu, jakby wyzywając o lepsze wzniosłe czoło przeciwległego Argeu, był pamiątką bardzo starożytnych czasów. W nim to się miał tak sławnie bronić jeden z wodzów Aleksandra, dzielny Eumenes, przeciw dawnym swym spółtowarzyszom. W tym czasie nosił on nazwę Nora, dziś zwie się Zindżibar; lecz zdaje się, iż i nazwa sąsiedniego w dolinie miasta Kara-hissar — „czarny zamek" — przedewszystkiem do niego się stosowała. Budowa to śmiała, harmonijna, piękna i niepospolicie malownicza, niegdyś rzeczywista strażnica kraju, dziś chyba starożytnicza, artystyczna jego ozdoba tylko. Pod

próżnemi murami zamku przysłoniła się ku skale niewielka wiejska osada, Kała-kiojli zwana.

Mieliśmy jeszcze całą godzinę drogi do miasta, lecz drogi najprzyjemniejszej, wśród winnic i sadów. Ruch był niezwykły, — czuć było winobranie. Turczynki, spuszczające się z pod zamku na swych osiołkach do winnic, niezmiernie były widać zaintrygowane moją postacią. Pytały ciekawie Halila, czym Stambulczyk, czy może poprostu Frenk jaki—całkowicie giaur? Zrozumiałem tedy, że w tych tu prawowiernych stronach głębokiej Anatolii Stambuł wcale nie jest „en odeur de sainteté", że go tu mają za miasto zgubnego zepsucia i godnej potępienia pobłażliwości dla niewiernych. Lecz co do mnie, niewiele mnie gorszyła taka surowość sądu. Między prawowiernemi megerami nie było ani jednej ładnej, a nie mogłem się w tem mylić, bo wieśniaczki mało się w podróży żenowały.

Miasteczko Kara-hissar niczem się szczególnem nie odznacza; dość porządne przecie, bogate widać i w prześlicznem położeniu. Mimo winnic obfitych, wina jednak bardzo tu mało wyrabiają, gdyż ludność przeważnie muzułmańska. Za to przyrządzają tu wiele bekmesu. „Bekmes" jest to patoka, zcukrowany sok z winogron, używany zamiast miodu i cukru do potraw i napojów, wyśmienity w pewnego rodzaju szerbetach. Wyrabiają tu tego znakomitą ilość i po całej okolicy, a czasem nawet i w dalsze strony w wątorach baranich rozwożą. Mój przewodnik umiał mi wiele o tem opowiedzieć, bo właśnie sam się rozwożeniem bekmesu trudnił późną jesienią.

W Kara-hissarze miałem pierwszy miejski popas od chwili opuszczenia Tarsu. Jako człowiek lepszego towarzystwa, musiałem, zdaniem mego Turka, zatrzymać się w kawiarni. Tam zająłem cały „czerdak", cały pomost, przykryty daszkiem od słońca; miałem wyborną prawdziwie kawę i owoce, a mogłem mieć „nargile", „berbera" (golibrodę), i wszelkie podobnego rodzaju rozkosze wschodniego kom-

fortu. Nieopodal kawiarni była dla koni porządna murowana stajnia. Niedługośmy przecie bawili w Kara-hissarze: przyrzekłem Halilowi, że odwiedzę jego siedzibę w Argeu; niedaleko już być miało, a on pałał pragnieniem, aby dziś koniecznie stanąć między swoimi. Ruszyliśmy więc „jawasz, jawasz" — powoli z Bogiem.

Co do mnie, nie wiedziałem, jak to daleko właściwie. Wieś kędyś na pochyłości góry, a góra sama zdawała się być tuż, o jaką godzinkę tylko. Przejechaliśmy przez most, a dalej znów w nieskończone pasmo winnic. Mój stary góral, po zwyczaju, w czasie winobrania zbierał sobie jako podróżny od pracujących w winnicach haracz na drogę i dzielił się ze mną co najlepszemi gronami. Samochcąc wieleśmy czasu na tym poborze tracili. Nieraz mnie nawet zatrzymywano po drodze i, jako obcemu, kazano próbować, co to za przewyborne gatunki ten lub ów gospodarz posiada — i owo „eh czelebi, dur bakałym" — zatrzymaj się na chwilę, — niejednokrotnie się powtarzało. Nie dziwiła mnie wcale ta patryarchalna gościnność; dziwiłem się tylko swemu koniowi, że to go nie niecierpliwiło.

Poza winnicami mieliśmy znów rozległą, pustą dolinę. Gdzieniegdzie tylko konie się pasły przy strażniczym namiocie; puszczone na linach, dogryzając wyżółkłą trawę, radośnie odzywały się ku naszym powitalnem rżeniem. Gdzieniegdzie też ciemniały w głębi wysokie topole, wskazujące, jak i u nas, ślady osad. Aż do strażnicy „zaptyów", żandarmeryi, pilnującej tu bezpieczeństwa dróg, jechaliśmy wciąż kajsaryjską drogą. Lecz stąd ruszyliśmy bezdrożem już kręto na prawo, posuwając się bez śladu przez wilgotne kępy torfowisk. Koń mój, zwalniając kroku stopniowo, nakoniec przestał mi służyć. Wszelkie zachęty okazały się próżnemi: biedne stworzenie było zmęczone nie do opisania. Nie było co poczynać: puściłem konia luźnie i ruszyłem pieszo, nie chcąc przesiadać się na drugiego, co także ledwie włókł nogi.

Przeczuwałem, co mnie w dzikim ostępie czekać może.

Mimowoli obejrzałem rewolwer i przyspieszyłem kroku, byle przed zachodem słońca choć jaki ślad ludzkiej siedziby dostrzedz. Zauważył to mój stary; podbiegł do mnie, upewniając mnie na wszystkie świętości, żeśmy tu stokroć bezpieczniejsi, niż na wielkiej drodze, że do zachodu dostaniemy się na podgórze, a w górach to już jego strona — „bizym toprak, bizym memleket" — gdzie mu każdy kamień i każda żyjąca istota od dzieciństwa znane, a „chyrsyzów", jakimi nas Grecy w Andawelu straszyli, wcale niema. Potem nagle rzucił się z rozwścieklenieм do konia, chcąc go biciem zmusić do żwawszego kroku. Nie pozwoliłem na to. Począł więc koniowi wymyślać od „matek" i „synów", całym gradem krasomówstwa turańskiego. To obudziło we mnie podejrzenie, które mnie wnet do wykrycia istoty rzeczy doprowadziło. Wpadłem na myśl, że tu w grze jakaś „chłopska" taktyka być musi. W odpowiedzi tedy na jego wyrzekanie na konia, nasiadłem z góry na swego Turka, że on sam winien temu, iż konie iść nie chcą, a że moje argumenty równie prawowiernie rozpoczynały się od „kiopa, kiopek-ogłu", nie mogły więc pozostać bez wrażenia.

— Tyś, łotrze stary, nic koniom nie dawał na popasie?

— A kiedy jęczmień taki drogi — była odpowiedź — i do domu tak blizko!

Oburzyło to mnie do najwyższego stopnia. Dla oszczędzenia sobie pary piastrów, chciał niegodziwiec, żeby konie kilkanaście godzin szły bez popasu, na rachunek tego, że tam w domu sobie wypoczną kiedyś. Ale też miał się z pyszna odemnie za to: dotknąłem go okrutnie, powiadając, iż napewno Arab nigdyby tego nie zrobił. Rozbroił mnie przecie powoli mój stary, zaklinając się na wszystko, że on sam konie lubi, że mu się nigdy nic podobnego nie wydarzyło, że wreszcie nie jego wina, iż konie go zawiodły, bo choć droga ciężka, ale szkapy tęgie i nie powinny go były na wstyd taki narazić. Istotnie, koń ana-

tolijski, jak i arabski, uchodzi kilkanaście godzin bez popasu, ale lekko; a nasze były dobrze ujuczone i w górach dość się już znużyły.

Pogodzeni poszliśmy przy koniach naprzód trochę raźniej. Halil zapewniał mnie, że tuż pod górą w ostępie spotkamy osadę. Lecz próżne było wyczekiwanie: słońce zachodziło powoli — i zaszło. Stanęliśmy u podnóża Argeu po zrobieniu 3-ch godzin. Konie, orzeźwione nieco świeżością powietrza, poczęły iść raźniej, lecz pieszo nie było sposobu posunąć się naprzód: ostatni wybuch wulkanu okrył podnóża góry szeroką warstwą ostrego, podruzgotanego w kawałki kamienia, po ciemku zaś nie było możności pilnowania się ścieżki. Zdecydowałem się tedy wsiąść na konia i dostać się już nie do osady zapowiedzianej, lecz byle do jakiej pieczary przynajmniej. Uśmiechała mi się nadzieja jakiego ogniska, bo w oddali, na prawo od drogi, widzieliśmy w pomroku wracające z pastwisk stada, słyszeliśmy klekotki owiec i psów szczekanie. Poczęło się chmurzyć.

Tymczasem niceśmy w tem strasznem kamienisku nie spotykali — męczyliśmy siebie i konie napróżno. Wnet tedy zrozumiałem, iż Halil wziął na kieł, ażeby na całą noc ruszyć wąwozami pod górę, byle prędzej stanąć w domu. Obiecywał mi cichy nocleg i zapewniał o najzupełniejszem bezpieczeństwie. Awanturowanie się takie przecie nie było ani możliwe, ani niezbędne. Wolałem zresztą po dniu wznieść się na szczyty i postanowiłem już gdziekolwiek noc spędzić, pod pierwszym lepszym większym kamieniem. Gniewało to niezmiernie Turka, ale musiało być podług mojej woli. Pierwej jednak chciałem popróbować, czy wśród „czobanów" (pasterzy) nie znajdę przytułku. Zwróciłem więc w prawo z drożyny, kierując się lekkim stąd odgłosem. Napróżno mnie Halil powstrzymywał, wyrzekał i straszył: musiał zdążać za mną — przestałem mu wierzyć. Lecz i nadzieja na czobanów okazała się płonna. Słyszeliśmy z oddali przycichające wołanie pasterzy, szczekanie psów, aż na-

koniec wszystko zamilkło i stada ustąpiły w górę na nocleg. Ani jednej żywej duszy w tem najdzikszem ustroniu, jakie tylko wyobraźnia sobie wytworzyć zdoła. Mogłoby się zdawać komu, że w takiej chwili ogarnia człowieka usposobienie przykrego sieroctwa lub trwogi nieokreślonej. Lecz gdzie tam! dzika surowość warunków wywołuje podobny oddźwięk i w duszy, i jest się śmiałym — niema grozy, którejby się spokojnie nie spotkało. Takie widać już szczęśliwe prawo psychicznej czy fizycznej natury człowieka; inaczej przyszłoby może strachowi lub rozpaczy w samotności uledz.

Gdym się tak zawzięcie posuwał naprzód, niewiedzieć dokąd, a stary mnie nudził z tyłu przygadywaniem, że próżno i siebie i konia męczę, bo żadnego w tej stronie przytułku nie znajdziemy — nagle posłyszeliśmy za sobą tętent daleki i następnie chrzęst rozsuwanych kopytem kamieni. Oczywiście rewolwer nieruchomy nie pozostał, lecz wprędce powrócił do pochwy, gdy się jeden tylko jeździec ukazał; sprawcą zaś takiego rozgłosu było widać echo w dzikiej, podgórskiej pustyni.

W jeźdźcu, co nas wkrótce dopędził, poznaliśmy górala z poblizkiej osady, co z doliny spóźnioną porą do domu wracał. Zdziwił się on niepomału, spotkawszy podróżnych na takiem bezdrożu. Lecz żwawo wytłómaczyliśmy mu nasze położenie i ja z mej strony prosiłem go o radę.

— Rada łatwa, jeśli macie dobre konie, powiedział nieznajomy, lecz jeśli zmęczone, niema o czem myśleć, choć nasza wieś niebardzo stąd daleko.

Pytam go więc, czy nawet jaskini pasterskiej w pobliżu nigdzie niema.

Odpowiedział, że i o to teraz w pomroku niełatwo.

— Więc i kawy nie będzie gdzie uwarzyć?

Na magiczny wyraz „kahweh" Turek jakby się przeobraził: wszystkie władze umysłu w nim się przebudziły.

— A, kawy zrobić?! — no, ruszajcie za mną; przypo-

minam sobie jedno ustronie, bardzo blizkie stąd — kawę zwarzyć juźci się gdzie znajdzie. I mój koń też zmęczony, to i ja sobie przy was chwilę wypocznę.

Ruszyliśmy więc za nieznajomym góralem. Bez drogi, wśród ostrych kamieni, ujechawszy paręset kroków, znaleźliśmy się u niewielkiej jaskini, wzniesionej z kamiennych brył przez czobanów, przy której rozciągała się koszara obszerna dla stad, również kamieniem ogrodzona.

Żaden hotel nigdy nie był tak dla mnie pożądany, jak ten przytułek. Chciałem natychmiast wkwaterować się do jaskini, ale powstrzymał mnie głośny wykrzyk mych Turków „ołmaz"! — jaskinia zaniedbana oddawna i pełna gadów napewno — „ołmaz"! Co tu począć?...

Zdecydowaliśmy się tedy umieścić przy ścianie jaskini, w obwodzie koszary. Na gołem ostrem kamienisku rozpostarłem składowe części mego jucznego siodła — i już byłbym się za szczęśliwego uważał, gdyby nie deszcz, co powoli, nudnie a gęsto pruszyć począł. Mając dobre wino z sobą, nie potrzebowałem myśleć koniecznie o ognisku, tem bardziej, że nie było czem go rozniecić. Lecz nie tacy skorzy byli do ustępstw konieczności Turcy moi. Kawa uśmiechała się do nich urokiem nie do zwalczenia, tem bardziej, iż wiedzieli, że mam ją wprost z Arabistanu. Nieznajomy nasz ruszył tedy sam poza koszarę i wprędce wrócił z wiązką suchych badyli. Wzięli się do ognia obaj Turkowie, lecz że badyle były dość zmoczone przez deszcz, niemało więc mnie zapałek, a sobie waty namarnowali.

Ognisko przecie zapłonęło. Ale gdy przyszło do robienia kawy, okazało się, że w podróżnem naczyniu wody niema, a do źródła było niezmiernie daleko. Zdekoncertowanie prawowiernych było najzabawniejsze: zazdrościli mi szczerze, żem chrześcijanin i, mając wino, mogę się obejść bez kawy. Wkrótce nieznajomy nas opuścił, a ja, znużony drogą, znudzony deszczem, zasnąłem snem błogosławionych, ani chwili nawet we śnie nie przypuszczając, żem

wypoczywał w siedzibie srogiego niedawno tu zbójectwa. Próżno Halil próbował mnie do jazdy dalszej nakłonić: musiał doczekać aż do świtu.

29 września.

Dziwnie „chłopska" natura mego Halila! Że go paliła niecierpliwość dostania się coprędzej do domu, gdy go już zawiał dym z poblizkiego własnego „odżaku" (ogniska), to rozumiem najzupełniej; ale pocóż męczyć konie głodem, choćby najbliżej było do domu? Niebawem poznałem dotykalniej jeszcze ową w starcu stronę. Przez nocleg straciliśmy kilka godzin czasu i odjechaliśmy parę wiorst zupełnie z drogi. Postanowił on tedy wszystko to należycie powetować. Gdyśmy więc z pierwszym brzaskiem siedli już na konie, on, nic mi nie mówiąc, zwrócił nagle w prawo i bez drogi, bez ścieżki, ruszył na przełaj, w zamiarze skrócenia sobie drogi objazdką. Nie zrozumiałem na razie chłopskiego pomysłu: koń mi padał wśród kamieniska — zsiadłem — nie pomogło, tylko buty sobie w niwecz poszarpałem o ostry kamień. Ale nic to wszystko; uparty Turek mnie cieszy, że oto tuż, tuż i porządna (oczywiście w tureckiem rozumieniu) droga, gdy wtem niespodzianie stajemy nad przepaścią i tylko cośmy w nią z końmi nie runęli. A... tego już dosyć! — więc po naszemu, za barki Turczyna.

— Czy ty znasz drogę, stary ty „kiopek-ogłu"?

I potrząsłem ile sił starczyło przyjacielem janczarów.

Stary zająknął się i wyrzekł tylko:

— Winienem; chciałem najlepiej. Tędy naprawdę bliżejby było. Jeśli pozwolisz, czelebi, próbujmy jeszcze.

Rozśmieszył mnie tem i rozbroił. Nieinaczejby też i u nas zbłąkany w puszczy przewodnik sobie począł.

Widziałem wyraźnie przed sobą linię rozdołów, przez które niełatwoby się było przedostać; zwróciłem więc w lewo, w tył nieco, ku przypuszczalnie najbliższemu punktowi wczo-

rajszej ścieżki. Miałem słuszność za sobą, stary więc wojak sułtana Mahmuda niemo skierował swego konia za mną. Wprędce też istotnie natrafiliśmy na główną ścieżkę, prowadzącą niewielkimi wąwozami wciąż pod górę.

Poranek cudny na wzgórzach, powietrze pełne nieopisanej świeżości po nocnym deszczyku, wynagrodziły nas za wszystko: wprędce zapomnieliśmy niedawne trudy i niebezpieczeństwa, i wzajemne urazy. Jednej tylko przykrości nie mogłem w sobie uciszyć, widząc, jak stary mój wojak stał mi się naraz bardziej niż militarnie posłuszny, gdy dostrzegł we mnie dość siły do rozkazu i gotowość onej użycia. Ale próżno — taki to już cały Wschód od wieków, nie nam go naprawiać. Wiekową pracą cywilizacyjnego wpływu może Europa z czasem pocznie powoli zwracać dług, zaciągnięty tylostronnie, tylokrotnie u Azyi, a wtedy może i stopa moralnego poczucia osobistej godności podniesie się w masie starych azyatyckich społeczeństw.

Od podnóża góry, od noclegu, mieliśmy półtrzeciej godziny do wioski mego kiradżego wśród wyżyn. Po wstępie wcale nieujmującym, wyobrażałem sobie więcej dzikości na pierwszych liniach wyżyn tych, niż istotnie znalazłem. Wznosząc się z tej tu zachodniej strony, im wyżej posuwaliśmy się, tem więcej spotykaliśmy życia. Wydarte dzikiej skale ostępy zajęte były na pola uprawne — coraz gęstsze zarośla, coraz ruch większy. Dziwić to musi zawsze cudzoziemca, gdy widzi najżyzniejsze równiny, doliny rozkoszne, najzupełniej opuszczone, a dzikie gór ustronia zaludnione, uprawne. Przyczyną tego pierwotnie był większy stopień bezpieczeństwa w górach, a dalej i sam już zwyczaj trzymania się raz zajętej i uprawionej miejscowości.

Na pół drogi zatrzymaliśmy się na chwilę w pierwszej górskiej osadzie, zapowiadającej swą powierzchownością świat jaskiń podaniowych troglodytów. Osada jednak była rolnicza i pasterska, obfitująca w jęczmień i mleko. Uczęstowano też nas tutaj wybornym górskim jourtem. Następnie,

podnosząc się dalej w górę, spotykaliśmy na pochyłościach i rozproszone stada pasącego się bydła. Ogólny przecież pozór kraju nosił jakiś różny od innych górskich okolic charakter. Około godziny siódmej, o ślicznym, świeżym poranku, stanęliśmy na widowni upragnionej siedziby mego Halila, we wsi Kyzył-eren.

Wspaniały i ujmujący widok mieliśmy przed sobą — wspaniały grozą górskiego majestatu, ujmujący świeżością sielską. Wieś Kyzył-eren ciągnęła się długiem pasmem na pochyłości nad ściśniętą doliną, przedstawiając oku całe bogactwo urozmaicenia wsi podkarpackich, rozsiadłych wśród skał i zieleni drzew i sadów. Ponad wsią na prawo, w przechodach wzgórz łagodnych i ostrych wyżyn, piętrzyły się śnieżne wierzchy Ardżyż-dahu. Cała zaś okolica zdawała się być rozigraną falą rozbudzonego morza, ręką natury w igrzysku swem zatrzymaną, skamienioną. Droga nasza wiła nam się wśród gołych kamieni i uprawnych ogrodów.

Lecz niełatwo nam było swobodnie zdążać do Kyzył-erenu. Halil był już na swoim gruncie, co krok spotykał coś, co go obchodziło, kogoś, co go interesował. Po drodze też zatrzymywano nas co chwila: każdy z sąsiadów wypytywał wracającego od morza sąsiada z osobna — powitań, pozdrowień, zatrzymywań, opytywań co niemiara!

A moja osoba jakiemże to curiosum musiała być dla wszystkich! Frenk, Europejczyk tu w górach, rzecz niesłychana, a przynajmniej rzadka niezmiernie. Zaciekawienie było nie do opisania: grzeczność przecie nie pozwalała rozpytywać mnie bezpośrednio. Niemniej i mnie świat ten zaciekawiał. Wolałem wszakże dostać się coprędzej do wsi już samej.

Gdyśmy mijali ogród jakiegoś notabla Kyzył-erenu, starca o pięknej białej brodzie, wyglądającego na chodźę lub mułłę, Halila mi na dobre zatrzymano. Rad byłem z tego, bo mi dano za przewodniczkę do wsi, do domu Halila, ja-

kąś kobietę niezmiernie żywą i mówną. Nie było w tem nic nadzwyczajnego — w górach jest się bardziej swobodnym, niż gdzieindziej.

— „Bizym adet baszka dyr" — u nas inny obyczaj — powiedziała mi przewodniczka u wstępu, gdym ją zapytał, czy jej to nie żenuje towarzyszyć mężczyźnie. Żem giaur, nie musiała przypuszczać, mając mnie prędzej za jakiegoś Stambulczyka. Twarzy swej nie kryła wcale — nie była ładna, ale miała duże, czarne oczy, usta kształtne i wyraz śniadej, pociągłej twarzy nadzwyczaj swobodny i energiczny, w każdym zaś ruchu zdradzała krewkość młodego wieku. Ciekawość jej miała coś w sobie naiwnie dziecinnego. Opytywała mnie o Stambuł i jego cuda — to o morze z niemniejszą żywością — i zdaje się, że odpowiedzi moje zadowalały ją dosyć. Nie zdołałem przecie rozmowy porządnie poprowadzić: mówiła narzeczem, do którego wcale nie przywykłem, z właściwą sobie intonacyą i kobiecą szybkością. Przyjęcia drobnego upominku, „bagszysz", jaki stanowił moteczek jedwabnych kolorowych nici, nie odmówiła. Pożegnałem też ją uprzejmie, gdy u wjazdu do samej wsi i mój kiradży nadjechał.

Kyzył-eren była to istna siedziba troglodytów, wieś jaskiń. Widoczna, iż pierwotnie służyły tu ludziom za mieszkanie naturalne pieczary i jaskinie, znajdowane wśród skał; z biegiem zaś czasu pieczary te rozszerzano, obrabiano i ogładzano onych ściany, okrywano wejścia i wogóle, dla większej wygody, wspierano naturę pracą rąk. Wytworzył się stąd cały tryb budowniczy jaskiń. Gdy zaś naturalnych pieczar zabrakło, poczęto budować sobie podobne do dawnych z kamienia. Na tym stopniu budownictwo i dziś tu stoi — potrzeby życia nie wymagają niczego wyższego. Oczywiście jaskinie te porozrzucane są bez planu, jedne obok drugich, jedne nad drugiemi, na całej pochyłości wybranego wzgórza. Przedstawia to więc widok bardzo oryginalny, tem bardziej, że wierzchy znacznej części jaskiń pokryte są stosami

chrustu, jaki na nie składają tak dla mienia opału pod ręką, jakoteż i dla ubezpieczenia dachu grubą warstwą gałęzi z liśćmi od deszczu.

Stanęliśmy nakoniec w siedlisku Halila—oskoczyła nas dziatwa i kobiety — konie rozjuczono w mgnieniu oka, a mnie obejrzano od stóp do głowy. Dziatwę niezmiernie mój „giozłuk" zaintrygował, nie mogła widać pojąć potrzeby okularów. Na podwórku zawrzało życie — wszystko było zaambarasowane godnem przyjęciem dostojnego gościa, mehendysa etc. etc. Zakłopotanie okazało się zbyteczne. Halil był człowiekiem zamożnym, posiadał w podwórku aż trzy jaskinie; jedna z nich, jakby świetlica dla gości, była pusta, tę więc dla mnie przeznaczono.

Gościnne moje mieszkanie było rodzajem podziemnego sklepienia, opartego o stromy bok skały, a mającego 3 kroki szerokości i więcej niż dwa razy tyle długości. Budowa była sklepiona owalnie, z dużych, gładkich do wnętrza złomów skalnych, szczelnie z sobą ściśniętych. Wejście do niej również owalnie sklepione i tak porządnie, że ręczę, najwymyślniejszy budowniczy nicby mu zarzucić nie mógł. U góry niewielki otwór na dym i światło; na uboczu, u węgła od wejścia „odżak", ognisko niezbędne. Podłoga również kamienna, gładko ubita. Co do sprzętów, każdemu zostawała swoboda wyobrażenia ich sobie takiemi, jakiemi komu się podobało.

Jak należało się spodziewać, pierwszym aktem gościnnego przyjęcia było rozłożenie ogromnego ogniska, podsycanego nieustannie świeżym zapasem drzewa. Polecono to dziatwie. Mnie zaś zalecono natychmiast ułożyć się do snu, aby wypocząć po całonocnem awanturowaniu się. Podziękowałem szczerze za dobrą radę i tak wygórowaną grzeczność, a obiecując, że po wypoczynku gotów będę na przyjęcie odwiedzin szanownych przyjaciół mego gospodarza, istotnie próbowałem wypocząć.

Gdym się po godzince przebudził, spostrzegłem całe

grono różnobarwne sąsiadów i przyjaciół mego gospodarza, poważnie zasiadających u wejścia do pieczary z nim razem. A Halil kończył widać jakąś dłuższą poprzednią rozprawę, bo jeszcze dosłyszałem, jak półgłosem wymawiał wyrazy:

— Nie Frenk i nie Madżar nawet, tylko Lech. Także giaur, ale to trzeba być w wojsku, aby to rozumieć; a wreszcie dosyć tego — „dost", „musafir" — i koniec!

Chodziło tu o zdeterminowanie mego charakteru najwyraźniej, i stary musiał wystawiać sąsiadom swego gościa z najbardziej ujmującej ich wyobraźnię strony — tak pewnie jego własne uczucie honoru nakazywało.

— „Sabbah chejr ołsun"! — dzień dobry — przemówiłem, podnosząc się nieco na swym dywanie, przy powitaniu towarzystwa. — A co, czy nie napilibyśmy się kawy z cukrem (szekerły kahweh)?

Spodziewany uśmiech błogiego przyzwolenia przeleciał po wszystkich obliczach, młodych i starych. W mgnieniu oka więc przyniesiono dzban wody i wzięto się do „dżezweh" — naczynia pospolitego do kawy. Z kawą się góral nieczęsto widuje, a z cukrem jakże rzadko! Wiedziałem dobrze, co za wrażenie wywrze ów dodatek „szekerły", i dlatego odrazu go rzuciłem. Nikt takiej pokusie oprzeć się nie zdoła! Lecz nim do „obrzędu" kawy przystąpiono, wszedł mały chłopczyna z „kajmakiem" — śmietanką we właściwy sposób w kożuszki sprażoną, powiadając, że przynosi ją dla „musafira" od matki swej, za „bagszysz", jaki przy towarzyszeniu mu otrzymała. Spytałem malca, czy ma więcej rodzeństwa; odpowiedział mi, że ma jeszcze dwie młodsze siostrzyczki. Obdarzyłem go więc, ku podziwowi mej hojności, kilkoma kawałkami cukru, z któremi rozpromieniony Turczynek błyskawicą zniknął. Hojność taka ośmieliła i starszych. Dwaj z poważniejszych gości, widząc mnie przygotowującego cukier do kawy, nie mogli się powstrzymać, aby nie poprosić o kawałeczek, składając się tem, iż mają chorych w domu.

Przy kawie, podawanej i przyjmowanej z niewiele mniejszą obrzędowością tu między dziczą, jak w najbardziej dystyngowanym „selamłyku" (salonie możniejszych), rozpoczęła się równie obrzędowa powitalna gawęda. Pospieszyłem jednak natychmiast sprowadzić ją na tor pospolity, uprzedzając wszelkie przypuszczalne, mnie dotyczące, zapytania, własnemi opytywaniami. Chodziło mi najwięcej o to, jakie lud miejscowy posiada tradycye o sobie samym i o swojej górze. Lecz wszelkie moje badania nie doprowadziły mnie do niczego. Koniec końców, to tylko powtarzano, że lud miejscowy są to Turcy, są muzułmanie i że takimi byli przed wieki, a i Ardżyż-dah stoi tak dzisiaj, jak stał przed wieki. Legend o jego wulkaniczności żadnych; zato anegdot kilka, świadczących o niebezpieczeństwie zuchwałego zapuszczania się na szczyty, bez świadomego przewodnika.

Osada Kyzył-eren ma do 200 siedzib (domów) i przeszło 1000 mieszkańców, licząc w to i sąsiednią mniejszą wioskę, która podobno inne nazwisko nosi. Ludność jej muzułmańska niekoniecznie tureckiego jest pochodzenia: typ mocno zmieszany, a ślady krwi semityckiej może istotnie wskazują na bezpośredniejszy związek mieszkańców dzisiejszych z ludem starożytnej Kappadocyi. Zatrudnienia ludności tej: wypas bydła, dowóz drzewa z gór do miasta Kajsarieh, transporty karawanowe między główniejszemi punktami handlu a tem miastem i nakoniec rola. W obyczaju więcej swobody, niż w dolinach; muzułmanizm nie zdaje się być zbyt surowym; zbójectwo już tylko wyjątkowe. Zwyczajów jakichś szczególniejszych nie potrafiłem dostrzedz. Ubiór również zwykły anatolijski, bez zawoju, fez o lekkiej przewiązce tylko; u mężczyzn kolor brunatny przeważa.

Usposobienie militarne powszechne. Moi goście wiedzieli, iż mam jakąś broń nową, tajemniczą: już im to wszystko był Halil opowiedział. Mimo przymawiań się przecie, nie spieszyłem wcale z wydobyciem mego rewolweru,

chcąc ich tem bardziej zainteresowcć. Uniesienie nad rewolwerem i sztuką Frenków oczywiście było wielkie — od starca do dziecka każdy musiał się mu przyjrzeć. Najniezawodniej też żaden inny wynalazek nie obudziłby tak gorączkowego zajęcia się, jak lada okaz ulepszonej broni.

Myśliwstwo jednak wcale tu niewielką gra rolę, ani jako zatrudnienie, ani jako rozrywka nawet. Wprawdzie Argeus nie obfituje w zwierzynę dotyla, aby aż pobudzić pewną część ludności do oddania się myśliwstwu; lecz dla rozrywki niemało tu jednak zwierza, ptactwa przedewszystkiem. Wogóle nawet dostrzegłem w Azyi nieskończenie mniej myśliwskiego usposobienia, niż wszędy w Europie. Przyczyną tego utajoną jedynie być może głębokie panteistyczne uczucie, nurtujące wszędy w Azyi, nawet wśród muzułmanizmu: jakieś mistyczne poszanowanie dla wszelkich żyjących istot, począwszy od owadów, najdokuczliwszych dla wyznawców koranu. Nie rozumiem przynajmniej, czemuby to innemu przypisać należało. Nie można tego na karb ociężałości policzyć, bo właśnie Azyaci zbyt zdolni są do owej chwilowo, doraźnie gorączkowej czynności, jakiej polowanie wymaga. Myśliwy jest to człowiek nadludzkich wysileń i największy próżniak zarazem, a takim jest przecie każdy Turek, każdy Kurd i Arab. Spokojniejszy, umiarkowańszy w swych usposobieniach Europejczyk, skoro się tu znajdzie w odpowiednich warunkach, staje się nieodzownie myśliwym. Nie mam tu nawet na myśli tych rozbitków węgierskich, którzy lat parę utrzymywali się tylko z polowania na brzegach Małej Azyi. Wszyscy są podobni.

Stary mój Halil, ocuciwszy się we własnem legowisku, śród swoich i w rodzinnej pieczarze, tak się tu odrazu rozgościł, iż nie dał sobie ani mówić o dalszej natychmiast podróży. Stał się on na jaki tydzień niewymownie interesującą osobą dla całej osady, a wreszcie musiał-ci przecie mieć też swój „kief", swój „rahat", musiał wygodnie wypocząć.

Zrozumiałem, iż próżne byłoby naglenie go. On zaś mnie zobowiązywał, abym w swej gościnnej jaskini przepędził już i dzień cały. Pobyt tu dłuższy, nieruchomy nie przedstawiał wszakże dla mnie już żadnego interesu; wypoczynku nie potrzebowałem, wolałem więc ruszyć po wyżynach Ardżyżu dalej.

Do Kajsarieh zostawało mi tylko pięć godzin; postanowiłem tedy noc tę spędzić w mieście. Po południu więc dano mi świeżego konia, kikunastoletni syn gospodarza siadł na osiołka i za przewodem takiego „kałauza" puściłem się dalej po świecie troglodytów. Znaczna czereda górali przeprowadziła mnie między jaskiniami, wązką ścieżką, aż za wieś, gdzie dobrodusznie mi powiedziała swe „selamet ileh" — jedź z Bogiem! Halil nadto złożył mi jeszcze dzięki, za co, tego już nie wiem; tak widać, dla przyzwoitości. Powoli zatem ruszyliśmy, wydostając się z mniejszych ścieżek na większe.

Rozwierała mi się górska kraina co krok to cudniejsza, piękniejsza nieskończenie nad tę, jaką porankiem przebyłem. Na prawo zwisały nademną piętrzące się szczyty, wiekuistym śniegiem okryte, zasłaniając mi widnokrąg od południo-wschodu; na lewo wyżyny rozbiegały się w dal odemnie, jak rozkołysane strasznym huraganem fale. Ileż to teraz piątr, złomów, zwojów, rozdołów, wąwozów, przepaści — urozmaicenie nie do opisu! Lecz charakter ogólny surowy, groźny, dziki — nagie skały przemagają nad miarę w zapasach z roślinnością. Czepia się drzewina boków i pochyłości, urodzajne rozdoły wcale dobrze uprawne; wszakże wszystko to niknie pod jakąś purpurowo-szarą skał powłoką. Trzy bite godziny takiej drogi w skałach!

Jechaliśmy ścieżkami, co się nam wiły najfantastyczniejszym wężykiem, prowadząc to ku wyżynom nad przepaście, to w łagodniejsze rozdoły lub między strome skał ściany. Koło trzeciej godziny ogólny krajobraz przybrał jeszcze bardziej majestatyczne kontury — widnokrąg się roz-

szerzył i widokiem dalekich dolin urozmaicił. Zwolna i cezarejska dolina poczęła się zarysowywać, uwydatniając jeszcze fantastyczniej gór kontury!

Po drodze rzadko kogo spotykaliśmy. Z początku minęliśmy gromadkę górali, wiozących na grzbietach koni i osłów wiązki gałęzi i chrustu do miasta. Później kilka podobnych gromadek wracających z targu wieśniaków. Postać moja tu w górach widać była czemś nadzwyczajnem naprawdę, bo spotykano mnie z pewnego rodzaju zdumieniem, opytując mego małego przewodnika, cobym tu też wśród gór mógł robić — „ne japijor bu Frenk"?! Odpowiedź mrukliwa mego Turczynka: „mehendys dyr", była jednak zupełnie wystarczająca. Co tu pytać dalej?—Gdyby powiedziano: — ot jadę przez szczyty Ardżyżu na księżyc, takżeby to nikogo nie zdziwiło — od tegoż mehendys!

Po trzygodzinnej jeździe poczęliśmy się spuszczać z wyżyn, zstępując w coraz obszerniej rozścielający się z terasy na terasę wąwóz. Im niżej się spuszczaliśmy, tem piękniejsze mieliśmy po obu stronach drogi sady i winnice. W winnicach życie, wesołość sielska, rozkosz dzieci i kobiet — ostatnie winobranie, dzień prześliczny, pora cicha, słońce jasne, bez upału.

Zjechaliśmy w dolinę — już tylko godzina od Kajsarieh. Coraz żywiej, ludniej, weselej. W oddali, od strony miasta, kłęby kurzawy zwiastują jakiś pochód tłumniejszy. Dolatują nas odgłosy muzyki, przygłuszane głuchem huczeniem bębnów. W oddali z ponad kurzawy przebłyskują jasne chorągiewki, zwinięte na drzewcach księżycem uwieńczonych. Zbliżamy się bardziej ku orszakowi. Poprzez tłum wysuwa się od czasu do czasu kilku jeźdźców: śliczne konie — jeden arabczyk siwy, dwa gniade anatolskie; na arabczyku starzec o białej brodzie poważnie przewodzi, na gniadoszach dwaj młodzi ludzie, bogato a gustownie ze staro-turecka ubrani. Dalej orszak kilkunastu koni pospolitszych otacza dwie lekko przysłonięte zielonemi zasłony

araby. W arabach jaśniejące świątecznie kobiety. Oczywiście tureckie wesele spotykamy. Pytam. — Istotnie, pannę młodą odprowadzają do domu nowożeńca. W pierwszej właśnie arabie cała w bieli — to ona; starzec na siwoszu — to ojciec pana młodego, a oto ten ładny chłopak, co na rączym turczynie przed swą wybraną harcuje — to on sam, szczęśliwy! Rozminęliśmy się, przy grzecznem nawzajem powitaniu. Lecz długom jeszcze oglądał się poza siebie. Piękny to obyczaj — konno i zbrojno od ślubu; zbyt barbarzyński już może, lecz jakże poetyczny.

Dalej znów wesołe tłumy, wracające z winnic. Wśród nich i ja pod wieczór wjeżdżam do stolicy dawnej Kappadocyi — Caesarea Mazaca, dziś Kajsarieh zwanej.

29 września. (c. d.) *)

Stolica starożytnej Kappadocyi przedstawiła mi się z oddali, przy ostatnich promieniach zachodzącego słońca, w piękności zupełnie sielskiej. Gdyby nie białe strzały minaretów, unoszące się ku niebu, gdyby nie majestatyczny Argeus, wszędzie tu przytomny, wziąćby ją było można za jaką szeroce rozrzuconą słobodę stepów naszych. Przy zbliżaniu się złudzenie to nikło, ustępując miejsca widokowi istnie azyatyckiego, anatolskiego miasta.

Wjechałem w labirynt uliczek wązkich a krętych, nie rozjaśnionych ani jednem prawie okienkiem. Mimo oswojenia się, przykre to zawsze sprawia wrażenie ten brak jasnych twarzyczek w oknach, coby samochcąc, choćby swem zaciekawieniem się, przychodnia witały, jak w naszych miastach prowincyonalnych. Słynne Kajsarieh, noszące dotąd nazwę, co cezarów przypomina, nie zajęło mnie też niczem żywszem u wjazdu. Gdzieniegdzie tylko chrześcijańskiej

*) Tygodnik Illustrowany 1874 r., Nr. 330, 331, 333, 334, 335, 336, 337, 338 i 339.

dziatwy gromadka, lub łańcuch spóźnionych wielbłądów, przerywających odgłosem monotonnym swych blaszanych klekotek uroczystą wieczorną ciszę. Czasem znów przesuwająca się jak cień, zasłonięta, niema postać dziewczyny, wracającej ze dzbanem wody na głowie, od fontanny do domu. Nadomiar tego muezzyni oto z minaretów już do modlitwy wieczornej prawowiernych wzywają.—Trzeba przyspieszyć kroku.

— A dokąd mamy zajechać?—pyta mnie mój mały przewodnik. — Do „Jeny-chanu" — odpowiadam bez namysłu, będąc pewnym, iż musi być przecie wszędy gospoda tej nazwy, jak po naszych miastach Hotel de l'Europe lub d'Angleterre. — Nie zewiodłem się.

Stanęliśmy nareszcie przed wcale ładnym maurytańskim łukiem, wznoszącym się nad potężną, mocno kutą bramą. „Chosz gieldyn safa gieldyn"! wita mnie uprzejmie odźwierny i wprowadza na obszerny dziedziniec, pełen życia i wrzawy. — Dobrzem trafił — to gospoda chrześcijańska. Nie mogłem wątpić o tem, ujrzawszy się w jednej chwili otoczonym przez tłum różnobarwny, witający z nieudanem zainteresowaniem się rzadkiego w owych stronach wędrowca z Europy.

— „Bir mehendys gieldy"! — inżynier przyjechał — rozległo się po całym dziedzińcu i wszystkich kryjówkach rozległego chanu.

— Mehendys! mehendys! — wołają zewsząd.

— A! czekaliśmy cię tu oddawna! — powiada jeden.

— Z czem do nas przybywasz? — pyta drugi.

— Naprawdę — co nam przywozisz?—most jaki, drogę kamienną, czy może żelazną? — powtarza inny.

— I to wszystko zapewne kosztem sułtana! — dodaje ironicznie ktoś z tłumu.

— Zadługo przyszłoby nam czekać! — słychać w odpowiedzi.

— Pewniej byłoby, gdyby Anglicy wzięli to już na siebie.

I tak dalej — cały grad podobnych uwag i zapytań, — nietylko o mym zawodzie, lecz i o osobie.

Rad byłem niezmiernie z takiego powitania. Kajsarieh było dla mnie zupełnie obce: nie miałem tu ani jednej osoby, do której byłbym adresowanym—a kto zna Wschód, rozumie, ile się na tem traci. Wprawdzie przypomniałem sobie był młodego armeńskiego negocyanta, z którym tej wiosny jechaliśmy razem w jednej karawanie syryjskiej ze Skanderuny do Halebu; ale gdzie go było na razie szukać, gdym i jego nazwiska zapomniał. Chętnie tedy zostałem i ten raz jeszcze domniemanym inżynierem i, zsiadając z konia, począłem odpowiadać na wszelkie czynione mi zapytania tak, jak komu było potrzeba. A że dwa rodzaje były zapytań — nietylko naiwne aż do dzieciństwa, lecz i w całem znaczeniu przebiegle badawcze, doświadczeniem wiedziony, utrzymałem nadawany mi charakter poważnie i stanowczo.

Tymczasem rozjuczono mi konia i zaprowadzono mnie do nadspodziewanie przyzwoitego pokoiku („oda") na przestronnej dokoła dziedzińca galeryi pierwszego piętra. O wypoczynku nie było co myśleć; — razem z powitalną kawą napłynęła czereda najprzeróżniejszego ludu, która, rozsiadłszy się u mych drzwi na galeryi, czuła się w obowiązku bawienia nieznanego gościa. Chodziło jej właściwie o proste przepędzenie nudów, o wywiedzenie się delikatne, kto to jednak przecie ten Ingliz czy Madżar, czy nie pokaże on przypadkiem jakich rzeczy nadzwyczajnych, jakiej sztuczki („maryfet") lub maszynki: — że posiadać musi, to pewna, lecz czy nie pokaże? Tem zaś wytrwalej, założywszy nogi, siedziano, o ile syesta taka miała uchodzić zarazem za dowód atencyi i wysokiej etykiety. Niebawem i ja przeniosłem się na galeryę; rozmowa poszła żywiej. Oczywiście rozdzierająca Zachód wojna stała się najgłówniejszym przedmiotem:

zajęcie się nią na Wschodzie było powszechne. Nie tyle wszakże obudzały zdziwienia klęski Francuzów, ile to—skąd się też, ni stąd ni zowąd, taki jakiś Purus wziął na świecie! Współczucie dla Francuzów było widoczne jedynie wśród armeno-katolików, muzułmanie byli dość obojętni na ubijatykę daleką Frenków między sobą — interesowali się tylko przez ciekawość; za to Grek każdy radował się najotwarciej z upokorzenia Francyi.

Czem innem zupełnie był zajęty tłum ludu pozostały na dziedzińcu. Jeny-chan był przedewszystkiem kupieckim chanem. Przedstawiał on rozległy czworobok wyniosłych murów, otwartych po azyatycku tylko na wewnątrz. Kto zna weneckie prokuracye, niech je sobie wyobrazi odwróconemi ku wnętrzu, a będzie miał ideał azyatyckiego chanu. Tu cały dół, pod kolumnami frontowemi, służy za stajnie, czasem zaś w części i na składy cięższych towarów; pierwsze piętro z galeryą przeznaczone zwykle na mieszkania gościnne, ciągnące się dokoła łańcuchem cel niewielkich; piętro zaś górne służy wyłącznie na same już składy osobne. Podobny widok przedstawiał i nasz chan. Jasnym, cichym wieczorem na dziedzińcu wrzał ruch niepospolity: jedni przyjmowali towar z grzbietów cieszących się ulgą wielbłądów, drudzy swój towar układali w juki, dla jutrzejszej ze świtem wyprawy. Kajsarieh bowiem jest-to dość ważne handlowe miasto; głównymi tu pośrednikami handlu są chrześcijanie; nic tedy dziwnego, że w ich najznaczniejszej gospodzie taki ruch ciągły.

O zmroku na całem okolu górnej galeryi zajaśniały, na wszystkich prawie punktach, rozproszone, drobne, ciemno-różowej barwy ogniska. Były to tak zwane „mangały" — naczynia gliniane, żelazne lub miedziane nawet, nieraz misternej roboty, których na Wschodzie powszechnie używają do żarzenia węgli. Zbliżała się właśnie, po wieczornej modlitwie (achszam namaz), obowiązującej tu wszystkich bez różnicy kultu, pora samej wieczerzy. Restauracyi,

w europejskiem znaczeniu, wcale tu niema, a jeśli nawet gdzie się znajdzie jaki „achczy-baszy"—kuchmistrz miejscowy — rad go każdy unika. Stali mieszkańcy stołują się z obyczaju w domu, a podróżni, stojący w chanie, tak przywykli do radzenia sobie wszędy, że zawsze wszystkie niezbędne naczynia mają z sobą w swych jukach i pospolicie sami sobie warzą i smażą na mangałach — co Bóg dał znaleźć świeżego na bazarze.

Różnicy w tem niema — ubogi czy bogaty, Azyata dotąd pozostał koczownikiem we wszystkich swych zwyczajach i nawyknieniach; nawet stały mieszkaniec miasta w domowym swym trybie nie różni się od ogółu. Charakter ten zaś jest tem bardziej powszechny, ile że lud panujący jest ze krwi i z ducha nomadą. Wszystko więc tu obliczone na dogodniejszy układ w juki, na możność łatwiejszych przenosin na grzbiecie konia lub wielbląda: sprzęty, naczynia, narzędzia. Każdy nadto musi się potrosze znać na wszystkiem, a więc i na sztuce kuchennej. Niewymyślna jest ona w podróży; lecz takie zaimprowizowane na mangale potrawy są przecież dość smaczne, zdrowe i niepospolicie tanie.

Pałały tedy zarzewia po całej galeryi, podsycane przewybornym węglem z twardo-drzewnych zarośli wyżyn sąsiednich. Nieraz mangały przysuwały się ku sobie, sąsiedzi z pobliższych „ód" gościnnych łączyli się razem w jedno towarzystwo, dzielili się wzajem co kto miał gotowego i swobodnie pędzili czas na żywej rozmowie. Do jednej z takich grup i ja, jako nowy przybysz, zostałem uprzejmie zaproszony przez współwyznawców.

Niebawem dały się słyszeć i śpiewy. Nie dziwiło mnie to, że pieśni były tylko tureckie: wiedziałem już uprzednio, iż język turecki wziął stanowczo górę nad innymi językami Anatolii, że nietylko Ormianie w znaczniejszej części, lecz i Grecy stron głębszych używają go za swój domowy, nie znając wcale innego. Ormianin przedewszystkiem zżył się

z nim może już na wieki i posiadł tajemnicę jego poezyi. O ile Cygan jest najwymowniejszym wyrazicielem pieśni i muzyki madżarskiej, o tyle tu pieśń turecka zdobyła sobie najwyższego mistrza w Ormianinie, bez różnicy kultu. Syn ten Araratu, zeszły w doliny, może ją natchnął nawet w części i swym aryjskim duchem i stał się jednym z pośredników między Europą a wielkim światem turańskim. Pieśń turecka nieobca jest też pewnym oddźwiękom i naszych stepów. Przy dogorywającym odgłosie tej pieśni usnąłem i ja snem cichym na pierwszym noclegu w kappadocyjskiej Caesarei. Jutro miałem się z nią bliżej zapoznać — „inszałłah"!

30 września.

Co to za nieporównany ten Wschód głęboki dla podróżnika! — żaden cycerone cię tu nie napastuje, jak w miastach nadbrzeżnych — i jesteś zupełnie swobodny co do rozporządzania swym czasem. A trzeba przyznać, że to nie mała rzecz być wolnym od takiej plagi, jak cycerone! Nawet turysta dla rozrywki wiele na tem traci: traci możliwość i cały urok niespodzianych wrażeń, bo musi się nieraz poddać nudnie rutynicznemu programatowi swego przewodnika — jeśli nie franta, to najpospoliciej człowieka pustego zupełnie. Rzadko też bardzo pomiędzy cyceronami z rzemiosła spotkać można osobę mniej-więcej odpowiednio wykształconą lub poważniejszą przynajmniej. Podróżnik tedy istotny najlepiej sobie radzi, gdy używa cycerona w ostateczności jedynie, w pewnym wyjątkowym razie, lub wogóle jakby na dobitkę tylko. Posługiwanie się zaś powszednie darowane być może chyba przejezdnemu tylko, co, w braku czasu, radby w przelocie choć cokolwiekbądź widzieć. Lecz to wszystko stosować się da wyłącznie do mieszkańców kontynentu, nie do obywateli Wielkiej Brytanii: Anglicy bowiem i pod tym względem wolą należeć do wy-

jątków — dlaczego sobie żałować, gdy się zapłacić może guida i cycerona?

Rano wstawszy, nie myślałem tedy o przewodniku. Chan, w którym się zatrzymałem, znajdował się w środku miasta, tuż przy bazarze. Wyszedłszy więc poza bramę, natychmiast mogłem się puścić w zawiły labirynt uliczek i przejść bazarowych. Nic mnie tu nie uderzyło osobliwszego, coby wyróżniało targowisko tutejsze od innych anatolskich. Toż samo urządzenie, ten sam tryb i charakter we wszystkiem. Gdzieindziej wprawdzie bazary lubią otaczać wielkie meczety; tu za to sklepy przysłoniły się pod wzgórzem, najeżonem basztami pięknego starożytnego zamku, dziś w ruinach. Potężne mury głównej ulicy targowiska, przedstawiające piękne łuki sklepowe, stylu maurytańskiego, o drzwiach dębowych, silnie kutych — obecnie w zaniedbaniu, nieme świadczyły, iż Kajsarieh miało w przeszłości szczęśliwsze dla swego handlu chwile. Pośrednicząc między Armenią i Kurdystanem a Karamanią i Anatolią właściwą, było to miasto najważniejszym punktem tranzytowym. Obecnie, w chwili przełomu, w chwili przejścia ku nowym warunkom komunikacyi i handlu, utraciwszy nieco z dawnego blasku, nie zdobyło sobie jeszcze Kajsarieh należnego stanowiska; lecz jest to tylko rzecz czasu — topograficzne położenie zawsze tu decyduje, a nowe drogi i koleje ustalą znów stosunek normalny.

Przechodząc powoli po zakrętach bazaru, widziałem z przykrością, że i tu fabrykat europejski zabija rękodzielnictwo Azyi, że i tu równie sklepy zawalone taniemi wybiórkami wyrobów zachodniej Europy. Trzymają się tylko miejscowe wyroby specyficzne — jak odzież wełniana, obuwie, rzędy na konie, dywany i naczynia miedziane. Na straganach z żywnością obfitość nadzwyczajna: dostatak warzywa i owoców wybornych gatunków.

Gdy, tak opatrując bazar, przechodzę skromną ustronną uliczką mimo otwartej framugi („dukkiean") krawieckiej, słu-

żącej, jak wiadomo, na Wschodzie za sklep i za pracownię zarazem — gospodarz na widok mój podnosi się nagle ze swego kilimu, zbiega ku mnie na ulicę i wita mnie najserdeczniej, jako pożądanego gościa. Sądząc po powitaniu, rozumiałem, iż to ktoś z mych towarzyszy jakiej dawniejszej podróży; ale rysy pozdrawiającego wcale mi były nieznane.

— Czy się nie mylisz, czorbadży, pytam, czy mnie nie bierzesz za kogo innego?

— Jako żywo nie! My się raz pierwszy spotykamy, ale tyś, widzę, katolik i — sam, jam też równie katolik, a co więcej, Europejczyk, jak i ty.

Spojrzałem na mniemanego syna Europy, lecz nic zachodniego dostrzedz w nim nie mogłem. Był w stroju miejscowym, mówił po turecku, a wyrazem twarzy wcale nie różnił się od Anatolczyków. Dopiero przemówienie po grecku i parę włoskich wyrazów dało mi poznać, z kim mam do czynienia. Dowiedziałem się dalej, iż nieznajomy był Syrotą z Archipelagu, z tej warstwy ludności katolickiej, która tam od zaboru latyńskiego, z czasu krzyżowych wypraw i panowania Wenecyi pozostała, dostał się zaś w świat obcy, szukając pracy i zarobku; a żyje tu nie z Grekami, lecz z Ormianami wyłącznie, bo to jego współwyznawcy.

Naprożno starałem się uwolnić od natręta, naprożno dziękowałem mu za ofiarowane mi usługi: w postępowaniu jego było tyle szczerej naiwności, iż dałem się zwyciężyć.— Dalej poszliśmy już razem po mieście. Łatwo zrozumieć, iż pierwszym celem naszej wycieczki wspólnej z Syrotą musiało być ormiano-katolickie kolegium, przedmiot dumy mego przewodnika. Chętnie też zgodziłem się na propozycyę, tem bardziej, że tam spodziewałem się zasięgnąć najpewniejszych informacyi, dotyczących tak przeszłości kraju, jak i jego obecnego położenia.

Wiedziałem, iż Caesarea kappadocyjska, obecna Kajsarieh, posiada stolicę arcybiskupią armeno-katolicką; spodziewałem się tedy, że ujrzę tu świątynię conajmniej wie-

kiem sędziwą, jeśli nie wspaniałą, i że świątyni tej odpowie stosownie i jej otoczenie. Zdziwiła mnie więc niepomału skromność i nowoczesność całej budowy. Arcybiskupa nie było w mieście, trafiliśmy przecie bardzo w porę, bo, oprócz kilku księży, zastaliśmy zgromadzenie znaczniejszych obywateli cezarejskich. Okazało się, że i mój Syrota był prostodusznie poczciwym i poważanym człowiekiem. Przykro mi było, iż go tak długo odstręczałem swą szorstką nieufnością; lecz darował mi to łatwo i zostaliśmy przyjaciółmi.

Między księżmi znalazłem dwóch młodych — wychowanych na Zachodzie, znających Rzym, Wenecyę, mówiących po włosku, po francusku i rozumiejących europejskie stosunki. Byłem więc dla nich bardzo pożądanym gościem. Obchodziły ich wszakże stosunki religijne przedewszystkiem, w związku z ważącą się ówcześnie na soborze kwestyą autokratyzmu kościelnego. Wychodząc ze swych oryentalnych zasad, oczywiście występowali oni jako liberalni autonomiści. Lecz muszę się przyznać ze wstydem, że nie mogłem uniknąć wewnętrznego upokorzenia, gdy mi przyszło odpowiadać na zapytania, dotyczące stanu religijnego u nas: czułem to, iż oni lepiej rzecz znają i więcej wiedzą odemnie. Obchodzą ich żywo i nasi Ormianie. Cała ta rozmowa, tak niby europejska, była prowadzona przy zachowaniu wszelkich oryentalnych form towarzyskich — we wschodnim selamłyku, na nizkich sofach, między nieodzowną kawą z sorbetami. Towarzystwo świeckie żywo się przyłączyło do niej i domowy język turecki przyprowadził nas niepostrzeżenie do rzeczy miejscowych.

Wyrzekali Kajsaryoci, że są zupełnie pozbawieni moralnej opieki państw europejskich; że ich miasto, zanadto posunięte w głąb kraju, choć mniej małoznaczące od wielu innych, nie będąc stolicą odrębnego wilajetu, nie posiada ani jednego konsulatu. Dowodzili mi, iż dziś nie potrzeba już grozy wyłącznie na baszów, że dostateczną jest sama

obecność konsulów, by władze miejscowe powstrzymywać od bardziej krzyczących nadużyć. Lecz zdaje się, iż w swych utyskiwaniach dochodzili do przesady, przypisując swemu mutesaryfowi dążenie otwarte do ich zguby. Każde wyznanie ma tu swój autonomiczny, komunalny zarząd, ma swego delegata w medżlisie, posiada najzupełniejszą swobodę urządzania swych szkół i instytucyi dobroczynnych; nareszcie wyznawca każdej wiary ma spokój u ogniska swego domu. Czasy barbarzyńskiej przemocy i fanatyzmu niepowrotnie przeminęły. Na razie odwiedzaliśmy i szkółkę, wcale dobrze prowadzoną; dziatwa śliczna i zabawnie a filuternie poważna w swem obszernem ubraniu. Oczywiście mowa tu o chłopakach tylko; na dziewczęta czas jeszcze nie przyszedł. Koniec końców, mniejsza z tem, na czas jakiś, że bardzo głośno w dzwony bić nie można.

Archidyecezya cezarejska, razem z arcykatedrami w Halebie, Maraszu, Mardynie i Melitene, zależą od patryarchy cylicyjskiego i stanowią z kilku nadto biskupstwami kościół armeno-katolicki w Azyi. Wyznawcy kościoła gregoryańskiego są przecież liczniejsi. W okolicach Kajsaryi posiadają Ormianie starożytny i piękny klasztor „Surp Garabed", pod wezwaniem św. Jana. Lecz przetrwał tu w pobliżu i grecki klasztor z dawniejszych czasów Taxiarchi, którego przełożony nosi tytuł biskupa z Nazyanzu, katedry niegdyś św. Grzegorza, dziś zaledwie w podaniu ludowem zachowanej.

Wogóle jednak ślady greczyzny bardzo tu nieliczne; na Kajsaryi kończy się osadnictwo greckie w Anatolii. Jest tu jeszcze kilka wsi greckich w okolicy, ale i te oddawna zatraciły swój język i mówią po turecku. Żywioł armeński bardziej tu na swym gruncie. Usadowił się też od wieków, jeszcze w starożytności, począwszy od czasów Tygrana i Mitrydata, i powoli wyparł stanowczo dawny semitycki pierwiastek Kappadocyi. Dziś śladów semityzmu trudno tu do-

strzedz; lecz i czystego turańskiego typu, wyjąwszy Turkomanów koczowniczych, bardzo tu niewiele.

Dzisiejsze Kajsarieh, jak każde starożytne miasto, przechodziło bardzo rozmaite koleje dziejowe. Jako Mazaca, stolica niezależnej Kappadocyi, zajmowało ono miejsce dzisiejszego Eski-Kajsarieh — ruin, leżących nieco dalej na zachód ku Argeusowi. Ulegało następnie zwierzchnictwu Persów i greckich dziedziców Aleksandra; w wojnie Mitrydata zdobyte przez jego zięcia, dzielnego króla Armenii Tygrana, stało się ostatecznie łupem Rzymian. Udostojnione przez nich jako Caesarea Mazaca, wzniosło się to miasto do znacznej potęgi, gdy w III wieku, w czasie napadów Persów, miało mieć, podług podania, 400,000 mieszkańców. W 268 r. Sapor je zdobył i mieszkańców w pień wyciął. Po Byzantynach zajęli je wyznawcy islamu, zachowując mu zhelenizowane miano Kajsarieh. Dziś jest ono obwodowem miastem wilajetu Angory.

Towarzystwo Kajsaryotów, jakie zastałem w kolegium armeńskiem, z największą uprzejmością udzieliło mi wszelkich pożądanych informacyi. W swobodnej, nieprzymuszonej rozmowie potrącaliśmy o wszelkie miejscowe pytania. Że mnie miano za inżyniera, zwracano ostatecznie całą tę rozmowę na przedmiot komunikacyi. Rozumiano wybornie nieodzowność porządnych dróg i kolei żelaznych i zawsze kończono rozpaczliwym wykrzyknikiem:—czyż my się tego kiedy od Turków doczekamy?! Niemniej przecie obchodziło ich zaopatrzenie miasta w dostateczny zapas wody. Strumień Kowa-su, płynący ku Kyzył-irmakowi, nie wystarczał dla miasta; u podnóża olbrzymiego Argeu tymczasem jest dosyć źródlisk żywej wody. — Czyżby jej się nie dało sprowadzić do miasta za pomocą wodociągu?—Wy to potraficie — powtarzano mi.—Był tu przed laty jakiś inżynier, badający nasz wulkan wygasły, co o tem powiadał. Wy to potraficie! Wiesz co, effendy, mówiono, jedź z nami do źródlisk — zobaczysz; wiemy, że to cię nic osobiście nie

obchodzi, ale zrób to dla nas, damy ci dobrego konia, zbierze się nas więcej, zrobimy towarzyską wycieczkę — tam śliczna okolica, a wy wycieczki lubicie! — Nic nie pomogły moje wywijania się — śliczna okolica, nowa strona Ardżyżdahu, koń obiecany, towarzystwo najróżnorodniejsze, były to pokusy wreszcie niełatwe do zwalczenia.—Ależ brak czasu, powiadam. — A więc natychmiast jutro na koń — i na trzy dni w drogę; nocleg znajdziemy dobry w osadzie. — Zgoda! — Do jutra tedy, a dziś cały wieczór na zwiedzanie co ciekawszego w Kajsaryi. — Kto wie, czy tylko nie starych grobowisk jedynie — ktoś dodał. — Zobaczymy — do widzenia, a potem do Urgiubu razem!

Poobiednią swoją wycieczkę zwróciłem znów przez bazar ku zamkowi, „kale". Piękna ta ruina, świadcząca o świetniejszej przeszłości, panuje i dziś nad całem miastem i stanowi środkowy punkt muzułmańskiej jego dzielnicy. Szkoda, że ten zamek tak niedbale utrzymany, bo i teraz jeszcze mógłby być odpowiednio zajęty. Ale nic nie może iść w porównanie z zaniedbaniem, w jakiem zostaje „konak", dwór baszy, przybytek całego zarządu miejscowego. Proszę sobie wyobrazić obszerny dziedziniec, a dokoła niego nie rząd łamany portyków i galeryi, jak to być musiało lub mogło, lecz najlichszą ruderę, brudną, zapuszczoną, odrapaną, podobniejszą do szeregu kurników lub szop pustych — i oto „konak". Widziałem ja wiele już baszowskich konaków, wszakże podobny spotkałem raz pierwszy dopiero. Mieli słuszność „czorbadżowie", co dziś rano utyskiwali przedemną na brak konsulatów: istotnie byłyby Turki, ze wstydu przed Frenkami, przeniosły się do opuszczonego zamku. Wreszcie mają tu się z czego łatwo budować; wiele murów wzniesiono ze złomów lawy, która zalega pochyłości Argeu. Ale co tam baszy do tego; niech sobie jego następca o tem myśli!

Ruch za to ciągły na dziedzińcu konaku patryarchalnością swą pierwotną zupełnie osłaniał podobne otoczenie.

Najnieprzymuszeńsza tu bazarowa swoboda. Każdy bez przeszkody rusza śmiało dokąd ma potrzebę i przekłada rzecz swą jak umie. Pisaniny niewiele; niełatwo bo też i pisać wiele, na kolanach, skurczonemu „kiatybowi", gdzieś w kącie u schodów, na świeżym wietrzyku, lub choćby na dywanie lub sofie. Za to „muhur" (pieczęć) gra tu niepospolitą rolę — każdy porządniejszy mieć ją musi. Stąd archiwa bardzo nieskomplikowane: parę „sanduków" po kątach i trzy, cztery „torby" na kołkach — oto cały skarb archiwisty. Opłaty interesantów wcale niewielkie: za to bez „bagszyszów" nic tu się nie robi. „Zaptyeh" — (strażnicy) równie nieodzowni, ale nieporównani w swej familiarności. Nieodzowniejszy przecie od nich „kahwedży": bez kawy bowiem jakże tu co począć! Na ustroniu przy kawie rozstrzygają się nieraz najzawikłańsze interesa cicho, spokojnie, bez wodzeń się, bez interwencyi. Niezawodnie wszystko to bardzo, bardzo pierwotne, a jednak mogłaby biurokracya niemiecka niejednej tu się rzeczy nauczyć.

Niedaleko od konaku starożytne grobowce armeńskie świętych i znaczniejszych osób, oryginalnej ośmiościennej formy. Innych starożytnych, z czasów chrześcijańskich, pomników Kajsarieh nie posiada.

Meczetów ma kilkanaście. Najgodniejszym zastanowienia jest „Ułu-dżami"—wielki meczet, pochodzący z XIV w. Jest on stylu nadzwyczaj prostego, jaki spotykamy w najpospolitszych muzułmańskich świątyniach. Lecz w meczecie tym znajduje się „tiurbe" — grobowiec czczonego derwisza Huena, również formy ośmiościennej, okryty ozdobami stylu maurytańskiego, niepowszedniej piękności. Mogłem o tem przekonać się zblizka, bo kiedym, wszedłszy na cmentarz, przypatrywał się wnętrzu meczetu przez kraty, jakiś „chodża" sędziwy, widząc zainteresowanie się Europejczyka, uprzejmie mnie powitał i poszedł przynieść klucze. Była to względność tak niespodziewana i tak niezwykła, iż nie chciano temu w towarzystwie chrześcijańskiem wierzyć. Po-

czciwy chodża, wprowadzając mnie do dżamii, chciał widocznie zaimponować może tylko cudzoziemcowi przepychem ozdób dobrego stylu, jakie okrywały grobowiec świętego islamu męża. Dzięki mu za to!

Znużony poobiednią wycieczką po mieście, późnym wieczorem wróciłem na wypoczynek do swego chanu. Sąsiednią mojej odę zajmował jakiś poważny Turek, kupiec („tuddżar") bogaty z Konieh. Parę słów zamienionych z Hadżi-Ibrahimem obudziły w nas wzajemną potrzebę bliższego poznania się. Potomkowie ikonijskich Seldżuków obchodzili mnie więcej od innych Turków: mniej ich znałem, a byłem pewny, że oni właśnie przedstawiają typ czystszy od Osmanów. Treści więc naszej rozmowie nie brakło.

Gdy się sobie tak bawimy, przywołując cienie groźnych koczowniczych zdobywców, słyszymy naraz od strony bramy wjazdowej dziki okrzyk: „jangin" — pożar! Dowiadujemy się wprędce, że środek bazaru pali się i najznaczniejsze chrześcijańskie sklepy w płomieniach. Biedz było daleko, nie zgadzało się to ze wschodnim obyczajem, a zresztą nikt w chanie nie był osobiście zainteresowany. Nawet widocznie niewielką to obudzało ciekawość w pierwszej chwili. Lecz gdy raz po razie donoszono, że pożar się szerzy, a ogień zwraca się w naszą stronę, wtedy i w chanie poczęło to wywoływać żywsze zajęcie, wtedy i my z mym Seldżukiem przerwaliśmy naszą gawędę o Togruł-begach i Alp-Arsłanach i poszliśmy za innymi.

Jeny-chan, jak wszystkie budowy w Kajsarieh, posiadał dach płaski. Dach taki służy tu za miejsce wieczornego wypoczynku (kiejf) w czasie lata, tem przyjemniejsze, o ile w zamkniętem mieście przedstawia otwarte widoki okolic — rozległe i wspaniałe. Tu też często przyjmują się i odwiedziny wieczorne. Szczyt jeny-chanu przedstawiał nadto dokładny widok i na całe miasto. Tu więc, niebawem, niemal wszyscy znaleźliśmy się, wiedzeni ostatecznie potrzebą zapewnienia się o istotnej możliwości bliższego niebezpieczeń-

stwa. W głębi miasta płomienie srożyły się już na znacznej przestrzeni; łuna objęła purpurową jasnością cały strop nieba, zatrzymawszy się tylko u wierzchołków olbrzymiego Ardżyż-dahu; ogień, mimo pozornej ciszy w powietrzu, widocznie się szerzył. Lecz przytłumiony odgłos gwaru ludzkiego świadczył uspokajająco, że groza jeszcze daleko. Chciałem po naszemu ruszyć ku pożarowi; ale mój stary Turek przymusem powstrzymał mię od tego. Nie zrozumiałem w pierwszej chwili doniosłości jego wyrazów: — zapominasz, żeś obcy tu i sam jeden! — Pozostałem — nikt mi wreszcie ze znajomych chanu towarzyszyć nie chciał. — A płomienie tymczasem rosły i rosły, a łuna zaogniała się bardziej i bardziej; iskry poczęło nieść ku nam.

Koło godziny 10-tej dziedziniec nasz, dotąd pusty i cichy, powoli zaczął się ożywiać i zawrzał niesłychanym ruchem. Urosło przekonanie, że pożar Jeny-chanu nie sięgnie, a jeśli nawet dojdzie tak daleko, znajdzie tamę w potężnych murach tego karawan-seraju. Dawaj-że tedy wszystko tu znosić z pobliższych magazynów i sklepów, zagrożonych niebezpieczeństwem — dawaj-że tedy walić towar na dziedziniec dokoła studni. Zgiełk, wrzawa, gwar nie do opisania, Zeszliśmy i my na dół. Tu dopiero przedstawiło się mym oczom widowisko niewypowiedzianej malowniczości: widowisko ludu tureckiego w rozpasanym ruchu. Cała robocza klasa uboga, muzułmańska, zbiegła się na pożar—kto w czem miał. Część jej została przy ogniu, część zaś była użyta przez kupców do przenoszenia towarów w bezpieczniejsze miejsce. Nie widywałem dotąd jeszcze w Turkach tak dzikiej, zbiorowej energii. Zakasawszy rękawy do ramion, miotali ogromnemi pakami jak atleci. W ich ruchach widoczną była gorączka jakaś, blizka sfanatyzowania: w takim nastroju równie byli zdolni do wielkiego poświęcenia, jak i do zbrodni; wszystko im z drogi ustąpićby musiało.

Po upływie godziny niespełna pożar bez przerwy wzrastający tak się już zbliżył, iż zwątpiono i o Jeny-chanie.

Bogaci armeńscy i greccy kupcy, mający swe magazyny i składy pod dolną galeryą, postanowili, póki czas, przetransportować swe towary gdzie na otwarte miejsce poza miasto. Podróżni juczyli swe konie i osiołki, kto miał własne, i wyjeżdżali w drogę; inni zabierali swe torby i manatki na własne barki i unosili je na przedmieścia ku znajomym. Mimo to nie przestano jednak i w murach karawan-seraju szukać, jak dotąd, bezpieczniejszego schronienia. Z tego powodu powstaje w bramie tłok i wrzawa nad wszelki wyraz. Nadomiar tego coraz zwiększająca się ilość nieszczęśliwych, co potracili całe swe dobro, poczyna wywoływać, nie oglądając się w rozpaczy na nic, że pożar z konaku wyszedł, że to baszy sprawka. Skąd takie posądzenie — nie czas było o to pytać. Lecz niemniej zawzięcie przeczono temu, przypisując całe nieszczęście „kismetowi" tylko, przeznaczeniu. Wymagano zresztą dowodów, wskazania sprawcy. Niechby kto wtedy jednem słówkiem obudził podejrzenie co do charakteru stojącego w tłumie cudzoziemca, co był dziś w konaku i cały dzień wałęsał się niewiedzieć czego, po wszystkich zakątach miasta — a jużby było po mnie. Bezmyślne rozsrażanie się ludu na Wschodzie w chwili klęski jakiejś jest znane. Zrozumiałem teraz przestrogę poczciwego Turka. Co do mnie, nie czułem się przecie, aż do takiego stopnia, w złem położeniu. Skorom nabrał wraz z innymi przekonania, że i nasz chan zgorzeć może, bez wahania zdecydowałem się na wszystko. O opuszczeniu chanu nie było co myśleć; dokąd? — znalazłoby się... choćby do klasztoru; ale jak? Każdy był sobą zajęty; konia nie dostać, a powierzyć rzeczy w takiej zawierusze pierwszemu lepszemu z nawijających się, by się z niemi gdzieś przedrzeć, to lepiej było już się z góry ich wyrzec. Kupcy skarżyli się na łotrostwa niesłychane w czasie przenosin. Nie było tedy rady: zabrałem tylko same najniezbędniejsze do dalszej podróży rzeczy i tyle, ile ich na sobie zdołałem udźwignąć, a resztę zostawiłem na los szczęścia pod kluczem w mej odzie.

Uzbrojony wreszcie w fez i rewolwer, wszedłem między tłum koło studni i najnieprzymuszeniej, umyślnie począłem wśród niego burmistrzować, dając baczenie na porządek przy zwalaniu pak i juków. Kto rozkazuje, widać potemu ma prawo — i słuchano mnie jakoś. Parę wyrazów w trybie rozkazującym: „giel, git, gietyr, brak, hajdy" — chodź, idź, przynieś, porzuć, ruszaj! — zupełnie mi wystarczały. Szczęśliwym instynktem wiedziony, dobrze na tem wyszedłem: niktby takiego „mehendysa" nie poważył się zaczepić. Skoro jednak przestrzeń cała dokoła studni była zawalona a wrzawa wzmagać się zaczęła do niezniesienia, gdy wreszcie dostrzegłem, że mój znajomy z armeńskiego kolegium, kupiec bławatny, co posiadał tu swój magazyn, znajduje się w godnem litości położeniu — przedarłem się przez tłum i zbliżyłem się ku jego składowi. Nieszczęśliwy na wieść o niebezpieczeństwie Jeny-chanu, przybiegł z synem i sługą z dalekiego mieszkania i w myśli ratowania co się da jęli wyrzucać wszystko z magazynu — bliżej studni, bliżej wody.

Zajęci tem bez pamięci, ani dostrzegali, jak małe łotry z miejskiej muzułmańskiej chałastry, pod pozorem pomagania, unoszą co mogą. Wpadłem tedy z góry na szubrawców. Lecz niezupełnie to pomagało — trzeba tu było mocniejszych środków. W oburzeniu, żałowałem, żem zapomniał w Kairze ładny egzemplarz konstytucyi egipskiej, porządnie przez synów północy ze skóry hipopotama plecionej, a jaką fellahowie miejscowi, w swej naiwności, w wolnem z europejskiego tłómaczeniu, poprostu „korbaczem" nazywają. Nie było korbacza. Mimo to jednak zagrożony „tuddżar", (kupiec) był mi niewymownie wdzięczny, a syn jego, wychowaniec nowej katolickiej szkoły, obsypał mnie całym bezmiarem oryentalnych wyrażeń zobowiązujących, wypowiedzianych nadspodzianie dobrą francuzczyzną. Nieopisana rozpacz ogarnęła możnych chrześcijańskich gości, gdy nareszcie płomienie dosięgały już prawie Jeny-chanu; rzadko kto ufał mocy potężnych istotnie murów. Jedyny

chyba ów stary Turek ikonijski zdawał wszystko na Ałłaha, najspokojniej przypatrując się z wyżyny rozwścieklonemu żywiołowi. Rozpacz ta zaś przeszła wszelkie granice, na rozniesioną wieść, że jakaś wystająca na zewnątrz belka tlić się zaczęła. Uspokojono się zaledwie wtedy, gdy wiadomość okazała się mylna. Ogień zatrzymał się istotnie u murów karawan-seraju. Nakoniec koło północy pożar zaczął wszędy ucichać i cały przestwór rozległego zarzewia w środku miasta okrywał się powoli kłębami coraz ciemniej buchającego dymu. Starożytna Caesarea przedstawiała widok niby przygasającego krateru przedwiecznego wulkanu.

1 października.

Po tylu wzruszeniach ubiegłego wieczoru noc następną spędziło się bez zmrużenia oczu. Na naszym dziedzińcu powoli zaległa cisza; tylko zrzadka, od czasu do czasu, dawały się słyszeć z oddali okrzyki zgrozy, połączone z bólem. Znużony gorączkowem wytężeniem, wróciłem do swej „ody" i rzuciłem się na podróżną „sedżadeh" (dywan), biorąc juk za wezgłowie. Strasznie uczułem się samotnym! Ani jednego z bliższych, ani jednego Europejczyka—choćby na okaz! Zwykle nie lubiłem spotykać błędnych synów Europy na Wschodzie; w tej zaś chwili już ów młody Armeńczyk, co przed godziną dziękował mi serdecznie po francusku, stał mi się drogi. Nie był to strach — owszem w takich chwilach człowiek jest śmielszy niż zwykle, lecz była jakaś tęsknota nieogarniona.

Kto sprawcą takiej klęski? Dlaczego chrześcijanie muzułmanów winią, dlaczego winią władze? To niewytłómaczone. Co władzy po tem? Jeśli nie przypadek, to chyba jaka osobista zemsta, nie mająca nic wspólnego z religią lub polityką, była powodem tego nieszczęścia. Wschód wreszcie tak często pożarom podlega. Czy niema tu ogólniejszych przyczyn? Rozpasany bezład w administracyi zanadto jest znany: niema instytucyi, coby czuwała nad bez-

pieczeństwem miasta, niema narzędzi do ratowania od ognia— każdy zostawiony samemu sobie, rząd o tem wcale nie myśli. Ale dlaczegóż nie myśli o sobie sama gmina miejska? Jeśli prawowierni się usuwają, dlaczego gminy chrześcijańskie nie utworzą odpowiedniej straży w swych „mahałach" — dzielnicach? Mają potemu swobodę i prawo. Ale mów-że tu o tem! — „Istemes-czok zachmet" — obejdzie się — za wiele kłopotu! — A wygadywać potrafią. Prawy muzułmanin przynajmniej niezachwiany w swej pewności, że tak będzie, jak da Najwyższy, a od przeznaczenia się nie wybiega; więc nie dziw, że nie wiele o co dba i z góry spogląda na wszelkie zabiegi ludzkie. Od chrześcijanina jednak, co szczyci się wyższością swej doktryny, ma się prawo spodziewać dowodów większej energii. Lecz gdzie tam! Religia nic tu nie znaczy — próżniacy obaj, ze zwyczaju, i już „adet" ich taki! — powiedziałby człowiek Wschodu. Istotnie adet, obyczaj, wspólny tu wszystkim bez różnicy wyznań, a cieniowanie w nim bardzo jest słabe. Co więcej, w istocie samej religijnych wyobrażeń różnica zaledwie dostrzegalna: inne są dogmaty, inne formy; lecz poza niemi treść prawie jednostajna. Treścią tą powszechną jest wiara w „kismet" — przeznaczenie od Boga, różne nieco od ślepego fatum starożytnych, lecz więcej może fatalne. Muzułmanin szczyci się tą wiarą; chrześcijanin nie wie, co z nią począć, wszakże niemniej kismetowi się poddaje. W czasie pożaru oto pobożni prawowierni, dotknięci nieszczęściem, zachowywali się z godnym podziwu spokojem i poddaniem się woli wyższej; gorliwi wyznawcy Chrystusa musieli podobnie w duszy się korzyć, a najniezawodniej już jutro wszyscy bez wyjątku powiedzą sobie: co tu rozmyślać? — stało się—widać już „kismet" taki! Tylko ludzie słabej wiary miotają się bezsilnie—jak dzieci, jak Frenki! Ile w tem zaważa lenistwo, od klimatu zależne, trudno ocenić. Przyczyny ukryte; a tymczasem tysiąc może rodzin łza bólu od snu powstrzymuje.

Gdy mi się tak po znużonym umyśle przesuwają myśli, obrazy i przypomnienia powyższej osnowy, przechodząc w senne jakieś, nieokreślenie smutne marzenia, wsuwa się po cichu na próg mojej ody poważna postać mego najbliższego sąsiada.

— Śpisz, effendy?

— A któżby tu spać potrafił? — odpowiedziałem gościowi.

— Kto?—ja właśnie. Ja cały czas od północy spałem spokojnie, najspokojniej.

— Ty, Hadży-Ibrahimie?!

— A dlaczegóżby nie? — Co się stało, to stało, a bez woli Bożej ani jeden włos z białej mej brody nie wypadnie i niepokoić nam się nie godzi.

— Ależ taka klęska, tylu nieszczęśliwych!

— Bóg im dał, Bóg zabrał; zasłużą — znów ich wynagrodzi.

— Lecz dziś, zaraz, jakaż rada?

— Świat jałmużną stoi: bogatsi mają wszystko w jałmużnie od Najdobrotliwszego i winni się nią dzielić z nieszczęśliwymi.

— Tego może za mało. — A rząd, a padyszach?

— Rząd — „dewlet" dzisiejszy, kierujący się „tanzymatem"—ten bierze, a nie daje — wreszcie co mu do tego? — A padyszach — niechby tylko wojska bitne utrzymywał i chwałę Bożą szerzył, a nie do Frenków jeździł i ich „kralicę" do siebie spraszał. Prawowierni sami winni myśleć o swych „fukarah" (ubogich).

— Lecz w jaki sposób? — proszę cię, Hadży-Ibrahimie.

— W jaki sposób — przerwał mi nieco zniecierpliwiony zapytaniem stary Ikonijczyk — w jaki sposób! — a wszakże rozumiesz, że świat jałmużną stoi!

— Więc zawsze jałmużna — i tylko jałmużna?

— Zawsze i tylko! Tobie się zdaje, że to niedostateczne? Ubóstwo nikomu nie ubliża — owszem. Niech nieszczę-

śliwi znoszą cierpliwie swą niedolę, a będą mieć większą zasługę u Boga; a o to właśnie tylko w życiu chodzi. Kto zaś już jest bogaty, niech sobie jałmużną zasługę zdobywa. Jak wy tego, niewierni — daruj mi, effendy — nie możecie zrozumieć, a to rzecz taka prosta! — Ale tymczasem oto i słońce weszło — może przeniesiemy się na górę — przerywając wątek rozmowy — zagadnął mój Hadży.

— Najchętniej — nic odpowiedniejszego!

I za chwil kilka siedzieliśmy już na rozesłanej niewielkiej „sedżadeh" modlitewnej, na płaskim dachu naszego karawan-seraju.

Słońce tylko co opuściło swe łoże gdzieś daleko w górach armeńskich i uśmiechało się do ponurego Argeusa, chcąc mu pocałunkiem czoło zasępione rozchmurzyć. Cała dolina ku wschodowi od Kajsarieh, pełna winogradów, zajaśniała purpurowym odblaskiem pożółkłego liścia. A tuż pod nami, w środku miasta, smutne widowisko zniszczenia — gruzy, popieliska, gdzieniegdzie dogorywające głownie i niknące strumienie dymu.

— Smutno! — Ciekawym też, na jak wielkie straty naraziła miasto ta klęska? — nawiązując znów rozmowę, pytam Hadży-Ibrahima.

— Na jak wielkie straty?—A któżby o to pytał? O to pytać się nie godzi — „charam"!

— Dlaczego „charam"?!

— Co chciał Najwyższy, to zrobił, a liczyć się nam z nim wcale nie wypada. — Dziecinna to ciekawość chcieć zaraz wiedzieć o wszystkiem. Nie dziwiłbym się komu innemu, ale tobie... Tyś, widzę, człek poważny, nie lada Frenk jaki; tyś przecie równie „hadży"—pielgrzym; odwiedzałeś, powiadasz, wasz „Kuds" święty (Jeruzalem), musisz i sam znać rzeczy jak one są — chyba, że u was inaczej uczą.

Jak u nas uczą—trudno mi było powiadać poczciwemu wyznawcy koranu; wolałem na teraz zostać w jego oczach „hadżym" w całej swej powadze.

Dalej dumaliśmy sobie oryentalnie. O czem stary Turek myślał — nie wiem; ja myślałem o nim i o jego wierze. Przekonania jego nie uderzyły mnie — są to powszechne przekonania Wschodu. Lecz czy są one skutkiem religijnych wyobrażeń, skutkiem muzułmanizmu — wątpię; zdaje mi się, iż mniemanie podobne zdradzałoby wielką nieświadomość rzeczy. Historyozofia wie, że islamizm nie jest niezdolny do postępu! Kiedy zachodnia Europa jeszcze się szamotała dzika w pętach sromotnej ciemnoty, Arabowie hiszpańscy już przodowali cywilizacyi świata. Przekonania Hadży-Ibrahima były maksymami nie świetnych ówcześnie wychowańców akademii muzułmańskich, lecz świętobliwych wyznawców Chrystusa. Więc nie są one wynikiem jedynie zasad religijnych. Przyczyn tego należy szukać daleko głębiej. Być może, iż z czasem porównawcza historya cywilizacyi i etnologia swobodniej to rozjaśnią.

Przerwali nam nasze rozmyślania gwarnie wchodzący na górę chrześcijańscy kupcy, również goście chanu. Przyłączyłem się do ich towarzystwa. Poczęto obliczać przypuszczalnie klęski i straty: miało spłonąć kilkaset sklepów i sklepików (dukian), zawierających do stu tysięcy lirów tureckich (lub funtów angielskich) wartości. Na takie miasto jak Kajsarieh strata nadzwyczajna — powiadano: niełatwo mu się będzie teraz podnieść!

— Lecz gdy się podniesie, stanie porządniej, przestronnie się już pewno zabuduje, regularnie, z europejska najniezawodniej — zauważyłem ze swej strony rozprawiającym.

Dostrzegłem z niemałem zdziwieniem, że uwaga moja zrobiła niepojęte jakieś wrażenie na jednym z przytomnych, Greczynie karamańskim.

— Tak, tak — Stambuł palą rokrocznie, by się po europejsku odbudowywał... — odparł ze znaczeniem.

Później, gdyśmy zeszli z całem towarzystwem na dół, przechodząc koło mnie na uboczu, powiada mi z wyrazem jakiejś mistyfikacyi niby:

— Prawdziwie dziwne twe szczęście, effendy — przyjechałeś Kajsarieh poznać, a Kajsarieh spłonęło.

Spojrzałem na Greka: w jego biegającym wzroku, na jego mocno śniadej a wyrazistej twarzy zdradzało się jakieś złe podejrzenie. Nie rozumiałem go. Zaciekawił mnie jednak swoją osobą. Występował śmiało i otwarcie z zarzutami przeciw rządowi i władzom miejscowym, winił bez ogródki Turków w czem mógł i niedwuznacznie wskazywał na nich jako na sprawców głównych pożaru. Pytałem, skąd taka śmiałość? Dano mi do zrozumienia, iż „Kiryos" Chrystopulo czy Atanasopulo nie jest już wcale tureckim poddanym, lecz protegowanym jakiegoś mocarstwa i nadto ma krewniaka konsulem w poblizkim porcie. Rzecz tedy stała się zrozumiałą.

Nawiasem muszę wszakże przyznać, iż Grek anatolski, podobnie jak Rumeliota, ma wogóle śmiałość stawienia czoła Turkom i wobec nich prędzej chwyta za nóż, niż udaje się do pokory. To lud, co oddycha dumą swej historycznej legendy, mimo głębokiej demoralizacyi, gdy tymczasem odwieczny jego przeciwnik Ormianin godzi się z Turkiem, ulega mu i pochlebia, by wyzyskiwać. Turek zaś oddaje im wet za wet: Greka nienawidzi i obawia się go, Ormianina lekceważy, ale obdarza go swem zaufaniem. W naturalnem stąd następstwie, w obecnych warunkach położenia, Ormianie zdobywają sobie coraz potężniejsze pod rządem tureckim stanowisko, uciskając zewsząd Greków. Ci tedy za to coraz żywiej oddają się myśli panhellenizmu.

Gdy słońce już się podniosło wysoko, wybraliśmy się z jednym młodym Trapezundczykiem na miasto, dla zwiedzenia pogorzeliska. Przedstawiło ono nam zblizka widok daleko bardziej przykry i surowy, niż z oddali, z wyżyny naszego karawan-seraju. Tu na każdym kroku raziły jakieś szczegóły niedopalone—resztki wczorajszego zniszczenia. Rumowisko zalegało wszystkie przejścia; tłumy ludu chodziły po niem — ponure, milczące. Tu i owdzie dał się widzieć

ktoś poszukujący motyką żużla przynajmniej z pozostałych w sklepie pieniędzy lub naczyń metalicznych. Gdzieniegdzie zaś robotnicy, z polecenia władzy, obalali za pomocą sznurów sterczące złomy ścian, grożące zawaleniem się. Z kilkuset „dukianów" (sklepów) pozostał gruz, lecz ani jedno życie ludzkie nie było narażone. W tej smutnej naszej przechadzce spotkaliśmy się z mutesaryfem-baszą, postępującym w orszaku dostojników kajsaryjskich od strony przeciwnej, od konaku. Lud witał ich zimno, obojętnie; wszędzie, którędy przechodzili, zapadała na chwilę grobowa cisza: że to nie było dowodem poważania, nikt o tem nie wątpił.

Za powrotem spotkałem się z kilku osobami z towarzystwa, jakie poznałem był w kolegium ormiańskiem. Przypomnieliśmy sobie wczorajszy projekt wspólnej w ich kółku wycieczki do źródlisk, ku Ardżyż-dahowi — i smutno się nam wszystkim zrobiło. Prawie każdy z nich coś w tym pożarze utracił, a parę osób nawet całe swe dobro. Nie było co więc myśleć o wycieczkach, ani o tej, ani o żadnej innej — każdy był zajęty sam sobą lub dolą swych najbliższych. Niełatwoby nawet przyszło konia i przewodnika znaleźć.

Kajsarieh tedy stało się dla mnie martwe; nie miałem właściwie powodu bawienia tu dłużej; byłbym jednak, bądź co bądź, zatrzymał się jeszcze dni parę, ale nazajutrz właśnie wychodziła z naszego chanu niewielka karawana do Angory; postanowiłem więc ze sposobności korzystać.

Jednego tylko żal mi było niezmiernie — to chybionej wycieczki do Urgiubu! — Urgiub jest to niewielka dolina, o dwa dni drogi na zachód od Kajsarieh leżąca, równie znakomita pod względem geologicznym, ile pod archeologicznym ciekawa. Dolinę tę tworzą dwa wulkanicznej formacyi wąwozy, krzyżujące się wzajem. Panuje nad nią miasteczko, od którego nosi swą nazwę. Ma ona przedstawiać jedyny w swoim rodzaju widok: cały jej przestwór, razem z pochyłościami wzgórz otaczających, pokryty jest niezliczoną ilością ostrokręgów z twardej ziemi, które powstały

jakoby skutkiem wirowo-podmywającego działania wody, przed wieki. Stożki te czerwone są tem wyższe, im głębiej z niziny się wznoszą. Pełno ich i w samem miasteczku. Wiele z nich wydrążonych — i te przedstawiają szczególniejszy interes. Od najstarożytniejszych bowiem czasów aż do dziś dnia były one używane jako grobowce, wśród których datujące z epoki macedońskiej mają się odznaczać niepowszednim gustem. Jedyne to podobno cmentarzysko swego rodzaju.

Żal mi tedy było, żem tego nekropolu niezmiernego nie mógł widzieć: droga moja do Angory szła w prawo od Indże-su, za którem jeszcze dzień cały było do Urgiubu. Konia już miałem — trzeba było się wybierać.

Lecz nie możnaby Kajsarieh opuścić bez poznania dzisiejszego tego miasta specyalizmu, tem bardziej, gdy ten specyalizm przedewszystkiem na podróżnych obliczono. Mowa tu o słynnem „pastyrma" — suszonem na słońcu mięsie wołowem. Znałem je już pierwej: soczyste, dość smaczne i całe lato trwałe. Obchodziły mnie też suszarnie. Z młodym tedy Armeńczykiem, mówiącym po francusku, któremu stałem się pomocą w czasie pożaru, udaliśmy się na przedmieścia, gdzie właśnie jego współwyznawcy najwięcej trudnili się przyrządzaniem tej konserwy. Wszędy po podwórzach widać było wysokie drewniane rusztowania, zawieszone dosuszającem się mięsiwem. Sposób przyrządzania pastyrmy stanowi niby tajemnicę mieszkańców, zależącą na użyciu pewnych ziół miejscowych.

Przygotowany do podróży jutrzejszej, wieczór przepędziłem w towarzystwie dwóch Trebizondczyków, Ormian, przebywających tu w charakterze agentów handlowych. Powiadali mi o nadzwyczajnym wzroście ruchu handlowego w ich podupadłem oddawna mieście. Bezpośrednie stosunki onego sięgają przez Erzerum daleko w głąb Persyi, a w Anatolii przez Siwasz aż do Kajsarieh. Od czasu ustalenia żeglugi parowej na morzu Czarnem wymaganiom rosnącym

trudno nastarczyć, a tu drogi przez góry dla karawan nawet za trudne. — Dróg, dróg tylko Azya potrzebuje, powtarzali — bezpieczeństwo już zdobyte. Na świat ich tu otaczający patrzyli moi młodzi towarzysze chanu z pewnego rodzaju wyższością, jako na barbaryę. Przyznawali Kajsaryotom spryt handlarski, lecz co do ich rzetelności — dawali im bez ogródki miano „Jehudy" (Żydzi).

Na tem skończyłem swoje zajęcie się Caesareą. Plątał mi się we śnie jeszcze wyraz „Jehudy". Pytałem, dlaczego tej nazwy przedewszystkiem sroma się każdy i przeciwnika nią obciąża — nawet Grek, Ormianin, Syryjczyk? Co tu winien skromny pasterski „aszeret" Judy?

2 października.

Słońce zaledwie dopiero ukazało się na horyzoncie, a już „kiradży" trzymał u schodów galeryi mego konia i wzywał stanowczo, że już wielki czas juczyć i wsiadać. Urządzić siodło, ujuczyć konia, to rzecz chwil kilku dla obytego podróżnika, tem łatwiejsza, że służba miejscowa nieodstępna przy odjeździe. „Chandży", „odadży" — jeśli są tak serdeczni przy powitaniu, o ileż stokrotnie być muszą serdeczniejsi przy pożegnaniu gościa! Przecież to chwila bardziej stanowcza, chwila rozpłaty, chwila „bagszyszów". A jeśli, zdaniem Hadży-Ibrahima, który oto z galeryi przesyła mi na drogę swoje „Ałłah esmerładyk", świat stoi jałmużną, to niezawodnie tem pewniej jeszcze Turcya stoi bagszyszem. Dawać tu trzeba zawsze i wszędy — w prawo i w lewo, niewiele, ale często i gęsto. Zato przy odjezdnem to już duchem wszystko idzie. Lecz, na nieszczęście, tylko póki się jest jeszcze na dziedzińcu karawan-seraju; za bramą rozpoczyna się już władza kiradżego — przewodnika karawany, który razem i konie podróżnym wynajmuje.

Nie daj to Boże cudzoziemcowi wybierać się w drogę z karawaną; trzeba być na to człowiekiem wypróbowanej cierpliwości. Kto zna wybór w drogę, Żydkiem gdzieś na Woły-

niu naprzykład, ten zna tylko przedsmak przyjemności. Podobnie jak Żydek do swej budy, tak kiradży do swej karawany zbiera podróżnych po jednemu, zabierając ich w mieście po drodze, jak kto się zdarzy, poczynając od najdalszego. Na ten raz ja byłem najdalszym i jedynym z Jeny-chanu: do dwudziestu jucznych koni z towarami, przed świtem już, było wyszło poza miasto, do komory celnej. Uzbroiłem się tedy z góry w niczem niezachwianą cierpliwość. Kiradży mój strasznie spieszył, a był nim sam Osman-aga, zacny obywatel kajsaryjski, silny i przystojny średniego wieku mężczyzna. Podług zwyczaju tedy nagli, bym co tchu siadał na koń i dalej.

— „Jawasz, jawasz"!—powoli—powiadam, wymierzając stosowny do tego takt ręką—powoli, wystarczy jeszcze czasu na wszystko!

Zdumiał Osman-aga na tak sakramentalnie prawowierne z mej strony znalezienie się — i nie mógł pojąć, skądby zwykle dziecinnie niecierpliwiącemu się Frenkowi do tego przyszło.

— „Jawasz, jawasz"—powtórzyłem.—Następnie, oddając konia chłopakowi od karawany („uszak"), by go przez miasto przy innych prowadził naprzód, zwracając się do kiradżego, tonem poufale ironicznym powiadam:

— A my sobie, ago, i pieszo przejdziemy i kawę napewno z pięć razy na przystankach pić będziem, nim do bram miejskich się dostaniemy, a na każdym przystanku, przy mieszkaniu łączących się z nami podróżnych, wygodnie chwilkę posiedzimy — nieprawdaż, Osmanie?

— „Naseł istersen" — jak uważasz! — odpowiedział mi z filuternym uśmiechem przewodnik karawany.

Poszliśmy więc dalej powoli za końmi.

Śpieszno im wcale nie było; nie pytając, wiedziałem naprzód, iż nocleg pierwszego dnia jazdy będzie blizki, nic się zatem ani wygra, ani straci, gdy się jedną godzinę pierwej lub później na „konaku" stanie. Chętnie tedy dałem

sobą powodować w dalszej zaimprowizowanej wędrówce po mieście. Nie była ona zresztą wcale bez interesu. Co krok prawie mieliśmy coś nowego. Tu jacyś znajomi Osmana, spotkawszy nas na wyjezdnem, prowadzili na pożegnalną kawę. Dalej zastępował ktoś drogę, z obowiązującą prośbą przekazania komuś, w Bej-bazarze lub gdzie, jakiejś wiadomości. To znowu kobiety przeróżne przynosiły węzełki, węzełeczki, zawiniątka, zawiniąteczka, — jak wszędzie się po świecie zdarza—z prośbą, aby je przyjąć, ta gdzieś dla syna, owa dla brata, a ta jeszcze może dla kogo innego. A Osman, młody człowiek — nic to, że prawowierny, Osman się droży, Osman się sroży; muszę aż ja na korzyść płci pięknej interweniować. Kobiety wiedzą, że u Frenków już „adet" taki, aby zawsze i bez względu być grzecznym dla każdej z nich, nietylko dla matron poważnych i ładnych dziewcząt. Osman, koniec końców, też mięknie; — a więc i mnie coś w bagszyszu dostaje się na drogę: to jakie suche ciastka smaczne — „berek", to choć grono winne wyszukane. A trzeba brać, bo nie przyjąć niegrzecznie: człowiek też nie chce zostawić czarnookich Cezaryotek w mniemaniu, że znalazł się jakiś Frenk, Europejczyk, „adetłysyz" — bez wychowania, tem bardziej, gdy u nich to tak rzadki gość z Zachodu. Dalej oto „bazardżyk" niewielki z żywnością — znów stój! — chłopak już i konie luźne zatrzymuje — trzeba zrobić zapas na drogę: patłydżanów, bamii, tomatów gdzieindziej tak wyśmienitych nie dostaniemy, — mniema patryota kajsaryjski. Tymczasem przychodzi też zabierać podróżnych, co na najętych koniach jechać mają; bo ci, co na swych jadą, albo już dawno za miastem u głównego obozu karawany na nas czekają, albo później lekko wybrani nas dopędzą. A więc z uliczki w uliczkę — jedną od drugiej węższą, zawilszą. — Stajemy śród chrześcijan. Oto zdaleka widzimy u podwórzowej bramy gromadkę kobiet i dzieci— tu pewnie wybierają się w drogę. Na uliczce rzadkie to widać zdarzenie — dziatwa się zewsząd zbiega — ścisk; muły,

w sznur wyciągnięte, swymi blaszanymi dzwonkami jeszcze bardziej podnoszą wrzawę — konie się niepokoją. Dotarliśmy jakoś do bramy. Obcy — staję się przedmiotem powszechnego zainteresowania się: oglądają mię od nóg do głowy. Gospodarz, na wiadomość o effendym z Frengistanu, wybiegł ku mnie, grzecznie przeprosił, iż chwilkę musimy się zatrzymać, nim konie jego ujuczą, i zobowiązał do przyjęcia kawy. To było rzeczą kobiet. Ośmielone pierwszym wstępem gościnności, nie puściły już mnie ze swego kółka przez cały czas wybierania się mężczyzn w drogę, osypując niezliczonemi zapytaniami:

— Czy ładnie też się wasze kobiety ubierają? Czy ładniej, niż nasze? Czy często strój zmieniają? Czy inaczej ubierają się zamężne, a inaczej dziewczęta?

— Jak uważasz nasz strój turecki?

— Więc jeśli jest, jak powiadasz, śliczny dla młodych dziewcząt, dlaczego u was dziewczynek po turecku nie ubierają? Co piękne, to piękne — wiara co innego, a strój co innego. Powiadają, że w Stambule Turczynki wiele ze stroju waszych kobiet przejmują.

— A jak warkocze wasze dziewczęta noszą?

W odpowiedzi uśmiechnąłem się tylko ironicznie, patrząc na obfite Cezaryotek warkocze. Biedne, nie wiedziały, że do warkoczy pań europejskich trzeba aż z chińskich cmentarzy zapasy sprowadzać! Nie zrozumiały mego uśmiechu — tok rozmowy wszakże zmieniły.

— Czem się wasze kobiety w domu trudnią, oprócz zajęcia się dziećmi i kuchnią, — czy mają czarne niewolnice?

— Czy piękne hafty wyszywają — bieliznę, dywany, szale, zasłony? — A jakie konfitury („tatły") smażą, jakie sorbety robią wasze dziewczęta?

Młodsze opytywały mię dalej — jak się nasze panie bawią, czy lubią kwiaty, muzykę, a najwięcej jak tańczą?

— Czy tańczą tylko same?

Wiedziały filutki dobrze, że tak nie jest, ale chodziło

im o naprowadzenie rozmowy na przedmiot dla nich najbardziej ciekawy — na naszą towarzyskość.

Począłem-że się tedy w odwet dopytywać, czy nie lepiej bawić się i tańczyć w towarzystwie z mężczyznami? — Lecz za całą odpowiedź miałem chychot, śmiech — i dziewczęta pouciekały.

Tymczasem kawy przynoszono filiżankę po filiżance malutkiej; gospodarz się zwijał i konie już były prawie ujuczone. Osman naglił. — Lecz „czorbadży", widząc mię żywo zajętego rozmową z kobietami, zaproponował — czy nie lepiej będzie, gdy Osman-aga ruszy sobie naprzód po innych podróżnych, a my niebawem dopędzimy go, lub połączymy się w punkcie zbiorowym za miastem.

— „Aferym!" — wybornie, zgoda!

Jak sobie chce — lepiej wyszedłem na swej cierpliwości, niż gdybym był odrazu z chanu ruszył konno na punkt zbiorowy i tam czekał nieznośnie długo.

Dziewczęta powoli wróciły; nie pytały mię jednak już o nic — śmiały się tylko.

Starszym kobietom musiałem jeszcze odpowiedzieć na ich zapytania: o gościnności u nas, o wzajemnem odwiedzaniu się pań, o zwyczaju łaźni publicznych i t. p.

Na uwieńczenie wszystkiego, upewniłem jeszcze jakąś pobożną staruszkę, widocznie matkę całej rodziny, że u nas kobiety razem z mężczyznami w kościele na dole zasiadają, a o co jej jeszcze bardziej chodziło, że bić mężowi żonę — u nas wcale się nie godzi.

Czas już było w drogę.

Dopieroż rozpoczęły się pożegnania, płacze, przestrogi i błogosławieństwa — jak po całym świecie pewno w podobnych okolicznościach się dzieje. Tem żywsze to było, iż z gospodarzem wyruszał raz pierwszy w daleką drogę młody chłopak, zaledwie dwunastoletni, nieprzywykły do trudów podróży. Kobiety były rozrzewnione — i rodzina i sąsiadki.

Nareszcie wsiedliśmy na koń. Dostało się i mnie też na drogę niejedno szczere „seadet-ile".

Po krętych uliczkach raźnieśmy się przemknęli, zmierzając najbliższą drogą do obozu naszego, poza miasto, nie pytając o bramę. Celnika, co nam drogę przebiegł, odprawiliśmy rzuceniem lekkiego bagszyszu na ziemię; choć zwykle, urzędownie, tylko się go wyrazem „hajdy" (ruszaj) kwituje. Było już po godzinie trzeciej „alla turca", po dziewiątej podług mego zegarka; karawana już się poruszyła z miejsca, gdyśmy nadjechali. Po szerokiej płaszczyźnie podmiejskiej ciągnął się długi łańcuch jucznych koni i mułów, pędzonych przez pogońców pieszo lub na osiołkach. Towarzystwo podróżnych przy karawanie jechało rozproszenie daleko na przedzie. Za chwilę zrównaliśmy się z niem.

— Maszałłah — chwalić Boga, jużeśmy w drodze.

— Inszałłah — da Bóg, razem tak do Angory dojedziemy.

Droga nasza szła przez szeroką, równą dolinę, ujętą we dwa pasma wzgórz, wyglądających jak ostatnie konania wyżyn Ardżyż-dahu. Po obu stronach zalegały przestrzeń uprawne pola, strojne jeszcze gdzieniegdzie w kukurydzę, rozległe basztany, pełne melonów i harbuzów, a u pochyłości wzgórz, w oddali, pożółkłe sady i winnice. Wszędzie spotykaliśmy ruch, krzątanie się jesienne — osobliwie po basztanach. Jechaliśmy powolnie, luźno, jak się zwykło jechać dnia pierwszego — byliśmy obcy zupełnie sobie ludzie, których przypadek podróży pierwszy raz z sobą zetknął. — Zwolna poczęliśmy się sobie bliżej przypatrywać i poznawać się.

Najbardziej interesującą dla mnie osobą ze wszystkich okazywał się mój towarzysz, z którym razem dopędziliśmy karawanę. Był on nieodstępnym odemnie, jechał tuż obok, gotów na najdrobniejsze uprzejme posługi. Mężczyzna lat średnich i średniego wzrostu, silny, barczysty a niepospolicie zwinny, miał on jasne oczy i wąs jasny, był ubrany

choć skromnie, lecz z pewną pretensyą do dystynkcyi miejskiej — jako „szehyrły". Mówił przecie jedynie po turecku; lecz zato mówił pięknie, ozdobnie, co więcej—mówił mową czystą. Ze sposobu obchodzenia się ze mną, z trybu całego, jaki widziałem w domu, skądeśmy wyjechali, wziąłem go za Ormianina katolika i „czorbadżego" — obywatela Kajsaryi. Rozumieniu więc temu odpowiadało moje względem niego zachowywanie się. Niemałe też było me zdziwienie, gdy, przy większem następnie zbliżeniu się, dał mi on do zrozumienia, że z zawodu swego jest „chyzmetczy" — sługą przy znacznych osobach, że teraz jest bez miejsca i właśnie w celu zapewnienia sobie takowego udaje się do Angory. A ów dom, gdzie go zastałem wybierającego się?—To dom jego możniejszych krewnych — właśnie owej staruszki, co mnie o zwyczaj admonicyi mężowskiej u nas opytywała, i tych jej ładnych wnuczek. A reszta towarzystwa? Sąsiadki, przyjaciółki tamtych — rade z okoliczności przepędzenia żywiej chwilki nudnie zwykle płynącego czasu. Z niezmiernem zdziwieniem dowiedziałem się, że całe owo towarzystwo było greckie, a mój mniemany „czorbadży" kajsaryjski nie kto inny, jak miejscowy Greczyn. Imię nosił Dżordży. Teraz pojąłem w Dżordżym jego zwinność i usłużność; pojąłem też równie i ów pewien stopień towarzyskiej dystynkcyi form, jakie w nim od początku mnie uderzały. Pojąwszy go lepiej, byłem z nim, ku jego zadowoleniu, tem swobodniejszy.

Drugą wybitniejszą postacią w towarzystwie podróżnem był ładny młody Turczyn, dwudziestu paru lat zaledwie, który prawie wszystkiem: strojem, ułożeniem, zachowaniem się—zdradzał w sobie młodego człowieka, należącego z rodu do możniejszego kleru. — Dostojnie przyozdobiony zielonym zawojem, używał on niemniej całej swobody młodego wieku, jakąby ograniczył nieodzownie, prawem samego decorum, przywdziawszy zawój biały. Muhammed-effendi, gdym go bliżej poznał, „chodżą" (uczonym) wcale nie był — nie

miał do tego ani prawa, ani pretensyi; całą jego dumą było jego urodzenie, upoważniające do zielonego stroju. A że był z natury żywy, dość dowcipny i lubiący się bawić, bawił się więc wszystkiem, czem mógł. Powaga oryentalna była dla niego przymusem. Wogóle był to typ nie często spotykany wśród tutejszych islamitów.

Resztę towarzystwa stanowił jeden Turek, goło-ubożutki „konduradży", ciźmiarz, podążający przy karawanie na żwawym osiołku, w charakterze nieodstępnego towarzysza, do usług możniejszego współwyznawcy; paru Ormian — kupczyków kajsaryjskich; paru Greków, wracających do Angory, jedni i drudzy na własnych koniach, i, nakoniec, służba karawany. Jak widzimy, towarzystwo podróżne wcale nie było tak wielce zajmujące, ażeby aż zespolić się z niem zupełnie; wszakże nie brakło mu urozmaicenia, które żywo obudziło mą ciekawość. Wreszcie sama konieczność wspólnej, w ciągu dni kilku, karawanowej podróży nakazywała mi szukać pewnego zbliżenia z mymi towarzyszami. W podróży, szczególnie azyatyckiej, dokonywa się tego z największą łatwością i swobodą; pierwsza lepsza okoliczność służy za wstęp do zbliżenia się.

Godzinę jaką od wyjazdu jechaliśmy rozproszeni, mało zbliżając się nawzajem; Dżordży opowiadał mi ustępy ze swej biografii; jego pupil dziecinny nucił coś sobie za nami po turecku; inni jechali w drobnych grupach nieco opodal na przedzie. Przejeżdżaliśmy ponad samymi basztanami. Okolica to słynna z melonów, a Azyaci znawcy i smakosze. Gdyśmy się zbliżali do jednego basztanu, jaśniejącego najprzepyszniejszemi okazami tej ogrodowizny w pełni jej dojrzałości, nasi dwaj prawowierni, znający wybornie miejscowość, naraz zeskakują z siodeł i z okrzykiem: stój!—„durbakałym!" zatrzymują całą karawanę.

— Co to jest — „ne dyr bu?" zdumieni, podjeżdżając, pytamy.

— „En giuzel diuniada kawunlar" — najpiękniejsze w świecie melony! — słyszymy w odpowiedzi.

I nasi Turkowie, nie oglądając się na nic, dawajże maruderować po basztanie! Nic to, iż zdala, z „czerdaku" strażniczego pilnujący basztanu dziad wniebogłosy woła im: „istemes, ołmaz, jasak!" — melony dziesiątkami, w mgnieniu oka, przenoszą się do torb zapasowych przy jukach. Niedosyć na tem: Turkom w odsieczy przybywają Ormianie, już i miejsca w workach na melony niema. Nadchodzi wreszcie pilnujący; pięknie, zgodnie, dostaje od głównego marudera, w zielonym turbanie, kilka piastrów bagszyszu i karawana najspokojniej rusza dalej. Muhammed-effendi obwieszcza uroczyście, iż poniósł wydatek, obowiązujący ogół; wszyscy mu to przyznajemy i wśród szumnych okrzyków „aferym, maszałłah! eiwałłah!" składamy mu dzięki za pieczołowitość nad ogółem. Teraz byle już tylko coprędzej dojechać do ustronnego miejsca, nad wodą gdzie, pod cieniem!

O półtorej godziny od Kajsarieh jużeśmy byli minęli źródliska, spływające do Karasu (starożytnego Melasu) i posuwaliśmy się dalej z biegiem tego strumienia. Wtem nasi zdobywcy melonów dostrzegają w oddali grupę ładną drzew gęstych. Oto za chwilę już widzimy ich u mety: — z koni, do nożów i do melonów. Inni za nimi. Gdyśmy z Dżordżym nadjechali, wszystko już było gotowe: na wyniosłej urwie, tuż nad wodą, pod drzewami zżółkłemi, zastaliśmy rozesłany „kilim podróżny", a na nim, przy pokrajanych skrzydlach melonów, przeróżnego rodzaju pszenne i suche ciasta, jakie podróżni jadący z domu z biesagów powydostawali; dokoła zaś tego wszystkiego moi Azyaci, z założonemi nogami, kończący ocieranie rąk, po obrzędowem przed jedzeniem obmyciu.

— „Chosz gieldyn! otur! bujurun!" — Witaj, siadaj, prosimy! zabrzmiało dokoła.

Zasiadłem tedy i ja wśród grona. Melony były istotnie przewyborne — aromatyczne, niepospolitego smaku i tak

soczyste, że zdawały się rozpływać w ustach. Lecz ponieważ było to śniadanie, a nie deser, więc oczywiście spożywano je nie same, ale z chlebem; zresztą taki tu zwyczaj, na potrzebie zdrowia oparty. Przy tem improwizowanem śniadaniu rozmowa towarzyska płynęła sobie tak, jak zwykle w podobnych razach — swobodnie, bez przymusu, a dorywczo; wzajemne grzeczne posługi, parę żartów Muhammeda, parę anegdotek Dżordżego, kilka delikatnych zapytań, mojej osoby dotyczących, i koniec. Ale właśnie przy tem poznaliśmy się i zbliżyli do siebie wszyscy.

Co do mnie osobiście, czułem, że wszyscy wogóle chrześcijanie i muzułmanie traktują mnie w sposób wyróżniający, jako gościa wśród nich i osobę w ich rozumieniu dystyngowaną. Jeden o zielonym zawoju Muhammed-effendy chciał widzieć we mnie tylko giaura i Frenka — i już przy pierwszem poznaniu zdradził się z tem, próbując zlekka gry dowcipu.

Dalszy bieg Kara-su prowadził nas wśród wzgórz coraz wyższych, okolicą coraz bardziej urozmaiconą. Spotykaliśmy teraz i więcej osad bliżej drogi. Po parogodzinnej jeździe od pierwszego naszego śniadania, gdy upał dnia tego począł nam nieco dokuczać i wzbudzać powszechne pragnienie, na widok blizkiej porządnie wyglądającej wsi postanowiono się zatrzymać. Trzeba było i tu coś sobie zdobyć; lecz co? — winogron i mleka? — każdy był innego zdania. „Johurt, johurt, johurt! — wołam i dla rozstrzygnięcia sporów zapraszam całe towarzystwo na ten orzeźwiający posiłek, jaki stanowi pewien rodzaj zsiadłego wybornie przyrządzonego tu mleka. Zaprosiny moje chętnie przyjęto; ale trzeba było jeszcze mleka dostać.

Młodzież tedy ruszyła do wsi z okrzykiem „johurt, johurt"! Za kilka chwil jużeśmy mieli przed sobą parę mis tego azyatyckiego przysmaku: każdy dostał swej łyżki („kaszyk"), narzucono chleba z biesag do ogólnego użytku: biesiada gotowa. Żarty, dowcipy — i znów na koń.

Trzymaliśmy się już wciąż dalej prawego brzegu Kara-su, jadąc odtąd razem całem gronem. Muhammed-effendy wysilał się być dowcipnym: zaczepiał każdego i wywoływał odwet; dostawało się i mnie, lecz pociski padały bezwładnie z braku odpowiedzi na nie — jam nie władał na tyle tureckim językiem, by podtrzymywać humorystyczną konwersacyę. Nie odstręczało go to wcale, owszem, gdy mu dowcipu zabrakło, próbował zniżyć się do powszedniej gry dziecinnego przedrzeźniania niewprawnej mowy. Dar naśladownictwa posiadał znakomity: okrzyki niedawne „johurt, johurt"! dawały mu asumpt do komizmu. Bawiło mnie to do rozpuku; traktowałem go jak dzieciaka psotnego i dawałem przez to możność bawienia się całemu towarzystwu.

Tymczasem im dalej posuwaliśmy się naprzód, tem okolica stawała się surowsza i bardziej górzysta. Zbliżaliśmy się ku ujściu Kara-su do Kyzył-irmaku. Wczesnym wieczorem jeszcze stanęliśmy nakoniec w wązkiej dolinie tej ostatniej rzeki, mając przed sobą most, prowadzący ku wąwozom dzikim drugiej strony, stąd „bohaz kiupry" zwany. Na lewo z drogi, na wzgórku, stał „karauł", strażnica „zaptyeh", żandarmeryi ziemskiej. Tu więc miał być kres naszej dzisiejszej podróży. Zatrzymaliśmy się w oddali, na resztę karawany czekając i nie wiedząc, gdzie właściwie mamy tej nocy obozować. Lecz straż przez otwarte okienko powołała nas z góry do wizowania pasportów.

— Cóż znów za ścisłość taka niesłychana?!—pytam towarzyszy.

— Spójrz, effendy, na to tam pasmo gór dzikich, a łatwo zrozumiesz — powiada mi jeden z kupców ormiańskich.

— Legowisko zbójców?

— Dziś może nie, lecz bardzo niedawno jeszcze roiło się tam od „chyrsyzów"; a wszystko musi przez ten oto most przechodzić, bo wpław się puszczać przez „irmak"

niebardzo bezpiecznie; stąd zwyczaj ścisłego baczenia na podróżnych bez wyjątku.

— Któż podejrzany być może w spokojnej karawanie?

— Bywało rozmaicie — a przezorność nakazywała podejrzewać tam nawet, gdzie nic podejrzanego nie znajdowało się.

— Co tam bywało, mniejsza z tem — przerywa Dżordży — a ja ci powiadam, effendy, że dziś to już wcale inne powody w grze.

— Cóżby takiego? — pytam zaciekawiony nieco, przypuszczając, że to może jakie powody poważniejsze miejscowej polityki, lub inne.

Uśmiechnął się Dżordży, dostrzegłszy na mej twarzy poważne zainteresowanie się.

— Nic, nic nadzwyczajnego, powiada — owszem, najpospolitsza rzecz w świecie: oto strażnicy wyzyskują swój obowiązek na swą osobistą korzyść. W tej chwili naprzykład, nie wiedząc, czy się zatrzymamy, wzywają nas do wizowania: bo każdy przedstawiający „teskere" zostanie uraczony najuprzejmiej kawą, za co dla przyzwoitości musi zostawić z pół piastra. Dalej — możniejszych zaproszą na nocleg i tu już się obłowią, stosownie do osoby, po parę, po kilka piastrów. My zaś miejscowi jeździmy zwykle bez „teskere" — bo ta aż osiem „kuruszów" (wyżej 3-ech złp.) kosztuje; — lecz mogą przez most nie puścić, więc też trzeba się opłacić! O „chyrsyzów", o ludzi podejrzanych wcale im nie idzie — oni sami, pod sekretem powiedziawszy, niedawni zbóje; dziś rozbijać już trudniej, więc wstąpili do straży. Ich „czausz", podoficer, to niedawny „haram-baszy"—herszt!

— Niepodobna!

— Zobaczysz, przekonasz się, jeśli masz wprawne oko.

— Więc to nietylko w Taurze bywa takie przeobrażenie łotrów na straż bezpieczeństwa—pomyślałem. Zawsze postęp!

Tak rozprawiając, zbliżaliśmy się za innymi do „ka-

raułu". Usprawiedliwiał on zupełnie swą dziko-poetyczną nazwę „Jałynyz-gioz", samotne oko: z ciemnego baraku wyglądało ku nam jedno jedyne okienko.

— Podjedź, effendy, i pokaż im swój pasport; ja go nie mam, więc przyzostanę nieco, nadejdę już na samą kawę i od bagszyszu się jakoś wywinę — dodaje mi z cicha Dżordży.

Podjeżdżam zatem ku okienku i podaję swoją „teskere". Czausz, atletyczny Anatolczyk, o pięknem, jasnem oku i o długich, ciemnych wąsach, przy ściągłej, regularnej twarzy — wziął teskere do rąk, spojrzał na węzeł sułtański, popatrzył poważnie na dalszą bazgraninę, mruknął sobie znacząco— „iszte mehendys bu!" — i oddał mi papier napowrót. Oczywiście czytać nie umiał; — mógłbym mu co innego zupełnie pokazać zamiast teskere, żeby tylko na podłużnej karcie szarego papieru był u góry arabeskowy anagram sułtana, a poniżej jakiebądź wykrętasy arabskie. Że zaś mruknął sobie wyraz „mehendys" — było to tylko dla nadania sobie tonu, bo już wiedział od towarzyszy mych, Turków, kto jestem. Później, zwracając się ku mnie z pewną uroczystością, prosił mnie zsiąść z konia i wstąpić na kawę.

Lecz cóż to za zabawna była scena, gdy nadszedł Dżordży! Chodziło mu o takie familiarno-imponujące zażycie strażników, żeby aż zapomnieli pytać go o teskere. Trzeba też przyznać, że powiodło mu się wyśmienicie. Przytomny Greczyn wszedł do karaułu jakby od niechcenia, pozdrowił towarzystwo po muzułmańsku i odrazu tak zagadnął strażników, że wszyscy zwrócili się ku niemu.

— Wy tu, agowie, siedzicie spokojnie, a nie wiecie, co to u nas w Kajsarieh pozawczoraj się działo.

I nie czekając odpowiedzi, nuż opowiadać o szczegółach pożaru. Zaptyeh już o tem wiedzieli; ale któż na Wschodzie nie będzie tego samego dziesiąty raz słuchał, gdy mu kto wymownie rzecz znaną opowiada? Dżordży zaś był skończonym mistrzem wymowy w turecczyźnie. Tak

tedy zajął i straż i wszystkich wogóle, że czausz na szczere zaprosił nas kilku na nocleg do swej „bekleme"—strażnicy.

Była to izba dość obszerna, z wejściem do mniejszej obok izdebki, na skład; tylną połowę karaułu zajmowała stajnia. Izba, jak przynależy, miała dokoła ścian szeroki drewniany tapczan, a pośrodku wielkie ognisko. Naprzeciw wejścia i ogniska, nad tapczanem, — było owo okienko, skąd nas wzywano, wychodzące na rzekę i most. Na tapczanie przy okienku siedział na rozesłanej „sedżadeh", z założonemi nogami, sam „basz-czausz", starszy straży, uzbrojony ze staro-turecka całym arsenałem broni, sterczącym malowniczo z wytartego już a sutego tyftykowego pasa, i jak na takiego dostojnika przystało, ciągnął nieruchomo swe „nargile", otaczając się od czasu do czasu kłębami dymu. On to właśnie przezierał teskery i on to zaprosił na nocleg. Z dwóch jego podkomendnych, również suto uzbrojonych, jeden siedział naprzeciw niego przy okienku, a drugi robił honory domu, warząc przy „odżaku" kawę i częstując nią gości. Spojrzawszy na tych ludzi, uderzających, przy fizycznej sile, stanowczością wyrazu twarzy, istotnie nie trudno było zgodzić się na uwagę Dżordżego. Dostrzegł on moje badawcze śledzenie za nimi.

— „Naseł, effendy" — a co, jak znajdujesz? — szepcze mi do ucha.

— „Sahih!" — istotnie! — była odpowiedź.

Niemniej jak stanowczość, uderzała w nich jeszcze, przy dokładniejszem przyjrzeniu się im, pewna, drużynna jakaś swoboda obejścia się, blizka europejskiej męskiej towarzyskości; zdradzał się pewien oryginalny szerszy pogląd na życie, wolny zupełnie od przesądów azyatyckich i fanatyzmu; ale obok wszystkiego było wyraźne lekceważenie tego, co ludzie pospolicie poważać przywykli.

Zapadła noc, ognisko wyżej zapałało, rozmowa potoczyła się żywiej. Stare czasy, nowe czasy, janczary, „tanzymat" reformacyjny, Frenki, regularny „nizam" wojskowy

i wiele innych rzeczy wiecznego interesu potrącano po kolei. Chrześcijanie milczeli jak zabici, zrzadka tylko przywtarzając machinalnie — „iszte! wałłah!" lub inne podobne wykrzykniki, dobierane przemyślnie dla ukrycia myśli. Za to muzułmanie występowali z niczem niekrępowaną szczerością, nie mając najmniejszego względu na obecnych „rajahów," jakby ci żadnego głosu nie mieli. Oczywiście nowe reformy ani jednego obrońcy w takiem towarzystwie nie znajdowały. „Istambuł frenk oldu!" Stambuł stał się europejskim i wszystko ku gorszemu zmierza — oto był powszechny wyrok. Napróżno w ciągu rozmowy robiłem ostrożnie przeciwne uwagi; czausz uśmiechał się tylko i zbywał mię wciąż jednostajną odpowiedzią.

— „Pek alah!" — wybornie, tylko przyznaj, effendy, że co dla was „size iczyn" — jest dobrem, dla nas tu „bize iczyn", złem być może — i jest niem rzeczywiście: myśmy, widzisz, daleko swobodniejsi wpierw byli!

Inny zaś mi dodawał:

— Nie zapominaj, effendy, że to świat muzułmański i my w nim gospodarze, „sahiblar", prawowici!

Znużyła mię wciąż jedna przegrywka. Podróżnych spóźnionych coraz więcej przybywało i cisnęło się do ogniska. Usunąłem się na ofiarowane mi miejsce dla spoczynku, na tapczanie—i spoglądając z ustronia na malowniczą grupę prawdziwie pięknych mężczyzn, mimowoli odbiegłem myślą w inną stronę, pytając się, czy też tu niewolnictwo kobiety nie jest zupełnie dobrowolnem przy boku takich towarzyszy — zapewne, Angielce łatwiej być wolną... Nie rozwiązałem zagadki i usnąłem, przebudzając się od czasu do czasu, dla przekonania się, czy mam rewolwer przy sobie; a towarzystwo przy ogniu rozprawiało wciąż dalej, niezawodnie o starych, dobrych janczarskich czasach.

3 października.

Poranne słońce wspaniale oświeciło surowy krajobraz, jaki się roztaczał przed naszemi oczyma. Były to dalsze

ustępy falowań Ardżyż-dahu, a śród nich rył sobie łożysko starożytny Halys, dziś Kyzył-irmak zwany.

Kyzył-irmak jest największą rzeką Anatolii; lecz jak one wszystkie, nieszeroki (nie przechodzi 50-ciu metrów), niespławny i nadzwyczaj kapryśny w swym biegu. Od źródeł swych u granic Armenii z wyżyny 2-ch tys. metr. nad pow. morza płynie on przez płaskowzgórze Kappadocyi, z północo-wschodu na południo-zachód, w kierunku od Siwaszu ku Kajsarieh. Stąd, minąwszy ujście Kara-su, zwraca się na północo-zachód, potem na północ, a opisując dalej swe półkole, zawraca na północo-wschód ku Czarnemu morzu. W taki sposób przebiega 1000 kilometrów, gdy prosta linia od jego źródła do ujścia ledwie 230 kilometrów wyniesie. Spotkamy się więc z nim na naszej drodze jeszcze raz koniecznie.

Karawana nasza, zwiększona przez nowych przybyszy, przedstawiała wcale imponujący widok. Osman-aga coś się uśmiechał z pod czarnego wąsa z radości i dumy, że tak świetnej kawalkadzie przewodniczy. Za to też odtąd nie inaczejśmy go nazywali jak „kerwandży-baszy". Cóż dopiero jego mały Mehmedek! — ten na swym osiołku wysforował się daleko poprzed karawanę i, ciesząc się słońcem i tłumem, wniebogłosy „zawodził" pieśń tyle popularną: „Giordym dostum bachczesynde jucz giul war" — „W ogrodzie przyjaciela trzy różyczki dostrzegłem." Ruszyliśmy wolnym krokiem, przeszliśmy most „bohaz kiupry" i zapuściliśmy się w dziki wąwóz, mijając nieopodal źródliska wód ciepłych z kąpielami. Było to niegdyś, niedawno jeszcze, pole popisów dla band zbójeckich; dziś tylko pamięć o nich została. Lecz nie wiem, dlaczego cała karawana szła cicho i milcząco—może to skutkiem surowości otaczającej natury; jeden tylko Mehmedek kończył swoje „jucz giul war."

Po przejściu wąwozu cały już dzień mieliśmy przed sobą li tylko wzgórza o łagodnych falistych pochyłościach, jednostajne, monotonne, nawet w tej porze. Żyzne to past-

wiska stad turkomańskich na wiosnę; lecz teraz rozkoszują się one jeszcze na „jajłach", wyższych płoninach, nim znów niżej się spuszczą. Od czasu do czasu wszakże spotykamy i czarne namioty Turkomanów, a w oddali rozproszone ich owiec stada. Turkoman wiekuisty koczownik, ojczyzna jego wszędy, gdzie się znajdą niezajęte przez rolnika pastwiska, obojętna dlań, na stepie czy w górach, u Aralskiego morza, czy w Taurze, Olimpie lub Libanie nawet. Przy pastwisku gotów i sam dać się skusić do ogrodnictwa, albo jęczmień („arpa") dla koni zasiać, ale to zatrudnienie doraźne tylko, miejsce go nie wiąże. Prototyp Turka, patrzy on na Osmanły, jak na niewieściucha; od podatku i „nizamu" (wojska regularnego) się wywija, baszy-buzuków daje, o wiszące nad Turkami niebezpieczeństwo nie dba i więcej, niż w mahometowego Ałłaha, wierzy w to, iż mu przecie pastwisk po świecie Bożym nie zabraknie. Surowy to lud, prosty a gościnny!

Jednostajność krajobrazów, choćby ładnych nawet, nuży zwykle podróżnych; najpospoliciej zatem towarzystwo stara się w odwet bawić się samo sobą, anegdotą, dowcipem. Mieliśmy w swem kole współtowarzysza, który lubił korzystać z ogólnego usposobienia, by puścić wodze swemu dowcipowi. Muhammed-effendy więc i teraz bawił bliższych sobie przeróżnemi konceptami „alla turca." Nie zadowoliła go widać jednak ta łatwość popisu, zapragnął świetniejszych tryumfów. Podjechawszy więc do mnie, począł mi po swojemu dokuczać. Póki w tem była iskierka dowcipu, bawiło mnie to samego, lecz wprędce płaskość konceptów poczęła mię nudzić. Dałem mu to zlekka do zrozumienia, spodziewając się, iż da mi pokój; ale zamiast uciszenia go, rzuciłem mu tylko nową podnietę do żarcików, nacechowanych już otwartem lekceważeniem, jeśli nie mojej osoby wprost, to Frenków wogóle i wszystkiego, co europejskie. Trzeba było raz z tem skończyć.

— A co tego—to już dosyć—powiadam—„jeter bu!"—

„Frenk" nie jestem i na ten raz wcale mię Frenki nie obchodzą, mogę ci nawet ich wszystkich razem podarować, „sana hedyeh idedżejm"; ale tem niemniej nie śmiej sobie nic na ich poczet pozwalać, „hicz sojleme!" A jeśli chcesz wiedzieć, kto ja jestem i jaki nasz obyczaj, to ci pokażę, „sana bakadżajm", — „kiopek ogłu" — pogański synu! — i schwyciwszy za ukryty zwykle rewolwer, zmierzyłem nim ku zielonemu zawojowi. Turczyn zbladł, cofnął konia i oniemiał — była to dla niego największa niespodzianka, nie przypuszczał, że jestem tak uzbrojony.

— „Bizym adet bejle dyr" — taki to nasz obyczaj! — powtórzyłem, zwracając się do otaczających mnie chrześcijan.

— Jedyny, jedyny! — potwierdza nieodstępny mój towarzysz Dżordży.—Kurd i Arnauta tak tylko Turka traktują i dobrze im z tem, a my oto w „zułumie" — niewoli; — jedyny obyczaj!

Krok ten surowej stanowczości z mojej strony wywarł niemałe wrażenie na towarzystwie podróżnem: chrześcijanie zbliżyli się bardziej ku mnie; muzułmanie, choć przyjęli mą pogróżkę za rzecz najnaturalniejszą u człowieka, co za Frenka wcale się nie ma, poczęli sympatyczniej mą powagę uznawać, a Muhammed-effendy po tej nauczce zmienił się do niepoznania.

Ku wieczorowi dostrzegliśmy odosobniony pagórek, noszący ślady fortyfikacyi starożytnej, a pod nim nową osadę, zwaną Topały. Ujechaliśmy już siedem godzin od Kyzył-irmaku; pora była wypocząć, stanęliśmy więc tu noclegiem.

4 października.

Żal, żal, żeśmy nieco ze zwykłej drogi zjechali: na stronie nieopodal minęliśmy Hadży-bektasz, słynny daleko z pielgrzymek prawowiernych.

Hadży-bektasz, raczej „Hadżybeg-tasz (kamień bega pielgrzyma), jest to niewielka mieścina, czczona jako miej-

sce święte, „ziaret", przez pobożnych muzułmanów, dla grobowca Hadży-bega, jednego ze znakomitszych wyznawców islamu, jaki się pośród niej znajduje. Świętobliwy ten mąż był twórcą jednej z reguł zakonnych mahometanizmu, której główne „tekieh" (zgromadzenie) tu się właśnie znajduje. Stąd Hadży-bektasz rok rocznie bywa odwiedzany przez tysiące pielgrzymów ze wszystkich krain tureckich, a osobliwie przez wałęsających się derwiszów tejże reguły. Co więcej, miejsce to jest do takiego stopnia czczone, iż mieszkańcy uwolnieni są od podatków, pod obowiązkiem utrzymywania w należytym stanie grobowca świętego męża. Oprócz „tekieh" ma tam być jeszcze zabytek z czasów starożytnych, jakaś budowa kamienna, „karakauk" (czarna czapka) zwana. Żal, żeśmy minęli Hadży-bektasz: za późno dowiedziałem się o tem, gdy już nie sposób było wracać.

Po przebyciu pasma wzgórz falistych, gdzieniegdzie zaledwie okrytych przez namioty turkomańskie, jakieśmy wczoraj spotykali, weszliśmy dziś na szerszą równinę, zlekka tylko pagórkami urozmaiconą. Kraj stawał się coraz uprawniejszy, coraz więcej zaludniony. Następnie przerzynaliśmy doliny głębsze, bardziej ściśnięte, a prowadzące ku podnóżu nowego przed nami gór grzbietu. Smutnie się robi, patrząc na te bogate krainy — kiedyż tu kultura z kolei znów do praw swych powróci?!

Rozmawialiśmy dziś o tem długo, jadąc ściślejszem kółkiem chrześcijan — Ormianie, Grecy i ja śród nich. Uderzał mnie niczem nie zachwiany pesymizm tych ludzi: nic a nic nie wierzą oni w dobro, w postęp, w normalny cywilizacyjny rozwój społeczeństwa; nie widzą żadnej możliwości wyjścia z obecnego stanu, chyba przez podbój, chyba nową przemocą. Wreszcie widzę, że Kajsaryotę mało co obcego obchodzi — niech sobie świat cały się przewróci, byle jego „memleket" (kraina, miasto), jego ukochane Kajsarieh było spokojne. O z Kajsaryoty wielki ekskluzywista!

Muhammed-effendy po wczorajszej scenie prawie nie zbli-

żał się do nas i jechał nieco opodal ze swym nieodstępnym towarzyszem, ubogim ciźmiarzem, podążającym za nim na osiołku. Widoczne było, że nie mógł strawić doznanego wobec rajahów od obcego giaura upokorzenia. A trzeba znać dumę Turka! Wiele się na nią składa. On jest synem ludu bitnego, ludu zdobywców i panów tylu ziem i narodów; on nadto prawy muzułmanin! Ormiany, Greki, Bułgary — to jego służebna czereda, tyle warta, o ile pokorna; a inne giaury — czy też to dawno drżały przed nim! Nasz Muhammed-effendy był prawym Turkiem, a oprócz dumy narodowej, przejęty był dumą stanu, do którego należał, dumą niejako rodową. Nadto, jako Anatolczyk ze stron głębszych, nie obył się jeszcze z przykrą koniecznością uwzględniania chrześcijan, do jakiego Turcy rumelscy i krain nadbrzeżnych musieli się, radzi nieradzi, nałamać. Łatwo więc zrozumieć, co to się działo w jego namiętnej duszy, gdy się naraz uczuł bezsilny wobec jakiegoś giaura! Lecz nie było wyjścia dla niego: wszyscy potępiali jego lekkomyślność. Słyszałem, jak go Dżordży przestrzegał:

— „Bak sana"! Pilnuj się, powiadam ci — ten „Madżar" dotrzyma słowa i spadniesz z konia jak drewna kawał — „agacz gibi", a wasze „mehkeme", sądy, już cię nie wskrzeszą!

— I giaur ruszy sobie spokojnie dalej, bo cię przy świadkach uprzedził — dodaje jeden z poważniejszych Turków.

Nie było czego się miotać napróżno — Muhammed-effendy milczał.

Po ośmiogodzinnej jeździe stanęliśmy noclegiem w miejscowości Madżur zwanej. Madżur, starożytny Mocissus podobno, leży w malowniczych rozdołach wśród winnic i stanowi miasteczko z parą tysięcy ludności tureckiej. Zajęliśmy najlepszą gospodę, jakąśmy znaleźli. Tuż przy stajni mieliśmy obszerny podłużny „czerdak", o parę schodków podniesiony nad ziemię, z kamiennem ogniskiem w głębi — i czegóż jeszcze więcej?! Każdy rozesłał przy ścianie, z tej

lub z owej strony, swój kilim podróżny, złożył swe juki i dalej z innymi na maroderkę po „kasabie". Głodni byliśmy wszyscy. Kawa, winogrona z chlebem lub mleko kwaśne nie na długo uspokoiły łaknących — trzeba było czegoś posilniejszego. Rada w radę, jednogłośnym okrzykiem „bajram japadżais"! — bal sobie sprawimy — postanowiono urządzić wielką ucztę. Ryż niektórzy z podróżnych mieli z sobą, o masło kłopotu niema, byle barana gdzie tłustego wybrać. Ale przeciw temu ostatniemu specyałowi zanosi protest Dżordży. Dżordży bywalec, znawca—upewnia, że tu się już poczynają stada kóz wyśmienitych. Koźlę sobie więc zabijemy—„bir gieczy, gieczy"!—wołają zewsząd. Zgoda — maszałłah! I oto wyprawa na spotkanie wracających z pagórków stadek kóz gotowa. Turcy do tego mistrze urodzeni. Nie przeszło pół godziny, już się koźlę piekło, pilaw się warzył. Dżordży sprawiał zarazem urząd kuchmistrza (achczy-baszy) i robił honory domu, jako „ew sahybi", gospodarz. Mnie przeznaczono najbliższe miejsce przy ognisku, „odżak"; nastawał najbardziej Muhammed-effendy na zrobienie tej dystynkcyi dla gościa, „musafir", wypowiadając przez to potrzebę przejednania mnie koniecznego. Nie sposób mi było wymówić się od tego honoru — i już, rad nierad, musiałem się piec u ognia. Rozpoczęła się biesiada. Młody Turczyn w zielonym zawoju starał się być najuprzejmiejszy względem mnie, a towarzystwu dodawał ochoty. Wprędce zabrzmiały nieskończone „aman, aman"! poprzedzające każdą niemal pieśń turecką. Grecy z Ormianami nie dali się Turkom prześcignąć, choć ubogi „konduradży" pewnie stokroć lepiej śpiewał, niż ciżmy robił, a powołany do koła Mehmedek, Osmanów syn, do uniesień doprowadzał znawców. Znalazł się i bębenek, w takim razie konieczny. — Nie daliż mi spać noc całą!

5 października.

Wstąpiliśmy na podnóże Kurt-dahu — droga nam poszła wśród jarów i rozleglejszych dolin i po czterogodzinnej

jeździe doprowadziła nas do miasta Kyr-szehr. Tego dnia nie mieliśmy już dalej jechać: zostaliśmy tu na nocleg. Karawana nasza rozproszyła się grupkami po mieście; ja z Dżordżym i jego pupilem umieściliśmy się na galeryi dość porządnej kawiarni.

Okolica ujmująca, wspaniała nawet: podnóże wysokiego górskiego grzbietu, na szerokiej przestrzeni, strojne w doliny, pagóry i jary, harmonijnie przeplatające się, a między nimi rozrzucone istnie tureckie miasto (szehr) wśród pożółkłych już na jesień winnic i sadów. Kyr-szehr przecie nie jest miastem znacznem ani porządnem: obecnie może posiadać zaledwie cztery tysiące mieszkańców. Ale świetności jego w czasach starożytnych przyświadczają ruiny na górze zamkowej (eski-kale); o zamożności niedawnych jeszcze lat mówić się zdają renomowane dywany jego rękodzielni. Dziś bardzo tu skromnie.

Nieszczęście chciało, że Kyr-szehr leży na drodze do Hadży-bektaszu, dla pielgrzymów, idących do świętego miejsca, tak z Anatolii, jak i Rumelii. Zamożność i pobożność mieszkańców najbliższego prawie od „ziaretu" miasta czyniła ich nieuniknienie pastwą wędrownych tłumów żebraczych. Dawali im się we znaki najbardziej sami derwisze zakonu żebrzącego Beg-taszy, znani przyjaciele janczarów, nieukorzeni po ich upadku. Najbardziej zaś do zubożenia tego miasta, jak i wielu innych w Lewancie, przyczyniła się powszechna tu zmiana ognisk przemysłowego przedewszystkiem życia i ogólne cofnięcie się Azyi w przemyśle przed europejską przedsiębiorczością.

Poszliśmy do bazarów. Dywanów jest dosyć: rodzaj to kobierców karamańskich, trwałych i z dobrej wełny, lecz desenie i kolory w nich zbyt powszednie — ani harmonii w układzie, ani gustu w doborze. Co więcej jeszcze, mimo tych wad, wcale nie tanie. Widząc zgorszenie cudzoziemca, tłómaczono się, iż w sklepach pozostały same wybiórki, że towar właściwy już wysłany, że teraz nie pora na kupno.

Dla przekonania się proszono, by odwiedzić rękodzielnie, lecz było za późno.

Obchodziły mnie starożytne zwaliska na wzgórzu zamkowem; obchodziły wszakże w całej karawanie mnie tylko jednego. Pod wieczór tedy ruszyłem sam na górę. Zamek widać dawno już opuszczony. Z trudem wdzierałem się po rumowiskach, wynagradzając sobie na przystankach przepysznemi widokami okolicy, która mi się przedstawiała urocza, w blasku zbliżającego się do zachodu słońca. Daleko ciągnące się jary nieraz przypominały Podole: dla zupełnego złudzenia nie brakowało i kurhanów. Kto pozostawił te tu po sobie ślady? Scytowie? Nim archeologia to rozjaśni, musimy wierzyć z Turkami, że to „czok eski dyr", że to bardzo starożytne. Nakoniec stanąłem przed klasycznemi gruzami. Śliczne, czyste kolumny greckie stoją jeszcze, uwięzione w złomach jakiegoś przedsienia. Lecz czem był sam gmach pierwotnie — trudno określić: zdaje się, że była to najprzód świątynia pogan, a następnie chrześcijańska bazylika. Inne gruzy nie przedstawiają nic szczególnego: są to szczątki zamkowych fortyfikacyi z rozmaitych czasów. W mieście samem zabytków starożytnych nie dostrzegłem; uderzyły mnie zato ruiny wspaniałego widać niegdyś meczetu, przy których stał nietknięty piękny, z czerwonej cegły, czystego stylu minaret, jako żywy zarzut zapomnienia.

Gdym wrócił do naszej „kahwe-chane", powiadam Grekowi:—Cóż, Dżordży, wasze Turki, widzę, własnych gruzów nie szanują: spotkałem tam oto taki wspaniały ich meczet — rozwalony, bez śladu myśli wznowienia go.

Uśmiechnął się tylko na to szyderczo mój Greczyn i odparł:

— Tak, tak, effendy, na każdym kroku spotkasz podobne przykłady — widać już koniec na Turków nadchodzi — oby prędzej! Już nietylko nie mają za co nowych dżamii wznosić, ale nawet walących się podtrzymywać. Koniec im!

— Coby też na to powiedział Muhammed-effendy, gdyby to posłyszał?

— On już z góry odpowiedział.

— Jakto? Nie rozumiem.

— Ne domyślasz się, effendy? — odpowiedział ostatecznie swojem zachowaniem się względem ciebie.

— Że tak przycichł, wygrzeczniał?

— Oczywiście. Myślisz, że dawniej, nietylko za czasów janczarskich, ale i znacznie później, uszłoby ci, effendy, na sucho takie lekceważenie wyznawcy islamu o zielonym zawoju?

— Czyż niesłuszne!?

— Słuszne czy niesłuszne — mniejsza, lecz nie darowanoby ci tego — nicby ci rewolwer nie pomógł, uległbyś zawziętości tłumu. A teraz, widzisz, nasi towarzysze muzułmanie zachowali się najobojętniej; owszem nawet w rozprawach swych potem stawali wyraźnie po twej stronie. Niema w nich duszy, już sami w swą wszechmoc nie wierzą!

— Wy jednak, mimo to, bardzoście ostrożni z nimi; pamiętasz ów „karauł" nad Kyzył-irmakiem.

— My, „rajah", co innego: musimy wszystko znosić do czasu; osobliwie tu w Anatolii — nim tam co przyjdzie, mogliby nas w niwecz obrócić: Trzeba czekać!

— A Ormianie?

— Ormianie! My z nimi — zawołał w uniesieniu mój Greczyn—nigdy do zgody nie przyjdziemy; już wolę Turka.

Na takich rozprawach pędziliśmy wieczór z Dżordżym na galeryi naszej kawiarni. Na dole, bliżej ogniska, niewyczerpanego źródła kawy, w kole zgromadzonych szła również rozmowa, lecz zupełnie innej treści. Wspominano stare dobre czasy dla prawych wyznawców proroka, a gdy tego było już do syta, całe towarzystwo zamieniło się naraz w milczące audytoryum. Z pośród koła wystąpił młody podróżny, którego rysy zdradzały arabskie pochodzenie, i począł opowiadać zgromadzeniu coś fantastycznie budującego

o chalifie Husseinie. Słuchaliśmy i my nieco, ile słyszeć się dało; ale Dżordży, którego „pogańskie bajki" nie bawiły, powrócił znów wprędce do przerwanych upewnień, że lepszy Turek, niż Ormianin.

6 października.

Karawana nasza, zgromadzona u wyjścia z miasta, podolskim jarem pociągnęła ku Kurt-dahowi. Mieliśmy dziś przejazdu do sześciu godzin. Pochyłości Kurt-dahu, łagodne, ujmujące, przedstawiały nam się jako rozległe pastwisko jedno. Prześliczna to być musi okolica wiosną, okryta kobiercem zielonej murawy, ku rozkoszy niezliczonych stad turkomańskich. Dziś jednak martwo tu jakoś — ani stad, ani namiotów. Zato od połowy drogi spotykamy więcej śladów uprawy i w ustronnych dolinach wsie częstsze.

Ku wieczorowi, w oddali, po prawej stronie naszej drogi, przedstawił nam się widok, któremu w żywości barw i rysów cywilizowana Europa nic już podobnego pokazać nie potrafi. Była to lekka karawana najmniej stu koni. Swobodnie, wężykiem, zwijając się gęściej, to rozwijając pasem długim, spuszczała się ona z pagórków, by się zbliżyć ku nam. Ani odrobiny w niczem tej monotonii, jaką nas zwykle uderza szwadron jazdy wojska regularnego: każdy jeździec swoim strojem, każdy koń swoim chodem; ani szyku, ani szeregu między wierzchowcami, konie juczne, niewymuszoność najfantastyczniejsza. Zbliżali się ku nam, by się zwrócić na naszą drogę. — To Ormianie! — wołają nasi. — Istotnie; po charakterze stroju widać, iż to drużyna przeważnie chrześcijańska. Podjeżdża do nas kilku przodem jadących. Mimo mej arabskiej na głowie „kefii", zdaleka poznają we mnie Europejczyka. Dwóch z nich mówi „alla franca" po włosku niby. Znaczniejsza część jedzie od strony Juzgadu, wielu z dalekiej Armenii, wszyscy zmierzają ku Angorze, a dalej do Stambułu. Towarzystwo najprzypadkowiej urozmaicone: kupcy, lud służebny i różnego rodzaju przemysłowce lub przemyślni tylko.

Karawana nie związana niczem; zwiększa się, zmniejsza, stosownie do fantazyi i potrzeby podróżnych, czasami obozuje razem, czasem rozprasza się na nocleg po wsiach sąsiednich, dniem zaś hurmem jedzie weselej i bezpieczniej. Zapraszają i mnie do swego grona. Szkoda, związany-m z moją karawaną. Lud to ciekawy dla mnie, jeszcze w tak licznym zastępie. Co to za typy kaukaskiej piękności męskiej, a pod niejednym jakiż wierzchowiec! Wyminęła nas lekka jazda i zniknęła przed nami w kurzawie jak sen, jak marzenie przelotne, fantastyczne. „Inszałłah" — może się w Stambule zobaczymy!

Po rozstaniu się z armeńską karawaną, spuszczając się powoli z Kurt-dahu, wjechaliśmy w okolicę bardziej jeszcze uprawną, a zwróciwszy nieco z drogi na prawo, zatrzymaliśmy się w żyznej górskiej kotlinie, na której poszarpanych pochyłościach rozproszyła swe siedziby, z kamienia i gliny, osada turecka Kyrandżeły. Tu wypadł nam nocleg. Wieś zamożna, ale człowiek nie wyosobnił się jeszcze w mieszkaniu od swego stada; więc też i nocleg nasz nie inny, jak obok koni.

7 października.

Śliczną porę mieliśmy przez cały ciąg tej podróży: ani kropelki deszczu, ani chmurki nawet; niebo wciąż pogodne, jasne, najczystszego błękitu. Powietrze, choć ciepłe jeszcze, lecz miarkowane przyjemną świeżością jesienną, różną nieskończenie od świeżości, przyostrej trochę, jasnych dni naszej północnej jesieni. Jedyna to pora do podróży w tych stronach; nieco później luną deszcze i drogi staną się prawie nieprzebyte. Wszakże i teraz nie bez ale. Cóż może zastąpić brak zieloności wiosennej!?

Oto i dziś taka rozkoszna, śliczniejsza może niż kiedy pogoda; okolice, wśród których się przejeżdża, na całej kilkomilowej przestrzeni, powabne, ujmujące: ciągłe pasma niewysokich, falistych wzgórz, o wdzięcznych, łagodnych

konturach; kraina żyzna, uprawna. Lecz cóż, kiedy, jadąc tędy, nie można się opędzić od ciągłego, mimowolnego zwrotu myśli ku porównaniom, o ile tu wiosną rozkoszniej być musi! Tym wrażeniom, podobnemu usposobieniu podlegają wszyscy; przekonać się o tem mogłem, zwróciwszy chwilową uwagę na towarzystwo naszej karawany. Cicho, milcząco, jakby przysłuchując się stąpaniom koni, wszyscyśmy w upojeniu niewymownem posuwali się naprzód; tak było jasno, tak pięknie od wczesnego poranku; lecz każdy z nas w tejże chwili czuł brak jakiś, tęsknił za czemś nieujętem. Zapewne wcale innemu usposobieniu podległby podróżny, gdyby ta wdzięczna okolica jaśniała w szatach wiosennych!

Z pól wszystko już było zebrane, na basztanach tylko gdzieniegdzie zostawała spóźniona ogrodowizna, a bujność i obfitość onej wymownie świadczyły o niewyczerpanej żyzności gleby, jeśli nie o wysokiej kulturze rolniczej. Rolnictwo w Anatolii jeszcze nie dźwignęło się z upadku: cały ten kraj, w porównaniu z obrazem, jaki podają nam o nim starożytni, to niby jeden niezmierny odłóg, czekający na wprawną rękę skrzętniejszego gospodarza. Lecz kiedy cywilizacya wróci tu do swych praw — przewidzieć się nie da, a tymczasem spotykane mniej-więcej porządnie uprawione okolice podróżny policzyć musi do rzadkich wyjątków. W lepszym daleko stanie jest ogrodownictwo.

Sześć godzin dzisiejszej drogi minęło nam jakoś niepostrzeżenie, cicho, kontemplacyjnie. Ku wieczorowi okolica poczęła przybierać inny charakter: zbliżając się ku Halysowi, poczęliśmy już spotykać skaliska. Piękna, fantastyczna grupa dzikich, czarnych skał, leżąca tuż przy drodze, była ostatnim kresem naszej podróży. Od skał tych spuściliśmy się w głęboki, malowniczy jar, bystrym potokiem przerznięty, i tuśmy się zatrzymali we wsi Kara-kaja (czarna skała) zwanej. Śliczna miejscowość! Coby to z tego ręka artysty mogła zrobić! A może to tylko złudzenie, że tu tak wszystko da-

lekie tam gdzieś dniestrzańskie okolice żywo przypomina? Nie, jednak ślicznie tu samo przez się.

8 października.

Od Kara-kaja mieliśmy już wciąż aż do Kyzył-irmaku, w oddali, po prawej stronie drogi, wysokie skaliste pasmo gór. Po drodze jednak też same krajobrazy, co i wczoraj — tylko bardziej surowe, bardziej dzikie. Znów sześć godzin jazdy.

Wśród dzikich zarośli, przy drodze, nieraz spotykaliśmy, i tutaj, kolczaste suche krzaki, owieszane, owiązane tysiącem najróżnobarwniejszych gałganków. Wyglądają one zdaleka jak świąteczne boże drzewko naszych dzieci na Zachodzie, strojne w tak świetne papierki, słodycze kryjące. Nieraz mię to już zastanawiało. Pytam więc Muhammedaeff., jako człowieka najkompetentniejszego w karawanie, o przyczynę; lecz ten uśmiechnął się tylko dziecinnie i milcząc mnie wyminął. Zrozumiałem, iż nie chce przed obcym przyświadczać zabobonności prawowiernego ludu. Ale Grek zrozumienie mi tego ułatwił. Lud w gałganku lub w strzępku barwnym zawiązuje chorobę i puszcza ją, na krzaku suchym, na wiatry. Zwyczaj to widać miejscowy, pogański, przedwieczny, który nie tylko muzułmanizm toleruje. Niewątpliwie nawet badacz specyalny znalazłby tu przy życiu wiele jeszcze podań i obrzędów pogaństwa starożytnego, ukrytych pod najsurowszą ortodoksyą islamitów i chrześcijan.

Że zaś tu lud etnicznie ten sam, co przed wieki, a tylko wskutek tylu przewrotów historycznych przeobrażony narodowo — niech świadczy temu przewaga typu aryjskiego, wśród dzisiejszej ludności tureckiej, bardzo wyraźna od wejścia w granice dawnej Galacyi.

Zbliżyliśmy się do Kyzył-irmaku. Królowa rzek Anatolii płynęła tu nieco szerszem korytem, z szumem ścieląc sobie łoże pomiędzy wspiętrzonemi skałami bazaltu. Nieda-

leko stąd leżał starożytny Aliassur, którego miejsce ma zajmować dzisiejsza Kapu-kioj (wieś u bramy).

Naprzeciw mostu, rzuconego, pewnie w starożytności jeszcze, ze skał na brzeg drugi, stała z kamienia kryjówka, służąca tu za „karauł". Wypadało się zatrzymać — choćby już dla samej obrzędowej kawy strażniczej; wreszcie potrzeba było poczekać, nim nadejdzie reszta karawany, pozostała z jukami daleko wtyle. Straż tu nosiła inny nieco od poprzedniej na Halysie charakter. Czausz poprosił mię grzecznie o „teskere" — i był wielce sam z siebie zadowolony, gdy mi dowiódł, że umie czytać. Przejazdu przez most pilnowano dość ściśle, lecz nie formalizowano się wielce co do piśmiennych dowodów.

Oto kroczy sobie skalną ścieżką i zwraca wprost na most jakiś podróżny niezwykłej w tych stronach powierzchowności: na grzbiecie resztki jakiejś odzieży nieodgadnionego kroju, na nogach pospolite tureckie trzewiki, lecz głowa przykryta zamaszyście brudnie białą baranią czapką; chód śmiały, ruchy swobodne, rysy twarzy idealnie turańskie.

— „Dur bakałym!" — woła czausz: poczekaj — coś ty tam za jeden?

— Taki sobie człowiek jak i ty! — była odpowiedź.

— Skądeś się przecie tutaj wziął?

— Cóż ci po tem, gdy ci powiem, kiedy rodzinnych miejsc moich nie znasz!

— Dokądże cię licho prowadzi?

— Idę przed siebie, lecz z Bogiem!

— A teskere?

— Teskere! — jam gość sułtański — i dosyć tego.

— A to rzecz inna—jeśliś gość sułtański, bądźże i naszym — „bujurun!"

Uprzejmie nieznajomego zaproszono do koła. On zaś, pozdrowiwszy towarzystwo po muzułmańsku, zasiadł między nami najswobodniej, jakby się z każdym znał od wieków.

Osypano go zewsząd tysiącznemi zapytaniami, pełnemi ze strony Turków współczucia. Dla mnie odpowiedzi jego były zbyteczne i nie zdumiewały mię tyle, co Dżordżego: wpatrzywszy się bliżej, z łatwością poznałem w nim niedawnego sąsiada. Istotnie był to przychodzień z północy — Tatarzyn nogajski, którego „kismet" (los) z wielu innymi do Anatolii przed kilku laty zarzucił.— Osady tatarskie rozrzucone w wielu miejscach wilajetów Angory i Siwaszu.

Przeszedłszy most, w zwalisku kamiennem po lewej stronie znalazłem piękny marmurowy posąg lwicy, z utrąconą głową — widać tułów sfinksa-lwicy. — Lecz jakieby tu przeznaczenie miał sfinks marmurowy? — chyba razem z innymi stał przed bramą starożytną u wejścia na most od Angory.

Za mostem spuściliśmy się w ładną dolinę, wśród której niebawem zatrzymaliśmy się na nocleg w osadzie, zwanej Kara-gieczy. — Wieczór śliczny, usposobienie towarzystwa wyborne, powszechna radość — jużeśmy „irmak" przeszli, tak niedaleko już do Angory!—Ale nasz kerwandżybaszy, poczciwy Osman-aga, tylko się po ojcowsku uśmiecha na tę niby dziecinnie przedwczesną radość.

— „Dur, dur" — woła, czekajcie no, Bahyrsaktelesy jeszcze przed nami, a taki wąwóz nie przesadzić!

— Na jutro strachy, a dziś — trzeba zajrzeć do dna torb i ulżyć koniom — blizko już! — odpowiadają rozpromienieni muadże zewsząd.

Muhammed-eff. nade wszystkich uszczęśliwiony — sam wesół, dodaje innym ochoty. Korzystając z zielonego zawoju, zaczepia kobiety, wzywa je do odbierania sakramentalnych błogosławieństw, przepasuje im obnażone ręce czerwoną nitką i mruczy im coś po arabsku niby. Inni towarzysze usiłują podkopać wobec płci pięknej jego mniemaną powagę; ale nic nie pomaga — kobiety rade, chychoczą. Muhammed się sroży i dąsa; każe dla nas za swe mysterya naznosić najlepszego winogrona — wesołość powszechna!

Zaciekawione dziewczęta zbliżają się też trwożliwem stadkiem. Zasłona? — to tylko zasłona wiejska, posłuszne narzędzie naiwnej kokieteryi — by się podrożyć, zasłaniając twarz, odsłonić bogate warkocze, lub z poza tej zasłony tem pewniej strzelić iskrzącemi oczyma. Śmiechy, chychoty, jak wszędzie u dziewcząt. A typy anatolskich wieśniaczek wcale nie obojętne dla oka, szukającego estetyki; a niewola wiejskich dziewcząt nie taka straszna, jak o tem bajki na Zachodzie głoszą. A więc wesoło — wszystkim wesoło!

9 października.

Osman-aga budzi i dziś o świcie—niema rady—osiem godzin przed nami jazdy, a droga ciężka—nie było wczoraj do późna bajramować! Niema rady—nikomu się nie chciało dopędzać karawany; więc każdy cicho, milczkiem, siodła konia, juczy, troczy i — w drogę!

Na drodze zaległ nam olbrzymi grzbiet wysokiego pasma gór. Trzeba było go przejść, nie męcząc koni. Całą godzinę tedy wznosiliśmy się po dość łagodnych, falistych pochyłościach i wyżynach do szczytu. Lecz z górskiego wierzchu ujrzeliśmy przed sobą inny widok — jak otchłań jaka, uderzyło nasz wzrok wejście do wąwozu, którym nas wczoraj kerwandży straszył. Otóż i Bahyrsaktelesy.

Z początku nie mieliśmy żadnej trudności w jeździe, również swobodnie, jakeśmy w górę się podnosili, spuszczaliśmy się teraz, z ustępu na ustęp, ku właściwemu wąwozowi („bohaz"). Lecz niedługo trwała taka jazda. Wąwóz naraz począł się zwężać — ocuciliśmy się, zjeżdżając coraz głębiej, w tak dzikim ostępie, jaki tylko wyobraźnia sobie stworzyć może. Ściśnięta gór przepaść nasrożona z obu stron poszarpanemi urwiskami skał surowych; gdzieniegdzie tylko mniej strome pochyłości pokryte młodym dębczakiem, jak całe gór boki; nad głową zaś, nieskończenie gdzieś wysoko, wązkie pasemko błękitu niebios. I tak już wciąż ostęp po ostępie — bez końca, bez wyjścia. Legowisko to ulubione

zbójectwa po wszystkie czasy. Dziś droga niby bezpieczna; ale przecie, po zwyczaju, podróżni ostrzegają się wzajem, by się trzymać kupą — „hepsy beraber!" A tu ścieżka wąziutka, tylko na jednego konia;—i wije się wężem i skacze z urwy na urwę, między skały, między karcze, to ponad strumykiem, mruczącym w głębi tej strasznej gór rozpadliny; — jazda utrudzająca. Przypomniałem sobie teraz zapytanie Jusufa-eff., owego syna Północy a znawcy Wschodu, przy rozstaniu się naszem w Taurze u Ak-kiupry zrobione. — Czyż ci jeszcze gór nie dosyć?! — przypomniałem sobie raz jeszcze i uśmiech jego. Zsiadłem z konia! Za mną poszli i inni. Tylko osiołek ciźmiarza, wysforowawszy się naprzód, niósł swego pana najnieprzymuszeniej i, jakby urągając dumnym koniom, że w trudnej przeprawie dorównać mu nie są w stanie, pędził po urwach, niby opętany. Porykując zaś chrapliwie z zadowolenia, istotnie stawał się jedynym naszym przewodnikiem po gęstwinach. Zabawna powiedzieć — ale ta fantazya osiołka tak nas bawiła, że w najweselszem usposobieniu podążaliśmy za nim wąwozem. A dosiadłszy potem koni, gdy się droga nieco polepszyła, po przebyciu dwóch godzin tego wąwozu, z nieudaną jednak przyjemnością zatrzymaliśmy się na wypoczynek u strażniczego karaułu, jakiśmy w głębi Bahyrsaktelesy znaleźli.

Zostawała nam jeszcze druga połowa Bahyrsaku do przejścia; wszakże teraz poszło nam już raźniej — obyliśmy się z położeniem, utrudzenie jazdy stało się obojętniejszem. Wreszcie i sama droga jedną godzinę tylko była dla koni dokuczliwa; na drugiej godzinie parowy, cieśniny wąwozu poczęły się stopniowo rozszerzać i powoli wyprowadziły nas na prześliczną obszerną dolinę. Kto zna istotne utrudzenie jazdy po dzikich gór wąwozach, rozdzierających wnętrza olbrzymów nie na jedne pół godzinki, niezaprzeczenie rozkoszne dla turysty, lecz, jak w tym razie, całe prawie cztery bite godziny przestrzeni — ten łatwo zrozumie, co to za

wielka przyjemność ogarnia podróżnego, gdy ten nakoniec ujrzy się wśród miłej otwartej doliny. Nie inaczej też jak z nieudaną radością powitaliśmy i my, całą karawaną, rozkrywający się przed nami, na godzinę drogi, swobodny, wspaniały przestwór.

Na widowni w oddali wznosił się przed nami Elmadah; lecz góra ta łagodnymi, harmonijnymi swymi konturami mogła tylko wabić ku sobie bardziej pragnących wypoczynku podróżnych. Ku wieczorowi wstąpiliśmy i na pochyłości samego Elma-dahu. Wejście z doliny prześliczne. Wchodzi się i tu przez wąwóz, ale takich miłych, wdzięcznych, łagodnych linii i kształtów, że to rozkosz dla oczu. Sam koloryt urw i boków poszarpanych jest tu odmienny, niż gdzieindziej: przeważa tu metaliczna zielona barwa, miejscami ciemno-czerwoną przerywana. Mają też tu być obfite pokłady bogate w miedź — dziś zaniedbane. Powoli malowniczość urozmaicenia niknie i ze wznoszeniem się naszem w górę ustępuje miejsca bardziej jednostajnym, szeroko-falistym pochyłościom i pagórom. Na jednym z takich pagórów zatrzymaliśmy się na nocleg, na widowni tureckiej wsi Tekkeh, zajmującej głęboki rozdół pod nami.

Jutro ze świtem mieliśmy wyruszyć w drogę, by stanąć u celu podróży całej karawany, w Angorze, zawczasu. A że wieś nam leżała z drogi i objeżdżać do niej było daleko, postanowiono nocować pod gołem niebem. Raźnie się więc wzięto do urządzenia taboru. Zakreślono czworobok, trzy strony ostawiono szczelnie worami z towarem i jukami, słoniąc się najbardziej od strony wiatru, a u wejścia rozłożono duże z suchych gałęzi ognisko. Z końmi równie nie było zachodu—wzięto je na uwiąź w dużym czworoboku, oprowadzonym linkami. Rozesłaliśmy się w taborze, jak kto mógł — i wybornie nam było, bo — „sabbah inszałłah Engiuri" — jutro da Bóg już Angora!

10 października.

Nim świtać poczęło, cała karawana już się znajdowała w ruchu: widoczna była powszechna gorączkowa niecierpliwość dostania się coprędzej do Angory. Rozniecono na nowo, uroczyście, przygasłe ognisko, gotowano kawę pożegnalną; a tymczasem służba karawany, z Osmanem na czele, juczyła co tchu powodowe konie. „Binmały"!—wołano zewsząd; a więc trzeba było wsiadać.

Do Angory mieliśmy pięć godzin. Z pierwszego wzięcia się można było przypuszczać, iż tę przestrzeń daleko prędzej przejdziemy; ale cóż za zawód! Nie rozpytując wcale o dalszą drogę, wyobrażałem sobie, iż Elma-dah na całej swej powierzchni jest tak uprzejmy dla gościa, jak u wstępu; tymczasem nie uszliśmy pół godziny od wyżyny Tekkeh, gdy zaległo nam drogę nieznośne kamienisko. Ostre złomy brył skalnych, gęsto rozrzucone, kanciasty żwir gruby („sarp"), męczyły konie niewymownie.

Dla anatolskiego konia rzecz to wprawdzie obojętna: idzie on sobie calutki dzień, bez popasu, czy zła, czy dobra droga, zawsze rzeźwy i wesoły. Toż samo trzeba i o anatolskim ludzie powiedzieć. Nie dziwię się wytrwałości mężczyzn; ale oto obok mnie młody chłopak, ów Greczynek kajsaryjski, pupil Dżordżego, jak ten się tu trzyma raźnie! Ani znać na nim trudu podróży; siedzi na końskim grzbiecie jakby na nim urodzony, rozmachuje czerwonemi „papuczami" i, na przekorę Mehmedkowi, donośnym sopranem wywodzi coraz to nowe „aman, aman"!

Można było się przecie unużyć, bo taka licha droga po grzbietach Elma-dahu ciągnęła się cztery godziny od noclegu. Lecz żywo, wesoło w kole naszej karawany. „Engiuri jakyn dyr"!—blizko już Angora, każdy sobie powtarza, łącząc w myśli z tem imieniem coś miłego dla siebie. Jam jeden tylko był tu obcy zupełnie, nikt mnie w Angorze nie wyglądał; ale i mnie, mimo trudu, było wesoło — tak już widać „kismet" mój chciał tego!

Na godzinę przed miastem poczęliśmy się spuszczać z wyżyny Elmy. Zmieniło się wszystko do niepoznania: znów przemijaliśmy krajobrazy o konturach łagodnych, wdzięcznych, harmonijnych, jak u wejścia na górę. Naraz uderzeni zostaliśmy widokiem, którego wspaniałości nic ujmy zrobić nie może. Roztoczyła się przed naszemi oczyma, u podnóża przeciwległego w oddali gór pasma, rozległa malownicza dolina, a po jej środku olbrzymia samotna skała, na której czole wznosiło się przedwieczne zamczysko, otoczone półwieńcem piętrzącemi się ulicami miasta, co zastąpiło miejsce starej Ancyry.

— „Iszte Engiuri"—otóż Angora!—zawołano zewsząd.

Niebawem przychodziło nam już się rozstawać. Przez czas podróży obyliśmy się z sobą, przywykliśmy do siebie—choć ludzie tak różni i tak rozmaici. Wypadało jakoś uroczyściej się pożegnać — tak się tu przywiązuje wagę do form pewnych: wypadało, jeszcze raz, jednem kołem zasiadłszy, chlebem się wzajem wszystkim przełamać. Tymczasem wjechaliśmy między winnice, ciągnące się już coraz niżej aż do samej doliny.

Winobranie jeszcze nie było ukończone — w każdym niemal ogrodzie lud zajęty ostatecznym zbiorem. U jednej tedy z winnic zatrzymano całą karawanę na pięknym pagórku, naznoszono winogron, wydostano z biesag resztki chleba. Zasiedliśmy więc, jak obyczaj nakazywał. Podziękowawszy Osmanowi-adze za przewodnictwo w podróży, złożyliśmy sobie wzajem życzenia wszelkich pomyślności i obłamaliśmy się dokoła chlebem. Czy też się kiedy spotkamy? — „Ałłah bilir"—Bóg to raczy wiedzieć! A teraz — jeszcze na koń!

Droga wiła nam się dalej, między winnicami, w przyjemnych parowach; słońce wznosząc się świeciło coraz promienniej. Konie, znające dobrze tę drogę, czując, że się zbliżamy do celu, szły żywiej, poparskując tylko. Osiołek ciżmiarza nie posiadał się z radości: ryczał najprzeraźliwiej i pę-

dził z góry co mógł, nie dając się koniowi wyprzedzać. „Eszek deli ołdu" — osiołek oszalał! — wołano, przyklaskując nowej fantazyi, bardzo zwykle oszczędnego na wyskoki takie, bieguna. Wnet spuściliśmy się ku podnóżu Elma-dahu i weszliśmy na dolinę.

Kilka staj przed nami, po drodze, stały wysokie kamienne wieżyce czy słupy wodociągowe, nieme świadki lepszych dawnych czasów; przy nich gromadki ludu, mężczyzn i kobiet, u roboty na grobli i u wody! Dziewczęta u wody! — to nie obojętne dla młodzieży w karawanie — nadto dziewczęta miejskie, „szehyrły kyzlar"! Dawajże tedy popisywać się jazdą i męczyć zdrożone konie! Muhammed-effendy wszędy pierwszy — teraz wyrzekłby się pewno i zielonego zawoju, byle mu Osman-aga uwag nie robił. Osman zaś dąsał się za konie, a uśmiechał — niedawno też jeszcze i on był tak młody, był „giendż adam", jak ci oto. Czy się podobała kryjącym się za słup Ancyryotkom jazda naszej młodzieży — nie wiem; dość, że trzeba było minąć wodociąg i ruszać dalej. U wejścia do miasta jeszcześmy się pożegnali — każdy zwracał się w swoją stronę.

— A ciebie, effendy, dokąd mam prowadzić?

— Prowadź wprost do „konaku" baszy!

BABYZM.*)

SPOŁECZNO-RELIGIJNY RUCH W PERSYI.

NOWE STANOWISKO KOBIETY.

Podróż moja po muzułmańskim Wschodzie, odbyta w r. 1870, zaprowadziła mnie z kolei i w świat wiekuiście mistyczny prastarej Chaldei. Poznałem świetny niegdyś Bagdad potężnych chalifów; poznałem i świętą dla Persów Kerbelę. Mniej mnie wszakże zabytki przeszłości obchodziły. Zabawnie to może wygląda, ale ja i w Chaldei o życie obecne najbardziej pytałem, pytałem o postęp.

Lecz przyznam się szczerze, że zdumieniu memu nie było miary, gdy na bazarze bagdadzkim spotkałem naprawdę przedstawicieli nowych zasad, powstałych niedawnymi czasy na Wschodzie, przed któremi bez sromu moglibyśmy i sami czołem uderzyć. Bo właśnie dotknąłem tu faktów, które, o ile upokarzają nieco dumę europejską, o tyle wzdymają pierś naszą jako ludzi.

Na bazarze tedy bagdadzkim, za stosami pysznych kobierców chorasańskich, przy uprzejmem pośrednictwie moich ludzi, wszędy gotowych z posługą, poznałem wyznawców nowej nauki, co błyskawicą była przebiegła zamroczony islamizm. Byli to perscy Babyci.

Wypowiadali się oni swobodnie przed nami, mimo

*) Gazeta Polska 1875 r., Nr. 222, 223, 225 i 226.

grozy prześladowania; nauczyłem się też czcić ich już wtedy. Po powrocie umocniła mnie jeszcze więcej w serdecznem dla nich uczuciu gruntowna praca p. Gobineau: „Les Religions et les philosophies dans l'Asie centrale" p. M. le Comte de Gobineau, Ministre de France à Athènes. Paris, 1865. Wspomniałem też już o nich nieco w zarysie moim „obecnego stanowiska kobiety na muzułmańskim Wschodzie" w „Bluszczu" 1871 r., a dziś pobudzony przez niesłuszne zapoznanie, jakiemu ulega w naszem piśmiennictwie ten przedmiot, chcę obszerniej go przed czytelnikiem roztoczyć, trzymając się ściśle poważnych wskazówek.

Prąd postępowego uspołecznienia ludzkości niepowstrzymany; wzbiera on w naszych oczach coraz potężniej, rozszerza swe łożyska, wyrywa stawiane tamy, tworząc sobie coraz to nowe koryta, użyznia szersze przestwory. Wiemy dobrze, iż uspołecznienie rozwija się wszędy niemal i na wszystkich drogach—przewodniczy rozwojowi temu Europa, lecz mylilibyśmy się mocno, przypuszczając, że tylko cywilizacya europejska jedynie posiada niezbędne warunki postępu, że tylko pod jej bezpośrednim wpływem postęp ten jest możebny. Wpływy Europy w ostatecznym swym wyniku są wprawdzie wszędzie ożywcze, wszędzie dobroczynne, wzór jej jaśnieje jako gwiazda przewodnia postępu powszechnego; jednak, niezależnie od tego, pewne stare społeczeństwa zawierają warunki żywotne postępu i w łonie własnem. Prarodzica nasza sędziwa Azya nie myśli wcale zdawać się li na okruszyny wymyślnych wnucząt; ma ona jeszcze zawsze swe niezależne zasoby ukryte. Ten ród aryjski, co dźwiga na swych barkach cywilizacyę Europy, co ją zaszczepił i wypielęgnował w tak bujny rozrost na nowinnych przestrzeniach Ameryki — ten sam, jak widzimy, zasiada jeszcze dotąd u przedwiecznych ognisk swych w zachodniej Azyi. W przeważającej części ujęty dziś w splot cudzego religijnego uspołecznienia, stanowi on z dwoma obcymi rodami Semitów i Turanów jednotę muzułmańskiego świata; ale

w głębi istoty swej wielce od nich różny i, przy nieuchronnym rozkładzie życiowym tego świata, bardziej od nich zdolny podążyć za pobratymcami chrześcijańskiej Europy.

Wobec zasadniczych warunków powszechnego postępu niezaprzeczenie prawa etnologiczne niepomierną odgrywają rolę. Ród aryjski jakby przeznaczony dziś z góry na główną dźwignię cywilizacyi; to zadanie wysokie, zdaje się, ma on przysądzone i w swym azyatyckim odłamie. Świeże ruchy na polu religijnem i społecznem, w jego łonie samoistnie powstałe, dostatecznie temu przyświadczają.

Obok tego w szerokim rodzie etnicznym, podług owych praw niezłomnych, każdy szczep, każdy naród ma swój odrębny tor samoistnego rozwoju, swe własne zadania i zasoby. Nadto posiada swą indywidualność, co we wszelkich możliwych warunkach rozwoju nie przestaje nigdy być samą sobą. Na mocy tychże praw, zdrowy indywidualny organizm narodu, nawet poddając się z konieczności najróżnoliczniejszym wpływom obcego rodu i cywilizacyi, zwykle przybrane obce pierwiastki przyswaja i przetwarza na własny pokarm pożywny i żyje wciąż odrębnem, samoistnem życiem.

Wśród rodu aryjskiego w Azyi najwybitniejszy tego objaw widzimy między szczepem Zendów, u Persów Iranu, przedewszystkiem w ich religijnej cywilizacyi.

Wiadomo, że w prastarej Azyi (aż dotąd) wszelkie objawy ducha, wszelki postęp w zakresie uspołecznienia nawet, nieuniknienie przyjmują wyraz i postać religii; jest to bowiem wiekuiście kraina wyobraźni, cudowności i mistycyzmu. Lecz za to w niej też, bardziej niż gdzieindziej, każdy ruch religijny jest zarazem i ruchem społecznym do głębi.

Duch starożytnych Persów, w zasadniczej swej treści, wypowiedział się we wspólnym dla wszystkich zendzkich ludów, panteistycznym w osnowie swej, mazdeizmie. Dwa pierwiastki świata w wiekuistej z sobą walce — oto wyraz

istoty onego, oto z czem zżył się umysł Persa na wieki. Upadek państwa Cyrusa, przewaga politeizmu greckiego od czasów Aleksandra, władanie Partów przeciągłe — wszystko to niewiele umysł ten wzruszyło. Sassanidowie wreszcie przywrócili cześć ognia do dawnej świetności, przywrócili władzę magów do dawnej siły. Lecz potęga ich jednak runęła pod ciosami Arabów; cześć ognia musiała ustąpić nowej nauce semityckiego proroka, mazdeizm—islamowi. Niedługo przecie obca nauka (Mahometa) utrzymać się zdołała w Persyi w pierwotnym swym charakterze.

Jak należało się spodziewać, mahometanizm perski spotkał wprędce tenże sam los, jaki nieco pierwej dotknął chrześcijaństwo Iranu. W zetknięciu się z mazdeizmem Zoroastra nauka Chrystusa przybrała była, między innemi, formy manicheizmu, który to następnie bogomilstwo u nas rozniecił; islam zaś odrazu tu ocucił się w szyityzmie, nim następnie dalej większym przeobrażeniom nie uległ. Duch narodu bowiem musi przeobrażać wszystko, stosownie do swych potrzeb wewnętrznych — wszystko, nietylko formy religii, nawet treść onej niejednokrotnie. Przykłady tego wybitne przedstawia nam nietylko sam daleki świat pogański jedynie; znane są one dobrze i w chrystyanizmie: nie wychodząc z Azyi, niech nam wolno tu będzie wskazać na Ormian i Syryjczyków w narodowej ich antagonii z Grekami. Taż sama narodowa antagonia Persów ku Arabom i Turkom wcześnie musiała wywołać i religijne między nimi wyróżnienie, z biegiem czasu, pod podnietą szczepowego ducha coraz to żywiej potężniejące.

Sama nauka zwiastuna koranu, opierająca się na znanym symbolu: „niema Boga jedno Bóg a Mahomet jego prorok" — przedstawia, przez swą prostotę, niezmiernie obszerne pole ku nieskończonemu urozmaiceniu w onej zakresie. Stąd też, natychmiast po śmierci Mahometa, zwolennicy jego już podzielili się na dwa obozy: sunnitów, wyznawców tradycyi Sunny, i szyitów, przyznających moc

rozstrzygającą stanowienia w wątpliwościach religijnych rodowi Mahometa—Alemu i „imamom" jego krwi. Że Arabi przeważniej, a następnie Turcy przyjęli Sunnę, w najnaturalniejszy więc sposób Persowie stanęli po stronie czcicieli Alego. Lecz szyityzm, zostawszy takiem ortodoksalno-urzędowem wyznaniem Persów, nie uniknął jednak konieczności i dalszego przeobrażania się w swych pierwotnych podstawach. Po większej części, jak to łatwo zrozumieć, przeobrażenia te powstały pod wielowładnym wpływem niespożytego ducha narodu i jego dawnych religijnych podań. Starożytna nauka magów i organizacya monarchiczna przenikały coraz żywiej do nowej religii i, nie przestając na stawieniu jej milczącego oporu, zmuszały ją do bardziej stanowczych ustępstw. Nakoniec musiało przyjść do tego, że mazdeizm ocucił się wskrzeszonym, co do istoty swej, w szyityzmie, a razem z tem i unarodowił go znakomicie.

Rzeczywiście, przypatrzywszy się bliżej dzisiejszemu szyityzmowi, jak to słusznie uważa p. Gobineau, widzimy, że Mahomet, a raczej Ali z pierwszymi imamami, zastępują w nim tylko Ormuzda i Amszaspandów; nie są to ludzie bowiem w pojęciu najprawowierniejszych szyitów, lecz emanacye boskie, wcielenia wiecznej mądrości, a prawo, którego nauczali ludzkość, nie jest ich dziełem ani dziełem Boga, istniało ono przedwiecznie w jego myśli, jak „Awesta" ksiąg Zoroastra. Dalej, o ile Ali odpowiada Ormuzdowi, w wyznaniu szczególniej „Ali-illahytów"—wyjątkowych jego czcicieli, o tyle perski Szatan, „Szejtan", jest najwyraźniejszem wskrzeszeniem Arymana starożytnego. Nakoniec hierarchia sama dzisiejsza, porządna i potężnie ukonstytuowana, jakowej śladów nie spotykamy ani w koranie ani u Turków obecnie, jest tylko odnowioną hierarchią magów.

W dalszym rozwoju szyityzmu, w wytworzeniu się różnolicznych onego odcieni, duch narodu i jego prastare religijne podania odegrywały niemniej przeważną rolę.

Postrzegamy to wszędzie, bez względu jaki charakter przedstawiają wyłaniające się zeń nauki: mistyczny, filozoficzny lub też reformacyjny wybitniej. Więc też piętno narodowe wyraźnie uderza nas zarówno w ortodoksalnym mistycyzmie sufytów, w rodzimej filozofii znanego na Zachodzie Awiceny, jak w nowszych odszczepionych naukach nossairytów i babyzmu.

Nauka mistyczna sufytów, datująca od 2-go w. hedżyry, jest pewnym rodzajem teozofii panteistycznej, której główne podstawy stanowią idea emanacyi i kwietyzm. Nie jest ona jednak wynikiem, jakby to się zdawać mogło, wpływów buddajskich, lecz opiera się na podstawie mazdeizmu i stanowi dalszy ciąg tylko pewnych powstałych z nauki Zoroastra sekt. Skądinąd zaś, nadmiarem używania ostrych napojów dla doprowadzenia się do błogiego stanu ekstatycznego odrętwienia— przypominają sufyci powstałą u nas w XVIII w. wśród Izraela mistyczną sektę hassydymów.

Religijna filozofia Persów-muzułmanów, pierwotnie, jak i u Arabów, ograniczała się na nauce Arystotelesa, w wykładzie komentatorów aleksandryjskich. Lecz moc ducha narodu dała się i tu wprędce poczuć. W XI w. przybrała też charakter zupełnie oryginalny w pismach Awiceny, i tchnie z nich, równie jak w sufyzmie, wręcz przeciwny surowemu monoteizmowi Semitów panteizm, podsycany zabytkami dawnych narodowych podań. Prześladowana od XIII — XVI w. przez reakcyę religijną, popieraną polityką panujących Mongołów, filozofia ta z wejściem dynastyi Sefewydów odżyła nanowo i zdobyła sobie najwymowniejszego tłómacza. Był nim Mułła-Sadra, który, mimo zawziętej opozycyi prawowiernego kleru, z niepospolitą zręcznością potrafił znów rozszerzyć dawne narodowe filozoficzne idee, stanowczo przeczące islamowi.

Tchnie niemniej narodowym duchem i sekta Nossairytów, najpotężniejsza dotąd ze wszystkich. Miano jej powstało z mylnego posądzania jej zwolenników o chrystya-

nizm (nazareizm), z powodu ich tolerancyi i niekłamanej życzliwości dla chrześcijan. Właściwa nazwa sekty jest „Ehle-hekk"—ludzie prawdy. Prawda ta jednak jest równie czystym panteizmem, jak w innych odcieniach religijnych u Persów. Nossairytowie odrzucają stanowczo dogmaty i podania islamu i godzą na jego zgubę; lecz nienawidząc islam, spełniają jednak dla bezpieczeństwa powierzchownie wszystkie jego przepisy. Lekceważą oni wszelką formę — widzą moralność li w czynie, — religię w myśli, byt prawdziwy li w Bogu. Podług ich wyobrażeń, między Bogiem a naturą istnieje pięć emanacyi głównych, które pod nazwą „pyrów" (podobni eonom gnostycyzmu) są uosobieniem atrybutów najwyższej istoty. Za temi uosobieniami idzie (jako wcielenia myśli Bożej) szereg mesyanistycznych przewódców ludzkości. Abraham, Zoroaster, Mojżesz, Jezus-Chrystus, Ali są głównemi ogniwami tego łańcucha tajemniczego, co jednoczy ziemię z niebem. Przepisy życiowe powyższej nauki nacechowane wysoką moralnością: miłować się wzajem, robić dobro — oto cześć jedynie godna Bóstwa, życie prawe najlepszą modlitwą, modlitwa ułożona tylko dla przypomnienia obowiązku. Jedynym obrządkiem u nich, stanowiącym jakoby symbol braterstwa ludzi, jest pewien rodzaj komunii, czyli uczta wspólna, gdzie baranek najgłówniejszą gra rolę. Życie wogóle pojęte jako ciągłe doskonalenie się w metempsychozie wielokrotnej, której maximum sięga tysiąca i jeden razy; sąd ostateczny wyobrażany jako koniec świata, poczem zapanowuje nieskończona wieczność.

Wskazaliśmy tu tylko najgłówniejsze odcienie perskiego szyityzmu, co rozwinęły się pod tchnieniem narodowego ducha i prastarych zendzkich podań; lecz odcieniów tych istnieje daleko więcej. Wszystkie one prawie, podkopując byt islamizmu w onego podstawach, godzą zawzięcie na samo jego istnienie, a wkorzeniając się w kraju, obejmują już sobą daleko znaczniejszą część ludności Iranu.

Że oficyalny muzułmanizm, tak absolutny i nietole-

rancyjny z natury swej, posiadający tak sprężyście w szyityzmie uorganizowaną hierarchię, mógł dopuścić do takiego spotężnienia śmiertelnie mu wrogiej sekty — cała tajemnica tej zagadki, cała przyczyna takiego stanu rzeczy zawiera się w jednym jedynym wyrazie „ketman"! Jest to podniesiony do najwyższego szczytu system restrykcyi, hypokryzyi ledwie zrozumiałej dla nas, panujący powszechnie w całym narodzie, a porodzony przez srogi azyatycki despotyzm. W odwet urąga mu też on milcząco! Islamizm zaś, tak nietolerancyjny w swej polityce, nie jest przecie takim co do dogmatu; zachowane pozory rozbrajają go i sekty się krzewią.

Całe społeczeństwo perskie jest tedy podminowane do gruntu; lecz żadna z sekt dotychczasowych, nawet przeważna „Ehl-e-hekk", nie miała siły do wystąpienia otwarcie; powierzchowny wyraz Persyi pozostawał wciąż najprawowierniej muzułmańskim; duch szczepowy Iranu musiał się skromnie korzyć.

Przyczyny tego leżą nietylko w samym ustroju azyatyckiego Persów społeczeństwa, w owej absolutnej, nieprzemożonej mocy władzy, co wszystko przeciwne sobie niweczy przy pierwszym wyraźniejszym objawie, w owym nałogu przedwiecznym niemej, poddańczej uległości wszelkiej faktycznej potędze; lecz niemniej i w samych zasadach sekt głównych. Cięży nad nimi wogóle czarnemi swemi skrzydłami prastary duch panteizmu—ten wielowładny pan społeczeństw, duch, co z poza złomków narodowo-religijnych podań sędziwego mazdeizmu unosi się i nad dzisiejszym Iranem. A unosi się on tem bardziej obezwładniająco, o ile w następstwie czasów sprzągł się z nim kwietyzm zabójczy dalszej Azyi. *)

Pominąwszy oderwaną narodową teozofię, spojrzyjmy tylko na dwie najważniejsze, najpotężniejsze dotąd sekty:

---

*) p. „Philosophie et religion par Ad. Franck, membre de l'Institut, professeur au Collège de France. Paris, 1867".

sufytów i nossairytów. Pomimo niezaprzeczonych stron dodatnich, ani w ich nauce, ani w zastosowaniu onej w życiu, nie widzimy nic samorzutnego żywotnie. Mistyczny sufyzm już z istoty swej rozprasza się zupełnie i obojętnieje na wszystko, co jest rzeczywiste. Uznając za stan idealny bezpamiętne zjednoczenie się w duchu z najwyższą istotą, grzęźnie on w najbezwładniejszy kwietyzm. Podzielony na mnóstwo odcieni, lekceważących się wzajem, przyzwalając na sztuczne środki dla podniety ekstatycznych uniesień, samochcąc sprowadza i uświęca w ciemnym ludzie nałóg niemniejszego jak gdzieś na północy rozpajania się; sprowadza równie i zgubne społeczne tego następstwa.

Nossairyzm, obejmujący już prawie trzy czwarte ludności Persyi, chociaż pełen zasad prawdziwie chrześcijańskiej szczytności, choć nie pozbawiony do pewnego stopnia wewnętrznej energii—pogardą wszelkiej formy, wszelkiego zewnętrznego wyrazu, życiowo nie wiele wyżej mógł stanąć od sufytów. W swym wybujałym spirytualizmie zanadto lekceważy świat zewnętrzny i zewnętrzne warunki samego życia, by mógł się zdobyć kiedy na energiczne, otwarte wystąpienie w zapasy z nienawistnem sobie mahometaństwem. Nakoniec zostawszy udziałem ciemnego tłumu, na nieszczęście, za wcześnie zatracił wśród niego najzupełniej całą jasną stronę swych zasad i obezwładnił się niemal w zabobon gruby.

Otóż w naukach tych szczepowy duch aryjski — irański, upowity wieki całe w pieluchy zewnętrznych przeważnie warunków miejscowego azyatyzmu, nie zdołał jeszcze dojść przebojem do samopoznania i poczucia własnej siły; nie zdołał wystąpić otwarcie i, podniósłszy broń przeciw wstrętnemu islamowi, przybrać zwrot, zapowiadający ściślejsze zbliżenie się z cywilizacyą pobratymczej, równie aryjskiej Europy. To wszystko właśnie było przysądzone babyzmowi.

Religia babytów wystąpiła stanowczo na widownię w 1847 r. — prawie jednocześnie z wybuchem wielkim ru-

chu społecznego w Europie; lecz właściwie powstała ona nieco wcześniej.

Koło 1843 r. w Kerbeli, poza dolnym Eufratem, ku pustyni — na ziemi szyityzmu, zroszonej niewinną krwią imama Husseina, pamiętnej i u nas dla karabel tam niby niegdyś dla szlachty wyrabianych — wśród uroczych gajów palmowych, odbywał studya swe teologiczne, pod kierunkiem znakomitego mistyka Szeika Kazema, młodzieniec lat 19-tu, zwany Mirza-Ali-Mohammed. Temu przeznaczone było zostać twórcą nowej na Wschodzie nauki. Urodzony w głośnym Szyrazie, miał on być potomkiem Alego, a więc seidem, prawowitym dziedzicem jego wysokiego posłannictwa. Lecz co więcej, był to młody człowiek, co łączył w sobie wszystkie przymioty, niezbędne dla władania bezgranicznego umysłami: piękność zewnętrzną, wymowę, słodycz obyczajów i moc charakteru, entuzyastyczną duszę, miarkowaną przez rozwagę, i nakoniec naukę, co zadziwiała swą szczytnością uczonych nawet.

Podobnie jak Mahomet, przygotował się on do swego posłannictwa przez oznajamianie się z zasadami wyznań, które go poprzedziły. Poznał ewangelię, obznajmił się z treścią biblii i kabały, zbadał istotę prastarych podań rodzimego mazdeizmu, i wcale nie pozostały mu obcemi ani neoplatonizm Arabów, ani żywe tradycye narodowej filozofii Awiceny. Entuzyastyczny ten młodzieniec począł od wyznawania najsurowszego islamizmu, unosząc się nad Mahometem, Alim i imamami, a postępowaniem swem służąc na zbudowanie prawowiernym. Zwyczajem prawowiernych, przedsięwziął on nawet pielgrzymkę do Mekki, do grobu proroka. Tu dopiero, w mieście świętem, w kolebce islamizmu, przyszły mu pierwsze powątpiewania, pierwsze pomysły reformy; tu też znaleźli się i pierwsi zwolennicy. Towarzysze podróży, zachwyceni jego pięknością i wymową, nie przeczuwając zamiarów, dla niego samego dotąd z pewnością niezupełnie jeszcze wydatnych, gotowi byli iść za

nim wszędy. Następnie odwiedził i Kufę; w ruinach meczetu, gdzie Ali zginął z rąk bezbożnych, oddał się głębokiemu rozmyślaniu i wyszedł stamtąd z niezachwianem już postanowieniem oddania się swemu posłannictwu.

Za powrotem do Szyrazu przybrał on też postawę stanowczo nieprzyjazną dla panującej religii. Nie uderzając wprost na koran, począł go tłómaczyć niewielu wybranym w sposób zupełnie nowy, stawiając na miejsce pozytywnego monoteizmu proroka Arabów własny swój system mistycznego panteizmu. Jednocześnie zaś, podobnie jak inni wielcy reformatorowie, wypowiedział zaciętą wojnę urzędowemu duchowieństwu — mułłom, walcząc z nimi wszędzie, nawet w głębi świątyni, wykazując sprzeczność ich postępowania z nauką islamu. Oczywiście mułłowie nie milczeli i stawili przeciw niemu najzdolniejszych z pomiędzy siebie: lecz w walkach tych, staczanych publicznie, zwycięstwo zawsze zostawało przy reformatorze. Sława jego rosła, liczba zwolenników mnożyła się.

Postępując w taki sposób coraz śmielej naprzód, postanowił on nakoniec wznieść nową religię na gruzach islamu! Pewnego więc dnia ogłosił uroczyście wybrańcom, że jest „Bab'em", czyli bramą mistyczną, prowadzącą do prawdziwej wiary i dającą wstęp do poznania Boga, — bramą prawdy i zbawienia! Odtąd więc nazwa „Bab", skąd następnie babyci, została mianem powszechnem zwolenników Mirzy-Ali-Mohammeda. Lecz nie poprzestawał on długo na tym jedynie charakterze; po upływie niejakiego czasu, będąc pewnym wzbudzonej ku sobie wiary, dał do zrozumienia swym naśladowcom, że nie był on jedynie bramą, prowadzącą do poznania Boga, lecz do pewnego stopnia przedmiotem samym tego poznania, to jest emanacyą boską; dalej, że nie był jedynie najwyższym z proroków dotąd znanych, lecz proroctwem samem, wiedzą, prawdą, duchem Boga pod postacią ludzką; nakoniec, że on był „nokteh" — „punktem", szczytem wszystkiego!

Naukę swą zawarł w dziele, napisanem w roku 1848, a noszącem tytuł „Biyan", czyli wykład (expositio).

Rozważając nauki tej podstawę, widzimy, iż stanowi ona pewną dość organiczną mieszaninę panteizmu z mistycyzmem, wręcz przeciwną monoteizmowi tak personalnemu muzułmanów. Mówi o Bogu-twórcy, ponieważ tworzenie jest dla niego synonimem życia. Bóg też, podług niego, jako źródło życia, rozlewa je ze swego łona w bezgraniczną przestrzeń. Lecz w określaniu przezeń potęgi twórczej spotykamy jedynie ideę emanacyi. Potęga twórcza, podług nauki Bab'a, dokonywa się przez siedm atrybutów, z których każdy posiada sam przez się życie istotne i jest prawdziwem odtworzeniem, prawdziwą emanacyą Bóstwa. Temi atrybutami są: siła, potęga, wola, czynność, względność, sława i objawienie. Stanowią one jakby dźwięki wyrazu lub wyrazy zdania, przez które Bóg w pewien sposób sam się dzieli, ażeby wyjść ze swej jedności i objawić się w stworzeniu. Przez emanacyę też Bóg przestał być jedynem istnieniem i, pozostając sam sobą, dał początek mnogości bytów; czyli „Bóg jest jednością pierwotną, z której wypływa jedność liczebna".

Dalej Bóg, jako „jedność jedności i suma sum", jest, podług „Księgi Przepisów" Bab'a, absolutnie wszystkiem; jednością naprzód, a następnie mnogością; tem, co opiera się dzieleniu i co jest najbardziej podzielnem; co najskrytsze i najjawniejsze, najstarsze i najnowsze, najczulsze i najsurowsze, najsprawiedliwsze i najmiłosierniejsze: „niema jedynej rzeczy poza nim".

Nakoniec, toż samo stwierdza i następne credo niejako babyzmu: „Wierzymy wszyscy w Boga i pokładamy wszyscy naszą ufność w Bogu, i myśmy się poczęli wszyscy w Bogu i wrócimy wszyscy do Boga, i mamy całą naszą radość w Bogu".

Pojęcie Bab'a o końcu świata i sądzie ostatecznym niemniej charakterystyczne. W dniu sądu, niebardzo już od-

dalonym podług jego obliczeń, da się słyszeć wyrok straszny: „wszystkie rzeczy zniszczone zostaną oprócz natury boskiej"! Lecz to zniszczenie powszechne nie dotknie jednak ludzi, co poznają prawdę, którzy będą się karmić czytaniem ksiąg świętych i błagać w ostatniej chwili miłosierdzia Boga. Tacy, tracąc poczucie indywidualności, nie tracą zupełnie, wracając na łono Boga, uczucia swego istnienia i znajdą tam najwyższe szczęście.

Raj, podług Bab'a, jest to miłość Boga, nie mająca nic do życzenia, miłość Boga zaspokojona: „Najwyższym rajem jest to patrzeć w oblicze Boga, po zrozumieniu go". Idei mąk wiecznych, podobnie jak w mazdeizmie, i nauka Bab'a nie zna.

Do owej podstawy powszechnego w Azyi mistycznego panteizmu dodał Mirza-Ali-Mohammed naukę szczególną o objawieniu i o sobie samym, jako objawicielu.

Natura, podług niego, oddalona od Boga, nieświadoma pierwotnej jedności, nie może się obejść bez objawienia; Bóg też udziela takowego człowieczeństwu od czasu do czasu. On je porusza i zwraca ku sobie za pomocą łańcucha mistycznego i dokonywanych przezeń wstrząśnień. Łańcuch taki stanowią prorocy, wstrząśnienia zaś: objawienie przez nich przynoszone. Są oni „tchnieniem ust Boga"— słowem jego żywem. Każdy z nich wyraża myśl boską, w mierze i postaci, zastosowanej do pojęcia społeczeństwa współczesnego. Nie można tedy przyznawać między nimi wyższości jednych nad drugimi, ponieważ spełniają wszyscy oni razem jedyne dzieło, wyrażają wiekuiście myśl jedną. W łańcuchu tym mistycznym Mojżesz przygotował Chrystusa, ten Mahometa, Mahomet zaś i apostołowie, co po nim nastąpili, między innymi dwunastu imamów w Persyi, przygotowali nowego objawiciela. „Wszyscy ci, powiada on, co byli przedemną, oczekiwali dnia mego".

Założyciel babyzmu nie jest, jak wiemy, tylko prorokiem jedynie, lecz nadto proroctwem samem, którego Bab

jest kulminacyjnym szczytem, „punktem". Dokonywa go w tajemniczej jednozgodności, razem z ośmnastu osobami, bez różnicy płci, przenikniętemi tym samym co on duchem, chociaż go objawiają przez różne atrybucye i działalność inną.

A idea ta na niczem innem nie oparta, jak na podniesionym do misteryi symbolizmie liczebnego znaczenia liter arabskiego alfabetu, co tak bardzo trąci starą Chaldeą!

„Punkt" z owymi 18-tu towarzyszami tworzą jedną istotę, jedną duszę w 19 osobach, zupełnie nierozdzielnych od siebie i stąd wiekuistych jak Bóstwo, którego są najdoskonalszą emanacyą. Harmonia ta 19 istot w jedni stanowi w pewien sposób ścisły, wiekuiście żywy organizm. Skoro bowiem jedna z tych osób traci ziemskie życie, dusza jej, lub ta część duszy zbiorowej, ta siła szczególna myśli bożej, której była wcieleniem, łączy się z duszą tego, kto przeznaczony zająć jej miejsce, w taki sposób, że niema nigdy próżni w jedności, ani przerwy w dziele przez nich dokonywanem.

Zastosowanie to zasady metempsychozy, o jakiem nie marzył ani Plato ani Pytagoras, a którego ślad pierwszy tylko kabbala przedstawia. Idea zaś proroctwa, nie mająca nic wspólnego z takową u Hebreów lub muzułmanów, a przypominająca równie fantastyczne pojęcia Indyan o „Avatorze".

Otóż „punkt" w systemie religijnym babyzmu nie jest jedną osobą, odrębną, ani myślą Bożą, wcieloną w Mirzę-Ali-Mohammeda, lecz wiekuistym pierwiastkiem tej myśli, jej istotą czynną i żywą, zawsze wśród nas obecną pod postacią to tego, to owego człowieka, którego nieprzezwyciężona potęga wskaże i postawi na czele religii i społeczeństwa. Bab więc, którego uczniowie, dla odróżnienia od jego następców, mianują „Hezret-é-Ala", Najwyższą Wysokością, nie ograniczając objawienia na sobie, mówi nieustannie o tym, kto przeznaczony zająć jego miejsce, „o tym, któ-

rego Bóg objawi";—mówi o nim jako o istocie wyższej od siebie, której on sam jest poprzednikiem tylko.

Pokora jednak, przezeń okazywana przy porównywaniu się do swego następcy, nie jest wcale sprzeczna z wysokimi atrybutami, które chce mieć uznawanymi w sobie. W tym ostatnim razie myśli on o swej naturze nieosobistej i boskiej; gdy w pierwszym dotyka postaci czasowej i z konieczności niedoskonałej, pod którą tamta się objawiała podczas swego życia ziemskiego. Otóż podaje się on najotwarciej za pośrednika między Bogiem a człowiekiem: „Ten, co wstąpi we mnie, wstąpi w Boga pana mego, a ten, co nie wstąpi we mnie, nie wstąpi nigdy w Boga".

Jako pośrednik takowy, Bab uznaje się być najwyższym wyrazem i istoty samej ludzkości, dalej istotą samą Boga, a stąd pierwiastkiem, z którego były wyprowadzone wszystkie rzeczy. „Wszyscy ludzie, powiada, pochodzą odemnie, a ja pochodzę od Boga pana mego". Wprowadza on zmiany i w codziennym obyczaju. Że liczba 19 według niego jest liczbą świętą, mistyczną, boską, związkiem, jednoczącym niebo z ziemią i ducha Boga z duchem człowieka, wypadło więc z konieczności, aby ona regulowała życie i stała się typem wszystkiego, co podlega emanacyi, składowi i podziałowi.

Otóż rok został podzielony przez Bab'a na 19 miesięcy, miesiąc na 19 dni i t. d. Ten sam podział był zastosowany do wagi, miar, pieniędzy, dzieł umysłu i miał wejść później do administracyi, rządu i społeczeństwa.

Nauka Mirzy-Ali-Mohammeda, skoro tylko raz przekroczyła ścisłe koło wybranych, musiała wywołać w świecie oficyalnym zgorszenie i oburzenie powszechne. Zwyciężeni w polemice mułłowie wystąpili przeciw niej z niesłychaną zaciętością, obwiniając o świętokradztwo, odstępstwo i bluźnierstwo; urzędnicy cywilni w niej sprzysiężenie widzieli.

I jedni i drudzy zwrócili się ze skargą do Teheranu; Bab również się tam odwołał. Potępia on w piśmie swem mułłów i wskazuje konieczną potrzebę reformy, a kornie zapewniając o swem przywiązaniu do tronu, oświadcza się z gotowością przybycia do stolicy dla obrony swej nauki i sporu swego z mułłami przed sądem władz samych. Panujący ówcześnie Mohammed-szach, człowiek schorowany, znudzony, sceptyczny, lubiący nadewszystko pokój, rozdrażniony tem zajściem, nakazał obu stronom milczenie, a dla upewnienia dalszego spokoju, polecił rządzcy Szyrazu poddać Bab'a pod ścisły domowy areszt. Oczywiście mułłowie byli bardzo niezadowoleni z tej decyzyi; babytowie zaś powitali ją jako tryumf własnej sprawy; znaczna część ludności przyjęła ich stronę i nowa nauka przenikała szybko we wszystkie warstwy społeczeństwa.

Pozbawiony swobody ruchu Mirza-Ali-Mohammed, łagodny z natury, już to przez szacunek dla panującego, już to że agitacya i walki wogóle były przeciwne jego zasadom, nie opuścił swego zamknięcia. Lecz inaczej byli usposobieni jego zwolennicy. Najgłówniejszy z nich, Mułła-Hussein, zwany Buszrewyeh, nowo nawrócony kapłan z Chorasanu, wystąpił odrazu jako apostoł energiczny i namiętny. Był to człowiek obszernej wiedzy, rzadkich zdolności, śmiałości niezwalczonej, jeden z takich, w którym nieprzyjaciele nawet musieli uznawać umysł wyższy. On to rozwarł babyzmowi zawód wojujący. Stosownie do zasadniczych dogmatów nauki o zbiorowości sił w „punkcie", zostawił on Bab'owi zakres spekulacyi, a sobie pole czynu wybrał i stał się pierwszym misyonarzem nowej religii. Opowiadał on ją z nadzwyczajnem powodzeniem w Chorasanie, Iraku, mieście uczonych Ispahanie i Teheranie stołecznym. Tu jednak zabroniono mu publicznych nauk; lecz za to upoważniono go do konferencyi prywatnych, jakie nawet, mimo sceptycyzmu, uczcili osobiście szach z pierwszym ministrem,

zakazując przecież apostołowi, pod karą śmierci, głoszenia nowych zasad poza stolicą.

Wśród tych okoliczności nauka nadzwyczajnego młodzieńca z Szyrazu zagarniała jak powódź coraz większe przestwory urzędowego muzułmanizmu. Ilość wyznawców nowego objawiciela wzrastała groźnie, a gorliwość apostolska Husseina wywoływała coraz liczniejszych naśladowców. Między nimi dwie osoby przedewszystkiem zajęły odrazu wysokie stanowisko. Jedną z nich był Hadży-Mohammed-Ali Balfuruszy, równie uczony i pobożny człowiek, którego dotąd opinia publiczna powszechnie czciła jako świętego. Drugą była kobieta Zerryn Tadż (korona złota), zwana z powodu swej nieporównanej piękności „Gurret-ul-Ajn", „pociechą, rozkoszą oczu".

Lecz piękność była najmniejszym z jej przymiotów; łączyła ona niepospolitą, jak na Wschód, naukę, wymowę, wszystkie dary wyobraźni i całą potęgę entuzyazmu. Co więcej, cnota jej była niezaprzeczona, zachowana do ostatniej godziny życia. Najbardziej to nadzwyczajna i najbardziej interesująca postać w tym ruchu religijnym, a samo jej wystąpienie uwydatniało najżywiej całą doniosłość jego socyalną.

Ojciec jej, jeden z najpierwszych prawoznawców, teologów kraju, teść i mąż, zajmujący wysokie stanowiska w duchowieństwie, byli oczywiście najzaciętszymi nieprzyjaciółmi nowej religii. W ich to rozprawach namiętnych posłyszała ona raz pierwszy imię Bab'a, a wybuchy ich nienawiści obudziły w niej nieprzezwyciężony popęd ku niemu. Zasady, głoszone przez młodego nauczyciela w Szyrazie, żywo ją zajęły. Dla poznania ich bliżej zawiązała ona piśmienny stosunek z Bab'em i wprędce została jego otwartą zwolenniczką. Lecz namiętna, egzaltowana natura tej kobiety nie pozwoliła jej poprzestać na biernej jedynie sympatyi; wystąpiła ona niebawem z wyznaniem publicznem zasad mistrza wybranego. Ujęła ją nadewszystko nauka Bab'a o wyzwoleniu kobiety z więzów haremu i surowego wschodniego oby-

czaju. Cała się więc jemu oddała stanowczo. W tem jednak Mirza-Ali-Mohammed tylko jako prorok mógł być interesowany, nie jako człowiek. Zerryn Tadż nigdy go nie spotkała, poprzestając tylko na korespondencyi z nim, która ją ostatecznie pokonała. Ani błagania, ani groźby rodziny nie mogły jej powstrzymać; opuściła ona wszystko, co dla niej było drogie, zrzuciła zasłonę, ten symbol wiecznego upodlenia, i poszła opowiadać wybawczą wiarę, wyzwalającą kobietę od sromotnej poligamii, naprzód w rodzinnym Kaswynie, a potem i dalej.

Trzej ci apostołowie babyzmu, po porozumieniu się zobopólnem, podzielili między siebie zadanie duchowego podboju Persyi. Krainy południowe przypadły Husseinowi, północne Hadży-Mohammed-Alemu, zachód pięknej Zerrynie Tadż; stolicę i wschód pozostawiono na czas dalszy.

Dopóki przeciwnicy nowej nauki trzymali się w granicach skarg i oszczerstwa, apostołowie jej ograniczali się jedynie na nauczaniu; lecz skoro tylko dostrzegli, że niema dla nich bezpieczeństwa, że wrogowie ich, korzystając z ówczesnych zamieszek w Persyi, starają się ich zniszczyć, wtedy postanowili zamach odeprzeć siłą zbrojną i poczęli organizować się w zastępy zbrojne.

Nie brakowało im ani pieniędzy, ani ludzi; niedługo też trzymali się w postawie li obronnej. Drobne oddziały, zebrane przez Husseina w Chorasanie i Mohammed-Alego w Mazanderanie, połączyły się, a pomnożone licznie przybywającymi posiłkami nowych zwolenników, utworzyły niebawem małą armię. Stanąwszy teraz na jej czele, dwaj apostołowie w zapale swym tuszyli, że będą w stanie nietylko odeprzeć przeciwników, lecz że nawet ich upokorzą zupełnie i zapewnią tryumf socyalny własnej nauce. Dla sfanatyzowania zbrojnych tłumów natchnionym głosem zawezwano następnie Zerrynę.

Natchniona kobieta przyjęła wezwanie to z uniesieniem i spełniła zadanie z powodzeniem nieoczekiwanem.

Już sama jej obecność pomnażała liczbę zbrojnych i wyznawców. Tłumowi, zelektryzowanemu jej wdziękami, opowiadała ona, że czasy już się spełniły, że Islam przyszedł ku ostatecznemu upadkowi, a Persya i ziemia cała pokłonią się Bogu, wcielonemu w Mirzę-Ali-Mohammeda.

Surowi muzułmanie, nie chcący przyznać, ażeby nauka odszczepieńcza Bab'a mogła kogokolwiekbądź porwać za sobą naprawdę, powiadają, że jedynie światowe pobudki sprowadzały tłumy dokoła „Gurret-ul-Ajn", że żołnierze obozu, w którym się ona znajdowała, byli poprostu wszyscy w niej zakochani, i że ten tylko psychiczny węzeł utrzymywał jedność i ścisły porządek w obozie. Istotnie trzeba też przyznać, że ci ludzie byli najgorliwszymi z babytów i że kobieta ta nadzwyczajna wywierała na nich wpływ bez granic.

Trzy oddziały połączone obozowały częścią w chałupach wieśniaków, częścią zaś w ogrodach na samej granicy Chorasanu. Trzeba je było entuzyastycznem przemówieniem przygotować do stanowczego wystąpienia. Otóż urządzono na prędce, na niewielkiej równinie, w pobliżu wsi, rodzaj tronu z desek, pokrytych materyami i dywanami. Apostołka, wystąpiwszy, podług swego zwyczaju, bez zasłony, zasiadła w sposób oryentalny na tronie, a tłumy w podobny sposób dokoła niej na ziemi. Przejmowały je namiętna wiara, entuzyazm bez granic, poświęcenie gotowe na wszystko.

Urocza Zerryna zwiastowała tłumom, że nowe światło wschodzi, nowe prawo powstaje, nowa księga zastąpi dawną. Tak wielkie rzeczy nie mogą się dokonać bez trudu i poświęceń nieskończonych ze strony pokolenia, któremu przeznaczono je spełnić; że nawet kobiety same, dzieląc prace swych mężów i braci, winny być gotowe na wszelkie niebezpieczeństwa. Nie pora im teraz zamykać się w głębi haremów i wyczekiwać w bezczynności, co tam mężczyźni zrobią. Pomijając przepisy powszednie, skromność czasów spokojnych, obowiązki swe nawet, wszystko, aż do wrodzonej ich słabości, a najbardziej trwożliwość tyle naturalną

ich duszom, winny one okazać się, w najzupełniejszem znaczeniu, towarzyszkami mężczyzn, iść z nimi razem na pole męczeństwa! Wrażenie tem wywołane było nadzwyczajne. Wymowa jej wszakże nie odznaczała się wcale cechami krasomówstwa; owszem, pełna była uderzającej prostoty; lecz gdy ona mówiła, słuchacze czuli się jednak wzruszonymi do głębi duszy, przejętymi uwielbieniem, rozczulonymi aż do łez. Nawet prawowierni muzułmanie, którzy się znajdowali śród tłumów, prowadzeni jedynie ciekawością, nie byli w stanie oprzeć się powszechnemu uniesieniu i mimowoli stawali się zwolennikami nauki, głoszonej przez usta natchnionej piękności.

Do uroczej potęgi wymowy dodała nadto środki swe polityka. Hussein, jako wódz naczelny, spożytkowując praktycznie ideę metempsychozy, wypływającej z nauki Bab'a, ponadawał główniejszym z przywódzców imiona 12 imamów i innych potomków Alego; przez co podniósł ich, tak w ich własnych oczach, jak w oczach podwładnych, a obudził powszechne spotęgowanie zapału, wiążąc nową religię z podaniami dawnego narodowego kultu. Tak przygotowani, pełni głębokiego zaufania w swe siły, babyci oczekiwali niecierpliwie dnia próby. Nadszedł on pierwej, niż się spodziewali.

Niedołężny Mohammed-szach umarł 1848 r.; jego następca Nasreddin-szach i główny minister Emir-Nizam, uśmierzywszy powstania, towarzyszące rozpoczęciu nowych rządów, postanowili raz skończyć zarówno i z babyzmem. Nie czekając przeto, ażeby on się wzmocnił bardziej jeszcze, rozkazali wojennym władzom Mazanderanu poruszyć wszystkie miejscowe siły i zniszczyć zbrojnych babytów do szczętu, poczynając od nowo wzniesionej twierdzy Szeik Tebersy, w której, jako w głównem stanowisku, zamknęło się 2000 najdzielniejszych z ich wojowników do zawziętej obrony. Trzy niewielkie oddziały, posłane jeden po drugim dla zdobycia tej twierdzy, zostały z hańbą pobite i odparte. Rząd wtedy wziął się do środków bardziej energicznych i wysłał

czwarty liczniejszy oddział pod dowództwem najzdolniejszego z wojennych naczelników kraju.

Rozpoczęło się zawzięte oblężenie, którego okrucieństwo wszelką wyobraźnię przechodzi. Babyci, doprowadzeni do ostateczności, bronili się w gruzach swej twierdzy z niesłychanem wysileniem do upadłego; nieliczna zaś resztka, która się dobrowolnie poddała, została zdradziecko wymordowana. W heroicznej tej walce zginął i dzielny Hussein, w ostatniej chwili obiecując towarzyszom broni być ciągle pośród nich i biorąc od nich obietnicę nie opuszczania sprawy aż do ostatniej kropli krwi.

Co zaś do Zerryny, ta zaraz na początku wojny usunęła się z Mazanderanu i opowiadała dalej nową naukę zbawienia w Hamadanie i w innych miejscach, porywając za sobą nawet żydów, którzy wogóle żywo się babyzmem przejmowali.

Porażony w taki sposób w Mazanderanie babyzm podniósł głowę w innych prowincyach Iranu. Do najwyższej potęgi doszedł on w mieście Zendżanie na północo-zachodzie, w prowincyi Kamseh; ale też tam właśnie i poniósł największe ciosy, najdotkliwsze straty.

W Zendżanie znajdował się inny główny apostoł babyzmu, Mułła-Mohammed-Ali. W krótkim czasie zebrał on koło siebie 15,000 zbrojnych, nad którymi objął jako apostoł i wódz nieograniczoną władzę. Zaniepokojony rząd wysłał przeciw niemu siły nieporównanie mocniejsze od jego własnych. Z początku jednak wyraźnie szczęście sprzyjało babytom; zajęli oni twierdzę Zendżanu, odparli wrogów, i gdyby nie coraz nadchodzące wojsku szacha świeże posiłki, byliby się tam ostatecznie uorganizowali w teokratyczną rzeczpospolitą, do czego wszystkie pierwiastki były już gotowe. Lecz przeważającej liczbie musieli oni nakoniec uledz, mimo całej energii i sfanatyzowanej wiary. Mułła-Mohammed-Ali, śmiertelnie ranny w bitwie, umarł, jak jego sławny poprzednik, z uśmiechem na ustach, zagrzewając to-

warzyszy broni do wytrwałości. Równie jak w Tebersy, i tu mała liczba pozostałych poddała się, pod warunkiem ocalenia życia, i równie była najokrutniej wymordowana.

Rząd właściwie prześladował tak zacięcie w babyzmie nie ideę wcale, lecz uorganizowaną materyalną potęgę. Zdawało się więc, że sam Bab, przeciwny z zasady gwałtownym porywom swych uczniów, winien był ocaleć; lecz rząd, w mniemaniu, że, pozbawiając babyzm głowy, tem łatwiej stłumi i samą naukę, postanowił i od proroka się uwolnić.

Od powstania w Mazanderanie Mirza-Ali-Mohammed, dla rękojmi niejako, został zamknięty w twierdzy Czehrig w Gilanie (u morza Kaspijskiego). Po wzięciu jednak Zendżanu przeniesiono go do cytadeli Tebryzu w Adzerbeidżanie, u granicy zakaukaskiej, skąd, jak mu było dobrze wiadome, wychodziło się zwykle na miejsce kary. Myśl ta nie sprawiała przecie najmniejszego niepokoju w jego umyśle. W więzieniu przeto oddaje się spokojnie rozmyślaniu, modlitwie i pracy; mówi o swym blizkim końcu nietylko z obojętnością, lecz z prawdziwą rozkoszą; oczarowywa i rozczula zachowaniem się swojem nawet stróży więzienia. Przyprowadzony przed swych złowrogich sędziów, chcących go nikczemnie shańbić, broni się dzielnie i upokarza ich samych swą słodyczą i mocą. Mimo to skazano go na śmierć. Następnie, kajdanami obciążonego, oprowadzają go jak podłego zbrodniarza po ulicach i targowisku miasta, nie szczędząc mu razów i obelg, biją go w twarz, obrzucają błotem. Nic nie jest w stanie go zachwiać! Spotyka go okrutniejszy jeszcze nad to wszystko cios. Towarzyszyło mu i w więzieniu i w tej oto chwili dwóch poświęconych jego uczniów, skazanych teraz z nim jednocześnie; otóż jeden z nich, Seid Hussein, owładnięty fizycznem znużeniem i przestrachem, dla ocalenia swego życia, nie wzdraga się urągać i plwać mu w twarz. Bab i to zniósł łagodnie. Zawieszony potem (pod pachy) na szańcach twierdzy, zostaje wydany na cel wykonywającemu wyrok żołnierstwu.

Wystrzały przecie przecinają tylko postronki, on spada nietknięty. Przejęte podziwem cudowności tłumy ludu gotoweby już uznać go za prawdziwego zesłańca niebios! Niebawem przecie ginie on pod ciosami wrogów. Martwe ciało rzucono na pastwę zwierząt. Tłumy go potępiły jako uwodziciela... Jedyną jego pociechą przed śmiercią było to zapytanie pozostałego mu wiernym a ginącego ucznia: „Panie, czy jesteś zadowolony ze mnie?"

Teraz ze wszystkich pierwotnych apostołów babyzmu pozostała jedynie „pociecha oczu", urocza Zerryn Tadż; lecz i ją niebawem spotkał los mistrza i towarzyszy.

W r. 1852 dwaj wyznawcy babyzmu byli przekonani o spisek przeciw szachowi. Poduszczany tem na nowo rząd postanowił teraz korzystać z każdej zręczności dla ostatecznego wytępienia babyzmu. Dosyć było być zwolennikiem nowej religii, by zostać oskarżonym o zbrodnię stanu; z tego to powodu tysiące niewinnych zginęło w najokropniejszych męczarniach. Powszechną proskrypcyą była objęta i Zerryn Tadż, bawiąca dotąd spokojnie w stołecznym Teheranie.

Lecz czy to z powodu czci dla jej piękności i talentu, czy to z obawy oburzenia opinii publicznej, chciano zachować życie kobiety, której najnieubłagańsi nieprzyjaciele nie mogli odmówić uwielbienia. Wymagano od niej zaparcia się, choćby formalnie tylko, przed trybunałem sądowym swego babyzmu, poczem byłaby uwolniona już zupełnie.

Odrzuciła ona jednak podawany środek, nie chcąc, jak powiadała, tracić sposobności oddania życia swego Bogu i uważając za hańbę wyprzysiężenie się wiary dla zachowania kilku dni dłużej znikomej postaci zewnętrznej. Spłonęła ona tedy na stosie; lecz śmiercią swą męczeńską okupiła niejako całą płeć piękną Wschodu, uszlachetniła ją, uzacniła, dając światu świadectwo żywotności nowej nauki!

W tym czasie zginął i Seid Hussein, ów uczeń Bab'a, który się go był zaparł w stanowczej chwili; teraz dręczony

zgryzotami sumienia, sam się oddał w ręce władz, by dzielić los dawnych towarzyszy.

Oczywiście, wszystkie te okrucieństwa straszne, dokonywane nad wyznawcami babyzmu, pomnożyły ilość jego stronników bardziej, niż wszelka propaganda. Wszakże już nadal od tej chwili babyzm przestał istnieć jako stronnictwo polityczne, a pozostał wyłącznie religią.

Po śmierci Mirzy-Ali-Mohammeda główni jego uczniowie, zebrani na soborze w Teheranie, nakreślili dalszy plan działań, odpowiedni do położenia, i wybrali następcę Bab'a. Był nim młodzieniec lat 16-tu, Mirza Jahya, który w mistycznym języku wiernych nosi nazwę „Hezret-e-Ezel", wysokości wiecznej.

Nowy Bab przebiegł kraj cały, nietyle w celu podniesienia ducha, ile dla złagodzenia umysłów; zalecał wiernym rozmyślanie i spełnianie obowiązków; najsurowiej wzbronił wszelkiego chwytania za broń, nim przyjdzie chwila zbrojnego wystąpienia za prawdę, którą on sam wskaże. Dla większego bezpieczeństwa jednak, opuścił on Persyę i udał się do Bagdadu, aby tam, utrzymując ścisły stosunek z niezliczonymi pielgrzymami, jacy rok rocznie ze wszystkich krańców Persyi i Indyi zwiedzają blizką od Bagdadu ziemię Nedżefu i Kerbeli, z pełną swobodą kierować propagandą w kraju. Ożywienie prozelityzmu okazało się niebezskuteczne: tajemne towarzystwa babytów zaczęły zawiązywać się wszędy po kraju, najliczniej w Farsie i Chorasanie; w Bagdadzie zaś posunięto się nawet do otwartej propagandy. Gorliwość ta atoli zaszkodziła nieco swobodzie dalszego rozwoju. Władze tureckie arabskiego Iraku, zaniepokojone szerzeniem się nowej wiary, na usilne nalegania rządu perskiego, haniebnie wydały mu na mord wybitniejszych babytów, między którymi nową apostołkę cudownej jak Zerryna piękności. Wielu z pozostałych, za ich propagandę niby między poddanymi sułtana, rozesłano po kraju na wygnanie. Niedawno przecie generał-gubernator

Bagdadu, Midhat-basza, dozwolił wrócić wygnanym i osłonił ich swą tolerancyą. Babyzm znów więc i tu się ożywił. Dziś już przecie babyci ostrożni są aż do skrytości; z obcym niechętnie o rzeczach wiary rozmawiają, a kobiety ich bez zasłony nie dają się widywać. Lecz wogóle lud to uprzejmy dla Europejczyków, w niczem niepodobny do fanatyków szyickich Kerbeli; a co więcej, spokojny, trzeźwy, pełny inteligencyi — porządny kupiec zeń i najlepszy rzemieślnik dziś w Bagdadzie. Żal tylko, że nauka Bab'a tylu się przyobleka misteryami, bo słusznie największa się cześć jej moralnym zasadom należy.

Dotarli babyci aż do Europy („Revue des deux Mondes", 15 août 1871, „Souvenirs de la Roumélie, p. Albert Dumont). Prześladowani okrutnie w ojczyźnie, otrzymawszy z czasem uprzejmą gościnność w Turcyi, mieli sobie babyci wyznaczone na mieszkanie pomiędzy innemi i Adryanopol w Tracyi. Zaledwie osiedleni, wzięli się oni i tu natychmiast, podług przepisów swej nauki, do pracy, do rzemiosł, nie wyróżniając się od reszty prawowiernych niczem, chyba większą ludzkością i słodyczą. Uczęszczali do meczetów, lecz trzymali się swej nauki, a każdy z nich był w swój sposób apostołem. W sklepie przy kupnie, wśród pospolitej rozmowy, zatrącano coś o zbawieniu, o reformie dusz, o cnocie — i, stosownie do potrzeby, posuwano się dalej, dotykając głębszych przedmiotów religijnych i tajemnic nowej nauki. Propaganda taka w ściśle oryentalnym stylu, przypominająca Akta Apostołów, mnożyła coraz liczniejszych prozelitów. Obudziło to więc i tutaj niezadowolenie władz tureckich; rządzca prowincyi kazał im opuścić kraj, zostający pod jego zarządem. Naczelnik ich wyprowadził tedy rezygnacyjnie cichą gromadkę wyznawców, wyjąwszy jednego z wiernych, który się był ożenił z Turczynką. Biedak ten, wyłączony ze społeczeństwa wiernych, zarznął się potem z rozpaczy. Fakt nadzwyczajny, jeśli przypomnimy,

że samobójstwo prawie nieznane na muzułmańskim Wschodzie! W r. 1868 babyci adryanopolscy przeniesieni podobno zostali na wyspę Cypr.

Dla pełniejszego zrozumienia babyzmu, dla ocenienia tej życiodawczej siły, jaką on wnosi z sobą w zbutwiałe społeczeństwo mahometańskiej Persyi, poznawszy wyżej jego teologię, musimy jeszcze obeznać się, choć w zasadniczych rysach przynajmniej, z kultem, moralnością i polityką jego.

Kult babyzmu, jako wynik protestu przeciw zbytkowi zewnętrznych praktyk urzędowego muzułmanizmu, zwraca się więcej do umysłu, niż do ciała, interesuje więcej myśl, niż działalność. Stąd stawia on rozmyślanie wyżej nad modlitwę, a modlitwę samotną, jako najbardziej zbliżoną do rozmyślania, wyżej nad modlitwę wspólną.

Czynność kapłaństwa sprowadza do kazania i nauki! Jednak przepisuje używanie pewnych talizmanów, dla symbolicznego napominania wiernym o głównych zasadach ich wiary. Co do zaleconej w „Księdze Przepisów" Bab'a wystawy, tak w obchodzeniu uroczystości publicznych, jak i w ozdabianiu świątyni, mniej to jest hołd oddany Bogu, niż zadowolenie dla samego człowieka, ponieważ przepych we wszelkich jego postaciach równie jest nakazany każdemu, podług możności, w życiu prywatnem. „Bóg nie wymaga od was, powiada mistrz, jak miłości i zadowolenia".

Lecz w etyce dopiero uwydatnia się cała istota szczepowego ducha Aryów, wprost przeciwna duchowi Semitów i Turanów, cała potęga rękojmi nieodzownego z czasem a samorzutnego zbliżenia się ludów Iranu z jednorodną im, we wspólnej niegdyś kolebce, cywilizacyą Europy. Tu zarówno występuje na widownię cała moc antagonizmu, który musi rozsadzić ostatecznie mahometanizm urzędowy w Persyi.

System moralności Bab'a opiera się na następujących zasadach: miłości dla drugich, względności dla siebie. Gło-

wną postacią miłości jest dobroczynność; nakazana jest ona jako obowiązek nieunikniony, lecz wzbroniony za to wszelki datek żebrakom, ponieważ żebranie jest grzechem. Podług myśli proroka, społeczeństwo, uorganizowane w duchu jego nauki, potrafi usunąć nędzę i uczynić znośnemi wszelkie nieszczęścia. Gościnność nie jest mniej obowiązująca od dobroczynności. Należy jej dopełniać przynajmniej raz na tydzień, względem ubogiego lub obcego człowieka, choćby się miało tylko szklankę wody do podania. Bogaci winni przyjmować u swego stołu liczbę gości stosowną do ich mienia.

O ile prawdziwy wyznawca babyzmu jest obowiązany do robienia wszelkiego dobra bliźniemu, o tyle bardziej wzbronione mu bezwarunkowo sprawianie mu zła. Nie wolno zatem odpierać siły siłą, odpowiadać na gwałt gwałtem, na obelgę obelgą. Nie wolno jest przeglądać cudzych papierów bez poprzedniego pozwolenia; nie wolno nie odpowiadać na list lub zatrzymywać list cudzy; należy nawet odpowiadać, jeśli można, w tym języku, w jakim był list pisany. Wogóle uważa Bab niegrzeczność nawet za grzech, jak za cnotę umiarkowanie mowy w dyskusyi.

Kobietę stawia na stanowisku nieznanem dotąd na Wschodzie, zbliżając się na tym punkcie z najszczytniejszemi ideami kultury europejskiej. Uznając ją być godną uczestnictwa w najwyższem kole proroczem, wśród jedności owych 19-tu wybranych, oswobadza on kobietę od niewolnictwa domowego, gnębiącego ją na Wschodzie tak okrutnie; uwalnia ją od zasłony i zamknięcia haremu, a przez zakaz poligamii i rozwodów wznosi do stopnia małżonki i zapewnia jej właściwą samoistność. „Zaiste, powiada, wyście stworzone dla was samych i dla waszych dzieci". A mężczyznom wskazuje: „Nie powinno być zasłony między wami i waszemi kobietami, gdyby ta nawet miała być delikatniejsza od listka z drzewa, aby nic nie było powodem zmartwienia dla kobiety". Nadto, wbrew zwyczajowi wszystkich narodów Azyi, przypuszcza on kobiety do rozmowy mężczyzn. „Ka-

żdy wierny ma prawo widzieć wszystkie kobiety, mówić z niemi i być widzianym przez nie". Obawia się przecie rozmów z niemi przydłuższych, zdradzając co do tego pewną jeszcze drażliwość oryentalną. „Nad 18 wyrazów strzeżcie się, powiada, prowadzić rozmowę, nie potraficie wyciągnąć z niej żadnej korzyści". Wogóle wymaga on, by poważano, czczono, kochano kobiety, by im zostawiano swobodę w czynnościach, nie szkodzących ich czci lub zdrowiu; a nawet chce, by się starano, ile można, zaspakajać ich gust do wytworności. Z pewnym rodzajem galanteryi wschodniej zaleca mężczyznom: „Ozdabiajcie waszą ozdobę, sławcie waszą sławę". Co więcej, zaleca swym uczniom kochać bardziej swe córki, bo one „przyjemniejsze Bogu, wyższe przed nim, niż ich synowie". Okazuje on też szczególniejszą troskliwość dla dzieci. Sam niegdyś podlegający surowemu obejściu się w szkole, zabrania zupełnie bić dzieci niedoszłe lat 5-ciu. Zaleca czuwać nad zdrowiem dzieci tyle, co nad ich wychowaniem, i dodaje prawie z macierzyńską czułością: „Pozwalaj im wszystko, co je może uczynić szczęśliwemi". Tak czuły w głębi swej duszy, oczywiście jest on niemniej dobry i dla zwierząt.

Nakoniec prawdziwy wyznawca, obowiązany do miłosierdzia i pobłażliwości dla wszystkiego, co go otacza, nie powinien być surowy i dla siebie. Post, wstrzemięźliwość, są mu wzbronione po 45-ciu latach. Wymaga się od niego cnót stałych i powszednich bardziej, aniżeli cnót heroicznych, którym dla uwydatnienia się potrzeba okoliczności wyjątkowych. Zakazane mu to, co jest prawdziwie szkodliwe, np. opium i gorące napoje; pozwolone zaś jest wszystko, co może mu uprzyjemnić życie i powiększyć uczucie wdzięczności względem Boga.

Wogóle w nauce babytów, jak w mazdeizmie, niema nic ascetycznego; niema w niej pokuty ani umartwienia, wyrzeczenia się dóbr i chwały tego świata, zamiłowania w ubóstwie i cierpieniu, pogardy ciała. Owszem, praca i do-

brobyt wysoko tu cenione; niema owych smętnych i ponurych marzeń, owej melancholii duszy rozczarowanej, wzdychającej ku niebu; życie ziemskie nie przedstawia się tu jako dolina łez, uciechy jako dzieło kusiciela; najżywsze w niej uczucie dla natury i sztuki, a wymagania estetyczne posunięte aż do przepisów, nakazujących dbałość o piękno zewnętrzne.

Polityka babytów nie zawiera w sobie nic takiego, coby zasługiwało na nazwę systematu politycznego w europejskiem znaczeniu tego wyrazu. Stanowi ona pewien rodzaj teokratyzmu patryarchalnego, na jaki zwykle zdobywa się Azya. Oczywiście wszystkie władze są tu ześrodkowane w rękach przedstawiciela Boga na ziemi, który je wykonywa przy pomocy 18-tu członków ciała proroczego. Dalej następuje stan kapłański, przeznaczony do tłómaczenia ludowi nieodwołalnych postanowień tego najwyższego zgromadzenia. Reszta zaś wiernych obowiązana słuchać; lecz posłuszeństwo to jest prawie dobrowolne, ponieważ opiera się jedynie na wierze i wewnętrznem uznaniu postanowień władzy. Co do prawa karnego babytów, to przeciwstawia on ideę miłości zasadzie prawnej zemsty, podawanej w koranie; pośrednio wymaga zniesienia kary śmierci i przyznaje jedynie dwa rodzaje kar: grzywny i zawieszenie prawa małżeńskiego, na czas stosowny do wykroczenia. Zapewne co do ostatniej kary, tylko wiara przestępcy może dać rękojmie onej dopełnienia, nie zaś jakieś wdawanie się władzy duchownej w ściślejsze stosunki małżonków; co do pierwszej zaś, nieposłusznemu grozi klątwa. Władza religijna oczywiście, skupiając w sobie wszystkie władze wogóle, rozrządza nadto całym prawie zasobem społeczeństwa, skupionym w jej ręku drogą opodatkowania. Lecz winna go używać tak na utrzymanie samej hierarchii, jak i budowli religijnych, na ulgę ubóstwu, wreszcie na wychowanie i naukę wiernych. Babyzm tedy, ściśle rozważany, jest to najzupełniejszy socyalizm teokratyczny.

Oceniając ostatecznie system babyzmu wogóle, zakończymy tu rzecz całą słowami poważnego profesora Collège de France, który niemało przyłożył się do żywszego oświetlenia podanego nam przez pierwszego badacza (Gobineau) przedmiotu: p. „Philosophie et religion, par. Ad. Franck": „Najniezawodniej system ten, bez względu z jakiego punktu widzenia będziemy go rozważać, nie odznacza się ani oryginalnością, ani siłą. Dogmat jego utworzony z różnych pierwiastków, zapożyczonych u doktryn dawniejszych. Moralność, pomimo niezaprzeczonych przymiotów, stoi niżej nietylko od zaparcia się ewangelicznego, lecz i od męskiej cnoty stoików. Jego polityka jest to utopia, która w praktyce wkrótce wyrodziłaby się w despotyzm. Nic nie stanowi jego wyjątkowej własności, oprócz teoryi stałego wcielenia bóstwa w grono 18-tu osób. A jednak, w swej całości, przemawia on więcej do serca, wyobraźni i umysłu, jest bardziej towarzyski, ludzki, poetyczny — i, powiemy chętnie, bardziej liberalny, niż islamizm. Gdyby on nie zawierał nic więcej, jak tylko zniesienie poligamii i mniemanych nieczystości, oddzielających wyznawców od niewiernych, miałby jeszcze nad nim dość wyższości dla przeciwstawienia mu strasznego współzawodnictwa, jeśli już nie dla detronizowania go — i służenia za przejście między Azyą a Europą".

Europa zatem nie może nie powitać winnem uznaniem tego samoistnego w łonie perskiego społeczeństwa zwrotu ku wyższym zadaniom cywilizacyi. Społeczeństwo choćby najbardziej zużyte, skoro poczyna przyznawać kobiecie należne jej miejsce, tak w samem życiu, jak i mającym mu przewodniczyć świecie ideałów — pewne jest odrodzenia!

OBECNY POSTĘP W STANOWISKU KOBIETY NA MUZUŁMAŃSKIM WSCHODZIE.*)

„Nie powinno być zasłony pomiędzy wami i waszemi kobietami, choćby ta nawet miała być delikatniejsza od listka drzewiny, aby nic nie było powodem zmartwienia dla kobiety"!

Bab.

Niespożyta jest w swych zasobach okryta szronem dziejowej siwizny, a wiecznie zieleniejąca Azya! Znużony podróżnik, z powrotem już po długiej wędrówce do kraju, gdzieś u wrót ku Europie, na ostatnim przy swym koniu wypoczynku na ziemi azyatyckiej, oglądając się raz jeszcze poza siebie, przywołując wyobraźnią pamiątki swe i wspomnienia i skupiając je w myśl jedną, nie może się powstrzymać od zawołania: jakeśmy my uprzedzeni, co za przesądna, niesprawiedliwa względem Azyi ta Europa nasza! Wiekuista tu stagnacya, powiadamy, niezwalczona niewola — i ani jednej iskierki życia, coby zapowiedzią postępu promieniała! Społeczeństwo zgrzybiałe i niezdolne niby już do wyższych zakresów, bo nawet czystej rodziny wytworzyć nie umie, bo nawet kobiety z haniebnego zamknięcia uwolnić nie chce. I dalej snuje się mu myśl po myśli, przesuwają się cudze i swojskie postacie. Stęskniony sam za własną rodziną, za drogiemi osobami, mimowoli wciąż wracając do

*) Bluszcz 1871 r., t. VII, Nr. 12—15.

żywszych wspomnień i obrazów, zatrzymuje się nad kobietą; następnie, niepostrzeżenie, wyłącznie nad ową jutrzenką, jaka dla niej zabłysła dziś w Azyi.— Tak jest, jutrzenka błysła, zorza wschodzić poczyna.

Kto z nas nie wie o sromotnej niewoli, jakiej ulega powszechnie kobieta na Wschodzie? któż nie zna jej smutnego tam od wieków położenia? Komu nie wiadomo, że cały jeden kult potężny, cały religijny system, niewolę ową uświęca, że islam robi z niej swój dogmat niejako? Czyjej wyobraźni nie kołysały owe dziwne i rozkoszne, a zawsze smutne obrazki anegdotyczne, jakie przed nią wieść i powieść poetyczna przesuwa? Lecz obok tego trzebaż wiedzieć, że obecnie na tym wiekuiście nieruchomym niby Wschodzie, nawet i w tym zakresie, nawet w sacrosanctum haremu odbywa się oto znaczące przeobrażenie; że zachodzi tam i czuć się daje, w położeniu i stanowisku kobiety, pewien postęp nie do lekceważenia.

Po bliższem przyjrzeniu się Azyi nasze pewne konwencyonalne idee okazują się być tylko uprzedzeniami, a do takowych niezaprzeczenie zaliczyć należy znane pojęcie o absolutnej nieruchomości azyatyckich społeczeństw. Już sama idea postępu jest tak potężna i życiodawcza, że użyznia wszelki grunt, jakiego się dotknie. Wśród wzbierającego więc prądu cywilizacyi powszechnej i zamknięta Azya ostać się w odrętwieniu nie mogła. Co więcej, zarody jej własnej samoistnej kultury niezupełnie też były zamarły, lecz, jak owo ziarno egipskie, co, wieki całe w krainie grobów martwiejące, przy ujrzeniu światła słonecznego i sprzyjających warunkach żywo zakiełkowało, tak i one w obliczu powszechnego cywilizacyjnego światła ożywiać się i z nową świeżością podnosić z pod warstw barbaryi je przygniatającej poczęły. Widzieć to musi każdy, kto nieuprzedzonem okiem spojrzeć może na dziejowe objawy towarzyskiego i społecznego przeobrażenia muzułmańskiego świata.

Kto łaskaw, niech poświęci nam chwilkę i zechce po-

lotem wyobraźni przebiedz ponad uroczemi krainami sędziwej Azyi — tak jak przed wieki zielonej, tak jak przed wieki pustynnej, a zawsze pełnej oryginalności i interesu. Z założenia obchodzi nas przedewszystkiem świat muzułmański.

Muzułmanizm jest religijną formą, która per excellentiam uświęca i uzasadnia niewolnictwo kobiety, nadaje mu pewną moc nieprzełamaną. Osłabienie więc wszelkie jego zasad, rozprzężenie w jego łonie, musi z konieczności prowadzić do zmiany względnej i w stanowisku samem kobiety. Obecnie zaś widzimy, że aż dwa prądy działają na rozsadzenie prawowiernego islamu, dwie potęgi go podminowują: wpływ zewnętrzny chrześcijańskiej cywilizacyi Europy i samoistny, od niedawna rozpoczęty, społeczno-religijny ruch wewnątrz samych społeczeństw, zostających pod przemocą koranu. Obok tego niemały tu wpływ i przyczyn etnicznych, co działaniem swem nieprzezwyciężonem zacieśniają lub rozszerzają upowicie, w jakie obejmuje towarzystwo wszelki religijny system.

Odmienniej też znacząco oddziaływają czynniki rozkładowe muzułmanizmu wśród trzech głównych onego szczepów: Semitów, Turanów i Aryów. Między Semitami, co wytworzyli islam, co dla historycznej tradycyi rodowej kultury pierwotnych swych ludów najbardziej ustalili system domowego zamknięcia — między Semitami, powiadam, razem z większą dotąd powagą wiary, i system ten najwięcej wkorzenionym się być okazuje. Turcy, przybysze z dalekich koczowisk średniej Azyi, barbarzyńcy u swej kolebki stepowej, stanowczo ulegli we wszystkiem, odnoszącem się do cywilizacyi, przemożnemu wpływowi Arabów — dziś po utracie mocy swej dzikiej obezwładnieni, radzi nieradzi ustępują już natrętnemu wpływowi europejskiego obyczaju. Że Aryom zaś kultura arabska z islamem były narzucone, myśl wyjarzmienia przeto oddawna wśród nich żywa.

Stanowisko kobiety u Arabów właściwie nie uległo jeszcze dotąd wyraźniejszej zmianie. Nie leży to jednak przecie bezwarunkowo ani w ich szczepowej naturze, ani w klimacie zamieszkiwanych przez ludy arabskie krain. Wynikło zaś przedewszystkiem z ich szczególnego historycznego rozwoju pod wyjątkowym wpływem muzułmanizmu. Patrzmy— jednorodni muzułmanom Arabi chrześcijanie-katolicy wcale innego trzymają się obyczaju. Wejdźmy do jakiego chaldejskiego lub syryjskiego domu w Mosulu lub Damaszku: wszystko tam napozór jednakie, jak w domu sąsiednim wyznawcy koranu, a mimo to co za różnica w charakterze, gdy niema tu wielożeństwa i wynikającego stąd niewolnictwa kobiety. Dom chrześcijański stanowi rodzinę podobną do europejskiej, nie zaś grupę wstrętnych sobie gniazd, związanych jedynie przemocą głowy rodu, jak w możniejszych domach mahometańskich. Chrześcijanka, jako matrona, nietylko jest panią domu, lecz należy jeszcze do towarzystwa; jako młode dziewczę, w domu przy matce równie nie unika obcych, a jeśli wychodząc na ulicę przybiera zasłonę, to tylko dla uchylenia się od możliwych nieprzyjemności; co więcej, nieraz tu nawet uwzględniają wybór jej serca. Niezawodnie zatem, że z osłabieniem surowości przestrzegania przepisów islamu, społeczeństwo arabskie wyższej klasy pocznie powoli poddawać się wpływowi wyobrażeń europejskich, jakie z głównego dziś cywilizacyjnego dlań ogniska — Egiptu szerzyć się będą po całym Arabistanie.

Podniesienie kobiety z plemienia arabskiego tem łatwiej dokonać się może, że i dziś u ludu kobieta z natury rzeczy pewną swobodę już posiada; u Beduinów pustyni, owego prototypu semityckiego szczepu, swobodę ową nadto otacza pewien urok poetyczny i istnie rycerskie uznanie. A im potężniejszy aszeret (pokolenie, plemię, lud), tem bardziej poetyczny obyczaj.

Co tu za wdzięk w przyjęciu gościa! Oto zbliża się mała karawana ku rozrzuconym gdzieś w pustyni lub u gai

drzew tamaryszkowych nad Eufratem namiotom groźnych Szemmarów lub nieprzebłaganych wrogów ich Anezów. Obcy podróżnik zwraca się ku namiotowi szecha (naczelnika); i jakaż to rozkoszna niespodzianka, gdy młode dziewczę, nieraz bardzo ładne, w biblijnym stroju, o biblijnej postaci, a świeżości wyrazu pustynnej, wybiega ku niemu z pod namiotu, wita go jako gościa w imieniu ojca, przyjmuje odeń wielbląda i, po wprowadzeniu do namiotu, podaje mu sama pierwszą czarę źródlanej wody. I wierzajcie— takiej czary zimnej wody, po całodziennym w drodze powiewie pałającego samumu, takiej swobody gościnnego dziewczęcia — to się już nigdy i na zimnej północy nie zapomina.

U Beduinów, watpliwych muzułmanów, jak wiadomo, kobieta nietylko jest towarzyszką życia, ale nieraz kapłanką niejako opiekuńczego ducha aszeretu. Oto zawrzała wojna między plemionami — każda strona, gotując się do krwawego spotkania, wybiera najpiękniejszą z dziewic całego ludu i wynosi ją na przewodniczkę. Dumne dziewczę sadzają na bogato kobiercami i fantastycznym rzędem ozdobionego wielbląda, i oto z odkrytą twarzą, z rozpuszczonemi włosami, w najświetniejszych szatach, otoczona najbitniejszą młodzieżą, postępując w szeregu, dziewczyna śpiewa pieśni wojenne i słowy zagrzewa do boju. Najsroższy bój dokoła pięknej dziewicy się toczy, hańba młodzieży, coby ją wrogom wziąć dała, to też się krew tu leje obficie: nieszczęsna często ginie we wrzawie; ocaloną, zwycięską przysądzają najdzielniejszemu.

Jeśli więc szczep taką cześć barbarzyńską wśród swych ludów dla kobiety przechowuje, nie może on być na utrzymywanie jej w wiekuistej niewoli, w swych wykształceńszych odłamach, przez prawa natury etniczne — skazany. Gdy jednocześnie trudno mu nie przyznać zdolności wyższej liberalnej kultury, jakiej w obrębie samego muzułmanizmu świetnie dowiódł w Hiszpanii.

Społeczeństwo tureckie znajduje się obecnie w chwili widocznego przełomu: przyświadcza temu powszechne rozprzęganie się pierwiastków dotychczasowego bytu, jakie nawet w zakresie rodziny dostrzegać się daje. Nie może tu być mowy o koczowniczym Turkomanie lub wieśniaku Anatolii—ci jeszcze żywo przechowują i dawny obyczaj i dawną moc barbarzyństwa; myślimy tu o warstwie dominującej, o wyższem i możniejszem towarzystwie, którego ogniskiem jest stołeczny Stambuł. Postawione w smutnej alternatywie: albo ginąć w starem barbarzyństwie, lub też próbować ratunku w poddaniu się wpływom europejskiej cywilizacyi, społeczeństwo tureckie zdecydowało się na ten ostatni wybór i rezygnacyjnie rozwarło drogę wszelkiemu wpływowi Franków. Nie obchodzi tu nas wcale skuteczność polityczna owych wpływów i wynikającego stąd przeobrażenia; mamy na względzie tylko skutki ich społeczne i towarzyskie, a z tej strony właśnie, nie przecząc ujemnym stronom — rozprzężenia i zepsucia, jakiemu zwykle społeczeństwa, przyjmujące bez braku obcą kulturę, w pierwszej dobie poddawać się muszą, nie możemy nie przyznać i dobroczynnego ich w przyszłości na towarzystwo tureckie oddziaływania, przedewszystkiem w zakresie familijnego bytu i stanowiska kobiety wogóle.

Kto nie był dziesięć lat w Stambule, zostanie uderzony wielką zmianą pod tym względem, dającą się zauważać nawet w ulicznym stolicy ruchu. Śledząc choć nieco zainteresowanem okiem, wyraźnie się widzi, że te panie, co się przed nami w ożywionym tłumie przesuwają, są nieskończenie jakoś swobodniejsze, niż dawniej. Zatrzymajmy tylko uwagę na jednej tak surowej niegdyś zasłonie: dziś ona taka lekka, przezroczysta, z taką gracyą noszona, z taką filantropią, pełną poświęcenia ze strony pięknych twarzyczek dla naszej płci niepięknej. I stare matrony już na to nie mruczą, jak przedtem. Co do haremu samego, formy w nim wprawdzie pozostają jeszcze dawne, też same; lecz, jak upewniają, duch

tam zupełnie już nowy powiewa. Postęp cywilizacyi powszechnej oddziaływa i na byt domowy. Wielu z młodzieży klasy możnej otrzymuje wychowanie za granicą: po powrocie niejeden z nich poważniejszy, skromniejszy, urządza się przez pół po europejsku, poprzestając na jednej żonie tylko. Bywają nawet coraz częstsze przykłady, że taki panicz stambulski, syn wysokiego dostojnika, przywozi sobie żonę z Paryża, która, ubezpieczona prawnie, bez sromania się wchodzi w warunki bytu oryentalnego. Fakta zaś takie bez skutku nie pozostają.

Niemniejszy tu wpływ braci po europejsku wykształconych, przy znanym rzewnym stosunku rodzeństwa między sobą. Skutkiem panującego wielożeństwa, dzieci skupiają się uczuciem tylko przy matce, z ojcem wiąże je więcej stosunek dumy lub interesu. W rodzinie więc tak ścisłej ojca syn starszy zastępuje, ujmując się za matką, gdy ten, innej żonie lub faworycie oddany, krzywdzi ją lub jej ubliża. Nieszczęściem też, jeśli kobieta nie ma syna, siostrzyczki nie mają brata. Po matce niema czulszej istoty dla nich nad brata, on ich ideałem, on ich opieką. Nieraz spotykasz młodego Turczyna gdzieś w głębokiej pustyni, w oddziale kresowym, w ciągłych pościgach za niespokojnym Arabem; zapytaj, co go tu wypędziło? — potrzeba ubezpieczenia losu siostry i matki, zaniechanych przez ojca, a na kresach lepiej płacą — oto najczęstsza odpowiedź. Przy takim stosunku brat, wychowany za granicą, czy w zakładach publicznych Stambułu, pozostając na miejscu, stykając się ciągle z Europejczykami, nieuniknienie wywiera wpływ znaczny na siostry i myśli zarazem o większej ich swobodzie na przyszłość.

Sam wreszcie system wychowania wogóle poczyna się zmieniać; w możniejszych domach powierzają dziewczęta francuskim guwernantkom, które z językiem muszą szerzyć i wyobrażenia zachodnie. Obok tego kobiety muzułmańskie zaczęły utrzymywać i żywsze stosunki z Lewantynkami, wychowanemi po europejsku. Panie zaś wyższego towarzy-

stwa przykrzą już sobie na dobre nawet dzisiejszą zasłonę. W czasie bytności cesarzowej Eugenii w Stambule mocno one miały się gniewać na zdobywane przez nią hołdy. Słyszano ich głośne nieraz uniesienia: „mądra mi... ani młoda, ani piękna — że jej odkrytą twarz okazywać wolno; gdyby z nas której zasłonę uchylić pozwolono, zobaczylibyśmy, przed kimby klęknięto"!

Wszystko to podkopuje muzułmanizm i rozprzęga węzły dotychczasowego społeczeństwa; lecz z drugiej strony właśnie toruje kobiecie drogę do niezależniejszego w przyszłości stanowiska. Przykład klas wyższych nie może zaś nie oddziaływać czasem i na warstwy ludowe.

Wyższy nieskończenie postęp w stanowisku kobiety zastajemy dokonanym u Persów. Gdy szczep semitycki nic prawie ze swego wkorzenionego obyczaju nie ustąpił, gdy turańscy władzcy starego Byzancyum tylko pod przemocą wielowładnego wpływu Europy swobodniejszym wyobrażeniom o kobiecie i jej stanowisku ustępować muszą; najbliżsi nasi pobratymcy w Azyi, aryjscy jak my Iranie, wznoszą tymczasem samodzielnie zasadę wolności kobiety i, wobec wpływu europejskiego, rozwierają drogę stanowczemu przeobrażeniu socyalnych stosunków Wschodu.

Wiadomo z dziejów, iż muzułmanizm był mieczem narzucony Persom. Ujarzmiony jednak duch narodowy odwiecznych czcicieli ognia przez kult i obyczaj obcego szczepu, niezdolny rozerwać pęt islamu, starał się go za to wewnętrznie przeobrażać, byle mu odebrać cechy wstrętne obcego pochodzenia. Zadanie podobne stało się więc procesem religijnego rozwoju perskiego społeczeństwa. Nie mogło to jednak mieć wpływu na zmianę socyalnych i familijnych stosunków, ponieważ unarodowiony w ten sposób szyityzm pozostawał urzędowym obrządkiem, a liczne—liberalniejsze, złowrogie mu sekty, dla uniknięcia srogich prześladowań, musiały zachowywać zewnętrzne pozory prawowierności. Taki stan rzeczy trwał bez przerwy aż do ostatnich czasów;

gdy razem prawie z wielkim socyalnym ruchem w Europie powstała w 1847 r. w Persyi nowa religijno-społeczna nauka, co otwarcie już wystąpiła przeciw islamowi i na chorągwi swej wypisała swobodę kobiety. *)

Zwiastunem tej nauki był młodzieniec lat dwudziestu, Mirza-Ali-Mohammed. Pochodził on z wysokiego rodu i posiadał wszelkie przymioty duszy i ciała, uzdolniające do przewodniczenia: męską piękność zewnętrzną, wysoki umysł, niezłomną wolę i anielską słodycz charakteru. Przygotowany do swego posłannictwa przez głębokie studya w słynnej Kerbeli, obeznany dosyć z chrystyanizmem, wystąpił on w mieście swem rodzinnem, głośnym na Wschodzie Szyrazie, stanowczo przeciw islamowi, wydając się za wyższego od poprzedzających go proroków, przynoszącego wyższy zakon. Mienił się on być „Bab'em", „bramą" prawdy i zbawienia, co mu właśnie odtąd ustaliło ten tytuł. Nauka jego nie przedstawiała właściwie nic oryginalnego: był to pewien dość organiczny zlewek znanego od wieków Wschodowi mistycznego panteizmu, ożywionego mesyanistyczną ideą, ale za to etyka jego, ile okazywała się zabójczą dla islamu, tyle była życiodawcza i wysoka.

Uderza on na odrętwiały formalizm urzędowego muzułmaństwa i wprowadza kult, obchodzący więcej umysł, niż działający na zmysły. Znosi wszelkie przepisy, dotyczące czystości lub nieczystości wobec prawa, obowiązujące do unikania niewiernych i t. p. Moralność zaś opiera na dwóch zasadach: miłości dla bliźnich, względności dla siebie. Potępia zasadę prawnego odwetu, podawaną przez koran, i występuje przeciw karze śmierci. Obowiązuje wyznawców do uczynków dobroczynnych i gościnności, zakazując stanowczo jałmużny. Wymaga względności wzajemnej, uważa nawet prostą niegrzeczność za grzech, a z całą surowością potępia odpieranie siły siłą. Zaleca szczególniejszą czułość dla dzieci i łagodność w obchodzeniu się z niemi. Nie wymaga też od

*) p. wyżej — art. „Babyzm".

wyznawcy wielkiej surowości i dla samego siebie. Żadnej idei w jego nauce o ascetyzmie, umartwieniu, wyrzeczeniu się dóbr i chwały tego świata; owszem, Mirza-Ali-Mohammed to jakby zmartwychwstały Ateńczyk, pełen najwyższego współczucia dla natury i sztuki.

Na tle tem moralnych zasad, jakich oto pobieżnie dotknęliśmy, stawia on kobietę na wysokości dotąd nieznanej na Wschodzie i zbliża się pod tym względem z najszczytniejszemi ideałami europejskiej kultury. Podług natchnionej nauki nowego Azyi objawiciela, kobieta na wyżynach ducha stoi zupełnie na równi z mężczyzną, zajmuje ona miejsce w mistycznem kole proroczem, jakie u babytów ma przewodniczyć dalszemu pochodowi ludzkości. Postawiwszy kobietę w zasadzie na takiem stanowisku, oczywiście potępia on panującą poligamię, a następnie i haremowe zamknięcie, zatem zaś i samo noszenie zasłony. „Nie powinno być, woła, zasłony między wami a waszemi kobietami, choćby ta nawet miała być delikatniejsza od listka drzewiny, aby nic nie było powodem zmartwienia dla kobiety". W oburzeniu na azyatycką przemoc, wbrew nauce Mahometa: „Kobiety sę waszem polem, uprawiajcie je w sposób jaki wam się podoba, dopełniwszy pierwej jakiego czynu pobożnego", szlachetny młodzieniec powiada kobietom: „Zaiste, wyście stworzone dla was samych i dla waszych dzieci"!

Oswobodzona od niewolnictwa domowego, przez zniesienie wielożeństwa i rozwodów, kobieta z faworyty i rodzicielki staje się podług nauki Bab'a małżonką, w chrześcijańskiem znaczeniu tego wyrazu. W naturalnem stąd następstwie, przypuszcza on, przeciw panującemu na Wschodzie zwyczajowi, kobietę do wspólnego stołu, towarzystwa i konwersacyi z mężczyznami. „Każdy wierny ma prawo widzieć wszystkie kobiety, mówić z niemi i być widzianym przez nie". Dalej jakby ulękniony niepewnemi następstwami śmiałości swojej myśli, zdradza on jednak widocznie chwilowe wahanie się, dodając nawpół żartobliwie: „Nad

osiemnaście*) wyrazów strzeżcie się prowadzić rozmowę; nie potraficie wyciągnąć z niej żadnej korzyści". Lecz przestroga to dla azyatyckiego towarzystwa, którego pęta przedwiecznej niewoli on pierwszy oto targa.

Łatwo atoli daruje się mu ten żart naiwny, gdy się przypomni, że w każdym zwrocie swej myśli ku kobiecie pełen on dla niej głębokiego uznania. Nakazuje, by poważano, czczono, kochano kobiety; by im zostawiano najzupełniejszą swobodę w czynnościach, nie szkodzących ich czci lub zdrowiu. A posuwając się aż do delikatnego uwzględnienia ich estetycznych potrzeb, zaleca, by starano się ile można zaspakajać gust ich do wytworności. „Ozdabiajcie waszą ozdobę, sławcie waszą sławę". Czyż to nie istnie rycerska galanterya w tem przemówieniu do młodzieńca, uszczęśliwionego ręką narzeczonej! W delikatnem, czułem, rzewnem swem uczuciu dla kobiety dochodzi on nawet do kresu, przewyższającego wszelkie oczekiwanie, gdy zaleca wyznawcom kochać bardziej swe córki, bo „one przyjemniejsze Bogu, wyższe przed nim", niż ich synowie.

Oczywiście nauka Bab'a, tak przeciwna muzułmanizmowi we wszystkiem, takim ciosem ugodzająca w sam pień jego podstawy, musiała wywołać wielkie zamieszanie umysłów i niesłychaną wrzawę po całym kraju.

Zaatakowani nadto bezpośrednio mułłowie (duchowieństwo) z zapamiętałością uderzali na nowego proroka i zwiastowane przezeń objawienie. Objawienie zaś to dla swej moralnej doniosłości obudzało powszechnie najwyższe zajęcie. Zawziętość wrogów Mirzy-Ali-Mohammeda bardziej roznamiętniała się, liczba jego zwolenników za to do podziwu rosła. Po całym Iranie nie mówiono o niczem innem, jak o nadzwyczajnym młodzieńcu z Szyrazu i jego nauce niesłychanej. Ludzie wyższego, poetyczniejszego umysłu, wśród klasy wykształconej, stawali po jego stronie

*) Liczba mistyczna w nauce Bab'a.

i własnem poparciem nowej nauki nadawali jej nowy polot. W każdej rodzinie niemal powstały dwa obozy: gdy starsi i rutyniści potępiali zwykle zuchwalca, młodzież i kobiety stawali w obronie natchnionego objawiciela!

Kto ma choć lada powierzchowne pojęcie o ludzie i społeczeństwie azyatyckiem, uderzony teraz pełną życia nauką Bab'a o ważnem stanowisku kobiety wogóle, nie zdziwi się, gdy mu powiemy, że właśnie najbardziej natchnionym, najgorliwszym apostołem babyzmu była kobieta; co więcej, że kobieta nadto jest najwznioślejszą, najsympatyczniejszą postacią w całym tym ruchu. Imię jej Zerryn Tadż — co znaczy „wieniec złoty", a miejsce urodzenia miasto Kaswyn w Iraku adżemskim.

Wśród powszechnego wzburzenia umysłów w kraju, wyobraźmy sobie możny, należący do najwyższego towarzystwa, dom młodego, a poważnego dostojnika hierarchii, gdzie gospodarz razem z ojcem sędziwym i teściem, słynnym prawoznawcą, dotknięci panującem zgorszeniem, radzą nieustannie w zaciszu koła familijnego o środkach najodpowiedniejszych dla zapobieżenia onemu... Nie są to rady, ale zapamiętałe uniesienia, napady i obelgi, miotane przeciw szalonemu zuchwalcy, z ich własnej klasy, co się poważył oto wystąpić z bezbożną nauką, sprzeczną z pismem i świętymi imamami. Obok, w zamknięciu pełnego przepychu haremu, przysłuchuje się temu młoda, uroczo piękna, niepospolicie na Wschód wykształcona, szczytnie poetycznego, a dzielnego umysłu kobieta. Była nią właśnie Zerryna. Zaciekawia ją to, intryguje, zastanawia; wsłuchuje się pilniej, poznaje imię nadzwyczajnego młodzieńca razem z głównemi zasadami jego nauki. Sama idea o należnem stanowisku kobiety unosi ją, porywa, zachwyca: zniesienie haniebnej niewoli haremowej to nie zgroza, zgorszenie, jak starce oto twierdzą, a objawiona nauka z nieba; potępiany przez nich Mirza-Ali-Mohammed nie oszust żaden, ale natchniony prorok Pana, objawiciel jego rozkazów! Postanawia więc

bliżej go poznać i zawiązuje z nim korespondencyę; to ją bardziej jeszcze ujmuje i stanowczo robi z niej najgorliwszego wyznawcę. Pozostawało tylko jeden krok poświęcić dla życiodawczej idei; — i zacna, wysokomyślna kobieta nie cofa się przed poświęceniem.

Pomimo najczulszych zaklęć i łez rodziny, pomimo surowych gróźb, młoda, uwielbiana przez swoich kobieta zrywa ze wszystkiem, co jej dotąd było drogie w życiu, co ją doń przywiązywało, opuszcza harem, odrzuca zasłonę—ów symbol wiekuistej niewoli—i idzie opowiadać naukę wybawienia. Łatwo pojąć, jakie wrażenie sprawiło wystąpienie podobne cudnej piękności kobiety, którą właśnie dla tych jej uroczych wdzięków poczęto powszechnie nazywać „Gurret-ul-ajn" — „pociechą, rozkoszą oczu". Tłumy zbiegały się na sam jej widok i napewno więcej ona przysporzyła wyznawców babyzmowi, niż sam prorok i dwaj jego pierwsi, pełni energii, apostołowie. Piękność bowiem niezrównana była jednym z najdzielniejszych przymiotów Zerryny; posiadała ona wzniosły umysł i moc duszy niezwalczoną; obok tego wszystkie dary wyobraźni, wszystkie powaby entuzyazmu, a wymowę tak porywającą, że jej oprzeć się niepodobna. Nadto cnota jej była bez zarzutu, bez cienia— przechowana nieskalanie aż do ostatniej jej chwili. Najzawziętsi jej z zasady nieprzyjaciele, których gorszyło zrzucenie przez nią zasłony, nie mogli odmówić jej uwielbienia. Zwano ją też zaszczytnie „Hezret-e-Tahereh" — czystą, niepokalaną.

Zerryna nigdy nie widziała swego mistrza, którego niebawem, dla niepokojów, wywołanych przezeń w kraju, kazano wziąć pod straż. Sama zaś w porozumieniu z głównymi jego uczniami, Husseinem i Mohammedem, opowiadała dalej po Iranie słowo Boże weń wcielone. A gdy jej współwyznawcy, doprowadzeni do ostateczności groźbami wrogów, wzięli się za broń w Mazanderanie, nie odmówiła ona zawezwaniu przywódców — i swą porywającą mową za-

grzewała tłumy do wytrwałej obrony, głosząc upadek muzułmanizmu i wzejście na jego ruinach kultu prawego. Lecz porwanie się takie ze strony babytów za broń, wbrew łagodnych usposobień i zaleceń ich mistrza, tylko im zaszkodzić mogło; uorganizowana ich siła wywołała tem żywsze przeciwdziałanie rządu. Mimo waleczności niesłychanej, jaką okazywali w bitwach, straciwszy w gruzach swych zamków, Tebersy i Zendżanu, cały kwiat swego rycerstwa, razem z dzielnymi przywódzcami Husseinem i Mohammedem, babyci przycichli. Wprędce i Mirza-Ali-Mohammed skazany został na śmierć, na basztach Tebryzu, i rozpoczęły się najokrutniejsze prześladowania w celu wytępienia babyzmu do szczętu. Zerryny nie śmiano dotknąć, takie ją powszechne uwielbienie otaczało.

Wskutek rozsrożonego atoli nanowo prześladowania, wywołanego 1852 r. wykrytym zamachem na osobę szacha, zamierzonym przez kilku pałających odwetem babytów, powszechną proskrypcyą była objęta i urocza Zerryna, chociaż najniewinniejsza i nie posądzana nawet o wspólnictwo. Tyle jednak czci, nawet w najzapamiętalszych wrogach, zawsze ona wzbudzała, że i teraz oto właściwie nie godzono na jej zgubę. Chciano poprzestać na wyrzeczeniu się jej nauki babyzmu, tylko dla formy jedynie. Lecz właśnie do tego nie była zdolna! Stawiona przed trybunał sądowy, spokojnie odpowiedziała, iż uważa za hańbę wyrzeczenie się wiary dla ocalenia, na kilka chwil dłużej, znikomej postaci zewnętrznej, i spłonęła na stosie!

Niepospolite to zjawisko, niepospolita postać w dziejach azyatyckich społeczeństw! Popioły Zerryny rozwiane nie uniosły z sobą jej pamięci: pozostać ona winna wiecznie żywą w dziejach, jak pozostała u swego ludu, z ubóstwieniem ją wielbiącego! Należy ona do tego nielicznego grona wybranych, co stanowią dumę i ozdobę rodu ludzkiego; do tych niewielu kobiet, co po wieki jaśnieć będą w świecie ideałów dziejowych. Zatrzymajmyż i my imię jej w pamięci

serca, ona bowiem i życiem swem pięknem i śmiercią męczeńską okupiła w osobie swej ze wschodniej niewoli całą swą płeć; podniosła i uzacniła azyatycką kobietę! Cześć jej należna.

Srodze prześladowany babyzm, zroszony krwią tylu męczenników, wzrastał; przyjęcie zaś kobiet do apostolstwa, z zasady kultu, utrzymując w nim nieustannie skarbnicę entuzyazmu, nie pozwalało mu zaskrzepnąć w formy i przenosiło naukę wyzwolenia w życie rzeczywiste rodziny i społeczeństwa. Przeniesienie następne centralnej władzy nowego kultu do sławnej stolicy chalifów, Bagdadu, zetknęło babyzm z bezpośredniem towarzystwem arabskiem i tureckiem i otwarło mu drogę nowych wpływów. Prześladowany i tam niedawno, obecnie podnosi oto znów swą głowę tryumfującą i woła: niema haremu, niema niewoli, zasłona hańbą kobiety!

Wierzajmy tedy: muzułmańska Azya nie jest tak zużyta, nie jest tak zbutwiała, by zatracić nie mogła w sobie wszelką niezdolność do kroczenia z czasem za europejskim postępem; za rękojmię tego niech nam służą wyświtające— już to pod wpływem Europy, już też przy samoistnem działaniu pokrewnego z nią europejskiego Persów ducha,— zorze nowe dla swobody kobiety.

SPIS RZECZY.

Str.

Wschód muzułmański 1

Wyprawa po Eufracie 56

Noc w wąwozie Anty-Libanu 144

Anatolia: Cylicya 169

Kappadocya 226

Galacya 296

Babyzm — społeczno-religijny ruch w Persyi 332

Postęp w stanowisku kobiety na Muzułmańskim Wschodzie . 362

DK
508
.5
J34
t.6

Jabłonowski, Aleksander
Pisma

PLEASE DO NOT REMOVE
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY